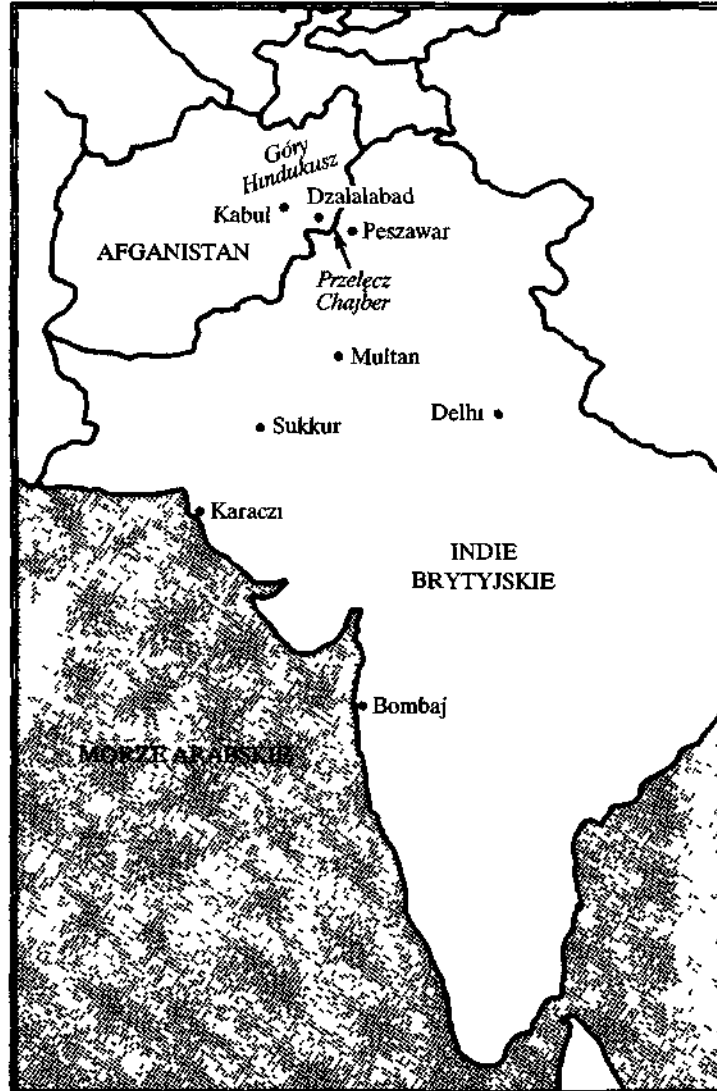


Linda HOLEMAN
Księżycowa klatka

Książkę tę dedykuję silnym kobietom mojego życia - matce Donnie, siostrze Shannon i córkom: Zalie i Brennie.
Z podziękowaniem za wszystkie wasze opowieści.

Mapa Indii i Afganistanu w 1845 roku



Upragniony pocałunek

Mój upragniony pocałunek: by ciałem zawładnęła dusza.

Otwieram nocą okno
i proszę księżyc,
żeby do mnie przyszedł,
przycisnął do mej twarzy
swe oblicze.

Tchnij we mnie życie.

Dżalaluddin Rumi, XIII wiek

Prolog

Ocean Atlantycki, 1856 rok

Zawsze mi mówiono, że cechuje mnie niegodziwość. Taka jest więc moja historia: pełna tej niegodziwości, ale i starań, aby okazywać dobroć. Ujawnia siłę, którą w sobie odnajdywałam i traciłam, by znowu ją odzyskać, żywione przeze mnie przekonania, niszczone i odbudowywane, moją wiarę w siebie i w innych, otuchę, jaką czerpałam z poezji i z baśni, z marzeń i z pragnień. Jest to historia miłości i nienawiści, wszelkich znanych i doświadczanych przez ludzi kontrastów, części, tworzących całość, składających się na ludzkie życie - skomplikowane jak wzory żyłek na liściu, jak konstelacje gwiazd na niebie i układ nasion w owocu granatu.

W kraju, z którego płynę, trudno zdobyć owoc granatu. Panuje tam wilgotny klimat, a wśród barw dominują szarość i zieleń. Nie urodziłam się tam. Otrzymałam dziś ten purpurowy, twardy owoc jako specjalny dar. W swoim czasie dowiecie się dlaczego. Przecięłam granat i włożyłam pestki do białej miski trzymanej na kolanach. Teraz sięgam do tego porcelanowego naczynia o chłodnych gładkich ściankach, wydaję jedną pestkę i wkładam do ust. Jest miękka i słodka. Czuję jej smak na języku i od razu opanowują mnie wspomnienia o moim kraju, watan - ziemi ojczystej.

Te myśli o ojczyźnie i moim w niej życiu w przeciwieństwie do trzymanej na języku słodkiej pestki są gorzko - słodkie. Jest tyle nitek, które zostały ze sobą splecione powoli i solidnie, żeby powstał wykoślawiony gobelin, jakim okazało się moje życie. Przywołuję w pamięci dłonie, które trzymały te nitki - mojej babci, w młodości żyjącej w ukryciu, w seraju, moich tadżyckich rodziców, brudnej dziwki z Kafiristanu* i mojego pasztuńskiego męża. A czasami, choć takie wizerunki są bluźniercze, w wyobraźni widzę nawet dłonie Allana i jedwabiste nici, łączące jego najświętsze palce. Nadal jest mi trudno wypowiedzieć te wszystkie myśli, bo w moim kraju rodzinnym kobiety karze się za znacznie mniejsze „przewinienia” niż odwaga myślenia, że Allah troszczy się o życie upartej i prostej tadżyckiej dziewczyny. Choć teraz czuję się bezpiecznie, a mój umysł wyzwolił się z ograniczeń niczym wypuszczona z zamkniętej dłoni ćma, to

starych nawyków pozbywam się z trudem i nadal nie ujawniam wielu swoich myśli i pragnień.

Proszę, przeczytajcie moją historię i zastanówcie się, czy rzeczywiście jestem niegodziwa. Osądźcie mnie, gdy ją poznacie.

Obecnie Nuristan.

Część pierwsza

W cieniu gór Hindukusz w
Afganistanie
rok 1845

Rozdział I

Moja babcia miała na imię Mahdachtar - Córka Księżyca. W naszej wiosce nie było nikogo takiego jak ona. Traktowano ją jako obcą, choć przybyła do Susmar Chord jako żona mojego dziadka ze strony ojca. Nie była Tadżyjką, a nawet nie pochodziła z Afganistanu, lecz miała, jak mówiła, pochodzenie czerkieskie; urodziła się w górach Kaukazu, rozdzielających Morze Czarne i Morze Kaspijskie. Była piękną kobietą o jasnej cerze i gęstych, błyszczących włosach brązowomiodowej barwy.

Opowiadała mi historie ze swojego życia, z okresu, zanim przybyła do naszej wioski, z najdrobniejszymi szczegółami, tak iż wydawały się klarowne i prawdziwe, choć wówczas zapominała już, jaka jest pora roku, co przed chwilą jadła i jak nazywają się różni ludzie w naszej wiosce. Gdy opowiadała mi te historie ze swojego dawnego życia, na jej twarzy malował się spokój i miała takie spojrzenie, jakby marzyła na jawie.

Dowiedziałam się od niej, że z powodu swej wielkiej urody została, podobnie jak wiele innych kaukaskich dziewcząt o jasnej cerze, dużych oczach i bujnych włosach, sprzedana przez rodziców. Takie dziewczęta były poszukiwane szczególnie przez sułtanów z krainy zwanej Słodkimi Wodami Azji, gdzie znajduje się cieśnina Bosfor. Moją babcie zabrano tam z Kaukazu jako ośmioletnią dziewczynkę, zmuszając do odbycia długiej, męczącej podróży. Nie urodziła się w rodzinie muzułmańskiej i do chwili przybycia do seraju nosiła inne imię. Tam je zmieniono i zmuszono dziewczynkę do przejścia na islam. Babcia nie pamiętała swojego pierwszego imienia, bo nikt jej nim nie nazywał od ponad siedemdziesięciu lat.

Ponieważ była taka młoda, znacznie młodsza od innych dziewcząt z Kaukazu, które wyruszyły nad Bosfor, na dworze sułtana przydzielono ją do służby córki tego władcy. Księżniczka traktowała ją jak żywą zabawkę - kapała, zaplatała włosy i ubierała we wspaniałe stroje.

- Byłam jak lalka - mówiła babcia, w tamtych czasach traktowana przez księżniczkę łagodnie, gdy ta miała dobry humor, i źle, kiedy sułtanka wpadała w przykry nastrój; wymierzała wtedy dziewczynce klapsy i szczypała ją.

Po pewnym czasie, gdy Mahdachtar stała się panienką, księżniczka znudziła się swą śliczną żywą zabawką i odesłała ją do

sułtańskiego haremu, aby zamieszkała razem z pozostałymi dziewczętami i kobietami sułtana. Moja babcia była tam niewolnicą i konkubina władcy. Nie znałam słowa „konkubina”, ale gdy poprosiłam babcie, aby mi powiedziała, co ono znaczy, tylko pokręciła głową.

Powiedziała mi, że pod wpływem nauk islamu pogodziła się z tym, że jej los został przesądzony, zanim się urodziła, zapisany na czole, jak to ujęła, dotykając opuszkami palców swego pomarszczonego czoła. Uwięziona w murach seraju, wiodła tam próżniacze życie. W dzień zażywała rozkosznych kąpiei, perfumowała się, uczyła śpiewać, tańczyć i recytować poezję, i jadła wspaniałe przysmaki, przygotowywane w kuchniach sułtańskiego haremu przez niewolnice kucharki. Wieczorem natomiast paliła fajkę nabitą kejfem, dzięki czemu miała czarodziejskie sny, i słuchała recytacji poezji oraz historii innych sprzedanych do niewoli kobiet, które opowiadały o swoich krajach, ale także snuły różne fantazje, zwalczając w ten sposób samotność i nudę.

- Daryo, tragedia i miłość, cierpienie i radość to cztery rogi życia
- powiedziała mi kiedyś.

Nauczyła mnie tych pieśni i wierszy napisanych w języku perskim, tak podobnym do języka dari, którym mówili wszyscy mieszkańcy naszej tadżyckiej wioski, ale jeszcze piękniejszym w swej nieznacznej odrębności.

- Miałaś tam wspaniałe życie, nieprawdaż? - zagadnęłam ją, próbując sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się nie pracuje, a tylko je, śpi i opowiada różne historie. Jak mogłoby nie być wspaniałe?

Lecz na te słowa babcia zaciskała usta.

- Czasami miałam - odpowiadała zdawkowo. - Ale pilnowali nas pozbawieni zarostu kastraci, czyli osobnicy, którzy są i zarazem nie są mężczyznami. Poza tym w seraju zawsze czyhało na nas niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - zdziwiłam się.

- Tak, bo nieodłączna od życia tam była zdrada - wyjaśniła. - Ciągłe krążyły jakieś bezpodstawne plotki, rywalki rozsiewały kłamstwa, a dziewczęta często zniknęły otrute; ich ciała topiono w Słodkich Wodach. Dlatego stamtąd uciekłam. Wiedziałam, że przyjdzie czas również na mnie, bo orientowałam się, że stanowią dla innych zagrożenie.

- Dlaczego i jak uciekłaś? - spytałam.

Jednakże w tamtym momencie babcia niewiele mi powiedziała na temat swojego życia po opuszczeniu seraju. I milkła, ilekroć w pobliżu nas znalazło się któreś z moich rodziców. Najwyraźniej chciała zachować to w tajemnicy, toteż więcej jej już o tę sprawę nie pytałam, choć byłam dociekliwą dziewczyną. Uwielbiałam opowiadane przez nią historie. Na myśl, że babcia pochodzi z innego plemienia, a przez to częściowo i ja, odczuwałam trudną do opanowania słodką tęsknotę za czymś, czego nie umiałam nazwać, która jakoś sama się narzucała i owładnęła mną bez reszty, budząc dziwny niepokój i kusząc. Patrzyłam na babcię i starałam się wyobrazić sobie piękną dziewczynę pochodzącą z odległych gór. Niestety, miałam przed sobą staruszkę, która wyglądała jak inne staruszki z naszej wioski, madar - e kalan - babcię o rzednących białych włosach, z meszkiem nad ustami, o oczach otoczonych zmarszczkami i pozbawionych blasku. Nie dostrzegałam w sobie nic z tej kobiety. Nie miałam pasm miodowej barwy, w ciemnobrązowych, niemal czarnych włosach i szarych oczu babci, lecz zielone. Babcia powiedziała mi jednak, że kiedy patrzy w moje oczy, widzi w nich swoje. Chodziło jej o ich wykrój i ciemne gęste rzęsy, które ja miałam teraz, a ona kiedyś.

Jedną ze spraw, o których nie mówiła, była historia jej przybycia do Afganistanu. Czułam, że nie wybrała sobie życia w tej małej rolniczej wiosce Susmar Chord. Zbyt dużo rzeczy widziała, aby mogła być tu zadowolona. Czasami mówiła mi o innym mężczyźnie, to znaczy nie o moim dziadku, który zmarł, zanim się urodziłam. Nazywała tego mężczyznę swoim prawdziwym mężem, jedyną miłością. Opowiadała o dzieciach, które z nim miała, urodzonych na długo przedtem, zanim przyszli na świat mój stryj i ojciec. Tego ostatniego nazywała darem od Boga, bo powiła go w tym okresie życia, kiedy kobiety zwykle są już bezpłodne, a on dał jej synową, aby miał kto troszczyć się o nią na starość. Czasami płakała, opowiadając mi o swoich innych dzieciach - o tych, które żyły, lecz zaginęły, i o tych, które już trafiły do raju, podobnie jak jej pierwsze dziecko - urodzone martwe w seraju - i starszy brat mojego ojca. Stryj zginął w Kabulu, w walce z mężczyznami w czerwonych mundurach.

- Ci mężczyźni z imperium brytyjskiego chcą zagarnąć ten kraj - powiedziała babcia. - Własny kraj, Inglesan - Anglia im nie

wystarcza. Uważają, że nie ma lepszej krwi niż ich, która jest blada i rzadka, i że powinni ją rozprzestrzenić po całym świecie.

To powiedziawszy, zaśpiewała załamującym się, niewprawnym głosem cudzoziemską pieśń, której dawno temu nauczyłam się na pamięć. Powiedziała mi, co te słowa znaczą: Anglicy rządzą wszystkim, nawet wodą w oceanach, i zawsze będą władcami, a nigdy niewolnikami. Rule, Britannia, Britannia, nile the waves. Lubiłam wymawiać te obce słowa i często tę pieśń nuciłam.

- Był pewien obraz, który teraz sobie przypominam - powiedziała kiedyś, spoglądając na mnie, gdy odśpiewałyśmy tę pieśń. - Wydaje mi się, że przedstawiał twoją twarz.

Ponieważ po tych słowach umilkła i spoglądała niewidzącym wzrokiem, znaczyło to, że w wyobraźni odeszła daleko ode mnie i od naszej wioski, w inne miejsce i czas. Obserwowałam ją cierpliwie, bo znałam to jej zachowanie i wiedziałam, że za jakiś czas powróci do rzeczywistości.

- Obraz, babciu? - przypomniałam łagodnie, chcąc ją wyrwać z zamyślenia.

Zamrugła oczami i spojrzała na mnie.

- Wisiał w domu mężczyzny, który był panem mojego serca. Mężczyzna ten przybył z dalekiego kraju, z Anglii, do Ankary, gdzie mnie znalazł, kiedy uciekłam z seraju. Pragnął mnie, bo moja uroda była wtedy w pełnym rozkwicie. Kupił mnie od mojego ówczesnego właściciela, ale traktował uprzejmiej niż wszyscy inni mężczyźni. Dał mi syna i córkę. Jacyż oni byli piękni - westchnęła. - Mieli skórę białą jak mleko. Moje dzieci. - Umilkła i rozplakała się.

Wiele razy mówiła mi o tych swoich zaginionych dzieciach, ale nigdy dotąd nie wspominała o obrazie. Delikatnie otarłam starszce łzy rogiem jej chustki.

- Już dobrze, babciu - powiedziałam do niej po persku, tak jak ona. - Nie płacz. Co ten obraz przedstawiał?

- Jak zawsze, toczyła się walka - ciągnęła, wciąż przebywając myślami w tamtych czasach. - Mój ukochany biegł, trzymając każde z dzieci pod pachą. Odwrócił się, aby mnie zawołać. Ale było już za późno. Zniknął, a ja... - Znowu się rozplakała. - Moje maleństwa... Co się z nimi stało? Co się stało z moim ukochanym?

Wzięłam jej rękę w swoje dłonie.

- Babciu, a obraz? - przypomniałam. - Co z tym obrazem? Pokręciła głową, jakby próbowała w ten sposób rozjaśnić umysł.

- Przedstawiał kobietę w hełmie, z tarczą i trójzębem, ubraną w męską zbroję - odpowiedziała.

- Kim była?

- Uosabiała brytyjskie imperium - wyjaśniła i zaśpiewała tę pieśń o Britannii.

- Co masz na myśli? - dociekałam.

- Że brytyjskie imperium jest jak potężna kobieta.

- Potężna kobieta? Jakaż kobieta ma władzę? - nie ustępowałam, wiedząc, że poczuje się zbита z tropu tym pytaniem, bo w naszej wiosce nie było potężnych kobiet.

Ale nie odpowiedziała mi, gdyż nagle zapadła w drzemkę. Jej głowa na cienkiej pomarszczonej szyi opadła na piersi. Obserwowałam ją, gdy spała. Żałowałam, że nie mogę się wedrzeć do jej umysłu i zobaczyć tego wszystkiego, co ona widziała, dowiedzieć się wszystkiego, o czym wiedziała.

Pomimo cudownych historii, które mi opowiadała, wymagała opieki jak małe dziecko. W nocy błądziła po domu, coraz częściej zapominając, które jest jej poślanie. Czasami nie pamiętała też, żeby pójść za potrzebą na podwórze, do zasłoniętego rogu, i plamiła sobie ubranie, po czym biła się ze wstydu w piersi.

Moja matka była zajęta gotowaniem i sprzątaniami domu, a od ojca oczywiście nikt nie oczekiwał, że będzie się zajmował kobietą. Byłam jedynaczką, więc mnie przypadł obowiązek opiekowania się babcią. Ale pomagania jej nie traktowałam jako obowiązku; dawało mi to zadowolenie, bo bardzo ją kochałam. Była jedyną osobą, która wniosła do mojego prostego życia w izolacji od świata coś wielkiego, uwiarygodniła możliwość, że poza naszą wioską, poza linią horyzontu przecinającą pola i góry istnieje inne życie, inny świat.

Wcale mi nie przeszkadzało, że tyle razy opowiadała te same historie, w tym o seraju, z nieodłącznymi od niego miłością, zdradą, radością i śmiercią, recytowała wiersze i śpiewała pieśni, mówiąc wielokrotnie o miejscach, które widziała, o miastach, rzekach, pustyniach i rozmaitych cudach świata, zbyt wielu, abym mogła je zliczyć. Czasami sama zadawała mi pytania dotyczące tych historii,

prosiła, abym jej coś przypomniała. Zastanawiałam się wtedy, czy chce się w ten sposób upewnić, że wszystko zapamiętałam, czy też chodzi o to, że powoli je zapomina, tracąc pamięć, więc pragnie, abym jej rozjaśniła jakieś szczegóły.

Jeśli wieczór był piękny, przed zapadnięciem zmroku pomagałam jej wejść po drabinie na płaski dach domu, delikatnie ją popychając i wchodząc za nią po szczeblach. Po dotarciu na szczyt mijałam ją i wciągałam na górę za ręce, które na starość zrobiły się powykręcane. Podtrzymywałam staruszkę, gdy po takiej wspinaczce z trudem łapała oddech, i podpierałam, kiedy już usadowiła się na wyblakłym dywaniku. Nasz dom stał na skraju wioski, więc nic nie zasłaniało nam widoku z dachu na okoliczne pola i góry w oddali, za którymi widniała na niebie purpurowa wieczorna zorza.

Siedziałyśmy tak, obserwując zachodzące słońce i czekając, aż na niebie pojawi się księżyc i gwiazdy. Babcia знаła znaczenie torów gwiazd i opowieści o kształtach, jakie te tory kreślą na niebie. Powiedziała mi, że w moim kraju rodzinnym sierp księżycy reprezentuje rodzaj męski i uważa się, że kobiety powinny oddawać mu cześć, siadywać u jego stóp tak samo jak u stóp mężczyzn. Ale dodała, że w innych dalekich krajach księżyc reprezentuje rodzaj żeński.

- Czy to znaczy, że w tych innych krajach księżyc też jest inny? - spytałam.

Pokręciła głową.

- To jak z wiarą w Allaha. Nie wszyscy w niego wierzą i mają swoich bogów - wyjaśniła.

- Czyż Allah nie jest wszechmocny? - szepnęłam, przerażona tym wyznaniem, bo po raz pierwszy babcia powiedziała tak o miłosiernym Allahu.

- Jest wszechmocny tylko dla tych, którzy oddają mu cześć - odrzekła na to. - Wiele osób modli się do innych bogów, tak jak są ludzie, którzy wierzą w to, w co chcą, w związku z księżycem. Niektórzy uważają, że księżyc jest kobietą, pełną i zaokrągloną w czasach dostatku, a chudą i bladą w okresach niepowodzeń. Nic nie wiem o Allahu, moje dziecko. Zwyczajnie nie wiem. Ale... - wskazała dłonią niebo - wiem, że mamy tylko jeden księżyc i jedno słońce, za to gwiazd jest więcej niż ludzi na ziemi.

Spoglądając na tę staruszkę o pomarszczonej i obwisłej twarzy, przypomniałam sobie okrągły blady księżyc, pełen cieni i plam. Zrozumiałam, dlaczego w dalekim miejscu ktoś dawno temu uznał, że jest on rodzaju żeńskiego. Postanowiłam przyjąć wiarę, że księżyc jest kobietą. Nie byłam natomiast pewna prawdziwości dziwnej wypowiedzi mojej babci na temat Allaha i innych bogów. Być może staruszce coś się pomyliło. Ale później z nikim o sprawach religii nie rozmawiałam.

- Czy myślisz, że kiedykolwiek zobaczę któreś ze znanych ci miejsc? - spytałam.

- Owszem - potwierdziła. - Zobaczysz. Wiem to, bo jesteś taka jak ja. Ludzie zadowoleni ze swego życia często na zawsze pozostają w jednym miejscu. - Błysnęła w mroku białkami oczu. - Niezadowoleni natomiast przenoszą się w inne miejsca, szukając zadowolenia, które im umyka. - Spojrzała w niebo. - Twoja siła nie pozwoli ci znaleźć zadowolenia zbyt łatwo.

Sapnęłam rozdrażniona.

- Świat nie kończy się na tej wiosce i kraju - ciągnęła, jakbym nie wydała z siebie żadnego dźwięku. - Przekonasz się o tym za jakiś czas. Daryo, naprawdę masz w sobie siłę. Tu nie znajdziesz zadowolenia. Musisz stąd odejść.

- Dokąd pójdę? - spytałam, nagle przestraszona.

- Znajdziesz to, czego szukasz - odpowiedziała, wciąż spoglądając w niebo i kręcąc głową, jakby się z kimś sprzeczała.

- To, czego szukam? - zdziwiłam się. - Ale ja nie wiem...

- Na razie jeszcze nie wiesz - przerwała mi. - Lecz pewnego dnia wykorzystasz swoją siłę i zaczniesz wieść życie takie, jakiego zapragniesz. Życie takie, jakie kiedyś znałam, niestety, zbyt krótko. Poznasz wtedy, co naprawdę znaczy żyć. - Na tym skończyła.

Pomimo młodego wieku rozumiałam, dlaczego wiąże ze mną takie nadzieje. Po prostu nie chciała, żebym przeżyła życie tak jak moja matka i ona sama, gdy trafiła do naszej wioski. Ale jak miało dojść do takiej zmiany? Znałam tylko Susmar Chord, znajdującą się w nisko położonej dolinie w cieniu gór Hindukusz. Domy w niej były wzniesione z mułu zmieszanego z pokruszonym wapieniem i słomą. Każdą posesję otaczał murek wykonany z tego samego budulca. Na naszej posesji stała szopa, w której przechowywało się różne rzeczy, niewielka zagroda dla zwierząt domowych, letnia kuchnia na

podwyższonej ubitej ziemi, gdzie nie tylko gotowało się i zmywało naczynia, lecz także prało, i wygódka. W cieniu pod lipami i morwami leżały dywany, na których matka przyjmowała swoje znajome, bo tam mogły przebywać w odosobnieniu i rozmawiać z odsłoniętymi twarzami.

Mój ojciec był rolnikiem. Gospodarował na urodzajnej ziemi, nawadnianej wodą ze strumieni zasilających dopływy odległych rzek, kierowaną na starannie wyrównywane poletka cienkiej gleby, położone w krętych dolinach na południe od Hindukuszu. A gdy nadchodziły chłodniejsze jesienne dni i ziarno zostało oczyszczone, do wiosny parał się rzemiosłem, podobnie jak inni mężczyźni z naszej wioski. Nie spędzał tu bezproduktywnie zimnych dni, lecz zabierał narzędzia i jechał konno do Kabulu, gdzie zarabiał pieniądze jako cieśla, naprawiając domy bogatych mieszkańców miasta.

Pracował ciężko. Robota paliła mu się w rękach. Dbał o nasz dom i zapewniał nam utrzymanie, ale często wpadał w gniew i był zawiedziony, bo mężczyzna, który miał tylko jedną córkę, uchodził za godnego pożałowania. Mój ojciec pragnął mieć syna, który ulżyłby mu w pracy i z którego mógłby być dumny. Z powodu braku licznej rodziny czuł się gorszy od innych mężczyzn z naszej wioski. Gdy zmarł jego ojciec, a potem brat, nie miał już żadnego starszego krewnego, z którym mógłby siedzieć na dachu domu i rozmawiać, kiedy kończył się długi gorący dzień pracy w polu. Poza tym jego matka była w takim wieku, że nie potrafiła ganić ani pomagać swej synowej w prowadzeniu domu, toteż w obejściu nie rozlegały się żadne hałasy i odgłosy krzątania. Było tak również dlatego, że po domu i podwórzu nie uganiała się gromadka dzieciaków, które można by skrzyczeć czy którymi można by się pochwalić. Mieli tylko mnie. I ojciec coraz częściej wyładowywał swe rozczarowanie na mnie, bijąc mnie za to, że nie podałam mu dość szybko herbaty, że dzban na wodę jest prawie pusty i że nie spuściłam oczu, kiedy udzielał mi nagany, a właściwie za to, że jestem dziewczyną. Dlatego we mnie również płonął gniew na ojca.

Moje uczucia do matki były bardziej skomplikowane, ale pozbawione jadu, inaczej niż uczucia do ojca, choć nie kochałam jej tak żarliwie jak babci. Matka była kobietą cichą i prostą. Bierna i pogodzona z losem, robiła to, czego od niej oczekiwano. Postrzegałam ją tak samo jak wiele innych kobiet w naszej wiosce, znajdujących

przyjemność w przebywaniu w domu, w spokojnym towarzystwie innych kobiet i w wychowywaniu dzieci. Spodziewała się, że będzie szczęśliwa, przygotowując dla nas posiłki, zamiatając drewniane podłogi i rozciągając dywaniki oraz zwijając i rozkładając pościel w naszym skromnym jednoizbowym domu, gdzie część sypialna rodziców była oddzielona od reszty pokoju zasłoną. Kręciła głową i zaciskała usta, widząc mój brak zainteresowania sprzątaniami i szyciem, niezdarność, z jaką myłam i wycierałam naczynia, tłukąc kolejne czarki i naczynia stołowe z pośpiechu, żeby jak najszybciej skończyć to zajęcie.

Niestety, nie potrafiłam znaleźć zadowolenia w wykonywaniu tych prostych domowych czynności, podobnie jak w długich plotkarskich wizytach sąsiadek na naszym podwórzu. Zawsze byłam niespokojna, zawsze spragniona ruchu. Nic mnie nie łączyło z innymi dziewczętami i młodymi kobietami z naszej wioski. Różniłam się od nich, w tym nawet od mojej najlepszej przyjaciółki Gawhar. Być może również pod tym względem byłam podobna do babci. Zaakceptowano ją w naszej wiosce i szanowano, bo jej mąż miał jakąś władzę, lecz zarazem traktowano jako obcą, nawet teraz, na starość. Ona też czuła się tu obca. Czy ze mną nie było podobnie? Urodziłam się w tej wiosce, ale myślałam o sobie jako o kimś obcym, niezadowolonym z ograniczeń łączących się z moim prostym, choć dobrym życiem, chociaż nie potrafiłabym wymienić przyczyn tego stanu rzeczy. Ciągle popadałam w konflikty z matką, a w jeszcze większe z ojcem. Nie potrafiłam okazywać im posłuszeństwa.

*

Tego roku w gorącym sierpniu, kiedy skończyłam jedenaście lat, żyłam w coraz większym napięciu i zdenerwowaniu. Chciałam czegoś więcej niż chodzenia codziennie do wspólnego pieca chlebowego i studni na głównym placu wioski, czegoś więcej niż siedzenia wieczorem na dachu domu i spoglądania w gwiazdy. Babcia dużo teraz spała, a czasami przez cały dzień nie wstawała z łóżka. Pomagałam jej myć się i jeść.

Chciałam wiedzieć, czego mułła uczy chłopców w meczecie, i słyszeć, jak recytuje Koran, jak wypowiada jego święte słowa. Miał grube czerwone usta, częściowo przysłonięte białymi rzadkimi wąsami. Meczet był barwy mułu, jak inne budynki w mojej wiosce, ale wewnątrz, na jednej ze ścian znajdowało się wspaniałe drzewo

życia, ułożone z niebieskich kafli, służące odstraszeniu dzinnów. Mozaika mieniła się odcieniami indygo, kobaltu, lazuru i turkusów. Miałam ochotę przesunąć palcami po jej chłodnej i gładkiej glazurowanej powierzchni. Z tyłu za meczetem znajdował się zakurzony opuszczony dziedziniec, na którym rosło kilka starych sękatych morw. Pewnego popołudnia zakradłam się tam, gdzie, jak się wydawało, nikt nie przychodzi, i słuchałam głosów docierających z meczetu. Nie odważyłam się zajrzeć do środka przez okno w obawie, że mułła mnie zobaczy, lecz skradałam się koło muru. W pewnym momencie natrafiłam na pęknięcie między dwoma wysokimi wąskimi oknami, znajdujące się tak nisko, że musiałam przykucnąć, aby móc zajrzeć przez nie do środka. Zobaczyłam odwróconych do mnie tyłem chłopców, którzy siedzieli na wytartych bawełnianych dywanikach modlitewnych. Stał przed nimi mułła z Koranem w rękach i czytał im monotonnym, cichym głosem wybrane wersety, a oni powtarzali je za nim, kołysząc się rytmicznie w tył i w przód. Wydawało mi się, że wypowiedane przez nich słowa są przymocowane do mułły cienkimi jak pajęczyna, niewidzialnymi nićmi, a słowa wychodzące z jego ust do tych zapisanych w świętej księdze. Opanowało mnie przemożne pragnienie poznania tego związku między wypowiedanym i zapisanym tekstem, uczenia się tak jak ci chłopcy.

W naszym domu Koran stał na półce nad drzwiami. Ojciec zakazał mi brać świętą księgę do ręki, abym nie zbezczeszczyła jej swym dotykiem. Byłby to bowiem czynnek haniebny. Ale jeszcze tego samego dnia, kiedy odkryłam dziurę w murze meczetu, po powrocie zdjęłam z półki Koran ojca, odczekawszy, aż nie będzie nikogo w domu, z wyjątkiem babci. Ta w milczeniu obserwowała, jak delikatnie gładzę zagięte podarte kartki i z ciekawością oglądałam czarne kształty, które wiją się na papierze tak cienkim, że niemal przezroczystym. Dopuszczałam się świętokradztwa, ale moja potrzeba poznania tajemnic świętej księgi okazała się silniejsza niż posłuszeństwo.

Nazajutrz ukryłam Koran pod moją długą sukienką, wkładając go za pas szarawarów, i udałam się na zakurzony dziedziniec na tyłach meczetu. Usiadłam tam, położyłam Koran na kolanach i śledząc tekst czytany przez mułłę, naśladowałam kołysanie się chłopców. Niemal bezgłośnie powtarzałam wypowiedane przez duchownego słowa. Wokół mnie kury rozgrzebywały ziemię pachnącą butwiejącymi

odpadkami. Letni wietrzyk poruszał liśćmi powykręcanych, sękatych morw.

I tak dzień po dniu przychodziłam tu, mówiąc matce, że idę po chleb, który codziennie każda rodzina piekła w piecu wybudowanym pośrodku wioski, aby służył wszystkim mieszkańcom. Nie sądziłam, że ktoś mnie zobaczy. A nawet gdyby tak się stało, to co z tego? Często byłam karana za nieposłuszeństwo. Jak mogłam przewidzieć, że tym razem sytuacja będzie wyglądała jeszcze gorzej?

Rozdział II

Tego dnia, kiedy wszystko się dla mnie zmieniło, panował upał. Świat zastygł w bezruchu i tylko czasami powiew wietrzyka niemrawo poruszał duszne powietrze. Klęczałam na swoim miejscu na dziedzińcu meczetu, ze świętą księgą na kolanach. Nie dotykałam jej, bo miałam spocone dłonie. Głos muły przypominał bzyczenie dużego owada; pasował do dźwięków wydawanych przez muchy, które przysiadły na moim wilgotnym czole. Odpędzałam je szybkimi niecierpliwymi pacnięciami dłoni, kręcąc głową i próbując skupić myśli. Słońce przesunęło się na niebie i morwy nie zapewniały mi już cienia.

Postanowiłam pójść do domu, lecz w tej samej chwili padł na mnie czyjś cień. Spojrzałam w górę, gotowa rzucić się do ucieczki, ale to był tylko Basaam, starszy ode mnie o kilka lat, upośledzony umysłowo chłopiec, właściwie nieszkodliwy. Deptał po piętach młodszym od siebie chłopcom, bo ci w jego wieku go odpędzali. Robił, co mu kazali, zwykle coś głupiego, co go poniżało, a oni reagowali na to śmiechem. Basaam natomiast promieniał, jakby udało mu się ich nabrać, zadowolony, że okazują mu zainteresowanie i, jak zapewne sądził, przyjaźń. Ale niekiedy w jego oczach o zwykle bezmyślnym spojrzeniu dostrzegałam nieoczekiwaną bystrość, jakby chwilami docierało doń, że nie jest taki sam jak inni, że nikt nie traktuje go tak poważnie jak pozostałych chłopców. W takich momentach ten zwykle roześmiany i miły chłopiec zmieniał się w niewytłumaczalny sposób, jakby nagle ktoś obudził w nim okrucieństwo.

Kiedyś widziałam, jak przewrócił na ziemię małą dziewczynkę i nadepnał jej na dłoń. Kiedy indziej, nie mogąc nadażyć za uciekającymi przed nim chłopcami, chwycił biegnącego obok pieska i wykręcił mu łebek, aż przerażone zwierzę zawyło z bólu. Puścił pieska, dopiero gdy ten ugryzł go w palec.

Ale tego dnia, za meczetem, na twarzy Basaama pojawił się jego zwykły szeroki uśmiech. Gdy położyłam palec na ustach, chłopiec powtórzył mój gest, energicznie skinął głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując trzonowe zęby, przebarwione i pokryte śliną. Odszedł, kopiąc po drodze kamyki. Muła nie pozwalała mu przychodzić do meczetu i uczyć się wraz z innymi chłopcami, bo

Basaam nie potrafił się skupić i wydawał hałaśliwe dźwięki, rozpraszając innych.

Z powrotem skoncentrowałam uwagę na mulle, ale po krótkim czasie znowu padł na mnie czyjś cień. Tym razem spojrzałam w górę z irytacją i już otwierałam usta, by przepędzić Basaama, kiedy zobaczyłam, że to nie on, lecz moja matka. Podeszła tak cicho, że nie usłyszałam jej kroków. Gdy chwyciła mnie za ramię, ściskając je boleśnie i spoglądając z wściekłością, spostrzegłam chowającego się za węglem Basaama.

- Daryo, ty zła dziewczyno - powiedziała matka cichym, ale ostrym głosem. Odebrała mi Koran i zauważywszy dziurę w murze, przykucnęła obok mnie i zajrzała do meczetu. - Chłopcy znajdują się tak blisko ciebie - sarknęła. - Nie wolno ci oglądać takich rzeczy. Spuść oczy.

Nie posłuchałam. Zawsze dotychczas słyszałam tylko, że nie wolno mi czegoś dotykać, słuchać czy oglądać, bo jestem dziewczynką. Szarpnęłam ramieniem, chcąc się wyrwać.

- Puść mnie. Zadajesz mi ból - powiedziałam i spytałam hardo, choć wiedziałam, że nie potrafi mi odpowiedzieć: - Dlaczego uważasz, że jestem zła, bo chcę się czegoś dowiedzieć o naszej świętej księdze? - Pewne rzeczy były po prostu przyjęte i tyle.

Matka syknęła, więc już nic więcej nie powiedziałam, ale nadal spoglądałam na nią nachmurzona. Ścisnęła mnie jeszcze mocniej za ramię i pociągnęła do góry, zmuszając do podniesienia się z klęczek. Odsunęłam jej rękę i ruszyłam przodem, ale nie spuściłam oczu. Nie chciałam, żeby ktoś zobaczył, jak matka mnie traktuje. Przynajmniej niektóre spośród mijanych przez nas kobiet kręciły na mój widok głową, bo szłam przed matką, unosząc podbródek i stawiając długie, zamaszyste kroki. Wiedziałam już od pewnego czasu, że współczują mojej matce, iż ma taką zuchwałą, krnąbrną córkę. Pewnie zносиły teraz do Allaha dziękczynne modły za swoje skromne, posłuszne córki.

W domu matka z szacunkiem odstawiła Koran na półkę, ale najpierw znów chwyciła mnie za ramię i pchnęła na dywan pod ścianą. Do końca dnia nie pozwoliła mi jeść i pić. Babcia spoglądała na mnie ukradkiem ze swojego ciemnego kąta, a ja pragnęłam podbiec do niej i ukryć twarz na jej kolanach, jak to często robiłam, kiedy

matka mnie zbesztala lub ojciec uderzył. Gdy tylko matka się odwróciła, zrobiłam ruch, by podejść do babci.

- Madar - e kalan - powiedziałam błagalnie, ale ona pokręciła głową i machnęła dłonią o kościstych, powykrecanych palcach.

Zrozumiałam wówczas, że moje obecne przewinienie różni się od wcześniejszych. Było to co innego niż wylanie wody z glinianego dzbanka, który próbowałam nieść, biegnąc, co innego niż przypalenie ryżu, gdy, zamiast go pilnować, oglądałam chmury, co innego niż ukrycie się w polu, dla uniknięcia codziennych obowiązków, czy wyjęcie z pieca cudzego bochenka chleba, kiedy miałam dość czekania, aż nasz się upiecze, co innego niż robienie miny na widok zdziwaczałego staruszka, przesiadującego na schodach czajchany z czarką herbaty w ręku.

Zaczełam sobie zdawać sprawę, że może to, co ostatnio zrobiłam, nie było jedną z moich niemądrych dziecinnych demonstracji przekory. Odwróciłam się od mojej zmartwionej babci i leżałam twarzą do ściany, z rękami skrzyżowanymi na pustym brzuchu. Głowa pękała mi z powodu upału i piekło wyschnięte gardło.

Po jakimś czasie przed domem rozległy się ciężkie kroki ojca, ale zanim wszedł do środka, matka wyszła na zewnątrz.

Usiadłam i spojrzałam na drzwi, zza których dobiegał jej szybki, pełen niepokoju szept, a po nim szept ojca. Po chwili ojciec wpadł do domu. Usta miał zaciśnięte z gniewu. Podeszedł do mnie, a ja zerwałam się z podłogi.

- Zostaniesz ukarana za swoje zachowanie! - krzyknął, utkwivszy wzrok w ścianie ponad moją głowę, jakbym była zbyt obrzydliwa, żeby można było na mnie spojrzeć. - Córka nie będzie mi przynosiła takiego wstydu!

Zdawałam sobie sprawę, że źle postąpiłam, słuchając nauczania mułły, ale nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ojciec tak bardzo się na mnie gniewa. Nie mogłam jednak o nic go pytać, więc tylko obserwowałam jego twarz, starając się pojąć powód tak gwałtownej reakcji.

- Spuść oczy! - ryknął, gdy w końcu na mnie spojrział. - I zasłoń swoją bezczelną twarz! - Szarpnął moją chustkę i zasłonił mi twarz. A wówczas nie musiałam się zakrywać, bo nie stałam się jeszcze kobietą. Ojciec krzyczał dalej: - Wstąpiłem do czajchany, ale wyszedłem stamtąd zawstydzony, kiedy inni mężczyźni zaczęli się

śmiać z tego, co zrobiłaś! Kobiety nie przestają mleć językami! Wszyscy już wiedzą o twoim haniebnym postępku!

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był taki zły. Przez cienki materiał chustki wyglądał jak duży wodnisty cień.

- Wciąż niczego się nie nauczyłaś?! Masz czelność nie okazywać mi szacunku i patrzeć w oczy jak równemu sobie?! - ryknął znowu.

Spuściłam głowę, ale nadal był rozwścieczony. Teraz zrozumiałam dlaczego. Nie tylko z powodu tego, co zrobiłam, lecz również ze względu na to, jak czuł się wobec swoich kolegów. Wymierzył mi dwa policzki, aż chustka opadła mi na ramiona. Wcześniej też mnie policzkował, nawet często, ale nigdy tak mocno. Po drugim ciosie upadłam bokiem na dywan i oparłam się na łokciu. Ojciec zaczął mnie okładać swymi stwardniałymi od pracy rękami po ramionach i plecach. Usłyszałam krzyk babci i zwinęłam się w kłębek, próbując osłonić się przed dalszymi uderzeniami. Ale ojciec postawił mnie na nogi.

- Pokażę ci, jak traktuje się córkę, która lekceważy innych! - oświadczył.

Powlókł mnie przez pokój do drzwi, potykającą się o dywany. Zszokowana, z trudem łapałam oddech. Chwiałam się na nogach, gdy znaleźliśmy się na dworze. Zmierzchało. Myślałam, że zabierze mnie na podwórze, żeby dalej bić, ale ruszył na plac w środku wioski.

Uliczki bieging promieniście od placu jak szprychy w kole od wozu. Nie łączyły ich żadne boczne. Cieszyłam się, że o tej porze dnia większość mieszkańców przebywa na podwórzach za domami, odgradzona od świata w swej prywatności. Miałam nadzieję, że tylko nieliczni zobaczą, jak ojciec ciągnie mnie naszą uliczką na plac.

Ten plac to był duży obszar ubitej ziemi, osłonięty od słońca baldachimem liści orzechów włoskich i granatowców, rosnących na jego obrzeżach. Po jednej stronie stał meczet, po drugiej czajchana, a obok niej studnia i piec chlebowy. Pomyślałam, że ojciec zmierza do studni, żeby oblać mnie wodą i symbolicznie zmyć ze mnie złe uczynki.

- Ta dziewczyna zlekceważyła zwyczaje nakazane nam przez Allaha! - krzyknął tak głośno i niespodziewanie, że aż się wzdrygnęłam. Dwie kobiety stojące przy piecu chlebowym odwróciły się w naszą stronę, a w drzwiach meczetu i czajchany stanęli

mężczyźni. - Swym zachowaniem przyniosła wstyd całej wiosce! Trzeba jej dać nauczkę!

Nie mogłam uwierzyć, że krzykiem oznajmia ludziom moje nieposłuszeństwo i ściąga powszechną uwagę, robiąc ze mnie pośmiewisko.

Gdy z determinacją ciągnął mnie przez plac i przeszliśmy obok studni, uświadomiłam sobie, co zamierza zrobić. Wprost nie mieściło mi się to w głowie. Prowadził mnie do rosnącego obok meczetu starego platanu, do którego grubego i rosnącego wysoko konara był przymocowany sznur służący do karania chłopców. Ale znałam tylko dwa przypadki powieszenia tu za ręce chłopca, i to przez mułłę, a nie przez własnego ojca. Obaj ci winowajcy zostali ukarani za planowanie złośliwych figli z użyciem przemocy, podobno takich, których się nie toleruje. Dlatego wszyscy mężczyźni w wiosce, włącznie z ojcami tych chłopców, uznali, że psotnicy muszą ponieść karę. To, co ja zrobiłam, było w porównaniu z tym niczym. Ale ojciec związał mi dłonie w nadgarstkach zwisającym z konara grubym, wystrzępionym sznurem.

- Chcesz się zachowywać jak chłopiec? To będziesz traktowana jak nieposłuszny chłopiec. Może stanie się to dla ciebie ważną nauką, że dziewczęta nie powinny postępować tak jak ty, a zwłaszcza nie powinny mieć niegodziwych, nieczystych myśli - mruknał. Zacisnął sznur tak mocno, że natychmiast zdrętwiały mi palce, i pociągnął za jego drugi koniec, zwisający z konara, tak iż moje ręce znalazły się nad głową. Pociągnął jeszcze raz i moje stopy oderwały się od ziemi. Przywiązał sznur do białego w pień mocnego kołka i rzucił mi pod stopy chustkę, mówiąc: - Niech wszyscy zobaczą twoją hańbę. - Po tych słowach odszedł ciężkim krokiem, wzbijając butami kurz.

Ale ja nie czułam się zhańbiona. Spoglądałam na pusty plac z nadzieją, że ktoś tu przyjdzie i będę mogła mu okazać swoją dumę. Niech każdy mnie zobaczy. To mój ojciec powinien się wstydzić. Dziewcząt nie karano w taki sposób, na oczach wszystkich, lecz w domu, w ukryciu. Dlatego wiedziałam, że wymierzając mi taką karę, ojciec wprowadził mieszkańców wioski w zakłopotanie i nie odważą się wytknąć nosa za drzwi. Widok dziewczynki wiszącej na sznurze przeznaczonym do karania niesfornych chłopców, ledwie dotykającej ziemi czubkami palców, raczej by ich przeraził. Ale z drugiej strony

nie zachowywałam się jak inne dziewczęta. Czy więc rzeczywiście ktoś uzaliłby się nade mną? Chyba nie.

Po jakimś czasie zaczęłam tracić świadomość, osłabiona głodem, pragnieniem i bólem po razach wymierzonych mi przez ojca; bolały mnie też łopatki i naciągnięte przeguby. Głowa opadła mi na piersi, a twarz zasłoniły pasma długich włosów z rozpleczonego warkocza. Spoglądając na swoje bose stopy, obserwowałam, jak wiruje pod nimi kurz, wzbijany przez wieczorny wiatr, wciąż gorący, ale coraz silniejszy, tak że zaczęłam się kołysać na sznurze. Silniejszy powiew uniósł brzegi leżącej pod moimi stopami chustki i podrzucił ją do góry. Kołysząc się wolno z boku na bok, słyszałam, jak skrzypi konar, na którym wiszę. Sznur wrzynał mi się w nadgarstki, ręce odrętwiały, miałam wrażenie, że wyrywają mi się ze stawów. W końcu zamknęłam oczy. Po jakimś czasie, który wydał mi się bardzo długi, popadłam w dziwny stan, jakby snu na jawie, w którym przestałam czuć swoje ciało. Pomyślałam wtedy o Allahu. Czy było jego wołanie, bym została tak potraktowana tylko za to, że chciałam poznać jego Słowo?

- Daryo - usłyszałam czyjś głos i przez moment myślałam, że to Allah zawołał mnie po imieniu i zaraz do mnie przemówi. Ten ktoś powtórzył: - Daryo jan - kochana. - Wówczas zorientowałam się, że to głos babci, cichy i łagodny.

Otworzyłam oczy i uniosłam głowę. Wiatr ustał, powietrze wciąż było suche. Niebo już pociemniało. Rozległ się wysoki dźwięk wydawany przez cykadę, wibrujący w powietrzu nad pograżonym w ciszy placem. Było tak, jakby w czasie, kiedy wisiałam na sznurze, wioska wymarła.

Babcia trzymała cząstkę czerwonego melona. Uniosła ją drżącą z wysiłku dłonią, zbliżając owoc do moich ust. U jej stóp leżał kostur. Drugim się podpierała, trzymając go w sękatej dłoni. Ile wysiłku wymagało od niej przyjście tu, skoro od miesiący nie wychodziła z domu! Jej nogi o skórze przebarwionej ze starości były spuchnięte w kostkach.

- Babciu - szepnęłam, wyciągając szyję i otwierając usta, aby dosięgnąć melona.

Ale w tym momencie upadła, jakby nagle ktoś podciął jej nogi. Z jej skroni popłynęła krew. Leżała na boku u moich stóp, a obok niej kawałek melona, który sam wyglądał na ziemi jak kałuża krwi.

- Madar - e kalani Madar - e kalani - krzyknęłam, wstrząśnięta i osłupiała.

Rozejrzałam się po pustym placu, szukając dla niej pomocy i wydobywając z siebie dziwne dźwięki, ale spostrzegłam tylko Basaama. Opierał się o mur meczetu i trzymał w dłoni procę.

- Ta staruszka - krzyknął do mnie, kręcącej się na sznurze jak owad nabity na haczyk - nie знаła swojego miejsca! Tak jak ty! Była nieposłuszna!

Po tym oskarżeniu uśmiechnął się tak samo jak wtedy, gdy znalazł mnie za meczetem. Wówczas zrozumiałam, że pustka i bezmyślność na jego twarzy jest myląca, że kryje się za nią przebiegłość. Spojrzałam w dół. Babcia wpatrywała się w swoją skręconą rękę i z niedowierzaniem mrugała oczami. Gdzieś zaszczekał pies, krzyknął mężczyzna i rozległ się niespokojny głos kobiety.

Po kilku minutach nadbiegi mój ojciec. Najpierw próbował rozplątać węzły na sznurze, na którym wisiałam. Sam je zawiązał, ale teraz trzęsły mu się ręce, więc wyjął nóż i odciął sznur. Upadłam na ziemię. Nie mogłam poruszać odrętwiałymi dłońmi i nie miałam siły wstać. Czołgałam się na kolanach do babci, wokół której tłoczyły się już kobiety. Po cichym płaczu rozpoznałam wśród nich moją matkę. Przepchnęłam się przez nie. Ręce, wciąż związane w nadgarstkach, odmawiały mi posłuszeństwa. Nie mogłam ich podnieść, aby dotknąć babci, więc przysunęłam twarz do jej policzka. Poczułam chłód szorstkiej i lepkiej od krwi skóry. Staruszka pachniała migdałami, które lubiła żuć.

- Tak mi przykro, madar - e kalan - szepnęłam, a ona zamknęła oczy.

Mój ojciec pochylił się nad nią i podniósł ją z ziemi, jakby była dzieckiem. Szedł przez rozstępujący się tłum, niosąc ją na rękach, za nim, głośno płacząc, moja matka, a za nią ja, gdyż w końcu udało mi się wstać. Zębami rozplątałam sznur krepujący mi nadgarstki. Odzyskałam czucie w rękach i przeszył mnie ból nie do opisania. Dłonie ciążyły mi jak ołowiane kule. Poruszałam nimi, cicho płacząc.

W domu położyłam się na posłaniu obok babci i trzymałam ją za rękę. Matka zmyła krew z twarzy staruszki i przyłożyła jej do spuchniętej skroni wilgotną szmatkę. Byłam przy madar - e kalan, kiedy przyszła akuszerka Yalda i obejrzała jej oczy, twarz oraz dłonie, a następnie wręczyła matce tykwę z leczniczym płynem, udzielając

stosownych porad. Byłam, gdy matka zmieszała lek z ostudzoną herbatą i napoiła staruszkę tą mieszanką. Czuwałam po zapadnięciu zmroku, gładząc babcię po twarzy. Myślałam, że śpi, ale nagle wymamrotała jakieś obce słowa.

- Co mówiłaś, babciu? Nie rozumiałam - powiedziałam, wspierając się na łokciu.

Zwróciła twarz w moją stronę i spojrzała na mnie.

- W końcu się zjawiałaś, moja siostrzyczko. Tak długo na ciebie czekałam - wyszeptała po persku i dalej mówiła w tym języku.

- Nie jestem twoją siostrą. Spójrz na mnie. Jestem Daryą - powiedziałam.

- Nie płacz po mnie, siostró. Jestem szczęśliwa, że idę do rajy - mruknęła znowu po persku.

- Nie. Jeszcze tam nie pójdziesz - zaprotestowałam. - Proszę cię, babciu, zostań.

Spojrzała na mnie przytomniej, co dostrzegłam w blasku księżyca.

- Moja Daryo jan - powiedziała i lekko się uśmiechnęła. - Kiedy w rajy zjawię się u mojego ukochanego, znowu stanę się młoda i piękna. Mój ukochany o jasnej skórze, który kochał mnie bardziej niż ktokolwiek inny, już tam jest, czeka na mnie. Zawsze już będzie miał trzydzieści jeden lat. Kocha mnie, a ja jego. Idę do niego. Czeka na mnie u wrót rajy. Ciesz się tym razem ze mną.

Próbowałam potaknąć, ale wstrząsało mną łkanie.

- Daryo jan, zapamiętasz, co ci powiedziałam? Czy wolisz żyć tu i spoglądać na księżyc, czy odejść tam, gdzie będziesz wolna?

- Skąd będę wiedziała, co zrobić i dokąd pójść, bez ciebie jako przewodniczki? Co rozumiesz przez to, że będę wolna? - spytałam, płacząc.

- Zorientujesz się sama. Będzie to dla ciebie jasne - odparła słabszym głosem i przeszła z perskiego na dari. - Mój czas już nadszedł. Ja pójdę do rajy, a ty tam, gdzie będziesz musiała. Daryo jan, pamiętaj o swojej sile. Zawsze pamiętaj.

- Tak, tak, madar - e kalan - zapewniłam ją. - Będę pamiętać. Zamknęła oczy i lekko westchnęła.

Zasnęłam i nagle się obudziłam. Usiadłam na posłaniu w szarym świetle poranka. Babcia leżała na wznak i miała otwarte oczy.

Zdawała się spoglądać w okopcony sadzą sufit. Była sztywna i zimna. Znowu się rozplakałam, choć mnie prosiła, żebym powstrzymała łzy i cieszyła się z nią tym, co teraz ją spotkało. Przy jej posłaniu zjawiała się matka, a za nią ojciec. Gdy odeszli, przytuliłam głowę do płaskiej piersi babci i leżałam tak, dopóki ojciec mnie nie odciągnął, żeby kobiety z naszej wioski mogły przygotować ciało do pogrzebu. Matka szepnęła mi do ucha, że moje miejsce na sznurze zajął Basaam. Spoglądała na mnie z troską, przepraszająco, jakby w nadziei, że ta błaża wiadomość ulży mi w cierpieniu.

Przyglądałam się, jak kobiety myją zwłoki babci i owijają je w biały całun. Wieczorem ojciec wraz z innymi mężczyznami z wioski zaniósł zmarłą na cmentarz, gdzie została pochowana w świeżo wykopanym, obwiedzionym kamieniami grobie, zwrócona ziemi, z której powstała. Gdy wróciliśmy do pustego domu, matka zapędziła mnie do pracy przy pieczeniu specjalnego chleba z dodatkiem cynamonu i orzechów, który, jak powiedziała, będzie symbolizował ciało babci.

Przez czterdzieści dni odwiedzali nas mieszkańcy wioski, żeby odprawiać z nami żałobę, pić herbatę i jeść ten słodki chleb. Później żałobnicy intonowali wersety z Koranu, a moja matka i inne kobiety z wioski modliły się z zasłoniętymi twarzami. Modliłam się wraz z nimi. W końcu posłaliśmy duszę babci na wieczny odpoczynek. Teraz wiedziałam już na pewno, że madar - e kalan opuściła ziemię i zajęła swoje miejsce w raju. Już nikt nigdy nie będzie mnie tak kochał jak ona i mówił mi o mojej sile. Patrzyła na mnie stamtąd. Nie mogłam jej sprawić zawodu.

Rozdział III

Babcia była stale obecna w moich myślach. Po jej pogrzebie dni, tygodnie i miesiące w wiosce upływały w tym samym co zawsze sprawdzonym tempie, jakie nadaje swym chodem wierny osioł. Trzepiąc na podwórzu dywany, idąc po wodę do studni, po chleb do pieca, zbierając na pastwisku odchody bydła na opał lub siedząc na dachu, niezmiennie recytowałam perską poezję i śpiewałam pieśni, których nauczyła mnie babcia. Myślałam o odległych miejscach, które mi opisywała, ale gdy próbowałam je sobie wyobrazić - a nawet tylko miasta położone w moim kraju, o których opowiadał ojciec - Kabul, Dżalalabad, Herat czy Kandahar - nie wydawały się rzeczywiste. Było tak, jakbym oglądała pokazywane mi obrazy. Gdy zabrakło babci, wydawały się płaskie i pozbawione życia; bałam się, że wyblakną i już nigdy więcej ich nie zobaczę. Zorientowawszy się, że w mroku stają się wyraźniejsze i jaśniejsze, przechowywałam je w myślach i przywoływałam w wyobraźni, leżąc w ciemności w oczekiwaniu na sen.

Nadeszło następne lato. Skończyłam dwanaście lat. Matka zapowiedziała, że z pewnością wkrótce stanę się kobietą, ale to nie nastąpiło, choć zmienił się wygląd mojego ciała i urosłam, a stroje leżały na mnie inaczej niż dotychczas. Gorący wiatr zawodził, nie dając chwili wytchnienia, a much było więcej niż zeszłego lata. Dlatego, pomimo nieznośnego zaduchu, drewniane okiennice domu były stale zamknięte. Matka bez przerwy płakała, siedząc na podłodze i kołysząc się do przodu i do tyłu. Błagałam ją, żeby przestała, wstała, umyła się i coś zjadła. Trzymałam ją za ręce, które były zimne i suche pomimo wilgotnego, lepkiego powietrza. Znowu chodziła z wielkim brzuchem. Za mojej pamięci już trzy razy urodziła martwe dziecko, za każdym razem chłopca. Miała kolejną wizję i uważała, że znowu się to zdarzy, to znaczy urodzi martwego chłopca, a poza tym teraz umrze przy porodzie. Nie byłam w stanie jej pocieszyć.

W kółko powtarzała zrozpaczona, że gdyby zamiast mnie urodziła chłopca, gdyby nie spotkało jej takie nieszczęście, że jedyne żyjące dziecko, jakie wydała na świat, jest bezużyteczną dziewczyną, życie potoczyłoby się dla niej zupełnie inaczej. Gdybym była chłopcem, jej mąż mógłby nosić głowę wysoko, ona zaś wiedziałaby, że gdy będzie stara, syn się nią zaopiekuje, a synowa będzie traktować ją z szacunkiem.

Za każdym razem, kiedy to mówiła, ogarniał mnie smutek i zaczynała boleć głowa. Ale był to smutek podszyty gniewem, z czego zdałam sobie sprawę po pewnym czasie, tak samo jak z tego, że nienawidzę mojej matki za te słowa.

- Tak, jestem dziewczyną! - wrzasnęłam, kiedy mi to powiedziała kolejny raz, i wytrąciłam jej z ręki czarkę z herbatą. - Dziewczyną! Co powinnam, według ciebie, zrobić?! - Uderzyłam się dłonią w piersi. - Mam je sobie obciąć?!

Cofnęła się, jakbym ją uderzyła.

- Daryo - powiedziała z trudem, jakby brakowało jej tchu, spoglądając na czarkę, z której herbata wylała się na dywan, gdzie siedzieliśmy naprzeciwko siebie. - Mówisz do mnie w taki sposób? Nie okazujesz swojej matce nawet odrobiny szacunku? Jak śmiesz tak się do mnie odnosić? Powiem o wszystkim ojcu.

- No to powiedz - odparłam nieustępliwie. Wstałam i nadepnęłam na czarkę, rozgniatając ją bosą stopą i miażdżąc skorupy na dywanie. Czułam, jak ostre odłamki cienkiej glinki kaleczą mi skórę, ale ból sprawiał mi dziwną przyjemność.

- Ojciec po prostu znowu mnie zbije. - Zniżyłam głos i pochyliłam się, patrząc jej w oczy. - Zawsze mówi, że moje złe postępowanie to twoja wina, że nie nauczyłaś mnie zachowywać się właściwie. I za każdym razem, gdy skarżysz mu się na moje nieposłuszeństwo, tylko pokazujesz, że ma rację. Więc powiedz mu. Płacz, oczekuj współczucia i powiedz mu, jak Allan cię przeklął, dając ci taką niegodziwą córkę.

Pobladała matka siedziała nieruchomo, jakby była drewnianą rzeźbą. Odwróciła się ode mnie, zbierając skorupy i wycierając dywan. Tego dnia już nie płakała. Spoglądała na mnie ukradkiem, gdy sądziła, że tego nie zauważę. Powiedziałam sobie, że naprawdę jestem niegodziwa, skoro krzyczę na własną matkę, wytrącam jej z ręki czarkę i depcę ją, jakbym była małym złośliwym chłopcem, ale poczułam coś nowego. Martwiła mnie ta dziwna świadomość, a równocześnie mi się podobała, jakby to było coś dużego i ciepłego, umiejscowionego pod skórą na piersiach. Gdy wciągałam powietrze głęboko do płuc, powiększało się jak przestrzeń pod żebrami.

Czułam wtedy, że babcia miała rację. To, co we mnie rośnie - wraz z tym, jak rośnie moje ciało - to była ta siła, o której zawsze mi mówiła. Gdy dostrzegłam w oczach matki lęk - a także mimowolny

szacunek - rozumiałam, że jestem od niej silniejsza, tak silna jak syn, którego wolałaby niż mnie. Nie miałam jeszcze trzynastu lat, ale tego dnia dowiedziałam się, że mam siłę. I z chwilą, gdy pozwoliłam, żeby doszła we mnie do głosu, nie dało się jej powstrzymać, jak wezbranych wód rzeki.

Byłam zaręczona z synem kuzyna mojej matki Ishratem. Miałam go poślubić w rok po mojej pierwszej nieczystości miesięcznej. Nigdy go nie widziałam. Mieszkał w wiosce, z której pochodziła matka - Kame Bara - dobre dwa dni jazdy wierzchem na zachód. Zostaliśmy zaręczeni, gdy ja się urodziłam, a on miał dziesięć lat. Staralam się nie myśleć o tym za dużo i zwykle mi się to udawało, bo nie potrafiłam traktować moich zaręczyn jako czegoś rzeczywistego. Ale wtedy wyszła za mąż Gawhar.

Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Miła Gawhar o nieśmiałym uśmiechu mówiła za dużo o sprawach nieistotnych i nigdy się o nic nie spierała, nawet gdy próbowałam ją sprowokować, żeby się ze mną nie zgodziła w jakiejś sprawie. Irytowało mnie, że Gawhar jest zakłopotana, kiedy ja wpadam w złość, bo na przykład matka kazała mi zebrać z pola za domem dodatkowy koszyk suchego łąjna, ojciec nie pozwolił jeździć na naszej klaczy za karę, że mówię to, co myślę, a ktoś palnął coś przy studni, co niechcący podsłuchałam i mi się nie podobało. Wtedy łatwo wybuchałam gniewem i oburzałam się na wiele drobnych spraw, bo nie miałam jeszcze poważniejszych problemów. Czasami, gdy się złościłam, Gawhar płakała cicho.

- Gawhar, dlaczego płaczesz? - pytałam zniecierpliwiona tą jej płaczliwością i potrząsałam za ramiona. - Taka po prostu jestem.

Nie potrafiła podać rozsądnego powodu. Spoglądała na mnie i kręciła głową.

- Daryo, nie musisz być taka... taka niespokojna. Nie służy ci to - odpowiadała.

Niespokojna... Stale tak mówiła. Zagryzałam wargi, zniecierpliwiona tym łagodnym określeniem, bo z pewnością chodziło o coś więcej. Ale w końcu uświadomiłam sobie, że Gawhar jest bardzo spokojna. Przyjmowała do wiadomości wszystko, co do niej mówiono, i nie kwestionowała wyborów, których za nią dokonywano. Gdy nadszedł dzień jej ślubu, po cichu rozmawiałyśmy o tym, co potem się wydarzy. Obie wiedziałyśmy coś niecoś o tym, co robią rodzice w ciemnym pokoju, kiedy myślą, że dzieci śpią. Żadna z nas

tego nie widziała, ale wiedziałyśmy, że w ten sposób powstaje potomstwo. I od kilku lat orientowałyśmy się, co czasami robią ze sobą psy i suki, ogiery i klacze, barany i owce, koguty i kury. Zaczęłam z nowym zainteresowaniem obserwować parzące się zwierzęta. Czyniłam to po kryjomu, bo instynkt podpowiadał mi, że otrzymam karę, jeśli zostanę na tym przyłapana. Ale ostatniej wiosny, kiedy zobaczyłam, jak baran wspiał się na chyba zaskoczoną tym owcę i poruszał się na niej, po raz pierwszy poczułam coś w dole brzucha.

Nie wiedziałyśmy, jak się to określa u ludzi, i po prostu mówiłyśmy, że robią „to”. Gawhar bardzo się „tym” przejmowała i czasami zakrywała twarz dłońmi, gdy zastanawiałam się głośno, dlaczego trzeba robić coś tak dziwnego, żeby sprowadzić na świat dziecko.

- Daryo, nie mów już nic więcej na ten temat. Źle jest rozmawiać o takich sprawach. Nasi mężowie będą wiedzieli, co trzeba zrobić, i nauczymy się „tego” od nich, zgodnie z tym, jak powinno być - powtarzała.

Teraz, spoglądając na wielki brzuch matki i zastanawiając się, co zrobił mój ojciec, aby ten brzuch tak się powiększył, aż się wzdrygnęłam z obrzydzenia. Ale kiedy pomyślałam o nieznanym mężczyźnie, który czeka na mnie w Kame Bara, „to” nie wydało mi się tak odpychające. Może dlatego, że w mojej wyobraźni ów mężczyzna był wysoki i bardzo przystojny, miał gładką skórę i czyste ubranie, przyjemnie pachnące piołunem i kojarzące się z wietrzykiem wiejącym w dolinie. I nigdy nie doprowadzał mnie do płaczu, tak jak ojciec moją matkę. A gdy po naszym ślubie odsłaniałam twarz i widział ją po raz pierwszy, czule się do mnie uśmiechał. Coraz bardziej pochłaniały mnie myśli o tym wyimaginowanym mężu, pieścącym moje ciało szczupłymi dłońmi o długich palcach.

W końcu upał zelżał i z pól zebrano plony. Ojciec spędził w milczeniu wiele dni i wieczorów na dachu domu, spoglądając na odległe góry. Nie zaczął przygotowywać narzędzi na wyjazd i nie powiedział, kiedy i czy w ogóle wyjeżdża w tym roku na zimę do Kabulu. Ale pewnego dnia po śniadaniu wsiadł na konia i wyruszył w drogę, nie odezawszy się słowem do matki. Gdy nie wrócił pod koniec dnia, spojrzałam na nią wymownie.

- Dokąd się udał? Do Kabulu? - spytałam. Pokręciła głową.

- Nic nie zabrał. Może pojechał na długą przejażdżkę? - odpowiedziała.

Wrócił po dwóch dniach. Wszedł do domu pewnym krokiem, uśmiechnął się do matki po raz pierwszy od tygodni i pogłaskał mnie po głowie.

- Krótkie odosobnienie w górach to dobre lekarstwo dla mężczyzny - powiedziała do mnie później cicho matka i uśmiechnęła się.

Byłam pewna, że teraz będzie lepiej, bo tego dnia oboje rodzice się uśmiechali. Ale po jakimś czasie ojciec znowu stał się opryskliwy i zamyślony. Znowu gdzieś pojechał, a po kilku dniach wrócił i z szerokim uśmiechem wręczył matce ogromny kozi ser. Ja też się uśmiechnęłam, przekonana, że matka ucieszy się z prezentu, ale dostrzegłam w jej spojrzeniu lęk. Ostrożnie położyła ser na talerzu i powróciła do szycia, zerkając od czasu do czasu na podarunek, jakby się spodziewała, że ser ożyje i skoczy na nią.

- Madar? - odezwałam się szeptem, gdy ojciec poszedł za zasłonę i położył się na łóżku z błogim westchnieniem. - O co chodzi? Dlaczego nie cieszysz się z podarunku, który dał ci pedar?

Matka spojrzała na zasłonę i uniosła dłoń na znak, że teraz nie może mi odpowiedzieć. Jej palce nie były już szczupłe, lecz spuchnięte i woskowo blade. Poczekalam, szyjąc w milczeniu, aż zza zasłony dobiegło do naszych uszu chrapanie ojca.

- Ten ser wyrabiają Kafirowie - powiedziała matka.

- W Kafiristanie? - domyśliłam się. Słyszałam o tym niegodziwym miejscu. Wiedziałam, że znajduje się jakieś pięć godzin jazdy konnej na wschód, wysoko w odległych zębatych górach.

- To kraina niewiernych - wyjaśniła mi matka dziwnie surowym tonem. - Nie są muzułmanami, lecz modlą się do wyrzeźbionych w drewnie bożków. Podobno ich kobiety nie zasłaniają twarzy nawet w obecności obcych mężczyzn. Są niemoralne. - Znowu spojrzała na ser i zacisnęła usta. Rzuciła szycie, wstała, chwyciła się za krzyż i wyszła z domu na jesienny chłód.

Wieczorem, jedząc tłusty wyborowy ser, myślałam o tym, co powiedziała. Kafirowie, niewierni czy wierni, znali się na wyrobie sera.

Po dwóch dniach ojciec wstał wcześniej, umył się, ubrał starannie i omotał głowę świeżym białym turbanem. Skończył poranne modły,

gdy wzeszło słońce. Siedziałyśmy z matką na poduszkach przy niskim stole i piłyśmy poranną herbatę.

- Dokąd się wybierasz? - spytała matka, widząc, że ojciec czesze brodę. Jej dłoń z czarką zastygła w połowie drogi do ust.

- Mam sprawę do załatwienia - uciał krótko.

Matka odstawiła czarkę na stół i zaczęła poprawiać ubranie.

- Z Kafirami? - nie ustępowała. Ojciec odwrócił się do niej.

- Tak - potwierdził. - Co z tego? Matka wstała od stołu i podeszła do niego.

- Ależ Kosha... - zaczęła, spuściwszy wzrok. - Ci ludzie... te opowieści... - Nieoczekiwanie podniosła głowę, choć zatrzymała spojrzenie na wysokości klatki piersiowej ojca, i dodała: - Zabierz ze sobą Daryę.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

- Dlaczego miałbym ją zabierać? - zdziwił się ojciec, zerknąwszy na mnie.

- Nie daję sobie z nią rady - oświadczyła matka. - Kłóci się ze mną, jest leniwa i denerwuje mnie. Chciałabym się od niej uwolnić, choć na krótko. Poza tym nie czuję się dobrze. Z tym nowym dzieckiem jest mi ciężko. - Położyła rękę na brzuchu.

Nie byłam leniwa. Już miałam to powiedzieć, ale w tej samej chwili pomyślałam o możliwości wyjazdu z wioski i ugryzłam się w język. Gdybym zaczęła zaprzeczać słowom matki, tylko rozgniewałabym ojca. Niestety, z góry wiedziałam, że za nic w świecie nie zgodzi się zabrać mnie ze sobą.

- To niemożliwe - oznajmił, jakby czytał w moich myślach. - Nie ma powodu, żeby mi towarzyszyła. - Wyszedł z domu i po chwili usłyszałam, jak przemawia do swojego konia.

Matka ścisnęła mnie za rękę.

- Jedź z nim, Daryo. Musisz - powiedziała z naciskiem.

- Dlaczego? - zdziwiłam się. - Powiedział, że nie mogę... Matce drżały usta.

- Daryo, obawiam się, że ta sprawa, o której powiedział, to...

- To co? - dopytywałam się zniecierpliwiona, odtrącając jej rękę.

- Mów szybko. - Miała tak dziwny wyraz twarzy, że powtórzyłam z naciskiem: - Powiedz mi, dlaczego muszę jechać.

Matka zalała się łzami. Zamknęła oczy i zacisnęła usta.

- Sądzę, że spotyka się z kobietą - wykrztusiła z siebie w końcu.

- Z kobietą? - Skrzywiłam się i powtórzyłam z niedowierzaniem:
- Z kobietą? Pedar? - To było niepojęte. - Powiedziałam z przekonaniem: - Nie, nie zrobiłby tego.

- Jeśli z nim pojedziesz, będzie się wstydził. Wtedy się... -
Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. - Idź. Szybko. - Znowu ścisnęła mnie za rękę.

Nie mogłam uwierzyć w to, co mi powiedziała, ale zaskoczyła mnie swym uporem i siłą, z jaką ścisnęła moją rękę.

Wyszliśmy na podwórze, gdzie ojciec przygotowywał do drogi wysokiego wałacha. Matka spojrzała ojcu w oczy, czym znowu mnie zaskoczyła, bo rzadko to robiła.

- Kosha, czy mogę cię o coś spytać? - odezwała się do niego zaskakująco śmiało, a gdy nie odpowiedział, dodała: - Czy ukrywasz coś przede mną?

Teraz zaskoczył mnie ojciec, bo spuścił oczy. Wydawało się, że towarzyszy nam jakiś cień. Czekaliśmy z matką na odpowiedź ojca.

- Jeśli nic nie ukrywasz, to ją zabierz - powiedziała twardo matka, przerywając milczenie.

Ojciec włożył nogę w strzemień i mlasnął językiem.

- No dobrze. Niech jedzie - zgodził się, a mnie serce podskoczyło z radości. Gdy szłam do zagrody, dodał głośno, jakbym już okazała mu nieposłuszeństwo: - Ale kiedy będę załatwiał sprawę, nie odezwiesz się słowem. I będziesz robiła tylko to, co ci każe.

Zignorowałam to, wyprowadzając klacz z zagrody. Gdy spojrzałam na matkę, skinęła głową i uniosła podbródek. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że wstąpiła w nią jakaś nowa siła. Nagle zdałam sobie sprawę, że tak mogła wyglądać, gdy była w moim wieku, młodziutka i pełna nadziei na przyszłość. Poczulałam dla niej podziw.

Rozdział IV

Mieliśmy dwa korne, ognistego siwego wałacha i mocnej budowy kasztankę, którą uwielbiałam. Mehry, zgodnie ze swym imieniem, była dobrym, łagodnym zwierzęciem. Uważałam, że należy do mnie, bo rodzice nigdy jej nie dosiadali. To ja ją karmiłam i poїłam, i kłusowałam na niej po polach za wioską, aby miała trochę ruchu. Często szczotkowałam jej błyszczącą kasztanową sierść. Dawałam jej do jedzenia przejrzałe owoce, za co mi dziękowała, trącając w szyję delikatnym jak jedwab nosem.

Teraz jechałam na niej za ojcem z Susmar Chord do Kafiristanu. Często się oglądałam, chcąc zobaczyć moją wioskę skąpaną w łagodnym świetle wczesnego poranka. Uświadomiłam sobie ze zdumieniem, że po raz pierwszy widzę ją z dużej odległości. Gdy zaczęliśmy wolno wspinać się pod górę, odkryłam, że jest mała, a dotychczas uważałam jej uliczki za długie i kręte, a meczet i herbaciarnię za duże budynki. Teraz nagle okazała się niewielka i pozbawiona znaczenia. Niknęła w coraz jaśniejszej dolinie. Domy barwy mułu, z których kominów wydobywały się smugi dymu, stapiały się coraz bardziej z ziemią. Ciągnęły się za nimi świeżo zaorane pola, nad którymi snuła się mgła. Szeroki wartki strumień, który płynął przez pogórze, nawadniając pola, wyglądał jak wąska połyskująca nitka. Pomyślałam o przeczuciu babci, że zobaczę kawał świata poza naszą wioską. Wiedziałam, że to dopiero początek.

Po kilku godzinach wjechaliśmy do wysokiego wąskiego wąwozu, z którego wydostaliśmy się na zalesiony teren, wciąż pnać się pod górę. Nierówna ścieżka prowadziła wśród wysokich ciemnych sosen. Czasami była tak stroma i urwista, że musieliśmy zsiadać z koni i prowadzić je za haftowane uzdy. Ocierałam rękawem pot z twarzy, opędzając się od much, które krążyły wokół moich oczu w ciepłym jesiennym powietrzu. To była męcząca wspinaczka. Jechaliśmy lub szliśmy, prowadząc konie, co najmniej cztery godziny. Chciało mi się pić i jeść, ojciec natomiast wydawał się pełen energii. Nie zwracał na mnie uwagi. Gdy las się przerzedził, a ścieżka stała się wyraźniejsza, jeszcze mocniej skoncentrował się na jeździe i popędził konia. Dlaczego tak się niecierpliwi? - zastanawiałam się.

W pewnym momencie tak nieoczekiwanie ściągnął cugle, że Mehry otarła się bokiem o wałacha. Moim oczom ukazało się chaotyczne skupisko domów rozrzuconych po zboczach wzgórza.

Składały się z misternie ułożonych kolejnych warstw, jakby jeden dom wznosił się nad drugim. Były zbudowane z drewna pochodzącego z pobliskiego lasu. Po chwili ojciec znowu popędził konia i ruszyłam za nim.

Zsiedliśmy przy pierwszym domu. Choć nie było to konieczne, zakryłam twarz chustką również od dołu, tak że widać było tylko oczy. Przeszła obok nas grupka młodych kobiet z gołymi głowami. Były w łaćmanach. Dźwigały na plecach wielkie trójkątne kosze wypełnione drewnem na opał, zawieszane na pasach tkaniny skrzyżowanych na piersiach. Gdy jedna z tych kobiet potknęła się i upadła na kolana pod ciężarem drewna, ruszyłam do niej, chcąc jej podać rękę i pomóc wstać, ale ojciec chwycił mnie mocno za ramię i trzymał, dopóki sama nie podniosła się z klęczek. Mocno pochylona do przodu, poprawiła kosz pokrytymi bliznami dłońmi i ruszyła w dalszą drogę. Z wysiłku drżały jej ręce.

- To są bari - mruknął ojciec, odzywając się do mnie po raz pierwszy od chwili, gdy wyruszyliśmy z wioski. - Tutaj ludzie są bań - niewolnikami - albo panami. Nie wolno ci się zadawać z bari.

Potaknęłam i ruszyłam za nim do drzwi, nad którymi wisiały dwa wspaniałe rogi.

- Czyje to rogi? - spytałam, gdy spętaliśmy konie i ojciec wyjął ze swoich juków torbę z czarnego końskiego włosia wyszywaną złotymi nićmi.

- Koziorożca alpejskiego. To znak szacunku, jakim cieszy się wśród ludzi właściciel tego domu. Jest w wiosce Wamed ważną osobą. Właśnie dotarliśmy na miejsce. Nie odzywaj się.

Musieliśmy się pochylić, żeby wejść przez niskie drzwi do ciemnego wnętrza. Zamrugalam, ale niewiele dało się tu zobaczyć, bo powietrze było gęste od dymu. Przetarłam piekące oczy i zorientowałam się, że ściany są okopcone. Najwyraźniej dach nie miał otworu odprowadzającego dym z ognia, na którym gotowano.

Na nasz widok z poduszek w kącie pokoju podniósł się niski i starszy od mojego ojca mężczyzna o pomarszczonej twarzy. Gdy się uśmiechnął, zobaczyłam, że ma górne zęby poplamione na zielono naswar - mieszanką drobno zmielonego tytoniu i przypraw. Zamiast dolnych zębów dostrzegłam tylko przebarwione dziąsła. Najwyraźniej przez cały czas trzymał naswar pod językiem, przez co gnęły mu dziąsła. W naszej wiosce pewien staruszek miał taką samą

dolegliwość. Ojciec mówił, że ci, którzy nie potrafią zapanować nad chęcią zażywania naswar, są ludźmi słabego charakteru.

- Powitania, mój przyjaciel - odezwał się mężczyzna łamanym językiem dari, obejmując ojca i zbyt mocno całując go w policzki. - Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. A ty?

- Ja też. Jesteśmy szczęśliwi, że do nas wróciłeś! - Mężczyzna spoglądał na ojca, ignorując mnie, jakbym była powietrzem.

- Namoor, to dla mnie zaszczyt móc znowu gościć w twoim domu - zrewanżował się ojciec. - Przywiozłem parę błyskotek, aby okazać wdzięczność za twoją życzliwość.

Gdy otwierał haftowaną torbę, z ciemnych kątów ruszyły do niego kobiety i dzieci. Tak samo jak bari, miały gołe głowy i odsłonięte twarze. One i dzieci otoczyły mojego ojca, przepychając się, by lepiej widzieć, i zmuszając mnie do cofnięcia się pod drzwi. Ojciec wyjął z torby maleńkie amulety, prostą biżuterię i dywanik. Dech mi zapało na widok tych prezentów, których się po nim nie spodziewałam. Najwyraźniej wydał na nie pieniądze za tegoroczne zbiory. Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni wręczył matce jakiś upominek, jeśli nie liczyć tego niechcianego sera. Uroczyście włożył prezenty w wyciągnięte ręce.

Gdy obdarowane kobiety i dzieci ucichły i ponownie znikły w ciemnych kątach, Namoor zaprosił go, aby usiadł. Uśmiechnął się przy tym szeroko i klasnął w dłonie, a ja nadal tkwiłam niepewnie tam, gdzie dotychczas. Przez zasłonięty kotarą otwór drzwiowy weszła do pokoju dziewczyna z tacą, na której wniosła talerze z chlebem posmarowanym klarowanym masłem i miodem, miski z czarnymi orzechami włoskimi oraz czarki z gorącą herbatą. Bezwiednie jęknęłam, czując, jak cieknie mi ślinka. Wówczas Namoor zwrócił wzrok w moją stronę i uniósł podbródek. Miałam zasłonięte usta i nos, ale patrzyłam na niego.

- To moja córka - wyjaśnił mu ojciec.

Namoor skinął głową, najwyraźniej mną niezainteresowany, i kazał dziewczynie postawić tacę między nim a ojcem.

Oparłam się lekko o okopconą ścianę i obserwowałam ich w nadziei, że ojciec zaproponuje mi, abym coś zjadła i napiła się, ale mnie ignorował.

Dziewczyna, która przyniosła tacę, nie wyszła. Była ode mnie starsza o kilka lat i tęga. Miała ładną twarz, ale dostrzegłam w jej spojrzeniu przebiegłość. Podając mojemu ojcu herbatę, spojrzała na niego śmiało swymi podłużnymi ciemnymi oczami. Przez chwilę nie odrywała dłoni od czarki, a on dotknął jej palców. Odwróciłam wzrok, zła na nich oboje. Pamiętałam, co matka mówiła o Kafirkach i ich bezwstydnym zachowaniu. Martwiła się, że ojciec może interesować się inną kobietą. Ale czy mogła go pociągać taka dziewczyna, zuchwała i przebiegła?

- Moja córka Sulima tęskniła za tobą - powiedział Namoor. Ojciec się roześmiał, jakby usłyszał coś bardzo zabawnego, i spojrzał na dziewczynę.

Poczułam mdłości, choć wcale nie z głodu. Nigdy nie widziałam, żeby w taki sposób patrzył na matkę czy na inną kobietę. Wyglądał jak dziecko, któremu dano do zjedzenia coś, co najbardziej lubi.

- Namoor, wszystkie twoje córki są piękne, a synowie silni. Twoje trzy żony są płodne. Jesteś szczęśliwym człowiekiem. Mogę tylko żałować, że nie przypadła mi w udziale choć cząstka twojego losu - odparł ojciec.

Gniew rozpałił mi policzki. Jak ojciec mógł zachowywać się tak bezwstydnie?

- Ja - ojciec skinął w moją stronę głową - mogę pokazać ludziom tylko ją. Nie da się stworzyć dużej rodziny, mając jedną chorowitą żonę.

Wyprostowałam się. Zrobiło mi się gorąco, jakby trawił mnie ogień. Jakże chciałam na niego nakrzyczeć, że wprawia mnie w takie zakłopotanie, że tak lekceważąco mówi do tego obcego człowieka o swojej córce i żonie. Poza tym, chcąc nie chcąc, byłam świadkiem ukradkowej wymiany spojrzeń między moim ojcem i tą dziewczyną. Namoor też obserwował tę ich wstrętą grę. Zmrużył lekko oczy, jakby o czymś myślał czy coś kalkulował.

Sulima podała mi czarkę z herbatą, ale jej nie przyjąłem, gniewnie kręcąc głową, choć bardzo chciało mi się pić. W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami i usiadła na poduszce między swoim i moim ojcem. Mój ojciec wypił dużo czarek herbaty i w pewnym momencie wstał. Demonstracyjnie odsunęłam się od ściany, bo sądziłam, że wychodzimy. Ale pokręcił głową i zmierzając do drzwi,

popchnął mnie łokciem pod ścianę. Najwyraźniej szedł na dwór, żeby się załatwić.

Pod jego nieobecność Sulima i Namoor rozmawiali ściszonymi głosami w swoim języku, więc i tak bym nic nie zrozumiała, gdyby nawet mówili głośnie. Ale zachowywali się tak, jakby mnie tam nie było. Po chwili dziewczyna podniosła głos, wyraźnie zła na ojca. Potrząsała swymi długimi włosami i otwarcie się z nim kłóciła. Wymachiwała przy tym pulchnymi rękami, tak że liczne bransolety na jej nadgarstkach nieustannie pobrzękiwały.

Ojciec wymierzył jej policzek, a ona w rewanżu napluła mu w twarz. Pozostałe kobiety i dzieci wciąż stały w ciemnych kątach, nikt jednak nic nie powiedział. Gdy Namoor odwrócił się od tacy, podbiegł do niej jego mały synek, chwycił garść orzechów i uciekł.

Nie potrafiłam oderwać oczu od tego szokującego pokazu wzajemnych stosunków ojca i córki. Ale gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mój ojciec, natychmiast przerwali kłótnię i Sulima uśmiechnęła się do niego czarująco, a Namoor czule poklepał ją po ręce.

- Czy chcesz, żebyśmy teraz załatwili interes? - spytał mojego ojca, który zerknął na mnie, jakby nie wiedział, co ze mną począć. Wówczas Namoor zaproponował: - Chodźmy do czajchany. - Wyjął spod ubrania małą puszkę, otworzył ją i podsunął mojemu ojcu, ale ten pokręcił głową. Wówczas Namoor językiem nabrał z niej porcję naswaru.

Wyszli, zostawiając mnie samą w tej ciemnej zadymionej chacie z kobietami i dziećmi, które nie mówiły w moim języku i nie wierzyły w Allaha.

Nie miałam jednak czasu martwić się o swój los. Gdy tylko drzwi się zamknęły, dzieci rzuciły się na jedzenie pozostałe na talerzach. Wkładały chleb i orzechy do ust brudnymi rękami, odpychając się wzajemnie łokciami i ramionami i bez przerwy się kłócąc. U większości zauważyłam rany wokół ust i splątane włosy. Gdy zjadły, rzuciły się na mnie. Ciągnęły mnie za ubranie i zerwały mi z głowy chustkę, bez przerwy papląc.

- Odejdźcie ode mnie - powiedziałam w końcu, uderzając je lekko po rękach i starając się nie zrobić krzywdy maleństwu, które dreptało chwiejnym krokiem przy moich kolanach.

Nagle stanęła przede mną Sulima. Oparła ręce na krągłych biodrach i warknęła coś w swoim języku. Dzieci odeszły, a słysząc jej dalsze słowa, rozczarowane ukryły się w ciemnych kątach.

- Nauczyłam się języka dari od ojca - oznajmiła.

Nic na to nie powiedziałam, tylko patrzyłam na nią spod przymrużonych powiek.

- Jesteś chuda jak... - zaczęła, obejrzawszy mnie od stóp do głów. Przyłożyła palce po obu stronach głowy, jakby to były sterczące uszy, i lekko poruszyła w górę i w dół ramionami, udając królika.

A ty jesteś gruba jak stara owca, pomyślałam, ale nie zamierzałam z nią rozmawiać. Ściągnęła mi z ramion chustkę.

- Biorę ją - oznajmiła i owijając ją sobie na szyi, dodała: - Jest moja. - Na jej twarzy pojawił się ten sam przebiegły uśmiech, którym raczyła mojego ojca.

- Nie. To moja chustka. Oddaj - powiedziałam i chwyciłam za tkaninę.

Sulima uderzyła mnie w rękę i mocno przytrzymała chustkę.

Ciągnęłyśmy za oba końce, aż podeszła do nas jedna z kobiet, być może matka Sulimy, i zaczęła ją okładać pięściami po plecach. Gdy rozluźniłyśmy chwyt na chustce, kobieta wyrwała ją nam z rąk i zarzuciła sobie na ramiona, mocno zawiązując oba końce na piersiach. Sulima zaczęła zawodzić i uderzyła kobietę w ramię, ale ta ją zignorowała, wzięła na ręce najmniejsze dziecko i wyszła do drugiego pomieszczenia.

Najwyraźniej kobiety i dziewczęta mieszkające w tym domu uznały, że nie mam im już nic więcej do zaoferowania, bo też wyszły - jedno przez otwór drzwiowy zasłonięty kotarą do drugiego pokoju, a inne na dwór. Przez chwilę kręcił się tu tylko może sześciolatek chłopiec, który, zanim wyszedł, wysikał się do ognia. Płomienie cofały się przed strugą moczu, syczały i dymiły.

Gdy zostałam sama, wypłam resztkę zimnej słodkiej herbaty z czarki ojca. Zachowując się jak te brudne dzieci, wzięłam talerz, na którym wcześniej były kromki chleba, i zlizalam z niego resztki miodu. Następnie usiadłam przy drzwiach tego okropnego zadymionego pokoju. Wydawało mi się, że siedzę tam strasznie długo. Słyszałam dochodzące zza kotary głosy kobiet, płacz niemowlęcia, rozdrażnione głosy kłócących się dzieci, brzęk garnków i talerzy. Bez chustki, którą mogłabym zakryć twarz, miałam wrażenie, że jestem

naga. Czekałam na ojca, chcąc, żeby jak najszybciej zabrał mnie do domu, bo czułam się tu okropnie.

Co go tu zwabiło? Jaki prorok wypowiedział jego imię i przyciągnął go na niewidzialnym sznurze do miejsca zamieszkanego przez niewiernych? Nie, to nie mógł być żaden prorok, odpowiedziałam sobie w myślach. To musiał być džinn - zły duch, taki jak ten, który mieszka w ciele Sulimy. Czarowała mojego ojca i była złą kobietą. Dżinn potrafi przyjąć wiele postaci i z pewnością przyjął postać Sulimy.

Czułam się wyczerpana, kiedy o zachodzie słońca wróciliśmy w końcu do domu. To była bardzo męcząca podróż. W ciągu tych kilku godzin, kiedy ja i ojciec milczeliśmy, wciąż powracałam myślami do jego karygodnego zachowania wobec Sulimy. Ale zrobił coś jeszcze bardziej zagadkowego i niepokojącego. Gdy zachodzące słońce spowiło swym blaskiem topole na skraju wsi, a my prowadziliśmy konie, odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem. Długo się tak śmiał, uszczęśliwiony.

- Niech będzie błogosławiony Allah! - krzyknął, a jego głos odbił się echem.

Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni tak otwarcie manifestował radość.

- Pedar? Z czego tak się cieszysz? - spytałam, odzywając się do niego po raz pierwszy od chwili, kiedy opuściliśmy wioskę Kafarów.

W moim głosie był sarkazm, ale ojciec to zignorował i uśmiechnął się szeroko, kręcąc głową. Stawiał długie, sprężyste kroki. Nie chcąc zostać za nim w tyle, musiałam iść bardzo szybko i ciągnąć konia za uzdę. Po dziesięciu godzinach podróży w ciągu jednego dnia moja klacz była tak samo zmęczona jak ja. Gdy zbliżyliśmy się do domu, ojciec zwolnił. Był wyraźnie zaniepokojony. Szarpał brodę i mruczał coś pod nosem, jakby spierał się z kimś niewidzialnym. Wiedziałam dlaczego. Wkrótce miał się spotkać z moją matką.

Była na podwórzu. Niosła kosz siana dla koni. Na nasz widok postawiła go na ziemi, wolno się wyprostowała i uśmiechnęła.

- Miłą mieliście podróż? - zagadnęła. - Jedzenie gotowe. Kosha, upiekłam twój ulubiony chleb z morwami.

Rozczarowało mnie, że znowu stała się taka potulna. Wolałabym dostrzec w jej oczach gniew, tak jak wcześniej. Ojciec bez słowa wszedł do domu, a ja zaprowadziłam konie do wiader z wodą, żeby je

napoić. Matka nadal stała w tym samym miejscu, trzymając w dłoni garść siana i kłując się ostrymi źdźbłami. Czekałam, aż mnie spyta, co się działo. Była tak samo zdenerwowana jak ja. Odwrócona do niej tyłem, wycierałam sierść klaczy miękką szmatką.

Matka nadal się nie poruszyła i nic nie powiedziała. Gdy przeszłam na drugą stronę konia, zerknęłam na nią ponad grzbietem zwierzęcia. Spoglądała na trzymane w dłoni siano, jakby zawierało odpowiedzi na interesujące ją pytania.

- Daryo? - odezwała się w końcu tak cicho, że w pierwszej chwili pomyślałam o szumie morwy, którą potrząsał wiatr.

Zaczęłam czyścić klacz energiczniej.

- Gdzie masz chustkę? - spytała. Wzruszyłam ramionami.

- Zabrały mi ją niegrzeczne dzieci - skłamałam, nie chcąc opowiadać, jak było naprawdę.

- Co robiłaś? Kogo poznałaś? Jacy są ci Kafirowie? Z kim twój ojciec załatwiał interes? - zasypała mnie pytaniami. Zastygłam ze szmatką w ręku.

- Z niemiłym starszym mężczyzną imieniem Namoor. Ojciec zjadł z nim chleb i wypił herbatę, a następnie poszli do czajchany. Zostawił mnie samą w domu Namoor, z mieszkającymi tam kobietami i dziećmi. Wszyscy byli brudni i niegrzeczni, i nie okazali mi gościnności. Nie podobali mi się - odpowiedziałam z rozdrażnieniem, zła na siebie, że ukrywam przed nią prawdę. Pochyliłam głowę i zaczęłam czyścić konia jeszcze mocniej, aż zadowolony naprężył mięśnie.

Matka podeszła i dotknęła mojej ręki.

- Czy spostrzegłaś coś... dziwnego? Czy jest tak, jak się obawiałam? A może okazałam się tak niemądra, że wysłałam cię w tę nieprzyjemną dla ciebie podróż powodowana tylko podejrzeniami zmęczonej żony? - domagała się odpowiedzi.

Patrząc na jej dłoń spoczywającą na mojej ręce, zobaczyłam w wyobraźni dłoń ojca muskającą palce Sulimy. Wiedziałam, że nie wolno mi oszukiwać matki, że nie mogę jej powiedzieć tego, co chciałaby usłyszeć: iż nie ma powodu do zmartwień. Nie musiałam mówić o tym, co widziałam, tylko spojrzeniem przekazałam swój niepokój. Spoglądałyśmy na siebie i czułam z nią więź, jakiej nie znałam nigdy dotąd. Niechęć do matki przeszła mi w jednej chwili,

wyparta przez współczucie; połączył nas wspólny gniew na mojego ojca.

Zrozumiałam, że już dłużej nie wolno mi grać roli krnąbrnej córki. Wciąż czekałam na nadejście nieczystości miesięcznej, która miała uczynić mnie kobietą, ale tego dnia - tak samo jak wtedy, gdy przyczyniłam się do śmierci babci - stałam się znacznie dojrzalsza.

Następne trzy dni upłynęły w pełnym napięcia milczeniu. Ojciec przeważnie siedział na dachu, oglądając wschody i zachody słońca za górami, które były ojczyzną Kafirów. Ja pomagałam matce we wszystkim. Staralam się nie denerwować jej i nie martwić. Ze swym wielkim brzuchem poruszała się powoli. Jej pomarszczona twarz stała się szara.

Czwartej nocy po mojej i ojca wizycie u rodziny Kafirów obudziły mnie głosy rodziców i nagle zapalone światło. Ojciec stał na środku pokoju, nie wiedząc, co ze sobą począć, a matka paliła rutę. Ten ostry zapach przypominał mi poprzednie porody matki. Niestety, ziele nie uchroniło noworodków przed złym urokiem.

- Idź po Yaldę - poleciła mi, podtrzymując rękami brzuch i opierając się ciężko o ścianę.

Zanim wyszłam, pomodliłyśmy się, żeby dziecko urodziło się żywe i było chłopcem.

Pobiegłam ciemnymi uliczkami do domu akuszerki. Drogę oświetlał mi tylko księżyc w pełni. Zapukałam do drzwi i gdy zaspana Yalda mi otworzyła, wydyszałam, że matka rodzi. Akuszerka skinęła głową, przecierając oczy, i zdjęła z haka przy drzwiach dużą płócienną torbę.

Popędziłam do domu, nie będąc w stanie na nią czekać. Była stara i idąc, kołysała się niezdarnie. Nie mogła dotrzeć do nas tak szybko jak ja. Gdy wbiegłam do mieszkania, ojciec właśnie wychodził.

Rozdział V

- Idę na dach. Zawołaj mnie, gdy będzie po wszystkim - polecił mi szorstko. Też niepokoił się o to, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka.

W końcu zjawiała się zaspana Yalda i weszła za zasłonę, oddzielając część sypialną moich rodziców od reszty pokoju. Ja zostałam po drugiej stronie zasłony.

- Niech tu przyjdzie Darya - usłyszałam cichy głos matki. Zrobiło mi się cieplej na duszy; niezamężnym kobietom nie

wolno było asystować przy porodzie. Gdy żyła babcia, to ona pomagała w takiej sytuacji, bo matka nie miała żadnych krewnych w naszej wiosce.

Yalda odchyliła zasłonę i spojrzała na mnie uważnie. Ta życzliwa kobieta była przyjaciółką mojej babci. Jej dłoń i połowę twarzy szpeciły straszne blizny po poparzeniu w młodości. Palce tej dłoni były przykurczone i sztywne, ale wydawało się, że jeśli akuszerka chce, potrafi nimi poruszać. Ja też utkwiałam w niej wzrok, zwracając uwagę na plamistą cerę, pomarszczoną skórę, worki pod oczami i częściowo widoczne dziąsła. Czułam się nieswojo pod jej badawczym spojrzeniem.

- Tak, tak. Ta dziewczyna chętnie pomoże - powiedziała w końcu Yalda.

Nie wiem, co dostrzegła w mojej twarzy, ale byłam jej wdzięczna za te słowa.

- Przynieś zimnej wody w jednej miednicy, żebyśmy mogły umyć ręce, i ciepłej w drugiej - poleciła.

Zrobiłam, co mi kazała, ale najpierw sama umyłam ręce i założyłam włosy za uszy. Rozplotły się, gdy po nią biegłam, i teraz opadały na plecy aż do pasa. Z trudem znosiłam ostry zapach spalonej w kątach ruty, wyteżając wzrok w słabym świetle, jakie rzucały naczynia z olejem z zanurzonymi w nich bawełnianymi knotami. Na podłodze obok łóżka matki Yalda umieściła stos czystych szmat, miednicę z ciepłą wodą, naczynie z solą, drugie z popiołem, toporek, ostry nóż kuchenny i kawałek grubej nici.

Matka jęknęła, wstała z łóżka i przykucnęła na tkaninie rozciągniętej przez akuszerkę na podłodze, stawiając stopy na dwóch płaskich kamieniach również przykrytych tkaniną. Do nóg w kostkach

miała przywiązane amulety pobłogosławione przez mułkę, które nosiła również pod koniec poprzedniej ciąży.

- Daryo, przynieś klarowane masło. Leży przygotowane przy ogniu - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Podalam jej Yaldzie, która skinęła na mnie, abym przytrzymała rodzącą z tyłu. Przycisnęłam się do pleców matki i objęłam ją, by mogła się o mnie oprzeć. Mimo dziecka w łonie wydawała mi się lekka.

Yalda związała matce koszulę nocną i zaczęła okrężnymi ruchami masować jej brzuch zdrową ręką, którą maczała w maśle. Matka zeszywniała. Wydała niegłośny jęk, który zaraz przeszedł w piskliwy, urywany krzyk. Potem zakwiliła i zaszczekała zębami. Zadrżały jej uda. Yalda masowała jej brzuch coraz mocniej, przesuwając dłoń ku dołowi. Kiedy matka krzyknęła po raz drugi, akuszerka uklękła przed nią z bolesnym wysiłkiem i zajrzała między jej uda.

- Anahito, nadszedł czas - oznajmiła.

Matka wydała z siebie nieartykułowany dźwięk i niemal wstrzymała oddech. Kucnęła niżej, napinając mięśnie, i trwała tak w milczeniu.

Yalda sięgnęła obiema dłońmi do jej krocza i wymieniła imiona wszystkich proroków. Podtrzymała wychodzącą z tona matki małą główkę, a po niej ciało oblane wydostającym się wraz z nim z macicy płynem.

- Daryo, trzymaj ją. Nie puszczaj - poleciała mi, gdy matka zaczęła się osuwać na podłogę.

Staralam się z całych sił nie dopuścić, aby upadła na kamienie, na których kucała, i na pobrudzoną krwią i płynem tkaninę. Yalda wciąż klęczała i wdmuchiwała bezwładnemu noworodkowi powietrze do ust, uszu i nosa. Następnie jedną ręką przytrzymała nieruchome niemowlę za kostki główką do góry, a drugą mocno rozmasowała mu plecy, po czym wymierzyła w nie silnego klapsa. Nie widziałam, czy to chłopiec, czy dziewczynka. W końcu noworodek zapłakał. Wówczas Yalda uśmiechnęła się do matki i do mnie. Położyła go na stosie czystych szmat i ucisnęła matce brzuch. Po chwili wyciągnęła z jej łona jakby gruby sznur, połączony z pępkiem dziecka.

- Chronił dziecko w łonie, ale teraz nie jest już potrzebny - stwierdziła i mruknęła pod nosem: - Miłość życia, w imię Allaha.

Gdy matka urodziła ten dziwny zakrwawiony sznur, akuszerka pochyliła się nad swoimi narzędziami i wzięła do ręki nóż kuchenny.

Rozczarowana matka rozplakała się na ten widok.

- Yaldo, nie bierzesz toporka? - spytała.

Wybór noża kuchennego znaczył więc, że urodziła dziewczynkę. Yalda szybko odcięła nim noworodkowi pępowinę i związała pozostawioną część nicią. Pomogłam matce położyć się do łóżka, unikając jej spojrzenia. Dziecko urodziło się żywe. Przynajmniej jedna z naszych modlitw została wysłuchana. A Yalda zachowywała się tak, jakby nie dostrzegała płaczu mojej matki. Posypała brzusek dziewczynki popiołem, zagięła koniuszek pozostawionej pępowiny i obwiązała go czystą szmatką, a następnie z fałdów swej sukni wyjęła maleńką paczuszkę i wsypała jej zawartość do miednicy z wodą, która momentalnie zabarwiła się na czerwono.

- To henna? Zamierzasz ozdobić moją matkę? - zdziwiłam się. Pokręciła głową i podniosła płaczącego noworodka ze stosu czystych szmat. Trzymała go na dłoni, a drugą polewała maleńkie ciało tym ciepłym roztworem.

- To dla ochrony dziecka przed złymi duchami w ciągu pierwszych czterdziestu dni jego życia - wyjaśniła.

Dziecko nagle przestało płakać i zwróciło buzię w stronę Yaldy, wciąż uspokajającej je tą ciepłą kąpielą. Wreszcie akuszerka uznała, że jest czyste, i wytarła je miękką szmatką.

- Podaj mi sól - zwróciła się do mnie. Gdy to zrobiłam, rozsypała ją po ciele dziecka i mruknęła: - To dla uelastycznienia skóry.

Byłam jej wdzięczna za to, że odpowiada na moje pytania. Spodziewałam się, że będzie mnie ignorować, a tymczasem uczyła mnie, jak odbiera się poród.

Zanurzyła palec w torebeczce przytroczonej do pasa i niebieskim proszkiem starannie narysowała dziewczynce linie na powiekach, a następnie mocno owinęła ją dużym płatem białej tkaniny, wyszywanej porcelanowymi oczkami - paciorkami, które miały wielką moc. Również one były niebieskie, bo dzinny bały się tego koloru. Przed tygodniem matka wyjęła tę tkaninę ze skrzyni. Po wykonaniu wszystkich przewidzianych czynności akuszerka podała matce śpiącego noworodka. Ta wzięła go od niej bez słowa. Yalda zaczęła sprzątać swoje rzeczy, a ja uklękłam przy matce i siostrze. Zanim wyszła, dotknęła mojego ramienia.

- Dobrze się spisałaś jak na pierwszy raz - pochwaliła mnie. Spuściłam oczy speszona, bo nie byłam przyzwyczajona do

tego traktowania, a ona wzięła mnie za rękę i długo ją oglądała. Jej zdrowe oko na moment rozbliło. Niestety, nie potrafiłam określić czy z zadowolenia, czy ze zdziwienia. Szybko puściła moją rękę, a ja stałam przed nią, czekając, aż mi zdradzi, co na niej zobaczyła i co pomyślała na temat mojej przyszłości. Gdy otworzyła usta, pochyliłam się lekko w jej stronę.

- Idź do ojca i powiadom go, że urodziła mu się druga córka - powiedziała tylko, czym mnie bardzo rozczerowała.

Trzy dni po urodzinach mojej siostry do domu został wezwany mułła na uroczystość nadania jej imienia. Matka wybrała imię Nasreen, które nosiła jej bliska przyjaciółka z dzieciństwa. Ojciec tylko wzruszył na to ramionami. Imię drugiej córki nie było dla niego ważne.

- Bóg jest wielki! Bóg jest wielki! Jestem świadkiem, że nie ma boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem! Bóg jest wielki! Bóg jest wielki! - szeptał do ucha Nasreen ubrany w białą szatę i turban stary mułła, trzymając moją siostrę na rękach.

Nasza blada matka uśmiechnęła się niepewnie. Ojciec też się uśmiechnął, ale wydawał się strapiony. Wziął swoją drugą córkę na rękę i spoglądał na nią jakby zaskoczony czy niepewny swych uczuć. Był rozczerowany, że nie jest to chłopiec, ale poklepał matkę po głowie i podarował jej cienką bransoletkę z kutego srebra, podobną do tych, które ofiarował kobietom w domu Namoor. Poczulałam taką gorycz, że musiałam się odwrócić, widząc, jak matka promienieje i z dumą wkłada bransoletkę na rękę.

Siódmego dnia po narodzinach Nasreen w domu odbyła się mała uroczystość. Zaprzyjaźnione z nami rodziny przyniosły prezenty. Kobiety przebywały wraz z matką i mną w domu, rozmawiając i śpiewając, a mężczyźni siedzieli z ojcem na podwórzu. To był dobry dzień. Przyjaciółki matki podawały sobie Nasreen, wdychając na jej widok i użalając się nad „biedactwem”. Mojej siostrze nic nie dolegało, ale nie mogły powiedzieć dobrego słowa o jej zdrowiu, żeby ktoś nie rzucił na nią złego uroku. Roześmiały się, gdy Nasreen nagle się rozplakała, jakby rozdrażniona tym całym zamieszaniem wokół jej osoby.

- Ciekawe, czy będzie tak samo uparta jak jej starsza siostra? - zagadnęła Masa, matka Gawhar, uśmiechając się do mnie szeroko. - Zawsze skora do walki?

- Żebyś tylko nie wykrakała - odpowiedziała jej ze śmiechem moja matka.

Pozostałe kobiety też się roześmiały. Odpowiedziałam wymuszonym uśmiechem. Masa to spostrzegła i objęła mnie.

- Daryo, my tylko żartujemy - rzekła uspokajająco. - Co twoja matka by bez ciebie poczęła, nie mając w domu żadnej innej kobiety?

- Oj tak - potwierdziła moja matka, uśmiechając się do mnie czule. - Okazuje mi wielką pomoc, od kiedy przyszła na świat Nasreen.

Odwzajemniłam jej uśmiech. Chciałam wierzyć, że z chwilą, gdy moja siostra urodziła się żywa i zdrowa, będziemy szczęśliwszą rodziną, że ojciec zapomni o Kafirach i o Sulimie. Być może, gdyby zamiast Nasreen urodził się chłopiec... Ale takich rzeczy nigdy nie można przewidzieć.

Dziesięć dni po urodzeniu się mojej siostry ponownie przyszła do nas Yalda i pomogła matce wziąć rytualną kąpiel oczyszczającą. Obserwowałam wszystko, co robiła, zapamiętując jej słowa i nazwy używanych przez nią ziół, patrzyłam, jak delikatnie jej szorstkie dłonie dotykają ciał matki i siostry. Podziwiałam ją.

Gdy wieczorem kładłam się do łóżka w kącie pokoju, ojciec ostrzył kosę, a matka trzymała na rękach śpiącą Nasreen. Wydawała się spokojna. Głaskała maleństwo po plecach i przemawiała kojąco, ilekroć się zakrztusiło czy zaczęło wiercić. Czowała ulgę, że już je urodziła. Była zadowolona, że przynajmniej jest zdrowe, choć ojciec wolałby chłopca. Jeszcze przez trzydzieści dni dzinn mógł zabrać Nasreen życie, ale matka nie wyglądała na zmartwioną. W świetle lampy spostrzegłam, jak całuje główkę dziewczynki.

Sniły mi się konie i zawodzący wiatr. Nagle w jednej chwili usiadłam na łóżku, a do mojej świadomości dotarło, że to nie wiatr, lecz rozdzierający krzyk matki, który mnie obudził. Nie miałam pojęcia, jak długo spałam. W domu było niemal ciemno, bo paliła się tylko jedna lampa, ustawiona na niskim stole pośrodku pokoju. Tam stała moja matka.

Zerwałam się z łóżka i potykając się, podeszłam do niej. Matka krzyczała, jakby ją ktoś zaatakował. Teraz zawtórowała jej płaczem

Nasreen. Przynajmniej jest żywa, pomyślałam o siostrze. Co innego jak nie śmierć córki mogło sprawić, że matka krzyczała tak przeraźliwie, stojąc z opuszczonymi rękami? U jej stóp leżała na poduszkach Nasreen w powijakach, jakby matka ją upuściła. Byłam pewna, że za chwilę przybiegną do nas sąsiedzi, aby sprawdzić, co się tu dzieje. Ojciec stał po drugiej stronie stołu i spoglądał na dywan, na którym leżała duża wypchana torba.

- Co się stało?! O co chodzi?! - krzyknęłam, szarpiąc matkę za rękę.

Po chwili zostawiłam ją i podniosłam z poduszek Nasreen. Przytuliłam siostrę do piersi i pogłaskałam ją po główce. Od razu trochę się uspokoiła.

Spojrzałam na ojca.

- Pedar? Co się stało? - spytałam.

Żadne mi nie odpowiedziało. Znowu szarpnęłam matkę za rękę.

Spojrzała na mnie i zasłoniła usta dłońmi, tłumiąc krzyk. Nagła cisza przyniosła mi ulgę. Ale z oczu matki trysnęły łzy. Wycelowała w ojca drżącą dłoń.

- O co chodzi? O co? - zwróciłam się znowu do niego. Nie odpowiedział, tylko chwycił torbę i wyszedł na dwór.

Rozległo się rzenie wałacha, a po chwili do naszych uszu dotarł tętent galopującego konia. Spojrzałam na matkę. Wyrwała mi z rąk Nasreen, którą ten gwałtowny ruch znowu pobudził do płaczu.

- Jedź! Jedź za nim! Wiesz, dokąd się udał! - ponagliła mnie, strasznie pobladła.

- Ja? Co masz na myśli? Dokąd...

- Jedź - przerwała mi. - Nie traćmy czasu. - Chodziła w kółko po pokoju i poklepywała Nasreen po plecach. - Przedstawił mi swój plan. Powiedział, że już dłużej sama nie dam sobie rady i że twoja pomoc jest niewystarczająca. Odparłam na to... - Zatrzymała się, zacisnęła oczy i sposepniała. - Odparłam, że za kilka miesięcy dojdę do siebie i urodzę następne dziecko, chłopca. Ale on... - Ukłękła i kołysała Nasreen. - Daryo, powstrzymaj go. Wsiądź na Mehry i jedź za nim. Proszę cię. Spraw, aby do niego dotarło, że nie mogę mieszkać razem z... - Przełknęła ślinę i zaczerpnęła tchu. - Mogłabym mieszkać z jego drugą żoną, taką jak ja Tadżyjką, gdyby załatwił wszystko jak należy, zaplanował, ustalił, poddał pod rozwagę, a nie... Nie mogę... - Nie potrafiła dokończyć zdania.

Stałam jak wrośnięta w podłogę.

- Daryo, on wybrał sobie na drugą żonę nie muzułmankę, lecz niewierną, kobietę brudną i leniwą, Kafirkę, która z pewnością nie potrafi nawet ugotować ryżu i upiec chleba - powiedziała w końcu matka i pokręciła głową. - Zabiję się. Nie będę żyła w hańbie, kiedy on przyprowadzi do naszej wioski taką kobietę. Do naszego domu. Powstrzymaj go. - Znowu zaczęła łkać. - Daryo, jedź za nim. Może uda ci się... Może...

- Madar - powiedziałam cicho. - Ja nie mam na niego wpływu. Wiesz o tym.

- Ale ja nie mogę nic nie robić i bez walki dopuścić, żeby to się stało. Gdybym nie była taka słaba, gdybym nie miała maleńkiego dziecka, sama bym za nim pojechała. Ale nie mogę. Daryo, proszę cię - błagała mnie z płaczem.

Nie mogłam jej odmówić, choć w rzeczywistości nigdy nie pojechałaby za moim ojcem, nawet gdyby nie miała Nasreen i była całkiem zdrowa. Wiedziała o tym tak samo dobrze jak ja. Ale wiedziała też, że ja mogę pojechać i zrobię to.

Objęłam ją za szyję i przycisnęłam policzek do jej policzka.

- Pojadę, madar - powiedziałam. Ścisnęła moją dłoń drżącą ręką.

Wybiegłam na dwór. Niestety, klaczy też nie było. Ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie. Zawróciłam w stronę domu, ale nie weszłam tam, bo nie udźwignęłabym cierpienia matki, jej reakcji na wiadomość, że ojciec zabrał oba konie. Oczywiście zabrał Mehry po to, żeby na niej przyjechała do naszego domu Sulima. Pobiegnęłam na podwórze sąsiada.

- Kto tam? - odezwał się śpiący na dachu staruszek, słysząc moje kroki.

- Baba, to ja, Darya. Muszę pożyczyć od was konia - odpowiedziałam.

- Dziecko, ale jeszcze przez godzinę będzie ciemno - przestrzegł mnie i spytał: - Dokąd jedziesz?

Nie odpowiedziałam mu. Zarzuciłam derkę na grzbiet jednej z mniejszych klaczy i wsiadłam. Ruszyłam do Kafiristanu.

Rozdział VI

Drogę oświetlał mi blady księżyc, wiszący nisko nad ziemią. Nie widziałam ojca, ale nie mógł być zbyt daleko przede mną. Często zatrzymywałam swojego małego konia i nasłuchiwałam. Czasami do moich uszu docierał skądś z przodu stukot końskich kopyt uderzających o skalistą ziemię. Drżałam w nocnym zimnym powietrzu. Żałowałam, że wybiegając z domu, nie wzięłam grubszego szala. Gdy wzeszło słońce, pochyliłam głowę i pomodliłam się, nie zsiadając z konia. Byłam pewna, że Allah mi to wybaczy.

Przez całą drogę nie udało mi się dogonić ojca. Księżyc zaszedł, ale zamiast się ocieplać, robiło się coraz zimniej, im dalej zapuszczałam się w góry. Ciemne sosny szumiały, muskając się gałęziami w podmuchach wiatru, ale poza tym panowała cisza. Bałam się, wyobrażając sobie twarze dzinnów łypiących na mnie okiem w leśnej gęstwinie. Modliłam się głośno, jednak mój głos wydawał mi się słaby. Gdy nieoczekiwanie zakrakała gdzieś niewidoczna wrona, aż podskoczyłam na koniu. Przycisnęłam piętami jego boki i pokłusowałam po wilgotnej, pełnej korzeni drodze. Coraz silniejszy wiatr kołysał drzewami. Niebo pociemniało i rozpadał się śnieg. Dojechałam do Wamed w połowie poranka.

Zatrzymałam się przy bocznej ścianie domu z rogami koziorożca, spętałam pożyczonego konia i zostawiłam go obok Mehry i wałacha. Stał tam również spętany stary łękowaty osioł. Na mój widok zaryczał ospale, ukazując żółte zęby, i próbował mnie ugryźć, gdy przechodziłam obok niego do domu Namoor.

Nie bawiąc się w ceremonie, bez pukania otworzyłam drzwi i omal się nie cofnęłam przed falą gorąca i zaduchu. W palenisku na środku pomieszczenia buzował ogień. Dochodził stamtąd smród nieświeżej żywności, moczu i niemytych ciał. W zadymionym wnętrzu na stercie brudnych poduszek spostrzegłam Namoorę i ojca. Gospodarz na wpół leżał, a mój ojciec siedział wyprostowany na honorowym miejscu, najbardziej oddalonym od drzwi. Pomiedzy nimi leżała otwarta torba z końskiego włosia, w której dostrzegłam różne prezenty przywiezione przez mojego ojca.

Szczękałam zębami. Gdy tylko zamknęłam drzwi, zaczęłam zacierać ręce, by rozgrzać zdrtwiałe z zimna palce.

Ojciec spojrzał na mnie i aż otworzył usta.

- Co tu robisz?! - warknął, podchodząc. - Jechałaś za mną?! Wracaj natychmiast do domu! - Po czym dodał cicho: - Przynosisz mi wstyd. - I znowu oświadczył podniesionym głosem: - Zostaniesz ukarana! Surowo ukarana! Wyjdź stąd!

- Posłała mnie za tobą madar - powiedziałam, patrząc mu w oczy. Po co miałam milczeć? Już zapowiedział, że zostanę ukarana. - Pedar, nie...

- Cicho! - ryknął i zamierzył się.

Gdy zasłoniłam się ręką, Namoor zaśmiał się i uderzył pięściami w kolana.

- Twoja pierwsza żona wyprawiła do ciebie posłańca, czyż nie? - skomentował ze śmiechem. - Ale chyba nie z najlepszymi życzeniami? - Ciągłe się śmiejąc, wstał i dodał: - Czuję się pokrzepiony na duszy, że tak samo jak ja nie znosisz bezczelności.

Ojciec opuścił rękę, zerknął na Namoorę i znowu spojrział na mnie. Dostrzegłam w jego oczach coś, co dało mi nadzieję, że moja obecność w tej wstrętnej brudnej chacie może coś odmienić...

- Córko! - wrzasnął Namoor, jakby czując, że musi działać. Gdy zza zasłony natychmiast wyszła Sulima, która najwyraźniej tam czekała, powiedział: - Mam dla ciebie dobrą wiadomość! Czcigodny Tadżyk Kosha przyjechał, żeby pojąć cię za żonę. Czy nie jest to radosny dzień?

Mój ojciec odwrócił się do niej jak latawiec na wietrze. Sulima uśmiechnęła się dyskretnie, spojrziała na niego, zatrzepotała rzęsami i spuściła wzrok. Ojciec oblał się ceglastym rumieńcem. W tym momencie zrozumiałam, że jest zgubiony. Nadzieje mojej matki, że uda się go uodpornić na urok, jaki rzuciła na niego ta dziewczyna, okazały się płonne. A ja? Był ze mnie taki sam pożytek jak z much, które żerowały na oblepionym brudem naczyniu, stojącym w pobliżu moich stóp.

- A więc, przyjacielu, czy udasz się z nową żoną do swego domu, gdy tylko małżeństwo zostanie zawarte? - zwrócił się do mojego ojca Namoor.

- A co z weselem? Z pewnością powinno się odbyć tu, żeby mogli w nim uczestniczyć członkowie rodziny i znajomi panny młodej. Odeślę córkę do domu i poczekam do przygotowania przyjęcia weselnego - powiedział na to mój ojciec, uśmiechając się jowialnie.

W blasku ognia dostrzegłam nad górną wargą Namoorą kropelki potu.

- Ach! - niemal się zachnął. - Mówisz o ceremonii. My nie uznajemy zbyt wielkich ceremonii. Kto dziś uważa, że warto tracić czas i pieniądze na tak pospolite wydarzenie jak zawarcie małżeństwa? My odprawiamy obrzędy z okazji narodzin i śmierci. Ale z powodu ślubu? A pfe! - Z udawanym wstrętem wznosił ręce do góry i pokręcił głową.

Ojciec przestał się uśmiechać. Namoor mrugnął do niego.

- I nie możemy dopuścić, żeby uważała siebie - spojrzał na Sulimę - za zbyt ważną. Podniecające będzie dla niej samo poślubienie Tadżyka i przeniesienie się do jego dalekiego domu. Czy nie tak, córko?

Sulima nadal stała ze spuszczoną głową. Potaknęła, jakby zawstydzona. Udawała tak bezczelnie, że miałam ochotę ją spoliczkować.

- Poza tym nie masz zbyt wiele czasu - ciągnął Namoor, zwracając się do mojego ojca. - W tym roku wcześniej zaczął padać śnieg. W ciągu tygodnia może zasypać przełęcz, a ty z pewnością chcesz zaraz wrócić ze swoją nową żoną do domu. Przygotowanie wesela zajęłoby parę dni. Uważam, że powinniśmy załatwić wszystko tak szybko i prosto, jak to tylko możliwe. Weźmiecie ślub dziś po południu i spędzisz tu noc - znowu mrugnął i uśmiechnął się do mojego ojca, ukazując przebarwione zielonkawę zęby - wcześniej rano wyruszyście do domu.

Poczułam niesmak na myśl o tym, co sugerowało mrugnięcie Namoorą. Przełknęłam ślinę, wyobrażając sobie mojego ojca i Sulimę w miłosnym uścisku. Zapięło mnie w gardle. Spojrzałam na bezczelną, fałszywą twarz tej dziewczyny, na jej gołą głowę, obnażone ręce i tęgą figurę. Nie potrafiłam sobie jej wyobrazić w naszym ciepłym czystym domu, siedzącej przy naszym stole i chodzącej z moim ojcem za zasłonę. Gorycz napłynęła mi do ust. Co będzie z moją matką? Czyżby tak mało miejsca zajmowała w myślach ojca? Usługiwała mu posłusznie i w milczeniu. Urodziła mu pięcioro dzieci - dwoje żyjących i troje martwych - opiekowała się jego matką czule i troskliwie i nigdy nie dała mu powodu do wstydu w naszej wiosce. Wstyd znosił wyłącznie z mojego powodu. A teraz to on przyniesie nam wstyd, a zwłaszcza mojej matce. Nie brałam sobie do

serca tego, co inni myślą o nim - czy o mnie - ale obchodziło mnie, jak traktują moją matkę. Nie chciałam, aby ukrywała się w domu przed ludźmi i bała się pójść do studni po wodę, wiedząc, że inni o niej plotkują.

W Susmar Chord było kilka drugich żon, a chyba nawet jedna trzecia, ale ich mężowie starannie wybrali je sobie w innych tadżyckich wioskach, kierując się rzeczywistą troską o pierwsze żony. Druga żona mogła pomóc pierwszej w pracach domowych, dzieląc się z nią obowiązkami i wspólnie wychowując dzieci. Takie kobiety potrafiły nawet nawiązać przyjaźń. Masa, matka Gawhar, była drugą żoną, ale wraz z pierwszą były jak siostry. Pierwsza była ukochaną ciocią Gawhar; lubiły się i wspomagały wzajemnie. Mężczyzna szanujący swoją żonę nigdy nie postąpiłby tak jak mój ojciec.

Nagle z ciężkim sercem zaczęłam się zastanawiać, czy jestem bardziej podobna do ojca, niż sądziłam. Czy nie postępowałam często bez zastanowienia albo myśląc tylko o sobie i o tym, czego ja chcę? Pokręciłam głową. Nie byłam już dzieckiem, ale nie stałam się jeszcze w pełni dojrzałą kobietą. Mój ojciec natomiast był dojrzałym mężczyzną. Jego zachowania nie dało się niczym usprawiedliwić.

Kiwnął głową w odpowiedzi na słowa Namoor.

- Dobrze, wyjedziemy jutro - zgodził się.

- Wobec tego pójdę porozmawiać z matką Sulimy - oświadczył Namoor. - Ona dopilnuje, żeby dziewczyna miała wszystko, co trzeba. A jeśli chodzi o posag, to będziesz zadowolony. Usiądź, przyjacielu. Jedz i pij, aż wszystko będzie gotowe.

Namoor i Sulima zostawili nas samych. Po chwili do pokoju weszła koścista dziewczynka w krótkiej podartej sukience. Była bosa, nogi miała sine z zimna. Na zniszczonej drewnianej tacy wniosła kopiastą miskę gotowanej kukurydzy, okrągły chleb, miskę stopionego sera i zieloną herbatę w szklance. Gdy wolno i ostrożnie zatrzymała się przy poduszkach, spostrzegłam, że jeden z jej oczodołów wypełnia jakaś kleista substancja. Postawiła tacę na podłodze przed moim ojcem i wyszła.

Ojciec nie patrzył na mnie. Powtarzała się sytuacja z poprzedniej wizyty. On jadł, nie zwracając na mnie uwagi, a ja stałam przy drzwiach głodna i zmartwiona. Umoczył kęs chleba w tłustym serze i włożył go do ust, ale jakoś nie mógł przełknąć. W końcu odwrócił się do mnie, nadal unikając mojego spojrzenia.

- Twoja matka postąpiła niemądrze, wysyłając cię tu - oświadczył. Odchrząknął, jakby jedzenie stanęło mu w gardle, i utkwiał wzrok w jednej z poduszek. - Córka nie powinna się interesować sprawami ojca.

- Mogą ją interesować, jeśli mają wpływ na naszą rodzinę - odparłam, choć wiedziałam, że ojciec nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, że mogę go jeszcze bardziej rozgniewać i że skłonny byłby wysłuchać tylko argumentów syna.

- Wolno mi mieć cztery żony, jeśli mnie na to stać. Nie robię nic złego - powiedział i w końcu na mnie spojrzał. Bronił się, jakby rozmawiał z mężczyzną. - Jeśli jedna żona ci nie wystarczy, weź sobie cztery, mówi Koran. Nie dyskutuje się ze świętą księgą.

- Wiem - odparłam. - Ale wiem także, że o tak delikatnych sprawach jak wzięcie sobie drugiej żony rozmawia się otwarcie, dyskutuje. A w tym wypadku nowa żona nie jest nawet... Ta, którą sobie wybrałaś, nie jest spośród nas. - Przestałam zwracać się do niego „ojcze”, by zaczął traktować mnie nie jak dziewczynę, lecz jak kobietę. - Nie zastanawiasz się, jaki będzie to miało wpływ na moją matkę? Tak mało o niej myślisz? O tym, że ona straci część swojej władzy jako żona na rzecz tej... Kafirki? Jak będzie mogła chodzić po wsi z podniesioną głową? - W myślach dodałam: Czy choć przez chwilę pomyślałaś o tym, że tą swoją decyzją wbijasz między nas klin? Pedar, czy tak mało dla ciebie znaczą? Naprawdę?

- Nie masz prawa wypowiadać swojej opinii - powiedział. - I zepsułaś mi ten dzień. A ślub to radosne wydarzenie.

- A więc jesteś w radosnym nastroju? - spytałam cicho i surowo. - A ja nie widzę na twojej twarzy radości, tylko nieszczęście. Nieszczęście, jakie ściągnąłeś na siebie i swoją rodzinę.

Źle odczytałam wyraz jego twarzy. Nie chodziło o nieszczęście, lecz o gniew, nad którym starał się zapanować. Zerwał się z poduszki, potrącając nogą tacę, na którą rozlała się herbata i rozpuszczony ser.

- Bas! Dość. Masz pojechać do domu - oznajmił szorstko, z napięciem na twarzy. - Wracaj do matki i powiedz jej, żeby przygotowała miejsce dla mojej nowej żony. To wszystko. Rozumiesz?

Jaką siłę mogłam tu okazać? Pomyślałam o słowach babci i o dziwnej minie Yaldy, gdy oglądała moją dłoń. Chyba obie się myliły. Byłam taka, jaką widział mnie ojciec. Byłam bezużyteczną kobietą,

którą można zaledwie tolerować i karać za złe zachowanie. Pociągnęłam za sznur u drzwi, który pełnił funkcję klamki. Drzwi się otworzyły i lodowaty wiatr wepchnął do środka tuman śniegu.

- Chcesz, żebym jechała w czasie burzy śnieżnej? - spytałam ojca.

Nie wiedziałam, czy chcę, żeby się zgodził, czy też żeby się nie zgodził. Z jednej strony pragnęłam, żeby kazał mi jechać, bo nie życzyłam sobie być świadkiem tego, co miało się tu dziać. Z drugiej natomiast tliła się we mnie jeszcze iskierka nadziei, że jeśli zostanę, to może wydarzenia potoczą się nie po ich myśli, ale po mojej. Może się myliłam, sądząc, że ta siła pojawi się we mnie i sama uzewnętrzni. A może zaczynała już przybierać kształt i formę, lecz sama w sobie była bezużyteczna, gdyż wymagała ukierunkowania?

Ojciec wyjrzał na dwór. Poprzez śnieg można było dostrzec tylko wielką bryłę domu naprzeciwko.

- O co chodzi?! - zawołał pogodnie Namoor, wychodząc zza zasłony. - Dziewczyno, zamknij drzwi! Kosha, chyba nie wyślesz córki do domu w taką pogodę?! Każ jej zostać! Niech się zabawi na ślubie! Teraz będziemy spowinowaceni, złączeni ze sobą przez to małżeństwo!

Skrzywiłam się na te słowa, nie dbając o to, że zachowuję się niegrzecznie. Być spowinowacaną z tym odrażającym człowiekiem, z tą straszną rodziną...

Namoor nie zauważył mojej miny albo nic sobie z niej nie robił.

- Chodź, dziewczyno. Usiądź przy ogniu. Każę podać ci coś do zjedzenia - zaproponował.

Ojciec milczał, gdy wysunęłam się przed niego i uklękłam w pobliżu ognia. W końcu usiadł z powrotem na poduszce.

- Namoor ma rację. W takim śniegu trudno będzie znaleźć przełęcz - powiedział. Wziął kawałek chleba i spoglądając nań, dodał: - Pojedziesz do domu jutro ze mną i z Sulimą.

Milczałam.

Znowu na mnie spojrział.

- Daryo... - zawahał się ku mojemu zaskoczeniu - nie będziesz więcej podważać mojej decyzji w sprawie małżeństwa. Już nigdy nie będziesz podważać żadnej mojej decyzji. Nie jesteś dzieckiem. Powinnaś stać się bardziej podobna do matki. Tak jak nie możesz podważać moich decyzji, tak za jakiś czas nie będziesz mogła

podważać decyzji swojego męża. Jeśli nadal będziesz zachowywała się tak jak teraz, nie znajdziesz w życiu zadowolenia. Czekają się tylko samotność i nieszczęście.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Ojciec nigdy nie mówił do mnie w ten sposób, łagodnym, jakby proszącym tonem. Powinnam milczeć, pozwolić, by spróbował być dla mnie miły i wszystko mi wyjaśnił. Ale coś we mnie nie pozwoliło mi tak się zachować.

- Zadowolenia? Takiego, jakie dziś dajesz mojej matce? Czy posłuszeństwo nie przyniosło jej samotności i nieszczęścia? - powiedziała niemal szeptem i dodałam podniesionym głosem: - Nie, ona zawdzięcza to nie swojemu zachowaniu, lecz tobie. To ty jesteś przyczyną jej nieszczęścia.

Oczywiście zareagował tak, jak się spodziewałam. Wymierzył mi policzek, nie tak silny, żebym upadła, ale i tak zraniłam sobie wargę od środka.. Teraz myślał o mnie tak jak zawsze, jako o bezczelnej i niegodziwej córce, która nie przestanie go rozczarowywać, dopóki będzie mieszkać z nim pod jednym dachem.

W ciągu godziny w Wamed przekazano wszystkim wiadomość o ślubie. W śnieżnej zadymce udałam się z ojcem do czajchany, przed którą zebrała się chyba większość mieszkańców wioski, ciekawych ślubu Sulimy z Tadżykiem Koshą. Na szczęście wiatr zaczął tracić siłę i gdy czekałam z ojcem na szerokich drewnianych schodach, ucichł, a niebo się przejaśniło. Wkrótce na zgromadzonych przed herbaciarnią prószył tylko rzadki drobny śnieżek.

Ojciec kazał mi usunąć się na bok i usiąść na zimnym wilgotnym stopniu. Przykucnęłam, owinięta po oczy szalem, i obserwowałam mieszkańców wioski. Mężczyźni mieli na sobie szare, ciężkie, wełniane koszule i wełniane obcisłe rajtuzy, a na to spodnie do kolan. Niektórzy nosili zatknięte za pas sztylety w pięknych pochwach z kutego srebra, ozdobionych symbolem ryby. Wyróżniały się też rękojeści w kształcie półksiężyca, z głową i ogonem ryby. Pomimo zimna byli boso. Ich stopy znaczyły liczne blizny i brakowało im niektórych palców. Mieli ogolone głowy, z wyjątkiem jednego długiego kosmyka na karku. Niektórzy nosili kapelusze o płaskich denkach.

W przeciwieństwie do nich mój ojciec wyglądał na człowieka, któremu się dobrze powodzi. Z okazji ślubu włożył swoje najlepsze ubranie. Wprawdzie miał na sobie spodnie do konnej jazdy, ale

wypuścił na nie luźną śnieżnobiałą koszulę do kolan, którą matka utrzymywała w doskonałym stanie, bez jednej plamki. Na koszulę włożył kamizelkę, w zeszłym roku pieczołowicie wyhaftowaną przez matkę w różnobarwne wzory. Czułam dziwny ból na myśl o pracy, jaką wkładała, żeby ubrania ojca prezentowały się pięknie, i o dumie, jaką czerpała z tego, że tak dba o jego wygląd. Zdjął z głowy swój biały longi i włożył nową, pięknie ozdobioną kolah, okrągłą czapkę misternie utkaną ze srebrnych i złotych nici. Takie nakrycie głowy można było kupić na bazarach w dalekim Kandaharze. Wcześniej ojciec włożył ją tylko raz, kilka dni temu, na uroczystość z okazji narodzin Nasreen. Na myśl o tym, że nosił ją w dniu, kiedy matka była taka szczęśliwa, i dziś, mój gniew przytłumiło cierpienie. Teraz już nie martwiłam się tym, co ojciec za chwilę zrobi, lecz tym, co się stanie, gdy wrócimy do domu.

Próbowałam odsunąć myśli o matce, obserwując zgromadzone przed czajchaną kobiety. Miały długie suknie w jasnych barwach. Łatwo było odróżnić wśród nich bari od kobiet wolnych po liczbie sznurów muszelek kauri zdobiących ich stroje. Najwyraźniej muszelki te stanowiły w Wamed środek płatniczy lub miały tam wielkie znaczenie. Kobiety bowiem, u których naliczyłam najwięcej sznurów, stały z przodu. Wszystkie miały odkryte głowy i, tak jak mężczyźni, bose stopy. Rozmawiały głośno, śmiały się i rozpychały. Zdawało się, że nie krępuje ich obecność mężczyzn. Gapiły się na mojego ojca - i na mnie - gadając i pokazując nas palcami. Bardzo żałowałam, że nie rozumiem ich języka. Czułam, że podziwiają piękny strój mojego ojca. Co myślały na mój temat, nigdy się nie dowiem, ale najwyraźniej niektóre dostrzegły we mnie coś komicznego.

W końcu zjawiała się panna młoda w towarzystwie trzech starszych od niej kobiet. Miała na sobie jasnoczerwoną suknię do pół łydki, z krótkimi rękawami. Jej pulchne ręce były zaczerwienione z zimna. Spod tej sukni wystawała biała spódnica, brudna i poszarzała, ozdobiona pasem czerwonego materiału, a spod niej czerwone spodnie. Jak wszyscy tu Sulima była boso. Jej ręce zdobiły liczne ciężkie bransolety z mosiądzu, a gęste ciemne włosy beżowy kapelusik pokryty muszelkami kauri.

Gdy wchodziła na schody, aby stanąć obok mojego ojca, w tłumie powstało drobne zamieszanie. Zawołał ją po imieniu młodzieniec, któremu brakowało górnego kła. Stojący obok niego mężczyźni

zwrócili mu ostrym tonem uwagę, a jeden uderzył go w głowę, strącając na ziemię kapelusz. Gdy Sulima odwróciła się i spojrzała na młodzieńca, a on na nią, od razu wiedziałam, że coś ich łączyło. Ale ona tylko uśmiechnęła się przebiegle, czym absolutnie mnie nie zaskoczyła, i ruszyła do mojego ojca. Nie wiem, czy on też domyślił się tego co ja. Sądzę jednak, że za bardzo mu się podobała ta obca śmiała młoda kobieta i perspektywa życia z nią, żeby przejmował się tym, co robiła w przeszłości.

Gdy Sulima stanęła obok niego, z tłumu wyszedł chwiejnym krokiem mężczyzna o strasznie pałakowatych nogach. Nie dało się określić jego wieku, ale miał oczy starego człowieka. Namoor pomógł mu wejść po śliskich schodach. Ów mężczyzna podszedł do mojego ojca i Sulimy i drżącymi rękami złączył ich dłonie, a trzymając je, nisko pokłonił się nowożeńcom. Następnie uniósł głowę i powiedział ostrym cienkim głosem jedno słowo. Gdy Sulima potaknęła, wymamrotał kilka zdań, na które odpowiedziała jednym słowem. Wówczas odwrócił się do mojego ojca i wypowiedział to samo słowo, spojrzał na niego i odwrócił się do Namoora, którego, jak mi się zdawało, o coś spytał. Słyszając odpowiedź ojca panny młodej, roześmiał się nieprzyjemnie, jakby płukał gardło, i wymamrotał kilka zdań. Zapanowało milczenie. Sulima trąciła mojego ojca łokciem i wymówiła słowo, którego oczekiwał udzielający ślubu. Ojciec powtórzył je za nią. Wówczas człowiek ów potaknął i opuścił ich ręce. Odwrócił się do Namoora. Odbiło mu się, ale jakby nigdy nic wyciągnął rękę do ojca Sulimy, a ten zacisnął usta i położył mu na dłoni kilka monet.

Zapadła krępująca cisza. Ojciec przestępował z nogi na nogę. Ludzie zrozumieli, że nie zostaną zaproszeni nawet na herbatę, i zaczęli się rozchodzić. Młodzieniec bez zęba spoglądał na Sulimę posepnym wzrokiem, a ona, widząc to, wyniośle podrzuciła głowę. Muszelki na jej kapelusiku poruszyły się i zagrzechotały. Namoor klepnął mojego ojca w plecy i cmoknął go zaślinionymi ustami w oba policzki. Kobiety z rodziny Sulimy szczebiotały i śmiały się.

- Chodź, zięciu - zwrócił się do mojego ojca Namoor. - Napijemy się herbaty. Twoja nowa żona spakuje się, pożegna z matką i innymi, a później przyjdzie tu do ciebie.

- Tu? Do czajchany? U was wolno kobietom bywać w czajchanie? - zdziwił się mój ojciec.

Namoor wzruszył ramionami.

- Oczywiście, z tej szczególnej okazji. Spędzicie tu noc. Dzięki temu nikt nie będzie zakłócał wam spokoju. - Z szerokim uśmiechem walnął swego nowego zięcia w ramię.

Spuściłam głowę i wpatrywałam się w swoje dłonie, zaczerwienione z zimna. Poczułam się bardzo zawstydzona tym, że będę świadkiem nocy poślubnej ojca.

Unikał mojego spojrzenia, choć śledziłam go wzrokiem. Zakryłam twarz szalem, pozostawiając odsłonięte tylko oczy. Weszliśmy we troje do czajchany, gdzie mój ojciec miał czekać na swoją nową żonę. Herbaciarnia była brudna i zimna, choć w stojącym pośrodku koksownika palił się niewielki ogień. Światło wpadało tu przez dwa maleńkie otwarte okienka u góry. Rozglądając się po wnętrzu, z przerażeniem dostrzegłam w jednym z ciemnych kątów dużą drewnianą głowę wielkości niewysokiego człowieka, o prymitywnie wyrzeźbionej twarzy. Wydawało mi się, że na mnie patrzy. Natychmiast odwróciłam się plecami do tego bluźnierczego bożka.

Chłopiec przyniósł ojcu i Namoorowi herbatę na tacy. Namoor kazał mu podać herbatę również mnie. Szybko wypłam czarke gorącego słodkiego płynu i gdy chłopiec znowu przechodził obok mnie, wyciągnęłam rękę z pustą czarką i skinęłam głową. Burknął coś z irytacją, ale przyniósł mi następną czarke herbaty. Panująca tu cisza sprawiła mi ulgę, a herbata mnie rozgrzała. Zrobiłam się senna. W domu Namoorą zdołałam przełknąć zaledwie kilka kęsów suchego chleba, który podano mi na tacy, bo ze zdenerwowania nie mogłam jeść. Teraz oparłam się na poduszkach, wyczerpana długą jazdą i koszmarnymi wydarzeniami tego dnia. Nie osiągnęłam tego, o co tak rozpaczliwie zabiegała moja matka. Gdy wrócimy z ojcem do domu, będę musiała spojrzeć jej w twarz i zobaczyć, jak jest zdruzgotana. Zamknęłam oczy, by zasnąć i choć na chwilę pozbyć się ponurych myśli.

Coś mnie obudziło, jakiś dźwięk. Otworzyłam oczy, drżąc z zimna w ciemności, przerażona, że jestem sama w tym obcym miejscu, obok głowy wstrętnego bożka. Dostrzegłam na ścianach dwie jasne wąskie plamy i uświadomiłam sobie, że to okna czajchany. Znowu usłyszałam ten dźwięk. Wiedziałam już, że nie jestem sama i że to on mnie obudził. To był chichot Sulimy, cichy i ukradkowy.

Dochodził z drugiej strony herbaciarni. Towarzyszył mu szelest ubrania. Nagle usłyszałam jęk ojca. Zatktałam sobie uszy i zacisnęłam powieki. Ale po chwili wolno zdjęłam dłonie z uszu. Sulima mówiła szybko szeptem, czegoś się domagając. Nie rozumiałam jej słów, ale pewność siebie i naleganie w jej głosie, gdy zwracała się do mojego ojca, uzmysłowiły mi, że to, co z nim teraz robi, jest jej dobrze znane.

Czy ojciec nie pomyślał o tym samym? Ale zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, wydał odgłos, który mógł być śmiechem lub łkaniem, i Sulima znowu zachichotała. Rozległ się miarowy rytm i wiedziałam już, że nie chcę tego słuchać. Odwróciłam się do ściany, zakryłam głowę poduszką i nuciłam pod nosem, żeby do moich uszu nie docierały odgłosy tego, co działo się po drugiej stronie herbaciarni.

Rozdział VII

Gdy następnego dnia wyruszyliśmy do domu, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, niż mogłam się spodziewać w ten szary ponury poranek.

Dosiadłam klaczy sąsiadów, a ojciec pomógł wsiąść Sulimie na wałacha, co mnie zdziwiło, bo był to wysoki narowisty koń. Czy nie powinna jechać na Mehry? Ale ojciec też wskoczył na wałacha i usiadł z tyłu za swą nową żoną. Spojrzałam na niego i na Mehry, i zsiadłam z pożyczonej klaczy. Rozzłościłam się jeszcze bardziej na myśl, że będzie tak jechał, bo chce być bliżej Sulimy. Ale gdy chciałam rozpętać Mehry, powstrzymał mnie.

- Co ty robisz?! - zawołał.

- Pojadę na niej, prowadząc małą klacz - odparłam.

- Nie. Zostaw Mehry tam, gdzie jest - rozkazał i bez słowa wyjaśnienia wyjechał za wąską bramę.

Wtedy zrozumiałam. Oprócz upominków, które przywiózł dla kobiet Namoor, dał mu konia jako zapłatę za żonę.

- Nie! - krzyknęłam za ojcem. - Nie oddawaj Mehry! Proszę cię, pedar! - Nie odwrócił się, więc znowu krzyknęłam: - Pedar! - Objęłam Mehry za szyję.

Spłoszyła się lekko, a na mój krzyk z domu wyszedł Namoor.

- Odejdź od niej - powiedział ostro i spojrzał na mnie z niechęcią. Jego wczorajsze przyjazne zachowanie gdzieś się ulotniło. - Należy teraz do mnie. Idź swoją drogą. Nic tu po tobie. - Podszedł do mnie. Był tego samego wzrostu co ja, czego wcześniej nie zauważyłam.

- Pójdę, gdy pożegnam się z moim koniem. Z moim koniem - powtórzyłam z naciskiem.

Miałam nadzieję, że gniew w moim głosie odwróci uwagę ojca Sulimy od łez, które napłynęły mi do oczu. Stałam tyłem i przytuliłam twarz do miękkiej grzywy klaczy.

Czy Mehry będzie tu miała pod dostatkiem jedzenia? Czy w najzimniejsze dni ktoś okryje ją ciepłą derką? Czy będzie czyścić jej sierść? Czy da jej do jedzenia morele, które bardzo lubiła? Właściwie znałam odpowiedzi na te pytania, biorąc pod uwagę wygląd dzieci Namoor i stan jego osła. Ogarnął mnie taki smutek, że rozplakałam się, oparta o bok konia. Nie obchodziło mnie już, że ten nieprzyjemny człowiek jest tego świadkiem. Szeptalam tuż przy jedwabistej sierści Mehry, że zawsze ją kochałam i będę kochać, że jest mi przykro z

powodu tego, co się stało, i że gdybym mogła, wykradłabym ją stąd. Czułam, że ona rozumie mój smutek, bo znieruchomiała, spuściła łeb i nastawiła uszu, co odrobinę mnie pocieszyło. Przestałam płakać, pocałowałam ją w jedwabiste chrapy i wsiadłam na pożyczoną klacz. Nie oglądając się, odjechałam z Wamed z nadzieją, że już nigdy więcej tu nie przyjadę.

Było zimno, ale pięknie. Śnieg już nie padał. W zależności od tego, jak biegła ścieżka, promienie słońca przeświecały przez korony drzew i śnieg skrzył się oślepiającym blaskiem lub pogrążał w cieniu. Czasami aż musiałam przecierać oczy. Jechałam daleko za ojcem i Sulimą, nie chcąc słyszeć, jak rozmawiają, i patrzeć, jak się dotykają.

Gdy opuściliśmy las i wjechaliśmy do doliny, nie zobaczyłam ani odrobiny śniegu. Było tu znacznie cieplej niż w górach. Ale ja nie mogłam się rozgrzać, ani na ciele, ani na duszy. Nie potrafiłam myśleć o pozostawionej w Wamed Mehry, bo czułam, że jakoś ją zawiodłam. Nie potrafiłam też wyobrazić sobie twarzy matki, gdy wszyscy troje przyjedziemy do domu. Byłam jedyną nadzieją tej strapionej kobiety i wyglądało na to, że ja też ją zawiodłam.

Gdy w oddali ukazał się znajomy widok Susmar Chord, ojciec zatrzymał konia i w końcu zrównałam się z nim. Zsiadł i pomógł zsiąść Sulimie, przytrzymując ją w talii. W dolinie było naprawdę ciepło i bezwietrznie, więc niecierpliwie strząsnęła z ramion koc, którym się owinęła, gdy przejeżdżaliśmy przez pokrytą śniegiem przełęcz. Nadal miała na sobie czerwoną ślubną suknię, eksponującą jej krągłe kształty. Moja suknia była natomiast taka jak wszystkich kobiet z naszej wioski: długa do kostek i luźna, z rękawami po nadgarstki. Sulima nie dość, że miała odkrytą głowę, to jej włosy były rozpuszczone i splątane, nawet niezaplecione w warkocz czy związane z tyłu. Kosmyki przylepiały się do jej spoconego czoła i skroni. Z dala od kobiet z Wamed wydawała się niemal naga. Wstydziałam się za nią. Zastanawiałam się, czy ojciec też się za nią wstydzi. Z pewnością powinien.

Odwiązał przytroczoną do siodła płaską butelkę, z której napiła się najpierw Sulima, a następnie on. Już zaczął z powrotem przywiązywać butelkę do siodła, kiedy przypomniał sobie o mnie i spojrzał pytająco.

Chciało mi się pić, ale pokręciłam głową. Nie mogłam dotknąć ustami tej butelki, bo wcześniej dotykała jej Sulima.

Zwolniliśmy, dojeżdżając do domu. Na jego widok coś we mnie odtajało. Ojciec wskazał dłonią zabudowania i powiedział coś do Sulimy. Ta spojrzała nań przez ramię z nachmurzoną miną i chyba o coś zapytała. Oczy o migdałowym wykroju miała mocno podkreślone kohlem. Gdy ojciec potaknął, odrzuciła głowę do tyłu, jakby poirytowana.

W drzwiach stanęła matka z Nasreen na rękach. Miała minę, której się nie spodziewałam. Przez cały czas przygotowywałam się na to, iż zobaczę na jej twarzy przerażenie i rozczarowanie tym, że nie potrafiłam powstrzymać ojca. Sądziłam, że zacznie przeraźliwie krzyczeć lub łkać. Tymczasem jej twarz była nieruchoma i zacięta. Matka nie uroniła nawet jednej łzy. Świadczyło to o sile jej gniewu. Na ten widok poczułam jakieś posępne zadowolenie. Matka tylko zerknęła na ojca, otwarcie przyjrzała się Sulimie, odwróciła się i weszła do domu.

Odprowadziłam klacz do zagrody sąsiada, ciesząc się, że mam powód, aby nie wejść do domu razem z ojcem i Sulimą. Gdy wytarłam i napoiłam konia, przyszła do mnie gospodyni Hasti. Nie pytała, dlaczego zabrałam ich konia i znikłam z nim gdzieś na dwa dni. Milczała i unikała mojego spojrzenia, tak samo jak ja jej. Znaczyło to, że matka opowiedziała jej o tej wstydlivej sytuacji. W naszej wiosce nigdy jeszcze nie było Kafirki. A teraz Kafirka Sulima miała być sąsiadką Hasti.

Nie mogłam dłużej zwlekać z powrotem do domu. Zanim podeszłam do drzwi, usłyszałam płacz Nasreen. W środku zobaczyłam matkę stojącą przy moim łóżku, a na nim niemowlę, które żałośnie zawodziło. Spodziewałam się, że matka będzie zrozpaczona, ale i tym razem mnie zaskoczyła, bo wydawała się spokojna. Stała wyprostowana i najwyraźniej panowała nad sobą. Nic z tego nie rozumiałam. Gdzie znikła ta słaba, zapłakana kobieta, którą znałam? Sulima krążyła po domu, z bezczelną miną oglądając jego proste wyposażenie. Ojciec spoglądał to na nią, to na matkę, najwyraźniej nie wiedząc, jak sobie poradzić z sytuacją. Na mój widok chyba poczuł ulgę. Podeszedł do mnie.

- Daryo, powinnaś pomóc Sulimie przyzwycząić się do naszego trybu życia. Jest bliższa wiekiem tobie niż twojej matce, której całą energię pochłania opieka nad dzieckiem. Wypada, żebyś to ty pokazała Sulimie... - mówił głośno, aby przekrzyczeć płacz Nasreen,

lecz nagle urwał, jakby nie był pewien, co właściwie powinnam pokazać jego nowej żonie.

Wiedziałam teraz, że mimo całej swojej arogancji, znalazłszy się we własnym otoczeniu, poczuł wielką niestosowność swego postępu. Tu było to oczywiste, tak jak nie było w dziwnym, obcym domu i wiosce Kafirów. Zastanawiałam się, czy zapomniał także o nocy, którą spędził z Sulimą.

- Dlaczego to dziecko płacze?! Anahito, nie możesz go uciszyć?!
- krzyknął po chwili.

Matka pochyliła się z wdziękiem i podniosła z łóżka Nasreen, której płacz przeszedł w czkawkę.

- Herbaty. Napijemy się teraz herbaty. Przejechaliśmy szmat drogi - powiedział ojciec do matki.

Wydawało się, że go nie słyszy. Spojrzała na mnie i z dzieckiem na ręku przeszła obok niego i Sulimy.

- Chodź, Daryo. Odwiedzimy Yaldę - zaproponowała spokojnie.
Ojciec zastąpił jej drogę.

- Robi się późno. Prosiłem o herbatę. I nie przygotowałaś posiłku. Nie wypada...

Matka okrążyła go wolno, jakby był krzewem lub skałą.

- Niech nowa żona przygotuje ci coś do jedzenia i picia. Daryo, chodź. - Spojrzała na mnie z zaciętą miną, której u niej dotychczas nie widziałam.

- Daryo! Nie pójdziesz z matką! Przygotujesz dla nas posiłek! - rozdarł się ojciec, gdy ruszyłam do drzwi.

Zatrzymałam się, spoglądając to na niego, to na matkę, ale ona wyciągnęła do mnie rękę.

- Chodź, Daryo - powtórzyła cichym głosem. - Twój ojciec ma kobietę, która się o niego zatroszczy. Nie musimy się o niego martwić.

Zrobiłam głęboki wdech, podeszłam do matki i wzięłam ją za rękę. Trzymając jej ciepłą i suchą dłoń, co nie zdarzyło się od lat, poczułam się młodsza - a zarazem starsza - niż byłam. W napięciu czekałam na odgłos stóp ojca, przygotowana na to, że odciągnie mnie od matki i uderzy. Ale nic nie usłyszałam.

Gdy wychodziłyśmy z domu, nie mogłam się powstrzymać i zerknęłam przez ramię. Musiałam zobaczyć minę ojca. Stał z otwartymi ustami, lecz nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. A obok niego stała nadasana Sulima z rękami skrzyżowanymi na

piersiach. Przepęłniła mnie wielka miłość do matki. Nigdy dotychczas nie czułam jej tak mocno. I duma. I zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie odziedziczyłam po niej siły charakteru, o którą nigdy jej nie podejrzewałam. Może matka też nie uświadamiała sobie, że ją posiada?

Kilka kroków od domu matka zatrzymała się i bez słowa podała mi Nasreen. Naciągnęła szal na twarz i wyprzedziła mnie. Widząc, jak trzęsą się jej ramiona, domyśliłam się, że płacze. Zdołała zachować godność w obecności ojca i Sulimy, ale teraz było widać, ile wysiłku ją to kosztowało.

Weszliśmy do domu Yaldy i matka z płaczem opowiedziała jej całą wstydliwą historię. Poczciwa kobieta usiadła przy niej i okrężnymi ruchami masowała jej plecy, jak matka mojej siostrze, gdy chciała ją uspokoić. Potem otarła jej łzy swoją dużą dłonią. Przy niej rezerwa matki stopniała jak воск. Najwyraźniej Yalda zastępowała jej własną matkę.

- Dom, w którym jest wiele kobiet, przypomina statek w czasie sztormu. Ale sztorm się skończy, Anahito. Z czasem się skończy - pocieszała moją matkę.

W drzwiach stanął syn akuszerki, mężczyzna starszy od mojego ojca. Ja i matka natychmiast zakryłyśmy twarze.

- Idź do czajchany - nakazała mu Yalda. Natychmiast się wycofał, najwyraźniej nie chcąc mieć do czynienia z kobietami roztrząsającymi swoje sprawy.

Nasreen wierciła się na moich rękach. W końcu odwróciła główkę w stronę mojej sukienki i chwyciła buzią. Podałam ją matce.

- Mała jest głodna - powiedziała Yalda i wstała powoli. - My też - dodała, patrząc na mnie.

Pomogłam jej zaparzyć herbatę i ugotować pilaw. Gdy poczułam zmieszane aromaty ryżu, koźliny, suszonych moreli, morw i orzechów włoskich, pociekła mi ślinka. Od wczoraj nie miałam w ustach nic poza kilkoma kęsami chleba i dwoma kubkami słodkiej herbaty w czajchanie w Kafiristanie. Dopiero teraz, mieszając pilaw drewnianą łyżką, zdałam sobie sprawę, że ledwie stoję na nogach i boli mnie głowa.

Gdy wraz z akuszerką krzątałam się przy ogniu, matka przestała płakać i zaczęła karmić Nasreen piersią. Po jakimś czasie Yalda podała herbatę i pilaw. Staralam się jeść wolno, ale gdy nabierałam

ryż na łyżkę, tak kręciło mi się w głowie, że spora jego część spadła mi na kolana.

Po posiłku akuszerka zatarła ręce, jakby otrzepywała je z kurzu.

- A teraz, Anahito, wracaj do domu i trzymaj głowę wysoko. Nigdy nie zapominaj, że jesteś pierwszą żoną. Liczysz się. Ale uważaj. Nie dopuść do tego, żeby Kafirka rzuciła na ciebie zły urok. Zawsze pamiętaj, że Allah jest potężniejszy od dżinna - pouczyła moją matkę.

Matka potaknęła, a ja za nią.

Teraz wszystko w domu się zmieniło. Matka spała ze mną i kładła obok siebie Nasreen, a ojciec z Sulimą za zasłoną. Zastanawiałam się, jak matka znosi dobiegający stamtąd cichy chichot drugiej żony i szepty. Czasami płakała w nocy. Wtedy ją obejmowałam, a ona tuliła się do mnie jak wcześniej do Yaldy. W takich chwilach wydawało mi się, że jestem większa, a moje ręce są silne i pewne. Kiedyś, gdy rano rozwieszaliśmy pranie na rosnących na naszym podwórzu krzewach, spostrzegłam, że jestem wyższa od matki. Ucieszyło mnie to.

Sulima i moja matka nie rozmawiały ze sobą. Ja pośredniczyłam między nimi, gdy jedna chciała coś powiedzieć drugiej. Czasami czułam się jak środkowy paciorek na sznurku, przesuwany z obu stron. Nienawidziłam Kafirki za to, co zrobiła naszej rodzinie, zostając drugą żoną mojego ojca. Ona też mnie nienawidziła. To było jasne. Czasami bez powodu szczypała mnie lub podstawiała mi nogę. Mogłam się wtedy przekonać, że wychowała się w atmosferze okrucieństwa, a poza tym była nieprzyjemna z natury. A może jej nienawiść brała się z tego, że dostrzegła we mnie sprzymierzeńca mojej matki i wiedziała, że gdyby nie ja, miałyby w domu większą władzę?

Przynajmniej na początku ukrywała przed ojcem swoje złośliwe usposobienie. Uśmiechała się do niego uroczo, gdy na nią spojrzał, śmiała się niby wstydliwie ze wszystkiego, co powiedział, i dotykała go przy obcych, głaszcząc po ręce czy przyciągając jego dłoń do swojego policzka. A on, mile połechtany takim zachowaniem, które dla mnie było niesmaczne, kroczył po domu dumnym krokiem jak kogut wśród gdaczących kur.

Było mi trudno ustrzec się nienawiści również w stosunku do niego, gdy dostrzegałam głupotę ich obojga i przyjemność, jaką ojciec czerpał z życia, które sobie stworzył. Tej zimy po raz pierwszy nie

pojechał do pracy do Kabulu, lecz co rano po śniadaniu wychodził do czajchany, gdzie spędzał cały dzień na rozmowach i popijaniu herbaty z mężczyznami, którzy, tak jak on, zostali w wiosce. Wróciwszy do domu na wieczorny posiłek, siadał na poduszkach jak król, otoczony przez swoje kobiety - dwie żony i dwie córki. Kilka razy poczułam się nieprzyjemnie, słysząc imię Namoor.

Sulima zawsze wcześniej kładła się do łóżka. Chwytała ojca za ręce i ciągnęła go za zasłonę, spoglądając na moją matkę spod przymkniętych powiek, jakby z niej szydziła. On czekał tylko na to, aż ja i matka z Nasreen położymy się spać. Wówczas gasił lampę i szedł do swojej nowej kobiety.

Jako druga żona Sulima miała pomagać mojej matce w wykonywaniu obowiązków domowych, ale dała jasno do zrozumienia, że nie zamierza pracować. Po kilku pierwszych próbach zaniechałam uczenia jej, jak piecze się chleb czy gotuje pilaw, jak sprząta się dom, pierze ubrania i pościel. Właśnie przy takich okazjach próbowała się nade mną znęcać. Wołałam trzymać się od niej z daleka nie tylko dla uniknięcia bolesnych kuksańców, lecz również dlatego, że nie chciałam wachać potu jej niedomytego ciała i zapachu przetłuszczonych włosów. Zastanawiałam się, dlaczego ojciec nie zwraca uwagi na ten odór, ale była to sprawa zbyt osobista, żeby ją podnosić w rozmowie z matką. Sulima w ogóle nie zauważała Nasreen. Nigdy nie wzięła jej na ręce i nawet na nią nie spojrzała.

Interesowało ją tylko jedzenie, długie popołudniowe drzemki i to, co robiła z moim ojcem za zasłoną. Dużo czasu spędzała na malowaniu oczu kohlem i ust karminem oraz na przymierzaniu biżuterii, której dużo przywiozła z Wamed jako swój posąg. Ciągle przeglądała się w niedużym lustrze, które również ze sobą zabrała. Oczywiście nie chodziła z nami do meczetu, bo była niewierna. Nie chciała także przebywać w towarzystwie kobiet z naszej wioski. Gdy licznie odwiedzały moją matkę w pierwszych tygodniach po zjawieniu się w naszym domu Sulimy, żeby obejrzeć nową dziwną żonę Koshy, Kafirka udawała, że nie rozumie, co mówią, i zachowywała się obojętnie.

Ale była bystra. Słuchała moich rozmów z matką i jej znajomość języka dari szybko się poprawiała. Czasami słyszałam, jak w tym języku rozmawia w nocy z ojcem, i byłam zaskoczona, jak sprawnie się nim posługuje. Martwiło mnie, że ukrywa przed mężem bystrość

swego umysłu i nieprzyjemne cechy charakteru. Wolałabym, aby rzeczywiście nie rozumiała tego, co mówiły do niej kobiety z wioski, i naprawdę była bezużyteczna, zamiast udawać, że nic nie umie robić.

Gdy wychodziła z domu, musiała na życzenie ojca wkładać na głowę chustkę i zakrywać dolną część twarzy. Za pierwszym razem, gdy ją o tym pouczył, kłóciła się z nim i odmówiła noszenia zasłony. Wówczas uderzył ją w twarz. Gdy bez wahania zrewanżowała się tym samym, ja i matka z przerażenia straciłyśmy oddech. Ojciec chwycił Sulimę za nadgarstek, spojrzał na nią spod zmrużonych powiek i dziwnie się uśmiechnął, jakby nieposłuszeństwo tej kobiety w jakiś sposób sprawiało mu przyjemność. Ona też się uśmiechnęła, jak zwykle przebiegle, i łagodnie cofnęła rękę.

- Weź Daryę i Nasreen i przynieście wody ze studni - zwrócił się do mojej matki, nie patrząc na nią.

- Ale w domu jest pełno... - zaczęłam mówić i przerwałam, bo matka pociągnęła mnie za rękę, a gdy zbita z tropu odwróciłam się do niej, spostrzegłam, że ma surową minę i zaciśnięte usta.

Matka wzięła Nasreen na rękę, skinęła na mnie i wyszłyśmy.

- Czy pedar nie chce, żebyśmy widziały, jak po raz pierwszy bije Sulimę? - spytałam, choć w zachowaniu ich obojga było coś dziwnego. Poza tym Sulima nie okazywała strachu. Było raczej tak, jakby panowała nad sytuacją.

- Twój ojciec pokazał swoje nowe oblicze - powiedziała matka, idąc sztywnym, długim krokiem. - Może powinnam się uczyć od Sulimy, a wówczas zawołała mnie z powrotem do swojego łóżka.

Czułam się niezręcznie, gdy matka mówiła o takich rzeczach, ale zaraz zrozumiałam, o co jej chodzi. Otóż zuchwałość drugiej żony sprawiała ojcu przyjemność i dlatego chciał z nią być. W tym momencie znienawidziłam ją jeszcze bardziej.

- Od Sulimy nie można się niczego nauczyć. To tylko leniwa dziwka z Kafiristanu - oświadczyłam.

Matka zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Daryo, takim językiem nie wypada... - przerwała.

- Ją wypada tak nazywać - odparłam, nie odwracając wzroku. Matka nic nie powiedziała, ale zwolniła kroku i dalej szłyśmy na plac ramię w ramię.

Rozdział VIII

Któregoś dnia Sulima wstała długo po wyjściu ojca do czajchany. Miała rozczochrane włosy i rozmazany makijaż z poprzedniego dnia. Przyszła leniwym krokiem do głównej części domu, gdzie moja matka mieszała jogurt, a ja bawiłam się z Nasreen, potrząsając przed jej oczami małym amuletem zawieszonym na sznurku. Moja maleńka siostrzyczka popiskiwała z zachwytu. Stawała się coraz słodsza. Właśnie zaczęła się śmiać i w wieku zaledwie trzech miesięcy wyrzynał jej się pierwszy ząb.

- Gdzie jest ghajmak czap - spytała Sulima, ziewając i przeciągając się.

Lubiła pić na śniadanie ten specjalny rodzaj herbaty ze słonym przegotowanym kwaśnym mlekiem.

- Pedar wypił resztkę, zanim wyszedł - odpowiedziałam. - Zaparz zieloną. Napiałabym się i... - Spojrzałam na matkę, a gdy ta skinęła głową, dokończyłam: - Zaparz tyle, żeby starczyło również dla madar.

Sulima skrzywiła się.

- Tylko mi nie mów, co mam robić. Napiję się jogurtu - oświadczyła i włożyła dwa palce do miski, którą matka trzymała w dłoni.

Matka zacisnęła usta i przytrzymała naczynie mocniej. Sulima próbowała wyrwać je z jej ręki, ale ona nie puszczała. W końcu miska się przechyliła i jogurt wylał się na dywan. Sulima krzyknęła ze złością, tupnęła i poszła za zasłonę, zza której zaczęło dochodzić do naszych uszu pobrzękiwanie biżuterii i ciche mamrotanie.

Gdy matka posprzątała jogurt, zaparzyłam zieloną herbatę. Nasreen zasnęła, a my w milczeniu popijałyśmy napar. Oparłam się o ścianę i obejrzałam swoje dłonie, w których trzymałam czarękę. Miałam długie, szczupłe palce, ale wyglądały brzydko z połamanymi od pracy paznokciami - skórka wokół nich była zaczerwieniona i gruba. Odstawiłam czarękę i zaczęłam obgryzać skórkę, myśląc o delikatnych dłoniach Sulimy, o jej długich paznokciach, którym starannie nadawała odpowiedni kształt za pomocą nożyczek i barwiła je szkarłatnoczerwonym sokiem z betelu.

Za zasłoną rozległ się pisk.

- Kto wziął mój kohl?! - wrzasnęła Sulima płynnie w języku dari i wybiegła zza zasłony. - Jest mi potrzebny! To ty, mała wiedźmo, co?!

Podbiegła do mnie, więc zerwałam się z poduszki, aż Nasreen się obudziła i zaczęła płakać. Sulima wrzasnęła:

- Ty podstępna złodziejko! - Chwyła mnie za ramiona i ostrzegła: - Jeśli nie powiesz mi, gdzie go ukryłaś, wybiję ci zęby! Mów, ty pokrako!

Potrząsała mną z taką siłą, że głowa chwiała mi się na wszystkie strony. Bałam się, że pęknie mi kark. Usłyszałam krzyk matki, która kazała Sulimie natychmiast mnie puścić. Z całej siły chwyciłam napastniczkę za ramiona, tak jak ona mnie.

- Przestań! - krzyknęłam. - Nigdy nie dotknęłam twojego kohlu! Dlaczego miałabym... - przerwałam, bo zatrzęsła mną z całej siły i uderzyła głową o ścianę.

Czułam się tak, jakby pękła mi czaszka. Osunęłam się na podłogę. Gdzieś z daleka docierał do mnie płacz Nasreen, wołanie matki i jęki Sulimy, ale wszystko zlewało się w jakiś jeden ryk i nie rozumiałam poszczególnych słów.

Gdy oprzytomniałam, leżałam na dywanie. Matka przemywała mi twarz zimną wodą. W domu był również ojciec i sąsiadka Hasti, która spoglądała na mnie z troską i niepokojem. Nikt nic nie mówił. Ojciec, widząc, że się ocknęłam, przeniósł mnie na moje łóżko. Zastanawiałam się, jak w dziwnym śnie, dlaczego jest w domu i dlaczego położył mnie na pościeli. Nie rozumiałam, dlaczego nie kazał mi wstać i pomagać matce, zamiast leżeć w dzień na łóżku. Ale czułam się zbyt słaba, żeby dłużej o tym myśleć. Miałam bardzo ciężką głowę. Zasnęłam.

Gdy otworzyłam oczy, Sulima z ponurą miną miała ciecierzycę. Druga żona ojca przy pracy... To był dziwny widok. Obok niej matka wyrabiała ciasto na chleb. Nuciała, najwyraźniej z czegoś zadowolona. Zorientowałam się, że jest wczesny ranek, bo przez okna sączyło się dzienne światło. Powoli przypominałam sobie, co się wczoraj stało. Przespałam prawie cały wczorajszy dzień i dzisiejszą noc. Ale nie pamiętałam żadnych snów. Głowa pękała mi z bólu, nie mogłam poruszyć nawet powiekami.

Matka nigdy mi nie zdradziła, co ojciec powiedział Sulimie, ale przez jakiś czas druga żona była cichsza niż zwykle i przezornie starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Czasami nawet wykonywała jakieś prace domowe, choć trzeba było każdą czynność po niej poprawić, bo robiła wszystko niedbale. Po kilku tygodniach od

tego zdarzenia oznajmiła nam z dumą, że spodziewa się dziecka. Słyszając to, matka wzięła głęboki oddech. Z pewnością czuła, tak samo jak ja, że będzie to upragniony przez mojego ojca syn.

Im bliższy był termin porodu, tym bardziej Sulima stawała się niegrzeczna i drażliwa. Była przykra nawet dla ojca. Kiedyś wieczorem, gdy sięgnął przed nią po talerz z baraniną, zamachnęła się na niego. Ojciec przestał przeżuwać mięso, poczerwieniał i jakby się nadał. Nie był zadowolony z jej zachowania, inaczej niż wtedy, kiedy Sulima po raz pierwszy nie okazała mu szacunku i uderzyła go w twarz. Teraz podniósł się wolno z siedzenia, przez długą chwilę spoglądał na nią z wściekłością, po czym sztywno się odwrócił i wyszedł na dwór, mrużąc coś pod nosem.

Połamalam chleb na mniejsze części, spoglądając to na Sulimę, to na matkę. Matka jadła, jakby nic się nie stało, Sulima natomiast podniosła się z poduszki i poszła do sypialni najszybciej jak mogła w zaawansowanej ciąży, szeleszcząc zasłoną i zasuważąc ją ze złością.

Matka delikatnie odgarnęła mi włosy z czoła w niezwykłym u niej geście czułości. Wyglądała na zadowoloną.

Następnego dnia rano, gdy ojciec poszedł do czajchany, postawiła w głównej części domu drugie łóżko. Obserwowałam ją, zamiatając miotełką dywany przykrywające drewnianą podłogę. Gdy skończyła, stanęła, oparła ręce na biodrach i uśmiechnęła się.

- Twój ojciec powiedział mi, że z powodu zaawansowanej ciąży Sulima śpi niespokojnie. Będzie dla niej lepiej, jeśli przeniesie się na własne łóżko. Ma je teraz, tak ja ty masz swoje - powiedziała matka i od razu wiedziałam, że znowu będzie spędzała noce ze swoim mężem za zasłoną.

Bardzo chciałam zobaczyć w tej chwili minę Sulimy, ale Kafirka spędziła cały dzień za zasłoną. Byłam zadowolona z takiego obrotu spraw, choć miałam świadomość, że świadczy to o mojej małości. Miesiąc później, gdy zbierałam na podwórzu patyki i gałązki, usłyszałam dochodzący z domu przenikliwy krzyk Sulimy. Z ciekawości weszłam do środka i zobaczyłam, jak Kafirka pochyla się i ściska swój wielki brzuch. Pomędzy jej szeroko rozstawionymi nogami widniała kałuża przezroczystego płynu. Obok niej stała moja matka i spoglądała na tę kałużę.

- Anahito - zwróciła się płaczliwie Sulima do mojej matki, po raz pierwszy, od kiedy u nas zamieszkała przed niecałym rokiem, zwracając się do niej po imieniu.

- Tak, tak, nadeszła pora - stwierdziła spokojnie matka i zwróciła się do mnie: - Daryo, zetrzyj wody płodowe. - Następnie powiedziała do Kafirki: - Stań tam. - Wyjęła z kufra dużą owczą skórę i przykryła nią łóżko Sulimy. Pomogła rodzącej położyć się na pościeli i dodała, przywiązując do jej nóg w kostkach amulety przeznaczone na czas rodzenia: - Powinnaś je założyć.

- Nie - wydyszała Sulima i wyszarpnęła stopy, wytrącając matce z rąk amulety. - Nie będę nosiła tych muzułmańskich ozdóbek.

Matka westchnęła i podniosła amulety z podłogi.

- Daryo, sprowadź Yaldę, a ja będę czuwać przy rodzącej - poleciła. - Zabierz Nasreen. Nie mogę się nią zajmować, gdy ktoś mnie potrzebuje.

Skinęłam głową i poszłam po Nasreen, która siedziała w kącie i uderzała o podłogę drewnianymi łyżkami. Nauczyła się już chodzić, ale wciąż poruszała się powoli i niepewnie. Przykucnęłam, a ona posłusznie wdrapała mi się na plecy i objęła mnie za szyję. Piszcziała z radości, bo uwielbiała, gdy nosiłam ją na barana.

Dotarwszy do domu Yaldy, nie mogłam złapać tchu, bo przez całą drogę biegłam. Było parno i gorąco. Kończyło się lato. Powiadomiłam akuszerkę, że Sulima rodzi, usiadłam, dałam Nasreen wody z glinianego dzbana i sama się napiłam. Gdy Yalda przygotowała się do wyjścia, ruszyłam do domu wraz nią. Kuśtykała, posuwając się tak wolno, że przez jakiś czas prowadziłam Nasreen za rękę. Nie czułam potrzeby pośpiechu, inaczej niż przed rokiem, kiedy biegłam w nocy po staruszkę, żeby ją sprowadzić do mojej rodzącej matki. Nie miałam ochoty pomagać przy porodzie drugiej żony ojca.

Ale nie musiałam się o nią martwić. Gdy dotarliśmy do domu, matka klęczała przed Sulimą siedzącą na podłodze z podkurczonymi nogami i odsłoniętym brzuchem, opartą plecami o łóżko, krzyczącą i ciągnącą się za włosy. Matka złączyła dłonie, gotowa w każdej chwili odebrać poród. Najwyraźniej nie było czasu nawet na to, żeby rodząca przykucnęła na kamieniach.

Wyszłam na podwórze, zabierając Nasreen. Po chwili usłyszałam rozdzierający krzyk Kafirki, a po nim płacz noworodka. Odczekałam kilka minut i weszłam do domu.

- Bardzo szybko się to stało. To na pewno nie jest jej pierwsze dziecko. Sama widziałaś, że... - usłyszałam słowa Yaldy wypowiedziane cichym głosem do matki, ale na mój widok akuszerka przerwała i wróciła do mycia toporka. Potem skinęła na mnie i poleciła: - Poszukaj swojego ojca i powiedz mu, że w końcu ma syna.

Nawet nie pomyślałam, żeby pójść do czajchany i powiadomić ojca o tym, że Sulima rodzi. Uświadomiłam to sobie, gdy usłyszałam polecenie akuszerki.

Przechodząc przez pokój, zobaczyłam Kafirkę leżącą w łóżku z zamkniętymi oczami, a obok niej noworodka. Chłopiec miał ciemne włosy i cerę. Nie był podobny ani do mnie, ani do Nasreen, co mnie ucieszyło.

Yusuf, syn Sulimy, rósł szybko. Był zdrowy i silny. Nie sądziłam, że go pokocham tak jak Nasreen, ale nie mogłam się oprzeć urokowi tego chłopca. Gdy się uśmiechał, robiły mu się w policzkach dołeczki. Ojciec zaprosił mułłę, żeby pobłogosławił jego syna. Oświadczył, że islam przeszedł z niego na jego dziecko i w ten sposób Yusuf urodził się muzułmaninem. Sulima natomiast nie wypowiadała się w żadnej sprawie dotyczącej jej syna. Jej chwilową ciekawość wzbudziło tylko śliczne ubranko, które uszyła Yusufowi moja matka, mówiąc mi, że choć nie jest to jej dziecko, należy do rodziny i trzeba się o nie troszczyć.

Kafirka wystroiła synka w to ubranko i powodowana oczywistą próżnością, zniosła go na plac, gdzie kobiety czerpały wodę ze studni. Chciała im go pokazać i usłyszeć, że jest ładny. Kobiety z naszej wioski zwykle ją ignorowały, tak jak ona je, i wszystkie z wyjątkiem Yaldy, która otwarcie się jej przyglądała, czuły się w towarzystwie Sulimy niezręcznie. Straciły dla niej zainteresowanie nawet te, które przyszły do nas, żeby ją zobaczyć, gdy zjawiała się w naszym domu. Było jasne, że niektóre się jej boją. Na jej widok odwracały się i naciągały szale na twarz.

Czasami zastanawiałam się, co teraz myśli o niej mój ojciec. Promieniał dumą, biorąc na ręce swojego syna, ale raczej nie dbał o jego matkę. Sulima zdawała się jednak tym nie przejmować. Wkrótce po urodzeniu Yusufa zaczęła chodzić na długie popołudniowe spacerunki po okolicznych polach. Zostawiała Yusufa śpiącego na jej łóżku, myła twarz zimną wodą, czesała się i wychodziła. Wracała po kilku

godzinach. Zastanawiałam się nad tym i spytałam matkę, co sądzi o takim zachowaniu drugiej żony ojca.

- Niech sobie chodzi na te spacerory. Więcej przy niej pracy niż z niej pożytku. Bez niej jest łatwiej - odpowiedziała, kręcąc głową. Pod pewnymi względami matka się zmieniła. Była zdruzgotana faktem, że w naszym domu zamieszkała Kafirka, ale teraz mój ojciec dostrzegł swą pierwszą żonę jakby na nowo i okazywał jej większe niż wcześniej uznanie. Niewątpliwie czerpała z tego satysfakcję. Po krótkim milczeniu dodała: - I może w końcu polubiła przebywanie na słońcu, woli spacerować, zamiast tylko leżeć całymi dniami w łóżku w ciemnym kącie.

Sulima rzeczywiście była chyba ostatnio w lepszym humorze, zwłaszcza po powrocie z takich spacerów. Miała zarumienione policzki i błyszczące oczy, zawsze pomalowane kohlem.

Dwa miesiące po narodzinach Yusufa obchodziliśmy ramadan. Jak zwykle byłam tym świętym miesiącem podniecona. Przynosił ze sobą radość, bo wiedzieliśmy, że bramy raju są teraz otwarte, bramy piekła zamknięte, a diabeł związany łańcuchami. Nie musieliśmy się niczego bać. Tak przynajmniej uważałam, zgodnie z moją wiarą.

Codziennie rano, przez dwadzieścia dziewięć dni, ojciec, matka i ja wstawaliśmy przed świtem i pospiesznie opychaliśmy się daktylami, rodzynkami, pilawem i chlebem, popijając to herbatą. Po posiłku stawałam w otwartych drzwiach, unosząc białą i czarną nitkę. Gdy można już było odróżnić białą od czarnej, znaczyło to, że nadszedł świt i nie wolno nic brać do ust aż do zmroku.

Oczywiście Sulima jak zwykle jadła przez cały dzień, a Nasreen i Yusuf nadal byli karmieni piersią.

Okres tej demonstracji pobożności i posłuszeństwa nakazom religii zamykało trzydniowe święto Ejd al - Fetr, czyli inaczej Duży Ejd, będące czasem wielkiej radości, kiedy do następnego roku kończył się uciążliwy post. Z okazji Ejd al - Fetr w naszej wiosce każdy wkładał nowe ubranie i przez dwa dni odwiedzał zaprzyjaźnione rodziny. Trzeciego dnia mężczyźni udawali się do meczetu na wielogodzinne radosne modły, a kobiety przygotowywały wielkie wspólne przyjęcie. W tym jednym dniu w roku wolno im było przebywać w czajchaniu.

W ciągu dwóch świątecznych dni, kiedy matka wraz ze mną i Nasreen składała wizyty zaprzyjaźnionym rodzinom, Sulima jak

zwykle przebywała w domu z Yusufem. Trzeciego dnia, gdy ojciec udał się do meczetu, poszłam na spacer, aby podziwiać jesienny krajobraz. Latem, gdy z nieba bez przerwy prażyło słońce, wszystko szarzało pod warstwą kurzu. Teraz natomiast, gdy nie grzało już tak mocno i kurz zmyły deszcze, w pełnej krasie swoich barw ukazywały się dalekie góry i nasza dolina. Podziwiałam piękno przyrody, którego dotychczas nie dostrzegałam z taką wyrazistością. Wzruszenie ścisnęło mnie za serce. To był znajomy widok, lecz, ku swemu zaskoczeniu, nagle innymi oczami zobaczyłam te bujne sady i urodzajne tarasowe pola.

Pomyślałam o słowach babci, że opuszczę to miejsce. Ale kiedy i jak miało się to stać? Od tak dawna ta perspektywa stanowiła dla mnie pocieszenie i przedmiot marzeń. W tej chwili jednak, gdy cieszyłam się z coraz większej bliskości między mną a matką, kiedy z przyjemnością spoglądałam na swój nowy strój i z radością wspominałam wizyty u zaprzyjaźnionych rodzin, oczekując na przyjęcie i podziwiając piękny krajobraz, zastanawiałam się, czy gdziekolwiek na świecie mogłoby mi być lepiej.

Późnym rankiem obudziłam Sulimę, informując ją, że wkrótce matka, ja i Nasreen wychodzimy na cały dzień do czajchany, aby wraz z innymi kobietami przygotować przyjęcie.

- Idziesz z nami? - spytałam. - Pedar kazał ci iść.

Kafirka pokręciła głową.

- Nie, przez całą noc było mi niedobrze. Zostanę dziś w łóżku - odmówiła. - Zabierzcie ze sobą Yusufa, żeby mi nie przeszkadzał, kiedy będę próbowała zasnąć.

Spojrzałam na leżące obok niej dziecko. Miało zamknięte oczy i w zapamiętaniu ssało wilgotny gałganek.

- Ale co będzie z jego karmieniem? - spytałam. - Wiesz, że moja matka nie ma za dużo pokarmu.

Moja matka czasami karmiła Yusufa własną piersią, gdy załośnie płakał, a Sulima była na swoim ulubionym spacerze. Ale w ostatnich tygodniach martwiła się, że może mieć za mało pokarmu dla Nasreen.

- Niech go dziś nakarmi - odparła na to Sulima.

- Ale to ty masz za dużo pokarmu - nie ustępowałam, patrząc na mokrą koszulę na jej piersiach.

Zirytowana, podciągnęła kołdrę pod brodę.

- To weź bukłak koziego mleka i gałganek Yusufa - powiedziała, nie kryjąc złości. - Mocz gałganek w mleku i dawaj go chłopcu do ssania. Niemowlaka nie obchodzi, skąd się bierze pokarm.

Obejrzałam śliczne paznokietki i uszy chłopca. Miał już prawie trzy miesiące. Wydawał się całkiem opuszczony, gdy tak leżał sam, niemal ukryty w pościeli, i ssał swój gałganek, na którym kwaśniało mleko. Zdawał się o wiele bardziej zadowolony, gdy ssał pierś matki. Spoglądał wtedy na Sulimę swymi ciemnymi oczami, długimi i wąskimi jak jej oczy, albo błogo się do niej przytulał, uderzając zaciśniętą piąstką w kragłość, będącą dla niego głównym źródłem przyjemności.

Podniosłam go, czując, że szmatka, na której spoczywało jego ciało, jest zmoczona i zimna. Najwyraźniej leżał tak od chwili, kiedy Sulima wzięła go wczoraj wieczorem do łóżka. Cuchnął moczem i miał okropnie zaczerwienione pośladki.

Położyłam go na swoim łóżku, na pościeli, której jeszcze nie zrolowałam i nie oparałam o ścianę. Pomimo porannego chłodu w domu było ciepło. Gdy noce stały się zimne, ojciec przed snem rozpałał ogień w krytym palenisku pod podłogą, skąd ciepło promieniowało na całe mieszkanie. Co kilka godzin wstawał i dokładał do ognia kiziak.

Owinęłam Yusufa w pościel i wyszłam na podwórze. Na podwyższeniu kuchennym matka gotowała duży garnek ryżu i siekała mięso z dwóch kurczaków na pilaw, który stanowił nasz wkład w przyjęcie. Na plecach matki spała w nosidełku Nasreen, z policzkiem opartym na jej ramieniu.

- Czy jest ciepła woda? - spytałam. - Sulima nalega, żebyśmy zabrały Yusufa, a jego trzeba wykąpać.

Matka ostrożnie podała mi mały garnek.

Zaniosłam wodę do domu, położyłam chłopca na miękkiej szmatce i zaczęłam go myć. Spoglądał na mnie oczami swej matki, z powagą śledząc ruch moich ust, gdy cicho śpiewałam. Bezwiednie wybrałam starą cudzoziemską pieśń o Brytyjczykach panujących nad morskimi falami, a stało się tak dlatego, że wcześniej myślałam o babci. Gdy mokrą szmatką przecierałam pokrytą meszkiem główkę Yusufa, wpadło mu do oczu kilka kropel ciepłej wody. Poruszył powiekami, uśmiechnął się szeroko, ukazując bezzębne dziąsła, i roześmiał się. Zarumieniłam się ze szczęścia i równocześnie poczułam

ły smutku w oczach. Nie rozumiałam, dlaczego pierwszy śmiech tego chłopca wzbudził we mnie sprzeczne uczucia. Owinęłam syna Sulimy w pościel i przytuliłam do piersi. W tym momencie chciałam trzymać tak swoje dziecko. Dotychczas nie odczuwałam takich pragnień, nawet gdy zajmowałam się Nasreen. Pomyślałam o swoim ślubie, który zbliżał się nieuchronnie, choć wciąż czekałam na nieczystość miesięczną. Przywołując teraz w pamięci swój spacer w porannym słońcu i zastanawiając się nad uczuciem, jakie żywiłam wobec Yusufa, wierzyłam, że mimo wszystko potrafię być szczęśliwą żoną i matką, że jestem bardziej podobna do innych dziewcząt z naszej wioski, niż sądziłam, i że jakoś odnajdę w sobie zdolność do posłuszeństwa i akceptacji różnych zwyczajów. Może wyobrażenia babci o innym życiu dla mnie były tylko marzeniami starej kobiety, której wszystko się już pomieszało? Ale teraz wiem, że kiedy to, co uważa się za prawdę, dociera do człowieka najsilniej, zmiany w jego życiu są już bliskie.

Rozdział IX

Mężczyźni rozpoczęli modły o wschodzie słońca, a my z matką wyszłyśmy z domu kilka godzin później. Po drodze do czajchany spotkałyśmy nasze przyjaciółki. Rozmawiałyśmy i śmiałyśmy się, odprężone i swobodne, ulegając beztroskiemu świątecznemu nastrojowi, w sytuacji, gdy wszyscy mężczyźni mieli do zmierzchu przebywać w meczecie. Nie musiałyśmy kontrolować rozmowy czy tłumić śmiechu. Kobiety zsunęły z głów chustki.

Na nosidełku z przodu niosłam Yusufa, a Nasreen prowadziłam za rękę. Dołączyła do mnie Gawhar, która prowadziła za rękę swojego małego brata. Szłyśmy za moją matką, która niosła w dwóch dużych garnkach jedzenie.

Towarzystwo Gawhar zawsze sprawiało mi przyjemność. Z wiekiem miałyśmy dla siebie coraz mniej czasu, bo rosła liczba naszych obowiązków domowych. Ostatnio tylko wpadałyśmy na siebie przy studni czy piecu chlebowym lub gdy na wzgórzach za Susmar Chord zbierałyśmy kozie i owcze odchody na opał. Spotykając ją teraz, znowu pomyślałam o swoich zaręczynach.

- Gawhar, co z twoim małżeństwem? Czy została już ustalona data twojego ślubu? - spytałam.

Moja przyjaciółka o okrągłej twarzy i ziemistej cerze zarumieniła się.

- Tak. Ślub odbędzie się w pierwszym miesiącu wiosny. Ogarnął mnie smutek.

- I wyjedziesz stąd - powiedziałam.

- Ale wcale niedaleko. Wioska mojego męża znajduje się tylko dzień drogi stąd - pocieszyła mnie.

Pomyślałam o pannach młodych, które przybyły do nas z okolicy i z innych wiosek. Większość sprawiała wrażenie przestraszonych i onieśmielonych. Wiele z nich nie od razu czy niełatwo dostosowało się do rodzin swoich mężów.

- Mam nadzieję, że teściowa pozwoli mi odwiedzać matkę - odezwała się Gawhar, gdy moje milczenie się przedłużało. - Moja rodzina zawarła dobrą umowę ślubną z rodziną mojego narzeczonego. Może kiedy i ty wyjedziesz za mąż, jego rodzina też ci pozwoli przyjeżdżać tu na specjalne uroczystości i będziemy mogły się widywać.

- Może, choć wioska mojej matki - Kame Bara - gdzie mieszka mój narzeczony, znajduje się daleko stąd na zachód - odrzekłam.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić wyjazdu z Susmar Chord do innej wioski i do innego domu, w którym będę musiała okazywać posłuszeństwo teściowej i troszczyć się o nią, zostawiwszy tu matkę i Nasreen, a nawet małego Yusufa i wszystko, co znajome...

- Ale czy nie mówiłaś, że Kame Bara jest znacznie większa od naszej wioski? I że jest tam bazar? - pocieszyła mnie Gawhar.

Potaknęłam.

- Tak mówi moja matka - potwierdziłam.

Nagle uderzyło mnie, że matka jeszcze nigdy się tam nie wybrała. Po raz pierwszy pomyślałam o niej jako o pannie młodej przybyłej do naszej wioski. Teraz zdałam sobie sprawę, że nigdy nie mówiła o swoich rodzicach, o braciach i siostrach, których pewnie miała. Zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie spytałam jej o rodzinę. Moja matka, zupełnie inaczej niż babcia, która żyła przeszłością, żyła wyłącznie terażniejszością i przyszłością. Czy to właśnie przydarza się większości kobiet? Że w końcu na zawsze tracą swą rodzinę i już nigdy o niej nie mówią? Czy tak musi być?

- Ale z pewnością w Kame Bara będą cię obowiązywały surowsze nakazy, prawda? - domagała się potwierdzenia Gawhar. - Może będziesz musiała tam nosić czador albo burkę? Czy twoja matka ją nosiła?

- Nie mówiła o tym - odpowiedziałam krótko.

- Z drugiej strony pomyśl o kupowaniu, że nie będziesz musiała tam czekać, aż w wiosce zjawi się handlarz. Masz szczęście, Daryo, jeśli o to chodzi, ale nie jeśli chodzi o noszenie czadoru czy burki. Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w sytuacji, kiedy nie mogłabyś oglądać świata w taki sposób, w jaki byś chciała. Noszenie czadora lub burki będzie szczególnie trudne dla kogoś takiego jak ty - skomentowała.

Mój dobry nastrój prysł. Oglądanie świata poza podwórzem własnego domu tylko przez małą prostokątną siatkę, gdybym rzeczywiście musiała nosić burkę, naprawdę oznaczało życie w więzieniu. Odrzuciłam głowę do tyłu, myśląc, że nigdy się na to nie zgodzę.

- Wioska, do której się przeniosę, jest jeszcze mniejsza niż Susmar Chord - ciągnęła Gawhar, nie zważając na to, że napędziła mi

takiego stracha - i nie zobaczę bazaru, ale nadal będę mogła nosić tylko zasłonę. Mam szczęście, że będę pierwszą żoną, chociaż jestem tak młoda. I spodziewam się, że moja przyszła teściowa jest łagodnego usposobienia i że, jeśli Allah zechce, szybko urodzę synów.

Żałowałam, że Gawhar nie milczy, zamiast w tak kłopotliwy dla mnie sposób paplać. Gdy po chwili znowu zaczęła mówić, najwyraźniej nie zwracając uwagi na to, że nie podtrzymuję rozmowy, próbowałam sobie wyobrazić twarz mojego przyszłego męża leżącego obok mnie w pościeli, jego dłonie, jak zdejmuje ze mnie ślubną suknię, i siebie przykucniętą na kamieniach, żeby urodzić dziecko, przeszywaną bólem, którego powinna się spodziewać każda kobieta. Ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam sobie wyobrazić niczego takiego.

Dotarliśmy do czajchany kilka minut później niż moja matka. Nie zdążyłyśmy nawet wejść do środka, gdy matka pospiesznie stamtąd wyszła.

- Daryo, szybko, daj mi dzieci! - zawołała. - Zapomniałam wziąć z domu olej sezamowy. Pędź i przynieś mi go. Butelka stoi obok dużego kosza ze zbożem.

Podalam jej Yusufa i przebiegłam przez plac, słysząc dochodzący z meczetu chór męskich głosów intonujących modlitwy, a następnie zwolniłam, choć nadal szłam szybko. Miałam na sobie nowy strój: sukienkę w nasyconym pomarańczowym kolorze, ciemnozielone spodnie i chodaki wycięte z drewna przez mojego ojca według tradycyjnego fasonu - na wysokich niewygodnych obcasach. W takich butach chodziłam tylko wtedy, gdy było zimno albo w okresie wiosennego błota bądź, jak dziś, z jakiejś okazji. Teraz zdjęłam chodaki i ruszyłam biegiem, niosąc je w jednej ręce, a drugą podtrzymując rąbek sukienki. Dziś nikt nie siedział na dachu domu, więc nie mógł mnie zobaczyć żaden mężczyzna czy chłopiec i nie miał kto zwrócić mi uwagi, że jestem już prawie kobietą i nie powinnam biec przez wieś. Pędziłam więc jak szalona, z uniesioną głową, z której chusta zsunęła się na ramiona, i wciągałam do płuc chłodne powietrze. Gdy tak mknęłam wyludnioną ulicą sprężystym długim krokiem, czując pod stopami twardą ziemię, miałam ochotę krzyczeć i skakać.

Weszłam do domu po cichu, sądząc, że Sulima śpi. Ale jej łóżko było puste. Zrozumiałam od razu, że mnie okłamała, że pod

pretekstem złego samopoczucia wymigała się od pójścia do czajchany i teraz prawdopodobnie włóczy się po okolicznych polach i wzgórzach. Ale gdy brałam butelkę z olejem, usłyszałam za zasłoną znajomy cichy śmiech, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Gawhar powiedziała mi, czego dowiedziała się od swojej starszej siostry mężatki: że mężczyzna nie może zbliżyć się do żony przez dwa ostatnie miesiące ciąży i przez czterdzieści dni po rozwiązaniu, bo jest ona wtedy nieczysta. Gdyby w tym czasie obcowała z mężem, mogłoby ją lub jej dziecko spotkać nieszczęście. Ale od urodzenia Yusufa minęły już prawie trzy miesiące, a Sulima mimo to nadal spała w swoim łóżku sama, moi rodzice zaś za zasłoną.

Wiedziałam, że natychmiast powinnam wybiec z domu i udać się do czajchany, ale za zasłoną znowu rozległ się śmiech, który zaraz jakby zamarł Kafirce na ustach, i usłyszałam inne znajome, niepokojące dźwięki. Wiedziałam, co się dzieje. Sulima miała z kimś intymne zbliżenie. Pomyślałam, że mój ojciec mimo wszystko nadal jej pożąda, i poczułam się zawiedziona. Niemal w tej samej chwili uświadomiłam sobie jednak, że ojciec wyszedł rano do meczetu. Gdyby wrócił do domu, musiałby mnie minąć, kiedy biegłam tu z czajchany. Jak zatem to, co słyszałam, mogło być prawdziwe? Pożerała mnie ciekawość, ale miałam też złe przeczucia.

Podeszłam na palcach do zasłony i ostrożnie odchyliłam ją odrobinę od ściany. Okiennice były zamknięte, ale na niskim stole obok łóżka paliła się świeca - tego szerokiego łóżka, w którym ojciec znowu sypiał z matką. W osłupieniu dostrzegłam na pościeli płataninę rąk i nóg. Odrzucona do tyłu na poduszce głowa Sulimy świadczyła o tym, że druga żona mojego ojca bez skrupowania czerpie rozkosz z obcowania cielesnego z mężczyzną. Kafirka miała zamknięte oczy i rozchylone w uśmiechu usta. Niecierpliwie głaskała nagie plecy leżącego na niej i poruszającego się rytmicznie mężczyzny. Jego ogolona głowa, na której widniał tylko kosmyk włosów, nie należała do mojego ojca, lecz do jakiegoś Kafira.

A więc Sulima robi z tym obcym mężczyzną to, co jest dozwolone tylko w małżeństwie, i może zostać za taki postępek ukamienowana, pomyślałam, i wtedy ona otworzyła oczy. Zaskoczona, gwałtownie nabrałam powietrza. Usłyszała mnie i zobaczyła. Otworzyła usta, odepchnęła mężczyznę i wygramoliła się z łóżka. On też otworzył usta i krzyknął przestraszony moim widokiem,

ukazując profil. Kochankowi Sulimy brakowało górnego kła. Wiedziałam już, że jest to ten młody mężczyzna z Wamed, który zawołał ją po imieniu w dniu, w którym brała ślub z moim ojcem.

Sulima odsunęła zasłonę i podeszła do mnie w rozpiętej nocnej koszuli. Spuściłam wzrok zawstydzona widokiem jej nagości, ale zanim to zrobiłam, zobaczyłam trzęsącą się obwisłą skórę na brzuchu. Przecież ta kobieta niecałe trzy miesiące temu urodziła dziecko. Na brzuchu Sulimy, podobnie jak na jej grubych udach, dostrzegłam też fioletowawe siniaki. Jej piersi były obrzmiałe z nadmiaru pokarmu, a brązowe brodawki powiększone.

Odwróciłam się w panice, ale zdążyła mnie chwycić za ramię i zacisnęła na nim palce jak orzeł wbijający szpony w upolowanego królika. Odwróciła mnie do siebie tak gwałtownie, że rozpruła mi na ramieniu szew sukienki.

- Jeśli komuś powiesz, co tu zobaczyłaś, przeklnę cię, ty zła dziewczyno - zagroziła mi ochryłym głosem, opryskując twarz cuchnącą czosnkiem śliną i trzymając moje obie ręce w żelaznym uścisku. Następnie wskazała podbródkiem moją dłoń, w której trzymałam buty, i oświadczyła: - Spójrz na siebie. Zakradasz się tu, żeby mnie szpiegować i ściągnąć na moją głowę kłopoty, ale nie ujdzie ci to na sucho. Nie ujdzie.

Pokręciłam głową i otworzyłam usta, chcąc zaprzeczyć.

- Stoisz i wytrzeszczasz oczy, udając, że nic nie rozumiesz - ciągnęła. - Oczywiście, że rozumiesz. Czy nie jesteś bystrzejsza od swoich rodziców? Myślisz, że nie widzę, co próbujesz przede mną ukryć?

Czyżby miała na myśli moją siłę? Czyżby ją dostrzegła? - zastanawiałam się.

- Ale cały twój rozum jest bezużyteczny wobec najpotężniejszych duchów Kafiru. Bezużyteczny. Przybędą tu na moje wezwanie i wejdą we mnie, stając się jak ząb wrośnięty w dziąsło, jak włosy na głowie. Zamieszkają we mnie i z ich pomocą będę mogła cię przekląć w sposób, o jakim ci się nie śniło. W tym domu to ja mam siłę. Wiesz o tym, Daryo, czyż nie? - spytała.

Nadal patrzyłam na nią z otwartymi ustami. Nie mogłam zaczerpnąć tchu. Zaczęło mi się kręcić w głowie.

- Przydarzą ci się straszne rzeczy - zapowiedziała. - Może to będzie przekleństwo ospy i twoja twarz stanie się jak pustynia poorana

kraterami. Wszyscy będą odsuwali się od ciebie ze wstrętem. - Zbliżyła się jeszcze bardziej i warknęła: - A może pomyślę o czymś gorszym i pod sukienką wyrośnie ci ogon węża albo twoje stopy zamienią się w racice? Mogę zrobić wiele rzeczy. Chcesz, żebym cię przeklęła? Mam teraz zaraz przywołać duchy?

Pokręciłam głową, nadal nie mogąc wydobyć głosu i z trudem oddychając. Przycisnęłam butelkę z olejem do piersi i próbowałam wyszarpnąć się z uścisku tej kobiety, ale trzymała mnie blisko siebie jak kochanka. Okropnie się rozrosła. Mogłam tylko patrzeć na jej twarz. W jej słowach słyszałam straszną prawdę. Byłam wówczas przekonana, że Sulima może zrobić to, co zapowiada, a nawet więcej. Pomyślałam o słowach Yaldy, że Allah jest potężniejszy niż złe oko, które rzuca urok, i próbowałam się modlić, ale żadne słowa nie przyszły mi do głowy, żadne nie pojawiły się na ustach. Sulima miała większą niż ja siłę. Yalda o tym nie wiedziała. I nie widziała tego, co ja zobaczyłam dziś. Takiej siły nie da się pokonać modlitwami. Ogarnął mnie strach, jakiego dotąd nie znałam.

- Powiesz, co widziałaś? - spytała Sulima głosem, który brzmiał dla mnie jak grzmiące echo docierające tu z oddali, gdzieś z odległych gór.

Znowu pokręciłam głową. Chciałam się odezwać, ale strasznie drżały mi usta. Przed moimi oczami poruszała się twarz Kafirki, wyglądająca tak, jakby zastygła w przerażającą maskę o skrzywionych ustach i monstrialnie zdeformowanych rysach, przypominająca oblicze dzinna. Usłyszałam kwilenie, jakby obudzonego głodnego Yusufa, ale nagle zdałam sobie sprawę, że to mój głos. Wówczas Sulima uśmiechnęła się przebiegle i zrzuciła maskę, już nie udając dzinna. Przejrzała mnie na wylot, dostrzegła mój strach i wiarę w jej moc. Wiedziała, że nie zdradzę jej sekretu.

Do końca dnia czułam się jak we śnie. Nie pamiętam, jak wróciłam do czajchany i jak znalazłam matkę. Ocknęłam się dopiero w chwili, gdy matka wzięła ode mnie olej i dotknęła mojego czoła.

- Co ci jest? - zaniepokoiła się. - Jesteś okropnie blada i rozpalona. Źle się czujesz?

Patrzyłam na nią, nie mogąc wydobyć głosu.

- Może nadeszła twoja nieczystość miesięczna? - spytała cicho, przyglądając mi się uważnie. - Spóźnia się. U mnie nadeszła, gdy

byłam od ciebie o rok młodsza. Czy o to chodzi? Zauważyłaś jakieś oznaki?

Pokręciłam głową, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Myśl o mojej pierwszej nieczystości miesięcznej zawsze napawała mnie nieznanym lękiem. Teraz byłaby zwykłym i mile widzianym wydarzeniem w porównaniu z tym, co stanowiło powód mojego okropnego samopoczucia.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - zdziwiła się matka, przyglądając mi się jeszcze uważniej.

Było tak, jakby Sulima, mówiąc do mnie, wysłała mi głos z ust. Wiedziałam, że dzinny to potrafią.

- Denerwuje mnie ta twoja żalosna mina - odezwała się w końcu matka. - Cóż mogę zrobić, jeśli nie mówisz, co się stało? Posiedź z Gawhar i dziećmi z tyłu czajchany. Kiedy poczujesz się lepiej, przyjdź mi pomóc.

Również Gawhar spytała, dlaczego jestem taka blada i milcząca, ale gdy jej nie odpowiedziałam, wzruszyła ramionami i szczebiotała na temat planów związanych z jej zbliżającym się ślubem. Kiedy podała mi Yusufa, a Nasreen wdrapała się na moje kolana, powoli odzyskałam odwagę. Ale popołudnie dłużyło mi się niemiłosiernie. Opiekowałam się dziećmi i pomagałam w przygotowaniu przyjęcia, ustawiając naczynia stołowe na długich drewnianych tacach, krojąc kantalupy i arbuzy, napełniając misy zsiadłym mlekiem, ubijając jajka, krojąc mięso i nabijając je na drewniane szpilki. Starsze kobiety ugotowały góry ryżu i napiekły mnóstwo chleba.

W końcu najmniejsze dzieci zostały nakarmione i z meczetu przyszli mężczyźni, głodni po wielogodzinnych modłach. Zobaczyłam ojca, ale odwróciłam się od niego. Nie potrafiłam na niego spojrzeć w obawie, że z mojej miny odgadnie, co zobaczyłam i co wciąż przywoływałam w pamięci - scenę miłosną z udziałem Sulimy i mężczyzny z Wamed, w łóżku, w którym spali moi rodzice.

Gdy obsługiwałyśmy mężczyzn, dużo żartowali i śmiali się. Kiedy zaczęli jeść, wyszliśmy posiedzieć na zewnątrz. Małym chłopcom wolno było z tej szczególnej okazji wbiegać do czajchany i porywać jedzenie z mis, popisywać się. Później mężczyźni wyszli na plac, by dalej rozmawiać pod drzewami, a my weszłyśmy do środka, żeby zjeść posiłek. Przez cały rok czekałam na podawane na tym przyjęciu specjały: torsi, czyli mieszaninę marynowanych

bakłażanów, fasoli i chili, różne rodzaje pilawu - z baraniną, z kurczakiem, z całymi pomidorami - i klopsiki z baraniny z cebulą, pomidorami i jajami na twardo. Ale dziś nie mogłam nic jeść. Gdybym wzięła coś do ust, z pewnością bym wymiotowała.

Matka się nachmurzyła, gdy pokręciłam głową, kiedy na koniec przyjęcia podała faludah: gęstą pastę przyrządzoną z mleka i mąki pszennej, gotowanych przez cały dzień w porowatym naczyniu. W zeszłym roku zjadłam tej pasty tyle, że matka niepokoiła się o mój żołądek. Dziś od samego patrzenia na ten przysmak robiło mi się niedobrze.

Kobiety chwaliły nawzajem swoje potrawy, tak odmienne od codziennego pilawu i chleba. W końcu pozbierały naczynia i przybory kuchenne i o zmierzchu rodziny powróciły do domów.

Idąc kilka kroków za matką, która niosła w nosidełku Yusufa, dźwigałam naczynia z jedzeniem, które zostało z przyjęcia. Przed nią szedł ojciec, niosąc na rękach Nasreen.

- Dlaczego Sulima nie przyszła do czajchany? - spytał matkę.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Poczułam nagłą słabość w rękach. Bałam się, że wypuszczę z rąk naczynia.

- Powiedziała, że jest jej niedobrze - odpowiedziała matka. Ojciec prychnął.

Gdy weszliśmy do domu, zdenerwowałam się jeszcze bardziej. Rozglądałam się po mieszkaniu, ale wszystko wydawało się na swoim miejscu. Zasłona była w połowie rozsunięta, a na łóżku leżała świeża pościel. Sulima włożyła czystą sukienkę, włosy schludnie zaplotła w warkocz i spoglądała obojętnie.

- Czy przyjęcie się udało? - spytała mojego ojca.

- Owszem - odpowiedziała jej moja matka, gdy on milczał. - Ale bolą mnie nogi od stania przez cały dzień. Pomóż Daryi pozmywać naczynia. - Przyjrzała się Sulimie i stwierdziła sarkastycznie: - Wydajesz się wypoczęta i już zdrowa.

- Tak, czuję się dobrze - odpowiedziała Sulima swobodnie miłym głosem i zwróciła się do mnie: - Daryo, chodź na podwórze, pozmywamy.

Wzdrygnęłam się, gdy do mnie podeszła.

- Daj mi te łyżki. Nie są brudne. Schowam je - powiedziała, odwrócona plecami do moich rodziców.

Jedną ręką wzięła je ode mnie, a drugą ścisnęła tak mój nadgarstek, że łzy napłynęły mi do oczu. Spiorunowała mnie spojrzeniem, puściła moją rękę i poszła położyć łyżki na swoje miejsce. W nocy strasznie się męczyłam. Rzuciałam się na łóżku i przewracałam z boku na bok. Na przemian zapadałam w niespokojną drzemkę i budziłam się z powodu nocnych majaków, i tak bez końca. Śniło mi się, że ojciec i Sulima biegną przez krzaki i kolce jeżyn raniąc im twarze. Gdy spoglądałam na pokaleczoną i zakrwawioną twarz ojca, zamieniła się w moją. Zaczęłam krzyczeć przez sen.

Natychmiast zjawiała się przy mnie matka z lampą. Uklękała i postawiła ją na podłodze obok mojego łóżka. Pogłaskała mnie po głowie.

- Córko, to tylko sen - uspokajała.

Zaschło mi w ustach, wargi miałam spieczone. Serce biło mi jak oszalałe, oddech stał się szybki i płytki.

- Dlaczego tak cierpisz? - spytała matka, a nie doczekawszy się odpowiedzi, powiedziała: - Zdejmę stamboul. - Sięgnęła na półkę nad moją głową po nieduży gliniany garnek, szczelnie zakryty wysuszoną kozłą skórą, obwiązaną sznurkiem. Odsunęła skórę i z garnka wy dostał się aromat setek maleńkich suszonych owoców, tłumiąc przykry swąd olejnej lampy. Podstawiła mi garnek pod nos i zaczęła nim powoli potrząsać. - To cię uspokoi i pomoże zasnąć.

Zamknęłam oczy i wciągałam w nozdrza przyjemny zapach.

Po kilku minutach matka zakryła garnek, odstawiła go na półkę i odwróciła się, chcąc odejść.

- Zostaw mi lampę. Proszę - zatrzymałam ją.

Spojrzała na mnie i skinęła głową. Gdy poszła za zasłonę, zerknęłam na łóżko Sulimy. W migotliwym świetle lampy wyglądała w pościeli jak duże garbate zwierzę, które przyczało się w swej kryjówce. Naciągnęłam kołdrę na głowę i modliłam się do proroków o ochronę przed złem w moim własnym domu.

Rozdział X

Tydzień po przyjęciu zaczął wiać zimny wiatr. Ojciec wyczyścił i zreperował swoje narzędzia stolarskie, przygotowując się do wyjazdu do Kabulu. Musiał tam zarabiać przez wiele miesięcy. Słyszałam, jak matka mówiła mu po cichu, że martwi się o pieniądze. Zapłata za nową żonę, rezygnacja z wyjazdu do pracy w Kabulu zeszłej zimy, wyżywienie i ubranie Sulimy oraz dwójki nowych dzieci nadwerężyły jego finanse. Wyjechał więc z kilkoma innymi mężczyznami z wioski i miało go nie być do wiosny.

Przerażenie, jakie budziła we mnie Sulima, nie ustąpiło. Minał miesiąc, zanim przestałam drżeć ze strachu, znajdując się w jej pobliżu. Ale ukrywałam wszystko przed matką. Nie sprawiało mi to trudności w sytuacji, gdy zawsze była zajęta Nasreen i Yusufem, bo jego matka poświęcała synowi coraz mniej uwagi.

Sulima ciągle się dąsała i płakała bez widocznego powodu, gdy czasem ośmielała się wyjść na dach domu. Znaczyło to, że nie spotkała się już z młodzieńcem z Wamed. Na włóczenie się po polach było zbyt zimno. Z pewnością spotykała się z nim tam w pierwszych miesiącach po urodzeniu Yusufa, a może nawet wcześniej, ale w zimie okazało się to niemożliwe, bo jej kochanek nie mógł się przedostać na koniu przez pokryte śniegiem przełęcz. Pewnego dnia nowymi oczami spojrzałam na Yusufa, który był taki podobny do matki, i zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście jest po ojcu Tadżykiem, czy też raczej Kafirem.

Gdy tylko mojej matki nie było w pobliżu, Sulima rzucała mi groźne spojrzenia. Odwracałam głowę, spuszczałam oczy i modliłam się po cichu. Nikogo jeszcze tak się nie bałam jak tej kobiety. Nawet ojciec, gdy podnosił na mnie rękę z powodu mojego coraz większego uporu, nieprzejednanego i podszytego buntem, budził we mnie tylko gniew. Sińce po jego razach w końcu blakły i szybko zapominałam o bólu.

Zagrożenie ze strony Sulimy było zupełnie innej natury. Zadawała mi ból, choć nie odczuwałam go fizycznie. Nie potrafiłam zapomnieć o tym, czym mi groziła, i niemal przez cały czas miałam w pamięci jej słowa, a gdy była w pobliżu, wypowiadałam się przesadnie ostrożnie. Staralam się nie zostawać z nią sama. Chodziłam za matką z domu na podwórze i z powrotem, jakbym miała tyle lat co

Nasreen. Żyłam w ciągłym napięciu, nieufna i czujna, co odbierało mi apetyt i zdrowy sen.

Matka zwróciła uwagę, że chudnę, obgryzam skórki wokół paznokci i mam sińce pod oczami. Gdy w końcu nadeszła moja nieczystość miesięczna, pokiwała głową i powiedziała, że zna źródło dręczącego mnie niepokoju.

- Gdy nadchodzi późno, powoduje spustoszenie w organizmie jak dzinn - wyjaśniła i dodała z mocą: - Teraz odzyskasz dobre samopoczucie.

Była szczęśliwa, że wreszcie pojawiła się u mnie ta kobieca przypadłość, bo wierzyła w to, co powiedziała. Ale cieszyła się także, że będę mogła wyjść za mąż. W naszej wiosce byłam jedyną niezamężną dziewczyną, która zbliżała się do czternastego roku życia. Wprawiało to moich rodziców w zakłopotanie. Gawhar, której ślub się zbliżał, miała dopiero trzynaście lat, a nieczystość miesięczna pojawiła się u niej już przed dwoma laty. Niestety, po kilku miesiącach stało się dla matki jasne, że przypadłość kobieca nie pomogła mi uwolnić się od złego samopoczucia. Zaczęła się głośno zastanawiać, czy nie cierpię na jakąś chorobę. Owszem, cierpiałam na chorobę strachu.

Długa, trudna dla mnie zima w końcu przeminęła. Sulima coraz bardziej zamykała się w sobie, a nawet wydawało się, że tak jak ja straciła apetyt. Bardzo dużo spała. Były godziny, kiedy niemal mogłam zapomnieć o jej groźbach, choć gdy tylko siadała na łóżku i spoglądała na mnie, znowu zaczynałam drżeć.

Na dworze nie dało się wytrzymać zbyt długo, a obowiązki domowe były nudne. Bez ojca ja i matka miałyśmy ich znacznie mniej, więc często wraz z dziećmi po południu odwiedzałyśmy zaprzyjaźnione rodziny. Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby zostawić Yusufa z jego matką. Chłopiec czuł się o wiele lepiej, gdy coś się wokół niego działo. Oddawanie go Sulimie pod opiekę na czas naszej nieobecności wydawało nam się wręcz niewskazane. Brała go na ręce tylko w czasie karmienia piersią i nawet wtedy była zniecierpliwiona.

Czasami wieczorem nie gotowałyśmy posiłku, skoro nie musiałyśmy tego robić ze względu na ojca, i jadłyśmy na kolację chleb z dżemem, popijając czarną herbatę. Sadowiłyśmy się przy piecyku i grzałyśmy nogi. Gdy dzieci spały, w przyjemnej ciszy

szyłyśmy i haftowałyśmy. Na dworze zawodził wiatr, który nadciągał tu z gór, a niekiedy rano zrzucałam śnieg z płaskiego dachu naszego domu.

W te długie wieczory, kiedy w domu panowała cisza i siedziałyśmy z matką przy niskim stole, na którym paliła się lampa, często myślałam o babci. Od jej śmierci rzadko o niej mówiłam, ale teraz, w czasie tej długiej zimy, żyjąc ze świadomością grózb Sulimy, chciałam się pocieszyć rozmową o matce mojego ojca. Sądziłam, że jeśli podzielę się z matką babcinymi opowieściami, poczuję się lepiej. Mogło mi to pomóc przypomnieć sobie, że mam w sobie siłę, której Sulima mnie teraz pozbawiła. Pragnęłam znowu oddać się marzeniom o innym życiu, takim, w którym nie bałabym się we własnym domu. Ale gdy tylko zaczęłam opowieść, matka pokręciła głową.

- Twoja babcia prowadziła wstydlive życie, zanim wyszła za twojego dziadka - przerwała mi. - Nie postępowała mądrze, opowiadając dziecku, którym wtedy byłaś, takie rzeczy. Najlepiej będzie, jeśli zapomnisz o tych prawdopodobnie zmyślonych opowieściach starej kobiety, której mącił się umysł.

Z szacunku dla matki nigdy więcej nie wspomniałam o historiach usłyszanych od babci, ale to nie znaczy, że o nich zapomniałam.

Zrobiło się cieplej. Byłam na ślubie Gawhar. Nie płakałam, w przeciwieństwie do innych kobiet, gdy odjeżdżała do domu męża na przystrojonym ozdobami kucyku, ale machałam jej, dopóki nie znikła mi z oczu. Matka rozmawiała z innymi kobietami o moim ślubie. Miał się odbyć zaraz po tym, jak zelżęją letnie upały. Dzięki temu mogłam zostać panną młodą przed ukończeniem piętnastego roku życia.

- Jeśli datę ślubu wyznaczy się później, narzeczony nie zechce czekać. Wtedy Daryę trzeba będzie wydać jako trzecią lub czwartą żonę za starego mężczyznę, oddając mu przysługę - powiedziała nieżyczliwie ciotka Gawhar, rozłupując orzech złamanym przednim zębem.

Matka zesztyniała.

- Mój kuzyn to człowiek honoru. Czekaj na nią cierpliwie - oświadczyła.

Prosiłam ją o jakieś wiadomości od niego, o to, żeby mi opowiedziała, jak on wygląda, jaką ma rodzinę i jaka jest jego matka, ale usłyszałam niewiele. Matka nie widziała mojego narzeczonego od czasu wyjazdu z Kame Bara, a był wtedy dzieckiem.

- Pamiętam żywego psotnego chłopca o bystrych oczach - powiedziała, ale tak można było opisać każdego chłopca z naszej wioski. - Później twój ojciec sprawdzał sytuację i oświadczył, że twój narzeczony potrafi zapewnić rodzinie godziwe życie. Nie masz się czego obawiać. Twoja przyszła teściowa to zwykła przyzwoita kobieta.

Zastanawiałam się, czy rzeczywiście jest to wszystko, co wie. A może powiedziała mi tak mało, nie chcąc mnie przestraszyć? Może mój kuzyn był garbaty, a jego matka odznaczała się okrucieństwem i zamierzała uczynić ze mnie swoją niewolnicę?

Po trzech miesiącach od ślubu do domu rodzinnego przybyła z wizytą Gawhar. Jej nieładna twarz zaróżowiła się i ożywiła. Przedtem nigdy taka nie była. Spytałam moją przyjaciółkę, jak traktuje ją teściowa. Czy musi pracować o wiele ciężiej niż w domu rodzinnym? A co ważniejsze, jak się czuła, gdy do jej łóżka po raz pierwszy przyszedł mąż? Czy ją bolało? W odpowiedzi tylko kręciła głową i zarumieniała się jeszcze bardziej.

- Daryo, wkrótce sama się wszystkiego dowiesz - odpowiedziała wymijająco.

- Nie chcę wyjeżdżać jesienią z Susmar Chord - powiedziałam do matki, gdy wspólnie pracowałyśmy na podwórzu.

Mój ślub miał się odbyć w pierwszym miesiącu po długich letnich upałach, bo ten miesiąc uchodził za najlepszy do zawierania małżeństw. Było słoneczne popołudnie i wiał łagodny wiatr, roznosząc wiosenne zapachy. Matka postanowiła wytrzepać i przewietrzyć pościel oraz dywany. Robiła wiosenne porządki, zwłaszcza że w każdej chwili mógł wrócić z Kabulu ojciec. Energicznie trzepała dywaniki i kładła je na krzewach, żeby się przewietrzyły. Dywany powiesiłyśmy na sznurach przymocowanych do pni drzew i otrzepywałyśmy je krótkimi grubymi gałęziami.

- Daryo, wiesz, że musisz - powiedziała matka. - Zareczyny obejmują wszystkie lata, które minęły. Zmiana takich planów jest nie do pomyślenia. Rodzina twojego narzeczonego zostałaby okryta wstydem. Poza tym nie mamy wyboru. W naszej wiosce brak nieżonatych mężczyzn w wieku odpowiednim do zawarcia pierwszego małżeństwa. A żaden ze starszych nie będzie na tyle niegrzeczny, żeby brać sobie młodszą od pierwszej drugą żonę spośród kobiet z naszej wioski.

- Wiem, wiem - odpowiedziałam, ale od kiedy Sulima zagroziła, że mnie przeklnie, stałam się bojaźliwa w jakiś niewytłumaczalny dla siebie sposób. Chciałam uwolnić się od niej, lecz zarazem przykra była mi myśl o opuszczeniu domu i wszystkiego, co znam. Wciąż spoglądałam na gwiazdy na niebie i zastanawiałam się nad ich torami, a także nad drogami, którymi podążę w życiu zgodnie z tym, co powiedziała mi babcia. Niestety, mój obecny strach mógł zniszczyć poczucie siły, które kiedyś miałam.

Weszłam po drabinie na dach, a matka podała mi pościel, żebym ją tam położyła. Chciała ją odświeżyć na wietrze i słońcu. Spostrzegłam stamtąd w polu Sulimę. Stała zwrócona na wschód.

- Na co tak patrzysz? - spytała stojąca na dole matka.

- Zauważyłam Sulimę. Spogląda w stronę swojego domu - odpowiedziałam, schodząc na dół.

Matka wzruszyła ramionami.

- Nic tu po niej i wie o tym. Gdyby twój ojciec porozmawiał ze mną i poprosił mnie o zgodę na drugą, młodszą ode mnie żonę, żeby częściowo odciążyla mnie od obowiązków, zgodziłabym się na to z prawdziwą ulgą i traktowała ją jak siostrę, tak jak powinno być. Mógł się udać do jakiejś wsi czy miasteczka w okolicy albo... Cóż, to przebrzmiała sprawa. Myślałam o niej tyle razy, że już na mnie nie działa. A Sulima straciła wpływ na twojego ojca. Jej własny syn płacze, gdy ona bierze go na ręce. Ta kobieta nie ma w naszej wiosce żadnej przyjaciółki. Nigdy nie poprosiła o zgodę na odwiedzenie swej rodziny i nikt z jej wioski nigdy tu do niej nie przyszedł.

Mylisz się, pomyślałam. Przywołałam w pamięci zaokrąglone plecy i ogoloną głowę Kafira.

- Z pewnością Sulima wyobrażała sobie, że Tadżykowie mają wspaniałe życie i Kosha będzie ją stale obsypywał podarunkami, poświęcał jej uwagę. Jest niewiele od ciebie starsza, Daryo. - Matka położyła mi rękę na ramieniu. - Widzę, jak od niej stronisz. Napawa mnie smutkiem, że już dłużej ze mną nie będziesz, a ona, niestety, zostanie tu do końca swych dni. - Westchnęła. - Nie zawsze łatwo zrozumieć plany Allaha.

Patrzyłam na matkę. Nie stroniłam od Sulimy, lecz chroniłam się przed tkwiącym w niej złem. Ale matka o tym nie wiedziała. Tak samo jak Gawhar, uznawała w życiu parę prostych zasad: trwać w pokorze u boku męża, wychować córki na ciche i posłuszne żony,

utrzymać dom w czystości i, co być może było najważniejsze, do nikogo nie żywić urazy. Wybaczać. I wybaczyła ojcu żaloszny wybór drugiej żony, a teraz spostrzegłam, że na swój sposób wybaczyła nawet Sulimie fakt urodzenia się niewierną. Nie miała pojęcia o jej sile, nigdy nie widziała jej takiej, jaką ja widziałam: przemienioną w dzinna zdolnego odebrać komuś życie. Ja nie byłam taka dobra jak moja matka czy Gawhar. Miałam też ciemną stronę charakteru i coś w sobie, nad czym nie panowałam. Zastanawiałam się, jak będę z tym dalej żyć.

Później tego dnia matka kazała mi odkurzyć i pozamiatać sypialnię jej i ojca, oddzieloną od reszty mieszkania zasłoną. Poszła na plac, gdzie sprzedawał swoje towary wędrowny handlarz. Chciałam jej towarzyszyć, żeby nie zostawać w domu tylko z Sulimą, ale mi nie pozwoliła.

- Lada chwila może wrócić do domu twój ojciec - powiedziała. - Z pewnością drogi z Kabulu są już przejezdne.

Gdy tylko wyszła, Sulima spojrzała na mnie znad swej biżuterii, którą wysypała na łóżko i porządkowała.

- A więc matka zostawiła cię ze mną samą - skomentowała ze złowieszczym uśmiechem.

Odwróciłam się od niej.

- Mam dużo pracy - zbyłam ją, nie chcąc rozmawiać na ten temat. Rzuciłam przez ramię: - Czy chcesz, żebym przewietrzyła twoją pościel?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że jestem brudasem? - spytała prowokacyjnie.

Pokręciłam głową.

- Ależ skąd, Sulimo.

- Więc nie pouczaj mnie, co mam robić.

- Ależ nie zamierzałam...

- Zamknij się! - wrzasnęła tak, że siedzący przy moich nogach na podłodze Yusuf pisnął przestraszony. - Jego też uspokój. Wiesz, jak jego beczenie mnie drażni.

Wzięłam chłopca na ręce i instynktownie się cofnęłam, spoglądając z bezpiecznej odległości, jak Sulima wkłada biżuterię z powrotem do torebki, którą postawiła na niskiej półce nad łóżkiem. Nagle tak nieoczekiwanie odwróciła się na pięcie w moją stronę, że

odskoczyłam w bok i zaparło mi dech w piersiach, a Yusuf skrzywił się i chwycił mnie za ramię.

- Widzę, że gapisz się na moją biżuterię - burknęła i mimo że zaczęłam kręcić głową, spytała bezczelnie: - Chcesz mi coś ukraść?

- Ależ skąd, Sulimo - zaprzeczyłam, wciąż kręcąc głową. - Nie zrobiłabym tego.

- W porządku - powiedziała, zbliżając się do mnie. - Bo gdybyś zrobiła lub powiedziała coś, czego nie powinnaś, wiesz, co by się stało?

Skinęłam głową. Byłam tak przerażona, że z trudem oddychałam.

Sulima zbliżyła się do mnie jeszcze bardziej i szarpnęła Yusufa za włosy. Chłopiec wrzasnął i wtulił twarz w moją szyję, a ja osłoniłam jego głowę ręką. W tym momencie przybiegła do mnie Nasreen i uczepiła się mojej spódnicy. Szczęśliwie Sulima nie próbowała ponownie pociągnąć swego synka za włosy.

- Idę na spacer - oświadczyła i ostrzegła mnie: - Jeśli dotkniesz mojej torebki z biżuterią, będę o tym wiedziała. Pamiętaj. Widzę wszystko, co robisz. Nawet kiedy nie wiesz, patrzę na ciebie.

Spuściłam głowę, przyciskając Yusufa mocniej do piersi. Jak mogłabym o tym zapomnieć?

Gdy Kafirka wyszła z domu, wzięłam głęboki oddech, posmarowałam kawałki chleba miodem i dałam dzieciom do zjedzenia. Kiedy się uspokoiły, zabrałam je za zasłonę i dałam im do zabawy drewniane klocki. Otworzyłam okiennice, wpuszczając do środka ciepłe wiosenne powietrze. Wytarłam ściany z kurzu. Matka położyła już na łóżku świeżą pościel, ale dywaniki nadal stały zrolowane w kącie. Uklękłam, pochyliłam się i zaczęłam wymiatać kurz spod niskiego łóżka. Było go dużo, bo pod łózkami sprzątałyśmy przed ramadanem. Usłyszałam, że do domu weszła matka, coś nucąc. Sięgnęłam miotłą najdalej jak mogłam i natrafiłam pod ścianą na coś twardego. Położyłam się na brzuchu i przysunęłam miotłą ten ciężki przedmiot do siebie. Był to sztylet pokryty grubą warstwą kurzu, w srebrnej pochwie, którą znałam aż nadto dobrze. Należał do Kafira, który spał z Sulimą w tym łóżku.

- Daryo! Dzieci! Chodźcie! Ojciec wrócił! - zawołała uradowana matka.

Nasreen pobiegła do głównej części mieszkania, a Yusuf podążył za nią na czworakach. Ukryłam sztylet w fałdach sukienki i odsunęłam zasłonę w chwili, gdy ojciec wszedł do domu.

- Kosha! Wróciłeś wcześniej! Spodziewałam się ciebie za kilka dni! - zawołała na jego widok matka.

- Pogoda zmieniła się tak szybko, że postanowiliśmy wcześniej zacząć siać i sadzić. W Kabulu mieliśmy dużo pracy z powodu trzęsienia ziemi, które jesienią nawiedziło miasto, ale było tam też więcej niż zwykle rąk do pracy. Od dawna tak dobrze nie zarobiliśmy.

- Położył na podłodze ciężkie juki i opadł na poduszkę, dodając: - Dobrze być w domu. Chodźcie, dzieci! - Wyciągnął ręce do Nasreen i Yusufa.

Nasreen podbiegła do niego, a Yusuf zatrzymał się i włożył piąstkę do ust.

- Ma jeszcze słabą pamięć, ale za chwilę sobie ciebie przypomni - zapewniła ojca bardzo uradowana matka. - Idę przygotować coś do zjedzenia. Daryo, chodź mi pomóc!

- Poczekajcie chwilę - zatrzymał nas ojciec, obejmując stojącą obok niego Nasreen. - Usiądźcie. Mam podarki. - Rozejrzał się po mieszkaniu i spytał: - Gdzie Sulima?

- Poszła na spacer - odpowiedziałam. Na ukrycie sztyletu było już za późno.

- Nie będziemy na nią czekać - zdecydował ojciec. Gdy matka usiadła obok niego, sadzając sobie Yusufa na kolanach, wyjął z juków dużą belę jedwabiu o pięknym wiśniowo - granatowym splocie i powiedział: - Anahito, to dla ciebie, na odświętny strój. Kupiłem u Turkmena. Oni wyrabiają najpiękniejszy jedwab. Mam też do jej ozdobienia szklane paciorki... O, tu są. - Podał matce tkaninę i płócienny woreczek. Matka przyjęła prezenty, uśmiechając się do niego czarująco.

- Zobacz... - Wyjął z juków małe drewniane zabawki. - Nasreen, to dla ciebie. - Podał jej wielbłąda na ugiętych nogach i długiego węża, złożonego z wielu pomalowanych części.

Przyjęła je, uśmiechając się wstydliwie i przyciskając do piersi.

- A dla mojego syna mam... - Pomachał dziecku przed nosem drewnianym nożem, ale Yusuf odwrócił się nadąsany, nadal trzymając w buzi piąstkę. - Wówczas ojciec położył zabawkę na podłodze i

zwrócił się do mnie: - Daryo... - Przyjrzał mi się uważnie. - Urosłaś w ciągu tych kilku miesięcy. Podejź tu. Dla ciebie też coś mam.

Stałam w miejscu, jakby nogi wrosły mi w ziemię.

- Nie chcesz zobaczyć, co ci przywiozłem? - zdziwił się ojciec.

- Daryo - ponagliła mnie matka. - Nie zachowuj się lekceważąco. Podejź do ojca.

Wolno przeszłam przez pokój, ściskając w prawej dłoni sztylet i ukrywając go w fałdach sukienki.

- Dla mojej najstarszej córki mam pierwszą sztukę biżuterii. Włoży ją jako panna młoda. - Wyjął z juków niewielki lazuryt zawieszony na długim srebrnym łańcuszku.

- Jest piękny - powiedziałam nieswoim głosem. Ojciec podał mi ozdobę.

- Weź - zachęcił.

Niezdarnie wyciągnęłam lewą rękę, a prawą przesunęłam do tyłu. Poczułam nad ustami kropelki potu, gdy ojciec przechylił głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Daryo! - napomniała mnie matka. - Podziękuj ojcu! Co tam trzymasz z tyłu?

Momentalnie stanęła przy mnie i wyciągnęła mi zza pleców prawą rękę. Na widok sztyletu ona i ojciec osłupieli. Ale ojciec zaraz sięgnął po sztylet i podałam mu go. Siedząc na poduszce, długo go oglądał, obracając w swych grubych palcach, na których widniały liczne blizny.

- Dlaczego trzymałaś go w ręku? - spytał mnie w końcu, Otarłam pot znad górnej wargi.

- Nie... nie wiem - odpowiedziałam. Mój umysł wydawał mi się sztywny tak samo jak ciało. Nie potrafiłam sformułować zdania wyjaśnienia, a zwykle miałam odpowiedź na każde pytanie. Ściskałam w dłoni naszyjnik z gładkim, chłodnym lazurytem.

- Nie wiesz? Skąd ten sztylet się wziął? Anahito? Wiesz? - niecierpliwił się ojciec.

- Nie. Daryo? Czekamy na odpowiedź - ponagliła mnie matka.

Musiałam teraz coś powiedzieć. Nie potrafiłam wymyślić żadnego kłamstwa.

- Znalazłam go pod łóżkiem - odparłam cicho.

- Pod naszym łóżkiem? - spytała z niedowierzaniem matka, akcentując słowo „naszym”. - Do kogo on należy? Nigdy nie widziałam sztyletu o takim kształcie czy tak ozdobionego.

- To sztylet Kafirów - stwierdził ojciec tak samo cicho jak ja. - Czyli należy do Sulimy - uznała matka.

Ojciec pokręcił głową.

- Kobiety nie noszą takich sztyletów, tylko mężczyźni - powiedział.

- No to jak... - matka przerwała. Widać było, że już nie zastanawia się nad tym, skąd pod łóżkiem wziął się sztylet, lecz że się boi.

Ojciec wstał tak gwałtownie, że nadepnął mi na stopę. Próbowałam się odsunąć, ale nie cofnął nogi. Strasznie poczerwieniał.

- Anahito, poszukaj Sulimy. Nic jej nie mów, tylko ją do mnie przyprowadź - polecił matce tonem, którego u niego jeszcze nie słyszałam, nawet gdy był na mnie bardzo zły lub kiedy mnie karmił.

Pomyślałam z przerażeniem, że wiem, co nastąpi.

Rozdział XI

Po kilku minutach do domu weszła za matką Sulima. Czekaliśmy na nią z ojcem w milczeniu, siedząc na poduszkach. Nie mogłam opanować drżenia. U naszych stóp uszczęśliwiona Nasreen bawiła się wielbłądem i węzem, a Yusuf ssał rękojeść drewnianego noża.

- Kosha - odezwała się na widok ojca Sulima. Wyciągnął rękę i pokazał jej sztylet.

- Darya to przyniosła - oznajmił.

Zamknęłam oczy. Dlaczego to powiedział? Dlaczego wymienił moje imię? Gdy znowu otworzyłam oczy, Sulima patrzyła na mnie. Zasłoniłam się dłońmi, żeby nie zobaczyć w jej twarzy tego, czego się bałam - straszego oblicza dzinna.

- Sulimo? - warknął ojciec z taką zaciekłością, że odjęłam rękę od oczu i spoglądałam to na niego, to na nią. - Naprawdę jesteś bardzo przebiegła.

Nadal odwrócona do mnie Kafirka przewróciła oczami, ukazując tylko ich białka. Ojciec nie mógł znieść tego widoku.

- Czy możesz nam wytłumaczyć, w jaki sposób sztylet należący do jakiegoś Kafira znalazł się...

Zanim skończył zdanie, Sulima upadła na podłogę, jakby ją brutalnie popchnęła czyjaś niewidzialna ręka. Leżąc na wznak, zacisnęła dłonie i waliła nimi o podłogę. Po chwili zaczęła uderzać także piętami, a następnie również głową, tak mocno, że jej czaszka podskakiwała jak piłka. Usta miała zaciśnięte, ale wydając z siebie stłumione piski i oddychając, lekko je rozchyłała i wydymała policzki. Ojciec pochylił się nad nią.

- Co to jest?! - krzyknął jej w twarz, a gdy zaczęła piszczeć głośniej, spojrział bezradnie na matkę i ryknął: - Anahito! Powstrzymaj ją!

Matka podeszła do Kafirki, która nagle zaczęła drapać się po twarzy i szarpać za włosy. Rozorywała sobie skórę długimi paznokciami. Zanim matka zdołała chwycić ją za rękę, z ran na jej policzkach i szyi popłynęła krew. Zerwałam się z poduszki. Przerazona Nasreen, która gdzieś się oddaliła, podbiegła do mnie i objęła mnie za nogi, kryjąc twarz w mojej spódnicy. Yusuf nadal siedział na podłodze i histerycznie płakał ze strachu. Wzięłam go na rękę, ale nie mogłam się uspokoić.

Słyszałam opowieści o kobietach opętanych przez dżinna, nie wyobrażałam sobie jednak, że wygląda to tak strasznie.

- Kosha, pomóż mi ją trzymać! - zawołała matka, przekrzykując nieznośny hałas, bo Nasreen też zaczęła histerycznie płakać.

Ojciec trzymał Sulimę za nogi, a matka chwyciła ją za ręce i intonowała święty werset.

- W imię Allaha, najłaskawszego i najmiłosierniejszego Boga... - powtarzała w kółko w nadziei, że w ten sposób odstraszy od Sulimy złe duchy.

Ojciec dołączył do matki. Ja też zaczęłam bezwiednie wypowiadać w myślach to zdanie wraz z rodzicami.

Czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu Kafirka jakby osłabła. Przestała pisać, choć nadal rzucała głową. Miała sinawe usta. Dzieci zaczęły się uspokajać. W domu zapanowała wreszcie cisza. Słysząc było tylko ciężkie oddechy dorosłych i drżące, przyspieszone oddechy dzieci. Wydawało się, że Sulima zasnęła z wyczerpania, choć oczy miała na wpół otwarte.

Rodzice wymienili spojrzenia i wolno oswobodzili jej ręce i nogi. Widząc, że leży nieruchomo, usiedli na piętach.

Matka otarła pot z twarzy rąbkiem sukni.

- Połóżmy ją na naszym łóżku - powiedziała do ojca. - Obmyję jej zadrapania. - Spojrzała na mnie i poleciła: - Zajmij się dziećmi. Zaśpiewaj im. Opowiedz bajkę. Zrób wszystko, żeby się uspokoiły.

Yusuf wtulał twarz w moją szyję i cichutko pojękiwał. Nasreen stała przy mnie, czkając. Zaniósłam ich na swoje łóżko. Dałam im wody do picia i położyłam na kolanach nowe zabawki, ale się nimi nie zainteresowali. Ja też napiłam się wody. Próbowałam im coś zaśpiewać, lecz, niestety, tylko zachrypiałam. Miałam ściśnięte gardło. Zaraz znowu zaschło mi w ustach.

Ojciec usiadł z powrotem na poduszce. Znieruchomiały, trzymał w rękę sztylet i wpatrywał się w zasłonę.

Po długiej chwili zza zasłony wyszła matka, niosąc szmatkę i miednicę z wodą, zaróżowioną od krwi. Podwiesiła zasłonę na gwoździu wbitym w ścianę. Przy łóżku zapaliła małą lampę.

- Sulima zasnęła, ale musimy czuwać na wypadek następnego ataku. Zadrapania są głębokie. Miejmy nadzieję, że nie pozostawią blizn - powiedziała do ojca i zerknęła na mnie.

Siedziałam na łóżku, po jednej stronie mając Nasreen, a po drugiej Yusufa. Obejmowałam ich oboje. Gdy zasnęli, położyłam ich i przykryłam kołdrą.

Matka zapaliła grubą świecę.

- Kosha, dlaczego opętał ją džinn? - spytała. - Dotychczas widziałam tylko kilka młodych kobiet w takim stanie, bo nie potrafiły poradzić sobie ze śmiercią dziecka lub męża czy z nienawiścią teściowej. Dlaczego džinn wszedł w Sulimę? Przecież ta kobieta nawet nie wierzy w złe duchy. - Obserwowała twarz mojego ojca, składając i rozkładając szmatkę. - Czy powinniśmy spróbować jakiejś kuracji? Jutro moglibyśmy ją przywiązać do drzewa koło meczetu. Nie jest muzulmanką, ale gdybyśmy dobrze zapłacili mulle, to może pomodliłby się za nią i džinn by z niej wyszedł? Kosha, co o tym myślisz? Czy to dobry pomysł? Znam sytuacje, kiedy to się sprawdziło, choć oczywiście chodziło o kobiety wierzące... - przerwała, czekając na odpowiedź.

- Przypadek Sulimy nie ma nic wspólnego z džinnem - zaczął ojciec, podnosząc w końcu wzrok znad sztyletu. - Ta kobieta wymyśliła ten atak, żeby nie musieć zmierzyć się z prawdą, którą dziś odkryliśmy. - Uniósł sztylet i srebrna pochwa rozbliłyła w migającym świetle świecy, a wyryty w metalu wizerunek ryby zdawał się falować. - To cudzołożnica. Ośmieszyła mnie, zabawiając się z mężczyzną ze swojej wioski. To jest dowód. Matka pokręciła głową.

- To niemożliwe, Kosha. Kiedy miałyby się to stać? W jaki sposób mogła przyprowadzić tu mężczyznę? Przecież przez całą zimę byliśmy z Daryą w domu. Sulima zostawała sama najwyżej na godzinę, gdy szłyśmy gdzieś z wizytą. - Spojrzała na mnie i spytała: - Prawda, Daryo?

Skinęłam głową.

- Sulima jest przebiegła. Nie dowiemy się, jak to robiła i z kim ani jak często. Ale jej niewierność jest oczywista - oznajmił ojciec.

Co można było na to powiedzieć? Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu ojciec podniósł się powoli z poduszki i podszedł do znieruchomiałej na łóżku Kafirki. Warknął i chwycił ją za gardło.

Zerwałyśmy się z matką z miejsc, a Sulima natychmiast usiadła, wydając zduszony krzyk i wbijając paznokcie w ręce ojca. Wybałuszyła oczy i wysunęła język.

Matka podbiegła do łóżka, żeby odciągnąć od niej ojca.

- Kosha, przestań! - krzyknęła. - Nie zabijaj jej! Jest matką twojego syna! Nie! - Zaczęła szlochać. - Pomyśl o karze, jaka może cię spotkać za to, że ją udusiłeś. To mułła powinien postanowić, co należy z nią zrobić.

Ojciec jeszcze przez moment trzymał swoją drugą żonę za gardło. Gdy nagle ją puścił i rzucił na łóżko, gwałtownie wciągnęła powietrze. Wyszedł z domu, a ona leżała z głową przewieszoną przez krawędź łóżka, krztusząc się i wymiotując.

Matka usiadła przy mnie.

- Madar, co teraz będzie? - spytałam cicho po długiej chwili. Położyła dłonie na kolanach i oparła na nich głowę.

- Dziś twój ojciec prawdopodobnie będzie nocował w czajchanie. A jeśli chodzi o jutro, to... - Uniosła głowę. Nagle drobne zmarszczki w kącikach jej oczu i głębsze po obu stronach ust stały się lepiej widoczne. - A jeśli chodzi o jutro, to tylko Allah zna los nas wszystkich.

Obudziłam się o świcie. W domu było bardzo zimno. Zapomniałyśmy z matką zamknąć wieczorem okiennice. Spałyśmy w moim łóżku, razem z Nasreen i Yusufem. Ale obudziłam się nie z powodu niewygody, lecz dziwnego lęku. Oparłam się na łokciu i nasłuchiwałam. W domu panowała martwa cisza. Zerknęłam na Nasreen i Yusufa. Spali przytuleni do siebie między mną a matką jak dwoje zmęczonych szczeniąt. Matka też była pogrążona we śnie. Leżała na wznak z rozchylonymi ustami.

Wstałam z łóżka, okrywając dzieci kołdrą. Miałam zimny nos i dłonie. Postanowiłam rozpaścić ogień. Rozprostowując ramiona i przeciągając się, zerknęłam w stronę wciąż podwieszanej na gwoździu zasłony. Pościel na łóżku rodziców, na którym tej nocy spała Sulima, była skotłowana, a w ich części sypialnej wszędzie leżały porzucane ubrania Kafirki, lecz jej samej nigdzie nie było.

- Czy ojciec wrócił? - spytała cichym głosem matka, siadając na łóżku i przecierając oczy. Jej cera miała żółtawy odcień.

- Nie. Sulimy też nie ma - odpowiedziałam.

Matka pokręciła głową i z powrotem opadła na poduszkę.

- Daryo, nie mam siły ani myśleć, ani wstać. Proszę, wyjrzyj na podwórze i zerknij na dach. Postaraj się znaleźć Sulimę. Idź do

czajchany i obudź ojca. Powiedz mu, żeby wrócił do domu. Musimy postanowić, co dalej robić.

Nie tracąc czasu na rozpalanie ognia, wybiegłam na podwórze i weszłam po drabinie na dach. Rozejrzałam się po okolicy, ale nigdzie nie zobaczyłam drugiej żony ojca. Nad ziemią snuły się blade opary, a za górami pojawiła na niebie poranna zorza. Rozległo się wezwanie mułły do modlitwy. Jego głos niósł się ponad dachami domów. Pobożni muzułmanie rozpoczynali poranne modły. Zeszłam z dachu i ruszyłam do herbaciarni po ojca.

Gdy dotarłam na plac, ze zdziwieniem spostrzegłam, że choć jest tak wcześnie, zgromadził się tam niewielki tłum. Niektóre kobiety trzymały w rękach dzbany na wodę. Korony drzew obsypane młodymi liśćmi tworzyły nad zebranymi zielony baldachim. Wszyscy milczeli, co nieoczekiwanie mnie przestraszyło. Zastanawiałam się, dlaczego ci ludzie stoją tam tak wcześnie rano, słowem się nie odzywając.

Podeszłam do nich. Wówczas z jakiegoś nieznanego mi powodu rozstąpili się i przepuścili mnie. Zobaczyłam Sulimę. Miała rozdartą na piersiach suknię, rozczochrane włosy i zadrapania na policzkach, a szyję całą w sińcach. Kilka kroków dalej leżała na ziemi jej ozdobna torebka, z której wysypały się złote i srebrne bransolety, pierścionki, bransoletki noszone na kostkach nóg i kolczyki. Rozpoznałam wśród nich biżuterię mojej matki. Obok Kafirki stał mój ojciec i ścisnął ją za rękę. Znaczyło to, że druga żona mojego ojca chciała uciec, lecz on zaczął się za naszym domem i przywlókł ją na plac, chcąc publicznie ogłosić jej cudzołóstwo. Dzięki temu mułła mógł nałożyć na nią stosowną karę, w tym wypadku z pewnością ukamienowanie.

Nagle Kafirka wyrwała rękę z uchwytu mojego ojca. Wyglądała na to, że już nie boi się swojego męża, tak jak wczoraj wieczorem. Na jej twarzy nie dostrzegłam ani strachu, ani wstydu. Napięcie wśród zebranych wzrosło. Rozejrzała się wśród nich i utkwiała wzrok we mnie. W jej oczach było tyle nienawiści, że głośno wciągnęłam powietrze i zasłoniłam usta. Zbliżyła się do mnie, a stojący wokół nas ludzie odsunęli się do tyłu. Nie odrywając ode mnie wzroku, wymruczała coś pod nosem, a następnie wypowiedziała różne tadżyckie przekleństwa i niezrozumiałe słowa kafirskie. Z kącików jej ust ciekła ślina, a oczy stały się szkliste. Znowu wprawiała się w trans, choć inny niż ten, którego świadkiem byłam wczoraj, i ten, w który wpadła w dniu przyjęcia, kiedy na moich oczach zamieniła się w

dżinna. Ojciec ponownie chwycił ją za rękę, ale rzuciła się na niego z pazurami. Uchylił się i odsunął. Inni mieszkańcy wioski też się odsunęli i szeptali ochronne modlitwy.

- To dżinn, który udaje kobietę - orzekł jeden z mężczyzn. Gdy zgromadzeni potaknęli, dodał: - Kafirka najpierw oszukała Koszę, a teraz szerzy zło wśród nas wszystkich.

- Nie patrz na nią! - zawołała piskliwym głosem stojąca za mną kobieta. Zakryła twarz zasłoną, gdy tylko się do niej odwróciłam, a w ślad za nią inne kobiety. - To poganka - powiedziała. - Nie wierzy w dobrego Boga, którego mogłaby o coś prosić czy za coś Mu dziękować. Zamiast tego przyzywa złe duchy, żeby jej pomagały osiągać zamierzone cele. Dobrzy ludzie, zasłońcie oczy! - Cofnęła się jeszcze bardziej.

Spojrzałam znowu na Sulimę i to był błąd, bo w jakiś sposób sprawiła, że nie potrafiłam już oderwać od niej wzroku. I nie mogłam się poruszyć. Zastanawiałam się, dlaczego ojciec nie spieszy mi z pomocą. Czyżby skamieniał tak samo jak ja? Jakieś niemowlę zakwiliło i zapadła śmiertelna cisza. Sulima wolno podeszła do mnie bardzo blisko. Miała zaśliniony podbródek i nadal coś bełkotała pod nosem. Jej źrenice wyglądały jak czarne punkciki, a usta wykrzywił szkaradny uśmiech.

- Przeklinam cię, Daryo, zła kobieto, która sprowadziłaś na mnie ten kłopot - zaczęła mówić głośno i wyraźnie w bezbłędnym języku dari. - Ostrzegałam cię, ale to zlekceważyłaś.

Chciałam zaprotestować przeciwko temu oskarżeniu, oświadczyć, że nie zdradziłam jej sekretu, że prawda wyszła na jaw na skutek czyjegoś błędu i zbiegu okoliczności, ale nie mogłam poruszyć ustami.

- Ponieważ to zrobiłaś, musisz zostać przeklęta. Ale nie ukarzę cię zwykłymi bólami głowy czy wrzodami, lecz nieszczęściem, które będzie ci towarzyszyć do końca twoich dni - oświadczyła Sulima.

W tłumie rozległy się ciężkie westchnienia.

- Staniesz się bezpłodna! - zaskrzeczała. - W twoim łonie zamiast dziecka utworzy się tylko twardy węzeł, jak zwinięty czarny wąż. Zamienisz się w wyschniętą, pustą wiedźmę. Mężczyźni będą od ciebie stronili, a inni ludzie tobą pogardzali. Zwiędniejesz się, nie mając synów, którzy by cię szanowali, i synowych, które by się tobą opiekowały. Będziesz znaczyć mniej niż kurz pod kopytami

wielbłąda. - Umilkła, a po chwili dodała zawodzącym głosem, odrzucając głowę do tyłu i unosząc ręce do góry: - Umrzesz w samotności!

Po tych słowach pozbierała porozrzucane na ziemi złote i srebrne ozdoby, w tym również te należące do mojej matki, i schowała je do torebki. Zrobiła to wolno, nie patrząc na nikogo i nie zdradzając żadnych oznak strachu.

Gdy ruszyła z placu w stronę gór, odprowadzałam ją wzrokiem. Widziałam ją jakby przez tańczące przed moimi oczami języki ognia, drgającą i zdeformowaną. Ogień był coraz gorętszy. Wypalił mi oczy, a w końcu rozpalony do białości pochłoniął mnie całą. Z tego dnia nie zapamiętałam już nic więcej.

Rozdział XII

Minął rok od czasu, gdy Kafirka odeszła z naszej spokojnej wioski, ale dla mnie okazał się zgubny, bo ta kobieta mnie zniszczyła. W naszym domu nie wymieniało się jej imienia. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wróciła do rodziny, do Wamed. Namoor zapewne okrutnie ją pobił, ale przecież miał naszą klacz, a poza tym Sulima zabrała swój posag. Wyobrażałam ją sobie teraz, jak śmieje się z nas, leżąc w objęciach Kafira, któremu brakowało górnego kła, a może w ramionach innego mężczyzny. Z pewnością powróciła do swojego dawnego życia, a moje legło w gruzach. Wiadomość o tym, że mnie przeklęła, błyskawicznie rozeszła się po tadżyckich wioskach.

Początkowo czułam dziwną ulgę: już dłużej nie musiałam żyć w strachu, bo groźba rzucenia na mnie klątwy została zrealizowana i byłam od niej wolna. Po odejściu Sulimy chorowałam przez tydzień, dręczona gorączką i koszmarnymi snami. Gdy w końcu wstałam z łóżka i odzyskałam zdolność jasnego myślenia, zrozumiałam cały ogrom szkód, jakie mi wyrządziła.

Kiedy znikła, ojciec udał się do Kame Bara, chcąc przemówić krewnym matki do rozsądku, ci jednak zerwali moje zaręczyny z ich synem i unieważnili zawartą dawno temu umowę ślubną. Ojciec był przekonany, że wszyscy Tadżykowie, od naszej wioski po Kabul, dowiedzieli się o wydanym na mnie przez Sulimę wyroku śmierci. I od tego czasu śmierć unosiła się wokół mnie jak popiół na wietrze. Nie miałam szansy wyjść za mąż. Stałam się, jak zapowiedziała Kafirka, warta mniej niż kurz pod kopytami wielbłąda.

Teraz mężczyźni z Susmar Chord bali się Daryi, córki Koshy, zarówno ci, którzy znali mnie od urodzenia, jak i moi rówieśnicy. Tak mocno wierzyli w moc przekleństwa rzuconego na muzułmanina przez niewiernego, że uważali za szkodliwe samo przebywanie obok mnie. Gdy ich mijałam owinięta po oczy szalem, ze spuszczoną głową, odwracali ode mnie wzrok i dotykali amuletów. Kątem oka widziałam, jak kładą dłonie na piersiach i wymacują zawieszone na szyi woreczki, często pociemniałe od długiego noszenia. Pobłogosławione przez mułłę, zawierały kilka słów z Koranu. Błagali Allaha o ochronę, gdybym nagle na któregoś spojrzała. Spytałam ojca, czy modlitwy mułły mogą mnie uwolnić od przekleństwa. W odpowiedzi odwrócił się ode mnie z posepną miną i gwałtownie pokręcił głową. Pojęłam wtedy, że wszelkie modlitwy odmawiane

przez mieszkańców naszej wioski i wszystkie zgromadzone w niej niebieskie paciorki nie są w stanie zdjąć ze mnie przekleństwa, podczas gdy pobłogosławione przez mułkę amulety zapewniają przede mną ochronę.

Również kobiety stawały się w mojej obecności nerwowe. Za przyczyną klątwy nie tylko byłam bezpłodna, ale stałam się wyrzutkiem we własnej wiosce. Teraz żadna z kobiet nie odwiedzała mnie i mojej matki w domu i nie zapraszała nas do siebie. Gdy tylko przestały do nas przychodzić, powiedziałam matce, że nie chcę żadnej widzieć, niech da im to jasno do zrozumienia. Dzięki temu mogły przynajmniej nadal zapraszać do siebie ją samą. Jediną osobą, która wciąż ze mną rozmawiała i uśmiechała się do mnie, była Yalda. Ona nie bała się, że ktoś ją ze mną zobaczy. Zapraszała mnie do siebie na herbatę i prosiła, żebym jej pomagała sporządzać lekarstwa.

Gdy kiedyś byłam u niej i nacierałam korzenie roślin, całą swoją złość wkładając w uderzanie z odpowiednią siłą kamieniem o kamień, położyła mi rękę na ramieniu i zmusiła do przerwania pracy.

- Daryo, czasami klątwa może się okazać błogosławieństwem - powiedziała.

Prychnęłam.

- Błogosławieństwem? Ależ, Yaldo, przynosi tylko nieszczęście. Zapewniam cię, że nie dostrzegam w swoim życiu żadnego błogosławieństwa - odparłam.

- Nie wiadomo, jaki kształt przybierze klątwa. Może się nie ziścić w sposób zamierzony przez przeklinającego. Spotkałam się z tym. Zależy to nie tylko od tego, kto przeklina, lecz również od tego, kto zostaje przeklęty. O mocy przekleństwa, które rzuciła na ciebie Sulima, decyduje również twoja siła - wyjaśniła.

Słyszając słowo „siła”, powróciłam do mielenia i z jeszcze większą złością pocierałam kamieniem o kamień. Babcia też mi mówiła, że mam siłę, a przecież nie miałam.

- W Susmar Chord nie doczekam się żadnego błogosławieństwa - powiedziałam.

- Tu może nie, ale gdzie indziej...

- Gdzie indziej? - przerwałam jej i niemal krzyknęłam: - A dokąd ja pójdę?!

Patrzyłam w zdrowe oko Yaldy i zastanawiałam się, co o mnie wie, a przed nią co wiedziała babcia. Ostatecznie uznałam, że obie się

myliły: moim przeznaczeniem było do końca życia tkwić w tej wiosce i znosić pogardę jej mieszkańców. Ale zreflektowałam się i przeprosiłam Yaldę za niegrzeczne zachowanie. Byłam jej wdzięczna za życzliwość. W jej towarzystwie dzień mniej mi się dłużył. Kobiety w moim wieku plotkowały przy herbacie, śmiały się, spotykając przy studni, gotowały posiłki swoim mężom i zajmowały się dziećmi, a mnie to wszystko zostało zabrane. Dzięki mądrości, którą dzieliła się ze mną akuszerka, miałam jednak o czym myśleć, gdy leżałam wieczorem w łóżku, słuchając cichych równych oddechów Nasreen i Yusufa. Najtrudniejsze były dla mnie noce. Na myśl, że nigdy nie będę dzielić łoża z mężczyzną, nie stanę na kamieniach, aby urodzić dziecko, i nie poznam uścisku rąk synka lub córeczki, nie potrafiłam zapanować nad smutkiem. Wychodziłam wtedy na dach, nawet jeśli było zimno, i wpatrywałam się w niebo. Było to moje jedyne pocieszenie.

Równie dobrze mogłam mieć kozłą twarz i wielbłądzi garb na plecach. Myślałam o swojej próżności. Zanim Sulima mnie przeklęła, czasami przeglądałam się w niewielkim lustrze, które dawno temu ojciec przywiózł z Kabulu. Podobało mi się moje odbicie. Podziwiałam swoje długie do pasa włosy, które rozpuszczone wyglądały jak czarna, błyszcząca zasłona. Podobała mi się moja trójkątna twarz, a zwłaszcza duże zielone oczy, ocienione gęstymi rzęsami. Byłam wtedy taka próżna, taka młoda i niemądra.

Ostatnio nic mi się nie podobało w mojej twarzy i sylwetce. Byłam za wysoka, wyższa od większości kobiet w wiosce, i może w jakiś sposób podobna do wielbłąda, bo miałam długie, chude nogi i także ręce. Twarz bardzo mi wyszczuplała i teraz oczy wydawały się za duże i przestraszone. Pewnego dnia uznałam, że nie przypominam wiejskiej kozy, lecz dziką kozicę, żyjącą w górskim lesie. Kilka lat temu jeden z mężczyzn z naszej wioski przyprowadził dziką kozicę swoim dzieciom, znalazłszy ją ranną w górskim lesie. Przeżyła tylko kilka tygodni, ale pamiętam jej spojrzenie, gdy głaskałam ją po drżącym kościstym łebku, litując się nad jej losem.

Skończyłam już szesnaście lat. Teraz zaplatałam swoje długie gęste włosy w warkocz i starałam się nie przeglądać w lustrze. Nauczyłam się chodzić ze spuszczoną głową, ale przecież dobrze znałam wszystkie drogi w naszej wiosce. Miałam mieszkać w rodzinnym domu do końca życia mojego ojca. Pocieszałam się

nadzieją, że ojciec umrze dopiero wtedy, gdy Yusuf dorośnie i weźmie sobie żonę, pozwalając mi z litości nadal tu mieszkać wraz z nim i z jego rodziną.

Nasreen i Yusuf szybko rośli. Martwiłam się o moją małą siostrzyczkę. Miała dopiero cztery lata, ale gdy zapłakała z głodu czy ze złości, ojciec na nią krzyczał. W jego obecności spuszczała głowę. Gdy natomiast Yusuf darł się z tych samych powodów, ojciec śmiał się i chwalił go za silny głos i za domaganie się uwagi. Nasreen była podobna do matki, a nie do mnie. Z jednej strony mnie to cieszyło, bo znaczyło, że doświadczy w życiu mniej niż ja fizycznego bólu. Z drugiej jednak smuciło, bo w rzeczywistości znaczyło tylko tyle, że siostra będzie narażona na inny rodzaj bólu, który też dobrze znałam. To był ból duszy.

Zawsze stawiałam ojca w kłopotliwej sytuacji, ale teraz, gdy Sulima mnie przeklęła, jego położenie było po stokroć trudniejsze. Znalazł mi więc męża. Nie zdawałam sobie sprawy, jak daleko skłonny jest pojechać, byleby tylko się mnie pozbyć.

Siedziałam na dachu i podziwiałam świeżą wiosenną zieleń na żółtobrunatnych wzgórzach. Na podwórzu matka szorowała piaskiem garnki. Ojciec wrócił z meczetu i rozmawiał z nią cichym głosem. Żadne z nich nie wiedziało, że jestem na dachu i widzę ich oraz słyszę. Na słowa ojca matka znieruchomiała, po czym odstawiła garnek i pokręciła głową. Ojciec coś cicho dodał.

- Ale już nigdy więcej jej nie zobaczymy! - zaprotestowała głośno matka.

- Kobieto, nie mam wyboru! - zachnął się ojciec. - Jeśli tu zostanie, jej los jest przypieczętowany!

Bezszelestnie przesunęłam się dalej od krawędzi dachu, żeby mnie nie zobaczyli.

- Może moglibyśmy znaleźć dla niej jakiegoś staruszka, który pojąłby ją jako swą najmłodszą, czwartą żonę? Wziąłby ją, wiedząc, że nie urodzi mu dzieci, bo miałyby ich już dużo, jako młodą kobietę zdolną przez wiele lat do ciężkiej pracy - zasugerowała matka.

- Ale wtedy nie będziemy mogli oczekiwać za nią zapłaty - argumentował ojciec. - Zaproponowałem jedyne możliwe rozwiązanie. Ci ludzie nic nie wiedzą o klątwie, jaka na niej ciąży, i dopiero za kilka lat zorientują się, że jest bezpłodna. Wówczas będzie za późno, żeby ją oddać. Nikogo nie będą mogli o nic oskarżyć.

- Z wyjątkiem niej - wzięła mnie w obronę matka. - Kosha, może jeśli jeszcze trochę poczekamy, to ludzie o wszystkim zapomną...

Usłyszałam brzęk popchniętych czy kopniętych garnków.

- Nie mów głupstw! - zdenerwował się ojciec. - Wiesz, że za kilka lat będzie jeszcze gorzej! Wtedy każdy mężczyzna, który nie słyszał o przekleństwie, zacznie się zastanawiać, dlaczego jeszcze nie wyszła za mąż, i będzie coś podejrzewał!

Matka zaczęła płakać.

- Jaka szkoda, że mój brat nie spłodził synów, zanim został zabity - ciągnął ze złością ojciec. - Jeden z nich musiałby nas od niej uwolnić i nawet coś byśmy za to dostali. Nie, nie mogę czekać. Z powodu ostatniego nieurodzaju potrzebuję zapłaty za pannę młodą.

- I po przegranej w zawodach ptaków? - dodała matka.

Usłyszałam uderzenie i wiedziałam, że wymierzył jej policzek. Ostatniej zimy w Kabulu, jak mi powiedziała matka, spróbował szczęścia w qwak, zawodach ptaków, pewny, że wygra dość pieniędzy, aby pokryć straty, które poniósł w związku z Sulimą, kiedy to najpierw musiał za nią zapłacić, a następnie bezsilnie patrzeć, jak kradnie biżuterię matki. Postawił na kuropatwę typowaną na zwycięzcę, ale w trakcie zawodów została ranna i odpadła. W ten sposób ojciec, zamiast zarobić dużo dodatkowych afganów, stracił cały zimowy zarobek.

- Tak zrobię - oznajmił. - Jutro pojedę do ich obozu. Za kilka dni przenoszą się na letnie pastwiska. Czas jest odpowiedni.

Przeszył mnie dreszcz.

Do ich obozu? - powtórzyłam za nim w myślach.

- Proszę cię, Kosha, rozważ to jeszcze - prosiła go matka, pomimo że ją uderzył. - Ghilzai to takie wojownicze plemię, stale zwaśnione z plemieniem Durrani.

Ghilzai?! To byli Pasztuni, a co gorsza, nomadzi. Z pewnością ojciec nie mógł...

- Bas! - wrzasnął na nią. - Przestań biadolić. Wiesz, że nie ma innego wyjścia. Jakiś młodzian z obozu Ghilzai będzie uszczęśliwiony, dostając krzepką młodą żonę. Nie będzie zadawał żadnych pytań. Pasztuni nie pozwalają swoim kobietom wychodzić za mężczyzn z innych plemion, ale sami uwielbiają brać sobie za żony Tadżyjki i kobiety z plemion Baluczów. Nasze kobiety są powszechnie szanowane i pracowite jak muły. Co więcej, nomadzi nie

żądadają posagu. Jeśli któryś ją zechce, to nie będzie musiała wnosić żadnego wiana. I miejmy nadzieję, że da za nią co najmniej dwa konie. Mają wspaniałe konie kabuli.

- Myślisz o sumie, jaką utargujesz za rączego rumaka, którego otrzymasz od Ghilzai? Przehandlujesz naszą córkę za wspaniałe konie? - nie ustępowała matka.

- Przestań. Tylko w kółko gadasz. Jutro do nich pojedę. Powiedz naszej córce, czego powinna się spodziewać... - Zawiesił głos i dodał ciszej: - Przynajmniej nadal będzie żyła w dolinach i górach, gdzie się wychowała. Jest silna i odważna... - Znowu zawiesił głos i powiedział tak cicho, że musiałam wychylić się do przodu, aby go usłyszeć: - To przeze mnie ma zmarnowane życie. Modlę się do Allaha, żeby mi wybaczył.

Zamknęłam oczy. Ojciec miał taki łagodny głos, jak wtedy, gdy mówił do Yusufa, pokazując mu, jak jeść pilaw palcami czy jak wejść po drabinie na dach. Żeby choć raz odezwał się do mnie takim tonem. Gdybym tylko wiedziała, że tak mnie ocenia, o wiele bardziej starałabym się go zadowolić. Ale ja nie wierzyłam, że ktoś może widzieć mnie w ten sposób.

- Wszyscy się Daryi obawiają, a jej należy się szacunek - ciągnął ojciec. - Ja naprawdę wierzę, że zaakceptuje życie wśród nomadów, kiedy do niego przywyknie, że nie okaże się dla niej smutniejsze niż bycie czwartą podrzędną żoną starego Tadżyka. Wiesz, że jest niepodobna do innych dziewcząt. I dzięki temu przeżyje. Anahito, wiesz to w swym sercu, że przeżyje.

Przyjemność, jaką sprawiła mi pochlebna opinia ojca, szybko się ulotniła ze względu na powód, dla którego tak mówił. Darya przeżyje, oświadczył. Słyszałam te słowa w głowie długo potem, jak zniknął, a matka powoli pozbierała naczynia i weszła do domu. Przeżyje? Czy tylko tego mogłam oczekiwać od losu?

Kiedy wiedziałam już, że się nie rozplacę, weszłam do domu. Matka siedziała na poduszce i zatopiona w myślach trzymała w dłoniach pustą czarękę po herbacie. Zerknęła na mnie i odwróciła wzrok. Usiadłam obok.

- Madar, byłam na dachu, gdy pedar rozmawiał z tobą o nomadach - oświadczyłam bez wstępów. - Wszystko słyszałam.

Matka pokręciła głową i zasłoniła dłonią usta.

- Więc wiesz, że próbowałam go odwieść od tych planów - przemówiła po chwili, odsuwając rękę od twarzy. - Nie chcę cię stracić na zawsze. Ale twój ojciec powinien zrobić to, co uważa za najlepsze, a my musimy być mu posłuszne. - Wzięła mnie za rękę. - Największym smutkiem dla kobiety jest świadomość, że jej córka starzeje się w samotności. Daryo, każda kobieta powinna mieć męża. - Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. - Od chwili, w której się urodziłaś, marzyłam o twoim małżeństwie z synem mojej kuzynki. Wychowywałyśmy się razem i kochałam ją jak siostrę. Mówienie o niej sprawiało mi ból, bo bałam się, że po wyjeździe z Kame Bara nigdy więcej jej nie zobaczę. O sprawach przykrych lepiej nie mówić, a nawet nie myśleć. Najlepiej odsunąć je od siebie i o wszystkim zapomnieć. Nauczyła mnie tego moja matka, która już nie żyje. Bardzo się cieszyłam, że nasze rodziny połączy nowa więź dzięki małżeństwu naszych dzieci. Myślałam, że Allah się do mnie uśmiechnął i że ja i moja kuzynka zostaniemy na nowo... - Głos jej zamarł.

- Nigdy dotychczas o tym nie mówiłaś - powiedziałam. Dlaczego wszystko przede mną ukrywano? Nie wierzyłam

matce, że ból udaje się odsunąć, jeśli się o nim nie myśli i nie mówi. Ból, który ja czułam, nasilał się coraz bardziej i stawał dokuczliwy.

- Co dobrego wynikłoby z tego, gdybym mówiła? Gdybym za często powracała do tego tematu i wyrażała swoje pragnienia, nie kryjąc uczuć, być może bezwiednie ściągnęłabym na siebie przekleństwo. Tylko spójrz, co się stało. Nie widzisz? - odparła matka i mocniej ścisnęła moją dłoń. Utkwiła we mnie oczy, takie podobne do moich, zielone, które nagle sposepniały i wezbrały łzami. Dodała ze smutkiem: - Przepraszam, ale muszę ci oznajmić tę okrutną prawdę. Jesteś teraz kimś niepożądanym, pod każdym względem bezwartościowym. Nigdy cię nie zechce żaden Tadżyk. Tylko wśród nomadów nie będziesz musiała stronić od ludzi.

Skinęłam głową. Nie poczułam się zraniona jej słowami. Nie powiedziała niczego, czego bym wcześniej nie wiedziała.

Nie spałam tej nocy, próbując sobie wyobrazić swoje życie wśród Ghilzai. Nie mówiłam językiem paszto i nic bym nie rozumiała, gdyby zaczęto mówić do mnie w tym języku. Mieszkańcy Susmar Chord nie ufali Pasztunom, choć ci nie przyjeżdżali do naszej wioski,

bo była dla nich za mała, żeby zechcieli z nami handlować. Ale ojciec poznał w Kabulu wielu Ghilzai i opowiadał nam, jacy są zaciekli. Każde z licznych plemion Ghilzai miało swojego wodza i często wybuchały między nimi spory, także w drobnych sprawach. Wiele kończyło się rozlewem krwi, a nawet śmiercią. Kiedyś ojciec powiedział, że Ghilzai żyją wśród przemocy. Pomyślałam teraz, że znajdę się w samym środku tej przemocy.

Miałam mieszkać zimą w namiocie, a latem w jurcie, żyć w ciągłym ruchu i w poczuciu nietrwałości, nigdy nie mieć domu i rzeczy, które nie są konieczne do przeżycia. Do przeżycia. .. W moich myślach znowu pojawiło się to słowo. W końcu się rozpłakałam. Przykryłam głowę kołdrą, aby rodzice nie usłyszeli moich łkań i nie uznali, że mam słaby charakter. Pomyślałam o babci z nadzieją, że w ten sposób zaczyna się realizować moje przeznaczenie, które poznała, spoglądając na gwiazdy na nocnym niebie. Po chwili wymknęłam się po cichu z domu i weszłam na dach, żeby na nie popatrzeć. Pragnęłam bezpiecznej podróży do Ghilzai.

Nazajutrz po południu ojciec pojechał w stronę wzgórz, pod którymi od kilku tygodni unosiły się nad ziemią smugi dymu, a czasami w wieczornej ciszy dochodziło stamtąd stłumione beczenie owiec. O nic nie pytałam, bo powtarzało się to każdej wiosny. Ogarnął mnie niepokój, wszystko leciało mi z rąk i zapomniałam, po co wyszłam na podwórze. Nawet woda wygotowała się w garnku.

Gdy ojciec wrócił, było już ciemno. Matka i rodzeństwo spali. Podałam mu kolację. Zjadł i poszedł za zasłonę. Ja też położyłam się do łóżka. Słyszałam, jak matka szeptem o coś go pyta, a on szeptem odpowiada. Wysilałam słuch, chcąc się dowiedzieć, o czym rozmawiają, ale przez cały czas mówili zbyt cicho.

Matka obudziła mnie przed świtem, choć wydawało mi się, że jeszcze nie zasnęłam.

- Wstań, córko. Musisz się przygotować - powiedziała zagadkowo.

Usiadłam, podciągając kołdrę pod brodę. - O co chodzi? - spytałam niecierpliwie. Skinęła na mnie, żebym odeszła od Nasreen i Yusufa. Otuliłam się kołdrą i poszłam za matką pod drugą ścianę. - Usiądź. Chcesz herbaty? - zaproponowała. Skinęłam głową, bo nagle zaschło mi w gardle. Matka nigdy mi nie usługiwała, z wyjątkiem tych

dni, kiedy byłam chora. Ale zamiast zaparzyć herbatę, usiadła i zaczęła się bawić frędzlami dywanu, nie patrząc na mnie.

- Twój ojciec spotkał się wczoraj z wodzem plemienia Ghilzai. Uznał, że to rozsądny człowiek. Ten wódz ma syna, którego żona niedawno... odeszła, powracając do rodziny, do pasztuńskiego plemienia Zadran, na południu. Najwyraźniej umowa ślubna nie była dla tego syna zadowalająca, bo szuka nowej żony; chce się ożenić, zanim wyruszą do letniego obozu.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Czy pedar widział tego syna? - spytałam z niepokojem. Nareszcie matka spojrzała mi w oczy.

- Nie, ale ten wódz to człowiek spokojny i wybitna postać. Zrobił na twoim ojcu wrażenie. Często się zdarza, że syn ma taki sam charakter jak ojciec, czyż nie? - dorzuciła, siląc się na uśmiech.

- Czyli... - wzięłam głęboki oddech - ojciec zawarł z nim umowę ślubną?

- Tak. Wódz da mu trzy piękne konie kabuli. A jeśli chodzi o warunki...

- Warunki? - przerwałam.

Matka zawahała się i znowu utkwiała wzrok w dywanie, co znaczyło, że wolałaby mi o nich nie mówić. Miała podpuchnięte oczy. Gdy w końcu znowu na mnie spojrzała, spostrzegłam jej zaczerwienione powieki, co znaczyło, że w nocy płakała, tak samo jak ja.

- Główny warunek jest taki, że masz mieć cnotę - powiedziała w końcu.

Usiadłam sztywno.

- Pedar z pewnością mu powiedział, że jestem dziewicą - oświadczyłam z oburzeniem. - Wszystkie dziewczęta z Susmar Chord są dziewicami, gdy wychodzą za mąż.

- Owszem, ale... - świdrowała mnie wzrokiem - zwykle zawieramy małżeństwa wśród członków rodzin albo długoletnich znajomych. Wówczas wystarczy dać słowo. Dla Pasztunów natomiast twój ojciec jest obcym człowiekiem. Wódz chciał przyjąć od niego przysięgę, że jesteś niewinna, lecz syn się na to nie zgodził. Powinnaś go zrozumieć. To plemię nie odda swych najlepszych koni w zamian za coś, co nie zostanie szczegółowo uzgodnione w umowie. Pasztuni

to ludzie wielkiej dumy i honoru, zwłaszcza jeśli chodzi... Bezwzględnie wymagają potwierdzenia czystości nieznaney kobiety.

- Ale jeśli nie wystarczy im słowo ojca...

- To może być dla ciebie trudne - przerwała matka; wstała energicznie i poszła rozpalić ogień, żeby zaparzyć herbatę. Stała odwrócona do mnie tyłem, udając, że prowadzimy normalną rozmowę, że nie mam się czego obawiać. - Jutro zjawią się tu dwie szanowane kobiety z plemienia Ghilzai i sprawdzą, czy jesteś dziewczicą. Wiedzą, jak to zrobić. Dotkną cię. - Umilkła, wciąż odwrócona do mnie tyłem.

- Dotkną mnie? Nie! Nie dopuszczę do tego! - oświadczyłam przerażona, podnosząc się z poduszki. - Nie, madar, nie możesz im na to pozwolić...

Nie dokończyłam, bo niespodziewanie matka podeszła i objęła mnie.

- Tak mi przykro - szepnęła. - Wiesz, że wolałabym, aby cię to nigdy nie spotkało. - Trzymała mnie mocno w ramionach, dodając otuchy. Zdobyła się na ten gest po raz pierwszy od czasów mojego dzieciństwa. - Jeśli zrobisz, co każą, nie wyrządzą ci krzywdy.

Zanim przybyły te kobiety, ojciec zawołał mnie na dach. Nie robił tego nigdy wcześniej, więc nie miała to być miła pogawędka. Siedzieliśmy obok siebie w popołudniowym słońcu. Spoglądałam na dachy pobliskich domów, na ogródki otoczone murkiem. Na podwórzu sąsiadów mały zagon ziemi uprawnej pod topolami i lipami już się zazielenił, a nad przekwitającą brzoskwinia krążył rój szerszeni. Po przeciwnej stronie, przed kurtyną granatowych gór, ciągnęły się tarasowe pola. Czekałam, aż ojciec przemówi.

- Matka ci powiedziała, co niebawem nastąpi - zaczął, skrepowany tak samo jak ja.

Skinęłam głową, spoglądając na góry.

- Daryo, rozumiesz powagę sytuacji. To jest twoja ostatnia szansa, żebyś mogła zacząć żyć jak kobieta. To nienormalne nie wyjść za mąż. Wiesz o tym.

Znowu potaknęłam.

- Dlatego musisz dziś zrobić na kobietach z Ghilzai jak najlepsze wrażenie. Jeszcze ważniejsze jest, żeby Pasztuni, przebywając w naszej okolicy, nie dowiedzieli się o przekleństwie, jakie na tobie ciąży. Rozmawiałem dziś rano z mułłą o nadziei, jaką wiąże z umową

ślubną, którą wczoraj zawarłem. Gdy tu teraz siedzimy, on zwołuje spotkanie mężczyzn wioski, żeby zakazać mieszkańcom mówić o... nieszczęśliwej sytuacji, w jakiej się znalazłaś. - Spojrzał na mój profil.

Co mogłam na to powiedzieć?

Rozdział XIII

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, poślubisz syna wodza - ciągnął. - Większość dziewcząt z naszej wioski byłaby zadowolona i wdzięczna losowi, gdyby je spotkał taki zaszczyt.

- Ale nic nie wiesz o mężczyźnie, którego wybierasz mi na męża - powiedziałam cicho, lecz z gniewem, nie mogąc już dłużej utrzymać języka za zębami. - Ani o jego rodzinie. Spotkałeś się tylko z jego ojcem. Syn może być kaleką lub idiotą. Czy poprosiłeś o spotkanie z nim, żeby sprawdzić, czy jest odpowiednim mężczyzną na męża dla mnie?

Ojciec wstał.

- Ty niewdzięczna dziewczyno! Nie uważasz, że znalazłem wspaniałe wyjście z sytuacji?! - zawołał z wyrzutem.

Spojrzałam na niego. W blasku świecącego z tyłu za nim słońca jego twarz wydawała się czarna. Zmusiłam się do zachowania spokoju.

- Tak, pedar. Uważam, że znalazłeś - powiedziałam bezbarwnym głosem, czym, jak przewidywałam, rozzłościłam go jeszcze bardziej.

- Masz się za księżniczkę? Jesteś tylko chudą, nic niewartą tadżycką dziewczyną. Sądzisz, że miałabyś szanse na coś lepszego niż zostanie synową wodza Pasztunów? - prowokował mnie, szukając pretekstu, żeby mnie uderzyć, wyładować się na mnie z powodu żalu, jaki czuł w związku z całą tą sprawą.

Wciąż na niego patrzyłam. Nie spuściłam wzroku, ale też nie dałam się sprowokować.

- Nie, pedar, nie mogłoby mi się lepiej powieść. Wiem, jakim jestem dla was ciężarem. Z pewnością dziś można mnie uznać za najszcześniejszą kobietę w naszej wiosce - powiedziałam obojętnie.

Sarkazm tego komentarza był najwyraźniej za słaby, żeby sprowokować ojca do uderzenia mnie.

- Moja córko, znasz mnie dobrze, a ja ciebie - zaczął, znowu siadając. - Może w duszy rzeczywiście jesteś synem, którego tak pragnąłem. Po kim odziedziczyłaś to niekobiece poczucie wyższości, to pragnienie zrozumienia świata, zamiast przyjmowania go takim, jaki jest?

- Po twojej matce - odpowiedziałam bez wahania. - Czy nie jestem taka jak ona?

Westchnął i skinął głową.

- To dla mnie żadna nowość. Moja matka umarła wcześniej, niż mogła, bo tak jak ty nie chciała właściwie postępować.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Myślałam o niej. Wiedziałam, że on też myśli.

- Daryo, Pasztuni nie będą tolerowali kobiety, która jest zbyt bystra - odezwał się po chwili ojciec, wstał i skrzyżował ręce na piersiach. - A ta rozmowa przybrała obrót, jakiego nie powinna w przypadku ojca i córki. - Ruszył do drabiny, lecz przy krawędzi dachu odwrócił się do mnie i dodał: - Daryo, to małżeństwo musi być udane. Rozumiesz? Możesz nas odwiedzać, ale nigdy nie będziesz tu mile widziana, gdybyś chciała ponownie zamieszkać w Susmar Chord. To jest twoja jedyna szansa. Nie zapominaj o tym i zrób ze swojego nowego życia jak najlepszy użytek.

Gdy zostałam sama na dachu, myślałam o wszystkim, co ojciec powiedział. Zastanawiałam się, jak ukryć bystrość umysłu. Nie potrafiłam przewidzieć, co w moich wypowiedziach zostanie uznane za oznakę tej bystrości. Nie miałam już nigdy mieszkać w domu, lecz w namiocie i jurcie.

Po dłuższym czasie usłyszałam na podwórzu czyjeś głosy. Siedziałam w domu sztywno, ubrana w strój, który dostałam na zakończenie ostatniego ramadanu. Miałam rozpuszczone włosy, wyszczotkowane do połysku, ale włożyłam na głowę chustkę i zasłoniłam twarz aż po oczy.

Matka wzięła za rękę Nasreen i Yusufa.

- Będę z nimi na podwórzu - oznajmiła i ruszyła do drzwi, ale zanim wyszła, odwróciła się do mnie i dodała: - Starszy mężczyzna przywiózł tu dwie kobiety. Rozmawia teraz z twoim ojcem w języku dari. - Już miała wyjść, ale znowu na mnie zerknęła, jakby chciała mi jeszcze coś powiedzieć. Ostatecznie tylko uśmiechnęła się przepraszająco.

Po dobrej chwili do domu weszły te dwie kobiety. Nie miały zasłoniętych twarzy. Na ich widok zerwałam się z poduszki i spuściłam wzrok, ale gdy jedna z nich powiedziała jakieś obce słowo, spojrzałam na nie. Starsza niecierpliwym gestem skinęła na mnie, żebym zdjęła chustkę. Gdy to zrobiłam, zaczęły mi się przyglądać, a ja im.

Obie miały na sobie luźne suknie do połowy łydki. Najwyraźniej były bogate i ubrały się z tej okazji w swoje najlepsze stroje. Suknia

jednej została uszyta z zielonego, a drugiej z wiśniowego aksamitu. Obie suknie były bogato haftowane złotą nicią i przyozdobione mnóstwem monet, które przy każdym ruchu łagodnie pobrzękiwały. Pod sukniami kobiety nosiły niebieskie pantaloney z powiewnej tkaniny, na nogach pantofle bez pięt z miękkiej czarnej skóry, a na głowach czarne proste chusty.

Miały śniadą cerę i oczy mocno umalowane czarnym kohlem. Ale największe wrażenie zrobił na mnie tatuaż na ich twarzach: maleńkie ciemne kółka, niekiedy wielkości kropek, na czole i po bokach twarzy. Jedna z kobiet miała kropki także nad ustami. Zastanawiałam się w panice, czy też zostanę wytatuowana.

Gdy obejrzałyśmy się nawzajem, niższa i młodsza przemówiła do mnie pytająco. W odpowiedzi pokręciłam głową na znak, że nie rozumiem. Wówczas wyższa i starsza, a także cięższa, odezwała się do mnie w języku dari.

- Jeśli chcesz być żoną mężczyzny z plemienia Ghilzai, musisz się nauczyć języka paszto - powiedziała wolno i z wyrzutem. - Niewiele osób w naszym plemienu zna język dari i używa go tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Nie oczekuj, że wśród nas nadal będziesz mówiła swoim językiem. Nikt nie będzie tego tolerował.

Skinęłam głową.

- Jestem Hanouf - przedstawiła się. - A to jest Bibi. Poczułam ulgę, gdy po tych słowach młodsza uśmiechnęła się do mnie, spoglądając przyjaźnie i z zainteresowaniem. Była ode mnie niewiele starsza. Ale szybko przeniosła wzrok na Hanouf, która rozglądała się po wnętrzu. Przez otwarte drzwi słychać było dochodzące z podwórza męskie głosy.

- Idziemy za zasłonę - oznajmiła Hanouf, gdy na dworze rozległ się śmiech.

Strach ścisnął mnie za serce i poczułam, że oblewam się rumieńcem. Nerwowo mięłam w dłoniach chustkę.

- Chodź - ponagliła mnie Hanouf, podchodząc do zasłony i odsuwając ją. Odrzuciła głowę do tyłu i poleciła mi: - Połóż się na łóżku.

Zrobiłam, jak kazała, próbując uspokoić przyspieszony oddech. Bibi stanęła po jednej stronie, a Hanouf uklękła przy moich stopach, zadzierając mi sukienkę i ściągając spodnie. Gdy zgięła mi kolana i rozchyliła nogi, zakryłam oczy ręką i odwróciłam głowę do ściany.

Dotychczas moje ciało widziała tylko matka, a od paru dobrych lat nawet ona go nie oglądała.

Gdy Hanouf zbliżała dłoń do intymnych części, głośno sapnęłam i odruchowo próbowałam złączyć kolana, ale stanowczym gestem z powrotem rozsunała mi nogi. Miała silne ręce, a ich ruchy były pewne i szorstkie, więc poddałam się bez walki.

- Nie ruszaj się - poleciała mi, wkładając dwa palce tam, gdzie, jak sądziłam, będzie mnie dotykał tylko mąż.

Gdy obmacywała mnie w środku, zaciskałam usta i sapałam. Matka powiedziała mi, że nie będzie bolało, ale dotyk Hanouf był bolesny, jakby rozrywała mi ciało. Przez cały czas trzęsły mi się nogi i zaciskałam zęby. Kiedy w końcu Hanouf wyjęła palce, tak samo szorstko, jak je włożyła, boleśnie krzyknęłam. Szybko obciągnęła mi sukienkę i odsunęła się, a za nią Bibi. Podciągnęłam spodnie na biodra, położyłam się na boku i złączyłam kolana. Usłyszawszy głos matki, wstałam z łóżka i wyjrzałam zza zasłony. Matka powiedziała mi, że nie powinnam być w domu w czasie uzgadniania warunków umowy.

Podala kobietom drewnianą tacę ze stożkową głową cukru, wysoką na trzydzieści centymetrów. Hanouf wzięła od niej tacę, a Bibi podała matce haftowaną chusteczkę, którą wyjęła z kieszeni sukni. Gdy matka przyjęła chusteczkę, wiedziałam, że mój ślub z synem wodza jest postanowiony. Zareczyny zostały przypieczętowane tradycyjną wymianą darów, przeznaczonych do wykorzystania w czasie ślubnej ceremonii.

Gdy kobiety odjechały, usiadłam na łóżku. Matka przyszła do mnie i siadła obok. Ucisnęła mi rękę, a ja oparłam głowę na jej ramieniu i siedziałyśmy tak obok siebie, nic nie mówiąc.

Następnego dnia kobiety przyjechały ponownie. Znowu rozmawiały z moją matką, która pozwoliła mi uczestniczyć w tym spotkaniu. Mężczyzna, który je przywiózł, został, tak samo jak wczoraj, z moim ojcem na dworze. Znowu go nie zobaczyłam.

Hanouf zwróciła matce drewnianą tacę, na której zabrała wczoraj głowę cukru. Teraz na tacy leżał złożony pasztuński strój dla mnie, który miałam włożyć w dniu wyjazdu do obozu, a obok niego srebrny naszyjnik z wisiorkiem w kształcie ryby. Nie patrzyłam na matkę. Ryba była znakiem płodności i w tej chwili nasze udawanie, że ze mną wszystko jest w porządku, bardzo mi ciążyło.

- Daryo, węz naszyjnik - poleciła mi matka, jakby czytała w moich myślach. - To rytualny podarunek dla panny młodej.

Sięgnęłam po niego na tacę i zacisnęłam dłoń na gładkim smukłym kształcie.

- Za pięć dni wyruszamy do Badakhshanu. Do tego czasu musimy wszystko załatwić - poinformowała nas Hanouf.

- Oczywiście - odpowiedziała matka. - Mój mąż rozmawiał już z mułłą, który odprawi ślubną ceremonię za trzy dni. Da nam to czas na przygotowanie przyjęcia weselnego w wiosce. Moja córka pojedzie do obozu w przeddzień waszego wyruszenia do Badakhshanu.

- Zgoda - odrzekła Bibi.

- Ślub odbędzie się w meczecie późnym popołudniem, a po nim przyjęcie - ciągnęła matka. - Oczywiście zapraszamy wszystkich chętnych z waszego plemienia.

- Przyjadą tylko mężczyźni z rodziny pana młodego - poinformowała ją Hanouf. - Po ślubie wrócą do obozu i następnego dnia, gdy przybędzie do nas panna młoda, urządzimy uroczystość ślubną wedle naszego zwyczaju.

Kobiety wstały i ruszyły do drzwi, pobrząkując naszytymi na sukniach monetami.

- Czy możemy poznać imię pana młodego?! - zawołała za nimi moja matka.

- To jest Shaliq, drugi syn naszego wodza - odpowiedziała z wahaniem Hanouf, spoglądając na mnie z kamienną twarzą. - Ja jestem drugą, a Bibi trzecią żoną Hafeeza, najstarszego syna wodza. - Nie odrywając ode mnie wzroku, dodała: - Będziemy teraz siostrami.

Rano w dniu ślubu miałam ciężką głowę i drapało mnie w gardle. Od wielu nocy źle spałam i nie mogłam czuć się wypoczęta. Nie potrafiłam uwierzyć, że to, o czym moi rodzice rozmawiali zaledwie tydzień temu, jest czymś rzeczywistym. Już spakowałam swoje rzeczy, które ograniczały się do trzech strojów i drewnianych chodaków. Na moją biżuterię składały się dwa srebrne naszyjniki: jeden z lazurytem, подарowany mi przez ojca tamtego strasznego dnia, kiedy pod łóżkiem rodziców znalazłam sztylet Kafira, i drugi z figurką ryby, który przysłał mi mój przyszły mąż.

Poprzedniego dnia wieczorem przyszła do nas Yalda i wraz z matką pomalowały mi henną dłonie i stopy w skomplikowane koronkowe wzory. Zanim dziś wstałam z łóżka, obejrzałam je z

podziwem. Gdy składałam pościel, myśląc o tym, że dziś będę spała w tym łóżku po raz ostatni, podeszła do mnie matka.

- Mam dla ciebie drobny upominek z okazji tego wielkiego dnia!
- oznajmiła trochę za głośno, jakby samą siebie przekonywała, że rzeczywiście jest wielki. - Podała mi złoty halhal - bransoletkę na kostkę nogi, złożoną z cienkich obręczy. - Otrzymałam ją w dniu swojego ślubu od wuja, który powiedział wtedy, że pewnego dnia przekażę ten drobiazg swojej najstarszej córce.

Wzięłam od niej delikatną ozdobę i obracałam ją w dłoniach.

- Na szczęście Kafirka nie znalazła całej mojej biżuterii - ciągnęła matka, przesuwając palcem po jednym z kółek. Widząc, że się wzdrygnęłam, na wzmiankę o Sulimie, położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała: - Przepraszam. Córko, musisz teraz pozbyć się myśli o klątwie. Nawet jeśli jej słowa nie mają mocy, jakiej się spodziewała, to gdy będziesz je ciągle rozpamiętywała, džinn może wejrzeć w twój umysł i sprawić, że się ziszczą. Położyłam twój ślubny strój na moim łóżku. Chodź i zobacz go. - Gdy przeszłam z nią za zasłonę, podniosła z narzuty gęsto plisowaną suknię do kostek, uszytą z cienkiego białego muślinu, o karczku ozdobionym bogatym misternym haftem złożonym z setek maleńkich czerwonych i niebieskich kwiatuszków oraz zielonych listeczków, którą wczoraj przez wiele godzin rozprostowywała za pomocą rozgrzanych płaskich kamieni, owiniętych w bawełnę. Trzymając suknię, dodała: - Daryo, pięknie będziesz w niej wyglądała. Miałam ją na swoim ślubie, a przede mną moja matka. Przykro mi jedynie, że musisz zostawić ją dla Nasreen, ale wiesz przecież, że tylko najmłodsza córka może zabrać ślubną suknię matki do domu swego męża.

- Czuję się zaszczyczona, mogąc ją włożyć - oznajmiłam zachwycona i dotknęłam kwiatowego haftu. - Madar?

Matka zerknęła na mnie znad chustek, które składała, przygotowując na ślubną ceremonię.

- Chodzi mi o noc poślubną. Obawiam się, że nie będę wiedziała, co...

- Szkoda, że nie masz starszej siostry, żeby ci to powiedziała - zaczęła matka, udając, że jest bardzo zajęta. - Ale nie musisz nic robić. Twój mąż będzie wszystko wiedział. O nic go nie pytaj, lecz przyjmij to, co się wydarzy, a będzie ci łatwiej. Po kilku tygodniach małżeństwa twoje ciało przyzwyczai się do potrzeb męża. Jeśli chodzi

o kobiety, ta nocna swoboda nie jest konieczna. Najważniejsza jest dla mężczyzn.

Żałowałam, że na mnie nie patrzy.

- Dlaczego jest ważniejsza dla nich niż dla nas? - zdziwiłam się.

- Och, te twoje pytania, Daryo... - Matka w końcu przestała składać chustki i ciężko usiadła na łóżku. - Chodzi o to, że dobre kobiety znajdują pociechę w czymś innym. Czerpią zadowolenie z tego, że dobrze gotują, utrzymują dom w czystości i rodzą dzieci. Te, które nie znajdują przyjemności w wykonywaniu zajęć domowych i szukają jej w czymś innym, Allah karze za rozwiązłość.

Pomyślałam o Sulimie. Wzięła z tego domu to, co chciała, i odeszła tam, dokąd postanowiła, zostawiając na naszych barkach wychowanie syna, którym teraz musiała się zajmować moja matka, i obciążając nas brzemieniem przekleństwa, które rzuciła na mnie. Nie wydawało mi się, żeby została za to ukarana, ale ona nie czciła Allaha.

- A czy nie mogłoby być tak, żeby znajdowały radość w jednym i drugim, w sprawach domowych i... innych, tak jak mężczyźni? - nie ustępowałam.

- Daryo, co ty mówisz? - obruszyła się matka. - Skąd u ciebie takie myśli? Oczywiście, że nie mogłoby. Mężczyźni są stworzeni do tego, żeby czerpać radość, a kobiety, aby im ją dawać. Należy o tym pamiętać. Nie wolno nam oczekiwać tu na ziemi nagrody. - Wstała i przybrała surowy wyraz twarzy. - Rozmawiamy już stanowczo za długo. Zadajesz pytania, które nie przystoją kobiecie. Może miałaś za dużo czasu, żeby zastanawiać się nad swoimi żądzami? Ale od tej pory nie będziesz go miała. Będziesz musiała pracować bez narzekania i uważać na to, co robisz i mówisz. Nie będziesz już dłużej mieszkać w domu rodzinnym, gdzie niewłaściwe zachowanie się wybaczają. Będziesz wśród obcych, przez cały czas oceniana. Będziesz żoną Pasztuna, ale pozostaniesz Tadżyjką. Nie wolno ci zapomnieć o swojej rodzinie i o swoim ludzie. Masz czerpać dumę ze swojego pochodzenia i zachowywać się tak, żebyśmy i my byli z ciebie dumni. Ghilzai będą wobec ciebie wymagający, ale potrafisz być posłuszną, jeśli tylko zechcesz, i będziesz trzymać język za zębami. - Udzieliła mi tej samej lekcji, co ojciec podczas rozmowy na dachu.

- Trzymać język za zębami? - znowu się zdziwiłam.

- Jako żona musisz być cicho. Będzie ci łatwiej żyć, jeśli postarasz się robić tylko to, czego od ciebie oczekują. Wkładaj suknię.

Podczas tej długiej przemowy na temat delikatnych spraw matka była coraz bardziej wzburzona. Ale ta przemowa nie przysła jej łatwo. Poza tym nie znała innych odpowiedzi na moje pytania, bo w tym, co mi powiedziała, wyczerpywała się cała jej wiedza na temat małżeństwa, takiego jakie znała z własnego doświadczenia.

Mimo to nie mogłam uwierzyć, że przygnębiające słowa matki o intymnym obcowaniu kobiety i mężczyzny są w pełni prawdziwe. W ostatnim roku reakcje mojego organizmu często wydawały mi się dziwne. Zdarzało się, że nagle budziłam się w nocy z powodu zagadkowych snów o zwierzętach w rui, czego nie rozumiałam. Pomimo przeświadczenia, że robię coś złego, wsuwałam ręce pod nocną koszulę i przesuwiałam je po ciele. Dawało mi to dziwną przyjemność, lecz zarazem napełniało wielkim smutkiem na myśl, że nigdy nie dotkną mnie dłonie mężczyzny i żaden nie zachwyci się gładkością mojej skóry.

Z pewnością matka ukrywała coś przede mną, chcąc, żebym była nieskazitelną żoną. I z pewnością tłumiony śmiech Sulimy, gdy leżała w łóżku z moim ojcem, a także malujące się na jej twarzy uczucie rozkoszy, kiedy kochała się z młodym Kafirem, znaczyły, że akt seksualny, który miał wyłącznie przynieść ulgę mężczyźnie i doprowadzić do urodzenia przez kobietę dziecka, nie był dla Kafirki czymś wstrętnym. Oczywiście Sulima nie wierzyła w Allaha, była niewierna, więc może tylko takie kobiety doznają przyjemności, a dobre muzułmanki nie?

Gdy włożyłam na nogę bransoletkę, cienie na dworze wydłużyły się. Za kilka godzin miałam być mężatką, a następnego dnia poznać prawdę o rzeczach, o których teraz rozmyślałam.

Rozdział XIV

Weszłam do meczetu z ojcem. Bywałam tu tylko z okazji specjalnych ceremonii, takich jak śluby, bo normalnie modliłam się w domu, jak przystało kobiecie.

Znalazłszy się w tym zimnym mrocznym budynku, starałam się patrzeć na klepisko, na którym rozrzucono świeżą trawę, i wdychać jej zapach, ale było to niemożliwe. Rozglądałam się więc dookoła, za co ojciec na szczęście mnie nie zganił. Z wysokich wąskich okien od wschodu sączyło się do wnętrza światło. Może dlatego, że przez biały przejrzysty welon widziałam wszystko inaczej, albo z powodu tego łagodnego światła w ciszy pustego meczetu ogarnął mnie spokój, którego od dawna nie czułam.

Z sufitu zwisała zasłona dzieląca długi meczet na dwie części: jedną przeznaczoną dla mężczyzn, a drugą dla kobiet. Po ślubie mieli świętować tu mężczyźni, podczas gdy kobiety w czajchanie. Nie było mi dane zobaczyć pana młodego w czasie ceremonii ani potem. Miałam się spotkać z Shaliqiem - jego imię brzmiało w moich ustach dziwnie - dopiero nazajutrz. Jak powiedział mi ojciec, mężczyźni z Susmar Chord odprowadzą mnie do obozu Ghilzai, a ściślej do miejsca, gdzie odbiorą mnie mężczyźni z tego obozu i zawiozą do Shaliqa.

Gdy znaleźliśmy się z przodu, ojciec usiadł na puszystym dywanie z motywem ptaków, a ja uklękłam za nim, zgodnie z tym, co mi wcześniej kazał. Zacisnęłam drżące dłonie i trzymałam je z dala od sukni, bo się pociły. Wkrótce rozległy się kroki powłóczącego nogami mułły i wstaliśmy.

Mułła, starszy mężczyzna o brodzie ufarbowanej na rudo na znak, że odbył hadż - pielgrzymkę do Mekki - podniósł z mojej twarzy welon i uśmiechnął się do mnie. Z racji pełnionych obowiązków religijnych nie obowiązywał go zakaz oglądania twarzy kobiet.

- Kosha, panna młoda jest cała rozpromieniona - pochwalił mnie i opuścił welon.

- O tak. To dla niej szczęśliwy dzień - przytaknął skwapliwie ojciec.

- Jesteś gotowa, dziecko, złożyć przysięgę małżeńską? - przeszedł do rzeczy mułła.

Skinęłam głową.

- Dobrze. Rozpocznijmy ceremonię, gdy przybędzie pan młody i meczet wypełni się wiernymi - oznajmił. - Usiądź i chwal Allaha, kiedy będziesz czekała.

Przeszedł wraz z moim ojcem do drugiej części meczetu. Usłyszałam za zasłoną szelest ich szat, gdy klękali i dotykali czołem podłogi. Następnie zaczęli odmawiać modlitwę. Siedziałam, patrząc przed siebie. Po jakimś czasie usłyszałam z tyłu tłumiony śmiech, pokasywanie i szepty osób przybywających do meczetu. W końcu zapanowała grobowa cisza i po drugiej stronie zasłony rozległy się ciężkie kroki. To przybył pan młody wraz ze swoją rodziną. Nie mogłam opanować drżenia rąk, choć zaciskałam je z całej siły.

Zza zasłony wyszedł mułła i skinął na mnie. Podeszłam jeszcze bardziej do przodu i uklękłam blisko zasłony. Z miejsca, w którym stał, widział mnie i pana młodego, znajdującego się po drugiej stronie zasłony.

- Nie ma innego Boga oprócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem - rozpoczął ceremonię mułła. Gdy zgromadzeni jednym głosem powtórzyli za nim te słowa, otworzył Koran i zaczął recytować wybrane wersety. Po jakimś czasie przestałam go słuchać i myślałam o tym, że bolą mnie kolana. Byłam zaskoczona, że zwracam uwagę na tak drobną uciążliwość w tak pomyślnej dla mnie chwili. Mułła zamknął świętą księgę i wznosił dłonie. Wstałam, podobnie jak pan młody po drugiej stronie, aż zasłona się poruszyła. Mułła skierował nań spojrzenie i spytał: - Shaliqu, synu Kaleda, czy bierzesz tę kobietę, Daryę, za żonę? - Pytany odpowiedział tak cicho, że ledwie usłyszałam, jak potwierdził. Mułła znowu spytał: - Czy zapewnisz jej utrzymanie? - Podobnie jak poprzednio, pytany mruknął pod nosem odpowiedź. Teraz rudobrody mułła surowo spojrzał na mnie i spytał uroczyście: - Daryo, córko Koshy, czy bierzesz tego mężczyznę, Shaliqą, za męża? - Zgodnie z tym, jak zostałam pouczona, zawahałam się. Wówczas mułła spytał o to po raz drugi i znowu, zgodnie ze zwyczajem, nie odpowiedziałam. Dopiero gdy spytał po raz trzeci, powiedziałam, jak mi było wolno, krótkie „tak”. Teraz ojciec przeszedł na moją stronę w towarzystwie trzech swoich przyjaciół, niosąc głowę cukru, którą matka ofiarowała pasztuńskim kobietom w czasie zaręczyn. Uniósł duży stożek nad moją głowę, a inny mężczyzna uderzył weń mocno toporkiem i głowa rozpadła się na wiele kawałków, które posypały się na mnie.

- Czekaj szczęście - powiedzieli trzej przyjaciele ojca, kiwając w jego stronę głowami.

Teraz podeszła matka i podała ojcu chusty. On i jego trzej przyjaciele ostrożnie opuścili sześć z nich na moją głowę, modląc się o szczęście, pomyślność i bezpieczeństwo dla mnie. Siódmą i ostatnią chustę ojciec związał rogami z zieloną tkaniną turbanu i owinał mnie tym złożonym z dwóch kawałków pasem.

- Oddaję cię w stanie czystości spod mojej władzy pod władzę męża - ogłosił, starannie wymawiając obrzędowe słowa, żeby wszyscy w meczecie je usłyszeli. - Przez wzgląd na moją rodzinę nigdy nie zapominaj o honorze.

Po tych ostatnich słowach w meczecie rozległy się uroczyste oklaski. Matka zdjęła mi z głowy ciężkie chusty, zostawiając tylko biały półprzezroczysty welon. Następnie ruszyła ze mną przez całą długość meczetu, żeby inne kobiety mogły mnie zobaczyć już jako mężatkę. Szłam ze spuszczonej oczami i nigdy się nie dowiedziałam, jakie miny miały te kobiety w sytuacji, gdy cała wioska dopuściła się oszustwa w mojej sprawie.

Zaprowadziłyśmy je z matką do czajchany, gdzie czekały już potrawy przygotowane na przyjęcie. Kobiety zabrały stamtąd część garnków i mis z parującym jadem i zaniósły je mężczyznom do meczetu. Gdy wróciły do herbaciarni, rozpoczęło się przyjęcie weselne dla kobiet. Usiadłam na podwyższonej poduszce, nie odsłaniając twarzy. Oddzielone ode mnie welonem kobiety czuły się bezpieczniej, choć widziały mnie, tak jak ja je, przez tę zwiewną białą zasłonę. Poczulałam ulgę, gdy nadeszła pora powrotu do domu. W głowie wciąż mi huczało i nie mogłam nic jeść, choć matka podtykała mi pod nos różne smakołyki. W czajchanie nie było atmosfery radości zwykle towarzyszącej weselnemu przyjęciu. Kobiety szybko zjadły weselne potrawy, pożegnały się z matką i poszły do domu. Żadna nie chciała zostać dłużej, żeby żartować i opowiadać o swoim weselu czy droczyć się z panną młodą.

Tej nocy spałam niespokojnym snem tylko kilka godzin. Obudziłam się tak wcześnie, że na podwórzu jeszcze nie śpiewały ptaki. Zanim moja rodzina wstała, wykąpałam się i ubrałam w nowy pasztuński strój, który przywiozły mi Hanouf i Bibi.

Obrzęd weselny wymagał, żeby o świcie przyszły do nas kobiety z naszej wioski i przygotowały mnie na spotkanie z mężem. Ale gdy

wstali moi rodzice, wypili herbatę, zjedli śniadanie i nakarmili Nasreen oraz Yusufa, przed naszym domem czekały tylko Yalda i Hasti.

Ojciec zabrał prawie już trzyletniego Yusufa na plac. Czteroletnia Nasreen, pobladła i zaniepokojona, o oczach jak księżycy, obserwowała Yaldę i matkę, gdy skrapiały mi włosy pachnącym olejkiem i wplatały w nie na szczęście tęczowe wstążki. Hasti uderzała delikatnie palcami w dajere - natłuszczoną kozłą skórę naciągniętą na obręcz z wierzbowych gałązek. Przypomniało mi to ślub Gawhar. Ją przygotowywało do spotkania z mężem wiele kobiet. Śmiały się, śpiewały o mężczyznach i grały na dajere, a ona okropnie się rumieniła.

Nie czułam ani radości, ani smutku, tylko dziwną obojętność, to znaczy z jednej strony było mi żal, że opuszczam dom rodzinny, a z drugiej doznawałam jakiegoś niewyraźnego podniecenia, wsłuchując się w rytm wystukiwanej przez Hasti na dajere melodii. Nie wierzyłam, że nigdy już nie zobaczę rodziców i rodzeństwa. Coroczna trasa pokonywana przez Ghilzai wiodła przecież przez naszą dolinę. Gdy plemię się w niej zatrzyma, mój mąż z pewnością pozwoli mi odwiedzić Susmar Chord.

Późnym rankiem ceremonialny orszak odprowadził mnie do nomadów. Żegnając się ze mną, Hasti złożyła mi życzenia szczęścia i wróciła do domu, a Yalda przytrzymała chwilę moje dłonie. Czułam stwardniałą nierówną skórę jej poparzonej ręki. Na koniec ścisnęła moje dłonie mocniej, spojrzała mi w oczy i skinęła głową.

- Wszystko będzie dobrze - rzekła pocieszająco.

Gdy usłyszałam te proste słowa, kamień spadł mi z serca. Instynktownie wiedziałam, że akuszerka ma zdolność przewidywania przyszłości. Poza tym wierzyła we mnie i w mój pomyślny los. Znaczyło to dla mnie więcej niż wszystkie zapewnienia mojej matki.

Rozstanie z matką było dla mnie trudniejsze, niż się spodziewałam. Yalda w końcu pokuśtykała do domu i zostałyśmy same, nie licząc Nasreen. Wówczas matka objęła mnie mocno i rozplakała się, a ja wraz z nią.

- Taka jest wola Allaha - powtarzała, łkając.

Czyżby? A może chodzi o wolę mojego ojca? - pomyślałam.

Nasreen spojrzała na nas i również się rozplakała, kryjąc buzię w mojej sukni. Otarłam łzy, wzięłam małą na ręce i obiecałam, że ją

odwiedzę. Prosiłam, żeby była dobrą córką i pomagała matce, trzymała głowę wysoko i z ciekawością przyglądała się wszystkiemu dokoła, obserwowała wieczorne niebo i myślała o mnie. W tych ostatnich chwilach przed rozstaniem z siostrą próbowałam sobie przypomnieć coś ważnego, co powiedziała mi babcia, chcąc przekazać Nasreen jej słowa, których mogła potrzebować. Niestety, nic nie przychodziło mi do głowy. Nasreen z powagą potakiwała, choć oczywiście była za mała, żeby wszystko rozumieć. Trzymałam ją mocno, wdychając jej zapach.

Przed domem zjawił się ojciec, trzymając na rękach Yusufa. Ruszyłam z nimi ulicą. Gdy doszliśmy do zakrętu, odwróciłam się i spojrzałam na nasz dom. W drzwiach stała matka. Trzymała Nasreen za rękę i machała mi drugą. Ja też jej pomachałam i skrzywiłam, tracąc ją z oczu. Zanim weszliśmy na plac, gdzie czekali na nas towarzysze ojca, zakryłam twarz. Cieszyłam się, że nie mogą jej oglądać. Na placu dosiedliśmy koni i wyruszyliśmy do obozu Ghilzai, ojciec przede mną, trzymając z przodu Yusufa, ja za nimi, a za mną mężczyźni z naszej wioski.

- Prowadzimy pannę młodą - intonowali.

Już kilkaset metrów za wioską, na wzniesieniu, czekali na nas mężczyźni z plemienia Ghilzai. Zatrzymaliśmy się. Do moich uszu dotarły śpiew i muzyka, które stały się głośniejsze, gdy orszak nomadów zbliżył się do nas w obłoku kurzu. Melodia, którą grali na bębenkach o zróżnicowanym brzmieniu, była poważniejsza niż muzyka, którą dotychczas słyszałam. Wydawało mi się, że musi być bardzo stara. Działała zniewalająco, choć głosy mężczyzn brzmiały dla mnie dziko.

Na czele orszaku jechał mężczyzna na czarnym koniu, poruszającym się z taką gracją, jakby czuł rytm granej na bębenkach i śpiewanej melodii. Mężczyzna trzymał cugle trzech pięknych siwych rumaków o małych głowach, silnych karkach, umięśnionych brzuchach i delikatnych kopytach. To z powodu tych cech mój ojciec tak pragnął tych koni. Gdy zwierzęta znalazły się blisko, dostrzegłam w ich oczach czujność i inteligencję. Niedaleko za nimi inny mężczyzna prowadził pięknie przyozdobionego wielbłąda, który trzymał łeb wysoko, jakby panujące wokół niego zamieszanie budziło w nim wstręt i traktował je wyniośle, a nawet pogardliwie.

W orszaku podążało wielu młodych mężczyzn, którzy płąsali w rytm wystukiwanej na bębenkach melodii, wzbijając kurz. Wydawali mi się dzicy. W przeciwieństwie do Tadżyków nie nosili obcisłych longi - turbanów. Ich czarne, opadające na plecy włosy nawet nie były związane, lecz swobodnie falowały w rytm tańca. Czarne turbany miało na głowach natomiast kilku starszych mężczyzn, którzy szli na końcu orszaku. Ale inaczej niż u Tadżyków, u nich jeden koniec zawoju zwisał swobodnie na ramię.

Teraz widziałam już dobrze mężczyznę jadącego na czele orszaku i prowadzącego trzy konie. Serce mi podskoczyło. Trzymał się prosto w siodle. Miał szczupłą twarz o wydatnych rysach i wysokim, szlachetnym czole. Czy to mój mąż? - pomyślałam i od razu odpowiedziałam sobie, że to niemożliwe. Był na to za stary - jego czarne włosy przyprószyła już siwizna - i zbyt potężny. Poza tym jego opanowanie nie pasowało do mężczyzny, który nie ma nawet jednej żony i musi się ożenić z dziewczyną z tadżyckiej wioski. Przypomniałam sobie, że mąż ma na mnie czekać w obozie.

Mężczyzna zatrzymał się przy moim ojcu i uniósł rękę. Wówczas wszyscy znieruchomieli i zapanowała cisza, którą zakłócało tylko parskanie koni i stukot ich kopyt.

- Allah z tobą. Obyś nigdy nie był głodny - przywitał mojego ojca.

- Obyś nigdy nie był biedny - odwzajemnił się ojciec, spoglądając łakomym wzrokiem na trzy konie. - Przyprowadziłem żonę twojego syna.

A więc był to mój teść. Ktoś tak przystojny i męski musiał mieć także atrakcyjnego i pełnego godności syna. Może ojciec podjął właściwą decyzję, wydając mnie za Shaliqą?

Mężczyzna spojrzał na mnie, a ja spuściłam głowę, choć miałam zasłoniętą twarz.

- Witam wśród Ghilzai - odezwał się do mnie. - Przyprowadziliśmy dla ciebie wielbłąda.

Ojciec zsiadł z konia i przytrzymał mi chustę, żeby przy przesiadaniu się na wielbłąda moja twarz nie została odsłonięta, bo nikt z plemienia Ghilzai nie mógł jej zobaczyć przed moim mężem.

Jeden z młodych mężczyzn odprowadził wielbłąda. Zwierzę miało pysk związany sznurem splecionym z pomarańczowych, żółtych i czarnych pasów tkaniny, które biegły środkiem głowy aż na

kark. Poniżej uszu zwisały mu długie pomarańczowo - czarne frędzle, a między małymi chytrymi oczkami poruszało się duże zielone pióro. Nad wytłaczanym skórzanym siodłem wznosił się baldachim z dużych barwnych szali, wsparty na lekkiej drewnianej konstrukcji, przypominający maleńki namiot.

Uderzony w gruby zad wielbłąd wydał pomruk niezadowolenia, ale zgiął przednie nogi. Wówczas ojciec pomógł mi włożyć nogę w strzemię i wspiąć się na siodło. Na komendę zwierzę wstało tak gwałtownie, że musiałam się przytrzymać sierści na jego karku. Na wielbłądzie siedziałam po raz pierwszy w życiu. Czułam się tak, jakbym się znajdowała na dachu naszego domu. Trzymałam się mocno.

Mój teść podjechał do mnie i zakrył wejście do namiociku szalem, który leżał zwinięty na drewnianej konstrukcji. Ale zanim to zrobił, przez chwilę z zagadkową miną oglądał przez cienką chustę moją twarz. Gdy szal mnie zasłonił, nic już nie widziałam. Słyszałam tylko cichą rozmowę mojego teścia z ojcem, ale nie rozumiałam poszczególnych słów.

- Daryo! Ja też jadę! - powiedział nagle Yusuf głośno i wyraźnie.

Od chwili, gdy za rogiem ulicy straciłam z oczu dom rodzinny, matkę i siostrę, starałam się zachować godność i nie płakać, ale teraz drżał mi podbródek. Odrzuciłam chustę do tyłu, dysząc i zasłaniając usta dłonią. Usłyszałam, jak ojciec gani Yusufa. Jeszcze wczoraj czesałam rozczochrane włosy braciszka. Sądziłam, że ojciec zbliży się do baldachimu i pożegna się ze mną, ale nie zrobił tego. Wielbłąd ruszył w drogę. Zachwiałam się w siodle, a gdy odzyskałam równowagę, z powrotem zasłoniłam twarz. Znowu rozległa się muzyka i śpiew. Siedząc w swoim małym więzieniu, nic nie widziałam, a jakby tego było mało, ogłuszało mnie walenie w bębunki i głośny śpiew. Otoczona przez obcych ludzi i samotna, pozostawiłam za sobą jedyne życie, jakie znałam.

Rozdział XV

Jadąc na wielbłądzie, kiwałam się na wszystkie strony i podskakiwałam. W końcu zwierzę się zatrzymało, a muzyka i śpiew stały się cichsze. Gdy mężczyźni lekko wybijali rytm na bębenkach, ktoś odrzucił szal na drewnianą konstrukcję baldachimu. Zmrużyłam oczy, bo nawet chusta nie chroniła mnie przed oślepiającym blaskiem południowego słońca. Następnie ktoś wydał wielbłądowi komendę, żeby ukląkł. Osłaniając oczy ręką, zobaczyłam, że to mój teść. Skinął na mnie, żebym zsiadła. Po chwili stałam na ziemi przed dużym, czarnym namiotem. Teść odchylił klapę zasłaniającą wejście i znowu na mnie skinął, żebym weszła do środka. Zrobiłam to z pewnym wahaniem, spodziewając się, że będzie tam mój mąż. Ale zobaczyłam tylko Hanouf. W namiocie były pośłania i przybory kuchenne.

- Witam, Kaledzie - pozdrowiła mojego teścia. Skinął głową, położył moją torbę i wyszedł.

- Usiądź - zaprosiła mnie Hanouf. Usiadłam na pośłaniu naprzeciwko niej.

- Twój mąż przebywa teraz w męskim gronie - wyjaśniła. - Późnym popołudniem przyjadą Ghilzai z innych obozów z życzeniami dla nowożeńców. Shaliq przedstawi cię naszym ludziom, ale zanim się z nim spotkasz, muszę z tobą porozmawiać. Powinna to zrobić jego matka, ale, niestety, to niemożliwe.

Zmarszczyłam czoło.

- Nie żyje? Nie mam teściowej? - spytałam, nie spodziewając się takiej sytuacji.

- Żyje, ale... - Hanouf zawahała się. - Twój teść wybrał mnie, żebym z tobą porozmawiała. Zdejmij chustę.

Wykonałam polecenie.

- Oto co powinnaś wiedzieć - zaczęła. - Napij się, jeśli jesteś spragniona. - Skinęła w stronę stojącego obok garnka z wodą.

Z wdzięcznością napełniłam małą unoszącą się na powierzchni tykwę i napiłam się. Odłożyłam naczynie i spojrzałam wyczekująco na Hanouf. Jej tatuaż wydał mi się teraz ciemniejszy, choć może nie zapamiętałam wszystkich wzorów.

- Allah uśmiechnął się do Shaliqa... - Hanouf skinęła w moją stronę.

Zarumieniłam się, słysząc taki komplement. Nikt mnie tu nie znał. Patrząc na mnie, nikt nie mógł dostrzec, że przeklął mnie dzinn wcielony w kobietę.

- Twoja teściowa ma na imię Utmarkhail - podjęła Hanouf. - Jest Uzbeczką. Mieszka tu, ale wybrała życie w samotności. Od wielu lat nie mieszka ani w namiocie męża, ani syna. - Uśmiechnęła się. Zęby miała czerwone od żucia betelu. - Możesz uważać, że masz szczęście. Wiesz, co mówią podłe synowe? Że teściowa jest jak skorpion ukrywający się pod dywanikiem.

Próbowałam odwzajemnić uśmiech, ale mięśnie twarzy miałam zeszywniałe. Chciałam uśmiechem wyrazić Hanouf wdzięczność za to, że stara się mnie uspokoić.

- Shaliq nie jest łatwy we współżyciu - oznajmiła z powagą, więc poczułam się nieprzyjemnie. - W zeszłym roku odesłał żonę do rodziców i zmusił ich do oddania pieniędzy, które za nią zapłacił. Zrobił to, bo w ciągu dwóch lat małżeństwa nie doczekał się potomka. Teraz jest wiecznie ze wszystkiego niezadowolony.

Zaschło mi w gardle, choć przed chwilą piłam.

- Może wszechmogący Allah szybko obdarzy nas dzieckiem i mojemu mężowi spadnie kamień z serca? - powiedziałam, błagając w myślach Boga o wybaczenie tego, co zrobiłam. Dokąd ja bym poszła, gdyby Shaliq porzucił mnie tak jak ją? Ojciec powiedział mi w oczy, że nie mogę wrócić do domu.

- Wszyscy się o to modlimy - oświadczyła na to Hanouf, przywołując mnie do rzeczywistości - choć z niewiadomych powodów Allah wydaje się nie dopuszczać do tego, żeby któraś z żon Shaliqa urodziła dziecko.

Zamrugalam oczami.

- Któraś z żon? - powtórzyłam za nią.

Między grubymi brwiami Hanouf pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Przed poprzednią miał jeszcze jedną. Gdy się z nią ożenił, była dwunastoletnią dziewczyną, delikatną i dziecinną, absolutnie nieodpowiednią, żeby dźwigać zaszczytne brzemię pierwszej żony. Kaled nie godził się na to małżeństwo, ale Shaliq nalegał od chwili, gdy zobaczył dziewczynę w innym obozie i zaczął jej pożądać. Wkrótce po ślubie zachorowała. Umarła w drugim roku ich małżeństwa, gdy podążaliśmy na nasze zimowe pastwiska. - Spojrzała

na moje dłonie i wówczas zdałam sobie sprawę, że zaciskam palce na trzymanej na kolanach chuście. - Dlatego po dwóch bezdzietnych małżeństwach ważne jest, żeby to było udane. Musisz się liczyć z... niecierpliwością Shaliqą. Jest drugim spośród trzech synów Kaleda i jedynym, którego wódz spłodził z drugą żoną. Kaled ma też córki, ale wszystkie poślubiły mężczyzn z innych obozów. Rola Shaliqą jest trudna, bo nie przypadł mu zaszczyt bycia najstarszym synem, jak Hafeez, mój mąż, ani pozycja najbardziej kochanego i rozpieszczanego najmłodszego. Choć ten najmłodszy, Razak, zmarł przed pięciu laty na gorączkę, zanim jeszcze zdążył się ożenić, Shaliqą nadal przeżywa gorycz z powodu tego, co uważa za niesprawiedliwą kolejność narodzin. Nigdy nie będzie wodzem plemienia, bo zostanie nim Hafeez. - Umilkła, gdy przed namiotem rozległy się krzyki i śmiech, i wstała, mówiąc: - Nadchodzi twój mąż, więc wyjdę.

Uniosłam chustę, ale Hanouf pokręciła głową.

- Nie musisz zakrywać twarzy przed mężem - powiedziała. - Także w obozie możesz chodzić bez zasłony, bo nie ma tu obcych mężczyzn. Mężczyźni z naszego plemienia oglądają nasze twarze i traktują nas z szacunkiem. W małym obozie czujemy się wszyscy członkami rodziny.

Ale teraz chciałam zasłonić twarz. Wydawało mi się, że nie potrafię po raz pierwszy spojrzeć na mojego męża, nie mając zakrytej twarzy.

Hanouf wyszła i hałas przed namiotem nagle ucichł. Usłyszałam głos Kaleda i innego mężczyzny, niższy i bardziej szorstki. Rozmawiali w języku paszto, więc nic nie rozumiałam. Po chwili umilkli i jeden z nich odchylił klapę w otworze wejściowym. Zerwałam się z posłania i wbrew temu, co radziła mi Hanouf, włożyłam chustkę.

Mężczyzna, który wszedł, opuścił klapę i spojrzał na mnie. Jakże byłam nim rozczarowana. Nie miał w sobie nic z godności swego ojca. Po uzbeckiej matce odziedziczył przysadzistą sylwetkę i pałakowate nogi, typowe dla Uzbeków. Długie, czarne, szorstkie włosy opadały sztywno wokół płaskiej twarzy. Miał szeroki nos i grube wargi. Ich skrzywienie sugerowało wybuchowy temperament. Skoncentrowałam się na oczach, bo były piękne. Tylko te oczy miał po ojcu: niemal czarne, o migdałowym wykroju, ocienione gęstymi, ciemnymi rzęsami. Oczywiście nie miałam prawa czuć się

rozczarowana. Uroda człowieka nie świadczy przecież ani o jego umyśle, ani o uczuciach. Gdy patrzył na moją zasłoniętą twarz, zwróciłam uwagę, że nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości.

- Drogo kosztowałaś nasze plemię - przemówił w języku dari, ale bardziej gardłowo, z wyraźnym pasztuńskim akcentem. - W zeszłym roku mój ojciec stracił dużo czasu i pieniędzy, żeby nabyć te konie, które za ciebie oddał.

Nie potrafiłam nic na to powiedzieć.

- Zdejmij zasłonę, żebym mógł się przekonać, czy było warto - polecił, gdy milczałam.

Uśmiechnął się na widok mojej twarzy, ale mimo to nie poczułam się tak, jak sobie to wyobrażałam, gdy jako dziewczyna marzyłam o pierwszym spotkaniu z mężem.

- Nadasz się - orzekł, usiadł na posłaniu i poklepał miejsce obok siebie, dając mi znak, żebym usiadła.

Zrobiłam, jak mi kazał. Patrzyłam przed siebie, ale widziałam, że ogląda mój profil, więc uniosłam podbródek. Po chwili lekko przesunął dłonią po moich piersiach, jakby chciał się o czymś upewnić. Głośno wciągnęłam powietrze, ale się nie poruszyłam. Wówczas wstał i wziął mnie za rękę, pomagając wstać. Uśmiechnął się swobodnie. Odetchnęłam, bo z tym wyrazem twarzy wydał mi się bardziej atrakcyjny.

- Chodź. Wielu Ghilzai jedzie do naszego obozu na dzisiejszą uroczystość - oznajmił i z młodzieńczym entuzjazmem wyciągnął mnie przed namiot.

Osłoniłam ręką oczy przed słońcem.

- Niech wszyscy zobaczą moją nową żonę - powiedział, widząc, że chcę włożyć chustę.

Przynajmniej nie był mną rozczarowany, tak jak ja nim. Pokręciłam głową, chcąc odpędzić tę myśl. Nie powinnam dłużej podchodzić do życia jak młoda dziewczyna. Zostałam żoną i zanim jutro wszędzie słońce, stanę się nią w pełni. W dzisiejszej modlitwie postanowiłam poprosić Allaha, żeby mi wybaczył moją nieżyczliwą naturę.

Nie miałam czasu na dłuższe rozmyślenia, bo Shaliq prowadził mnie wśród wielkich namiotów z czarnej kozłej sierści, przypominających monstrualne motyle. Mieszkający w nich mężczyźni i kobiety pracowali ramię w ramię, śmiejąc się i

rozmawiając, a boscie dzieci biegały, krzycząc i śmiejąc się, dziewczynki razem z chłopcami. Rozlegało się szczekanie psów i smętne beczenie owiec oraz kóz, a czasami zrzędlawy ryk wielbłąda. W moich uszach wszystkie te słowa wypowiedane w języku paszto, opartym na znacznie większych różnicach brzmienia niż mój kojający dari, tworzyły dysharmonię.

Nigdy nie przypuszczałam, że istnieje świat, w którym panuje taka swoboda w kontaktach między mężczyznami i kobietami. Nie dostrzegłam jej nawet w Wamed, gdzie mieszkali niewierni. Gdy otarł się o mnie mijający nas stary mężczyzna z naręczem skór, odruchowo spuściłam wzrok. Ale ten człowiek zatrzymał się, jakby nic się nie stało, i powiedział coś do mojego męża.

- Witaj, Daryo, żono Shaliq - pozdrowił mnie po chwili.

Słyszając swoje imię, uniosłam głowę. Mężczyzna był bezzębny i miał oczy o opadających powiekach, ale wciąż błyszczące.

Speszona okazanym mi zainteresowaniem, zdołałam tylko skinąć głową.

Przy innym namiocie usłyszałam jakieś szepty i zobaczyłam dwie dziewczyny stojące w wejściu. Były ode mnie młodsze, ale zbliżały się do wieku zamążpójścia. Miały na sobie podobne do mojej, lecz znacznie krótsze sukienki. Obie nosiły na nadgarstkach mnóstwo srebrnych bransoletek, a na szyjach naszyjniki ze srebrnych monet. Żadna nie miała wytatuowanej twarzy. Czyżby kobiety tatuowano tu po zamążpójściu? Głowy dziewcząt zdobiła jasnoczerwona tkanina po bokach twarzy zapleciona w długie warkocze. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że rano matka i Yalda zadbały o ten nowy akcent w moim wyglądzie, przymocowując mi z tyłu głowy pęk takich warkoczy, które znaczyły, przynajmniej dla Tadżyków z Susmar Chord, że zostałam mężatką.

Uśmiechnęłam się do dziewcząt niepewna, jak na to zareagują, ale odwzajemniły się szerokim życzliwym uśmiechem i znowu o czymś szeptały. Jedna z nich podeszła do mnie, chcąc dotknąć mojej chusty, uszytej z cienkiej delikatnej tkaniny, innej niż ich nakrycia głowy.

Shaliq zaprowadził mnie do tłumu ludzi, którzy rozmawiali w języku paszto, ale gdy przechodziliśmy obok, kilka osób pozdrowiło mnie w moim języku dari. Wyteżałam umysł, chcąc zapamiętać imiona. Uśmiech nie schodził mi z twarzy. W końcu zatrzymaliśmy

się i Shaliq usiadł na dużym, porośniętym trawą placu, otoczonym namiotami. Paliło się tam dużo ognisk i rozchodził się zapach pieczonego mięsa.

Stanęłam obok męża niepewna i zaczerwieniona, bo w moją odkrytą twarz wpatrywało się wiele osób, mężczyzn i kobiet. Walczyłam z pokusą zasłonięcia się dłońmi. Nagle podeszła do mnie kobieta o nieładnej, ale spokojnej i łagodnej twarzy, i położyła mi rękę na ramieniu.

- Usiądź - powiedziała. - Będziemy się weselić i ucztować z okazji waszego ślubu.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością i cofnęłam, chcąc przycupnąć za moim mężem, ale skinęła na mnie, żebym zajęła miejsce obok niego, a sama usiadła przy mnie. Naprzeciw mnie siedział Kaled, a obok niego wysoki szczupły mężczyzna o takim samym, jakie miał wódz, szlachetnym czole. Przy nogach tego mężczyzny siedziały dzieci, a obok niego Bibi z niemowlęciem i Hanouf, która wycierała buzię jednemu z dzieci, więc od razu wiedziałam, że to Hafeez, najstarszy syn Kaleda.

- Jestem Myassa, pierwsza żona Hafeeza - przedstawiła się siedząca obok mnie kobieta. - Wiem, że już poznałaś moje siostry - jego pozostałe żony. Jako rodzina pana młodego będziemy jeść pierwsi, a po nas wszyscy pozostali. Później będzie zabawa.

Z napięcia zeszytniał mi kark. Od świtu nie miałam nic w ustach, mimo to zapach pożywnych tłustych potraw nałożonych do glinianych mis przyprawiał mnie o mdłość. Naczynia stały przed członkami rodziny pana młodego na rozłożonych na trawie długich białych obrusach, czystych, lecz pożółkłych od starości i prania, połatanych i poplamionych po licznych ucztach.

Mój mąż z apetytem sięgnął po jedzenie, którego było w bród: piramidy żółtego ryżu, przyprawionego, jak się zorientowałam, szafranem, combry jagnięce, owcza wątroba na szpikulcach i przyzmy złocistych kurczaków. Do tego podano małe porcje chleba zanurzone w oleju z dodatkiem cebuli. Skubałam kawałek chleba, bo tylko tyle odważyłam się zjeść w obawie przed rozstrojem żołądka, i obserwowałam, jak Kaled wkłada trzy palce do gorącego ryżu, formuje kulkę i wsuwa ją do buzi małej dziewczynki, z pewnością wnuczki, nie starszej od Yusufa, która ufnie opierała się o jego piersi. Obok mnie Shaliq mlaskał i siorbał gorącą czarną herbatę.

Próbowałam nie patrzeć, jak je, ale kątem oka widziałam, że rozgryzł kość kurczaka i wyssał z niej szpik.

Gdy wszyscy zaspokoili głód, Shaliq wstał, głośno bekając, a za nim podnieśli się ze swoich miejsc pozostali członkowie rodziny. Ruszył przodem na plac za namiotami, a Myassa szła obok mnie.

- Które dzieci są twoje? - spytałam ją, usuwając się na bok, gdy cała gromadka, piszcząc, przebiegła obok nas z buziami pobrudzonymi tłuszczem.

- Dwaj najwyżsi chłopcy, dziewczynka w pomarańczowej sukience i ta młodsza, którą niesie Kaled. Dziewczynka i chłopiec, którzy się ścigają, to dzieci Hanouf. Bibi, która jest żoną Hafeeza dopiero od dwóch lat, niesie swojego synka na rękach i spodziewa się dziecka - wyjaśniła mi.

- Hafeez musi być bardzo dumny ze swoich dzieci - skomentowałam.

- Owszem. Wybiera sobie żony starannie i w naszej rodzinie panuje zgoda. Nie wszystkie dzieci Hanouf i moje żyją, ale cieszymy się z tych, które mamy, i dziękujemy miłosiernemu Allahowi, że nas nimi obdarzył. Teraz kolej na ciebie. - Uśmiechnęła się i jej rysy złagodniały, przez co wydała mi się ładniejsza.

Poczułam się zakłopotana, że przybyłam do tych serdecznych, przyjaznych ludzi, coś przed nimi zatajając.

- Jeśli Allah, jedyny prawdziwy Bóg, uzna, że tak ma być - odpowiedziałam, starając się nie zdradzić swoich myśli tonem głosu.

Przyszliśmy na równy teren między dwoma stokami. Myassa wskazała dłonią miejsce w cieniu dużego miru.

- Chodź, posiedzimy tam z dziećmi - zaproponowała. Spojrzałam na zachód, gdzie złocista kula była już nisko nad

linią horyzontu. Nie chciałam myśleć o tym, że wkrótce zapadnie zmrok i będę musiała wrócić z mężem do czarnego namiotu. Dołączyły do nas Hanouf, Bibi i dzieci, które szamotały się ze sobą i mocowały. Znowu mnie uderzyło, że u Ghilzai dziewczynki zachowują się tak samo jak chłopcy. Bibi uśmiechała się do mnie, a ja żałowałam, że nie możemy rozmawiać z powodu bariery językowej.

- Jak mówi się w języku paszto „brawo”? - spytałam Myasę. Gdy mi powiedziała, wskazałam dłonią brzuch Bibi i z wahaniem powtórzyłam: - Shabas, Bibi.

Bibi roześmiała się radośnie i poklepała po brzuchu, potakując i coś mówiąc.

- Dziękuję ci - przetłumaczyła Myassa i dodała: - Szybko nauczysz się naszego języka. Masz dobrą wymowę.

Spojrzałyśmy wszystkie w stronę placu, skąd dochodził coraz większy hałas.

- Co oni robią? - spytałam, spoglądając na dwie dwójki mężczyzn stojących w kręgu wytyczonym na ziemi. Mężczyźni w dwójkach byli do siebie przywiązani za nogi kawałkiem filcu przymocowanego pasami skóry.

- To są zawody zwane „sznur w kole” - wyjaśniła Myassa. - W naszym plemienu uprawiamy tylko zawody siłowe i sportowe. Inne plemiona zwykle urządzają śmiertelne walki zwierząt, ale u nas Kaled na to nie pozwala. To człowiek łagodnego usposobienia i nie chce tu krwawych potyczek.

- Zbyt łagodnego - orzekła Hanouf, marszcząc czoło. - Czasami obawiam się, że nasi synowie nie wyrosną na prawdziwych wojowników, jeśli nie będzie im wolno oglądać walki na śmierć i życie.

- Hanouf, przestań zrzędzić - ofuknęła ją Myassa. - Wiesz dobrze, że wszyscy tutejsi mężczyźni to silni, nieustraszeni wojownicy i nasi synowie też tacy będą.

Dziwiłam się, że potrafią tak od niechcienia rozmawiać o walce na śmierć i życie, ale moją uwagę przyciągnęły zawody, które właśnie się rozpoczęły. Jedna dwójka mężczyzn starała się smagnąć w nogi sznurem drugą, ci, chcąc uniknąć ciosu, podskakiwali, starając się nie przekroczyć linii okręgu. Ponieważ nie mieli żadnej broni, usiłowali dosięgnąć swych przeciwników owiniętymi w skórę stopami. Po krótkiej, ale wyczerpującej walce udało się to jednemu, raczej drobnemu, i rozległ się gromki aplauz. Czterej zawodnicy pokleпали się po plecach i ramionach, i każdy napił się wody z bukłaka z kozłej skóry. Po chwili bicz przejęła zwycięska para i teraz pokonani musieli się starać uniknąć ciosu.

Oglądając te zawody, w których uczestniczyły kolejne dwójki mężczyzn, w pewnym momencie uprzytomniłam sobie, że zapadł zmierzch. Na wzgórzach otaczających obóz płonęło coraz więcej ognisk. Przez cały czas słyszałam głosy powitania i obserwowałam serdeczne uściski, bo na wesele drugiego syna wodza ciągle

przyjeżdżali nowi goście. Starsi mężczyźni często łapali jeden drugiego za brodę i cmokali się w policzki.

Wkrótce z drugiego końca obozu dotarła tu muzyka grana na bębenkach, a zawody „sznur w kole” zostały zastąpione przez zapasy. Zawodnik opierał podbródek na ramieniu przeciwnika i obejmował go w pasie, trzymając mocno z tyłu. Starał się go podnieść, podstawić mu nogę, zmusić do przyklęknięcia czy w jakiś inny sposób przewrócić i zostać ogłoszony zwycięzcą.

Myassa wstała, biorąc na ręce małą dziewczynkę, która zasnęła na jej kolanach.

- Położę ją do łóżka. Zawody i uczta potrwać do późna - powiedziała do mnie i zwróciła się do Hanouf: - Przeprowadzisz pozostałe dzieci?

Hanouf przytaknęła. W tym momencie stanął przede mną Shaliq.

- Idziemy - oznajmił.

Nie potrafiłam spojrzeć na Myasę, Hanouf i Bibi. Ze spuszczoną głową ruszyłam za moim mężem do namiotu. Po drodze Shaliq wyjął z ogniska żarzący się z jednej strony gruby patyk i szedł wśród namiotów, nie oglądając się do tyłu. Podążałam za nim, potykając się i posuwając niepewnie niemal w całkowitym mroku. Z wyczerpania i głodu kręciło mi się w głowie. Ze zdenerwowania miałam ściśnięte gardło. Z trudem przetykałam ślinę.

Wraz z napływem gości w obozie zrobiło się głośniejsze. W świetle ognisk płonących wśród namiotów dostrzegłam tańczących mężczyzn i psy, zaniepokojone tym istnym szturmem obcych ludzi na ich teren. A ja pragnęłam tylko spokoju. I snu. Czy tak powinna się czuć panna młoda w noc poślubną? Nagle stanęła mi przed oczami twarz Sulimy, radosna, w sposób nieskrępowany wyrażająca uczucia, gdy Kafirka kochała się z młodzieńcem z Wamed.

Gdy doszliśmy do namiotu Shaliq, mój mąż wrzucił płonąca głownię do pobliskiego ogniska i odsunął klapę. Wszedł pierwszy, a ja za nim, pochylona, widząc go w słabym świetle wpadającym do środka przez otwór wejściowy. Położył się na pościeli rozłożonej na dużych owczych skórkach rozciągniętych na ubitej ziemi, założył ręce pod głowę i wpatrywał się we mnie.

Odwróciłam się, czując, jak bardzo przyspieszył mi puls.

- Zasłoń wejście do namiotu klapą - polecił mi mąż, dotykając dłonią miejsca obok siebie i wskazując na nie podbródkiem.

Zrobiłam, co mi kazał, i w namiocie zapanował kompletny mrok. Szłam wolno jak ślepiec na posłanie, na którym leżał Shaliq. Wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby się o coś nie potknąć. Wreszcie dotknęłam stopą owczej skóry, przykucnęłam, wymacałam dłonią kołdrę, wpełzłam na nią i położyłam się. Słyszałam ciężki oddech Shaliqa. Byłam ubrana w ślubny strój. Miałam w nim spać? W sytuacji, gdy obok mnie leżał ten obcy mężczyzna, nie mogłam się rozebrać i włożyć nocnej koszuli.

Zaledwie o tym pomyślałam, gdy usłyszałam obok szelest. Jednym szybkim ruchem Shaliq położył się na mnie. Okraczył moje nogi. Jego oddech cuchnął cebulą. Czułam też własny, gdy leżałam sztywno pod moim mężem, przyciskając ręce do boków. Shaliq podciągnął moją długą suknię i szarpnął w dół pantalony, rozrywając cienką tkaninę. Wobec tego rozwiązałam podtrzymujący je sznurek. Starając się zsunąć spodnie z bioder, napotkałam dłonie Shaliqa. Ukląkł obok i ściągnął je ze mnie razem ze skórzanymi butami. Złota bransoletka uraziła mnie w kostkę.

Teraz Shaliq wepchnął mi kolano między nogi. Wiedziałam, co powinnam zrobić, ale jakoś nie potrafiłam, miałam napięte mięśnie ud. Mąż chwycił mnie za kolana, rozsunął mi nogi i położył się między nimi. Odwróciłam głowę i wcisnęłam pięść do ust. Drugą rękę oparłam na biodrze i chwyciłam brzeg sukni. Shaliq stęknął. Nagle poczułam się tak, jakby tam, gdzie przed kilkoma dniami wsunęła palce Hanouf, ktoś wkładał mi płonąca pochodnię.

To jest mój mąż. Ma prawo do tego, co teraz robi, pomyślałam. Gdy Shaliq uporczywie dźgał mnie coraz głębiej, a wraz z tym ból się nasilał, wbiłam zęby w dłoń. Wydawało się, że choć bardzo chce, nie może sforsować jakiejś zapory. Gdy w końcu wszedł we mnie wyjątkowo brutalnie, poczułam nowy rodzaj bólu, ostry i przenikliwy, jakby została rozerwana tkanka. Zaczęłam krzyczeć. Zacisnęłam oczy i skrzywiłam się, jakbym była małą dziewczynką, która czeka, aż niebezpieczeństwo minie. Wepchnęłam sobie rękę do ust, żeby stłumić krzyk. Miałam ochotę walić Shaliqa pięścią po plecach za to, że tak bezceremonialnie się we mnie wdziera, ale wiedziałam, że mi nie wolno, że nie mogę sobie na to pozwolić.

Wydał szorstki okrzyk i zaczął poruszać się szybko, trzymając mnie za ramiona. Oddychałam z trudem, zatykając sobie usta dłonią, a żołądek z obrzydzenia podchodził mi do gardła. Czułam się

pohańbiona i upokorzona. Tak, byłam upokorzona tym gwałtem, choć wiedziałam, że takie postępowanie mężczyzny jest uważane za właściwe. Czekałam, aż to się skończy.

Szczęśliwie skończyło się szybko. Shaliq wydał stłumiony okrzyk i zsunął się ze mnie równie szorstko, jak wcześniej szorstko przytłoczył swoim ciałem. Głośno nabrałam powietrza, a mój mąż sapnął, ubrał się i odwrócił do mnie plecami. Przykrył nas oboje kołdrą i po chwili już głośno chrapał.

Leżałam w mroku z rozrzuconymi nogami, z okręconą wokół talii suknią. Płakałam, wciąż trzymając dłoń w ustach. Gdy w końcu ją wyjęłam, poczułam ból pogryzionej skóry. Myślałam o swoim czystym łóżku w domu rodzinnym i o ciepłe ciał przytulonych do mnie Nasreen i Yusufa. O ciszy panującej w naszej wiosce nocą, kiedy tylko wietrzyk potrząsał liśćmi morw i drewnianymi okiennicami. O dachu, na którym leżałam i spoglądałam w rozgwieżdżone niebo. Teraz słyszałam tylko chrapanie mojego męża, wycie psów i dziką nieokiełznaną muzykę oraz krzyki i śmiech obcych mężczyzn. Zacisnęłam kolana, wyprostowałam suknię i odwróciłam się tyłem do Shaliq. Bolało mnie ciało i dusza. Płakałam bezgłośnie w mroku pasztuńskiego namiotu z kozłej sierści. Pragnęłam wrócić do domu i do matki, być znowu tadżycką dziewczyną.

Rozdział XVI

Po nocy poślubnej miałam niewiele czasu na płacz ze wstydu czy rozczarowania. Mąż obudził mnie wcześniej rano i znowu we mnie wszedł. Teraz odczuwałam jeszcze silniejszy ból, bo tkanka wciąż była podrażniona. Ale, jak wkrótce się zorientowałam, Shaliq zawsze robił to krótko, choć regularnie. Za to pierwsze byłam wdzięczna losowi.

Zaraz potem wyszedł z namiotu, a ja leżałam, słuchając ryków osła i piania koguta. Po jakimś czasie do namiotu weszła Myassa, z gracją wnosząc przykrytą miednicę i naręcze ubrań. Nie zasłoniła z powrotem wejścia klapą, wpuszczając do wnętrza poranne światło. Usiadłam i w pośpiechu obciągnęłam pod kołdrą zadartą suknię. Z zakłopotaniem spostrzegłam, że moje pantalony leżą rzucone byle jak w nogach posłania. Ale Myassa zdawała się nie zauważać mojego skrzepowania.

- Czekałam, aż Shaliq wyjdzie - powiedziała. Spojrzałam na jej miłą twarz i mimo woli pomyślałam o tym, co się tu wydarzyło wczoraj wieczorem i dziś rano. Spuściłam głowę, czując wstręt i wstyd.

- Wstań. Przyniosłam ci ciepłą wodę - powiedziała rzeczowo, więc odważyłam się na nią spojrzeć. - To jest kamis, koszula noszona jako strój codzienny przez kobiety w obozie. Odświętne suknie są zbyt długie, przeszkadzałyby w pracy. - Pokazała mi kilka koszul sięgających zaledwie do uda. Sama miała na sobie taką.

Gdy zanurzyłam dłoń w miednicy i ochlapałam twarz, uśmiechnęła się do mnie.

- Nie sądziłam, żebyś po nocy poślubnej chciała umyć się w strumieniu, razem z różnymi żartownisiami. - Gdy nic na to nie powiedziałam, uniosła brwi i spytała: - Może wolałabyś, żebym zostawiła cię samą?

- Nie! Przepraszam. Ja... - Ku mojemu przerażeniu zaczęły mi drżeć wargi. Nie chciałam przy niej płakać, więc zacisnęłam usta i zmarszczyłam czoło.

Myassa postawiła miednicę i ukłękła przede mną.

- Boli cię?

- Trochę - przyznałam, ale nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy.

- Przyniosę ci baraniego łoju. Posmaruj się nim, zanim twój mąż do ciebie przyjdzie. To pomaga - powiedziała.

Spojrzałam na nią zdziwiona. Baranim łojem? Rozumiała moje zakłopotanie i uśmiechnęła się, chcąc mi dodać otuchy.

- Może wśród Tadżyjek panują inne zwyczaje? Może nie rozmawiacie o takich sprawach?

Nie wiedziałam, jakie sprawy ma na myśli.

- Smaruj się tym łojem w środku przed zbliżeniem z mężem - uściśliła. - Wystarczy odrobina. Mężczyźni się w tym nie orientują. Dopóki się nie rozluźnisz, łój będzie pomocny. Po urodzeniu pierwszego dziecka nie powinnaś już mieć żadnych problemów.

Dopiero teraz zrozumiałam, jakie sprawy miała na myśli, i strasznie się zaczerwieniłam. Zakryłam twarz dłońmi.

Myassa je odsunęła i zmusiła mnie, żebym na nią spojrzała. Na mojej lewej ręce spostrzegła ślady po zębach. Na moment położyła na niej swoją dłoń.

- Daryo, będzie lepiej - rzekła pocieszająco.

Ten przejaw współczucia sprawił, że musiałam zamknąć oczy, by powstrzymać łzy.

- Daryo, w obozie nie ma miejsca na jakąś wyjątkową skromność - powiedziała Myassa. - Żyjemy tu ze sobą zbyt blisko, żeby to mogło być możliwe. Wkrótce przywykniesz do naszych zwyczajów. - Zerknęła w kierunku odsłoniętego wejścia do namiotu. - Czekaj nas dużo pracy. Jutro wyruszamy do Badakhshanu.

- Gdzie to jest? - spytałam.

- Wysoko w górach. Zanim znowu zatrzymamy się w pobliżu waszej wioski, owce się okocą i ostrzyżemy je. Teraz będziemy się posuwać coraz wyżej, żeby stado miało dostęp do długiej, soczystej trawy.

Pomyślałam o hodowanych przez nich tłustoogoniastych karakułach, które miały grubą skreconą wełnę.

- Po drodze będziemy się zatrzymywać w różnych wioskach, żeby wymienić wełnę i część owiec na potrzebne produkty - ciągnęła Myassa.

Na dworze ktoś krzyknął, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Daryo, zanim stąd wyjdę, muszę ci szybko opowiedzieć historię Shaliq'a. Może dzięki temu go zrozumiesz i wybaczysz mu jego zachowanie - zmieniła temat.

Czyżby się domyślała, jak wyglądała moja noc poślubna z Shaliqiem? Że nie okazał mi ani szacunku, ani czułości, lecz wziął mnie brutalnie i bez słowa, jakbym się w ogóle dla niego nie liczyła?

- Wczoraj Hanouf opowiedziała mi o jego poprzednich żonach. Powiedziała, że jako drugiemu synowi brak mu pewności siebie - uprzedziłam ją.

Myassa potaknęła i usiadła na posłaniu.

- Ale chodzi o coś więcej - zaczęła. - Ponieważ Kaled nie ma żony, jeśli nie liczyć Utmakhail, choć jej nie można tak traktować, wzięłam na siebie rolę najważniejszej kobiety w jego rodzinie. O wszystkim jestem informowana. Do moich obowiązków należy dbanie o to, żeby członków naszej rodziny łączyła bliska więź, bo bez niej nasze wspólne życie, w którym jest tak mało miejsca na prywatność i stabilność, zaczyna się rozpadać. Ale nic, co ci mówię o naszej rodzinie, to znaczy o rodzinie Kaleda, nie może wyjść poza nią. To, o czym rozmawiają jej członkowie, zostaje w niej. Nie jest przekazywane innym. Musi tak być. Plotkowanie nie jest tu dobrze widziane. Rozumiesz? Czy mogę ci zaufać?

Skinęłam głową.

- Shaliq rzeczywiście ma trudny charakter, ale przez lata mego małżeństwa z Hafeezem zorientowałam się, że młodszy brat mojego męża czuje się nieszczęśliwy, bo zupełnie brak mu pewności siebie. Kaled to człowiek życzliwy i sprawiedliwy, nie obdarza jednak swego drugiego syna takim samym szacunkiem i miłością jak najstarszego i jakim obdarzał najmłodszego, Razaka. Pierwsza żona Kaleda, Husna, urodziła mu najpierw trzy córki, a po nich Hafeeza. Gdy chłopiec miał rok, Kaled pojechał na północ, dalej niż kiedykolwiek wcześniej, żeby kupić konie. Najlepsze hodują Turkmeni i Uzbekcy. Chciał je odsprzedać z zyskiem w Kabulu, ale źle obliczył sobie czas potrzebny na podróż i wielkie śniegi zatrzymały go wśród Uzbeków, uniemożliwiając przeprawę przez góry. Był młody i miał gorącą krew, a od czterech miesięcy nie obcował z kobietą. Wtedy to poznał Utmakhail, która rzuciła na niego urok. Skinęłam głową, myśląc o moim ojcu i Sulimie.

- Przywiózł ją tu ze stepów jako swoją drugą żonę. Szybko urodziła mu Shaliqą - ciągnęła Myassa - ale okazała się niezrównoważona psychicznie i zamieniła życie pierwszej żony Kaleda w koszmar.

Dziwne podobieństwo łączyło ich życie z życiem mojej rodziny. Pozwoliło mi to zrozumieć ich problem, choć bardziej dzięki intuicji niż wiedzy, i było niepokojące. Być może wielu mężów, żon i dzieci doświadczało tego, co rodzina Kaleda i moja. Być może to, co wydarzyło się w moim domu, nie było tak szokujące, jak sądziłam.

- Gdy Husna nosiła pod sercem Razaka, Kaled znowu opuścił obóz na wiele miesięcy, by handlować końmi - usłyszałam słowa Myassy. - Wyjechał zimą, która upłynęła Husnie i Utmarkhail na zawziętej walce. Hafeez był wtedy małym chłopcem, ale pamięta przynębiającą atmosferę, jaka panowała w namiocie. Wkrótce po wydaniu na świat wczesną wiosną Razaka, kiedy Kaled przebywał jeszcze poza obozem, Husna w tajemniczych okolicznościach nagle umarła. Utmarkhail twierdziła, że to z powodu zakażenia krwi po porodzie, ale wszyscy podejrzewali, że otruła rywalkę. Niczego jej nie udowodniono, jednak Kaled, wróciwszy do obozu po kilku miesiącach, przeniósł się wraz z córkami i Hafeezem do namiotu kuzyna, którego żona po śmierci Husny karmiła Razaka piersią, bo sama w tym czasie urodziła dziecko. Przez wiele lat mieszkali wszyscy razem. Kaled chciał też przenieść do tego namiotu Shaliq, bojąc się zostawić go pod opieką takiej matki. Niestety, Utmarkhail nie oddała mu chłopca. Obca kobieta i jej syn mieszkali więc sami, choć oczywiście Kaled nadal ich utrzymywał i nie pozwolił nikomu traktować lekceważąco. Gdy u Utmarkhail pojawiało się coraz więcej oznak, że dzinn zniszczył jej zdolność normalnego myślenia, dla wszystkich stopniowo stało się jasne, kim ona jest. Oczywiście Shaliq ucierpiał na tym wszystkim, wychowywany przez taką matkę. Gdy był starszy i nie miała już na niego wpływu, przeniósł się do namiotu ojca. Ale spędzone z nią lata pozostawiły na jego duszy piętno i nigdy naprawdę nie poczuł się członkiem naszej rodziny. Dlatego nadrabia miną, grzmi i chodzi z zadartą głową, próbując w ten sposób dowieść, że jest wart tyle samo co dwaj pozostali synowie Kaleda.

- Co się z nią teraz dzieje? Z moją teściową? - spytałam zaciekawiona.

- Nie rozmawia z ludźmi i przesiaduje w namiocie. Przebywa tam w mroku i mnóstwo je. Nawet gdy w obozie nie ma pod dostatkiem żywności, wymyka się z namiotu i podkrada ją innym, żeby móc zaspokoić swój wilczy apetyt, znacznie większy, niż zaobserwowałam u jakiegokolwiek mężczyzny.

Na mojej twarzy chyba odmalował się strach, bo Myassa poklepała mnie po ręce.

- Nie będzie cię niepokoiła, dziecino - pocieszyła mnie. - Nic i nikt jej nie obchodzi. Dopóki ma pełny żołądek, jest nieszkodliwa. Musisz gotować także dla niej, a Shaliq będzie jej wszystko zanosił. Gdy nie miał żony, ja musiałam przyrządzać posiłki dla jego matki. - Wstała. - Umyj się, zanim woda całkiem wystygnie, i ubierz. Przyślę do ciebie Bibi, żeby ci pomogła złożyć namiot.

Tak zaczęłam wędrówkę do Badakhshanu i dalej.

Pół godziny później spoglądałam ze zdumieniem, jak Bibi rozwiązuje kilka węzłów i parę razy szarpie zimowy namiot wykonany z palas - płatów tkaniny z czarnej koziej sierści - a on lekko przewraca się na ziemię. Już spakowałam nasze rzeczy. Obóz został zwinięty w ciągu niecałej godziny. Żyło w nim, jak się później dowiedziałam, ponad sto pięćdziesiąt osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Każdy, włącznie z kilkuletnimi dziećmi, miał jakąś pracę do wykonania.

Shaliq pojawił się przy naszym namiocie, gdy zwijałam go z pomocą Bibi. W milczeniu wziął siodło i bukłak z koziej skóry, które wystawiłam na zewnątrz, i udał się do zagrody z końmi.

Na czoło formowanej kolumny mężczyźni przyprowadzili silne wielbłądy, które, choć niemile, wydawały się nie zwracać uwagi na ciężar bagaży, jakimi je objuczono. Te brzydkie zwierzęta miały uprzęż niestosownie ozdobioną jasnoczerwonymi, niebieskimi i białymi paciorkami, a niektóre także piórami, wstążkami i dzwoneczkami. Czyżby Ghilzai spodziewali się, że ładniejszy wygląd zwierząt wpłynie korzystnie na ich skłonności? Każda rodzina miała wielbłąda do transportu swego dobytku, toteż do grzbietów zwierząt były przytroczone namioty, pościel, naczynia oraz drewniane klatki ze skrzeczącymi kurami. Wokół wielbłądów kręcili się mali chłopcy, pokrzykując i wymachując grubymi gałęziami, żeby utrzymać syczące i śliniące się zwierzęta w szeregu.

Innym wielbłądom zawieszono na obu bokach proste drewniane skrzynki, wyściełane owczymi skórąmi i kocami. W jednej siedziały małe dzieci, a w drugiej ich matka, która miała ich pilnować i nie dopuścić, żeby któreś bardziej ciekawskie wypadło ze skrzynki. Ponadto zadaniem kobiet było za pomocą długich różg z gałązek

wierzbowych utrzymać długą, chwiejącą się szyję wielbłąda w linii prostej.

Na jeszcze innych wielbłądach siedziały osoby starsze. Zastanawiałam się, która z kobiet zasłoniętych szalami jest moja teściową.

Za wielbłądami ustawiły się starsze dzieci i młodsze bezdzietne kobiety. Niektóre niosły w kocach na plecach świeżo narodzone jagnięta.

Za nimi stały konie. Jeden jeździec trzymał za uzdy trzy, cztery powiązane razem długonogie, pełne wdzięku zwierzęta, a wielu innych jeźdźców, którzy nie prowadzili koni, ustawiło się po bokach karawany.

Na końcu znajdowało się wielkie stado owiec, pilnowane przez psy, które biegały wokół beczących zwierząt i przez cały czas ujadały. Gdy jakieś oszalałe z powodu tego zamieszania jagnię oddaliło się od stada, nie mogąc odnaleźć matki, rzucali się za nim w pościg mali chłopcy. Wśród owiec było kilkadziesiąt brodatych kóz.

W tłumie trajkocących kobiet dołączyłam do Bibi, która niosła swe dziecko w nosidelku, i Hanouf. Myassa jechała na wielbłądzie razem z dziećmi Hanouf i swoją córką.

Karawana ruszyła w drogę. Wędrowaliśmy przez cały dzień, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby napić zwierzęta i posilić się chlebem oraz serem. Początkowo rozglądałam się wokół, rozkoszując się swobodną wędrowką, czego nigdy dotąd nie zaznałam. Myślałam też o babci, zadzierając głowę i spoglądając w jasne niebo. Czy ogląda z góry tę podróż i kiwa głową? Późnym popołudniem zaczęły mnie boleć nogi. Stopy spuchły mi w delikatnych pasztuńskich butach. Poza tym było mi gorąco i dokuczał mi kurz. Mimo to nie skarżyłam się i nie pytałam, kiedy się zatrzymamy, widząc, że inne kobiety i dzieci idą bez widocznego przymusu. Poczułam ulgę, gdy wzdłuż karawany przejechał mężczyzna na koniu i powiedział coś w języku paszto, z potakiwań i szmeru głosów wywnioskowałam bowiem, że się zatrzymujemy. Ale pomimo obolałych nóg wołałabym iść dalej choćby przez całą noc, byle tylko nie musieć jej spędzić z Shaliqiem.

Przez następne dwa dni karawana pokonywała wolno, ale systematycznie żyzną wyżynę. Pod wieczór drugiego dnia natknęliśmy się na wioskę. Wiedziałam, że mieszkają w niej Tadżycy,

i spoglądałam na budynki wznoszące się w zielonej dolinie, na które słońce przed zachodem rzucało długie cienie.

Ciepły przedwieczorny wietrzyk przynosił stamtąd znajomy zapach palonego kiziaku. Miałam ochotę pobiec do tej wioski, tak podobnej do mojej rodzinnej. - Co to za wioska? - spytałam Hanouf. - Pani Mar - odpowiedziała.

Strach ścisnął mnie za gardło, bo mieszkał tam kuzyn mojego ojca. Nie mogłam oddychać. - Zatrzymamy się tam? - wykrztusiłam.

- Tak - potwierdziła. - Niektórzy nasi mężczyźni pójną dziś wieczorem do herbaciarni, żeby się dowiedzieć, czy Tadżykowie chcą od nas coś kupić, choć mieszkańcy tej wioski zwykle nie nabywają owiec.

Podążałam za nią w milczeniu. Miałam nadzieję, że młoda tadżycka żona drugiego syna wodza pasztuńskiego plemienia nie jest na tyle ważna, aby mężczyźni chcieli o niej rozmawiać przy herbacie. Zanim Shaliq udał się do wioski, nie mogłam jeść, a gdy tam poszedł, spędziłam wieczór samotnie w namiocie, bo byłam tak zmartwiona, że nie potrafiłam rozmawiać z innymi kobietami. Leżałam pod kołdrą i zastanawiałam się, co będzie, jeśli mój sekret zostanie odkryty. Gdy usłyszałam powracających do obozu mężczyzn, serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Usiadłam, wpatrując się w klapę namiotu i zaciskając palce na kołdrze. Ale Shaliq wszedł cicho i nic nie powiedział. Zgasił światło, wsunął się pod kołdrę i posiadł mnie w typowy dla siebie sposób. Zrozumiałam, że nadal jestem bezpieczna.

Dziesięć dni później rozpoczęła się u mnie nieczystość miesięczna. Byłam tym dziwnie zaskoczona i rozczarowana, choć wiedziałam, że nigdy nie pocznę z Shaliqiem dziecka. Zarazem jednak poczułam ulgę, że będę miała co najmniej pięć spokojnych nocy, niezakłóconych przez intymne kontakty z mężem. Bo w tym czasie Shaliq miał sypiać w innym namiocie, jak poinformowała mnie któraś z żon Hafeeza. Tak nakazywały zwyczaje Pasztunów.

Nie wiedziałam, jak powiedzieć mężowi o tym kłopotliwym fakcie. Rzadko o czymkolwiek rozmawialiśmy. Wymiana zdań między nami ograniczała się w zasadzie do jego żądań czy życzeń i moich odpowiedzi. Toteż wieczorem pierwszego dnia nieczystości miesięcznej tylko pokazałam mu poplamioną krwią tkaninę, gdy po kolacji wszedł do namiotu.

Zacisnął usta.

- Przykro mi, ale to dopiero pierwszy miesiąc - kajałam się. Skinał głową.

- Mężczyzna taki jak ty... Z pewnością będziemy mieli wielu pięknych synów - powiedziałam w nadziei, że ten komplement poprawi mu nastrój.

Ponownie skinał głową.

- Jak chciałbyś dać na imię swemu pierwszemu synowi? - spytałam, czując, że po raz pierwszy coś mnie z Shaliqiem łączy, nawet jeśli było to tylko rozczarowanie.

- Zawsze chciałem mieć syna Baksha - wyznał i coś w jego głosie oraz w spojrzeniu sprawiło, że zrobiło mi się go żal. Teraz rozumiałam, jak przygnębia go bezdzietność, i byłam bliska wybaczenia mu, że traktuje mnie tak obcesowo.

- Oczywiście. Mnie też to imię bardzo się podoba. Zgodnie z tym, co zapowiada, nasz syn będzie dla ciebie darem - zapewniłam go i podałam mu kołdrę, pod którą lubił spać. Gdy wziął ją ode mnie, dodałam cicho: - Niech Allah da ci spokojny sen.

Wyszedł z namiotu i przez następnych pięć dni czasami tylko migał mi gdzieś przed oczami, jadąc konno w naszej wolno posuwającej się ku wzgórzom karawanie. Zastanawiałam się, jak długo będzie znosił widok tkaniny poplamionej moją miesięczną krwią i jak długo uda mi się go uspokajać czułymi słowami.

Po niemal trzydziestu dniach podróży, rozbijania wieczorem namiotów i zwijania ich o wschodzie słońca, dotarliśmy wreszcie do Badakhshanu. Odetchnęłam głęboko, gdy pewnego wczesnego popołudnia podjechał do nas na koniu Hafeez i kazał nam rozbić obóz na skraju wielkiej łąki pokrytej sprężystą, soczystą zieloną wysoką trawą. Przez całe lato ta łąka miała być naszym domem.

- Teraz postawimy jurty. Są bardziej przewiewne i jest w nich więcej miejsca niż w namiotach. Są znacznie praktyczniejsze na ciepłe dni - powiedziała Myassa.

Pomogła mi wznieść konstrukcję z wysokich, wbitych w ziemię słupków, które wiązało się u góry na kształt stożka, a następnie łączyło trzciniowymi matami, zaokrąglony dach pokrywając czarnym filcem, z wyjątkiem samej góry, żeby przez powstały otwór mogło wpadać do środka powietrze. Tak samo jak namioty, jurty ustawiało się tak, żeby ich otwory wejściowe nie znajdowały się naprzeciwko siebie. Gdy moja jurta już stała, pomogłam wznieść jurkę Bibi.

Następnie przygotowałam posiłek dla Shaliq'a i jego matki, po czym wymknęłam się z obozu, żeby zobaczyć, jak wygląda miejsce, w którym spędzę najbliższe miesiące.

Przez porośniętą wysoką trawą rozległą dolinę, otoczoną urwistymi, pokrytymi śniegiem szczytami, wiała się szeroka, spokojna Panjshir. Słyszałam o tej rzece i wiedziałam, że miejscami może być niebezpieczna, bo jej nurt jest bystry i wpływają do niej rwące potoki. Ale tu, w tej zacisznej dolinie, płynęła leniwie. Jej rozlewiska tworzyły małe półwyspy i niewielkie wysepki. Osłoniłam ręką oczy przed ostrym słońcem i zobaczyłam, że na końcu doliny utworzyła małe jezioro. Od gór wiał chłodny wietrzyk, który marszczył powierzchnię wody. Na brzegach były porzucane ogromne głazy pokryte pomarańczowym i zielonym porostem.

Rosnące w dolinie złociste kaczeńce, jak później nazwała je Bibi, która cierpliwie uczyła mnie języka paszto, przyciągały chmary owadów, w tym maleńkie motyle o białawych skrzydłach, upstrzonych ciemnoszarymi plamkami, niemal gorączkowo przemieszczające się z kwiatu na kwiat, w przeciwieństwie do leniwie krążących nad łąką bzyczących pszczół. Zieleń wysokiej trawy miała różne odcienie. Kołysały się w niej malwy o kwiatach barwy kości słoniowej, jaskrawego różu i ciemnej purpury.

Usiadłam i spoglądałam na rzekę, czując spokój po raz pierwszy, od kiedy wyszłam za męża. Zdałam sobie sprawę, że nie modłę się tak regularnie jak w Susmar Chord. Ghilzai nie przywoływali imienia Allaha tak często jak mieszkańcy mojej wioski. Ale teraz spuściłam głowę i postanowiłam podziękować Allahowi za to, że przyprowadził mnie w to piękne miejsce. Słowa mojej modlitwy płynęły prosto z serca.

Gdy tylko zamknęłam oczy, mój spokój zakłóciły czyjeś ciężkie kroki, które nagle rozległy się gdzieś blisko. Natychmiast zaczęłam się rozglądać, zawstydzona, że zostałam przyłapana na odpoczynku, kiedy wszyscy pracują. Ale idąca łąką kobieta zdawała się mnie nie zauważać. Była bardzo tęga i miała zasłoniętą twarz. Gdy szła, pod jej poplamionym i trzeszczącym w szwach kamis trzęsły się monstrialne fałdy tłuszczu. Nagle upadła ciężko na kolana, a właściwie uderzyła nimi o ziemię, i burknęła coś pod nosem. Od razu wiedziałam, że to Utmarkhail, bo była to jedyna kobieta w obozie, której jeszcze nie poznałam. Hanouf pokazała mi ją zgarbioną na wielbłądzie, gdy

wyruszyliśmy na letnie pastwiska, ale moja teściowa przez cały czas miała zasłoniętą twarz, a gdy tylko wieczorem Shaliq postawił jej namiot, znikła w środku i pojawiała się dopiero rano, by wsiąść na wielbłąda. Czasami tylko, gdy z trudem wtaczała się przez wąski otwór do namiotu, widziałam jej koszmarnie grube w kostkach nogi oraz podarte buty. Kojarzyła mi się z ogromnym owadem, który szuka bezpiecznej kryjówki. Teraz odsłoniła twarz i zbierała rosnące wokół poziomki. Gdy jadła, wkładając do ust pełne garście dojrzałych owoców, po podbródku spływał jej czerwony sok. Mlaskała w sposób charakterystyczny dla ludzi bezzębnych, aż trzęsły się jej tłuste policzki.

Nie chciałam spotkać się twarzą w twarz z tą dziwaczką, która była moją teściową. Gdy o tym pomyślałam, Utmarkhail zadarła głowę, jakby czytała w moich myślach, i spojrzała na mnie, otwierając usta pełne rozgniecionych poziomek i pociągając guzowatym nosem jak czujny lis. Skuliłam się, pomimo dzielącej nas odległości dostrzegłszy w małych jasnych oczach tej kobiety obłęd. Znieruchomiałam jak martwa. Ale po chwili teściowa machnęła ręką przed twarzą, jakby odpędzała zjawę, i powróciła do łapczywego zbierania i zjadania poziomek. Posuwała się na kolanach po łące, gwałtownie poruszając szczękami, a po kilku minutach wstała, zasłoniła twarz i powłócząc nogami, odeszła.

Odetchnęłam z ulgą, położyłam się na wznak i zapatrzyłam w niebo. Zastanawiałam się nad swoim życiem. Uznałam, że nie potrafię jasno myśleć, przebywając przez cały czas wśród kobiet i dzieci z naszego obozu. Ani przez moment nie byłam sama. Nie miałam chwili prywatności. Bardzo mi tego brakowało. Moje myśli nie były już tak śmiałe i jasne jak wtedy, gdy mieszkałam w Susmar Chord i siadywałam sama na dachu. Dziwne, że były takie w maleńkiej wiosce, podczas gdy w tym rozległym krajobrazie wydawały się jakoś skarłałe.

Gdy szłam w karawanie, zawsze słyszałam tylko głosy kobiet, śmiech, płacz i kapryszenie dzieci oraz dźwięki wydawane przez zwierzęta. Nie miałam czasu skupić się na swoich myślach. Przysłuchiwałam się rozmowom innych kobiet, starając się zrozumieć paszto, a czasami próbując mówić w tym języku. To były typowe rozmowy kobiet: o dzieciach, gotowaniu, strojach, porodach, chorobach, śmierci, pogodzie i porach roku. Słyszałam je również w

mojej rodzinnej wiosce. Były takie same, tylko uczestniczyły w nich inne osoby.

Ale nie miałam nic przeciwko nim, bo odrywały moją uwagę od życia w Susmar Chord, od intymnych kontaktów z mężem i od zastanawiania się nad tym, jak długo będzie znosił żonę, która nie rodzi mu dziecka. Od losu, jaki mnie czeka, kiedy Shaliq nie będzie już chciał takiej kobiety. Z drugiej strony pragnęłam rozmów o czymś więcej, o gwiazdach na niebie i o dalekich podróżach. Z pewnością niektórzy Ghilzai zapuszczali się w swoich wędrówkach po świecie daleko i mieli do opowiedzenia niezwykle historie o obcych krajach, takich jak te, które widziała moja babcia.

Pocieszałam się, że teraz, gdy przez kilka miesięcy będziemy przebywać w jednym miejscu, w obozie zacznie się mówić o takich rzeczach. Że ja też przywołam w pamięci dawno usłyszane historie i że w snach będzie przychodzić do mnie babcia, aby mi przypominać o mojej sile. Pochłonięta takimi pragnieniami, zapomniałam o modlitwie, którą zamierzałam odmówić.

Rozdział XVII

Minęło pięć miesięcy od czasu, gdy przybyłam do obozu Ghilzai. Nasz letni pobyt w dobnie zbliżał się do końca. Pracowałam wraz z innymi kobietami od świtu do zmierzchu, wyrabiając ze świeżo ostrzyżonej wełny filc, dojąc kozy i przygotowując posiłki. Czasami wydawało mi się, że jesteśmy jak osły, pracując w milczeniu i bez końca nosząc ciężary, przerywając nasze zajęcia tylko po to, aby coś zjeść i napić się, a wieczorem zapadając w kamienny sen.

Nikt nie mówił o księżycu i gwiazdach. Zanim ukazały się na niebie, zwykle byłyśmy śpiące i wyczerpane. Potrafiłam już dość dobrze mówić w paszto. Nie podobał mi się, bo czasami jego ostre dźwięki więzły mi w gardle i tęskniłam za moim łagodnie brzmiącym, melodyjnym dari, ale z chwilą, gdy się okazało, że władam językiem męża, nikt nie zadawał sobie trudu rozmawiania ze mną w moim ojczystym.

Shaliq robił niewiele. Kaled, Hafeez i inni mężczyźni poświęcali większość czasu na pracę przy koniach trzymanyh w prowizorycznych zagrodach. Hodowali tam piękne araby, które ujeżdżali z myślą o sprzedaniu ich zimą w Dżalalabadzie. Inaczej niż oni, Shaliq czasami łowił ryby w strumieniu wpadającym do rzeki Panjshir lub wygrzewał się w letnim słońcu, popijając herbatę i rozmawiając z innymi mężczyznami, którzy się do niego dosiadali.

Chciał, żebym ozdobiła sobie twarz tatuażem. Gdy oświadczyłam, że nie chcę żadnych znaków na ciele, warknął, że wybór nie należy do mnie, i kazał mi iść do Hanouf.

- One nie tylko upiększają, lecz także zwiększają płodność i chronią przed chorobami - wyjaśniła mi Hanouf, przygotowując proszek z kory akacji i łusek nieznanych mi ciemnych nasion, który zmieszała z zimną herbatą.

Oczyściła mi twarz i odłamkiem kości, który uprzednio włożyła do gotującej się na ogniu wody, zaczęła mi nakłuwać skórę na czole i podbródku, w skupieniu przygryzając język.

- Shaliqowi podobają się proste wzory - oznajmiła. Siedziałam nieruchomo, a ona pracowała szybko i pewnie,

więc niezbyt mnie bolało. Czystą szmatką wycierała kropelki krwi, które pojawiały się po nakłuciu skóry odłamkiem kości, a następnie wycierała odłamek, zanurzała jego koniuszek w ciemnej

paście i nanosiła ją na maleńkie nakłucia. W końcu usiadła na piętach i skinęła głową.

- Za kilka dni strupki odpadną i harquus rozbłyśnie na twojej twarzy.

Chciałam dotknąć tych wzorów, ale mnie powstrzymała.

- Nie myj twarzy, dopóki ranki się nie zagoją. I nie martw się tatuażem. Zanim wejdiesz do raju, aniołowie, którzy przesłuchują grzeszników, wypalą ci te wzory oczyszczającym ogniem, nie pozostawiając śladu - pocieszyła mnie.

Nie miałam lustra i mogłam zobaczyć odbicie swojej twarzy tylko w spokojnej tafli wody. W ostatnich miesiącach znowu urosłam i schudłam. Teraz z łatwością wyczuwałam pod skórą kości. Moje ręce stały się silniejsze od pracy i pociemniały od słońca. Kobiety przeważnie były miłe, choć często nie miały dla mnie czasu, pochłonięte pracą i obowiązkami. Pracowałam razem z nimi, lecz mimo to czułam się samotna.

Początkowo po zbliżeniu fizycznym, kiedy Shaliq był spokojny i zadowolony, próbowałam z nim rozmawiać. Pytałam, jak spędził dzień czy o coś, co wydarzyło się w obozie. Odpowiadał krótkimi zdaniami, choć niekiedy z satysfakcją mówił o swej biegłości w zawodach, w których akurat zwyciężył. Sądziłam, że jeśli obudzę w nim zainteresowanie moim dotychczasowym życiem, tak odmiennym od obecnego, bardziej się do siebie zbliżymy, i próbowałam mu opowiadać o mojej tadżyckiej wiosce. Ale jeśli mówiłam za długo, odwracał się ode mnie i wkrótce zaczynał chrapać. Po jakimś czasie poniechałam prób wciągania go w rozmowę. Kiedyś w tym wczesnym okresie, przypomniawszy sobie o Sulimie i oczywistej przyjemności, jaką czerpała z cielesnego obcowania ze swym kochankiem, postanowiłam skłonić Shaliqą, żeby kochał się mną wolniej niż zwykle; kiedy osunął się na mnie, zaczęłam go gładzić po ramionach.

- Shaliq, poczekaj, aż poczuję się swobodniej, żebym... - szepnęłam.

Powstrzymał się od natychmiastowego zbliżenia, czym mnie zaskoczył, ale nie wiedziałam, co robić dalej, a ciało nie dawało mi żadnych wskazówek. Uniosłam głowę i przytuliłam policzek do twarzy Shaliqą, czując jego zarost, jednak znowu nie miałam pojęcia, jak się zachować dalej, i nie czułam nic, co musiała czuć Sulima.

- Chodź, mężu - powiedziałam w końcu.

Tym razem nie spieszył się tak jak zwykle, gdy jednak zbliżenie dobiegło końca, czułam się jeszcze bardziej samotna i przygnębiona niż zwykle.

W tych pierwszych miesiącach życia w obozie Ghilzai największą przyjemność czerpałam z piękna otaczającej nas przyrody. Gdy spoglądałam na góry, kiedy czułam zapach ziemi rozchodzący się znad rzeki lub rozkoszną woń falującej trawy, ogarniał mnie spokój. Najbardziej lubiłam stać w rzece podczas prania. Uderzałam mokrymi ubraniami o gładkie rzeczne kamienie i nuciłam stare tadżyckie pieśni. Co pewien czas śpiewałam też tę dziwną cudzoziemską pieśń o Britannii. Poza tym recytowałam perską poezję, której nauczyła mnie babcia. Dawało mi to radość, lecz zarazem napełniało smutkiem. Straciłam tadżycką część siebie. Nie wiedziałam, kim teraz jestem, rozmawiając w obcym języku, mając szorstkie od pracy dłonie, a na twarzy harquus.

Po raz pierwszy Shaliq pobił mnie, gdy w piątym miesiącu naszego małżeństwa pojawiła się u mnie nieczystość miesięczna. Mogłam się tego spodziewać. Kiedy w czwartym miesiącu pokazałam mu tkaninę poplamioną krwią, był bliski furii. Chwycił kołdrę i wyszedł ciężkim krokiem z jurty. Podniósł z ziemi pusty garnek, który stał przy ognisku, i cisnął nim we mnie przez otwór wejściowy. Stało się to tak nagle i tak mnie zaskoczyło, że nie zdążyłam się uchylić i ciężkie naczynie uderzyło mnie w ramię. Przez kilka dni miałam w tym miejscu brzydki siniak.

W piątym miesiącu moja nieczystość miesięczna się spóźniła, sądząc po księżycu, którego zaczęło ubywać. Przez trzy dni żyłam nadzieją, że jestem w ciąży, i nikomu nic nie mówiłam. Noce stały się już zimniejsze, a słońce wschodziło później. O świcie powietrze było rześkie. Teraz byłyśmy zajęte wypiekiem dużych ilości chleba przeznaczonego na podróż. Musiałyśmy zgromadzić jego zapasy na ponad miesiąc. Był to specjalny płaski chleb z dodatkiem tłuszczu, dzięki któremu zyskiwał twardość i dobry smak. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca w obozie, bo trwały przygotowania do naszej wędrówki, najpierw górkimi przełęczami i przez wysokie płaskowyże, a następnie w pobliżu prowincji Laghman i mojej wioski rodzinnej. Zastanawiałam się, czy Ghilzai pozwolą mi odwiedzić rodzinę. Przed ramadanem mieliśmy dotrzeć do naszego zimowego obozu pod Dżalalabadem. Chcieliśmy sprzedać wielkie ilości filcu,

sklarowanego masła i kwaśnego mleka w proszku. Poza tym na handel, w tym wymienny, przeznaczaliśmy dorastające jagnięta i ułożone młode araby. Plemię spodziewało się osiągnąć niemały zysk.

Gdy zapadł zmierzch, wróciłam znad rzeki do obozu z wielkim koszem prania, nucąc tadżycką pieśń. Było parno i duszno. W związku z czekającą nas wielotygodniową wędrówką uprałam prawie wszystkie nasze ubrania i pościel, bo w czasie podróży trudno było znaleźć na to czas i energię. Cieszyło mnie, że czystych rzeczy starczy nam na całą drogę.

Mijając zagrody z końmi, zwróciłam uwagę, że zwierzęta rżą i płoszą się, zbijają w gromadki i znowu rozchodzą na wszystkie strony, niespokojnie kłusując. Zareagowały tak na grzmot, który przed chwilą rozległ się w górach. Powietrze było dziś tak ciężkie, że nie stanowił on zaskoczenia. Miałam tylko nadzieję, że burza nie popsuje nam wieczoru, bo na dziś była zaplanowana uroczystość w związku z zakończeniem naszego pobytu w letnim obozie, z lanadaj - śpiewaniem przyśpiewek, atan - ceremonialnym tańcem mężczyzn. Po tak długim czasie, wypełnionym tylko pracą, czekałam na nią niecierpliwie i z przyjemnością rozmyślałam o tym, co się wydarzy.

Kosz był nieporęczny. Gdy oparłam go na biodrze, poczułam silny skurcz w dole brzucha i natychmiast umarła we mnie nadzieja, że jestem w ciąży. A ja wierzyłam, że tak się stało, że Allah Sprawiedliwy wysłuchał moich modlitw i uznał za stosowne spełnić jedyną prośbę, jaką do Niego miałam. W ostatnich kilku dniach pozwoliłam sobie na marzenia ulotne jak letnie obłoki. Wyobrażałam sobie, że jeśli noszę pod sercem dziecko, to Ghilzai pozwolą mi odwiedzić moją rodzinę w Susmar Chord, gdy będziemy przechodzić obok tej wioski w przyszłym roku, i pokażę moim rodzicom ich pierwszego wnuka. Miałam w ten sposób udowodnić, że moja wiara w Allaha i jego miłosierdzie jest silniejsza od przekleństwa Sulimy.

Ale teraz, gdy znajomy skurcz stał się mocniejszy, te marzenia rozwiały się jak rozdmuchane przez wiatr mlecze na łące. Zwolniłam i ze spuszczoną głową doszłam do jurt. Popadłam w czarny nastrój. Nie miałam ochoty na żadną rozmowę. Gdy wśliznęłam się między dwie jurty, stojące do siebie tyłem, usłyszałam podniesione męskie głosy. Jeden należał do Shaliqā, a drugi do Qulā, męża Faizy, która była w moim wieku.

Qul wyraźnie dokuczał mojemu mężowi i mówił wolno, a Shaliq odpowiadał mu zapalczywie, z trudem hamując gniew. Mężczyznom z obozu nie wolno było ze sobą walczyć. Wzajemną wrogość czy niechęć mogli wyładowywać na członkach innych plemion, gdyby zaszła taka konieczność, a w normalnych warunkach w zawodach sportowych i w turbruganaj - grze słów, zawierającej ukryte zniewagi. Gra ta kończyła się, gdy zniewagi stawały się jawne. Spostrzegłam, że niektórzy mężczyźni bardzo sprytnie przekręcają słowa. Toteż prawdziwe znaczenie użytych przez nich słów było ukryte w lekkim żarcie i docierało do adresata dopiero po jakimś czasie, gdy rozjaśnił mu się umysł po drzemce czy wypiciu czarki herbaty, jakby otrzymał cios później, niż się go spodziewał. Shaliq, który miał trudności z wysławianiem się, często w tej grze sromotnie przegrywał, bo na żarty odpowiadał gniewnym mamrotaniem i przekleństwami.

Usłyszałam swoje imię i przystanąłam. Pomiedzy jurtami raczej nikt nie mógł mnie zobaczyć.

- Przecież, mój przyjacielu, ona porusza się z taką gracją, jakby jej ciało było przeznaczone do dawania rozkoszy - orzekł Qul.

Oblałam się szkarłatem na tak poufałe słowa. Ponieważ nie byłam Pasztunką, niektórzy uważali, że nie muszą się zbytnio liczyć z moim poczuciem godności. Nie zdawałam sobie sprawy, że tutejsi mężczyźni wypowiadają się o mnie bez szacunku, choć niektóre kobiety mi go nie okazały.

- I jakie miałeś szczęście, że twój ojciec nie szczędził kosztów, by znaleźć ci żonę - ciągnął z ironią Qul - skoro w naszym obozie są niezamężne dziewczęta. Ale oczywiście są okropnie zepsute i niewdzięczne, bo odrzuciły zaloty kogoś takiego jak ty.

Słuchałam tej rozmowy z coraz większą przykrością. Czasami zastanawiałam się, dlaczego Shaliq nie ożenił się z dziewczyną ze swojego plemienia, lecz jego ojciec wybrał mu na żonę dziewczynę z wioski. Teraz, gdy wiedziałam, że wśród nomadów obowiązują znacznie mniej sztywne reguły postępowania, zdałam sobie sprawę, iż panny z tego obozu po prostu nie przyjmowały oświadczeń Shaliq'a, bo wolno im było dawać zalotnikom kosza. Teraz mój mąż stał się dla mnie jeszcze mniej pociągający, niż był dotychczas.

Nie usłyszałam, co Shaliq odpowiedział Qulowi, bo mówił szybko i niewyraźnie.

- Tak, to prawda - zgodził się z nim w jakiejś ocenie Qul. - Ale jeszcze ważniejsze jest to, żebyś jako syn naszego wodza miał wielu synów. Może słabowitość pierwszej żony i nieprzyjemny charakter drugiej odstraszały twoje nasienie? Ale jeśli chodzi o kobietę, którą masz teraz, nie znajdziesz żadnego usprawiedliwienia, jeśli nie urodzi ci dziecka. - Roześmiał się serdecznie, jakby Shaliqowi spodobały się te uszczypliwe słowa. - Może jeszcze więcej powinieneś odpoczywać, żebyś nie był taki zmęczony, gdy podciągasz kołdrę pod brodę? Znowu nie zrozumiałam, co Shaliq mu odpowiedział.

- Siadaj, przyjacielu - zaprosił go Qul. - Herbata jeszcze nie wystygła.

Mój mąż wyszedł z jego jurty ciężkim krokiem i skierował się nad rzekę, a ja udałam się pospiesznie do naszej jurty. Rozwiesiłam pranie na sznurze przeciągniętym między podpierającym ją słupkiem i drugim wbitym w ziemię na zewnątrz. Skurcze w dole brzucha nasiliły się. Sprawdziłam i istotnie okazało się, że rozpoczęła się u mnie nieczystość miesięczna.

Dorzuciłam do ognia i podgrzałam ulubioną potrawę Shaliqa - ryż z digh - kwaśnym mlekiem wlanym do środka. Muchy były tu większe i odpędzałam je znad stygnącego chleba gałązką pokrytą liśćmi. W oddali znowu rozległ się grzmot. Teraz byłam pewna, że wieczorem spadnie deszcz. Nagle gorący podmuch wiatru sypnął grubym gorzkim pyłem o zapachu stęchlizny. Poruszył trzciniowymi matami jurt i moim nakryciem głowy.

Gdy zbliżał się do mnie nachmurzony mąż, polewałam ryż stopionym masłem.

- Shaliq, ugotowałam ci ryż - powiedziałam, gdy zajrzał do parującego garnka. - I upiekłam twoje ulubione ciasto z migdałami i rodzynkami.

Przykucnął i zaczął jeść palcami z garnka, nie czekając, aż mu nałożę do miski, tak szybko, że omal się nie zakrztusił, prawie nie przeżuując. Potem wytarł ręce i twarz w ściereczkę, którą mu podałam, i włożył do ust kawał ciasta.

Gdy nałożyłam sobie do miski porcję ryżu i usiadłam, żeby zjeść, chwycił mnie za warkocze. Zaskoczona, próbowałam oderwać jego ręce, ale bez słowa zawlókł mnie do jurty z taką łatwością, jakbym była jagnięciem.

- Shaliq! Uspokój się! O co ci chodzi?! - krzyknęłam, choć wiedziałam, że wyładowuje na mnie swój gniew na Qula. Nadal ścisnął na karku moje długie do pasa warkocze.

- Ośmieszasz mnie - burknął. - Wszystkie nowe żony w naszym plemienu spodziewają się dziecka. Wszystkie z wyjątkiem ciebie. - Szarpnął mnie mocniej za włosy, zadając coraz większy ból.

- Ale nie jesteśmy małżeństwem tak długo jak inni - próbowałam się bronić. - Nie jestem żoną od tak wielu miesięcy jak...

- Czuptija! - ryknął. Gdy umilkłam, jak zażądał, puścił moje włosy i popchnął mnie na posłanie.

Spoglądałam na niego, po raz pierwszy naprawdę przestraszona. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozwścieczonego. Zanim zdążyłam zaprotestować, chwycił mnie w pasie za pantalony i rozdarł je od góry do dołu. Zaczerwienił się i zeszywniał, bo pomimo iż starałam się obciągnąć kamis, chcąc ukryć owcze runo wchłaniające miesięczną krew, zdołał je zobaczyć. Klatka piersiowa mu falowała i spoglądał na mnie spod zmrużonych powiek.

Cofnęłam się, nie odrywając oczu od jego twarzy, ale w jednej chwili znalazł się przy mnie. Chwycił mnie z przodu za kamis i uderzył trzy razy w twarz tak mocno, że zadzwoniło mi w uszach. Upadłam na pościel, ale zaraz odwróciłam się i przykucnęłam, osłaniając głowę rękami, jak robiłam wtedy, gdy bił mnie ojciec. Wówczas Shaliq zaczął mnie okładać po plecach i ramionach swymi żelaznymi pięściami. Pobił mnie strasznie, a na koniec kopnął w żebra. Gdy poczułam na nich szpic jego buta do konnej jazdy, krzyknęłam przeraźliwie. Wówczas mój mąż znieruchomiał. Dyszał ciężko. Czułam się tak, jakby w obozie zamarło wszelkie życie. Leżałam sztywno, bojąc się poruszyć, żeby nie sprowokować następnego ataku, ale Shaliq wyszedł z jurty.

Wolno podciągnęłam kolana pod brodę, a po chwili usiadłam na piętach. Tak mocno szumiało mi w uchu, że zastanawiałam się, czy nie ogłuchłam. Potrząsnęłam głową, ale poczułam jeszcze większy ból. Nikt do mnie nie przyszedł. Czy mieszkańcy obozu usłyszeli mój krzyk, a cisza była tylko w mojej głowie? A może go usłyszeli, ale nie wtrącali się w cudze pożycie małżeńskie? To wydawało się bardziej prawdopodobne. Shaliq był moim mężem. Miał prawo traktować mnie tak jak chciał. Mężczyźni byli przecież wszechwładni. A jednak nasienie Shaliqa nie było wystarczająco silne, żeby pokonać

przekleństwo Kafirki. Ile miesięcy czy lat miało to wszystko jeszcze trwać? Czy teraz, kiedy już raz mnie pobił, będzie to robił co miesiąc? Jeśli przekleństwo nie zostanie ze mnie zdjęte, to w końcu mnie zabije. Przerazały mnie własne myśli. Nie, nie dopuszczę do tego. Nie pozwolę, żeby mój mąż zabrał mi życie.

Położyłam się na boku i podkurczyłam kolana, starając się znaleźć najwygodniejszą pozycję. Próbowałam się pocieszyć, przywołując w pamięci fragmenty opowieści babci: opisy seraju, żyjących tam kobiet i pokoju cudzoziemców, gdzie wisiał obraz ukazujący kobietę w hełmie, którą, jak mówiła babcia, mogłabym być ja, a także opisy dzieci o skórze białej jak mleko. Ale nie udało mi się pobudzić pamięci i ożywić wyobraźni, jakby z powodu uderzeń Shaliqą osłabły. Potrafiłam myśleć tylko o przekleństwie. Może jednak istnieje jakiś sposób, znany kobietom z plemienia Ghilzai, uwolnienia się od niego albo nadania nasieniu Shaliqą większej mocy? Nagle po raz pierwszy przyszło mi do głowy pytanie: dlaczego dwie poprzednie żony mojego męża również nie mogły zajść w ciążę? Z pewnością nie ciążyła na nich żadna klątwa. Taki zbieg okoliczności nie mógł się zdarzyć. Bolało mnie całe ciało, posiniaczone i poranione przez Shaliqą. Zamknęłam oczy. Do moich uszu dotarły dźwięki, które znaczyły, że rozpoczęła się zapowiadana uroczystość. Nie zamierzałam w niej uczestniczyć.

Deszcz zaczął padać dopiero wtedy, gdy ucichła muzyka, śpiew i śmiech. Lało przez całą noc. Gdzieś uderzył piorun, a co jakiś czas wewnątrz jurty oświetlały błyskawice. Gdy wyszłam rano na dwór, po niebie przesuwwały się szare chmury.

Pracowaliśmy wszyscy w pośpiechu, zwijając jurty i likwidując obóz. Szybko wyruszyliśmy w drogę. Tym razem na czele karawany podążało stado owiec i kóz, za nimi szły kobiety i dzieci, za kobietami i dziećmi nieszczęsne wielbłądy, a na końcu jechali konno mężczyźni, część zwierząt prowadząc za cugle.

Odwróciłam się i po raz ostatni spojrzałam na miejsce, gdzie obozowaliśmy. Tam, gdzie do dziś stały jurty, trawa była przygnieciona do ziemi i pożółkła. Z drżących liści drzew, których mnóstwo rosło w pobliżu - orzechów włoskich, migdałowców, mirtów i dębów - żałośnie kapiała woda. Na mokrej ziemi leżały strącone przez nocną wichurę gałęzie. Liście, które zaledwie przed kilkoma tygodniami miały soczystą zieloną barwę, były już w kolorach jesieni,

ale w ten pochmurny dzień nie wyglądały tak wspaniale jak wczoraj. Brąz, miedź, nasycona czerwień, kanarkowy i pomarańczowy nie mieniły się i nie ukazywały bogactwa odcieni, lecz wydawały się ciemne i zgaszone. Ze smutkiem stwierdziłam, że to kiedyś tak piękne miejsce wygląda teraz brzydko. Było tak, jakby w ciągu jednej nocy się postarzało, niczym umalowana kobieta z seraju. Oglądana wieczorem w mrocznych wnętrzach wydawała się piękna i tajemnicza, a w świetle poranka przypominała wiedźmę, której uroda już dawno zwiędła, prawie niepodobną do tej podziwianej wcześniej. Smutkowi towarzyszyła gorycz, bo pamiętałam, z jaką nadzieją przybyłam na tę urzekającą kiedyś łąkę.

Po dotarciu do zimowego obozu rozbiliśmy czarne namioty z koziej sierści. Mijały miesiące i Shaliq traktował mnie coraz brutalniej. Nie obchodziło go, że inni widzą moje podpuchnięte, podbite oczy i że czasami kuleję. Mówił mi otwarcie, że wzbudzam w nim obrzydzenie.

- Ty naprawdę jesteś bezwartościową żoną - powtarzał w kółko. - Mój ojciec stracił trzy konie, które za ciebie dał. Jak długo jeszcze mam ci pozwolić jeść mój chleb i mieszkać w moim namiocie? Twoją pracę mogłaby wykonywać niewolnica. Jesteś nic niewarta.

Nic niewarta. Te słowa stale dźwięczały mi w uszach. Będiesz nic niewarta, jak kurz pod kopytami wielbłąda, oznajmiła Sulima, i jej zapowiedź się sprawdziła. Yalda natomiast powiedziała mi w dniu mojego ślubu, że wszystko skończy się dobrze. To ona się pomyliła. Gdzie była ta jasna przyszłość, którą przepowiadała mi babcia? Czy nie znajdowałam się w pułapce, żyjąc teraz wśród Ghilzai, tak samo jak byłam w niej we własnej wiosce od chwili, gdy Sulima rzuciła na mnie klątwę?

Kiedyś wczesnym popołudniem, gdy siedziałam w namiocie i szylam, usłyszałam, że przy ognisku przed namiotem do Shaliqa dosiadł się Kaled. Nie słuchałam ich rozmowy, dopóki nie zorientowałam się, że mój mąż skarży się na mnie ojcu.

- Ale nie jest w ciąży. Jak długo jeszcze mam być bez syna? - odpowiedział ojcu na jakieś jego słowa nadąsany Shaliq.

Pochyliłam głowę nad szwem łączącym boki koszuli dla męża. Szew musiał być mocny i prawie niewidoczny. Przysunęłam bliżej lampę.

- Nie czekasz jeszcze zbyt długo. Musisz być cierpliwy - odpowiedział ojciec.

- Jestem już tym zmęczony. Zawsze tylko czekam. Ta kobieta jest bezużyteczna. Czy nie mogłeś mi znaleźć płodnej?! - spytał podniesionym głosem Shaliq. - Tylko spójrz na żony Hafeeza! Wszystkie trzy rodzą! Jest tak, jakbyś celowo wybierał mi nieodpowiednie żony!

Wstrzymałam oddech i znieruchomiałam z igłą w rękę, zastanawiając się, jak Kaled odpowie na ten haniebny wybuch. Ze strachem czekałam, aż teść coś powie, bo milczał niebezpiecznie długo.

- Niewdzięczny syn jest jak brodawka na nosie ojca - zostawić ją, to znaczy żyć ze skazą, a usunąć - narazić się na ból - odezwał się w końcu. Gdy Shaliq nic na to nie powiedział, ciągnął: - Mój synu, dziecko począć łatwiej, jeśli podchodzi się do tego z nadzieją i rozważą, a nie z okrutną żądzą. Wiesz, że Hafeez zostanie po mnie wodzem, ale ponieważ nasze plemię się powiększa, istnieje możliwość, że ty, jako mój drugi syn, założysz własne. Bierzesz to pod uwagę?

Zaskoczona słowami teścia, czekałam na odpowiedź Shaliqa. Absolutnie nie widziałam mojego męża w roli wodza kolejnego klanu czy plemienia Ghilzai. Shaliq nie mógł liczyć na szacunek innych. Kto oprócz mnie wykonywałby jego rozkazy?

- Ale honor bycia wodzem jest nieodłączny od odpowiedzialności - powiedział Kaled, znowu nie doczekawszy się reakcji syna. - Ghilzai chcą, żeby przewodził im najsilniejszy mężczyzna. Nie chodzi jednak tylko o siłę fizyczną, lecz również o siłę charakteru widoczną w wyrazie twarzy czy w sposobie postępowania z wodzami wojujących ze sobą plemion, tak samo jak ze starymi kobietami i najmłodszymi dziećmi. Shaliq, pomyśl dwa razy, zanim coś powiesz albo zrobisz, jak powtarzam ci od dziecka.

Słuchając Kaleda, odłożyłam koszulę. Po raz kolejny pomyślałam, że to życzliwy, mądry człowiek. Nie mogłam pojąć, jak to się stało, że spłodził takiego syna.

- Nawet teraz członkowie naszego plemienia obserwują, jak traktujesz żonę. Każdy słyszy rozpaczliwe krzyki Daryi i widzi na jej twarzy ślady po kolejnym pobiciu. Każdy wie, jaki zadajesz jej ból. To wstyd, Shaliq. Traktujesz ją tak samo jak dwie poprzednie żony.

Biłeś je, a to niczemu nie służy. Kobieta nie zajdzie w ciążę szybciej, dlatego że się ją zadrecza.

Shaliq coś na to odpowiedział cichym głosem.

- Zgadza się, masz prawo bić żonę - przerwał mu ojciec. - Ale tylko za nieposłuszeństwo i rozwiązłość. Mężczyzna, który ma szansę zostać wodzem plemienia, nie może dopuścić, żeby jego ludzie nie szanowali go z powodu braku cierpliwości i wyrozumiałości.

Nie dosłyszałam odpowiedzi Shaliqa, ale wiedziałam, że teraz na jego twarzy maluje się gniew i że mój mąż ma zaciśnięte usta. W myślach błagałam Kaleda: „Proszę cię teraz o szczególną rozwagę. Już nic więcej nie mów. Uraza, jaką żywi do ciebie syn z powodu tych słów, znajdzie potem ujście w gniewie, który wyładuje na mnie”.

- Skończmy już tę nieprzyjemną rozmowę - powiedział nagle teść, jakby czytał w moich myślach. - Pojedź ze mną zaraz, póki jeszcze widno, na drugie pastwisko, gdzie tydzień temu widziałem stado młodych dzikich koni. Prześpimy się w trawie i o świcie spróbujemy je schwytać.

- Ale zawsze zabierasz ze sobą Hafeeza - powiedział Shaliq jak dziecko, które czyni rodzicowi wyrzuty, że faworyzuje któreś z rodzeństwa.

- Nigdy nie wyraziłeś chęci uczestniczenia w tropieniu koni, choć ty też masz do tego dryg.

- Hafeez z nami pojedzie?

- Nie. Tylko my dwaj.

Mój mąż mlasnął z zadowoleniem i wszedł dumnym krokiem do namiotu.

- Zapakuj mi do torby jedzenie. Jadę z ojcem na północ, za przełęcz - poinformował mnie, uradowany jak dziecko.

Gdy Shaliq brał bicz, skórzany bukłak z wodą i rolował kołdrę, żeby zmieściła się z tyłu za siodłem, włożyłam mu do sakwy chleb, twarde ser, gotowaną baraninę, kompot z dzikiego rabarbaru i herbatę, dla niego i dla ojca, na dwa dni. Na końcu spakowałam nieduży garnek i dwie czarki i wyszłam za mężem z namiotu. Podałam mu ciężką sakwę, zerkając na Kaleda.

- Życzę wam szczęścia w tropieniu. Niech Allah będzie z wami - powiedziała cicho.

Shaliq już zniknął między namiotami, podążając do zagrody z końmi.

- A ty śpij spokojnie - odwzajemnił się jego ojciec. Uśmiechnęłam się do niego, a on skinął głową i ruszył za synem. Odprowadzając go wzrokiem i spoglądając na jego silne plecy i wyprostowane ramiona, pomyślałam któryś już raz, porównując tego mężczyznę z Shaliqiem, jak daleko padło jabłko od jabłoni. Mogłam tylko się modlić, żeby mój mąż pomyślał o tym, co powiedział mu ojciec, kiedy następnym razem zobaczy runo poplamione moją miesięczną krwią.

Rozdział XVIII

Gdy tylko wróciliśmy na miejsce naszego letniego obozu w Badakhshanie, przyszła do mnie żona Qula, Faiza. Chcąc mi pomóc zajść w ciążę, przyniosła coś w skórzanym woreczku.

- Daryo, to jest buj - e madaran, zielona herbata zmieszana ze specjalnymi ziołami, z powodu których jest bardzo ostra w smaku i piecze w język - wyjaśniła. - Gdy zacznie się u ciebie nieczystość miesięczna, zagotuj zawartość woreczka w wodzie i pij ten płyn przez trzy dni. Jest ważne, żeby ten środek zażywać właśnie w tym okresie, bo wtedy łono jest otwarte i można je pobudzić. Gdy po trzech miesiącach małżeństwa nie poczęłam, zaczęłam pić tę herbatę i... rezultatem tego jest mój mały Jabbar.

Podziękowałam jej i próbowałam się uśmiechnąć, spoglądając na śpiące niemowlę, które trzymała przy piersi. Była ode mnie o rok młodsza. Oprócz tego na rękach, nosiła pod sercem drugie dziecko. Nie mogłam o tym myśleć.

Piłam więc tę herbatę, niemal krztusząc się z powodu jej ostrego smaku, ale nie podziałała na mnie tak jak na Faizę. Wówczas Dulfiya, nasza dai - akuszerka - przyniosła mi inne zioła.

- Najpierw gotuj je w kozim mleku i pij ten płyn - zaleciła mi. Z powodu blisko osadzonych oczu i bulwiastego krzywego nosa przypominała mi dużego ptaka, ale jej szeroki uśmiech, w którym ukazywała kwadratowe zęby, świadczył o łagodnym usposobieniu. - Jeśli po miesiącu to nie pomoże, dodaj większą niż wcześniej porcję tych ziół do gorącego sklarowanego masła, które wymieszaj z ugotowanym zbożem, i jedz to. Ale nie za dużo naraz, bo zioła zawierają silny lek oczyszczający łono, a poza tym mogą spowodować silne bóle żołądka. I pamiętaj, Daryo, żebyś jadła tylko gorące posiłki, jeśli chcesz zajść w ciążę. Zimne zabierają z organizmu ciepło, które pobudza męskie nasienie. Staraj się nie pić zimnej wody, maślanki i jogurtu, wszystkiego, co cię w środku oziębia.

Patrząc jej w oczy, przypomniałam sobie Yaldę. Miałam ochotę zwierzyć się jej i powiedzieć o przekleństwie. Oczywiście nie było mi wolno. Gdy pomyślałam o Yaldzie, ogarnął mnie smutek. Tęskniłam za matką. Shaliq nie pozwolił mi odwiedzić mojej rodziny, gdy znajdowaliśmy się kilka godzin drogi od Susmar Chord, udając się do zimowego obozu i stamtąd z powrotem do letniego. Usiłowałam sobie wyobrazić Nasreen i Yusufa o rok starszych. Nasreen z pewnością

uczyła się gotować i sprzątać, uśmiechając się nieśmiało i słodko, jak nasza matka. A Yusuf? Czy jeździ już na kucyku? Czy nasz ojciec zabiera go do czajchany i siaduje z nim na dachu? Zastanawiałam się, czy Shaliq kiedykolwiek pozwoli mi ich odwiedzić.

Zastosowałam się do wskazówek akuszerki, nie chcąc wzbudzać podejrzeń. Uważałam jednak, że te dawne leki okażą się bezskuteczne wobec mocy Sulimy. I oczywiście tak się stało. Wówczas przyszła do mnie Myassa.

- Przyszedł czas, żeby zastosować post - poszidan - oświadczyła.

- Wkładanie skór? - zdziwiłam się, tłumacząc to wyrażenie dosłownie.

- Tak - potwierdziła. - Za pierwszym razem użyjemy słabszego środka. Zabijemy kurczaka i na jeden dzień przymocujemy jego skórę do twojego brzucha, który posypujemy mieszanką goździków i kurkumy. Dzięki swemu ciepłu wciągną do twojego brzucha ciepło skóry. Tego samego dnia zjesz mięso tego kurczaka ugotowane z imbirem.

Zmarszczyłam nos.

- Skórę z kurczaka? Na cały dzień? - spytałam zdumiona. Myassa cmoknęła z niezadowoleniem.

- Dziewczyno, to nie boli i chyba gra jest warta świeczki, jeśli w następnym miesiącu poczniesz. Nie sądzisz? A jeśli tak się nie stanie, podejmiemy dalsze kroki.

- Dalsze kroki? Jakie? - spytałam, bo wiedziałam, że Myassa chce, żebym ją o to spytała, choć wcale nie chciałam tego wiedzieć.

- Im większa skóra, tym większa jest jej moc. Zastosujemy skórę ze świeżo zabitej owcy. Owiniemy cię tą skórą, wełną do góry, na dwa dni. Nie będziesz mogła się wtedy ruszać.

Nie potrafiłam ukryć obrzydzenia, ale Myassa była niezrażona.

- I przez czterdzieści dni po zabiegu nie będzie ci wolno jeść nic zimnego, bo osłabiłoby to jego działanie.

Potaknęłam. Stało się, jak zapowiedziała.

Najpierw obłożono mi brzuch skórą z kurczaka, a później owinięto mnie skórą owcy. To drugie okazało się bardziej nieprzyjemne i upokarzające. Leżąc drugiego dnia na pościeli, przykryta zakrwawioną sztywniejącą surową skórą, i próbując nie zauważać much, które siadały w pobliżu mojej twarzy, zwabione

smrodem rozkładu, skupiłam myśli na zaginionym dziecku bez twarzy, które mogło czekać u boku Allana na matkę.

Rozmyślając tak, zapadłam na chwilę w niespokojną drzemkę, która niemal przypominała trans. Zobaczyłam wówczas siebie, jakby w oddali, ubraną w dziwny strój i trzymającą przy piersi niemowlę, którego twarzy nie dostrzegłam. Przepęłniła mnie radość, a oprócz niej uczucie, którego nie potrafiłam określić. Nie mogłam zobaczyć tej twarzy, choć bardzo się o to starałam. Nagle obraz zaczął się zacierać i coraz bardziej oddalać. Krzyknęłam, chcąc, żeby znowu się pojawił. Poczułam na skroniach zimną wodę i spojrzałam prosto w oczy spokojnej Myassy, która wycierała mi twarz moką ściereczką.

- Miałaś wizję? - zainteresowała się. Skinęłam głową.

Myassa uśmiechnęła się.

- To normalne. Była dobra czy zła? - dopytywała się.

- Sądzę, że dobra, choć... - zawahałam się, nie wiedząc, jak nazwać uczucie, które towarzyszyło wizji, bo było to jakby ciche cierpienie.

- Czy widziałaś dziecko? Znowu potaknęłam.

- To znak, Daryo. Myślę, że tym razem się uda - powiedziała krzepiąco.

Zatliła się we mnie iskierka nadziei, ale owo nieokreślone, niepokojące uczucie odebrało mi pewność.

Gdy cztery tygodnie później na owczym runie pojawiła się moja miesięczna krew, była ciemna i obfita. Wówczas Myassa wezwała dai - akuszerkę.

- Czy nie należałoby spróbować czegoś jeszcze? - spytała ją. - Minął już rok i dalej nic. Może digh jej pomoże?

Digh, czyli mały garnek... Spoglądałam to na Myasę, to na Dulfię.

- Daryo, pozostał tylko jeden sposób. Możliwe, że twoja macica ma niewłaściwe położenie i nasienie nie może się do niej dostać. Spróbuję to położenie poprawić. Niech zobaczę. - Akuszerka podciągnęła mi z przodu kamis.

Serce we mnie zamarło. Wiedziałam przecież, że chodzi o coś innego.

- Hej, dziewczyno, pokaż mi brzuch. Nie czas na skromność - strofowała mnie.

Spoglądałam na trzciniową ścianę jurty, czekając, aż akuszerka skończy badać mój brzuch swymi pomarszczonymi silnymi dłońmi.

- Hmm - powiedziała, nie patrząc na mnie i dalej obmacując mi brzuch. - Wygląda na to, że macica ma prawidłowe położenie. Nic nie wskazuje na to, żeby się przesunęła. Ale może jej ujście jest zwrócone do wewnątrz? Myassa ma rację. - Opuściła moją kamis i spojrzała na mnie. - Na wypadek, gdyby tak było, muszę użyć digh. Nie bój się.

- Nie boję się - zapewniłam ją.

- Ta metoda jest znacznie prostsza niż okład ze skóry, ale trzeba umieć ją stosować, bo inaczej można wyrządzić szkody. Stosowałam ją wiele razy w mojej praktyce. Pozwala poprawić położenie macicy, żeby jej ujście mogło przyjmować nasienie. Przyjdź do mnie ostatniego dnia nieczystości miesięcznej. Będiesz wtedy najbardziej otwarta.

Cztery dni później udałam się do jurty akuszerki, niosąc płócienny woreczek o prawie niewidocznych szwach, związany u góry sznureczkiem z cienko splecionej koźlej sierści, bo Myassa powiedziała mi, że muszę symbolicznie zapłacić za digh.

Dulfiya nie traciła czasu na rozmowę.

- Połóż się i odsłoń brzuch - poleciła.

Posmarowała mi brzuch sklarowanym masłem i położyła na nim płaski krążek surowego ciasta. Następnie wyszła z jurty i wróciła z małym glinianym garnkiem. Digh, pomyślałam. Garnek był owinięty grubą tkaniną, a z otworu u góry wydobywał się dym.

- W środku pali się przymocowana do dna szmatka. Położę na cieście garnek dnem do góry i ciasto przejmie ze środka ciepło. Ogień cię nie oparzy, tylko się nie ruszaj - powiedziała.

- Czemu to służy? - spytałam, spoglądając na gorący garnek.

- Gdy ogień w środku zużyje całe powietrze, wciągnie wilgotne ciasto i szarpnie twoją skórę. Miejmy nadzieję, że na tyle mocno, aby macica znalazła się na swoim miejscu - wyjaśniła i przystąpiła do działania.

W pewnym momencie poczułam, że skóra na brzuchu mi pęka, i ogarnęło mnie przygnębienie. Po co te wszystkie zabiegi? Środki i metody lecznicze okazywały się za słabe, żeby zniszczyć moc przekleństwa. Dulfiya traciła czas, jak wcześniej Myassa i Faiza. Nikt nie mógł mi pomóc. Allah nie chciał mnie uwolnić.

Poczułam mdłości, ale nie z powodu digh. Czy Allah uważał, że nie zasługuję na jego uwagę? Czy rzeczywiście byłam tak niewdzięczną córką, tak nieposłuszną, upartą i niegodziwą kobietą, że uznał, iż powinnam być bezdzietna i znosić gniew męża? Czy nie starałam się stać się kimś lepszym, przybyć do Ghilzai ze spuszczoną głową, być żoną nomady, przez cały czas pracować, okazywać mężowi posłuszeństwo i godzić się na jego słowne i fizyczne ataki? Shaliq zawsze miał na czas posiłek, czyste ubranie i zapewnione intymne zbliżenia. Gdy mnie bił, nikomu się nie skarżyłam i starałam się sprostać oczekiwaniom islamu wobec kobiet.

Może babcia myliła się co do mnie, a rację miał ojciec, kiedy mówił, że uważam się za kogoś więcej niż zwykłą kobietę i spodziewam się otrzymać od życia więcej niż inni? Chyba jestem wewnętrznie niezdolna do znoszenia z wdziękiem swojego losu, skoro tak często podaję w wątpliwość wolę Allaha... Może dlatego przekleństwo ma nade mną taką władzę? Tak się nad sobą rozczuliłam, co praktycznie mi się nie zdarzało, że łzy nabiegły mi do oczu.

- Boli? - spytała zaskoczona Dulfya. Zawstydzona, pokręciłam głową.

- Ależ skąd! W jurcie jest dym, który gryzie mnie w oczy - tłumaczyłam się.

Gdy ogień się wypalił i garnek wystygł, akuszerka zdjęła go z mojego brzucha i usunęła okopcone sadzą ciasto.

- Daryo, bądźmy dobrej myśli. Jeśli ta ostatnia metoda nie pomoże, to, jak ci już powiedziałam, niewiele zostało do zrobienia oprócz...

Wycierałam brzuch z tłuszczu i resztek ciasta ściereczką, którą mi podała. Słyszając jej słowa, przerwałam.

- Oprócz? - powtórzyłam za nią niecierpliwie.

- Jeśli metody zewnętrzne nie skutkują, to wiadomo, że decyzja należy do Allaha. Poproś Kaleda, żeby pozwolił ci udać się do zijaratu - grobu świętego - abyś mogła tam błagać o szczęśliwe poczęcie. Modlitwa u grobu świętego ma większą moc i Allah chętniej cię wysłucha. Zijarat znajduje się blisko miejsca naszego zimowego obozu, po drugiej stronie Dżalalabadu. Ludzie mówią, że ten święty ma wielką moc i wiele osób zostało tam uzdrowionych.

- Dziękuję ci, Dulfiyo, za okazaną mi dziś pomoc i słowa otuchy
- powiedziałam i podałam jej woreczek jako symboliczną zapłatę.

Uśmiechnęła się do mnie, co nieczęsto jej się zdarzało.

Wracając pospiesznie do mojej jurty, dotknęłam brzucha. Nie wyczułam żadnych zmian, ale to nie z moim łonem było coś nie w porządku, lecz z duszą.

Kilka miesięcy później, gdy byliśmy w zimowym obozie, postanowiłam skorzystać z rady akuszerki i poprosić Kaleda o zgodę na pielgrzymkę do grobu świętego. Żyłam wśród Ghilzai już drugą zimą. Od czasu poślubienia Shaliq'a z niecierpliwością czekałam na wizyty jego ojca w naszym namiocie czy jurcie. Jeśli teść był w obozie, większość czasu spędzał z Hafeezem i jego rodziną. Zawsze mówił do mnie łagodnym tonem i przyglądał mi się w zadumie, gdy mu usługiwałam, jakby czuł się winien, że jego młodszy syn jest takim człowiekiem.

Teraz nawet nie próbowałam wpływać na Shaliq'a, żeby traktował mnie uprzejmiej i życzliwiej. Wiedziałam już, że nie ma w nim cienia współczucia. Udawałam, że godzę się na to, aby mnie bił, bo zorientowałam się, w jaki sposób zwykle to robi, i nauczyłam się możliwie najlepiej osłaniać przed jego ciosami, a także sporządzać roztwory łagodzące ból ran i stłuczeń.

Poczekalam, aż mój mąż zajmie się stadem, i zaniiosłam dzieciom do namiotu Hafeeza duży placek z suszonymi morelami i migdałami, który w tym celu upiekłam. Był tam Kaled. Przygotowywał się do wyjazdu do Dżalalabadu, gdzie miał sprzedać góry filcu wyprodukowanego przez nas latem.

Siedział przed ogromnym namiotem, największym w obozie. Mieszkał tam wraz z Hafeezem, jego trzema żonami i gromadką ich dzieci, która stale się powiększała. Myassa po swoim ostatnim porodzie, kiedy pękło jej łono, uważała, że nie wyda już na świat dziecka, ale Hanouf powiła zeszłej zimy trzecie - drugiego chłopca, a Bibi była po raz trzeci w ciąży - jej córka, która była drugim dzieckiem, miała ponad rok. W sumie żyło dziewięcioro dzieci urodzonych przez trzy żony Hafeeza, co stanowiło znak nadzwyczajnej łaski Allaha.

Teraz dwoje małych dzieci, synek Hanouf i córeczka Bibi, stało na udach Kaleda, który siedział przed namiotem, i ciągnęło go za włosy, próbując wziąć do ust jego błyszczący kolczyk i wetknąć mu

palec w ucho bądź w oko. Kaled śmiał się z tych figli, czym wzbudził we mnie jeszcze większy szacunek, zwłaszcza gdy spostrzegłam, jak bawi się z wnuczką, łaskocząc ją po szyi i dmuchając jej w gruby brzuszek. Mój ojciec nigdy nie bawił się tak z Nasreen, bo sądził, że wówczas uznalaby się za tak samo ważną jak Yusuf. Najwyraźniej dziadek Kaled nie brał pod uwagę takich następstw.

- Witaj, córko - odezwał się do mnie, gdy przed nim stanęłam. - Wszystko w porządku?

- Witaj, ojciec. Tak, Allah mi świadkiem. Mam ciasto dla dzieci. Zniosę je do namiotu. - Ruszyłam do środka, ale gdy teść przesunął kolana, chcąc mnie przepuścić, przystanęłam i dodałam: - I chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli mogę.

Skinął głową.

Weszłam do środka i zamieniłam kilka słów z Hanouf, która zajmowała się Bibi, bo ta źle znosiła pierwsze miesiące ciąży. Po chwili wyszłam, wzięłam od teścia synka Hanouf, usiadłam i posadziłam go sobie na kolanach. Zbliżyłam twarz do gęstych, miękkich włosów chłopca i wciągnęłam głęboko w nozdrza ich woń, która tak bardzo przypominała mi zapach czupryni Yusufa, że aż spuściłam powieki, rozkoszując się nią. Gdy podniosłam głowę i otworzyłam oczy, stropiłam się, że teść był świadkiem tej manifestacji uczuć.

- Jest taki podobny do mojego małego braciszka - tłumaczyłam się zaczerwieniona. - Codziennie myślę o Yusufie, wyobrażając sobie, jaki musi już być duży i silny.

- Wiem, że Shaliq znowu pozbawił cię przywileju odwiedzenia rodziny, gdy wracaliśmy z gór - powiedział na to mój teść.

Bawiłam się loczkami chłopca spływającymi na kark.

- Bardzo tęsknisz za swoją rodziną, co? - drażył Kaled. Skinęłam głową i pocałowałam malca w ucho.

- Może zimą serce Shaliq'a się odmieni - wyraził nadzieję jego ojciec. - Susmar Chord znajduje się niecały dzień drogi od trasy, którą wiosną pokonujemy, przenosząc się w góry... - Zawiesił głos i dodał: - Ale oczywiście to Shaliq jako twój mąż musi zdecydować o tych odwiedzinach, nie ja.

- Wiem - potwierdziłam lakonicznie. Gdy chłopiec nagle włożył sobie do ust piąstkę, rozejrzał się dokoła i zsunął się z moich kolan, wpełzając na czworakach do namiotu, powiedziałam: - Jest głodny.

Hanouf mruknęła coś pod nosem i zapadła cisza.

- To mądry chłopczyk. Nie ma jeszcze roku, a nie czeka, żeby mu dać to, czego chce, lecz sam tego szuka - pochwaliłam wnuka Kaleda.

Uśmiechnęłam się do jego maleńkiej wnuczki, która siedziała teraz na kolanach dziadka, opierając się o niego, senna i rozluźniona.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać, córko? - przeszedł do rzeczy Kaled.

Nie było mi łatwo przedstawić tak osobistą sprawę, ale swoim zainteresowaniem teść dodał mi otuchy.

- Akuszerka i inne kobiety w obozie zaaplikowały mi środki mające wywołać płodność, ale żaden mi nie pomógł - powiedziałam cicho zakłopotana, spuściwszy głowę. Ściągnęłam na oczy zasłonę, żeby dodać sobie pewności siebie przy poruszaniu tak drażliwego tematu. Zastanawiałam się, czy nie poprosić Myassy, aby porozmawiała z teściem w moim imieniu, czułam jednak, że Kaled będzie mnie bardziej szanował, jeśli sama się do niego zwrócę. Gdy teraz milczał, wyjaśniłam, o co mi chodzi: - Pozostało mi tylko jedno. Dai powiedziała, że dużą moc ma modlitwa u grobu Murtazy, muzułmańskiego męczennika za wiarę, po drugiej stronie Dżalalabadu. Podobno Allah często okazuje miłosierdzie tym, którzy przychodzą tam prosić Go o coś w modlitwie. - Było mi trudno ciągnąć ten temat, ale przemogłam się i spytałam: - Czy pozwolilibyś mi, ojcze, tej zimy odwiedzić ten grób? Nie proszę o to męża, bo każda wzmianka o mojej... - Przerwałam, wzięłam głęboki oddech i powiedziałam to, co musiałam: - niemożności poczęcia budzi w nim straszny gniew. Jeśli się dowie, dlaczego chcę udać się do Dżalalabadu, stanie się jeszcze bardziej niespokojny. A ty, ojcze, jeździsz zimą do miasta wiele razy i często zabierasz ze sobą kobiety. Wiem, że byłoby to z mojej strony duże nadużycie twojej...

- Kiedy chcesz jechać? - przerwał mi.

Spojrzałam na niego po raz pierwszy od chwili, gdy tu usiadłam, i otworzyłam usta ze zdziwienia, bo nie spodziewałam się takiej reakcji. Byłam przygotowana na to, że nie pozwoli mi nic zrobić bez zgody męża.

- No kiedy? - spytał ponownie. - Wybieram się do Dżalalabadu za dwa dni, w drugi dzień targowy. Porozmawiam z Shaliqiem.

Hanouf jedzie ze mną, żeby sprzedać kwaśne mleko w proszku. Oczywiście pojechałabyś w tym samym celu.

Zaskoczona i wdzięczna, ujęłam jego dłoń i przycisnęłam sobie do czoła.

- Dziękuję, ojciec - powiedziałam głośno i wyraźnie. Spojrzałam mu w oczy i powtórzyłam: - Dziękuję.

Rozdział XIX

Po ciemku włożyłam świeże ubranie i wyszłam z namiotu, nie budząc Shaliqą, który strasznie chrapał. Wciągnęłam do płuc rześkie zimne powietrze. Trawę pokrywała cieniutka warstwa szronu, który chrząścił pod stopami. Miał zniknąć po wschodzie słońca, bo nawet w najzimniejszych miesiącach w tym nisko położonym w dorzeczu rzeki ciepłym regionie, w otoczeniu wzgórz, temperatura rzadko spadała aż tak bardzo, żeby mógł się utrzymać.

Spojrzałam na wschód, gdzie niebo zaczynało już różowieć, a gwiazdy blednąć. Zamknęłam oczy i odmówiłam modlitwę. Zawsze cieszyłam się w duchu, że kobiety nie muszą modlić się do Allana w taki sam sposób jak mężczyźni: przemywać oczu wodą, a jeśli jej nie ma, pyłem, zdejmować butów, nakrywać głów i padać na twarz o świcie, w południe, po południu, o zachodzie słońca i po zapadnięciu mroku. U nomadów modlitwa kobiet była jeszcze bardziej nieformalna niż u plemion osiadłych. Zauważyłam, że w obozie kobiety po prostu zamykają na chwilę oczy i modlą się, karmiąc dzieci, piorąc w lodowatych strumieniach i gotując. Postępowałam tak jak one. Nie miałam wątpliwości, że Allah wysłuchuje również naszych słów, choć w przeciwieństwie do mężczyzn nie modlimy się głośno. Był przecież Bogiem Sprawiedliwym.

Chrapanie Shaliqą słyszałam nawet poza namiotem. Na mój wyjazd do Dżalalabadu mąż zgodził się niechętnie, gdy Kaled oznajmił, że chce zabrać tam mnie i Hanouf, żebyśmy sprzedały kwaśne mleko w proszku.

- Tylko pamiętaj, żebyś nie kupowała na bazarze żadnych błyskotek. Wszystkie afgani, które dostaniesz za mleko, są moje. Musisz mi oddać wszystkie. Wiem, ile to będzie, więc nie próbuj mnie oszukać - przestrzegł mnie wieczorem.

- Oczywiście, że cię nie oszukam, Shaliq - zapewniłam. Nic nie mogło mi zepsuć dobrego nastroju. Pielgrzymka do

grobu świętego napawała mnie optymizmem, ale byłam podekscytowana samym wyjazdem do Dżalalabadu. Dotychczas widziałam to miasto jedynie oczyma wyobraźni. Teraz miałam zobaczyć, jak wygląda w rzeczywistości.

Wyruszyliśmy z obozu w chwili, gdy słońce pojawiło się nad najniższym ze szczytów. Pierwszego dnia mojego pobytu w plemieniu Ghilzai ich czarne namioty skojarzyły mi się z motylami. Teraz, gdy z

oddali spoglądałam na nie przez ramię, siedząc na koniu, przypominały mi ogromne śpiące ropuchy.

Kaled, Abdul, Sameer, Hanouf i ja jechaliśmy gęsiego skrajem zielonego, ale pozbawionego drzew terenu w pobliżu rzeki. Rosło tam zboże i trzcina cukrowa. Podążaliśmy ścieżką wydeptaną w ciągu setek lat przez nomadów i ich zwierzęta, a nasze konie czasami uderzały kopytami o duże, wystające z ziemi kamienie. Przez jakiś czas posuwaliśmy się tym szlakiem, a następnie Kaled skręcił do wąwozu. Przecieliśmy wąwóz, a potem wyschnięte koryto strumienia. Wiosną, wraz z obfitymi opadami deszczu, znów miała popłynąć tędy woda. Gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu i wjechaliśmy na kamienisty płaskowyż, mój teść zatrzymał korne.

Na rozległej równinie rozciągał się przed naszymi oczami Dżalalabad. Nie wyobrażałam sobie, że w jednym miejscu może być tyle budynków. Zakreśliło mi się w głowie, bo chciałam zobaczyć je wszystkie naraz. Jadąca przede mną czwórka popędziła konie, zmierzając ku temu wspaniałemu miejscu, więc ruszyłam za nimi. Chcąc ich dogonić, ścisnęłam kolanami boki mojej małej, umięśnionej klaczki.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, tym wyraźniej dostrzegałam na bladym zimowym niebie kopuły meczetów i liczne palmy. Wkrótce byliśmy na tyle blisko przedmieścia, gdzie tego dnia odbywał się olbrzymi targ, że w nozdrza uderzył nas zapach przygotowywanych na ogniu potraw. Usłyszałam krzyki sprzedawców zachwalających swoje towary, a na obrzeżach bazaru dostrzegłam stoiska z kebabem. Wciągnęłam w nozdrza zapach szaszłyków z tłustej jagnięciny i jaj skwierczących na baranym tłuszczu. Kaled wyciągnął rękę i zatrzymaliśmy się.

- Mam sprawę do załatwienia po drugiej stronie miasta. Zabiorę ze sobą Daryę, a Hanouf zostanie z Abdulem i Sameerem - zarządził.

Obaj mężczyźni potaknęli, a Hanouf zakryła twarz ciemną chustką. Ja zrobiłam to samo.

- Hanouf, sprzedaj oprócz swojego mleko Daryi i podziel pieniądze po równo - polecił jej Kaled, zsiadając z konia. - Spotkamy się na końskim targu przed wezwaniem na południową modlitwę.

Abdul zeskoczył z konia, odpiął przytroczone do mojego siodła duże, szczelnie zamknięte dzbany i przymocował je do swojego. Kaled przełożył filc, który wiozł za siodłem, na siodło Sameera.

Zanim mój teść z powrotem wsiadł na konia, Abdul, Sameer i Hanouf skręcili w lewo. My ruszyliśmy wyboistą drogą do miasta.

- Tędy najszybciej dotrzemy na miejsce. Trzymaj się blisko mnie, żebyś się nie zgubiła - przestrzegł mnie Kaled.

Na skraju bazaru leżały rozłożone na ziemi brudne koce, na których spostrzegłam parę jajek i zniszczoną brokatową kamizelkę. Siedziały przy nich obdarte dzieci, które spojrzały na nas z nadzieją, gdy je mijaliśmy. Przejechaliśmy obok rzędu małych straganów, na których sprzedawano nierafinowany cukier, sól, ryż i tanie materiały. Gdy znaleźliśmy się na głównej alei bazaru, spoglądanie na plecy teścia, żeby się nie zgubić, wymagało ode mnie nadludzkiej woli. Szczęśliwie o tej wczesnej porze na targu nie było jeszcze tłoku, więc z łatwością manewrowałam koniem wśród straganów i sklepów. Z niektórych dachów młodzi mężczyźni chlapali na dół wodą, by splukać kurz osiadający na wypolerowanych owocach i jarzynach. Staralam się trzymać głowę prosto, ale nieustannie spoglądałam to w prawo, to w lewo, bo chciałam wszystko zobaczyć. Nie potrafiłam określić niektórych dźwięków i zapachów. Nagle spostrzegłam cudzoziemca ubranego w krótki obcisły mundur w kolorze czerwonym, zapinany na liczne srebrne guziki. Mężczyzna ten miał jasną skórę i złociste jak słońce włosy. Jeszcze takich nie widziałam.

- Ojcie, kto to jest? - spytałam Kaleda. - Ten w czerwonym mundurze.

Kaled odwrócił się do mnie, a następnie spojrzał nieufnie na cudzoziemca.

- To żołnierz. Z Hindustanu, kraju na południu - wyjaśnił mi, zwalniając, tak że się z nim zrównałam.

- Czy jest taki sam jak żołnierze, którzy walczyli z naszymi ludźmi w wojnie toczącej się dawno temu, gdy byłam dzieckiem? - spytałam.

Kaled skinął głową.

- To była pierwsza wojna białych charedzi i Afgańczyków - odpowiedział.

- Ci żołnierze zabili brata mojego ojca - oznajmiłam.

- I wielu moich braci. Ja też walczyłem w tej wojnie - wyznał.

- Dlaczego tu są? - pytałam dalej.

Na twarzy Kaleda malowało się jeszcze większe napięcie.

- Sytuacja się zmienia. Nie toczymy już z nimi wojny. Mogą swobodnie przybywać do naszego kraju - wytłumaczył.

Drogę zatarasował nam uparty osioł ciągnący wózek wyładowany liśćmi pieprzu betelowego i zieloną paszą. Zaparł się i musieliśmy poczekać, aż znowu ruszy. Gdzieś z boku tak głośno zaskrzeczał ptak, że odwróciłam się, chcąc go zobaczyć. W czajchaniu na wolnym powietrzu dostrzegłam w wiklinowej klatce kolorową majnę czubatą. Wsłuchując się w jej rytmiczne skrzypliwe gwizdy, zrozumiałam, że papuga w języku dari powtarza zdanie: „Chwalmy Allaha”, co bardzo mnie zdumiało. Następnie moją uwagę przyciągnęły ogromne szklane pojemniki z liśćmi herbaty: czarnej, która, jak wiedziałam, pochodziła z Hindustanu, i zielonej, sprowadzanej skądś przez Turkmenów mieszkających w północno - wschodnim Afganistanie. W tej czajchaniu stał na niskim stole duży mosiężny termos, a za nim półka z wyszczerbionymi czajniczkami do herbaty, wykonanymi z najcieńszej białej porcelany, pomalowanej w delikatne różowe róże. Podziwiałam piękno tych starych czajniczków i miałam ochotę pogłodzić gładką powierzchnię kruchej porcelany.

Osiół stał już spokojnie i spuścił głowę, gdy jego właściciel ściągnął cugle. Kaled czekał cierpliwie, aż zwierzę ruszy, a ja spojrzałam w lewo. Na straganie na wprost czajchany sprzedawano obuwie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam: od jasnoczerwonych haftowanych pantofli o wywiniętych noskach po wysokie sztywne buty z ostrogami do konnej jazdy.

Spojrzałam na sąsiedni stragan, skąd dobiegał wysoki dźwięczny śmiech. Stojące tam trzy kobiety w burkach afgańskich, przez co ich głowy wydawały się filigranowe i okrągłe, kupowały bakłażany i granaty. Burki były długie do kostek, drobno plisowane, wykonane z cienkiej miękkiej tkaniny, a w miejscu oczu miały gazę. Przy każdym ruchu kobiet kołysały się wdzięcznie, niczym małe urocze dzwonki.

Osiół, choć gniewnie porykiwał, w końcu ruszył, umożliwiając nam dalszą jazdę. Po jakimś czasie wyjechaliśmy z bazaru i znaleźliśmy się na spokojniejszych ulicach. Teraz mijaliśmy meczety, których smukłe minarety widziałam już z daleka. Przez otwarte drzwi podziwiałam ich posadzki i ściany wyłożone niebieskimi i zielonymi kaflami, tworzącymi piękne, choć zimne kompozycje. Oglądając proste, lecz pełne wdzięku bryły tych budowli, pomyślałam, że kiedyś wspaniały wydawał mi się meczet w mojej rodzinnej wiosce, o

surowym wnętrzu i glinianych ścianach. Teraz zdałam sobie sprawę, jaki jest mały i skromny.

Oglądałam wszystko jakby nowymi oczami, pełna zarówno zachwyty, jak i niezadowolenia, które mnie zaniepokoiło, bo się go nie spodziewałam. Było tu tyle do zobaczenia i dotknięcia własną ręką, tyle do usłyszenia i powąchania, a nie mogłam w pełni doświadczyć nawet pierwszego z tych wrażeń. Nagle owładnęło mną przemożne pragnienie, żeby wziąć do ręki taki delikatny porcelanowy czajniczek. A przecież był to tylko przedsmak życia, które znała moja babcia i o którym starała mi się opowiedzieć. Chciała, żebym je poznała, żebym prowadziła właśnie takie życie.

Na szerokich schodach budynku przylegającego do meczetu spostrzegłam siedmiu dobrze ubranych chłopców, którzy mieli nie więcej niż osiem lat. Z uwagą słuchali wykładu starszego dostojnego mułły. Balkon budynku ozdobiony drewnianymi płytami rzeźbionymi w koła i prostokąty wspierał się na drewnianych filarach, również rzeźbionych w zawile esy - floresy.

To jest medresa, pomyślałam, teologiczna szkoła dla chłopców, o której opowiadał mi kiedyś ojciec po powrocie z Kabulu. Spoglądałam na przejęte dziecinne twarze i słuchałam wysokich głosików, gdy płynnie recytowali powtarzane za mułłą słowa. Ci uczniowie byli zaledwie o kilka lat starsi od Yusufa, ale on nie mógł się uczyć tak jak oni. Jego nauczycielem miał być mułła z Susmar Chord, w którego wiedzę religijną teraz zważyłam.

Narastała we mnie zazdrość i żal, toteż ucieszyłam się, gdy minęliśmy meczety. Teraz jechaliśmy wśród ładnych wysokich domów o dziedzińcach ogrodzonych murem. Zwróciłam uwagę na jeden szczególnie piękny dom, dwupiętrowy, o oknach zasłoniętych rzeźbionymi ażurowymi okiennicami, chroniącymi przed słońcem i oczami ciekawskich. Gdy przejeżdżaliśmy obok, w bramie szczęknął rygiel i na chodnik wyszedł z dziedzińca jakiś mężczyzna. Dzięki temu zobaczyłam, że są tam tarasy, na których rosną kwiaty i kwitnące krzewy, a pośrodku stoi wielkie przycięte drzewo, rzucając rozkoszny cień na ułożone wokół niego marmurowe płyty. Pod drzewem stała drewniana ława z oparciem, wyściełana poduszkami w barwach przyprawiających o zawrót głowy. Siedziała na niej kobieta o odsłoniętej twarzy, a u jej stóp leżał mały piesek. Miała piękną, spokojną twarz o podmalowanych kohlem oczach, uróżowanych

policzkach i pociągniętych karminem ustach. Jej mocno posmarowane olejkami włosy były splecione w dwa warkocze, które przerzuciła przez ramiona na piersi. Miała na sobie suknię w barwie wiosennej zieleni, wokół szyi ozdobioną szklanymi paciorkami, które połyskiwały i odbijały światło. Dotknęła czubkami palców ust i posłała mężczyźnie pocałunek. Gdy zamknął bramę i odwrócił się w stronę ulicy, zobaczyłam na jego twarzy zadowolenie.

Spojrzałam na swoje pantalony i kamis. Moje czapli - sandały bez pięt, noszone przez kobiety z plemienia Ghilzai - były wystrzępione i znoszone. Opalone dłonie, którymi teraz ściszałam cugle, miały stwardniałą skórę. Próbowałam sobie wyobrazić, jak macham nimi mężczyźnie, tak otwarcie i frywolnie demonstrując uczucie.

Nie przyjechałaś tu, żeby się zachwycać urokami miasta i uzalać nad sobą, że dorastałaś jako odcięta od świata wiejska dziewczyna, dowiadując się o innym życiu tylko z opowieści swojej babci - napomniałam się. Teraz jesteś żoną nomady i zjawiałaś się tu dzięki wielkiej łaskawości twojego teścia, żeby modlić się do Allaha Wszechmogącego, by dał ci siłę zdolną pokonać przekleństwo. Masz być mu za to wdzięczna i nie porównywać swojego życia z życiem innych. Wypowiedziawszy w myślach te słowa, zacisnęłam usta, uniosłam podbródek i wyprostowałam ramiona. Ale nie mogłam się pozbyć rozczarowania, gdy podążaliśmy tą cichą, czystą ulicą.

Za ostatnim z biednych domów Kaled skręcił w wąską boczną drogę. Po krótkiej jeździe wskazał dłonią bezładny stos kamieni w małym cytrynowym gaju. Wśród drzew kuśtykał starzec podpierający się kosturem.

Gdy zsiadłam z konia, teść podał mi na dłoni kilka afgani, które połyskiwały w słońcu.

- Weź, bo musisz kupić pamiątkę - amulet - od strażnika grobu - powiedział. - Podobno dzięki temu amuletowi Allah chętniej wysłuchuje prośby osób pobożnych. Poza tym staruszek z tego żyje.

Wskazał podbródkiem zgarbionego mężczyznę, który poruszał bezzębnymi ustami, przyczaiwszy się za liściastym drzewem, i patrzył na nas, mrużąc powieki. Prawdopodobnie byliśmy dziś jego pierwszymi gośćmi.

- Gdy mu zapłacisz, postara się, aby twoja wizyta była miłsza - dodał Kaled po chwili.

- Dziękuję. - Wzięłam od niego monety i obejrzałam je. Po raz pierwszy miałam w dłoni pieniądze.

- Poczekam tu na ciebie. - Teść wskazał dłonią wysoki głóg rosnący po przeciwnej stronie drogi, gdzie zieleniła się bujna trawa. Wziął cugle mojej klaczki i odjechał wraz z nią.

Z wahaniem ruszyłam do starca. Wyszedł mi na spotkanie. Trząśł się i był ode mnie niższy, choć może tylko taki się wydawał, bo przygarbił się ze starości. Ubrany w łachmany, na głowie miał strasznie zatłuszczony turban. Cuchnął starym brudem. - Och, młoda żona - odezwał się w języku dari, otwierając

wąskie blade usta. - Widzę oczy Tadżyjki, a strój Pasztunki. - Gdy nic na to nie powiedziałam, dodał: - Ale chodzi o coś więcej. Jesteś wśród nas obca.

Szczelniej zakryłam twarz chustką.

Tym ostatnim zdaniem wprowadził mnie w zakłopotanie. Przyglądał mi się zbyt natarczywie. W jego małych oczkach o pożółkłych białkach dostrzegłam inteligencję.

- Z przeproszeniem, młoda żono, ale mówię to, co widzę. Chcesz prosić naszego świętego Murhazę, żeby wstawił się za tobą u Allaha? - spytał.

Skinęłam głową.

- Jaką łaskę zamierzasz wyprosić, piękna żono? Łaskę czego? - ciągnął.

Wyraźnie oczekiwał ode mnie odpowiedzi, głośnego wyznania intencji, w jakiej tu przybyłam.

- Łaskę płodności - odpowiedziałam krótko.

- Co? - spytał, przekrzywił głowę i podszedł do mnie bliżej.

Odsunęłam się, bo strasznie cuchnął.

- Płodności! - powtórzyłam głośniejszym głosem, zerkając wokół, czy oprócz nas nie ma tu nikogo, kto usłyszałby, że przyznaję się do takiej ułomności.

- Aha! Na to mam specjalny ta'wiz - amulet. Wyleczenie gwarantowane. Tak, tak. Chodź. Musisz go mieć - zachęcał.

Weszłam za nim na ubitą ziemię przed grobem, gdzie stał wyładowany brudny, zeszyty bawełniany wór. Mruczając coś pod nosem, starzec włożył rękę do środka i grzebał wśród znajdujących się tam przedmiotów, dopóki nie wymacał tego, którego szukał.

Wyjął rękę, w której trzymał mały kwadrat skóry.

- Oto on. Tak, to on - oświadczył i roześmiał się piskliwie. - Tak. Wiedziałem, że go mam. - Wyciągnął do mnie rękę, ale gdy sięgnęłam po amulet, cofnął dłoń i przycisnął go do piersi jak najdroższy skarb, spoglądając na mnie przebiegle.

Otworzyłam zaciśniętą dłoń, w której trzymałam trzy afgani.

- Och - westchnął z zadowoleniem. - Za amulet daje się tylko dwa afgani, ale jeśli ofiarujesz trzy, moja piękna żono, to możesz być pewna, że otrzymasz za pośrednictwem tego świętego o wiele więcej łask. - Zdumiewająco zwinnie jednym ruchem wziął z mojej dłoni monety i dodał: - Zawsze miej ten amulet przy sobie. Są w nim święte słowa Koranu. - Położył na mojej wciąż wyciągniętej dłoni małeńki skórzany pakunek i podprowadził mnie bliżej stosu kamieni.

Spostrzegłam wetknięte między okrągłe kamienie różne drobne przedmioty: niewypalone do końca świece, kawałeczki tkanin i prymitywne gliniane figurki. Czułam mdłości, bo odór stojącego obok mnie strażnika grobu był nie do wytrzymania.

- Dzięki temu dodatkowemu afgani spotka cię najwyższy honor, zanim zaczniesz się modlić - obwieścił i zza wyjątkowo dużego kamienia wyciągnął brudne zawiniątko, z którego wyjął kilka małych przedmiotów. Przyjrzał im się z wielką czułością i spojrzał na mnie.

Widząc w jego oczach łzy, zastanawiałam się, jak wcześniej mogłam dostrzec w nich inteligencję. Teraz spoglądał na mnie tak, jak głodne duże zwierzę patrzy na mniejsze, które chce upolować. Gdy wyciągnął rękę, chcąc mi podać te skarby, odruchowo po nie sięgnęłam, ale zorientowawszy się, co to jest, cofnęłam dłoń jak oparzona.

- Weź je, trzymaj ostrożnie i pieść. Nie bój się. To są poświęcone kości palca naszego męczennika za wiarę, Murtazy - wyjaśnił starzec i skinął na mnie.

Odsunęłam się od jego drżącej dłoni, na której trzymał blade poszarzałe kości, i pokręciłam głową.

- Weź, piękna żono - nalegał piskliwym, załamującym się głosem. - Widzę wokół ciebie twoich przodków. Nakłaniają cię do modlitwy. Jeszcze się nie pomodliłaś i nie zjadłaś szczypty ziemi z tego grobu. - Widząc, że się cofam, dodał głośniejszym głosem: - To Matka Ziemia może cię zapłodnić! Twoje ciało jest do tego dojrzałe! Widzę to! - Utkwił oczy w moim brzuchu i uśmiechnął się, ale jego uśmiech był jeszcze bardziej niepokojący niż słowa.

Odwrociłam się i pobiegłam do Kaleda, gubiąc po drodze amulet i potykając się. Chusta zsunęła mi się z głowy. Teść stał oparty o głóg, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i spoglądał na szybujące po niebie stado ptaków. Słyszając kroki, spojrział w moją stronę.

- Daryo, co się stało? Chciał ci wyrządzić krzywdę? - zaniepokoił się, widząc, jak jestem przerażona.

Pokręciłam głową.

- Nie. Ale nie czułam się tam dobrze. Dla mnie to nie było sanktuarium nadziei, lecz śmierci i rozpacz. Proszę, jedźmy stąd. - Wsiadłam na konia i ruszyłam w stronę miasta, lecz po chwili uświadomiłam sobie, że zajęłam dominującą pozycję, wysuwając się przed Kaleda. Zatrzymałam konia i pochyliłam głowę. Teść znalazł się obok mnie, a ja wypuściłam z rąk cugle i zgarbiłam się w siodle. Gdy Kaled się zatrzymał, powiedziałam ze skrucą: - Wybacz mi, ojcze, nie tylko tę nierozwagę, ale także to, że zmarnowałam twój czas i pieniądze. - Spojrzałam na niego. - Obawiam się, że głupotą było jechać do tego sanktuarium. Nie chcę bluźnić. Tak bardzo staram się wierzyć w dobroć Allaha, ale uważam, że w takim miejscu moja modlitwa nie odniosłaby skutku. Spodziewałam się, że doznam tam oświecenia, a ogarnęło mnie poczucie beznadziejności. Czy postąpiłam źle, nie modląc się tam? Czy postępuję źle, nie zawsze... wierząc?

Teść wziął cugle mojego konia i popędził go, a następnie swojego, tak iż szły obok siebie. Dziwiłam się, że pozwala mi tak jechać, bo moje miejsce było z tyłu za nim.

- Groby, święci, modlitwy, wiara w Istotę Najwyższą... mogą stanowić ważne źródło pocieszenia. Ale niektórzy z nas... wierzą także we własne zdolności, tak samo jak w wolę Allaha. Wierzą w ludzką determinację i w wytrwałość. Niektórzy nie potrzebują, tak jak inni, rozmaitych podpór - powiedział.

Zdumiał mnie tymi słowami. Nagle wstąpiła we mnie nadzieja, którą chciałam zdobyć u grobu świętego. Kaled rozmawiał ze mną tak, jakbym była jego synem, a nie synową. Byłam przekonana, że czeka na to, co powiem. Tyle chciałam mu powiedzieć, ale znałam zwyczaje mężczyzn głównie na podstawie zachowania mojego ojca i męża. Było mi trudno rozmawiać z teściem otwarcie.

- Daryo, dostrzegam te cechy również w tobie - powiedział, chcąc mnie ośmielić. - Oprócz determinacji i wytrwałości masz w

sobie siłę. To jasne. Spostrzegłem je u ciebie już pierwszego dnia i wiedziałem, że utrudnią ci życie z Shaliqiem.

Nie mogłam na niego spojrzeć. Pod wpływem tych niespodziewanych komplementów jakoś wewnętrznie urosłam, wydostałam się z pułapki, w której tkwiłam i z której chciałam się uwolnić. Starannie dobierałam w myślach słowa, które chciałam teściowi powiedzieć. Nadal jechaliśmy obok siebie.

- Ja też uważam, że dzięki determinacji i wierze we własne zdolności można zmienić swoje życie, ale tylko wtedy, gdy jest się mężczyzną - oznajmiłam. - Jedynie wówczas, ojcze. Mężczyzna może kształtować swoją przyszłość. Nazywa to wolą Allaha. Może nad nią pracować jak nad gotowaniem dobrego pilawu złożonego z wielu ziarenek ryżu, w zależności od tego, jak silne ma ręce i jak daleko sięga wzrokiem. - Mówiąc to, uświadomiłam sobie, że podnoszę głos, ale teść w żaden sposób mnie nie powstrzymał, więc ciągnęłam śmieiej: - Przyszłość kobiety natomiast jest jak ziarnko ryżu. Sama jedna jest nieprzydatna, bezbronna i niegodna uwagi. Musi się zwielokrotnić i wtedy wraz z innymi ziarnkami, które z niej powstały, może zostać w odpowiedni sposób ukształtowana tak samo jak mężczyzna, który jest panem jej życzeń i pragnień, bo ona nie ma nad niczym kontroli, nie ma w żadnej sprawie głosu. Nie ma wolności. - Czułam, że palą mnie policzki. Nigdy jeszcze nikomu nie mówiłam o takich sprawach, a teraz odważyłam się powiedzieć, co myślę, mężczyźnie, ba, własnemu teściowi. Gdy milczał, zaczęłam się obawiać, że posunęłam się za daleko. Ale kiedy na mnie spojrzał, był raczej przygnębiony niż zły.

- Słyszałem twoje słowa i rozumiem, dlaczego czujesz się zawiedziona. Ale nawet dla tych z nas, którzy nie są w pełni posłuszni, którzy podają w wątpliwość wiarę w Allaha i jego mądrość...

Wstrzymałam oddech, zdumiona, że rozmawia ze mną o takich rzeczach. Powiedział: „tych z nas”, a nie „tych z was”. Myślałam, że nie skończy tej myśli, i jechaliśmy obok siebie w milczeniu.

- Jak powiedziałem - podjął po chwili przerwany wątek - masz silny charakter, zbyt silny jak dla mojego syna. Oboje o tym wiemy. Oczywiście on też wie, ale tego nie rozumie i nie akceptuje. Shaliq dostrzega bardzo niewiele. Przerażasz go, Daryo, swoim wewnętrznym spokojem, siłą ducha i wdziękiem. Gdybym na

początku wiedział o tych twoich cechach, nie wikłałbym cię w to małżeństwo.

Dostałam jeszcze silniejszych wypieków, gdy przyznał, że moje małżeństwo z jego synem nie jest szczęśliwe.

- Ale aby twoje życie z Shaliqiem nie było nieszczęśliwe, Daryo, musisz się postarać przyćmić swój wewnętrzny żar, by nie płonął tak jasno - poradził.

Miałam ochotę krzyknąć: Dlaczego muszę?! Dlaczego muszę starać się o to, żeby być kimś mniejszym, niż jestem?! Ale milczałam.

- Kobieta taka jak ty, Daryo... Marnujesz się przy mężczyźnie takim jak mój syn - ciągnął cichym, pełnym żalu głosem. - Ale taki przypadł ci w udziale los i nie możesz tego zmienić. Będziesz więc musiała, córko, mieć takie życie. Po prostu żyj i nie próbuj sobie wyobrazić, jakie mogłoby być twoje życie. - Spojrzał na mnie z wielkim smutkiem i ruszył przodem.

Jechałam za nim, myśląc o tym, że zna mnie znacznie lepiej niż mój mąż. Nie dawały mi spokoju jego słowa, które wyrażały najbardziej bolesną dla mnie prawdę: „Marnujesz się przy mężczyźnie takim jak mój syn”. Marnuję się... Czy tak miałam myśleć o swoim życiu? Powiedział mi po prostu, że z Shaliqiem nie mogę wiązać żadnych nadziei. Ale czym innym było twierdzenie, że nie mogę zmienić swego losu. Owszem, Kaled znał mnie być może lepiej niż ktokolwiek inny w naszym obozie, ale nie wiedział jednego. Gdy mi radził, żebym nie próbowała sobie wyobrazić, jakie mogłoby być moje życie - jakie jeszcze może być - to tak jakby kazał mi nie jeść, nie spać i nie oddychać.

Czy moja babcia rzeczywiście wierzyła, że jej los jest wypisany na czole? Dotknęłam swojego czoła, gdy wjechaliśmy z przedmieść do Dżalalabadu. Poczułam pod palcami gładką skórę. Jeszcze nie wiedziałam, co mnie czeka.

Część druga

Pod palącym słońcem Indii
dwa lata później

Rozdział XX

Zapaliłam lampę i zdjęłam rozdartą kamis. Przemyłam rany wodą, wsypałam do małej tykwy kilka ziół, dodałam do nich parę kropli wody i rozmieszałam wszystko palcami. Wzdrygając się, wklepałam delikatnie ten balsam w rany na piersiach i udach. Gdy zasechł, ostrożnie włożyłam przez głowę czystą kamis, zwilżyłam szmatkę zimną wodą i zmyłam z ust zaschniętą krew. Wreszcie zanurzyłam ściereczkę w wodzie i przyłożyłam ją sobie do oka, w którym czułam rwący ból. W ciągu kilku godzin górna powieka miała spuchnąć i stać się sina.

Przynajmniej przez kolejnych pięć dni nieczystości miesięcznej Shaliq będzie się trzymał ode mnie z daleka. Obmacałam ostrożnie twarz. Dopóki opuchlizna nie skłębnie i sińce nie zbledną, muszę ograniczyć kontakty z ludźmi do niezbędnego minimum, a wychodząc z namiotu, zakrywać twarz. Nienawidziłam wstydu, który mi teraz towarzyszył, gdy szłam przez obóz po kolejnym pobiciu przez męża. Wydawało mi się, że oczy wszystkich są na mnie zwrócone i wszyscy szepczą na mój temat. Jeśli zostawałam w namiocie przez dłuższy czas, Faiza przynosiła mi wszystko, czego potrzebowałam. Odwiedzałyśmy się codziennie. Nie widząc mnie przez jeden dzień, zjawiała się, chcąc sprawdzić, czy dobrze się czuję. Po pobiciu to ona się mną zajmowała. Była teraz moją jedyną przyjaciółką, od kiedy Hafeez wraz z rodziną opuścił obóz. Stało się to nieoczekiwanie latem, przed sześcioma miesiącami. Brat Kaleda, wódz dużego plemienia, spadł z wierzchowca i został stratowany przez stado dzikich koni. Zmarł na skutek odniesionych ran. Miał wiele córek i ani jednego syna. W tej sytuacji Kaled zdecydował, że następcą jego brata zostanie Hafeez. Wszyscy zastanawialiśmy się nad tą decyzją, bo spodziewaliśmy się, że najstarszy syn Kaleda zostanie wodzem naszego plemienia. Ale mój teść nalegał, żeby Hafeez objął władzę nad tamtym plemieniem. Oświadczył, że pod opieką Allaha przez najbliższe lata sam będzie kierował naszym obozem. Wszyscy wiedzieli, choć nikt tego głośno nie mówił, że chce w tym czasie pomóc Shaliqowi dojrzeć do przejęcia po nim kiedyś funkcji wodza.

Po wyjeździe Hafeeza i jego żon - moich sióstr - ludzie słabiej przykładali się do pracy, bardziej plotkowali i byli mniej zgodni. Kaled przebywał poza obozem jeszcze częściej niż dotychczas, jakby i on czuł się tu teraz gorzej. Shaliq nie potrafił utrzymać wśród ludzi

spokoju i wysokiego morale. Pozbawiona macierzyńskich uczuć Myassy, trzeźwych rad Hanouf i przyjaźni Bibi, nie mówiąc już o sympatii ich dzieci, które witały mnie z autentyczną miłością, głośno i serdecznie, nazywając tendar - ciocią, czułam się samotna i przytłoczona obozowym życiem. Zdawało mi się, że znajduję się w jakiejś otchłani. Budziłam się, pracowałam, jadłam i spałam. Od ponad roku się nie modliłam. Nie był to efekt świadomej decyzji, lecz powolnego procesu. Gdy pobita przez Shaliq'a leżałam półprzytomna i oszołomiona, traciłam poczucie czasu i często mijało wiele dni, zanim zdałam sobie sprawę, że od dawna się nie modlę. Podczas nieczystości miesięcznej obowiązywał mnie zakaz modlitwy, a kiedy już mogłam się modlić, odkładałam to na później, z godziny na godzinę i z dnia na dzień, mówiąc sobie, że odmówię modlitwę po wykonaniu jakiejś pracy, ugotowaniu posiłku czy zanieśieniu go Utmarkhail. Wreszcie zaprzestałam modłów i wcale nie czułam się niegodziwa z powodu tego potajemnego buntu, który był jak bluźnierstwo. Nie myślałam o miłosierdziu i litości Allaha, lecz po prostu żyłam, jak radził mi Kaled. Było to jak przebywanie w zaklętym kręgu tych samych monotonnych zajęć, bo nie miałam na co czekać z radością. Poza tym czułam się coraz mniej akceptowana przez inne kobiety, bo nie przyczyniałam się do wzrostu liczby członków naszego plemienia. Gdy wyjechały moje siostry, zdałam sobie sprawę, jak wspaniałomyślne z ich strony były starania o taką akceptację. Jeszcze gorsze było to, że teraz Shaliq obarczył mnie obowiązkiem opiekowania się jego matką. Do tej pory tylko przygotowywałam dla niej posiłki, a Myassa zajmowała się całą resztą.

Byłam nieufna wobec tej dziwnej otyłej kobiety, która obserwowała mnie swymi małymi świńskimi oczkami, gdy przynosiłam jej posiłki i zabierałam do prania brudne ubrania oraz pościel. Kiedyś, gdy sięgałam po pusty dzban na wodę, chwyciła mnie za nadgarstek, powąchała moją rękę i wypuściła ją, mamrocąc coś pod nosem. Staralam się wzbudzić w sobie współczucie dla tej kobiety. Była przecież opętana przez dżinna i nie panowała nad sobą. Ale okazało się to trudne, zwłaszcza gdy wyszło na jaw, że opowiada Shaliqowi kłamstwa na mój temat. Nieraz zdarzało się, że mąż uderzył mnie w twarz czy popchnął na ziemię, bo matka poskarżyła mu się, że gdy nie było go w obozie, nie przynosiłam jej jedzenia czy że traktowałam ją lekceważąco.

- To nieprawda! - krzyknęłam, gdy zarzucił mi to po raz pierwszy. - Zajmuję się nią i okazuję jej szacunek. Codziennie podaję jej posiłki i bardzo dbam o to, żeby miała czyste ubranie i pościel. Dlaczego kłamie? A ty dlaczego jej wierzysz? Wiesz, że jest... - Umilkłam, bo znowu podniósł rękę.

- Nie waż się powiedzieć złego słowa na moją matkę! - ostrzegł.
- To ty próbujesz mnie zwodzić swymi kłamstwami. Obserwuję cię, Daryo. Wiem, że wygadujesz na mnie różne rzeczy do innych kobiet, że gdy mnie tu nie ma, nie liczysz się z potrzebami mojej matki. I patrzysz prosto w oczy. Za dużo gadasz.

Od tej pory jeszcze bardziej starałam się nie narażać mojemu mężowi, żeby nie sprowokować go do bicia. W obecności Shaliq'a odwracałam głowę, żeby nie mógł mnie o nic obwinić. I coraz częściej milczałam.

*

Jedynie Faiza pozostała moją przyjaciółką, ale niewiele chwil mogłyśmy spędzać razem. Chuda i stale zmęczona, większość swego czasu poświęcała dwójce dzieci. Stale miała sińce pod oczami, a od wiosny wstrząsały nią coraz silniejsze ataki kaszlu, nawet latem, kiedy dzięki ciepłej pogodzie większość ludzi się go pozbywała. Wędrówka z letniego obozu do zimowego kosztowała ją wiele wysiłku. Gdy po kilku tygodniach dotarliśmy daleko na południe, była tak słaba, że musiałam jej pomóc rozbić namiot. Coraz bardziej traciła siły.

Jej mąż, Qul, zamierzał pod koniec zimy wziąć sobie drugą żonę z pasztuńskiego plemienia Durrani, z czego Faiza się cieszyła. Powiedziała mi, że nie może się doczekać wiosny, kiedy będzie miała do pomocy nową parę rąk, bo czasami na skutek tajemniczej słabości oblewała się potem i kręciło się jej w głowie, przez co nie mogła normalnie zajmować się dziećmi i wykonywać swych zwykłych zajęć. Martwiłam się o nią, choć zdawałam sobie sprawę, że także z pobudek egoistycznych, gdyż czułam, że jest jedyną osobą w obozie, która nie traktuje mnie jak wyrzutka.

Leżąc samotnie w ciemnym namiocie, starałam się zasnąć. Ból nie mógł mnie doprowadzić do załamania. Przyzwyczajałam się do niego coraz bardziej i teraz łatwiej go znosiłam. Po ciężkim, jak teraz, pobiciu znajdowałam pociechę w opowieściach mojej babci. Przywołując je w pamięci, mniej odczuwałam fizyczne dolegliwości. Zachowywałam te historie na najgorsze chwile, kiedy naprawdę ich

potrzebowałam. Stały się dla mnie rodzajem modlitwy, prawdami, w które wierzyłam. Te o seraju, z wplecionymi w nie wierszami i pieśniami, a także ta o ukochanym babci, Angliku, z którym przebywała teraz w raj, nabierały życia i rytmu. Obecnie zazdrościłam tego babci, co nie zdarzało mi się za jej życia, ale wtedy byłam na to za mała, choć już wówczas marzyłam, by, tak jak ona, poznać mężczyznę, który zdobędzie moje serce i okaże mi czułość. Sama też wymyślałam różne historie, aby noc szybciej mi minęła. Wyobrażałam sobie, że również kobiety w seraju je wymyślają. Zawsze byłam główną bohaterką tych historii, kobietą o umalowanej twarzy, którą zobaczyłam na pięknym dziedzińcu domu w Dżalalabadzie, jeżdżącą na koniu po równinach, wolną i nieposkromioną, o odsłoniętej twarzy, na którą patrzą mężczyźni oczarowani jej urodą, trzymającą przy piersi dziecko i czującą bicie jego serca. Byłam Brytyjką w hełmie, wojowniczką, która panuje nawet nad morskimi falami.

Te historie nie znajdowały jednak potwierdzenia w życiu. Nie mogłam nikomu ich opowiedzieć, bo były zmyślane, dziecinne i pozbawione znaczenia. Głupie i płytkie, nie sławiły dzielności, miłosierdzia i pobożności. Powinnałam wymyślać historie bardziej wzniosłe, lecz te, które powstawały w mojej głowie, jakoś mi pomagały i czasami czułam, że stają się prawdziwsze niż życie.

Spałam głęboko i budziłam się powoli, oszołomiona i niewypoczęta. Wokół kłapy namiotu spostrzegłam blade światło. Znaczyło to, że słońce już wzeszło. O tej porze nie powinna leżeć w pościeli, ale popadłam w apatię. Nie miałam ważnego powodu, żeby wstać. Ponieważ rozpoczynał się pięciodniowy okres mojej nieczystości miesięcznej, Shaliq miał jeść poranny posiłek w innym namiocie. Pewnie nikt nawet nie zauważył, że jeszcze nie wyszłam na zewnątrz. Musiałam jednak wkrótce przygotować śniadanie dla Utmarkhail i zanieść jej do namiotu, bo inaczej Shaliq znowu by mnie pobił, gdyby się na mnie poskarżyła.

Poruszyłam się lekko i poczułam ból zeszywniałych mięśni. Chciało mi się pić, a mimo to nie mogłam znieść myśli, że muszę się podnieść z ciepłej pościeli. Zamknęłam oczy i mimo woli zasnęłam. Obudził mnie głos Faizy, która wołała mnie dyskretnie, stojąc za kłapą namiotu.

- Wejdz - powiedziałam.

Gdy odchyliła klapę i do środka wpadło słońce, zatkała dłonią usta, żeby nie krzyknąć na mój widok.

- Wygląda to gorzej niż poprzednio - stwierdziła, idąc szybko do dzbanka i nalewając mi wody do małej tytkwy.

Woda była ciepława i nieświeża, ale wypilałam ją dużymi haustami, opierając się na łokciu. Potaknęłam.

- Tak. Tym razem było ze mną źle - potwierdziłam, siadając ostrożnie, żeby mniej bolało, i oddychając wolno i głęboko.

Gdy Faiza dotknęła mojej twarzy, skrzywiłam się.

- Daryo, boję się o ciebie - powiedziała z troską. - Czy nie możesz ubłagać Kaleda, żeby...

- Często rozmawiał o mnie z Shaliqiem, ale to nie on jest moim mężem - weszłam jej w słowo. - Nie może nakazać mojemu mężowi, żeby traktował mnie odpowiednio, tym bardziej że go tu nie ma.

Faiza nagle gwałtownie się rozkaszała. Teraz spostrzegłam, że jest bardzo blada. Mocno się pochyliła i spuściła głowę, jakby nie miała siły stać. Wyjęła z rękawa szmatkę i wytarła nią usta. Gdy odjęła ją od warg, zobaczyłam na niej krew.

- To ja się o ciebie martwię - powiedziałam.

Starła się złapać oddech, przyciskając jedną rękę do piersi, a drugą unosząc.

- To przejdzie - oznajmiła po chwili, oddychając płytko. - Chciałam ci powiedzieć, że Shaliq i Qul pojechali wraz z innymi mężczyznami na kilka dni do Sala, na handel.

Byli przecież wolni. W każdej chwili ten czy inny mężczyzna mógł udać się do wioski położonej w pobliżu obozu.

- Czy miałaś kiedyś ochotę pojechać do Sala lub innych wiosek i miast? Czy chciałybyś sama kupować tkaniny i warzywa na targu? Siedzieć i popijać herbatę z kobietami spoza obozu? - spytałam.

- Daryo, o czym ty mówisz? Dlaczego miałabym chcieć pojechać tam, gdzie nikogo nie znam? Tu jest moja rodzina i przyjaciele. A Qul wie najlepiej, czego nam potrzeba. Masz gorączkę? - Dotknęła dłonią mojego policzka.

Pokręciłam głową.

- Nie mam gorączki. Chciałam tylko...

- Czego chciałaś? - spytała, nie czekając, aż dokończę. - Nie rozumiem. Chciałaś czegoś specjalnego, czego Shaliq ci nie kupuje, kiedy jedzie na handel?

Znowu pokręciłam głową. Nie powinnam oczekiwać, że Faiza mnie zrozumie. Znała tylko obóz plemienia Ghilzai. Ale z drugiej strony, czy nie miała żadnych marzeń i pragnień? Spoglądała na mnie tak życzliwie, z taką troską. Była, podobnie jak Gawhar w mojej rodzinnej wiosce, dobrą, wierną przyjaciółką, ale tak samo jak ona nie rozumiała moich pragnień i tęsknot. Jak mogłam ją potępiać za coś, czego nie czuła?

- Cieszę się, że Shaliqą nie ma. Jest mi łatwiej, kiedy wiem, że przez kilka dni nie będę musiała na niego patrzeć - wyznałam, zmieniając temat.

- Przyjdiesz do mnie później do namiotu? Zjemy coś - zaproponowała.

- Muszę przygotować posiłek dla Utmarkhail - powiedziałam.

- Ja się tym zajmę - oświadczyła. - Ty dziś odpoczywaj, a jak poczujesz się lepiej, przyjdź do mnie i do dzieci.

Skinęłam głową, uśmiechając się do mojej bladej przyjaciółki.

- Przyjdę, Faizo. Dziękuję.

Następnego dnia włożyłam nową kamis i chustkę na głowę. Uszyłam je z wiśniowej tkaniny, którą Myassa podarowała mi przed wyjazdem. Zamierzałam je włożyć dopiero z okazji jakiejś uroczystości, ale po przebudzeniu byłam tak przygnębiona, że zmieniłam zdanie. Czerpałam przyjemność z faktu, że ta wspaniała tkanina w żywym kolorze jest nowa, tak samo jak z tego, iż potrafię robić cienkie, gęste szwy. Oczywiście było mi smutno, że ubrałam się w nowy strój dla siebie, a nie dla kogoś innego.

Gdy tego popołudnia prałam w strumieniu, często spoglądałam na nasz zimowy obóz i myślałam o długich miesiącach, które nadejdą. Znajdowaliśmy się na osłoniętym terenie, ale nie był tak piękny jak miejsce naszego letniego obozu. W drodze stamtąd mijaliśmy z daleka Susmar Chord. Jak zwykle lękliwie poprosiłam Shaliqą, żeby mi pozwolił choć na kilka godzin pojechać tam konno odwiedzić moją rodzinę, ale odwrócił się i odszedł, kręcąc głową. Gdy tamtej nocy leżałam na posłaniu, zastanawiałam się, czy warto za cenę kolejnego pobicia wymknąć się z namiotu, wsiąść na konia i pojechać do domu moich rodziców. Nie zrobiłam tego jednak, bo bałam się, że gdy tylko mój mąż się zorientuje, iż nie ma mnie w namiocie, pojedzie za mną do Susmar Chord i być może w jakiś sposób dowie się o ciąży na

mnie przekleństwie. Leżałam więc w ciemności i słuchałam jego głośnego chrapania.

Kończyłam już pranie, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Położyłam mokry szal na kamieniu i stanęłam, rozglądając się niespokojnie. Spozregłam biegnącą do mnie Faizę.

- Daryo! Och, Daryo! - zawodziła.

Ruszyłam jej na spotkanie. W dziennym świetle widziałam, jak bardzo jest chora. Przyciskała do piersi obie dłonie i ciężko dyszała, powtarzając w kółko moje imię.

- Faizo?! O co chodzi?! Czy stało się coś któremuś z twoich dzieci?! - spytałam przestraszona.

Nie mogła złapać tchu. Kazałam jej usiąść, ale pokręciła głową i chwyciła mnie za rękę.

- Qul... Qul jest już w domu... Wrócił... Mówi...

- Faizo, przestraszyłaś mnie - powiedziałam, nie czekając, aż dokończy zdanie. - Co mu się stało?

Znowu pokręciła głową i głębiej zaczerpnęła powietrza.

- Nie chodzi o niego, Daryo - powiedziała w końcu, gdy odzyskała oddech. - Wyruszył do domu przed innymi i przez całą drogę jechał galopem... żeby zdążyć przed Shaliqiem. Byli w herbaciarni w Sala i tam Shaliq dowiedział się... Qul powiedział mi, że siedzieli tam jacyś Tadżycy, którzy mówili... - Spoglądała na mnie ze łzami w oczach, z bólu czy z jakiegoś innego powodu. - Daryo, czy to prawda? Czy to prawda, co usłyszał Qul? Co usłyszał Shaliq? O tobie?

Oblizalam wargi i przełknęłam ślinę.

- Co usłyszeli? - spytałam rzeczowo.

- Że ciąży na tobie klątwa poganki, Daryo. Że twój ojciec cię sprzedał, wiedząc, że jesteś bezpłodna.

Wpatrywała się we mnie swymi piwnymi oczami. Chciała, żebym zaprzeczyła i powiedziała coś innego.

- To prawda - potwierdziłam i odwróciłam wzrok w stronę strumienia. - Przeklęła mnie Kafirka.

- Ależ Daryo, jeśli wiedziałaś, że nie możesz urodzić dziecka... Wszystkie te środki, które stosowałyśmy, cały ten czas...

Spojrzałam na nią.

- Chciałam wierzyć, że przekleństwo zostanie ze mnie zdjęte dzięki moim modlitwom i wierze w Allaha. Z pewnością to rozumiesz, Faizo.

Zerknęła przez ramię i spojrzała mi w oczy.

- Qul mówi... mówi... Daryo, nie mogę powtórzyć tych słów.

Nie odrywałam od niej wzroku.

- Za jakiś czas wróci Shaliq. Powiedział wszystkim, że będzie cię... bił, dopóki nie... zabije, bo jesteś niegodziwa i kłamałaś, wymawiając imię Boga, nie jesteś godna, by być jego żoną. Uważa, że musisz ponieść za to karę. Jest twoim mężem i nikt, z wyjątkiem Kaleda, nie może go powstrzymać. Twój teść jako wódz plemienia uchroni cię od... Nie dopuści... - Znowu się obejrzała. - Ale kto wie, kiedy Kaled wróci do obozu? Daryo, słyszysz tętent? Czyżby Shaliq już przyjechał? Może tylko się przechwalał? Nie zrobi tego, co zapowiadał, prawda?

- Ależ zrobi - powiedziałam.

- Och, Daryo, co my poczniemy? Jak mogę ci pomóc? Spojrzałam na stojące w kręgu namioty i płonące ogniska.

Dochodziły stamtąd krzyki i śmiech dzieci, głosy nawołujących się kobiet, beczenie kóz i owiec, porykiwanie wielbłądów. Faiza załamywała z rozpaczy ręce i płakała. Zastanawiałam się, czy mam czas, żeby pobiec do zagrody i wsiąść na konia, ale wstrząsnął mną męski krzyk. Czyżby rzeczywiście mój mąż już wrócił? Nie miałam ani chwili do stracenia. Wiedziałam, co muszę zrobić. Ucisnęłam mocno Faizę.

- Daryo? Co zrobisz? - spytała.

- Do widzenia, Faizo - powiedziałam tylko, odsuwając ją i spoglądając w jej pełne łez oczy.

- Ale... dokąd ty idziesz?

- Nie wiem. Po prostu nie mogę tu zostać.

- Daryo, musisz. Taka była wola Allaha, żeby Shaliq pojął cię za żonę. I teraz Allah cię przed nim ochroni.

Chciała mnie pocieszyć, ale co mogłam jej powiedzieć? Jeszcze raz ją objęłam.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. - Ucałowałam ją w oba policzki. - Bądź zdrowa. Będę o tobie myślała.

Przebiegłam przez płytki strumień na drugą stronę do lasu. Z wysokiej trawy na brzegu rzeki poderwało się stado zaniepokojonych gawronów i zaczęło nade mną krążyć, kracząc nieprzyjemnie.

Uciekałam od domu i rodziny, którą los mi zesłał przed prawie czterema laty. Zabierałam tylko to, co miałam na sobie. Przemoczyłam w strumieniu czapli. Chusta zsunęła mi się na szyję, ale dzięki temu lepiej widziałam, a musiałam dobrze widzieć leśne poszycie, żeby nie potykać się o wystające z ziemi kamienie i szukać schronienia w największej gęstwinie, przez którą nie mógł się przedrzeć koń i w której nie pozostawiałam śladów stóp. Nie oglądałam się za siebie. Jeśli wolał Allaha było, żeby Shaliq poznał prawdę o ciężącym na mnie przekleństwie, to moją wolą było zachować życie.

Biegłam co sił w nogach przez las na wschód, dopóki nie zabrakło mi tchu. Zatrzymałam się i pochyliłam, opierając dłonie na kolanach. Gdy tylko wrócił mi oddech, znowu pobiegłam, przyciskając dłoń do boku, w którym czułam ból. Raz, gdy się zatrzymałam, żeby zaczerpnąć tchu i móc biec dalej, usłyszałam gdzieś w lesie stłumione rzenie koni i gniewny krzyk. Skuliłam się w kępie jeżyn, nie zważając na to, że ostre kolce rozrywają mi ubranie i ranią ciało. Chciałam, żeby ci jeźdźcy pojechali w innym kierunku. Wyobrażałam sobie, że skręcają i oddalają się od mojej kryjówki. I rzeczywiście, jakby na moje życzenie odgłosy zaczęły słabnąć i po chwili ucichły. Trwałam bez ruchu, dopóki mogłam, po czym ostrożnie ruszyłam w dalszą drogę, sprawdzwszy najpierw, czy na jeżynach nie pozostały strzępy mojego ubrania, które stanowiłyby znak, że tędy przechodziłam.

Niebo nad lasem pociemniało. Przynajmniej przez jedną noc mogłam czuć się bezpiecznie, bo wiedziałam, że Shaliq nie będzie mnie szukał po ciemku. Siedziałam oparta o gruby pień drzewa. Tu, daleko na południu kraju, lato jeszcze nie całkiem minęło i dni były ciepłe, ale noce już zimne. Dzięki temu nie zasnęłam. Wokół słyszałam odgłosy leśnego życia: krzyk pikującego w poszukiwaniu zdobyczy nocnego ptaka, szelest ściółki poruszanej przez małe nocne zwierzątka i posapywanie jakiegoś dużego stworzenia, stąpającego w mroku pewnym krokiem; bez wątplenia wyczuwało mój zapach, ale najwyraźniej nie było głodne. Gdy tak siedziałam samotna i przestraszona, spadł drobny deszczyk, nie na tyle jednak obfity, żeby

napełnić wodą moje złożone dłonie. Zrosił wszystko dokoła i w nos uderzył mnie zapach butwiejących liści, rozmięklej ziemi, mchu i pleśni: zastarzały, a mimo to przyjemny zapach rozkładu. Szum kropli uderzających o liście działał na moją skołataną duszę jak balsam, a ich rytm koił nerwy, uspokajając oszalałe bicie serca. Pomyślałam o mojej rodzinnej wiosce i o tym, jak siadywałam na dachu domu w łagodnym jesiennym deszczu, wiedząc, do jakiego świata należę.

Jak to się stało, że przycupnięta w jeżynach nie modliłam się do Allaha o ochronę? To pytanie nie dawało mi spokoju, podobnie jak ciężące nade mną przekleństwo i gniew Shaliq'a. Gdy tak siedziałam w mroku nocy, przyszło mi do głowy inne pytanie, ale uznałam je za niedorzeczne i potraktowałam jako skutek strachu, zimna i głodu: czy przypadkiem nad Shaliq'em również nie ciąży jakieś przekleństwo? Może z powodu okrutnej natury mojego męża Allah nie uznał za stosowne obdarzyć go potomstwem? Byłam trzecią żoną Shaliq'a. Wydawało się dziwne, że żadna z nas nie urodziła mu dziecka.

Czy mogło być tak, że ciężące na mnie przekleństwo utraciło już moc, ale to, które ktoś rzucił na mojego męża, uniemożliwiało mi poczęcie dziecka? Daryo, za dużo myślisz, powiedziałam do siebie bezgłośnie. Czyż nie potępiał mnie za to ojciec, a następnie mąż? Odepchnęłam od siebie to pytanie i zamknęłam oczy.

Gdy tylko zaczęło świtać, wstałam. Byłam cała zeszywniała. Otrząsnęłam komis z małych śliniaczków, które jakimś cudem na niej się znalazły. Kolce jeżyn i gałęzie krzewów, wśród których się przeciskałam, podrapały mi twarz i ręce. Miejsca po razach wymierzonych mi przez Shaliq'a wciąż były obolałe i spuchnięte. Pędząc na złamanie karku w cienkich czapli, poobijałam sobie i pokaleczyłam podeszwy stóp o ostre kamyki i sękate korzenie. Co pewien czas spoglądałam w górę, zmierzając w kierunku przeciwnym do ruchu słońca. Podążałam na wschód, oddalając się od obozu. Niekiedy znajdowałam wodę deszczową w zwiniętych liściach jakiejś rośliny, ostrożnie zbliżałam do nich usta i wypijałam ją.

Drugiego dnia w południe wydostałam się z lasu w dolinę. Ruszyłam na zbocze wzgórza, starając się kryć za krzewami i skałami, zatrzymując się i padając na ziemię, gdy usłyszałam jakiś hałas, i wstrzymując oddech, aby się upewnić, że nie jest to stukot końskich kopyt i znajome ulubione przekleństwa mojego męża. W końcu wspięłam się na wysoką skałę i rozejrzałam po okolicy. Hen, w

oddali, zobaczyłam połyskującą wstęgę rzeki. Nasz obóz znajdował się przy jednym z jej dopływów. Z przerażeniem stwierdziłam, że nie uszłam daleko pomimo wczorajszego biegu i dzisiejszego wytrwałego marszu. Nie oddaliłam się od obozu wystarczająco daleko, żebym mogła uznać dzielącą mnie od Shaliq'a odległość za bezpieczną.

Jeśli miałam dalej iść, musiałam jeść i pić. W nocy zastanawiałam się, czy nie udać się do Susmar Chord, ale w świetle poranka przywołałam w pamięci twarz ojca i jego skierowane do mnie słowa. Nie mogłam wrócić do rodzinnego domu. Shaliq pojedzie szukać mnie tam i być może odebrać ojcu konie, którymi Kaled mu za mnie zapłacił, albo w jakiś sposób zastraszy moją rodzinę. Gdybym się tam zjawiała, nawet teraz, po niemal czterech latach od ślubu, ściągnęłabym na rodziców kłopoty, a przecież ojciec nie pozwolił mi wrócić do domu pod żadnym pozorem.

Teraz, gdy stałam na skale i obracałam się na cztery strony świata, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, w którą mam iść. Może powinnam zmierzać w przeciwnym niż dotychczas kierunku? Ale czy ktoś może się zgubić, jeśli nie wie, dokąd idzie?

Odetchnęłam głęboko i usiadłam, wyczerpana i nagle przytłoczona poczuciem beznadziejności mojej sytuacji. Nieoczekiwanie pomyślałam o Sulimie. Zawsze zakładałam, że tego straszego dnia, kiedy od nas uciekła, wróciła do swojego rodzinnego domu. Ale jeśli, tak jak ja, nie była tam mile widziana i w ogóle w rodzinnej wiosce, to co się z nią stało? Dokąd poszła? Czy wędrowała po świecie, tak jak ja teraz, nie mogąc wrócić ani do domu męża, ani do domu ojca? Co naprawdę się z nią stało?

Położyłam się na wznak na nagrzaną przez słońce skalę i oparłam głowę na rękę. Nagle wstąpiła we mnie nadzieja, że Sulima została życzliwie przyjęta w Wamed i wyszła za mąż za młodzieńca, za którym szalała i który szalał za nią. Przyjeżdżał z tak daleka, żeby kochać się z nią w polu, a w końcu zaryzykował spotkanie w moim domu rodzinnym, co zmieniło życie nas wszystkich. Miałam nadzieję, że teraz Kafirka szczęśliwie wychowuje swoje brudne, niegrzeczne dzieci. Nagle zapłakałam nad nią i nad sobą, a także nad babcią, wyobrażając sobie, jak patrzy na znikającego w tłumie ukochanego, za którym nie mogła nadążyć, przepadającego bez wieści wraz z ich dziećmi, skazana na życie bez nich do śmierci.

- Madar - e kalani - krzyknęłam, pogrążona w wielkim smutku z powodu losu, jaki spotkał nas wszystkie trzy, bo życie każdej zostało naznaczone bolesną stratą, a nasza miłość nie mogła się spełnić. Moja nie została nawet jeszcze rozbudzona.

Płacząc, zasnęłam. Gdy się obudziłam, słońce przesunęło się już znacznie na niebie. Ruszyłam w dalszą drogę. Nie wiedziałam, dokąd idę, myślałam tylko o tym, że nie mogę dać się złapać. Zastanawiałam się nad tą chwilą słabości, której doświadczyłam przed zaśnięciem, kiedy płakałam z powodu czegoś tak ulotnego jak miłość. Chcąc zachować życie, musiałam wykrzesać z siebie całą siłę, jaką w sobie miałam.

Napotkałam kępę dziko rosnącej lukrecji. Wyrwałam ją i zjadłam jej korzenie. Były stare i twarde, ale dawały się przeżuwać. Znalazłam długi gruby kij, którym się podpierałam, idąc pod górę. Szłam aż do zachodu słońca. Gdy zapadł mrok, usiadłam przed krzewami agrestu, których rosło tu wiele. Brakowało mi krzemienia, żeby rozpaść ognisko. Nie chodziło tylko o to, że było mi zimno. Idąc tu, spostrzegłam odchody wilków i szakali. Nie wiedziałam, czy będę miała tyle szczęścia co poprzedniej nocy. Podciągnęłam kolana pod brodę, objęłam je rękami i zaczęłam się kołysać w tył i w przód. Czułam jakiś dziwny, doskonały spokój. Może z powodu głodu i pragnienia? Miałam zawroty głowy, a równocześnie jasny umysł. Z pewnością jutro dotrę bliżej ludzkich siedzib. Na wąskiej ścieżce zauważyłam także odchody osła. Znaczyło to, że ktoś tędy przechodził. Objęłam się rękami. Gdy spróbowałam usadowić się wygodniej, za krzakiem agrestu rozległ się lekki szelest. Usiadłam sztywno i po chwili hałas ucichł. Nie wiem, czy w ciągu tej nocy spałam, czy tylko na chwilę traciłam z wyczerpania świadomość.

O świcie ruszyłam w dalszą drogę. Staralam się iść w kierunku przeciwnym do ruchu słońca po niebie, a gdy znalazło się nad moją głową, nieznacznie skręciłam na południe. Po drodze napotkałam krzewy obrosnięte pomarszczonymi, kredowobiałymi jagodami, kępy wiotkiego kwaśnego szczawiu i niewielki zagon dzikiego, zdrewniałego rabarbaru. Zjadłam, ile byłam w stanie, białych jagód, niesmacznego szczawiu i rabarbaru. Przed zapadnięciem zmroku spostrzegłam wysoko na grzbiecie wzgórza otwór w skale, który wyglądał na wejście do malej groty. Zaczęłam się wspinać wolno po łagodnym zboczu, ale pośliznęłam się na żwirze i omal nie upadłam,

skręcając sobie nogę w kostce. Poczułam ostry ból. Zacisnęłam zęby, zła na własną niezdarność. Kuśtykając ostrożnie, doszłam do groty, zajrzałam do niej i pociągnęłam nosem. Nie poczułam żadnego zapachu i nie spostrzegłam żadnych śladów w miękkiej ziemi przy wejściu, choć widniały tam drobne, nierówne smugi. Zdjęłam potężną pajęczynę zasłaniającą u góry otwór i weszłam. Natychmiast rozległ się jakiś szmer i poczułam coś na sandałach. Zobaczyłam krążące tam setki zaniepokojonych szcurów, krzyknęłam z obrzydzenia i błyskawicznie wyskoczyłam z groty. Przed chwilą wstąpiła we mnie nadzieja, że spędzę tę noc w suchym, bezpiecznym miejscu, a teraz przeżywałam wielkie rozczarowanie. Nie mogłam czuwać przez trzecią noc z rzędu. Potykałam się już z głodu i wyczerpania. Ruszyłam dalej, niewiele widząc w mroku, czując pulsujący ból w kostce. W końcu zatrzymałam się przed wyłaniającymi się z mroku skałami. Na ziemi leżało mnóstwo kamyków. Wyrwałam z ziemi pęk łodyg rosnącej tam kolczastej wyki mlecznej i pozamiatałam nimi kamyki z miejsca, które wybrałam sobie do spania. Z tych kamyków, które łatwo mieściły się w mojej dłoni, usypałam stos u wezglowia. Położyłam się, jedną rękę podkładając sobie pod głowę, a drugą opierając na kamieniach. Na tym skalistym terenie, oddalonym od lasu i strumienia, zapewne nie było zbyt wielu dzikich zwierząt. Ale gdyby w nocy któreś mnie zaatakowało, mogłam się bronić tylko rzucając w nie kamieniami. Oddychałam głęboko, starając się opanować panikę, która nie opuszczała mnie od chwili, gdy usłyszałam od Faizy tę straszną wiadomość i wyczytałam z wyrazu jej twarzy, że boi się o mnie. Ale teraz byłam w jeszcze większej panice. Spoglądałam w czerń nocy. Nie mogłam zrobić nic więcej.

Rozdział XXI

Coś mnie obudziło po kilku godzinach niespokojnego snu na twardej skalistej ziemi. Zmarzłam i zeszywniałam. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale niebo na wschodzie już się przejaśniało. Do moich uszu docierał jakiś dziwny hałas. Usiadłam. Na rozpościerającej się przede mną równinie panował ożywiony ruch. Nie mogłam uwierzyć, że nie słyszałam stukotu kopyt tylu zdążających tu koni i głosów dosiadających ich mężczyzn. Najwyraźniej byłam tak wyczerpana, że spałam jak zabita.

Od razu zorientowałam się, co widzę: przygotowania do najwspanialszej gry sportowej naśladowującej dawne bitwy. Wiedziały o niej nawet najmłodsze dzieci w Afganistanie. Buzkaszi mogli oglądać tylko mężczyźni. Jak każda kobieta, wiedziałam o niej tyle, ile opowiadali inni. To była krwawa gra. Uczestniczyli w niej najzręczniejsi zawodnicy, dosiadający najlepszych koni. Walczyli ze sobą, posługując się tuszą zabitego w tym celu koźlęcia. Ludzie wyrażali się o niej z czcią. Ukazywała życie Afgańczyków, w którym łączyły się brutalna siła, odwaga, śmiałość, umiejętności jeździeckie i duch ostrej rywalizacji. Często słyszałam, jak ojciec opowiadał o buzkaszi. Wiele razy oglądał ją w czasie swoich zimowych pobytów w Kabulu. Mówił, że gra pochodzi z czasów Dżyngis - chana, kiedy jeźdźcy przybywający z północy napadali na wioski, kradnąc tam w pełnym galopie owce i kozy, a nawet uprowadzając swych wrogów i ich kobiety.

Nie mogłam wymknąć się stąd niepostrzeżenie. Gdybym ruszyła się z tego kamienistego wzniesienia, moja kamis i chustka, choć pokryte kurzem i pobrudzone błotem, rzuciłyby się w oczy z powodu swej wiśniowej barwy jak cząstka melona czy granatu położona na szarym talerzu. Przeklinałam swoją dumę i próżność. Gdybym nie szukała pocieszenia w nowym stroju o tak żywym kolorze i była skromniejsza, gdybym w dniu, w którym dowiedziałam się od Faizy, że Shaliq poznał mój sekret, miała na sobie codzienną brązową kamis, mogłabym teraz wtopić się w otaczające skały i wydostać się stąd. Ale musiałam zostać i być świadkiem tego, czego Afganka widzieć nie powinna. Niestety, tego niezamierzonego oglądania buzkaszi nie mogłabym potraktować jako kradzionej przyjemności.

Mogłam tylko być wdzięczna losowi, że nie wybrałam na nocleg miejsca u podnóża tego skalistego wzniesienia, gdzie zobaczyliby

mnie pierwsi przybyli tam jeźdźcy. Teraz moje życie zależało od tego, czy zostanę dostrzeżona. Gdyby ci mężczyźni mnie tu odkryli, mogliby uznać, że świadomie łamię zakazy, chcąc obejrzeć buzkaszi i niewolniczo podążając za którymś z zawodników. W takim wypadku zostałabym dotkliwie pobita, może nawet do nieprzytomności, i zostawiona na dworze. Wyobraziłam sobie, jak leżę na tej jałowej ziemi, a nade mną krążą sępy, czekając, aż umrę. A może nawet by nie czekały. Nieraz słyszałam o tym, jak te olbrzymie ptaki spadały na żywe jeszcze zwierzę i rozszarpały je, bo było zbyt słabe, żeby się bronić.

Nie dało się też wykluczyć, że któryś z tych mężczyzn słyszał o kobiecie, która uciekła od męża, a może nawet spotkał Shaliq'a czy kogoś z jego ludzi, jak mnie poszukiwali, i rozpozna we mnie uciekinierkę. W takiej sytuacji ci obcy mężczyźni nie tylko by mnie pobili, lecz także odwieźli do męża. Obowiązkiem i honorem dla każdego mężczyzny było przecież wspomóc innego w kłopotach. Wówczas Shaliq pobiłby mnie po raz kolejny, w swoim mniemaniu zupełnie słusznie, tym razem na śmierć! Nie, nie mogłam dać się złapać tym mężczyznom.

Po krótkim czasie słońce wyszło zza gór i zbocza opromieniło łagodne złociste światło. Mężczyźni ukłękli i padli na twarze. Wypowiadane przez nich słowa modlitwy brzmiały coraz donośniej, odbijając się echem od skał. Gdy skończyli i wstali, spostrzegłam wielobarwny, wciąż powiększający się tłum tych, którzy przybyli tu, żeby obejrzeć grę, i niecierpliwili się w oczekiwaniu na jej rozpoczęcie. Po nakryciach głowy rozpoznałam mężczyzn z wielu plemion i wiosek: jedni nosili długi longi, inni zaokrąglone kulahe, a jeszcze inni dzwonowate qharaqhol. Spostrzegłam Pasztunów, Hazarów, Turkmenów, Uzbeków i Tadżyków. Bogaci właściciele koni wyróżniali się swymi jedwabnymi czapanami w szerokie białe paski i kosztownymi butami z miękkiej skóry. Wokół nich tłoczyli się zwykli mężczyźni w swych skromnych znoszonych czapanach. Długie płaszcze przez lata wytarły się i wyblakły od słońca. Ci, którzy przybyli do doliny, żeby obejrzeć buzkaszi, reprezentowali cały przekrój społeczny. Niektórzy kroczyli dumnie wśród niespokojnych rżących koni, trzymany przez chłopców stajennych za cugle. Chłopcy ci marzyli, że pewnego dnia osiągną chwałę, jaką cieszą się ich panowie. Zamiast swych zwykłych ubrań i wystrzępionych

zatłuszczonych turbanów mieli dziś na sobie krótkie, bogato haftowane skórzane kamizelki włożone na długie koszule, tak białe, że aż skrzyły się w słońcu. Na głowy włożyli czapki wykonane z luźno splecionej owczej wełny. Jeszcze nigdy nie widziałam tak ładnie ubranych chłopców.

Przyjrzałam się jednemu z nich, w skupieniu i z nabożną czią spoglądającemu na zawodnika rzucającego na niego cień. Mężczyzna miał na sobie ciemnozieloną pikowaną kurtkę, narzuconą na czapan w paski, który poranny wietrzyk poruszał wokół jego nóg, i szalwar - luźne czarne pikowane spodnie, wpuszczone w skórzane buty do kolan. Buty były wytłaczane w zawyły wzór i wyposażone w twarde podeszwy oraz wysokie ścięte obcasy, służące do zaczepiania o strzemiona. Na głowie miał kuloh - okrągłą czapkę z karakułowym denkiem i szerokim otokiem z wilczego futra. Zdobycie prawa do noszenia takiej czapki było dla zawodnika najwyższym zaszczytem, gdyż było dowodem odwagi i talentu. Pod opuszczonym otokiem czapki twarz mężczyzny nie była dobrze widoczna, ale najprawdopodobniej był to Turkmen lub Uzbek pochodzący z pomocy kraju. Miał szerokie kości policzkowe i wąskie oczy. Powiedział coś do chłopca, a ten skinął głową. Zacisnął pas na kurtce i ruszył trochę niezdarnym z powodu wysokich obcasów krokiem do grupki mężczyzn ubranych w podobne stroje. Część z nich miała na sobie, tak jak on, kurtki w kolorze zielonym, a inni - w brązowym. To byli zawodnicy tworzący dwie drużyny.

Gdy w tłumie rozległ się ryk, zawodnicy rozdzielili się na dwie grupy i ruszyli przed siebie tak spokojnie, jakby każdy szedł na spotkanie ze starym przyjacielem. Z daleka nie widziałam ich twarzy i tych szczególnych zdobiących je honorowych blizn po ranach odniesionych w kolejnych zawodach. Widziałam natomiast ich ręce. Każdy miał zatknięty za pas ghurt - bicz z ołowianą końcówką, zdolną okrutnie zranić - ale prawdziwymi narzędziami walki, którymi się posługiwali w grze, były ich ręce, bo musieli chwycić koźlę i odebrać je innemu zawodnikowi. Reguły tej gry nigdy nie były dla mnie jasne: wyścig na pewną odległość, zdobycie koźlęcia i umieszczenie go na końcu pola gry. Ale słyszałam dużo o czapandozach - zawodnikach uczestniczących w buzkaszi. Mój ojciec mówił o nich z najwyższym podziwem, a kobiety z plemienia Ghilzai często dyskretnie rozmawiały o tych bohaterach, spoglądając wtedy

tęsknie i dziwnie łagodniejąc. Miałam wrażenie, że niezniszczalne pragnienia pobudzają je zmysłowo. A były to kobiety starsze ode mnie, zamężne znacznie dłużej niż ja i obarczone licznymi dziećmi. Do dziś nie widziałam czapandoza, ale z pewnością kobiety, które marzyły o tych bohaterach, musiały dostrzegać w nich pod wspaniałymi strojami normalnych mężczyzn. Doskonale zdawały sobie sprawę, że torsów czapandozów, choć zapewne szerszych i lepiej umięśnionych niż u większości mężczyzn, nie pokrywa złoty pył, że włosy tych bohaterów ukryte pod czapkami nie są mniej szorstkie niż u innych, że stopy, choć obute we wspaniałe buty, pocą się im tak samo jak innym i że dosiadający wspaniałych ogierów mężczyźni niekoniecznie są niezwykle męscy.

Zapadła cisza. Na pole gry przywleczono ciało małego kozła - boza - z obciętą głową i nogami odrąbanymi w kolanach.

Było mokre i wydawało się bardzo ciężkie, wypełnione błotem lub piaskiem i namoczone w wodzie. Dwóch mężczyzn zaciągnęło je do płytkiego dołu. Nie wiedziałam, czy gra potrwa godzinę, czy wiele godzin. Z podniecenia i strachu serce biło mi jak oszalałe. Wydawało mi się, że zaraz wszyscy odwrócą się, spojrzą w górę i mnie odkryją. Bałam się o swoje bezpieczeństwo, a równocześnie w jakiś niewytłumaczalny sposób ekscytował mnie widok koni i mężczyzn, i zawody, które mieli rozegrać.

Istnieje opinia, że bez trupa dumnego czapandoza na końcu gry nie jest ona prawdziwą buzkaszi. Po walce musiały pozostać co najmniej połamane kości, rozbite nosy i rany. Gdy zawodnicy czekali, aż im przyprowadzą konie, tłum szalał coraz bardziej. Chłopcy stajenni mocno trzymali w rękach cugle wspaniałych zwierząt o błyszczącej sierści, których przednie nogi były owinięte wełną. Ogiery czapandozów tańczyły na tylnych nogach i drżały, przygotowywane do udziału w tej grze od źrebięcia. Gniadosze, kasztany, siwki i kare, wszystkie o żelaznych mięśniach pod jedwabistą sierścią, były zachwycające ze swymi długimi, starannie uczesanymi grzywami, miękkimi jak włosy kobiet. Ich szerokie kłęby, muskularne zady i dumnie uniesione szyje świadczyły o wielkiej sile. Podobno gdy przychodziły na świat, nie dopuszczano, by któryś upadł na ziemię i się pobrudził. Wieczorem karmiono je jęczmieniem i owsem, a w ciągu dnia masłem i jajkami. Były traktowane jak ukochane rozpieszczane dzieci, dopóki nie nadszedł czas gry. A właśnie

nadszedł. Niebo było niebieskie, a w oddali płynęły po nim ku górom pierzaste obłoki.

Czapandozi dosiedli koni, rozległ się ochryply okrzyk i rozpoczęła się gra. Wszyscy rzucili się do dołu, w walce o koźlę tnąc się nawzajem biczami, i pochwycili ciężkie zwierzę. Z łatwością, jak się wydawało, wymachiwali nim na wszystkie strony, przytrzymując je wielkimi rękami. Zbici w ciasną gromadę, walczyli, używając jako broni swoich ciał, biczów i koni, wrywając sobie zwierzę. Ten, który je w danym momencie przechwycił, usiłował z nim odjechać, ale zaraz ktoś mu je odbierał. Obserwowałam tę grę, zapominając, gdzie jestem, i nie myśląc o niebezpieczeństwie. Czapandozi w sposób wręcz niewiarygodny utrzymywali się w siodłach, walcząc o zdobycie i zatrzymanie ciężkiej tuszy zwierzęcia. Niektórzy rzucali się do przodu, zaczepiając tylko obcasem buta o strzemię, a inni niemal kładli się na boku konia, żeby łatwiej dosięgnąć pożądanego boza. Wciąż nie udawało mi się zobaczyć, kto trzyma ciało koźlęcia, bo jeźdźcy na ogół byli zbici w gromadę, a konie wzbijały kopytami tumany kurzu. Ale po jakimś czasie od grupy oderwał się jeden jeździec, a w tłumie rozległ się aplauz. Czapandoz trzymał w zębach qhuirt. Unosił się w strzemionach, w jednej dłoni ściskając cugle, a w drugiej nogę koźlęcia. Zwierzę obijało się o jego udo, gdy pędził równiną, ścigany przez pozostałych, którzy leżąc na końskich karkach, pędzili w zbitej masie jak rój szerszeni i wyciągali ręce, by pochwycić umykającego czapandoza.

Nagły powiew wiatru przyniósł do mojej kryjówki odór potu i krwi. Leżałam na wzniesieniu przyklejona do kamiennej ściany i cała się trzęsłam. Te zapachy przywodziły mi na myśl ręce mojego męża, których siłę poznałam na własnej skórze. Często słyszałam od niego, że za dużo mówię, ale teraz nie znajdowałam właściwych słów, by opisać to, co widzę. Miałam przed oczami zaciętą, srogą i pełną cichej determinacji walkę, która poruszyła we mnie jakąś ukrytą strunę. Doświadczałam podobnych wrażeń jak wtedy, gdy oglądałam w moim obozie taniec mężczyzn. W tej brutalnej walce dostrzegałam jakieś osobliwe piękno.

Jak długo już czapandozi wydzierali sobie z rąk koźlę? Nie miałam pojęcia. Nagle koń któregoś z jeźdźców potknął się i upadł. Próbował się podnieść i z wysiłkiem dźwigał szyję. Zerwałam się na równe nogi, pragnąc, aby to wspaniałe zwierzę wstało i nie dostało się

pod kopyta innych koni. Ale tylko zarżało przeraźliwie, a jego przednie nogi wygięły się do tyłu. Były złamane. Przygnieciony przez konia jeździec wy dostał się spod niego, wymachując rękami i krzycząc ze złości na widok oddalających się od niego z hukiem zawodników. Wówczas podjechał do niego mężczyzna w pięknym jedwabnym czapanie, z pewnością właściciel konia, i jednym szybkim ruchem noża poderżnął zwierzęciu gardło. Koń, który rozpaczliwie darł kopytami tylnych nóg ziemię, zastygł w bezruchu, z otwartym pyskiem i wysuniętym językiem. Po chwili jego piękna głowa opadła w kałużę krwi. Podbiegli trzej mężczyźni i odciągnęli go na bok, gdzie odtąd leżał samotnie w kurzu, pozbawiony całej swej wspaniałości.

Czapandozi i ich konie oddalili się tak bardzo od miejsca, w którym byłam, że wydawali się mniejsi. Mężczyźni w tłumie przestępowali z nogi na nogę i wykrzykiwali, którego zawodnika obstawiają, rozmieniając pieniądze i kupując herbatę od przekupniów. Usiadłam w kucki. Zapanowała dziwna cisza. Mężczyźni trwali na swoich miejscach, spoglądając w ślad za czapandozami, których nie było już widać. Przesunęłam się w swojej ciasnej kamiennej niszy, ale zanim zdążyłam usiąść wygodniej, spostrzegłam wdrapującego się na wzniesienie małego stajennego, który z każdą chwilą był bliżej mnie. Wstrzymałam oddech. Chłopiec skupił całą uwagę na wspinaczkę i patrzył na swoje ręce i bose stopy. Po chwili wgramolił się na jeden z najszerzych głazów, zaledwie kilka kroków od mojej kryjówki. Odwrócony do mnie plecami, spoglądał w napięciu w dal. Nagle wrzasnął coś w języku, który nie był ani dari, ani paszto. Bez trudu mogłam się domyślić, że wszyscy na niego patrzą. Nie poruszyłam się i utkwiałam wzrok w ziemi, jak małe dziecko, które zakrywa oczy, uważając, że skoro ono nie widzi, to samo też nie jest widziane. Namacałam kamienie, które zebrałam wczoraj wieczorem, i spojrziałam na stajennego, zaciskając dłoń na jednym z nich. Czy gdy chłopiec odwróci się w moją stronę, mam celować w jego głowę? - zastanawiałam się. Nie miałam wyboru. Czas mijał i słońce świeciło prosto na mnie. Cienie na wzgórzach przesunęły się, ale tłum tkwił nieruchomo i czekał. Pot lał mi się po plecach. Było mi trudno oddychać płytko i cicho. Bałam się, że zadławię się śliną, rozkaszę i zdradzę swoją obecność. Z wysiłku, żeby się nie poruszyć, drżały mi uda. Mogłam tak wytrzymać już bardzo krótko. Nagle stajenny podskoczył, wskazał coś palcem i krzyknął. Spojrzałam tam, ale

zobaczyłam tylko orła o białej piersi krążącego nisko nad pustą doliną. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że chłopiec wskazuje na chmurę żółtego kurzu kłębiącego się w oddali. To powracali czapandozi. Na ich widok stajenny zsunął się ze stoku i dołączył do tłumu, nie oglądając się za siebie. Upadłam na kolana i otarłam rękawem pot z twarzy.

Przed powracającymi z hukiem zawodnikami galopował, jak się wydawało, koń bez jeźdźca. Gdy gwałtownie skręcił, spostrzegłam, że wlecze po ziemi martwego czapandoza, którego wysoki obcas buta zaczepił o strzemień. Niebawem inni zawodnicy dogonili konia i zaczęli go wyprzedzać, a jedno ze zwierząt uderzyło martwego czapandoza kopytem w twarz. Wówczas mężczyzna w wysokim białym turbanie podjechał do tego konia na małej klaczy, chwycił go za cugle i zatrzymał. Następnie zsiadł, delikatnie wyjął stopę czapandoza ze strzemienia, ukląkł obok martwego mężczyzny i zakrył mu twarz swoim czapanem. Zginął jeden czapandoz i jeden koń.

Czy czuli ból podczas walki, czy też dopiero po jej zakończeniu dawał im się we znaki w całym swym natężeniu? A może byli do niego tak przyzwyczajeni, że witali go jak starego sprzymierzeńca i znosili bez żadnych oznak cierpienia? Dobrze znałam reakcje własnego ciała na wymierzane mi przez męża razy. W przeciwieństwie do większości kobiet od jakiegoś czasu nie czułam już bólu i podziękowałam za to Allahowi, modląc się do niego po roku przerwy.

Rozdział XXII

Widziałam, jak zginął koń, a następnie jeździec, i myślałam o własnej śmierci, która mogła z różnych powodów nastąpić jeszcze dziś lub w najbliższych dniach.

W dole zawodnicy na koniach tłoczyli się i popychali, znalazłszy się ponownie w pobliżu miejsca startu, gdzie wkrótce gra powinna się była zakończyć. Wierzchowce, po wielu godzinach galopowania i wymuszonego przez jeźdźców walczących w strasznym ścisku i zgiełku ciągłego skręcania w różnych kierunkach, były mokre od potu i toczyły pianę. Miały rozszerzone chrapy i otwartymi pyskami łapały powietrze, bo oddychanie utrudniały im wędzidła. Z boków wielu płynęła krew, ale pomimo ran każdy koń wydawał się niezmordowany i całkowicie podporządkowany dążeniu czapandoza do przechwycenia martwego koźlęcia. Wielu jeźdźców przybierało dziwne pozy, jakby mieli zranione ręce lub nogi. Wielu też, podobnie jak konie, krwawiło.

Moją uwagę przyciągnął chłopiec stajenny, który odłączył się od tłumu i pobiegł do miejsca znajdującego się poniżej mojej kryjówki, tam gdzie jeźdźcy zostawili sakwy i skrzynki. Chcąc lepiej widzieć, stanął na skrzynce. Odwinął coś i włożył to do ust, po czym zaczął żyć, szybko poruszając szczękami. Czy to był chleb? Na myśl, że odgryzam miękki, gruby kawałek chleba, ślina napłynęła mi do ust. Następnie chłopiec sięgnął do sakwy w kolorowe pasy, opartej o skrzynkę, wyjął z niej mały skórzany bukłak, zbliżył go do ust i przechylił głowę do tyłu. Zobaczyłam błysk wody i ruch przetyku chłopca. Otworzyłam usta. Teraz to, co działo się na dole, widziałam jak przez mgłę. Z trudem przełknęłam ślinę i dotknęłam warg językiem. Były suche, spękane i spuchnięte. Po raz ostatni piłam wodę wczoraj po południu, kiedy natknęłam się na deszczówkę, zebraną w osłoniętym od słońca skalnym zagłębieniu. Wychleptałam ją łapczywie jak zwierzę. Od dwóch, a właściwie już od trzech dni nic nie jadłam, jeśli nie liczyć niesmacznych korzeni i wyschniętych jagód.

Czy powinnam zaryzykować, że zostanę odkryta, odczekać chwilę, gdy oczy wszystkich będą zwrócone na pole gry, ostrożnie zejść na dół, stanąć w cieniu i poprosić tego chłopca o wodę i chleb? Czy może on potraktować kobietę mniej surowo niż dorosły mężczyzna, bo jest na tyle młody, żeby jeszcze pamiętać matczyne

ciepło? A jeśli natychmiast podniesie krzyk, bo tak został nauczony, to czego mogę się spodziewać? Czy odważę się zaryzykować?

Czekałam i patrzyłam, jednak już straciłam zainteresowanie grą, która, jak mi się wydawało, ciągnęła się w nieskończoność. Ale tłum najwyraźniej czuł, że zbliża się moment czyjegoś ostatecznego triumfu, bo mężczyźni popychali się i krzyczeli, jakby wstąpił w nich nowy entuzjizm. Biegli za zawodnikami, oddalając się coraz bardziej od wzgórz w kierunku pola gry. Chłopiec stajenny schował chleb i wodę do sakwy i zniknął w tłumie.

To mogła być moja jedyna szansa przetrwania, gdybym ześliznęła się teraz ze wzgórza i wzięła z którejś sakwy jedzenie i picie, umożliwiające mi dalszą wędrówkę. Oczywiście mogłam też wykorzystać ten moment nieuwagi mężczyzn, kiedy wszyscy byli odwróceny od wzgórza, i uciec stąd, pokuśtykać w przeciwną stronę. Mogłam ponadto poczekać w ukryciu, aż wszyscy odjadą, ale głodna i spragniona nie miałabym siły iść dalej.

Lepiej być złapaną i odesłaną do Shaliqą, niż umrzeć tu w samotności, przekonywałam siebie. Wolę szybko zginąć z jego rąk, stawiając mu opór resztką energii, zamiast konać przez kilka dni w męczarniach z głodu i pragnienia czy zostać rozszarpana przez dzikie zwierzęta.

Wzięłam głęboki oddech, owinęłam głowę chustką, zostawiając tylko otwór na oczy, i przekradłam się ze skalistego wzgórza na dół, starając się nie zwracać uwagi na ból w kostce. Wczołgałam się między skrzynki stojące jedne na drugich i uklęknęłam przy dużej sakwie. Włożyłam rękę do środka i wymacałam mały bukłak z wodą. Wyjęłam go, chwyciłam zębami za sznurek przy otworze i szukałam dalej. Wymacałam chleb i jakieś twarde zawiniątko, z pewnością ser. Zerknęłam na pole walki, upewniając się, że oszalałego tłumu nie obchodzi nic poza walczącymi czapandozami, których teraz otaczał ciasnym kręgiem. Klęcząc, starałam się zatknąć chleb oraz ser za pas pantalonów, bo aby się wspiąć z powrotem do mojej kryjówki, musiałam podpierać się obiema rękami. Tłum zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. Przez tę jedną chwilę miałam poczucie triumfu, bo zatknęłam już chleb i ser za pas i trzymałam w zębach sznurek od bukłaka. Wiedziałam, że przez jakiś czas nikt nie spojrzy w tę stronę. Potrzebowałam tylko kilku minut, żeby znowu poczuć się bezpiecznie w swojej kryjówce na wzniesieniu, mając co jeść i pić. Ale właśnie w

tym momencie dostrzegłam na linii wzroku wysoki but z doskonałej skóry, który pojawił się jakby znikąd, pewnie postawiony tam przez dzinna, bo jaki mógłby być inny powód tak nieoczekiwanej zmiany mojej sytuacji?

Zastygłam w napięciu, nadal trzymając w zębach sznurek bukłaka, przygotowana na to, że zostanę szarpnięta za kamis lub kopnięta w plecy. Przez wąską szparę na oczy zobaczyłam u dołu czapan w szerokie czarne i szare pasy, przedzielone wąskim czerwonym - typowy dla dobrze ubranego mężczyzny. Nieznajomy przestąpił z nogi na nogę i wówczas pod rozchylnym czapanem dostrzegłam szalwar. Z tłumu docierał do moich uszu ogłuszający krzyk, ale wydawał mi się dziwnie stłumiony, tak łomotało mi serce.

- Halal! Halal! - słyszałam nieustannie.

Gra się skończyła. Boz został wrzucony do wyznaczonego kręgu, kręgu sprawiedliwości. Nadeszła chwila triumfu jednego z czapanozów. Właśnie ogłoszono zwycięzcę. Usłyszałam śpiewaną drżącymi głosami pieśń radości.

Wzięłam głęboki oddech, starając się rozjaśnić umysł, by poradzić sobie z tym, co miało nastąpić. Do moich nozdrzy dotarł odór potu i krwi. Poczułam niemal fizyczny strach. Opuściłam ramiona i wstałam. Nie zamierzałam kulić się u stóp mężczyzny, czekając na wymierzenie kary. Zostałam schwytana. Postanowiłam spojrzeć mu w twarz, tak jak patrzyłam mojemu ojcu i mężowi. Spojrzałam i upuściłam bukłak na ziemię.

Nieznajomy skierował wzrok na bukłak, a następnie na mnie i przemówił w paszto, ale władał tym językiem tak słabo, że nic nie zrozumiałam. Gdy nie zareagowałam, przemówił ponownie.

- Lar szo. Tasztedel - usłyszałam i tym razem zrozumiałam, ale on, jakby niepewny tego, powtórzył te słowa głośniej: - Idź! Uciekaj!

Zamrugalam oczami i wdrapałam się na skały, nie oglądając się za siebie. Ukryłam się za pierwszymi głazami. Serce mi łomotało, mięśnie dygotały z wysiłku, usta miałam nieprzyjemnie suche, w pasie uwierał chleb i ser, a noga w kostce bolała. Skulona, słuchałam, jak tłum czi okrzykami zakończył gry. Czekałam, aż przestanę się trząść i wróci mi normalny oddech.

Opuściłam chustkę na ramiona i wyjęłam zza pasa chleb i ser, ale nie mogłam zacząć ich jeść, dopóki nie napłynęła mi do ust ślina. Pochłonęłam jedzenie, połykając kolejne kęsy tak szybko, że omal się

nie udławiłam. Potem zaczęłam się wsłuchiwać w hałasy dochodzące z drugiej strony wzgórza. Słyszałam wysokie głosy chłopców stajennych, niskie mężczyzn, rozmawiających w wielu dialektach, okrzyki przekupniów usiłujących jeszcze teraz sprzedać jedzenie i herbatę, a od czasu do czasu do moich uszu docierało także rzenie jakiegoś wyczerpanego walką czapandozów konia i odległe porykiwanie wielbłąda. Mężczyźni rozjeżdżali się do domów. Któryś z nich przyłapał mnie na kradzieży, ale pozwolił mi uciec. To nie miał być dzień mojej śmierci.

Było nadspodziewanie ciepło. Poczektałam, aż hałasy ucichną, i wreszcie odważyłam się wyjrzeć zza głązu. Mężczyźni prowadzili konie i wielbłądy. Nie odeszli jeszcze daleko. Na końcu podążał ten, który puścił mnie wolno. Znajdował się tak blisko, że widziałam pasy na jego czapanie. Szedł obok niższego od siebie mężczyzny. Obaj prowadzili konie i rozmawiali. Wymachiwał rękami, jakby był czymś podekscytowany. Odległość między nimi a resztą mężczyzn rosła.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Dzięki temu, że coś zjadłam, odzyskałam nie tylko siłę, ale i odwagę. Ten mężczyzna najwyraźniej nie chciał mnie skrzywdzić. Gdyby życzył mi źle, nie puściłby mnie wolno. Nie miałam nic do stracenia. Najgorsze, co mógł zrobić, to powtórzyć: „Idź!”.

Zasłoniłam twarz chustą, zesłam ze wzniesienia i pokuśtykałam za tymi dwoma. Byli tak pochłonięci rozmową, że nie słyszeli, jak się do nich zbliżam.

- Sahib, proszę! Czcigodny panie! - zawołałam do wyższego mężczyzny.

Odwrócili się, a wyższy o coś mnie zapytał. Niestety, znowu go nie zrozumiałam. Szybko powiedział do swego towarzysza coś, czego też nie zrozumiałam.

- Kim jesteś? Dlaczego nas wołasz? - spytał ten niższy w języku paszto z obcym akcentem, wysuwając się do przodu.

- Jestem... sama. Potrzebuję pomocy. Proszę - powiedziałam, rozczarowana wyrazem jego twarzy.

Ubrany był w czapan i turban, i miał bardzo ciemną skórę. Należał do rasy podobnej do mojej, ale jego plemię nie pochodziło z tego kraju.

Teraz wysunął się do przodu również ten wyższy.

Spojrzałam mu w oczy, gdy przyłapał mnie na kradzieży jedzenia, ale wtedy nie dostrzegałam w nim człowieka, lecz wroga. Myślałam tylko o swoim losie. Teraz zamrugałam oczami, próbując odgadnąć, kim jest. Czy mógł być Afgańczykiem? Podobnie jak ten niższy, miał na sobie strój noszony przez mężczyzn w moim kraju, ale jego twarz wyglądała na cudzoziemską. Możliwe jednak, że w jego żyłach płynęła także krew pasztuńska, bo wskazywały na to oczy, podłużne i ciemne. Z drugiej strony jako Pasztun mówiłby przecież w języku paszto. Wywnioskowałam więc, że obaj są charedzi - cudzoziemcami, choć różnych narodowości.

- Sahib pyta, dlaczego ty tu. Sama. Daleko od jakiegoś miejsca - odezwał się znowu ten niższy łamanym paszto, porozmawiawszy ze swoim towarzyszem w nieznanym mi języku.

Oblizałam wargi. Nie mogłam im powiedzieć prawdy, że uciekłam od męża. Gdybym się do tego przyznała, musieliby oddać mnie Shaliqowi. Otworzyłam usta, spoglądając to na jednego, to na drugiego. Wyższy trzymał luźno cugle w dłoniach o otartej stwardniałej skórze, ale nie na tyle grubej, żeby trzeba było zeskrobywać ją nożem. Miał długie zgrabne palce, niepowykręcane na skutek zmiżdżenia czy złamania, i ładne paznokcie, jakkolwiek z czarnymi obwódkami i nierówne na końcach. Te dłonie były zanadto stwardniałe i brudne, żeby mogły należeć do bogatego właściciela koni, ale nie tak zniszczone jak u człowieka pracującego fizycznie. Spoglądałam na jego ręce, jakbym mogła znaleźć w nich odpowiedź na pytanie, kim jest.

Gdy niższy mężczyzna odchrząknął zniecierpliwiony moim milczeniem, znowu zamrugałam, ale nadal widziałam jak przez zasłonę kurzu.

- Zgubiłam się... odłączyłam od mojego plemienia... - wychrypiałam, bo zaschło mi w gardle z pragnienia. To wymyślone na poczekaniu kłamstwo wydało mi się wręcz śmieszne. Czy nie mogłam podać bardziej wiarygodnego powodu? - I... i... - Poczułam, że z czoła spływa mi strużka potu. Zamrugałam, gdy znalazła się na powiece i wpadła mi do oka, które zaczęło mnie piec, a wszystko, co oglądałam, stało się jeszcze bardziej zamazane. Otarłam oko wierzchem dłoni i oznajmiłam: - I od kilku dni wędruję. Dlatego się tu znalazłam. Bardzo chce mi się pić.

Niższy mężczyzna szybko przetłumaczył drugiemu moje słowa, a ten skinął głową, sięgnął po tykwę przytroczoną do swojego siodła i coś powiedział.

- Sahib mówi, dajmy wodę. Twoje plemię... Idziesz do niego i... - zaczął łamanym paszto ten niższy.

- Nie! - zaprzeczyłam zbyt głośno, a widząc na jego twarzy zaskoczenie, zorientowałam się, że popełniłam błąd.

- Nie? Nie idziesz plemię? Gdzie idziesz? - spytał. Dokąd oni mogli się udawać? Z pewnością do Kabulu.

- Do Kabulu - odpowiedziałam, spoglądając na ręce wyższego, bo trzymał w nich tykwę. Poza tym nie podobał mi się wyraz twarzy niższego. Wiedziałam, że nie byłby dla mnie tak pobłażliwy jak jego towarzysz. Powtórzyłam: - Tak, do Kabulu. Odnajdę tam mojego brata. On mi pomoże.

- Kabul? Daleko. Nie iść do Kabul - odpowiedział niższy, odwrócił się do wyższego i przetłumaczył mu moje słowa.

Poczułam szum w uszach. Może gdzieś za mną zabzyczały muchy? Może z powodu zbyt silnego słońca? A może dlatego, że umierałam z pragnienia? Słyszałam głosy obu rozmawiających mężczyzn jako jeden niezrozumiały szmer. Otarłam chustką pot z twarzy. Chwiałam się na nogach, tak iż piasek poruszał się pod moimi stopami. W każdej chwili mogłam zemdleć i upaść u stóp tych mężczyzn. I co wtedy? Co by się ze mną stało? Nie mogłam im okazać swej słabości i bezsilności. Zmusiłam się do koncentracji i stania prosto.

- Proszę - wychrypiałam znowu, nie czekając na odpowiedź. - Proszę, pomóżcie mi. Błagam. - Ale czy w ogóle mnie usłyszeli? Otaczała mnie jakaś migotliwa mgiełka.

Upadłam na kolana, z trudem zachowując równowagę. Wyższy mężczyzna podszedł do mnie bliżej.

- Mówisz językiem dari? - zdziwił się.

Wówczas uświadomiłam sobie, że bezwiednie zwróciłam się do nich w swym ojczystym języku.

- Rozumiem ten język - dodał.

W tym momencie zdałam sobie sprawę, że na początku mówił do mnie w języku mojej babci, w którym mi śpiewała i recytowała poezję, w języku perskim, bardzo podobnym do dari, ale jeszcze piękniejszym. Jego głos brzmiał w moich uszach pięknie.

- Możesz iść? Jesteś chora czy tylko słaba? - spytał. Perski płynął z jego ust jak muzyka, która niosła ze sobą moje wspomnienia, tak drogie sercu, że aż bolesne. Czułam się tak, jakbym nagle odzyskała utracony słuch i usłyszała melodie, które uznałam za stracone na zawsze. Łzy napłynęły mi do oczu i wzruszenie ścisnęło mnie za gardło.

- Jak mogę ci pomóc? - spytał.

- Wody... Proszę - szepnęłam w dari, siadając na piętach. - Och, proszę, sahib...

Przykucnął obok mnie i podał mi tykwę. Oświetlało go z tyłu słońce, więc nie mogłam przyjrzeć się jego twarzy. Widziałam tylko zarys longi na jego głowie. Słońce było tak ostre, że turban cudzoziemca wydał mi się ciemniejszy i zobaczyłam przed oczami czarne plamy. Sięgnęłam po tykwę, starając się chwycić ją w palce, ale jak w koszmarnym śnie nie zdażyłam. Naczynie przechyliło się i z otworu chlusnęła woda. Mężczyzna chwycił je w powietrzu i podał mi ponownie, lekko zaciskając palce na moich, żeby nie wypadło mi z ręki. To wszystko było zbyt zagmatwane. Jego perski, to, że mnie dotknął i podtrzymał moją dłoń, gdy podnosiłam tykwę do ust...

Rozkoszowałam się cudownie zimną wodą i piłam ją jak smok, dużymi haustami, nie dbając o to, że wylewa mi się z ust i moczy kamis. W pewnym momencie mężczyzna cofnął rękę i piłam już samodzielnie. Wreszcie opróżniłam tykwę i oddałam mu ją.

Odetchnęłam głęboko. Musiałam wydawać się silna, nawet w brudnym i podartym ubraniu, z rękami podrapanymi przez kolczaste krzewy i otartymi na ostrych skałach.

- Nic mi nie jest. Zasłabłam, bo przeszłam wiele kilometrów, nie mając prawie nic do jedzenia i picia - powiedziałam na tyle silnym głosem, na ile zdołałam. - Woda przywróciła mi siły. Dziękuję.

- Damy ci więcej wody i jedzenia, a wtedy wrócisz do swojego plemienia, nieprawdaż? - spytał.

- Nie. Muszę się dostać do Kabulu - oświadczyłam.

- Chcąc tam dojść, trzeba udać się w tamtą stronę. - Wskazał kierunek, z którego przyszłam.

- Nie jedziecie tam? - spytałam, znając już odpowiedź.

- Nie. Udajemy się do Dżalalabadu - oznajmił.

- Ja też udam się do Dżalalabadu. Mam tam brata - zapewniłam.

- Masz brata w Kabulu i w Dżalalabadzie? Teraz chcesz udać się do Dżalalabadu? - zdziwił się.

- Muszę - odparłam.

Mężczyzna spojrzął na swego niższego towarzysza, który stał nachmurzony, ze zmrużonymi oczami. Zaczęli rozmawiać w tym samym co wcześniej nieznanym mi języku. Niższy kręcił gwałtownie głową i mówił urywanymi zdaniami. Było jasne, że nie chce, abym z nimi jechała. Ale gdy wyższy podniósł głos, umilkł i nachmurzył się. Teraz już wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że wyższy znajduje się w hierarchii społecznej wyżej i rozkazuje swemu towarzyszowi. Skąd pochodził, skoro miał oczy Pasztuna, ale z trudem można go było zrozumieć, gdy mówił w języku paszto, a władał perskim, z którego wywodzi się dari?

- W porządku. Pojedziesz do Dżalalabadu. To kilka godzin jazdy stąd - oznajmił.

Powiedział coś w swoim języku do niższego mężczyzny. Ten zacisnął usta, spojrzął na mnie i skinął głową w stronę swojego konia. Wsiadłam, a on wskoczył na siodło za mną. Do moich nozdrzy dotarł odór jego potu, a na szyi poczułam przyspieszony ze złości oddech. Tak wyruszyliśmy w drogę. Wyższy mężczyzna na przedzie, a ja za nim, wraz z tym niższym.

Po męczącej jeździe przez urodzajne niziny z zielenią w różnych odcieniach i przez surowe skaliste wzgórza dotarliśmy do Dżalalabadu. Dostrzegłam miasto z daleka, gdy ze wzgórz zjechaliśmy znowu na równy teren. W czasie tej długiej drogi myślałam tylko o tym, że żyję. Nie wiedziałam, dlaczego ten mężczyzna pozwolił mi ukryć się przed innymi, gdy pojawił się przy mnie pod koniec buzkaszi, i dlaczego zgodził się zabrać mnie do Dżalalabadu. Nie potrafiłam wybiec myślami dalej w przyszłość, choć w Dżalalabadzie miała ona znowu stać się niepewna.

- Gdzie jest dom twojego brata? - spytał wyższy mężczyzna, gdy ruszyliśmy przez miasto. - Zawieziemy cię tam.

Milczałam.

- Chciałaś jechać do Dżalalabadu. Jesteśmy na miejscu - przypomniał mi.

Nadal milczałam.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - spytał zdziwiony.

- Bo nie wiem, jak znaleźć dom brata. Od jakiegoś czasu go nie odwiedzałam - skłamałam.

Wyższy mężczyzna westchnął z irytacją i powiedział coś do swojego towarzysza, który cmoknął, jakby mówił: A widzisz, sahib? Przecież ci mówiłem, że będziemy mieli z nią kłopot.

- Robi się późno. Musimy nakarmić i напоić konie. Pojedziesz z nami - zdecydował ten wyższy.

Rozdział XXIII

Z konieczności posuwaliśmy się wolno przez zatłoczony gwarny bazar, który niebawem miał zostać zamknięty na noc. Promienie słońca tańczyły na uliczkach bazaru i na słomianych matach, stanowiących boki straganów. Ilekroć na tym mrocznym placu spjrzałam na oślepiające słońce, które chyliło się już ku zachodowi, zaraz musiałam spojrzeć w dół, żeby znowu móc widzieć normalnie. Musieliśmy ustępować miejsca syczącym wielbłodom, powolnym osłom i ludziom, których były tu setki. Wyższy mężczyzna zatrzymał konia w miejscu, w którym unosił się silny zapach krwi, tuż przed straganem, gdzie na hakach wisiały tusze baranie i koźle, nad którymi unosiły się roje much i szerszenie. Powiedział coś do niższego i ten zsiadł z konia, a następnie zaczął się targować z przekupniem - siwowłosym Chazarem o zamyślonej twarzy i ogolonej głowie, nakrytej małą haftowaną mycką. Chazar wydawał się niezainteresowany sprzedażą. Skinął na przechodzącego sprzedawcę herbaty, który na dużej mosiężnej tacy niósł nad głową czarki z parującym czajem. Po sposobie zawiązania longi odgadłam, że sprzedawca herbaty jest Tadżykiem pochodzącym z okolic, gdzie się urodziłam. Już miałam spuścić głowę, kiedy uświadomiłam sobie, że w swym zakurzonym stroju i z zasłoniętą twarzą jestem tylko jedną z bezbarwnych zjaw, które przesuwają się ulicami miasta z twarzami zasłoniętymi czadorem. Popijając herbatę, Chazar w końcu zgodził się na zaproponowaną cenę, owinął kawały mięsa w papier i podał pakunek niższemu mężczyźnie, który wziął go pod pachę i wsiadł z powrotem na konia.

Wjechaliśmy teraz do pasażu handlowego, gdzie minęliśmy stragany z kosztownymi klejnotami, jedwabiem, futrami i dywanami, a po chwili do następnego, w którym sprzedawano siodła i talwary - długie zakrzywione miecze. Dostrzegłam tam też tofangi - strzelby, które robiły hałas, jakby uderzano o siebie setkami garnków. Mężczyźni z mojego obozu ich nie mieli, ale widziałam je przytroczone do siodeł innych Ghilzai, którzy nas odwiedzali, a także wycelowane przez nich w niebo i strzelające z wielkim hukiem, gdy któryś szarpnął za lufę. Tofangi sprzedawali szczupli mężczyźni o drapieżnych twarzach, rozczochranych włosach i potarganych brodach. Mieli przewieszane przez klatkę piersiową ciężkie skórzane pasy z przegrodami zawierającymi pojemniki, które przypominały

tubkę i wkładało się je do strzelby. Niektórzy spośród sprzedających tofangi nosili także wąskie miecze w pochwach przymocowanych, podobnie jak pasy, na piersiach. W przeciwieństwie do wszystkich innych Afgańczyków, których dotychczas widziałam, wyglądali na nieprzyjaznych. Zastanawiałam się, dlaczego mają takie miny.

Nagle spostrzegłam grupę mężczyzn ubranych w identyczne stroje: krótkie czerwone mundury z pasami, ozdobione mnóstwem srebrnych guzików, w obcisłe czarne spodnie i w czarne buty do kolan. Na głowach mieli sztywne i zaokrąglone czarne kapelusze. To byli charedzi, których widziałam po raz pierwszy przed dwoma laty, kiedy przyjechałam do miasta z Kaledem. Wszyscy byli do siebie podobni, choć tylko kilku miało złociste włosy, jak ten pierwszy, którego zobaczyłam przed dwoma laty. Dobrze odżywieni i silni, szli pewnym krokiem, głośno rozmawiając i przez cały czas się śmiejąc. Zatrzymywali się, dotykając owoców granatu wypolerowanych jak rubiny, podnosząc strzelby i oglądając ozdobione misternym wzorem siodła. Jeden doprawił jagnięcy kebab sokiem z cytryny i jedząc ów przysmak, otwarcie przyglądał się ludziom, wyraźnie nimi zaintrygowany.

Mają twarze dzieci, pomyślałam. Pewni siebie, dobrze się bawią, wystrojeni jak lalki i skorzy do żartów. I jak wtedy, gdy byłam w tym mieście z Kaledem, ogarnął mnie gniew. To ci żołnierze zabili mojego stryja i tylu innych Afgańczyków, a teraz przybywali do naszego kraju i do naszych miast, ocierali się o naszych ludzi, dotykali naszych produktów i jedli naszą żywność, jakby mieli do tego pełne prawo. Ucieszyłam się, kiedy ich minęliśmy.

W końcu wydostaliśmy się z zatłoczonych, kipiących życiem pasażów handlowych i wjechaliśmy w wąską krętą ulicę, przy której stały domy zbudowane z drewna i glinianych cegieł, otynkowane i przykryte płaskimi dachami. Zatrzymaliśmy się przed jednym z nich. Wyższy z mężczyzn zsiadł z konia i skinął na mnie, żebym też zsiadła. Wziął od niższego pakunek z mięsem i podał mu cugle swojego konia. Niższy odjechał, zapewne do pobliskiej stajni.

- Poczekaj tu - polecił mi wyższy, wchodząc do domu.

Przez otwarte drzwi usłyszałam, jak mówi coś do kogoś cicho, ale władczo. Oстрым głosem odpowiedziała mu w języku dari jakaś kobieta. Nie dowiedziałam się, jak na to zareagował, bo odezwał się do niej zbyt cicho, żebym mogła zrozumieć jego słowa.

- Ale ona może być złodziejką albo kimś jeszcze gorszym! I co sobie pomyślą sąsiedzi?! - zawodziła.

Mężczyzna znowu zwrócił się do niej władcym tonem i już nic więcej nie powiedziała, a on wyszedł przed dom. Na jego twarzy malował się spokój. Pomachał do mnie, żebym weszła do środka. Po chwili znalazłam się w małej mrocznej izbie i zatrzymałam się niepewnie. Wskazał mi dłonią podłogę.

- Usiądź - powiedział.

Zajęłam miejsce na najbliższej poduszce. Teraz spostrzegłam, że jest tu bardzo czysto. Nie było żadnych mebli, tylko poduszki i dywany w jasnych, niewyblakłych jeszcze barwach. Ściany wyglądały na świeżo pobielone.

Mężczyzna wyszedł drzwiami po drugiej stronie izby, prowadzącymi na dziedziniec, powiedział coś, czego nie dosłyszałam, i odwrócił się do mnie.

- Mota'sefam. Przepraszam, że stałam się powodem takiego niezadowolenia pańskiej żony - powiedziałam, wstając.

Był wyraźnie rozbawiony tymi słowami.

- Ona nie jest moją żoną, lecz mężczyzny, który użyczył mi tego domu - wyjaśnił i zawołał: - Fareed!

Z dziedzińca wtargnęła do domu pulchna kobieta w średnim wieku, ubrana w nijaką, przepoconą szarą suknię. Jej głowę i dolną część twarzy przesłaniała ciemnoszara chusta. Spojrzała na mnie, unosząc podbródek.

- Witam panią domu - odezwałam się do niej.

Na mój widok zmarszczyła swoje grube brwi. - Sahib, to tylko brudna żebraczka! - oświadczyła z wyrzutem. Zaczerwieniłam się, słysząc te obraźliwe słowa.

- Przyrządź koźlinę, którą przyniosłem na obiad, a przedtem podaj herbatę - polecił jej mężczyzna, ucinając rozmowę na mój temat.

Fareed ponownie wyszła na dziedziniec, a mężczyzna drugimi drzwiami przed dom. Znowu usiadłam na poduszce. Po chwili gospodyni wróciła z dzbanem wody, miednicą i białym ręcznikiem, przewieszonym przez ramię. Przynajmniej była na tyle grzeczna, że pozwoliła mi umyć ręce. Z hałasem postawiła przede mną miednicę. Gdy wyciągnęłam dłonie, polała je ciepłą wodą z dzbana, która

natychmiast zrobiła się brudna. Zaczęły mnie piec skaleczenia i otarcia.

- Należę do plemienia Ghilzai. Nie jestem żebraczka ani złodziejka - odpowiedziałam na jej wcześniejsze sugestie.

Rzuciła mi ręcznik, a gdy wytarłam ręce, porwała go i ze wstrętem wyniosła miednicę oraz dzban na dziedziniec. Po chwili wróciła z mosiężną tacą, na której wniosła szklankę herbaty, talerz winogron i mały okrągły chleb. Postawiła tacę przede mną na podłodze, ostrożnie, by nie rozlać herbaty, ale wcale nie zrobiła tego uprzejmie. Dała mi w ten sposób do zrozumienia, jak bardzo jest niezadowolona, musząc usługiwać komuś takiemu jak ja.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam szczerze, ale udała, że nie słyszy.

Zjadłam chleb i winogrona i wypiłam herbatę, nie odsłaniając twarzy. Przestałam wreszcie odczuwać przykre skurcze żołądka, a w chłodnym pokoju prawie przestała mnie boleć głowa.

Gdy mężczyzna powrócił, wstałam, wzdrygając się z bólu w kostce.

- Pokrzepiłaś się? - spytał mnie.

- Tak, dziękuję - potwierdziłam. Chciałam dodać, że za uratowanie życia, ale powstrzymałam się, bo uważałam, że moment nie jest stosowny.

Dotknął dłonią podbródka, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Jest już prawie ciemno i trudno będzie coś zobaczyć. Przenocujesz tu dziś - oświadczył.

Skinęłam głową, czując wielką ulgę, ale nie chciałam, żeby się tego domyślił.

- Jutro rano wyślę z tobą Fareed, żebyście razem poszukały domu twojego brata - dodał.

Znowu skinęłam głową.

Na dziedzińcu korpulentna gospodyni hałasowała garnkami. Dochodziło stamtąd skwierczenie tłuszczu i zapach pieczonego mięsa. Po chwili wniosła lampę olejną, co mi uświadomiło, że w pokoju jest niemal ciemno.

- Sahib, posiłek dla ciebie jest gotowy. Upiekłam koźlinę na ruszcie i usmażyłam bakłazany - oznajmiła skromnie i z szacunkiem, a następnie dodała z pogardą: - Kobieta już zjadła i napiła się herbaty.

Zapach mięsa był dla mnie udręką, bo Fareed poczęstowała mnie tylko paroma winogronami i wczorajszym chlebem.

- Pokaż jej, gdzie będzie spała, i daj czyste ubranie - polecił gospodyni mężczyzna.

Fareed otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować.

- Wiesz, że twój mąż otrzyma za wszystko pieniądze - dodał i wyszedł na dziedziniec.

Fareed zmrużyła oczy, odprowadzając go wzrokiem i zmieniając wyraz twarzy, bo już na nią nie patrzył.

- A więc chodź - zwróciła się do mnie.

Weszłam za nią do małego pokoju przez otwór drzwiowy zasłonięty falującymi wstążkami.

- Tu są kołdry, a tam stoi nocnik - poinformowała mnie, wskazując je dłonią. - A teraz zdejmij chustę, żebym mogła przynajmniej zobaczyć, kim ten cudzoziemiec każe mi się zajmować.

Zrobiłam, jak kazała, i potrząsnęłam włosami, wyciągając szyję, a następnie spojrzałam na Fareed, która przysunęła lampę bliżej do mojej twarzy i zdjęła zasłonę. Miała ciemny meszek nad grubą górną wargą i obwisły podbródek.

- Domyślałam się po oczach - stwierdziła. - Co taka ładna młoda kobieta jak ty robi, włócząc się po świecie bez opieki mężczyzny? Co? - Spytała tonem, który świadczył, że nie jest to komplement.

Byłam zbyt zmęczona, żeby cokolwiek tłumaczyć tej bezczelnej niemiłej kobiecie.

- Oczywiście jesteś mężatką, o czym świadczy twój tatuaż. Gdzie zatem jest twój mąż? - dopytywała się.

- Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą, zamykając oczy.

Zapadło milczenie.

Gdy otworzyłam oczy, Fareed przyglądała mi się podejrzliwie.

- Nie oczekuj, że będę ci jutro usługiwała - oświadczyła. - Zrobię, co on mi każe - spojrzała na drzwi - bo mój mąż mówi, że muszę, bo jest to opłacalne dla mojego męża. Ale ten człowiek powiedział mi, że jutro sobie pójdiesz, i spodziewam się, że tak zrobisz. Jestem dobrą kobietą. Popelniasz grzech, śpiąc pod jednym dachem z mężczyzną, z którym nie jesteś spokrewniona lub związana węzłem małżeńskim. Czy ty nie uznajesz żadnej moralności?

- Uznaję, ale jeśli chodzi o dzisiejszą noc, nie mam wyboru - odpowiedziałam stanowczo.

- Hm, ten mężczyzna najwyraźniej nie uważa cię za przyzwoitą kobietę, bo inaczej nie pozwoliłby ci tu zostać - mówiła swoje.

Nic na to nie powiedziałam.

- Och, ci cudzoziemcy - westchnęła. Miała nieświeży oddech. - Czego można się po nich spodziewać? Prawdopodobnie powinnam tu z tobą spać, żeby cię pilnować, ale mój mąż by mi nie pozwolił.

Stałam w milczeniu, gdy mnie tak strofowała. Powiedziała o tych dwóch mężczyznach, że są cudzoziemcami. Ale z jakiego kraju pochodzili? Byłam kompletnie wyczerpana i znowu głowa pękała mi z bólu. Nie zamierzałam z Fareed dyskutować i tym samym przedłużać jej obecności w pokoju.

- Gdy przyjdę tu rano, sprawdzę, czy niczego nie brakuje - ostrzegła mnie. - Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby wymknąć się stąd w nocy z jakimś moim garnkiem czy kołdrami.

- Nie zrobię tego - oświadczyłam z taką samą złością jak ona. Postawiła na podłodze olejną lampę.

- Jeśli cokolwiek stąd zabierzesz, pošlę za tobą mojego męża. Uwierz mi, on nie potraktuje cię tak łagodnie jak ja - nie ustępowała.

Milczałam.

- Przyniosę ci czyste ubranie, jak mi kazano. Przypuszczam, że on będzie chciał, żebym uprała twoje rzeczy. - Spojrzała na mój strój, pokręciła głową i przestrzegła mnie: - Nie zbliżaj się do kołder w tych brudnych łachach. Nie chcę w pościeli żadnego robactwa.

Miałam ochotę odpowiedzieć jej ostro, że nie roznoszę żadnego robactwa, ale się powstrzymałam. Wreszcie wyszła, mrużąc coś pod nosem. Gdy zostałam sama, wyjrzałam przez okno na dziedziniec. Obaj moi wybawcy jedli tam kolację. Ignorując polecenie kobiety, usiadłam na pościeli, walcząc ze snem.

Po chwili Fareed wróciła i zbesztła mnie, że nie okazałam posłuszeństwa. Wręczyła mi prostą zieloną suknię i czarne pantalone. Strój był bardzo znoszony i pachniał nieco olejem sezamowym.

- Daj mi swoje rzeczy - zażądała.

Czekałam, żeby wyszła albo przynajmniej stanęła do mnie tyłem, gdy będę się przebierała, bo tak nakazywała grzeczność, ale nawet się nie ruszyła. Wobec tego odwróciłam się do niej plecami, zdjęłam kamis, wciągnęłam przez głowę suknię, zdjęłam pantalone i włożyłam

te, które mi przyniosła. Podałam jej swoje brudne ubranie. Wzięła je wraz z chustą i lampą i wyszła, zostawiając mnie w ciemności. Położyłam się i przykryłam kołdrą. Nic więcej nie pamiętam poza tą chwilą, bo natychmiast zasnęłam kamiennym snem.

Obudziły mnie ciche głosy na dziedzińcu. Wstałam, okryłam się kołdrą, bo był wczesny ranek i czułam chłód. Mrok jeszcze się nie rozproszył. Ostrożnie wyjrzałam oknem, żeby mnie nikt nie zobaczył. Przy małym palenisku stali dwaj mężczyźni i popijali herbatę. Zakładałam, że to ci sami, którzy mnie tu przywieźli. Gdy jednak zaczęło świtać i z wielu minaretów rozległo się wezwanie do porannej modlitwy, uznałam, że się pomyliłam co do wyższego. Niższy, o ciemniejszej karnacji, rzeczywiście okazał się tym samym, którego wczoraj poznałam. Był muzułmaninem, bo ukląkł i pochylił głowę do ziemi, żeby się pomodlić. Wyższy natomiast wydawał mi się kimś innym. Miał odkrytą głowę i w świetle poranka spostrzegłam, że jego włosy są barwy złocistego masła. Układały się miękko, opadając na kołnierz długiej do połowy uda, białej koszuli, przewiązanej w pasie sznurem poskręcany z kawałków tkaniny, jakie nosili nasi mężczyźni. Miał na sobie dziwne spodnie, uszyte nie z bawełny, lecz z wełny tak cienkiej, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, aby nawet najbardziej zwinne palce potrafiły ją utkać. Poza tym spodnie te były bardziej dopasowane niż te, które nosili tutejsi mężczyźni. Zwróciłam uwagę na jego szczupłe umięśnione ciało i silne uda oraz ramiona.

Wpatrując się w twarz cudzoziemca, spostrzegłam, że skórę na czole ma jaśniejszą w miejscu, które normalnie osłaniał przed słońcem turbanem. Pod okiem miał bliznę, świeżą, bo jeszcze różową, biegnącą łukiem od grzbietu nosa przez policzek. Wczoraj jej nie spostrzegłam, ale teraz rozpoznałam podłużne oczy. To był ten sam mężczyzna, który uratował mi życie. Nie modlił się, lecz przykucnięty popijał herbatę. Po kolorze jego włosów zorientowałam się wreszcie, że to biały charedzi, wróg, tak samo jak żołnierze w czerwonych mundurach, którzy walczyli z mężczyznami z mojej ojczyzny. Pochodził z tego samego kraju co ukochany mojej babci. Z Anglii.

Rozdział XXIV

W chwili, gdy to sobie uświadomiłam, niższy mężczyzna skończył modły, wstał i spojrzał w stronę domu. Odsunęłam się od okna, włożyłam podarte sandały i sięgnęłam po chustę, ale nie było jej. Fareed zabrała ją wieczorem, wraz z moją kamis i pantalonami, ale nie przyniosła mi drugiej. Nie mogłam wyjść z pokoju, nie zasłoniwszy twarzy przed mężczyznami. Stałam na środku sypialni, spodziewając się, że gospodyni lada chwila nadejdzie; wreszcie usłyszałam w sąsiednim pokoju czyjeś kroki i wstążki w drzwiach zakołysały się.

- Fareed? Czy niesiesz dla mnie chustę? - spytałam cicho. Nastąpiła cisza i wstążki znowu się poruszyły.

- Nie - odpowiedział cudzoziemiec.

Chwyciłam kołdrę i zasłoniłam nią twarz aż po oczy.

- Zaraz przyjdzie. Na dziedzińcu jest jedzenie - zaprosił mnie na śniadanie.

- Dziękuję - odpowiedziałam. Cudzoziemiec odszedł.

Czy Fareed nie zdawała sobie sprawy, że do jej powrotu jestem więźniem w tym pokoju?

Gdy za zasłoną znowu usłyszałam kroki, zakryłam kołdrą dolną połowę twarzy.

- Nie wyjdiesz? - spytał cudzoziemiec. - Pora poszukać twojego brata.

- Czy Fareed wróciła? Muszę z nią porozmawiać - odrzekłam.

Usłyszałam cichy szelest wstążek i szybko odwróciłam głowę. Mężczyzna nie wszedł do mojej sypialni, ale je rozchylił.

- Fareed przysłała jednego ze swoich synów z wiadomością, że przyjdzie później, bo teraz nie może - powiedział.

Zesztywniałam. Teraz zrozumiałam, że gospodyni umyślnie nie wróciła, nie chcąc przynieść mi chusty, zła, że w ogóle tu jestem.

- Wyjdź - ponaglił mnie mężczyzna, nie kryjąc rozdrażnienia. - Zrobimy, co się da, żeby odnaleźć twojego brata. Rozmawiałem o tym wieczorem z Fareed. zaproponowałem jej, żeby ci towarzyszyła. Ale skoro nie przychodzi, zabiorę cię na bazar. Ktoś tam może wiedzieć, gdzie mieszka twój brat.

Czyż nie widzi mojej kłopotliwej sytuacji? Czy jest ślepy?

- Nie mogę wyjść. Fareed zabrała moją chustę - powiedziałam, odwrócona do ściany.

Cudzoziemiec umilkł, a po chwili mruknął coś pod nosem z irytacją.

- Poczekaj chwilę - powiedział w końcu.

Czas mijał i nikt się u mnie nie zjawiał. Słońce wznosiło się coraz wyżej, zalewając pokój światłem i ogrzewając. Byłam coraz bardziej niespokojna. Na przemian krążyłam po pokoju lub siedziałam na pościeli. W końcu się położyłam. Nie byłam zmęczona, lecz mimo to od razu zasnęłam. Obudził mnie szelest wstążek, jakby poruszył nimi nagły wietrzyk. Otworzyłam oczy i usiadłam. Zdażyłam zobaczyć plecy cudzoziemca, zanim zniknął w drugim pokoju. Na kołdrze leżał bladozielony czador. Wzięłam go do ręki. Był jedwabście gładki i nowy. Przesuwając palcami po przyjemnej w dotyku tkaninie, uświadomiłam sobie, że gdy spałam, cudzoziemiec z pewnością zobaczył moją twarz. Zarumieniłam się ze wstydu, że zastał mnie w tak intymnej sytuacji.

Włożyłam czador i wyszłam na dziedziniec. Nie zastałam tam nikogo, więc odsłoniłam się i umyłam twarz oraz ręce. Następnie napiłam się zimnej gorzkiej herbaty i zjadłam ryż z fistaszkami. Rozejrzałam się po dziedzińcu. Rosło tam drzewo oliwne, którego kolczaste gałęzie sięgały ponad mur. Dostrzegałam stamtąd wierzchołki innych drzew, rosnących na dziedzińcach innych domów, a także pobliski minaret. Spojrzałam na jego wysoką iglicę. Słyszając w domu czyjeś kroki, zasłoniłam twarz. Stałam przy drzewie, skubiąc palcami cienki liść. Na dziedziniec wszedł cudzoziemiec. Znowu miał na głowie longi i wyglądał inaczej niż o świcie. W ogóle nie przypominał żołnierza.

- Chodź. Zabiorę cię na bazar. Poszukamy tam kogoś, kto zna twojego brata - zaproponował.

Co innego mogłam zrobić? Ruszyłam za cudzoziemcem przez pusty dom, a następnie wąską ulicą, pełną kobiet o zasłoniętych twarzach, bawiących się dzieci i dziobiących ziemię kur, które się rozpierzchały, gdy do nich podchodziliśmy. Mężczyzna znał drogę. Podążał szybkim pewnym krokiem, narzucając mi tempo. Noga w kostce wciąż mnie bolała, ale znacznie mniej niż wczoraj. Niedługo powinna całkowicie wydobrzeć. Gdy dotarliśmy na bazar, cudzoziemiec się zatrzymał.

- Idź i popytaj przekupniów - zaproponował.

- Ale ja nie mogę wejść sama na plac targowy. Musi mi ktoś towarzyszyć - powiedziałam.

W niektórych sprawach wydawał się taki pewny siebie, biegle posługiwał się perskim i znał to miasto. W innych natomiast wydawał się ignorantem, kiedy na przykład mnie dotknął, spojrzał na moją twarz i uważał, że mogę pójść na bazar sama.

Nic na to nie powiedział, lecz ruszył obok mnie na plac.

- Znasz może Tadżyka Yusufa? Jest stolarzem - zagadnęłam w języku paszto sprzedawcę przy pierwszym straganie. Gdy pokręcił głową, przeszłam na dari. Postanowiłam sobie, że pomimo kłamstwa podam prawdziwe imię mojego brata i zawód ojca.

Zgodnie z tym, czego się spodziewałam, mężczyzna pokręcił głową, więc ruszyliśmy do następnego straganu.

- Tadżyka? - zdziwił się cudzoziemiec. - Nie należysz do plemienia Pasztunów? Layak powiedział, że sądząc po twoim stroju i... - Dotknął swojego czoła.

Przełknęłam ślinę. Nie przyszło mi do głowy, że może mnie o to spytać.

- Należę do obu tych plemion - poinformowałam go lakonicznie.

- Do obu? Ale...

- To jest możliwe - ucięłam rozmowę i szybko odwróciłam się do innego przekupnia.

Chodziliśmy od straganu do straganu i każdy, kogo pytałam, kręcił głową. Ale nieoczekiwanie w pewnym momencie jeden z mężczyzn zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią. Serce podeszło mi do gardła.

- Znam Tadżyka stolarza, który mieszka za uliczką w pobliżu morgh bazar - powiedział w końcu.

- Targu kurzego? - upewnił się cudzoziemiec i spytał: - Jak tam się dostać?

W ten sposób zyskałam czas na wymyślenie następnego kłamstwa.

- Czy ma tylko jedno oko? - spytałam przekupnia. - Bo drugie stracił.

- Nie - odparł.

- Więc to nie jest mój brat - stwierdziłam i zerknęłam na cudzoziemca, który zacisnął usta.

Było mi słabo w tych zatłoczonych, dusznych uliczkach. Wydawało mi się, że mężczyźni spoglądają mi w oczy. Widziałam chłopca oszpeconego świeżymi bliznami po ospie. Słyszałam stuk siekiery spadającej na szyję kurczaka i oszalałe trzepotanie skrzydłami, kiedy starszy mężczyzna kolejno ukręcał głowy gołębiom, wyjmując je z zatłoczonej drewnianej klatki. Mdlilo mnie od fetoru zwierzęcych ekskrementów i krwi, odoru gnijących warzyw, smrodu niemytych ciał i zapachu zjełczałego oleju do smażenia. To była bezcelowa wyprawa, ale musiałam udawać, że rzeczywiście szukam brata. Nie miałam wyboru. Z pewnością cudzoziemiec zastanawiał się tylko nad tym, jak się mnie pozbyć.

Gdy przechodziliśmy z jednego bazaru na drugi przez mały zadrzewiony skwer, nagle rozległ się tam czyjś przeraźliwy krzyk. Wszyscy zwrócili głowy w tamtą stronę. Cudzoziemiec się zatrzymał, a ja wraz z nim. Brodaty nachmurzony mężczyzna włókł przez skwer kobietę w jasnobrązowym czadorze. Był uderzająco podobny do Shaliq, tak samo krępy i wściekły. Co kilka kroków się zatrzymywał i z całej siły walił kobietę po głowie i ramionach grubą pałką. Wzdrygałam się po każdym ciosie, wiedząc, jaki sprawiają ból. Zasłoniłam usta dłonią, żeby nie zacząć krzyczeć jak ta kobieta, która wzywała pomocy i modliła się do Allaha, co chwila padając na ziemię. Za każdym razem, gdy się przewróciła, mężczyzna brutalnie podnosił ją jednym szarpnięciem za ramię. Początkowo utrzymywała się na nogach i szła za nim, potykając się, ale gdy nas mijali, nie potrafiła już iść o własnych siłach i mężczyzna włókł ją po ziemi za rękę jak zdechłego psa. Przestała też krzyczeć. Na czadorze, obok haftowanej przepaski, wykwitła plama krwi, niczym trujący szkarłatny kwiat.

Nikt się nie poruszył. Z pewnością był to brat lub mąż tej kobiety, karzący ją za jakieś niegodne zachowanie. W moich myślach pojawił się Shaliq, bardziej wyraziście niż w ostatnich dniach, a wraz z nim pamięć katuszy, jakie mi zadawał. Co będzie, jeśli cudzoziemiec zostawi mnie na tym bazarze bez opieki? Co będzie, jeśli ktoś tu spostrzeże, że jestem sama, i uzna mnie za ladacnicę? Zostałabym wtedy pobita jak ta kobieta, a może nawet zabrana za miasto i ukamienowana. Gdy mężczyzna włókł ją obok nas nieprzytomną, miała pantofel tylko na jednej nodze, elegancki i ozdobny. Na gołej stopie drugiej nogi zauważyłam pomalowane betelem paznokcie, a

wokół kostki piękny wzór wykonany henną. Miała gładką skórę. Była bardzo młoda. W jakiś dziwny sposób widok jej pięknej bosej stopy nappełnił mnie przerażeniem i strasznym smutkiem, silniejszym niż uczucie wywołane widokiem krwi.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam je dłońmi, kuląc się, jakbym spodziewała się ciosu. Mimo woli się rozplakałam, lecz próbowałam zapanować nad sobą, nie chcąc głośno szlochać. Nogi ugięły mi się w kolanach i upadłam na ziemię. Ludzie przestali już zwracać uwagę na kobietę, ruszając do swoich zajęć, ale ja klęczałam i płakałam jak dziecko, drżąc i z trudem łapiąc powietrze. Bardzo się wstydziłam, że okazuję uczucia w obecności cudzoziemca. Obawiałam się, że weźmie mnie za osobę słabą. W takiej chwili mógł mnie nawet zostawić. Ale gdy w końcu odjęłam dłonie od oczu, wciąż płacząc, przekonałam się, że nie odszedł. Nie patrzył na mnie, lecz przed siebie, na tłum, tam gdzie mężczyzna włókł nieprzytomną kobietę. Westchnął ciężko. Zrobił kilka kroków do przodu, ale zatrzymał się i spojrzał na mnie. Wstałam więc i ruszyliśmy w dalszą drogę. Zaprowadził mnie do kolejnego straganu. Zadając przekupniowi swoje pytanie, nie mogłam powstrzymać łez. Nienawidziłam ich, ale wciąż płynęły mi po policzkach. Również ten sprzedawca pokręcił głową, jakby zirytowany, a wówczas cudzoziemiec gwałtownie skręcił tam, skąd przyszliśmy. Ruszyłam za nim i wkrótce znaleźliśmy się w domu Fareed. Przestałam płakać, nadal jednak ciężko oddychałam i byłam zmieszana.

- Chodź - powiedział mężczyzna i skierował się na dziedziniec.

Podążyłam za nim.

Siedziała tam Fareed. Kroiła paprykę, na ułożonej na kolanach desce, i dodawała ją do garnka z soczewicą.

- Ona jeszcze tu? - spytała burkliwie na mój widok, odłożyła deskę i podeszła do nas.

- Tak - odpowiedział cudzoziemiec z roztargnieniem. - Ona... - Wskazał mnie dłonią. - Trudno znaleźć jej brata. Może to zająć więcej czasu, a wiesz, że jutro wyjeżdżam z Layakiem z Dżalalabadu.

Zapadło krępujące milczenie. - Sahib, o co mnie prosisz? - spytała po chwili. Wiedziałam, co jej odpowie, zanim otworzył usta.

- Czy mogłaby u ciebie zostać, dopóki nie znajdzie brata? Dobrze ci zapłacę. Mogłabyś jej pomóc go znaleźć - zasugerował.

- To mężatka - odpowiedziała Fareed, patrząc na mnie. - Może wrócić tylko do męża. Nie zatrzymam jej tu. - Po tych słowach odwróciła się i ze złością wrzuciła do garnka ostatnie kawałki papryki, mieszając soczewicę energiczniej, niż to było konieczne.

- Do męża? - powtórzył cudzoziemiec i odwrócił się do mnie. Spuściłam oczy. Napięcie, które zapanowało, było trudne do

zniesienia. Nic nie mówiąc, weszłam do pokoju, w którym spałam, i usiadłam na pościeli. Gospodyni od razu przysłała tam za mną z miedzianym czajnikiem w ręku. Na jej widok zerwałam się z posłania, bardziej rozgniewana niż zrozpaczona. Nie mogła nawet na chwilę zostawić mnie w spokoju, żebym zapanowała nad swoimi lękami, lecz musiała za mną przyjść. Nie pozwoliłam jej odezwać się pierwszej.

- Gdzie jest moje ubranie i chusta? Nawet nie przyszło ci do głowy, żeby mi je oddać - powiedziałam z pretensją.

Wzruszyła ramionami.

- Gdy próbowałam uprać twoje spodnie i koszulę, rozleciały mi się w rękach. To były łachmany - odparła.

- Nieprawda. Były w o wiele lepszym gatunku niż te, które mi dałaś - oświadczyłam, pociągając za źle uszytą, znoszoną zieloną suknię. Nie zależało mi na moim ubraniu, ale nie mogłam znieść tego jej ciągłego strofowania.

Znowu tylko wzruszyła ramionami i utkwiała wzrok w jasnozielonym czadorze, który zsunęłam na ramiona.

- Skąd to masz?

- Cudzoziemiec mi dał - odpowiedziałam krótko. Błysnęła oczami.

- Dlaczego? Co robiłaś w nocy, żeby zdobyć ten czador? - spytała bezczelnie.

Zatkało mnie z oburzenia.

- Nic nie robiłam. Jak doskonale wiesz, nie mogłam się pokazać bez zasłony, więc przyniósł mi ten czador - powiedziałam zgodnie z prawdą.

Podeszła i łapczywie chwyciła w palce jedwabistą tkaninę, a ja cofnęłam się o kilka kroków.

- Widzę, że jest nowy i drogi. Wydaje mi się, że wiesz, jak zdobyć to, na co masz ochotę - rzekła.

Jakże nienawidziłam jej głosu i tego dwuznacznego tonu! Gdy tak stałyśmy na środku pokoju, patrząc na siebie wilkiem, wszedł cudzoziemiec. Szybko zakryłam twarz.

- Sahib, nie mogę dłużej pozwalać na to, żeby kobieta tak słabego charakteru przebywała w domu należącym do mojej rodziny - oznajmiła Fareed z całą swoją bezczelnością, choć spuściła głowę. - Ona z pewnością jest cudzołożną żoną, bo inaczej byłaby z mężem. Prawdopodobnie ją odprawił z powodu jej rozwiązłości.

- Prowadzę się bez zarzutu! - oświadczyłam ostro.

- Z pewnością nie! - odparła z triumfem i spojrzała na cudzoziemca. - Wiedziałam to, gdy tylko na nią spojrzałam. Ma to wypisane na twarzy. - Skinęła głową. - To naprawdę jest cudzołożną żoną.

- Fareed, to nie twoja sprawa! - zwrócił jej uwagę równie ostro jak ja.

Spuściła głowę, ale kręciła nią nieprzekonana.

Miałam ochotę wyrwać jej z dłoni czajnik i zdzielić ją nim.

- Ależ sahib, z pewnością widzisz, że ona kłamie - nie ustępowała, jakby ani trochę nie obawiała się gniewu tego mężczyzny. - Z pewnością dopuściła się cudzołóstwa. - Najwyraźniej powtarzanie tego słowa sprawiało jej przyjemność.

- Przestań niepotrzebnie gadać. O niczym nie masz pojęcia, a tylko bezmyślnie ryczysz jak osioł! - odcięłam się, nie dbając o jej reakcję.

Wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że zasłona przylgnęła jej do ust.

- Ona nie może odzywać się do mnie w taki sposób! Jest w tym domu gościem! Nie powinieneś jej pozwolić, sahib, żeby mnie tak traktowała! - poskarżyła się.

- Fareed, zostaw jedzenie i wróć do rodziny. Nie jesteś mi tu już dzisiaj potrzebna - powiedział tym razem spokojnie cudzoziemiec.

- Ten dom należy do mojego męża, a kobietę trzeba ukarać - syknęła i niemal rzuciła na podłogę czajnik, który przewrócił się na bok i z dziobka wylała się woda. - Taka jak ona samotna kobieta to na pewno nic dobrego. Sahib, nie widzisz tego? - Po tych słowach przemknęła obok nas chyłkiem, pozostawiając za sobą odór potu i tłustych włosów.

Stałam obok cudzoziemca w milczeniu, choć cała się trzęsłam i niemal sapałam z gniewu.

- To ordynarna kobieta! Proszę nie wierzyć jej kłamstwom! - powiedziałam po chwili.

- Ale to prawda, że jesteś mężatką i nie chcesz wrócić do swojego męża i plemienia? - spytał cudzoziemiec.

- Nie mogę - odparłam i nie dodałam ani słowa więcej, choć mężczyzna wyraźnie na to czekał. Gdy odwróciłam się od niego i skrzyżowałam ręce na piersiach, wyszedł.

Zostałam w pokoju i zastanawiałam się, co robić. Ci dwaj mężczyźni mieli jutro wyjechać. Musiałam znowu wziąć los w swoje ręce, tak jak w dniu buzkaszi. Nie było mi trudno podjąć decyzję, bo nie miałam nic do stracenia. Po ich wyjeździe Fareed wyrzuciłaby mnie stąd i stałabym się ofiarą każdego, kto znalazłby mnie samą na ulicy, pozbawioną opieki mężczyzny czy rodziny. Nie mogłabym wrócić do zimowego obozu Ghilzai, bo Shaliq wyładowałby na mnie swój gniew, ani do Susmar Chord, bo ojciec mi tego zakazał.

Nie miałam przed sobą przyszłości. Wyobraziłam sobie siebie samotną i niemrawą, jak wędruję od wioski do wioski, gdzie życzliwe kobiety dają mi resztki żywności, a te nieżyczliwe mnie ignorują, a nawet może opluwają. Wyobraziłam sobie siebie przymierającą głodem, jak walczę z miejskimi bezpańskimi psami o najmniejsze ochłapy. W dzieciństwie widziałam taką kobietę. Przyszła do naszej wioski ubrana w łachmany. Nie miała paznokci u nóg, skóra jej stóp była zrogowaciała z powodu lat tułaczki. Błagała o jedzenie, oferując w zamian pracę, ale została potraktowana tak jadowicie, że uciekła. Nie miałam wyboru.

Mężczyźni siedzieli w cieniu drzewa oliwnego i popijali herbatę. Promienie słońca zbliżającego się do kresu dzisiejszej wędrowki przeświecały przez koronę drzewa i rzucały na ich twarze długie cienie. Gdy zjawiłam się na dziedzińcu, natychmiast przerwali rozmowę, choć wiedzieli, że nie znam ich języka. Czułam, że zrobili to, ponieważ mówili o mnie. Stałam przed nimi. Nie powinnam była tego robić, kiedy siedzieli, ale zaryzykowałam, prostując ramiona i oddychając głęboko.

- Sahib, chciałabym z tobą porozmawiać - zwróciłam się do Anglika, spuszczać oczy.

Odstawił filiżankę i wstał. Był ode mnie znacznie wyższy. Nagle zdałam sobie sprawę, że miętoszę w dłoniach końce zielonego czadom, i opuściłam ręce.

- Pomogłeś mi, sahib, bez zapłaty i jestem ci za to niezmiernie wdzięczna. Ale teraz proszę cię o następną łaskę - zaczęłam, wciąż nie podnosząc oczu.

- Chciałbym zabrać cię na bazar jeszcze dziś wieczorem i zostać tam z tobą dopóty, dopóki nie spotkamy kogoś, kto zna twojego bra...

- Nie mam żadnego brata! - mówiłam głośno ze strachu i żeby zademonstrować pewność siebie, zwracając się jednak bardziej do ubitej ziemi pod moimi stopami niż do niego. Bo teraz nie czułam już takiej śmiałości jak w pokoju, kiedy układałam sobie w głowie, co powiem.

- Co?

- To było kłamstwo - wyznałam, nie podnosząc głowy. - Nie mam w tym mieście brata. Ja tylko... Mogłeś nie zechcieć mnie zabrać stamtąd, gdzie odbywała się buzkaszi, gdybym... - Głos uwiązł mi w gardle. - Skłamałam, za co przepraszam.

- O czym rozmawiacie? - spytał w języku paszto Layak.

- Wyznałam sahibowi, że nie mam brata - poinformowałam go, spoglądając na niego z ukosa.

Spojrzał na Anglika, który wpatrywał się w przedwieczorne niebo nad dziedzińcem. Na policzkach Layaka wykwitł ceglasty rumieniec, co znaczyło, że jest zły.

- Nie mam tu nikogo - powiedziałam do Anglika po długiej chwili, nie mogąc już znieść jego milczenia. - I wiesz, sahib, że Fareed nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego, że zostanę tu sama. To, co dziś po południu zobaczyliśmy na placu... - Wzdrygnęłam się, bo nagle przed oczami stanęła mi pobita i zakrwawiona kobieta, wleczona przez brutalnego mężczyznę. - W tym mieście nie ma dla mnie miejsca. Nie mam dokąd pójść, więc proszę cię, sahib, pozwól mi jutro jechać z wami, gdy wyruszysz w drogę.

- Jechać z nami? Ależ my wyjeżdżamy z Afganistanu - odpowiedział szybko, jakby poirytowany. - Udajemy się do Hindustanu. Nie. To niemożliwe. Nie możesz z nami jechać. Co ty sobie myślisz? Dlaczego mnie o to prosisz?

Nie obchodziło mnie, dokąd jadą. Nie mogli mnie tu zostawić. Oczyma wyobraźni znowu zobaczyłam krew na czadorze skatowanej

kobiety. Znałam smak krwi na własnych ustach. W oddali zadźwięczał dzwon i rozległ się śmiech dzieci. Uklęłam przed Anglikiem i w końcu na niego spojrzałam.

- Sahib, ja umrę, jeśli mnie tu zostawisz. Nie jesteś mi nic winien i już poświęciłeś mi wiele czasu i energii. Jesteś człowiekiem nadzwyczaj życzliwym i miłosiernym. Bez twojej pomocy i ochrony podzielę los tej kobiety, którą wczoraj widzieliśmy.

- Nie - oświadczył stanowczo. - Wstań. Nie mogę w to uwierzyć. Nie zostaniesz potraktowana jak...

Nie podniosłam się z klęczek, ale znowu spuściłam głowę.

- Sahib, wybacz, że ci zaprzeczam. Fareed już o tym mówiła. Absolutnie się pomyliła w ocenie mojej osoby, lecz w jednej sprawie powiedziała prawdę. Samotna kobieta tylko budzi podejrzenia i jest traktowana bardzo surowo. Dobra kobieta nie mogłaby być sama, ale ja jestem dobrą kobietą, jednakże...

- To dlaczego jesteś sama? Dlaczego nie wracasz do męża?

- Sahib, nie mogę mówić o swojej przeszłości. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem uważana za nic niewartą i znam los tej kobiety z placu, bo to był również mój los. To od tego uciekłam. Dlatego znalazłeś mnie samą i w takiej sytuacji. - Spojrzałam na niego.

Poruszył brwiami i ustami, co jakoś złagodziło wyraz jego twarzy, na której nie dostrzegłam już zniecierpliwienia. Przypomniałam sobie, jak czasami patrzył na mnie Kaled, i nabrałam odwagi, żeby mówić dalej.

- Jak powiedziałam, jestem uważana za nic niewartą. Uciekłam od mojego męża tylko w tym, co miałam na sobie. Mogę ci oferować jedynie halhal - Wstałam i podwinęłam nogawkę pantalonów, nie zważając na to, że pokazuję kostkę i łydkę. Przyklękłam na jedno kolano i zdjęłam złotą bransoletkę. Wstałam, uniosłam ją i spojrzałam cudzoziemcowi w oczy. - Wiem, że to niewiele, ale proszę przyjąć to ode mnie za udzieloną pomoc. Sahib, zabierz mnie ze sobą.

Zamrugnął oczami i cofnął się, jakby halhal mógł ożyć i go uderzyć. Layak coś do niego powiedział stanowczym tonem, kręcąc głową. Gdy Anglik ostro na to zareagował, umilkł, ale rzucił mi wściekłe spojrzenie.

- Włóż ją z powrotem - powiedział Anglik łagodnie, ale serce omal mi nie stanęło, bo skoro nie przyjął bransoletki, to może nie zamierzał mi dalej pomagać?

Nie zrobiłam, jak mi kazał, lecz nadal trzymałam ją w wyciągniętej dłoni, a on odwrócił się do Layaka i zaczęli szybko o czymś rozmawiać. Z tonu głosu Anglika wywnioskowałam, że spytał o coś swego towarzysza. Ten zacisnął usta i spojrzał na mnie. Stałam wyprostowana.

- Proszę, zostaw nas samych - zwrócił się do mnie Anglik.

Poszłam do pokoju, w którym spałam, i usiadłam na posłaniu. Słyszałam, jak się sprzeczną, aż w końcu Anglik mnie zawołał i wyszłam na dziedziniec.

- Czy rozumiesz, że wyjeżdżamy z twojego kraju? Że udajemy się do Indii? - zapytał.

- Do Indii? - powtórzyłam, bo nie znałam tego słowa. - Do Hindustanu - wyjaśnił.

- Oczywiście, że rozumiem, sahib. Mówiłeś o tym wcześniej. Skinął głową.

- Chciałem się upewnić, że wiesz... Zatem zgoda. Pojedziesz z nami do domu Layaka w Indiach. Będiesz tam pomagając jego żonie za dach nad głową i utrzymanie.

Skierowałam wzrok na Layaka, ale on wpatrywał się w swój kciuk. Nie potrafiłam odgadnąć, czy bierze mnie na służącą, bo uważa to za dobry pomysł, czy też dlatego, że jego pan mu kazał.

Znowu upadłam na kolana. Pochyliłam się do ziemi i przycisnęłam czoło do stóp Anglika, a następnie uniosłam głowę i wzięłam go za ręce. Nigdy dotychczas nie postępowałam tak śmiało z mężczyzną, ale musiałam okazać temu cudzoziemcowi wdzięczność. Przycisnęłam sobie jego dłonie do czoła. Stał nieruchomo, a po chwili powiedział coś w obcym języku, ale nie w tym, w którym rozmawiał z Layakiem. Puściłam jego ręce i spojrzałam na niego, ale nic już nie powiedział i odsunął się ode mnie, jakby chciał odejść.

- Jak ci na imię? - spytał.

- Darya - odpowiedziałam.

- Darya - powtórzył. Miał doskonałą wymowę. Powtórzył moje imię jeszcze raz i opuścił dziedziniec. Był taki wysoki, że musiał pochylić głowę, gdy przechodził przez drzwi, aby nie uderzyć o framugę.

- Dziękuję, Layak. Czy rzeczywiście twoja żona przyjmie mnie życzliwie? - spytałam w języku paszto.

Layak stał. Miał obojętny wyraz twarzy, choć spojrzenie żywe. Był niższy ode mnie.

- Ona być bardzo szczęśliwa za dużo pieniędzy od burra sahib - oświadczył i poklepał się pod koszulą powyżej pasa. Rozległ się brzęk monet.

Nie znałam słowa „burra”, ale było tak, jak się domyślałam: Layak nie zabierał mnie do swojego domu z własnej woli, co mnie trochę zaniepokoiło. Z drugiej strony nie chciałam martwić się na zapas. Poprosiłam sahiba, żeby mnie zabrał z Dżalalabadu, i zgodził się na to. Mogłam tylko żyć z dnia na dzień.

Gdy Layak wyszedł, zjadłam trochę stawy przygotowanej przez Fareed, ale bez przyjemności, tylko po to, żeby zachować siły, bo po wydarzeniach dzisiejszego dnia nie miałam apetytu. Następnie poszłam do swojego pokoju i położyłam się, choć nie było jeszcze ciemno. Z powodu wcześniejszego płaczu bolała mnie głowa. Leżałam na posłaniu, nie mogąc zasnąć. Zastanawiałam się, czy to, o co poprosiłam, nie skończy się dla mnie gorzej niż moje dotychczasowe życie, od którego uciekłam.

Rozdział XXV

Obudziłam się przed świtem, zaledwie po kilku godzinach niespokojnego snu. Wstałam, na dziedzińcu nagrzałam wodę, umyłam włosy i zaplotłam je w warkocz. Następnie zaniiosłam miednicę ciepłej wody do mojego pokoju i porządnie się umyłam. Rozmyślałam o tym, co mnie czeka - o losie służącej, która sprząta dom innej kobiety i zajmuje się jej dziećmi. Będę żyła cudzym życiem. Będę miała mniej, niż gdy byłam żoną nomady, kiedy z tej racji przysługiwało mi określone miejsce w plemienu, a także rola gospodyni domowej.

Z drugiej strony powinnam być wdzięczna losowi za to, co teraz mi zsyłał. Dlaczego z takim trudem przychodziło mi przyjąć to z ulgą, ucieszyć się i odczuć wdzięczność, że nie spełnią się moje wcześniejsze wyobrażenia, w których widziałam siebie jako bezdomną włóczęgę, żyjącą w ciągłym niebezpieczeństwie? Przynajmniej miałam przed sobą jakąś przyszłość, jakkolwiek byłaby niepewna.

Przyrządziłam mięso i warzywa, które Fareed zostawiła na dziedzińcu na pierwszy dzień podróży, i lekkie śniadanie, na które składały się owoce i chleb. Do tego czasu mężczyźni wstali. Gospodyni się nie pojawiła, co przyjął z ulgą, i sama im usługiwałam.

Pochylając się nad białym cudzoziemcem, żeby podać mu herbatę, z najwyższym trudem powstrzymałam się przed zadaniem mu różnych pytań: Jak daleko jedziemy? Dokąd konkretnie? Gdzie teraz będę mieszkała? Czy ufa Layakowi? Czy będę mogła czuć się bezpiecznie, jeśli zostanę z Layakiem sama? Ale milczałam i miałam spuszczone oczy, bo obawiałam się, że jeśli ujawnię swą prawdziwą naturę - rozmowność i dociekliwość, które tak często przysparzały mi kłopotów - sahib się rozmyśli i nie zabierze mnie, uznając, że nie warto brać sobie na głowę kłopotów. On i Layak również milczeli. Anglik wydawał się roztargniony i zatopiony w myślach. Może zastanawiał się, czy podjął właściwą decyzję? Layak natomiast był po prostu ponury i świadomie niegrzecznie porywał z moich rąk wszystko, co mu podawałam.

Krótko po śniadaniu na dziedzińcu zjawił się chłopiec z dwoma silnymi osłami, na które mężczyźni załadowali pościel, kilka wypchanych juków, które przynieśli ze swych pokojów, i spakowaną

przeze mnie żywność. Cudzoziemiec miał też tofang, który przytroczył z tyłu do siodła.

Gdy już byliśmy gotowi do drogi, na dziedziniec przyszedł krępy brodaty mężczyzna. Kiedy Anglik włożył mu do ręki jakąś sumę afgani, zrozumiałam, że jest to mąż Fareed. Mogłam się tylko domyślać, co mu naopowiadała na mój temat, bo spoglądał na mnie ponuro i z niechęcią. Gdy tkwił na dziedzińcu, ten sam chłopiec przyprowadził dwa ogiery i gniadą klacz, na które wsiedliśmy. Layak burknął pod nosem, żebym wzięła cugle osłów. Tak wyjechaliśmy z Dżalalabadu. Cudzoziemiec i Layak jechali pierwsi, ja za nimi, a za mną podążały osły.

Wyruszyliśmy szeroką piaszczystą drogą. Choć nie znałam swej przyszłości, poczułam się dziwnie podniesiona na duchu. Kiedy opuszczałam dom rodzinny, nie potrafiłam sobie wyobrazić innego życia niż to, które dotychczas znałam, mieszkając zawsze w tym samym domu i w tej samej wiosce. Od Ghilzai natomiast nauczyłam się lubić życie w ruchu, dostosowane do zmiany pór roku i krajobrazów. Teraz jednak chodziło o znacznie więcej. Przebywałam z dwoma obcymi mężczyznami, z których jeden był nieprzyjemny i zapewne żałował, że pojawiłam się w ich życiu. Drugi natomiast... Odeгнаłam tę myśl, bo nie miałam pojęcia, kim on jest. Nie wiedziałam nic o tym białym cudzoziemcu, to znaczy właściwie tylko tyle, że nie jest Afgańczykiem, tylko Anglikiem, ale to właśnie dlatego mój los się odmienił. Najwyraźniej ów sahib nie potrafił w pełni dostrzec tego, że jestem nic niewarta, ale dzięki temu dał mi szansę ucieczki od dotychczasowego życia.

Widziałam go z tyłu. Siedział w siodle wyprostowany, a zarazem swobodny. Miał szerokie ramiona i wąskie biodra. Jego dotyk był pewny, lecz także delikatny, co odgadłam po sposobie traktowania konia, który w rezultacie reagował na najlżejszy ruch swego pana. Pomyślałam o jego dłoniach, którymi pewnie dotykał moich, gdy pomagał mi napić się z tykwy, kiedy przed nim klęczałam, chwając się z pragnienia i wyczerpania. Najwyraźniej nie obawiał się i nie brzydził dotykać obcej i być może nieczystej kobiety. Dziś w tych dłoniach tak swobodnie trzymających cugle spoczywał mój los.

Gdy wyjechaliśmy z Dżalalabadu, obejrzałam się przez ramię, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek tu wrócę.

Dobrze się czułam na mojej klaczy. Przypominała mi Mehry z dawnych czasów. Przez cały dzień podążaliśmy ku łańcuchowi górskiemu. Cieszyłam się, że za każdym razem, gdy Anglik zatrzymywał nas gestem dłoni, robił to w miejscu, gdzie rosły krzaki lub wznosiły się skały, tak iż mogłam udać się za potrzebą, nie krępując się obecnością mężczyzn. Martwiłam się tym w pierwszych godzinach jazdy.

Na pierwszym takim postoju, gdy zwierzęta napiły się ze strumienia, a Layak odmówił południowe modlitwy, dotykając czołem ziemi, odwróciłam się do białego cudzoziemca.

- Sahib, nie modlisz się? - zagadnęłam, choć przecież widziałam, że tak jest. - Jesteś niewierzący?

Zadając mu to drugie pytanie, zaczęłam się nagle zastanawiać nad swoją wiarą: czy jestem niewierząca, skoro już się nie modłę? I odpowiedziałam sobie, że nie jestem niewierna jak Sulima, oddająca cześć bożkom.

- Nie jestem muzułmaninem - odpowiedział lakonicznie, zaciskając dłoń na uździe.

- A więc nie wierzysz - skonstatowałam, ale mimo to spytałam go wprost: - Wierzysz czy jesteś niewierny?

Otrzeptał kurz z ubrania i wszedł na konia.

- Oprócz bieli i czerni istnieje dużo kolorów - odpowiedział, odjeżdżając od strumienia.

Zawstydziłam się nie tylko z powodu swej oczywistej ignorancji, lecz także na myśl, że mógł mnie uznać za głupią.

Gdy konie wlokły się w stronę gór, które przybliżały się coraz bardziej, posililiśmy się chlebem i napiliśmy się wody z naszych małych bukłaków. Zatrzymaliśmy się na noc nad wąską rzeką. Anglik rozjuczył zwierzęta, ja przygotowałam posiłek, a Layak zebrał chrust na ognisko.

Nie łączył nas żaden wspólny język. Rozmawiałam z Layakiem w paszto, z Anglikiem w dari, on ze mną w języku perskim, a oni obaj ze sobą w jeszcze innym. To nie był angielski, ale choć obcy, nie brzmiał dla mnie całkowicie obco. Inaczej nie potrafię go opisać.

- Sahib, czy język, którym rozmawiasz z Layakiem, to język Hindustanu... Indii? - spytałam. Właśnie rozpakowałam kawałek twardego sera i położyłam go na płaskim kamieniu, wycierając ostrze noża o pantalon.

- Tak, to hindi - odrzekł, energicznie wycierając swego konia szmatą.

- Jak to możliwe, że z taką łatwością rozmawiasz obcymi językami? - spytałam.

Przerwał wycieranie konia i zerknął na mnie, a ja szybko odwróciłam głowę.

- Mieszkałem w Indiach jako dziecko - odpowiedział i powrócił do swej czynności.

- A perski... - zaczęłam, krojąc ser, ale wrócił Layak z nareczem chrustu i powiedział coś do Anglika, więc nie zdążyłam skończyć pytania i nie usłyszałam odpowiedzi.

Byłam zmęczona wielogodzinną jazdą w kurzu i słońcu. Gdy jedliśmy chleb z serem i warzywa z mięsem, które podgrzałam na ogniu, oczy same mi się zamykały. Moi towarzysze podróży milczeli. Wyczułam, że nie zgadzają się ze sobą w jakiejś sprawie, i też się nie odzywałam.

Gdy nad rzeką szorowałam piaskiem garnek, piekły mnie oczy. Skończywszy, umyłam twarz, wyczyściłam zęby wykałaczką z gałązki i wróciłam do ogniska. Layak już spał w pobliżu, głośno chrapiąc, a Anglik siedział ze skrzyżowanymi nogami. Miał w zasięgu dłoni tofang i czytał małą oprawioną w skórę książkę. Zwróciłam uwagę, że okładka jest porysowana i zniszczona. Z pewnością nie był to Koran Jeszcze nigdy nie widziałam mężczyzny z książką, jeśli nie liczyć mułły zgłębiającego świętą księgę religii, w której mnie wychowano. Jaką historię pochłaniał wzrokiem ten cudzoziemiec? Nie spojrzał na mnie. On pierwszy miał pilnować, żeby ognisko nie zgasło i chroniło nas przed dzikimi zwierzętami. Położyłam się na posłaniu i długo przewracałam z boku na bok, aż w końcu usiadłam.

- Sahib? Co czytasz? Czy to święta księga? - spytałam. Teraz spojrzał na mnie. Ogień wydobył z mroku jego prosty nos i silne szczęki.

- Nie. To jest... Nie mogę sobie przypomnieć tego perskiego słowa... novel - odpowiedział mi.

- Novel? - powtórzyłam angielskie słowo, sprawdzając, jak brzmi w moich ustach.

Uśmiechnął się. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę go uśmiechniętego. Wyglądał młodziej. Pomyślałam, że jest młodszy od Shaliqa. - Tak nazywają się wymyślone historie -

wyjaśnił. - Znam historie, zarówno rzeczywiste, jak i wymyślone - pochwaliłam się, jakbym chciała zrobić na nim wrażenie, z czego zdałam sobie sprawę dopiero wówczas, gdy wypowiedziałam te słowa. Zaraz tego pożałowałam, ale niepotrzebnie, bo Anglik najwyraźniej nie był zainteresowany tym, co chciałam powiedzieć.

Skinął głową i powrócił do czytania.

Wiedziałam, że już nic nie powie, więc przekręciłam się na drugi bok i zamknęłam oczy, wsłuchując się w trzask ognia i szelest odwracanych stron książki.

Byłam zaskoczona, że spałam tak mocno, gdy Layak gwałtownie potrząsnął mnie za ramię, bo przyszła moja kolej czuwania przy ogniu. Od czasu do czasu dokładałam do ogniska chrustu, ale głównie spoglądałam w gwiazdy, białe jak perły, które zbladły, gdy na niebie pojawiła się poranna zorza. Brodząc w rzece, umyłam ręce i twarz, a potem zagotowałam wodę na herbatę. Wówczas obaj mężczyźni wstali i rozpoczął się drugi dzień naszej przygody.

Było już po ramadanie i nadeszła zima, ale im bardziej oddalaliśmy się na południe, tym silniej świeciło słońce, spowijając świat złocistym blaskiem i mocno grzejąc. Czasami zasłaniały je wolno płynące po niebie obłoki i pojawiał się błogosławiony cień, który przyjmowałam z ulgą. Ale gdy tylko się oddaliły, słońce znowu zaczynało przypiekać. Wkrótce dotarliśmy do wąwozu, który wił się wśród urwisk z łupku i wapienia, prowadząc w góry.

Anglik zdjął tofang ze skórzanego pasa i położył strzelbę z przodu. Jedną rękę opierał na drewnianej kolbie. Miałam ochotę spytać go, czy coś nam grozi, ale wolałam milczeć. Wczoraj próbowałam siebie przekonać, że powinnam okazywać mu wdzięczność nie tylko pracą, którą wykonywałam, gdy obozowaliśmy. Wierzyłam, że skoro pochodzi z obcego kraju, nie uzna za obraźliwe, jeśli odezwę się do niego pierwsza. Gdy jednak dwa razy o coś go spytałam - raz o wiarę, a raz o książkę, którą czytał - poczułam się zakłopotana jego odpowiedzią i żałowałam swoich słów.

Przeprawa przez tę dziwną przełęcz zajęła nam cały dzień. Miejscami była szeroka i płaska, otoczona po obu stronach niskimi kamienistymi wzgórzami. Ale my wspinaliśmy się coraz wyżej. Konie i osły rozrzucały kopytami luźne kamyki i wzbijały kurz. Zeszliśmy wąwozem do małych dolin, gdzie dzieci nomadów pasły stada owiec i kóz. Czasami widzieliśmy też wielbłądy, szczypiące skąpą roślinność.

Czułam, że Anglik nie chce się zatrzymywać, dopóki nie przejdziemy przez góry. Było tam wiele wąskich przejść, a niektórymi płynęła woda. Nie szumiała jednak przyjemnie, jak to często się zdarza, lecz raczej posępnie i złowieszczo, jakby ostrzegawczo. Czasami wydawało mi się, że ktoś na mnie patrzy, choć nikogo nie widziałam.

Późnym popołudniem ostrożnie posuwaliśmy się wąwozem. Miałam nadzieję, że szybko pokonamy ten górski łańcuch, bo ściany głębokiego jaru coraz bardziej się wokół nas zamykały. W pewnym momencie skalista ścieżka stała się tak wąska, że nie zmieściłyby się na niej dwa idące obok siebie juczne wielbłądy. Spoglądałam na kamienne ściany. Zdawały się sięgać do nieba, które widziałam tylko wtedy, gdy unosiłam głowę. Nie docierały tu promienie słońca, było więc zimno i wilgotno. Czułam się jak owad pełznący przez ten długi i bardzo wąski jar. Tu stukot podków końskich kopyt miał w sobie coś niesamowitego.

Poczułam chłód i opanowały mnie jakieś złe przeczucia.

- Co to za miejsce?! - spytałam w języku dari, nie mogąc się powstrzymać, a mój głos odbił się od ścian wąwozu niesamowitym echem.

Anglik i Layak spojrzeli na mnie przez ramię.

- Przez cały dzień posuwamy się przełęczą Chajber! - odpowiedział Anglik, a jego głos również odbił się echem. - To jedyna droga, która prowadzi do Afganistanu z Północno - Zachodniej Prowincji Granicznej! Dlatego dużo tu się wydarzyło! Nie minęło jeszcze wiele lat od masakry, do jakiej doszło w miejscu, w którym teraz się znajdujemy!

- Mówisz, sahib, o wojnie twojego państwa z moim?! Kiedy ludzie z twojego kraju przybyli tu, chcąc zagarnąć mój kraj?! - krzyknęłam.

Nic na to nie powiedział, tylko patrzył przed siebie, podobnie jak Layak.

- Sahib, czy nosiłeś kiedyś czerwony mundur, jak ci inni?! - pytałam dalej, niezrażona jego milczeniem.

Chciałam to wiedzieć. Chciałam wiedzieć, czy był żołnierzem. Pomyślałam o tych, których widziałam na targu w Dżalalabadzie. Jego twarz wydawała mi się w jakiś sposób inna od ich twarzy. A może tylko ulegałam złudzeniu, bo ubierał się jak Afgańczyk i dlatego nie w pełni był dla mnie cudzoziemcem? Ale i tym razem nie odpowiedział.

Najwyraźniej znów zadałam mu niewłaściwe pytanie. Cemu nie potrafię powiedzieć temu mężczyźnie nic istotnego, tylko głupstwa świadczące o tym, że jestem głupiutka i nieokrzesana?

Nieustannie spoglądałam na szczeliny i nisze w ścianach wąwozu, wyobrażając sobie, jak łatwo w tym mrocznym przerażającym miejscu schwytać kogoś w pułapkę i zabić. Anglik nie powiedział, kogo tu zmasakrowano, a ja mogłam sobie tylko wyobrażać, że żołnierzy z jego kraju. Moi rodacy nie byliby tacy głupi, żeby narażać się na tego rodzaju atak.

Przed zmierzchem dotarliśmy do wylotu przełęczy. Odetchnęłam z ulgą. Przed nami wznosił się ogromny prosty budynek z mnóstwem wież. Nie znałam jego przeznaczenia, ale po chwili zorientowałam się, że służył do obrony w czasie walk. Teraz był pusty, a jego gliniane ściany szybko się osypały. Znajdowaliśmy się na wzniesieniu, z którego rozpościerał się rozległy widok. U naszych stóp rozciągało się duże miasto, a w oddali jeszcze większe. Z tak daleka widać było tylko jego zarys na linii horyzontu, ale wydawało się ogromne. Zatrzymaliśmy konie.

- Peszawar - powiedział Layak, wyciągając rękę w kierunku odległego miasta. - Jestem tam dzieckiem i nauczyć się paszto.

- Udajemy się do Peszawaru? Tam mieszkasz? - spytałam.

- Już nie, znacznie dalej - odpowiedział.

Byliśmy więc w Hindustanie, skoro Layak mieszkał kiedyś w tym mieście.

- Sahib? Czy opuściliśmy już Afganistan? - zwróciłam się do Anglika, chcąc się upewnić.

Skinął głową.

- Jesteśmy w Północno - Zachodniej Prowincji Granicznej, najdalej wysuniętej na północ prowincji Indii. Pod nami leży miasto Jamrud. Rozbijemy na noc obóz na przedmieściu - powiedział.

Przeszył mnie dreszcz. Byłam zaskoczona tym, że nie wiedziałam, kiedy przekroczyłam niewidzialną granicę między Afganistanem i Hindustanem. Nie mogłam tego wiedzieć, ale myślałam, że poczuję różnicę. Jednakże powietrze było tu takie samo, podobnie jak ziemia pod końskimi kopytami.

Moi towarzysze jechali już przez skaliste podgórze, a ja nie ruszyłam się z miejsca, lecz spojrzałam przez ramię, tak samo jak wtedy, gdy opuściliśmy Dżalalabad. Ale w tamtej chwili

pozostawiałam za sobą tylko miasto, a teraz kraj. Łzy napływały mi do oczu, bo kochałam moją ojczyznę. Pozostawiałam za sobą ogromne purpurowe góry, bystre potoki i nieruchome jeziora, letnie pastwiska i zimowe obozy, oddzielające je doliny, wzgórza i równiny. Pozostawiałam za sobą wioskę mojego dzieciństwa i tych, którzy mnie kochali: matkę, siostrę i brata, a także ojca, który, co w końcu przyznałam przed samą sobą, troszczył się o mnie w jedyny sposób, w jaki potrafił. Pozostawiałam za sobą wszystkich stamtąd, którzy mnie znali i traktowali życzliwie: Yaldę, Gawhar i Hasti. Pozostawiałam za sobą grób babci. Pozostawiałam za sobą tych Ghilzai, którzy troszczyli się i martwili o mnie: Myasę, Hanouf i Bibi, Dulfię i Faizę, i Kaleda; oczywiście, że również jego.

Madar kalan, zaczyna się spełniać twoja przepowiednia, ale nie odczuwam radości, pomyślałam. I nagle usłyszałam w myślach jej odpowiedź, wyrażoną wersem z wiersza Rumiego, jednego z jej ulubionych poetów: „Żyj tam, gdzie najbardziej się lękasz”. Znalazłam w tych słowach dziwną pociechę. Podziękowałam za nie w myślach babci.

Tej nocy, leżąc na posłaniu i sennie spoglądając w ognisko, powróciłam myślami do wąskiej przełęczy, do tych strasznych rzeczy, jakie tam się wydarzyły. Miałam tylko nadzieję, że mi się nie przyśnią.

- Jestem w Hindustanie, w Indiach - szepnęłam. To ostatnie słowo brzmiało w moich ustach obco, ale też nie łączyły się z nim żadne wspomnienia.

Rozdział XXVI

Rano Anglik posłał Layaka do miasta po ryż i mięso. Gdy ja pakowałam rzeczy, on zajmował się osłami - jednemu kamyk utkwił w kopycie. Ale nagle znieruchomiał, odwrócił głowę i nasłuchiwał. Po chwili skinął na mnie, a gdy przerwałam pakowanie, położył palec na ustach. Zostawił nogę osła, cicho poszedł po swój tofang i wymierzył z niego w krzaki. Rozległ się straszny huk, którego nie znosiłam, więc zasłoniłam uszy dłońmi. Anglik pobiegł w krzaki i szybko z nich wyszedł, uśmiechając się szeroko i niosąc w dłoni dużego ptaka ze zwieszonym bezwładnie łebkiem.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby uśmiechał się w ten sposób, ukazując wszystkie zęby, jakby robił to bezwiednie. Z wyraźnym zadowoleniem oglądał zabitego ptaka. W tym momencie wydawał się innym człowiekiem, znacznie młodszym, toteż przypomniał mi chłopca z obozu Ghilzai, który wygrał pierwszą rundę zapasów.

- Jak nazywa się u was ten ptak? - zapytał, wciąż szeroko uśmiechnięty.

- Bażant czarny - odpowiedziałam. - To bardzo piękne ptaki... Proszę spojrzeć na te złote plamy. A tu mamy czerwień i biel. - Odchyliłam błyszczące pióra. - Są takie jasne na tle czerni. - Poglaskałam je. - To są naprawdę piękne ptaki... Allah stworzył je po to, żebyśmy cieszyli oczy ich widokiem. - Uniosłam głowę, bo sahib milczał.

Spoglądał na mnie, jakbym zrobiła coś bardzo złego albo coś bardzo dobrego. Cofnęłam dłoń od ptaka, którego wciąż trzymał. Zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby ukryć swoje zmieszanie.

- Jesteś doskonałym myśliwym, sahib - pochwalłam go. To był bezpieczny temat i nie mógł zostać źle zrozumiany.

Anglik uśmiechnął się do mnie, już nie tak szeroko jak przedtem, lecz dyskretniej, bardziej świadomie.

- Dziękuję - odpowiedział, wręczył mi bażanta i spytał: - Czy mógłbym cię prosić o przyrządzenie go na kolację?

Pomyślałam, że Shaliq nigdy o nic grzecznie mnie nie poprosił. Zawsze tylko kazał mi wszystko robić.

- Jesteś u siebie myśliwym, sahib? W swoim kraju, w Anglii? - spytałam ostrożnie, nie odrywając oczu od ptaka.

- Tak - odpowiedział i odszedł.

- Sahib? - odezwałam się, włożywszy bażanta do sakwy. - Dlaczego opuściłeś swoją ojczyznę i przyjechałeś do mojego kraju? - Zerknęłam na niego, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Spoglądał na rzekę, trzymając swobodnie tofang. - Sahib? - powtórzyłam. Odwrócił się i zajął czyszczeniem broni. Wyruszywszy w drogę, już więcej nie rozmawialiśmy.

Podążaliśmy z biegiem krętej rzeki Indus. Tę nazwę wymienił Anglik, kiedy po raz pierwszy rozbiliśmy nad nią obóz. Teraz znajdowaliśmy się w gaju banianów. Z ich gałęzi zwisały długie korzenie, które wrastały ponownie w ziemię. Wśród drzew rozlegał się głos kukułka zwyczajnego, a w pobliżu rzeki zobaczyliśmy jeżozwierza: usłyszeliśmy jakiś szelest i zobaczyliśmy, jak sunie leniwie, bez lęku spoglądając na nas swymi małymi oczkami.

Hindus powiedział coś do sahiba, a ten się roześmiał i skinął głową.

- Layak mówi, że z jeżozwierzem trzeba obchodzić się tak samo jak z teściową - powiedział do mnie po persku.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie rozmowę z Myassą w pierwszych dniach pobytu w obozie Ghilzai, kiedy powiedziała mi, że teściową należy traktować jak skorpiona ukrywającego się pod matą.

- Chyba w każdym kraju teściowej należy się bać, a równocześnie ją szanować - odparłam.

Anglik skinął głową, a Hindus zrobił kwaśną minę, jakby był zły, że zostałam włączona do rozmowy. Sahib rozwiązał longi i z ulgą przeczesał włosy palcami. Wyjął z torby inną książkę, również oprawioną w skórę, ale nie tak zniszczoną jak ta pierwsza, oraz drewniany patyczek i zaczął przesuwać nim po stronie. Zorientowałam się, że pisze.

- Layak, dokąd płynie ta rzeka? - spytałam w paszto, czując, że nie powinnam wykopywać między sobą a Hindusem jeszcze głębszej przepaści, skoro mam u niego mieszkać i pracować.

- Do mojego domu - odpowiedział ku memu zaskoczeniu, bo spodziewałam się, że mnie zignoruje.

- A gdzie jest twój dom? - spytałam.

Zadałam mu to pytanie po raz trzeci, gdyż dotychczas mi na nie nie odpowiedział, dając przy tym do zrozumienia, że słyszy moje słowa. Po prostu nie chciał ze mną rozmawiać, a przecież jego dom miał stać się także moim domem. Ilekroć o tym pomyślałam, ogarniał

mnie niepokój. Gdy próbowałam nawiązać z nim nawet zwykłą rozmowę na temat jedzenia czy rozbijania obozu, zawsze traktował mnie opryskliwie i obojętnie.

Teraz siedział oparty o skałę, założywszy nogę na nogę, i zaostrzał nożem palik. Wydawał się bardziej odprężony.

- Indus płynie przez Pendżab, mija wiele miejsc, a następnie mój dom. Multan - odpowiedział.

- Ale nie pochodzisz stamtąd, bo, jak powiedziałaś, urodziłeś się w Peszawarze - przypomniałam.

Skinał głową.

- Wyjeżdżam stamtąd młodo, jadę do Multan za pracą, Multan to lepsze miasto dla mnie niż Peszawar - oświadczył. - Czy Multan to ważne miasto? - spytałam,

Wzruszył ramionami i skinął głową. - Niektórzy mówią... miasto... - zawahał się, szukając właściwego słowa - świątobliwych. Świątobliwych mężów.

- Świętych? - poprawiłam go. Potaknął.

- Miasto świętych, ale także kurzu, upału. Wielu muzułmanów - dodał.

- Czy to największe miasto w Hindustanie? - spytałam, wyobrażając sobie, że jest jak Kabul.

Mlasnął językiem i pokręcił głową. Było jasne, że uważa mnie za ignorantkę.

- Kobieto, w Hindustanie wiele wiele miast. Multan tylko jedno z nich, nie takie duże. - Nachmurzył się. - Teraz biali cudzoziemcy wszędzie, nawet w Multan. Kiedy przyjechałem, tylko paru białych. Sikhowie z Hindustanu cała władza, ale od pięciu - sześciu lat już nie taka władza. Teraz biali - przekrzywił głowę - wielcy sahibowie w Multan. We wszystkich miejscach w Hindustanie.

Zerknęłam na sahiba. Miałam nadzieję, że nadal jest pochłonięty tym, co robi, i słabo znając paszto, nie zrozumiał, co Hindus powiedział o nim i o jego ziomkach.

- Czy on zostanie w twoim mieście, czy wróci do domu, do Anglii? - spytałam Layaka.

Hindus pokręcił głową.

- Wróci do domu za jakiś czas. Ale najpierw musi przejść przez...

- Wykonał dłonią ruch, jakby rysował prostą poziomą linię. - Przez płaski teren.

- Przez pustynię? Przez równiny? - domyśliłam się. Skinął głową.
- Przez równiny Sindh. Mówi mi, idzie do Karaczi.
- Karaczi też znajduje się w Hindustanie?
- Owszem. - Odłożył nóż i wypiął pierś, najwyraźniej dumny, że potrafi mi zademonstrować wiedzę o swoim kraju rodzinnym. - Karaczi duże miasto, nad wodą. Idę tam raz. Wziąć żonę stamtąd.

Sahib wstał i ruszył brzegiem rzeki. Usiadł na leżącej kłodzie i otworzył książkę.

- Przeszkadzamy mu naszą rozmową? - spytałam Layaka. Wzruszył ramionami.

- Ci biali cudzoziemcy... Kto wie, co myślą? Ten tu chce zobaczyć Dżalalabad, Kabul, jechać Bamiyan zobaczyć wielkie kamienie, jechać do Heratu i z powrotem na wschód. Chce zobaczyć buzkaszi. Musimy długo czekać na tę grę. Wszędzie zawsze tylko patrzy i patrzy. Gdy pytam go dlaczego, nie ma odpowiedzi, tylko dalej patrzy. Chyba nie jest podobny do innych białych sahibów.

- Co przez to rozumiesz?

Hindus mruknął coś pod nosem i skrzywił się z obrzydzeniem.

- Jeśli nie liczyć na koniu - dobry na koniu - jest jak kobieta. - Uderzył się mocno w klatkę piersiową. - Ja jestem bardziej mężczyzną. Ale muszę być służącym. - Splunął do ognia.

Spojrzałam na sahiba. Podwinął rękawy swej długiej koszuli. Miał silne przedramiona, szerokie bary i proste plecy, na co już wcześniej zwróciłam uwagę.

- Co przez to rozumiesz? - powtórzyłam.

- Jest... - szukał właściwego słowa - miękki. - Znowu uderzył się w klatkę piersiową. - Widzę twarz, gdy na coś patrzy, coś, co nie jest... smutne, ale normalne. Zdychający pies, zły chłopiec bity przez ojca, karana kobieta. Nic nie mówi, ale jego twarz zbyt łagodna. I ty...

- Znowu mruknął i skrzywił się z obrzydzeniem. - Wierzy ci... w te kłamstwa.

Zerwałam się z miejsca.

- Layak, ja nie kłamię! - oświadczyłam stanowczo. Wstał, chcąc spojrzeć mi w twarz, i zmrużył oczy. Musiał

lekko unieść głowę, bo byłam od niego wyższa, co rozzłościło go jeszcze bardziej. Uśmiechnął się przebiegle.

- Mówisz tak, że ci wierzy. Rozumiesz? On nie jest prawdziwy mężczyzną, że wierzy nomadzie, takiej jak ty. Mówię mu: kobieta

niedobra, zostawić w Dżalalabadzie. Będzie tylko kłopot; kłamię, kradnie. Ale patrzy na ciebie; och, jaka smutna, biedna kobieta. Pomożemy. - Znowu splunął, ale tym razem nie do ognia, lecz obok moich stóp.

- I nie kradnę! Layak, nie jesteś dobrym służącym, skoro mówisz o swoim panu takie rzeczy.

Znowu wypiął pierś.

- To pan tylko przez krótki czas. Dobre pieniądze. Wkrótce jestem w domu i już dłużej nie mój pan.

- Co z tego? Nie masz dla niego szacunku. Widzę, że traktuje cię dobrze. To ty się mylisz.

Znowu uśmiechnął się przebiegle.

- Kobieto, wiesz, jak niewolnik odnosi się do pana? Wkrótce zobaczysz.

Odwróciłam się i ruszyłam brzegiem rzeki w stronę przeciwną do tej, w którą poszedł sahib. Myślałam o słowach Hindusa, a zwłaszcza o jego uśmiechu. Wiedziałam teraz, że nawet jeśli żona Layaka okaże mi sympatię, to nie będzie miała nic do powiedzenia, jeśli on będzie traktował mnie źle.

Nadal jechaliśmy wzdłuż Indusu. Była to potężna rzeka, ale im bardziej oddalaliśmy się na południe, tym płynęła wolniej, aż w końcu stała się szeroką i brunatną drogą wodną. Kamieniste ścieżki, którymi podążaliśmy, zamieniły się w szersze, bardziej wydeptane szlaki. Kiedyś zobaczyłam maleńką wioskę ukrytą w pistacjowym lub daktylowym gaju, a czasami dostrzegałam w polu pochylone kobiety, które żęły złociste zboże i wiązały je w snopy, oraz mężczyźni strząsających długimi kijami owoce z drzew.

Gdy udawaliśmy się do mijanych wiosek po zakupy, widywałam tam muzułmanki zakrywające twarze, ale po raz pierwszy zobaczyłam także kobiety, które nie zasłaniały twarzy, szyi i rąk.

- Sahib, co to za kobiety? - spytałam, gdy wyjechaliśmy z takiej wioski, i dodałam: - One nie mają wstydu.

Odwrócił się w siodle w moją stronę.

- To Hinduski; wyznają hinduizm. Ich wygląd nie ma nic wspólnego ze wstydem - odpowiedział i znowu spoglądał przed siebie.

- Sahib?! - zawołałam po chwili. - Czy kobiety w Anglii mają odsłonięte twarze?

Znowu odwrócił się w siodle w moją stronę, ale tylko skinął głową.

- Czy to są Hinduski? - spytałam znowu. - Nie. Chrześcijanki; wiele z nich. Chrześcijanki nie zasłaniają twarzy.

- Czy nie ma tam muzułmanów?

- Nigdy żadnego nie widziałem - odpowiedział i odwrócił się ode mnie, ale po chwili znowu spojrzął mi w oczy i spytał: - A w twoim kraju widziałaś wielu białych mężczyzn?

- Tylko żołnierzy. Nikogo takiego jak ty, sahib - odpowiedziałam.

Popędził konia i wysunął się przede mnie. Już więcej w czasie jazdy nie rozmawialiśmy.

Teraz podążaliśmy wolno przez zakurzone, spieczone słońcem równiny. Layak zaczął się wobec mnie zachowywać nieprzystojnie. Martwiło mnie to coraz bardziej. Zauważyłam, jak na mnie patrzy. Nawet nie zadawał sobie trudu, żeby to ukryć, gdy go na tym przyłapywałam. Gdy kiedyś podwinęłam pantalony, chcąc umyć nogi, stanął obok, skrzyżował ręce na piersiach i przyglądał mi się obleśnie. Rozzuchwalał się coraz bardziej, a kiedyś nawet ruszył za mną, gdy udałam się za potrzebą w zarośla.

- Co robisz?! Odejdź stąd! - krzyknęłam, usłyszawszy nagle jego kroki.

Natychmiast pojawił się za nim sahib. Spojrzął na mnie i najwyraźniej zrozumiał, o co chodzi, bo chwycił Hindusa za ramię i mocno go popchnął, aż ten się potknął. Przemówił do niego z gniewem krótkimi zdaniem. Layak oblał się ceglastym rumieńcem i odszedł ciężkim krokiem. Po tym zajściu wstydziłam się spojrzeć na Anglika, a moje obawy dotyczące Layaka jeszcze wzrosły.

Gdy wieczorem we troje usiedliśmy przy ognisku, nie mogłam jeść. Od miasta Multan dzieliło nas już niewiele dni jazdy. Obserwowałam jedzącego sahiba, który nagle na mnie spojrzął, ale zaraz spuścił oczy.

- Nie jesz dziś? - spytał, spoglądając na moje puste ręce.

Chciałam mu powiedzieć o swoich obawach, ale jak mogłam?

- Powinnaś jeść. Jesteś chora? - spytał jakby z troską. Pokręciłam głową.

- Nie. Ja... - Zerknęłam na Layaka. Sahib też utkwiał w nim wzrok.

Hindus przestał jeść i spoglądał to na mnie, to na Anglika. W końcu odezwał się doń grzecznym pytającym tonem, ale ten milczał, tylko lekko pokręcił głową.

- Sahib? Martwię się - powiedziałam, gdy Layak wstał i zniknął w mroku.

Wytał dłonie w szmatkę.

- Czym się martwisz... Daryo? - spytał, zwracając się do mnie po imieniu po raz pierwszy od czasu, gdy powtórzył je dwa razy w Dżalalabadzie. Nie przyszło mu to łatwo i dodał je dopiero na końcu zdania.

Usłyszawszy swoje imię w jego ustach, doznałam jakiegoś niezrozumiałego wstrząsu. A może poczułam się zakłopotana, że mogło to sugerować istnienie między nami jakiejś bliskości i poufałości?

- Sahib? Dobrze znasz Layaka? - spytałam.

Uniósł brwi. Jak zwykle zdjął longi, gdy rozbiliśmy na noc obóz, i jego złociste włosy jaśniały w mroku. Zdawały się błyszczeć w blasku ogniska, choć były spocone z upału. W takich chwilach trudniej mi się z nim rozmawiało, bo wydawał się bardziej obcy.

- Spędziłem z nim kilka ostatnich miesięcy. Znam go jako tragarza i stajennego. Był mi potrzebny ktoś, kto mówi w paszto, gdy wybierałem się za Północno - Zachodnią Prowincję Graniczną.

Nie rozumiałam tego. Nie odpowiedział mi wprost, tak jak mężczyzna powinien odpowiedzieć kobiecie. Chyba miał ochotę porozmawiać.

- Sahib, dlaczego przyjechałeś do mojego kraju? - spytałam tak jak przed wieloma dniami, kiedy nie odpowiedział mi na to pytanie.

Spojrzał na mnie, a następnie w bok i znowu na mnie. Wzruszył ramionami.

- Chciałem go zobaczyć. Mój ojciec pochodził z twojego kraju. Zamrugłam oczami i otworzyłam usta ze zdziwienia.

- Twój ojciec? Ale... czy w związku z tym nie jesteś Inglis? Twoje włosy i... wszystko...

- Moja matka jest Angielką - odpowiedział z wahaniem, jakby niechętnie.

Skinęłam głową.

- Twój ojciec był Pasztunem. Domyśliłam się tego na podstawie wyglądu twoich oczu.

- Wiem tylko, że pochodził spoza Północno - Zachodniej Prowincji Granicznej.

- Czy zatem twoim krajem jest Anglia czy Afganistan?

- Anglia. Tam spędziłem większość życia. - Przysunął butem do ogniska płonąca gałązkę.

Milczałam, bo wydawało mi się, że chce jeszcze coś dodać.

- I przez większość życia uważałem się za Anglika.

Nie potrafiłam nic na to powiedzieć. Po długiej chwili zdałam sobie sprawę, że wybrał teraz milczenie.

- Moja babcia... była w wielu miejscach - odezwałam się. - Opowiadała mi... o tych miejscach. - Nagle ośmielona jego zwierzeniem, chciałam mu powiedzieć, że była zakochana w Angliku, ale nie potrafiłam.

- Twoja babcia? - spytał, otrząsając się z zadumy, i dodał: - Mój angielski przyjaciel z Multan pytał swoich służących, czy przypadkiem nie znają kogoś, kto mógłby ze mną pojechać. Jeden z nich, brat Layaka, powiedział mu o Layaku. - Zmrużył oczy. - Nie było trudno go namówić, żeby się ze mną wybrał do Afganistanu.

Przypomniałam sobie chciwość, z jaką Layak mówił o pieniądzach otrzymanych już od sahiba i o tych, które jeszcze dostanie, gdy weźmie mnie do siebie.

- Więc nic nie wiesz o jego żonie, sahib? I o tym, jak oni żyją? - spytałam.

- Widziałem jego dom i żonę, choć oczywiście miała zasłoniętą twarz, gdy spotkałem się z nimi po raz pierwszy.

- I? Sądzisz, że... byłby to dobry dom... dla mnie? - Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, że potrafię rozmawiać z kimś tak otwarcie, ale z sahibem było to możliwe.

Patrzył mi w oczy i lekko potakiwał głową.

- Hm... - zaczął trochę niepewnie. - Ja nie... Myślałem tylko o tym, żeby cię zabrać z Dżalalabadu, kiedy mnie o to błagałaś. Jakie jest inne wyjście? Layak pokazał, że potrafi ciężko pracować i... O co chodzi? Dlaczego kręcisz głową?

Nie potrafiłam nic więcej powiedzieć. Nie mogłam mu przedstawić swoich obaw jak jakaś jędza, która oplotkowuje Layaka.

- Nic, nic, sahib. - Wstałam i dołożyłam do ognia. - Wybacz mi te niepotrzebne słowa.

Już mnie o nic więcej nie pytał, a gdy wrócił Layak, przyglądał mu się, marszcząc czoło.

Pojadę do Multan, postanowiłam. Gdy już tam będę, znajdę jakiś sposób na Layaka. Poczulałam się znowu silna. Zaszłam tak daleko, więc zajdę jeszcze dalej.

Choroba atakowała mnie powoli. Zaczęła się, gdy byliśmy zmuszeni przez kilka godzin posuwać się w grząskim mule, czasami sięgającym mi do ud, żeby dotrzeć na suchszy płaskowyż, a następnie przedostać się przez cuchnący przypyływ o wezbranych wodach. Gdy przeszliśmy przez ostatni wąwóz, był już wieczór i moje ubranie nie wyschło. Rozłożyliśmy posłania na nisko położonym gruncie o kwaśnym zapachu, opędzając się od rojów owadów. Byłam brudna i przemoczona. W nocy wstrząsały mną dreszcze. Rano obudziłam się z okropnym bólem głowy. Przez cały ten i następny dzień czułam się znużona i miałam zeszywniałe mięśnie. Trzeciego dnia, gdy zsiadałam z konia, nogi odmówiły mi posłuszeństwa i musiałam się przytrzymać końskiej grzywy. Sahib to zauważył i spytał, czy dobrze się czuję.

- Oczywiście - odpowiedziałam, bo znajdowaliśmy się tylko dzień jazdy od Multan. Nie mogłam się teraz przyznać, że jest mi słabo. Był wieczór i siedzieliśmy przy ognisku.

- Przed kilkoma dniami wspomniałaś swoją babcię. Powiedziałaś, że była w różnych miejscach. W Afganistanie? - Anglik podjął nagle temat tak dla mnie niezwykły i zarazem osobisty, że zastanawiałam się, dlaczego właśnie teraz.

Czułam się zbyt wyczerpana, żeby móc rozmawiać z nim o tym, tak jak bym chciała. I trudno było mi ukryć, że czuję się słaba.

- Nie tylko w Afganistanie, ale także w innych... miejscach - odpowiedziałam z wysiłkiem. - W innych krajach. Nad Bosforem... w Ankarze... Mówiła, że w Ankarze...

- Była w imperium osmańskim? - zdziwił się. Zamknęłam i otworzyłam oczy.

- Tak, sahib - potwierdziłam. Miałam suche wargi i próbowałam je oblizać. - Mówiła po persku, tak jak ty. - Ostatnie słowa powiedziałam prawie szeptem i znowu zamknęłam oczy.

- Jesteś senna? - spytał.

Otworzyłam oczy i spostrzegłam, że wpatruje się we mnie, siedząc po drugiej stronie ogniska. Layak już głośno chrapał.

- Sahib, przepraszam, ale...

- Mamy za sobą długi dzień - rzekł ze zrozumieniem, grzebiąc w ognisku patykami. - Jutro dotrzemy do Multan.

Skinęłam głową. Było tak, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zastanawiałam się, czy oczekuje ode mnie, że ponownie podziękuję mu za wszystko.

- Sahib, jak wiesz, jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. Dzięki tobie otrzymałam nowe życie - wyznałam, starając się nadać tym słowom znaczenie, ale chrapanie Layaka tylko przypominało mi, co mnie jutro czeka. Bardzo się tym martwiłam, a poza tym dokuczał mi silny ból głowy, gdzieś za oczami, więc powiedziałam to z wysiłkiem, słabym głosem.

- Czy będzie ci dobrze z Layakiem i jego żoną? - spytał Anglik.

Co chciał usłyszeć? Wiadomo, że nie mogło mi być dobrze. Spodziewałam się, że ten Hindus będzie mnie obrażał i maltretował, jak tylko zechce. Miałam zostać jego niewolnicą, ale przynajmniej nie groziła mi śmierć. Postanowiłam znaleźć sposób, żeby od niego uciec. Musiałam.

- Będzie. - Położyłam się, odwracając się plecami i zdejmując z twarzy zasłonę. Wydawało mi się, że moja kolej czuwania przy ognisku nadejdzie zbyt szybko.

- Dobranoc - powiedział.

Dobranoc - odpowiedziałam mu w myślach, zbyt wyczerpana, żeby wymówić to słowo.

W nocy zrobiło mi się gorąco i odkryłam się. Zaraz jednak wstrząsnęły mną dreszcze i zaszczekałam zębami. Gdy Layak mnie obudził, żebym czuwała przy ogniu - zawsze ostatnia, przed świtem - zasłoniłam twarz i próbowałam usiąść. Stawy i mięśnie miałam tak podrażnione, że nawet dotyk pantalonów na biodrach sprawiał mi ból. Płomień ogniska tańczył mi przed oczami. Ale patrzenie nań nie dodało mi otuchy, lecz przeraziło, bo przybrał jakiś monstrualny kształt. Zacisnęłam powieki, nadal jednak go widziałam. To był dzinn podążający za mną do Hindustanu. Później usłyszałam słabe jęki, jakby skomlenie szczenięcia zabranego od matki. Były w mojej głowie, więc zapewne powstały w moim gardle. Próbowałam nad nimi zapanować i otworzyć oczy, żeby móc czuwać przy ognisku, ale nagle pojawił się nade mną jakiś duży, ciemny kształt. Walczyłam z nim i przeklinałam jego siłę. Niestety, trzymał mnie mocno za ramiona,

mówiąc do mnie przekreślonymi słowami. Próbowałam go kopnąć, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Łatwiej było mi leżeć nieruchomo i poddać się jego palącemu ogniovi.

Słyszałam, jak sahib wiele razy wołał mnie po imieniu, ale nie miałam siły się poruszyć. Chciałam mu odpowiedzieć, potwierdzić, że go słyszę. Jak mu było na imię? Czy powiedział mi swoje imię? Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Czułam się, jakby ktoś wypompował ze mnie całą krew, jakbym się stała bezużytecznym ciałem naciągniętym na kości, które tliły się, sprawiając mi ból. Zachłystywałam się suchym powietrzem i mogłam tylko pojękiwać. Wokół mnie panowała cisza, z wyjątkiem cichego dźwięku przypominającego trzepotanie latawca wzbijającego się w powietrze. W końcu otworzyłam oczy. Nie potrafiłam rozpoznać znajdującego się nade mną kształtu, ale wiedziałam, że nie jest to ciemna postać złego, która wcześniej pochylała się nade mną. Gdy tak leżałam, mrugając oczami, uświadomiłam sobie w końcu, że ów dźwięk wydaje kołdra, którą lekko porusza wietrzyk, rozpięta na czterech wbitych w ziemię patykach, osłaniająca mnie od słońca.

Odwróciłam głowę i spostrzegłam siedzącego na skale Anglika. Trzymał książkę i patyczek do pisania. Spoglądał na rzekę, a następnie na swą książkę i poruszał na stronie patyczkiem. Śpiewał cicho, jak sądziłam, po angielsku, bo nie był to hindi ani perski.

- Sahib?! - zawołałam, ale z gardła wydobył mi się tylko szept, więc mnie nie usłyszał. Zawołałam po raz drugi.

Spojrzał w moją stronę, czyli teraz mnie usłyszał. Odłożył książkę i pióro i podszedł. Przykucnął obok posłania i przyjrzał mi się uważnie.

- Co mi jest? - spytałam. Trudność sprawiało mi nawet trzymanie oczu otwartych i skupienie na nim uwagi.

- Nie wiem. Czy coś takiego zdarzało ci się już wcześniej? - zapytał.

- Nie. Mam silny organizm. - Chcesz wody?

- Poproszę - szepnęłam.

Gdy przyniósł mi mały bukłak, uniosłam się z drżeniem na łokciu. Już miałam wsunąć szyjkę bukłaka pod czador, kiedy zorientowałam się, że mam odsłoniętą twarz. Powinnam się zawstydić czy zaniepokoić, że cudzoziemiec ogląda mnie bez

zasłony, ale tak się nie stało. Napiałam się i położyłam wolno i ostrożnie, jakbym była porcelanową figurką.

Po chwili poczułam na czole dotyk i otworzyłam oczy. Sahib wciąż był przy mnie. Zmoczył szmatkę wodą z bukłaka i położył mi ten okład na czole. Nie odrywając od niego wzroku, przesunęłam drżącymi palcami po miękkiej tkaninie, która dawała mi przyjemne uczucie chłodu.

- Masz gorączkę. Postaraj się zasnąć - powiedział. Wzięłam go za rękę.

- Sahib, nie zostawiaj mnie tu - szepnęłam. Gdyby teraz postanowił wyruszyć w dalszą drogę, kiedy byłam zbyt słaba, żeby się poruszyć, rozszarpałyby mnie i pożarły dzikie zwierzęta, których głosy słyszałam co noc. Ku własnemu przerażeniu rozplakałam się. - Nie zostawiaj mnie - powtórzyłam.

- Śpij - powiedział, siadając obok mnie na ziemi. - Nie martw się, tylko śpij.

Wciąż trzymając go za rękę, zamknęłam oczy.

Na przemian zasypiałam i budziłam się. Czasami widziałam Anglika, jak czuwa przy ognisku, je lub po prostu na mnie patrzy. Kiedyś wyciągnęłam do niego rękę, tak jak wcześniej. Tym razem wziął ją i delikatnie położył przy moim boku. Miałam sny niepodobne do tych zwykłych. W jednym widziałam swoją matkę trzymającą na rękach dziecko Bibi. Na widok matki rozplakałam się, wołałam ją i błagałam, żeby mi pomogła, ale nie przyszła do mnie, tylko patrzyła, jakby nie wiedziała, kim jestem. Zaczęłam szlochać. W innym śnie widziałam babcię. Siedziała przy mnie na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Najwyraźniej odmłodziła, zgodnie z tym, co mi powiedziała, że tak stanie się w raju, bo na starość nie była zdolna usiąść w takiej pozycji.

- Madar - e kalani Gdzie byłaś?! - krzyknęłam przez sen.

- Daleko, Daryo jan, bardzo daleko. W seraju. Czy pamiętasz, co ci mówiłam o seraju? - usłyszałam we śnie jej słowa.

- Tak. Pamiętam twoje opowieści i te wszystkie piękne kobiety, tańce, śpiewy, poezję. Babciu, zadeklamuj mi jakiś wiersz - powiedziałam przez sen.

- Daryo, napij się wody - usłyszałam i poczułam coś przy ustach.

- Nie, chcę usłyszeć wiersz - powiedziałam lub tak mi się wydawało, odwracając głowę od tego czegoś. Ale babci już przy mnie

nie było, tylko Anglik trzymający bukłak. Rozzłościł mnie, bo sprawił, że znikła. Powiedziałam lub próbowałam powiedzieć: - Zostaw mnie samą. Zostaw.

Nagle usłyszałam wiersz, ale nie deklamowała go babcia. Nie przeszkadzało mi to, bo jego łagodny rytm mnie uspokajał. Słuchałam, a moją twarz i szyję chłodziła wilgotna miękka szmatka.

Po tym wierszu nie usłyszałam już nic więcej. Ogarnął mnie mrok, w którym dzinn nadal lamał mi kości swymi szponami.

We śnie wydarza się
wiele cudów;
we śnie serce staje się
oknem.

Ale ten, kto nie śpi
i snuje piękne marzenia,
wie o Bogu.
Otrzymuje kurz z Jego oczu.

Rozdział XXVII

Było jasno. Próbowalam usiąść, ale wymagało to ode mnie zbyt dużego wysiłku. Usłyszałam plusk wody i ziemia pode mną zadrżała. Sahib znów pochylał się nade mną i patrzył mi w twarz. Po chwili podniósł moją rękę, delikatnie przesunął rękaw do góry i obejrzał skórę. Następnie rozchylił mi suknię pod szyją, by obejrzyć skórę na klatce piersiowej. Próbowalam go powstrzymać i zwilżyć usta, by krzyknąć i zaprotestować przeciw temu bezwstydowi. Czyżby wykorzystywał moje osłabienie chorobą? Ale nie był tego rodzaju mężczyzną. Wiedziałam to. Co więc robił?

- Sahib, proszę... Czego chcesz? - spytałam w końcu, zebrawszy siły.

Przyjrzał się skórze na klatce piersiowej i z powrotem podciągnął mi suknię do góry. Podłożył mi rękę pod głowę i przysunął do ust bukłak z wodą. Woda smakowała jak miód. Gdy się napiłam, wytarł mi palcami zmoczony wodą podbródek, jak małemu dziecku. Próbowalam się uśmiechnąć, ale nie zdołałam.

- Muszę cię zawieźć do Multan. Nie możesz tu dłużej leżeć z taką gorączką. Teraz wiem, co ci dolega. Jesteś chora na dengę. Daryo, rozumiesz mnie?

Przesunęłam językiem po spierzchniętych wargach.

- Den - gę? - zachrypiałam jak umierający ptak. - Co to jest?

- Na twojej skórze... - Szukał właściwego słowa. - Na twoim ciele... - Zrobił kółko na własnej klatce piersiowej. - Występuje u ciebie szorstkość skóry o czerwonym zabarwieniu, która pojawia się wraz z tą chorobą. Wysypka. - Skinął głową. - Teraz zaczyna się pokazywać na twarzy. A ja myślałem, że to zwykła gorączka, która przejdzie... - Obejrzał się, a ja podążyłam za jego wzrokiem ku pasącemu się ogierowi, klaczy i dwóm osłom. Miał zmartwioną minę. Wyglądał na bardzo zmęczonego, co dostrzegłam dopiero teraz. Dodał: - Denga może nie ustępować przez wiele dni, a nawet tygodni. Leżysz tu już trzy dni. Layak pojechał do miasta. Nie miał powodu, żeby zostawać.

Layak. Uświadomiłam sobie, że nawet o nim nie pomyślałam. Sahib najwyraźniej nie spał, przez cały czas się mną zajmując. Poczułam wstyd. Co widział? Co dla mnie robił? Nie chciałam myśleć o takich krępujących intymnych czynnościach. Zacisnęłam powieki.

- Czy ból się nasila? - spytał. - Wiem, że pojawia się w mięśniach i stawach.

Otworzyłam oczy, ale nie spojrzałam na niego, lecz utkwiałam wzrok w jego dłoni, w której wciąż trzymał bukłak.

- Nie zmienia się - odpowiedziałam.

- Jesteś bardzo słaba, ale musisz spróbować utrzymać się w siodle. Skończyło nam się jedzenie, a poza tym nie możesz tu tak leżeć... Załaduję bagaże na osły. To tylko pół dnia jazdy stąd.

- Czy umrę? - spytałam cicho, ale odszedł już zbyt daleko, żeby móc mnie usłyszeć.

Powtarzałam to pytanie, ale znałam odpowiedź: oczywiście, że nie. Po tym wszystkim, co się stało, nie mogłam umrzeć na tym pustkowiu, jak zwierzę, pokonawszy taki szmat drogi.

- Chodź - powiedział Anglik, zwinawszy nasz obóz. Pomógł mi wstać i pozwolił oprzeć się o siebie. Trzymał

mnie, a ja uczepliłam się jego koszuli. Nie przejmowałam się już tym, że mnie dotyka, a ja jego. Podniósł mnie i posadził na koniu. Bezwładnie pochyliłam się do przodu i chwyciłam za końską grzywę, niezdolna utrzymać się w siodle. Podeszedł do mnie z rozwiniętym longi i okręcił mi go w pasie. Spoglądałam tępo na jego ręce, jak związywał tkaninę jednym rogami przy moim boku, zbyt słaba nawet na to, żeby wyrazić zdziwienie. Następnie wsiadł na swojego konia i wziął do jednej ręki cugle mojej klaczy oraz swojego konia, a do drugiej luźno wiszący u mojego pasa drugi róg longi. Osły przywiązał do swojego ogiera.

Jechaliśmy wolno obok siebie, podążając do Multan. Podróż zajęła nam bardzo dużo czasu. Przez większą jej część miałam zamknięte oczy, bo słońce mnie raziło i wzmagało ból głowy. Obijałam sobie kości, na wpół leżąc na niemiłosiernie wlokącej się klaczy. Wkładałam wielki wysiłek w to, żeby nie krzyczeć. Co jakiś czas popadałam w drzemkę i miałam dziwne kolorowe sny. Gdy zaczynałam pochyłać się za bardzo do przodu lub w bok, sahib pociągał za róg longi, cucąc mnie. W pewnym momencie usłyszałam nawoływania ludzi i głosy zwierząt oraz ptaków. Otworzyłam oczy, czując dziwne kołysanie.

- Co to? - spytałam cicho, bo zorientowałam się, że znajdujemy się na wodzie, w otoczeniu tłumu ludzi wraz z ich końmi, kozami,

skrzeczącymi kurczakami w klatkach i gruchającymi gołębiami siedzącymi na dużej drewnianej konstrukcji.

- Przeprowadzamy się przez małą rzekę do Multan - poinformował mnie Anglik.

Skinęłam głową, z wysiłkiem włożyłam czador i zakryłam twarz. Nawet nie zadałam sobie trudu, żeby spojrzeć na miasto, które miało być moim domem. Chciałam tylko się położyć i zasnąć.

Sahib przeprowadził moją klacz przez bramę w wysokim murze. Zatrzymał się przy krytej strzechą glinianej chatce, zsiadł z konia i zawołał Layaka, który zaraz stanął w drzwiach, a za nim kobieta z zasłoną na twarzy, wyglądająca mu przez ramię. Była w ciąży. Podtrzymywała dłońmi wystający brzuch, jakby go w ten sposób chroniła. Po chwili zza jej spódnicy wyjrzało dwoje małych ciemnoskórych dzieci o dużych, okrągłych oczach.

Sahib zaczął rozmawiać z Layakiem. Po chwili ten wskazał swoją żonę, a ona powiedziała coś wysokim, szczebiotliwym głosem, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie oka. Po niej znowu przemówił Layak, wciąż stojąc w drzwiach. Gdy skończył, sahib skinął głową i nagle sposepniał. Żona Layaka ukloniła się nam i powiedziała coś do dzieci, które natychmiast znikły w środku. Za nimi weszła do domu ona, a następnie jej mąż i zamknął drzwi.

Sahib nie ruszył się z miejsca, jakby się nad czymś zastanawiał. Nawet będąc w takim stanie, łatwo zrozumiałam, co się stało. Nie ulegało wątpliwości, że żona Layaka nie chciała mnie przyjąć do swego domu, dopóki nie wyzdrowieję, bo bała się, że zarażę jej dzieci, włącznie z tym jeszcze nienarodzonym. Powinnam się martwić o to, co teraz się ze mną stanie, ale nie miałam na to siły.

Sahib wsiadł na konia, wziął do ręki cugle mojej klaczy i osłów, i zawrócił. Udaliśmy się w przeciwnym kierunku. Spoglądałam tępo na ulice, którymi jechaliśmy, i niewiele rzeczy zapamiętałam.

Po pewnym czasie znowu się zatrzymaliśmy i sahib zsiadł z konia. Podał cugle mężczyźnie w wysokim białym turbanie i udał się do domu. Taki budynek widziałam po raz pierwszy. Stał sam w otoczeniu drzew i kwiatów, wielki jak meczet, wzniesiony z kwadratowych kamieni. Czekałam, chwiejąc się na koniu, dopóki sahib nie wrócił i nie pomógł mi zsiąść. Gdy postawił mnie na ziemi, uczepiłam się obiema rękami grzywy klaczy, bo oślepiła mnie dziwna jasność, a w uszach poczułam ogłuszające dzwonięcie. Ale miałam

tak słabe dłonie, że upadłam na kolana. Sahib wziął mnie na ręce i zaniósł do domu. Nie starczyło mi siły, by unieść ciężką głowę, i opierałam ją na piersi Anglika, ale dzwonienie w uszach i ślepotą ustąpiły.

Zaniósł mnie do chaty stojącej na tyłach wielkiego domu. W drzwiach stała kobieta w bieli. Miała na czole czerwoną kropkę.

- Zostaniesz tu. Prita będzie się tobą opiekowała - powiedział, wniósł mnie do chaty i położył na łóżku stojącym za przepierzeniem.

W chacie panował cudowny chłód. Leżąc na miękkim materacu, odetchnęłam z ulgą. Kobieta przyniosła mi wody, którą z rozkoszą wypiałam. Pomyślałam, że nigdy więcej nie zobaczę już sahiba, i ogarnął mnie wielki smutek. Jeszcze mu nie podziękowałam tak jak powinnam za to, co dla mnie zrobił.

Rzucalam się na łóżku i jęczałam, a Prita często do mnie przychodziła i ocierała mi twarz zimną, mokrą szmatką. Zdjęła mi brudne i przepocone ubranie, umyła mnie ciepłą wodą, od której piekła skóra i nos, i ubrała w miękką szatę. Często poila mnie wodą i gorzką herbatą o dziwnym smaku. Pomagała mi też załatwiać potrzeby.

Początkowo myślałam, że jej głos przypomina dźwięk instrumentu muzycznego, bo ilekroć do mnie podchodziła, słyszałam melodyjne pobrękiwanie. Ale nie spytałam jej o to, jakbym była małym dzieckiem, które nie ma siły czy prawa głosu, jakby kobieta, którą byłam, znikła w gorączce i nieszczęściu choroby. Chciałam tylko spać, żeby nie czuć bólu, ale nawet we śnie niepokoiły mnie przykre obrazy i głosy. Kiedyś wydało mi się, że przygląda mi się sahib. Wyciągnęłam rękę, chcąc sprawdzić, czy to jawa, czy sen, ale nic nie poczułam i zamknęłam oczy. Gdy je otworzyłam, pokój był pusty, a więc majaczyłam. Poza tym sahib wyjechał z Multan.

Raz obudziłam się o świcie i usłyszałam za oknem gruchanie gołębia. Leżałam, słuchając tych przyjemnych dla ucha dźwięków. Po raz pierwszy od czasu, gdy zachorowałam, spałam głębokim snem i nie majaczyłam w gorączce. Poczułam znajomy skurcz żołądka, jakże inny od codziennego bólu. Byłam głodna, co znaczyło, że nie jestem już tak ciężko chora jak dotychczas.

Usiadłam, ale zrobiłam to zbyt szybko i zakręciło mi się w głowie. Rozległ się szelest tkaniny i melodyjne pobrękiwanie. Kobieta z czerwoną kropką na czole uklękła przy mnie i dotknęła

swoją chłodną dłonią mojego policzka. Odezwała się do mnie po imieniu. Nie pamiętałam, czy usłyszałam już jej imię. Wyciągnęłam w jej stronę dłoń i uniosłam brwi.

- Prita - przedstawiła się.

Teraz wydawało mi się, że sahib już mi je powiedział.

Prita miała łagodną twarz i kojący głos, ale nie rozumiałam jej słów, bo mówiła w języku hindi, w którym sahib rozmawiał z Layakiem. Jej nadgarstki i kostki u nóg zdobiły liczne bransoletki, które dźwięczały przy każdym ruchu. Nareszcie zorientowałam się, że to były te melodyjne pobrzękiwania, które słyszałam, leżąc w malignie. Przyniosła wodę i umyła mi twarz, a następnie wyszła na zewnątrz i przyniosła tę samą gorzką herbatę. Teraz mogłam siedzieć, opierając plecy o drewnianą ścianę.

Gdy wypiliśmy herbatę, przyszła do mnie za przepierzenie inna kobieta. Od razu zorientowałam się, że to Angielka. Miała tak bladą skórę, że wydawała się pokryta jasnym popiołem, szpakowate włosy, bladoniebieskie oczy w otoczce zmarszczek i bruzdy na policzkach. Nie była młoda, ale nie wyglądała tak staro jak kobiety, które dotychczas znałam, w sukni z miękkiej tkaniny w drobne kolorowe kwiatki. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób tkanina została pokryta tego rodzaju wzorem. Suknia była pod szyję, z długimi rękawami i dopasowana w talii, ale bardzo rozszerzona ku dołowi. Zdumiewało mnie też, jak się udaje stworzyć taki fason. Gdy kobieta zbliżyła się do mnie, na jej stopach spostrzegłam jedwabiste ciemnozielone pantofle. Była tak wyprostowana, jakby jej kark i plecy znajdowały się na jednej linii. Wydawało mi się, że musi stąpać ostrożnie, aby nie załamać tej linii. Zastanawiałam się, czy jest tak sztywna z powodu dawno przebytej choroby, która nie pozwala jej poruszać się swobodnie.

Rozmawiała z Pritą, ale patrzyła na mnie, a po chwili obie wyszły za przepierzenie. Wówczas rozejrzałam się po izbie. Na ścianie na wprost łóżka znajdowała się półka, na której stały figurki bożków, jakby na wpół ludzkich i na wpół zwierzęcych. Nad nią wisiał obraz w jaskrawych barwach, ukazujący mężczyznę o niebieskim ciele, okrytego tylko skąpą pomarańczową tkaniną zawieszoną na sznurku w pasie. Mężczyzna miał na szyi wielkie girlandy białych i różowych kwiatów, a na głowie diadem z błyszczących niebieskich i zielonych piór z okrągłymi białymi okami.

Odwróciłam wzrok od tych bożków, które dla mnie ucieleśniały zło, i spojrzałam na obraz wiszący po prawej stronie, oprawiony w pomalowane złotą farbą drewniane ramy. Były na nim zawiazane białe, niebieskie i czerwone wstążki. Przedstawiał niemłodą kobietę o takiej samej białej twarzy, jaką miała ta w kwiecistej sukni. Zastanawiałam się, czy są może siostrami. Jednakże suknia tej z portretu była ciemna i poważna, a wyraz twarzy bardzo surowy, inny niż u kobiety w kwiecistej sukni. Kobieta z portretu patrzyła przed siebie przesywającym wzrokiem, jakby wydawała rozkazy.

Ponownie obejrzawszy jej strój, spojrzałam na własny. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że mam na sobie tylko białą szatę z długimi rękawami, luźną, choć sięgającą pod szyję. Bez pantalonów czułam się naga.

Prita przyniosła mi miseczkę ryżu pokrytego papką z soczewicy. Smakowała mi, ale nie mogłam zjeść dużo. Po posiłku położyłam się, tak wyczerpała mnie zwykła czynność jedzenia.

Gdy się obudziłam, stał przy mnie sahib. Wiedziałam, że jest rzeczywisty, a nie wyśniony w malignie, bo już rozjaśniło mi się w głowie. Omal nie krzyknęłam z radości, zaskoczona, że jego widok sprawia mi taką przyjemność. Sądziłam, że już więcej nie zobaczę tego Anglika, a tymczasem stał przy mnie. Jego złociste, krótsze teraz włosy były miękkie i błyszczące, jakby świeżo umyte. I starannie się ogolił. Miał na sobie nieznany mi strój: obcisłe spodnie i kurtkę z jasnobrązowej tkaniny, a pod nią jakąś mniejszą i krótszą część garderoby, pod którą było widać białą, usztywnioną wokół szyi koszulę. Pod kołnierzykiem koszuli miał zawiazany ciemny jedwabny szalik. Dostrzegłam u niego tyle samo warstw ubioru, co u białej kobiety. Teraz wyglądał jak prawdziwy Anglik. Nawet w jego oczach nie widziałam tego, co wcześniej. Gdyby mi nie powiedział o swoim afgańskim ojcu, sądziłabym, że jest stuprocentowym Anglikiem. Miał przy sobie, jak w czasie podróży, oprawioną w skórę książkę i patyczek do pisania. Siedział na taborecie po przeciwnej stronie pokoju i szybko poruszał tym patyczkiem po stronie. Zerkał na mnie, a gdy spostrzegł, że otworzyłam oczy, odłożył patyczek.

- Czujesz się już lepiej - stwierdził.
- Owszem. Jak długo tu leżę? - spytałam.
- Sześć dni.
- Tak długo? - zdziwiłam się i usiadłam.

Stał daleko od łóżka, więc nie musiałam podnosić na niego oczu. Był jakiś nieswój, choć może tylko tak mi się wydawało z powodu obcości jego angielskiego stroju.

- Sądziłam, sahib, że już wyjechałeś z Multan. Odwrócił się i wyrzwał przez okno.

- Chciałem... chciałem mieć pewność, że wyzdrowiałaś. - Czy Layak wkrótce po mnie przyjdzie?

Znowu nie odpowiedział. Zastanawiałam się, czy nadal się na mnie gniewa za to, że przysporzyłam mu tylu kłopotów.

- Gdzie jestem? - zmieniałam temat. Odwrócił się od okna i spojrzał na mnie.

- W godown - chacie służby. Hinduska Prita, która się tobą opiekuje jest aja... noukar pani z bungalowu, to znaczy z dużego domu - wyjaśnił.

- Jest służącą tej pani o białej skórze i sztywnej sylwetce? - upewniłam się. - Czy to żona hakem?

- Nie - odparł lekko rozbawiony. - Jej mąż nie jest władcą, choć to ważna osoba. To moi przyjaciele z Anglii.

Teraz uświadomiłam sobie, że mam odsłoniętą twarz. Nawet nie wiedziałam, gdzie podziewa się mój czador. I zwróciłam uwagę, że biała szata nie zakrywa mi nawet kolan. Opiekując się mną w czasie choroby, sahib musiał mnie widzieć taką, jakiej nie powinien mnie oglądać żaden mężczyzna. Zacerwieniłam się, choć po raz pierwszy od dziesięciu dni nie z powodu gorączki. Szybko podkuliłam nogi i obciągnęłam białą szatę, zakrywając kolana. Sahib też wydawał się zakłopotany. Znowu odwrócił się do okna, gdy zakrywałam stopy. Przez przypadek musnęłam dłonią ślubną bransoletkę na nodze i od razu poczułam spokój. Teraz dotknęłam jej przez cienką tkaninę.

Czy wszyscy Anglicy znają perski? - spytałam.

- Nie. Nauczyłem się go, gdy się dowiedziałem...

- Kim jest ta biała kobieta, że została tak uhonorowana? - spytałam, gdy wciąż milczał, wskazując wiszący na ścianie portret.

- To Wiktoria, królowa Anglii.

- Żona króla?

- Nie. Nie mamy króla. To mężatka, ale jej mąż jest księciem. Moim krajem rządzi królowa Wiktoria - wyjaśnił mi.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

- Jak to możliwe? Kobieta jest władcą całego twojego kraju? Ma męża i jest królową, a on jest księciem, a nie królem? I podlega jej władzy?

- Tak.

Usiadłam sztywno i wpatrywałam się w portret tej poważnej kobiety. O tym, że mąż - księżę może podlegać władzy żony - królowej, nie wiedziała nawet moja babcia. Mówiła, że księżyc może być kobietą i kierować gwiazdami. Słowem jednak nie wspomniała, że kobieta może być królową i rządzić mężczyznami.

- Tak niewiele wiem o Anglii. Znam tylko kilka faktów podanych mi przez babcie - bąknęłam.

Sahib usiadł na taborecie.

- A ona jak się o nich dowiedziała? - spytał swobodnie.

- Znała pewnego Anglika. Powiedział jej, że Anglicy nigdy nie będą niewolnikami. Że wy musicie panować nad wszystkim, nawet nad oceanami.

Z jego twarzy znikł uśmiech.

- A więc to prawda? - spytałam. Milczał.

- Najwyraźniej Anglia jest bardzo wielka, większa nawet od Indii - było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Nagle spochmurniał.

- Nie, to jest mały kraj, ale bardzo potężny, najpotężniejszy na świecie - powiedział niemal z goryczą, choć powinien to rzec z dumą.

- Sahib, ale czy nie jest to dla ciebie dobrze? Że twój kraj jest tak potężny? - powiedziałam na to.

Odetchnął głęboko. - Wielkość ma wiele postaci. Nie jestem pewien...

- Nie jesteś pewien czego? - ponagliłam go, gdy przerwał.

- Że rządzenie ludźmi to dobra rzecz. Odbiera im się wolność - oświadczył.

Myślałam o wolności.

- Teraz twój kraj nie rządzi moim - powiedziałam. Pokręcił głową.

- Nie - przyznał.

- Zatem jestem... wolna? Uważasz, sahib, że jestem wolna? Odchrząknął.

- Nic nie wiem na temat twojej wolności osobistej. Miałem na myśli wolność w rozumieniu...

- Nie jestem wolna - przerwałam. - Wolna nie była też moja matka i nie będzie moja siostra. Babcia została w dzieciństwie zabrana do seraju. Czy była wtedy wolna? I czy była wolna, kiedy żyła ze swoim Anglikiem i on zabrał ich dzieci?

Sahib wstał. Taboret się przechylił i przewrócił. Z dziwnego wyrazu jego twarzy zorientowałam się, że mówię zbyt głośno i poruszam zbyt osobiste tematy. Czy pod wpływem choroby zapomniałam o swoich dobrych manierach i wrażliwości? Nagle uświadomiłam sobie, że ja też stoję, zawstydziłam się i spuściłam oczy.

- Nawet w Anglii wielu ludziom żyje się bardzo ciężko. Nie powinienem w ogóle używać tego szczególnego słowa „wolność”. .. Ja tylko próbowałam ci wytłumaczyć, że nie jestem pewien swoich uczuć wobec kraju, w którym spędziłem dużą część swego życia, wobec kraju, który zawsze uważałem za swój, ale przestałem kilka lat temu. Gdy jestem daleko od Anglii, wyraźniej widzę, co czyniono tam i co nadal się czyni. Nie jestem pewien... Wracam tam, ale...

Zadrżały mi nogi i usiadłam na łóżku.

- Sahib, przepraszam za moje niegrzeczne zachowanie. To dlatego, że... kocham mój kraj. Nie chciałam z niego wyjeżdżać, ale musiałam. I wiem, że nie mogę tam wrócić. A ty wyjechałeś ze swojego kraju dobrowolnie, nieprawdaż?

Skinął głową.

- I możesz tam wrócić, kiedy zechcesz, tak samo jak do mojego kraju, ziemi twojego ojca.

Znowu skinął głową.

- Choć zdradzasz niewielką chęć. Masz więc dwa kraje i do każdego z nich możesz przyjechać i z niego wyjechać, zgodnie z twoją wolą.

Przyglądał mi się uważnie.

- A ja... - Pomyślałam, że nie mam teraz kraju, domu i rodziny. Spytałam: - Sahib, co się ze mną stanie? Co?

Nie odrywał ode mnie oczu.

- Layak. Może nie będzie to takie... - urwał z taką miną, jakby teraz wiedział, że praca u Layaka nie będzie dla mnie czymś dobrym.

Pomyślałam o chacie Layaka i błocie wokół niej. O tym, jak niedwuznacznie na mnie patrzył, jak piskliwym i władczym głosem przemawiała jego żona, jak chudy był pies, który chyłkiem oddalił się

od ich chaty, i ile much unosiło się nad twarzami dwojga małych dzieci.

Sahib pokręcił głową i gniewnie poruszył szczęką.

- Nie wiem, co się z tobą stanie. Skąd mogę wiedzieć? Miejmy nadzieję, że sprawy dobrze się potoczą, jeśli chodzi o Layaka i jego rodzinę. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Z twojego powodu znalazłem się w trudnym położeniu i... - przerwał, bo za przepierzenie weszła Prita, pochylając się z wdziękiem, żeby podnieść z podłogi obok mojego łóżka miseczkę ze zjedzonym tylko w połowie daniem. Nie patrząc na mnie, wyszedł z pokoju wraz z Hinduską.

Rozdział XXVIII

Przez długą chwilę siedziałam na łóżku. Wyrzucałam sobie, że w taki sposób rozmawiałam z sahibem. Tyle dla mnie zrobił - wszystko, co mógł, wszystko, o co go poprosiłam - a ja mu odpłacałam, spierając się z nim i domagając się odpowiedzi, których dla mnie nie miał. Czy już zapomniałam, jak traktował mnie Shaliq? Czy nie mogłam po prostu okazać Anglikowi wdzięczności? Pochylić głowę i podziękować? Nie rzucalabym na niego oskarżeń, gdyby po raz drugi nie zjawił się w tej chacie.

Po południu poczułam się na tyle dobrze, że wolno podeszłam do drzwi. Wyjrzałam na dwór, gdzie na rozległym terenie rosły drzewa i kwitnące rośliny, których nie znałam. Pochylało się nad nimi kilku Hindusów w białych strojach, przycinając je, podnosząc z ziemi opadłe kwiecie i ostrożnie wycierając z kurzu duże szorstkie liście. Inni grabili liście pod drzewami i alejki prowadzące do dużego domu, którego tył widziałam wśród drzew. Do ściany przylegała tam jakby platforma na podwyższeniu, długa, z drewnianymi filarami. Stało tam dużo kwitnących roślin w donicach, a także krzesła i stoły.

Zorientowałam się, że godown - chata, w której mieszkałam, jest jedną z wielu porozrzucanych wśród drzew. Siedzieli przed nimi ubrani na biało mężczyźni. Niektórzy mi się przyglądali, więc weszłam do domu i zakryłam głowę oraz dolną połowę twarzy cienką białą chustką, która z pewnością należała do Prity.

Gdy ponownie podeszłam do drzwi, jeden z siedzących niedaleko mężczyzn coś do mnie powiedział, ale go nie zrozumiałam.

- Jesteś Afganką? - spytał w paszto. Skinęłam głową. Wstał i podszedł bliżej.

- Przyjechałaś tu z sahibem i moim bratem zza Północno - Zachodniej Prowincji Granicznej - stwierdził.

- Layak jest twoim bratem? - zdziwiłam się. Skinął głową i poklepał się po torsie.

- To ja powiedziałem sahibowi o Layaku. Szukał kogoś, kto mówi w języku paszto, jako towarzysza podróży za Północno - Zachodnią Prowincję Graniczną. Chciał, żebym z nim jechał. - Rozprostował ramiona. - Bo mówię w paszto znacznie lepiej niż Layak. Ale nie mogłem zostawić mojej pracy. - Popatrzył na mnie z dumą: - Jestem czoparaj. Wiesz, co to za praca?

Pokręciłam głową.

- Stoję przy frontowych drzwiach i wpuszczam do domu gości sahiba i memsahib. Bardzo pożądane przez Hindusów zajęcie.

Zamknęłam na moment oczy i oparłam rękę o futrynę. Znowu poczułam szum w uszach, choć stałam tu bardzo krótko.

- Wszyscy słyszeliśmy o twojej chorobie, kiedy człowiek się czuje, jakby mu łamali kości. To bardzo zła choroba. Nie występuje w górach i na wysoko położonych pastwiskach, tylko czyha w wąwozach i na bagnach.

- Czuję się już dobrze - zapewniłam. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Co będziesz robiła?

- Co będę robiła? - powtórzyła za nim, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Tu w Multan - wyjaśnił.

- Będę... pracować u twojego brata i jego żony. Uniósł krzaczaste brwi.

- Chyba nie. Nie słyszałaś? Nawet tu ludzie o tobie wiedzą. - Zerknął na grupę mężczyzn grających w jakąś grę kamykami na ziemi. - Za dużo mówią. Ci Hindusi zawsze tylko w kółko gadają. Naprawdę mówią za dużo. Spojrzałam na nich. Późne popołudniowe słońce rozświetlało ich białe szaty. Od patrzenia na nie zakręciło mi się w głowie. Odwróciłam się od brata Layaka i weszłam do domu.

Gdy zapadł zmrok, Prita zapaliła małe olejne lampy, które wydzielaly zapach kokosu, i wyszła z domu. Zaraz potem zjawił się u mnie sahib. Właśnie siedziałam na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Zasłoniłam twarz chustką Prity, zanim wszedł za przepierzenie i usiadł na taborecie. Sądziłam, że przyszedł mi powiedzieć o decyzji Layka, więc milczałam w oczekiwaniu.

- W Dżalalabadzie - zaczął bez powitania - powiedziałaś mi, że nie chcesz, a raczej nie możesz wrócić do swojego plemienia. Powinienem był wtedy zadać ci więcej pytań. Gdybym zdawał sobie sprawę... Teraz mówisz, że nigdy nie będziesz mogła wrócić do swojego kraju. Powinnaś mi powiedzieć, przed czym uciekłaś i dlaczego nie możesz wrócić do miejsca, które kochasz - mówił to cicho, bez gniewu.

Spoglądałam na niego zaskoczona. Nie chciałam mówić o przekleństwie, o moim ojcu i Shaliq. Nie zrozumiałby tego. Pomyślałam także, że gdybym wymieniła imię mojego męża, Anglik

być może próbowałyby doprowadzić mnie do niego. Ale uznałam to za absurd.

- Dlaczego uciekaś od męża? - spytał.

Spojrzałam na portret, który wisiał za nim na ścianie. Płomyki lamp migotały, rzucając długie drżące cienie na surową twarz białej kobiety.

- Nie z powodu, o którym mówiła Fareed, ale mój powrót do kraju jest niemożliwy - odpowiedziałam mu ogólnikowo. Odchrząknął.

Przeniosłam na niego wzrok. - Ciągłe to powtarzasz. Nie masz dzieci, które zostawiłaś z nomadami? - spytał rzeczowo.

- Nie, sahib. - Nie podobało mi się to pytanie. Czy pomyślał, że porzuciłam dziecko? - I nie urodziłam się nomadką. Jestem Tadżyjką, poślubioną mężczyźnie z plemienia Ghilzai. - Z jakiegoś powodu uznałam tę informację za ważną. - Poza tym gdybym miała dziecko, nie musiałabym wyjeżdżać. Gdybym miała dziecko, zostałabym w tym plemieniu.

Pokręcił głową.

- Odpowiadasz zagadkowo. Co wobec tego z twoją tadżycką rodziną?

- Co z nią? - powtórzyłam, spoglądając na jego buty.

- Czy ktoś cię szuka? Wyznałaś, że historia o bracie była nieprawdziwa. Ale czy nie ma nikogo, kto martwi się, że po prostu... znikłaś? Czy nie ma nikogo, kto się zastanawia, gdzie jesteś, albo czeka na twój powrót? Masz matkę i oj...

- Nikt mnie nie pożałuje jako kobiety, która odeszła od męża - przerwałam mu coraz bardziej rozdrażniona, ale wciąż patrzyłam w ziemię. - A już na pewno odrzuci mnie mój ojciec! Nikt nie zechce mi pomóc, bo to popsułoby stosunki Ghilzai i mojego plemienia! - Mówiłam coraz głośniej i w końcu umilkłam, zaciskając usta.

Zaledwie przed kilkoma godzinami przyrzekłam sobie, że nie będę traktować sahiba tak lekceważąco, a znowu zaczęłam to robić. Ale on wciąż zadawał mi pytania i zmuszał do mówienia, podczas gdy przez całe moje dotychczasowe życie kazano mi milczeć.

- Z tego, co mówisz lub czego nie mówisz, nie potrafię zrozumieć, dlaczego odeszłaś od męża. To jasne, że jesteś zdeterminowana i masz silny charakter. Z pewnością byłaś świadoma, że nie przetrwasz o własnych siłach. Nie miałaś żadnego planu i

nikogo, kto by ci pomógł? Skoro wiedziałaś, że nie możesz wrócić do domu, to dokąd chciałaś pójść? - spytał dociekliwie.

Ze zdenerwowania zabrakło mi tchu. Insynuował mi kłamstwo albo głupotę. Nie mogłam tego znieść. Spojrzałam mu w oczy.

- Sahib, czy ty słuchasz tylko siebie?! Jak sądzisz, dlaczego prosiłam cię, a raczej błagałam, żebyś mnie ze sobą zabrał?!

Dlaczego wyjechałam z mojego kraju i zgodziłam się pracować u tak ordynarnego człowieka jak Layak?! Czy sądzisz, że gdybym miała dokąd pójść, gdybym miała kogoś, kto udzieliłby mi schronienia, podróżowałabym do tego obcego miejsca, gdzie nie znam nikogo i moja przyszłość jest tak niepewna?! Owszem, jestem sama i nikt na mnie nie czeka. Nikt nie przejmuje się tym, że znikłam! - Powiedziałam to zbyt głośno i żałośnie, i zaraz tego pożałowałam.

- Nawet twoja babcia, o której wspominałaś? Czy nie mogłaby. ...

- Ona od wielu lat nie żyje, więc proszę cię, sahib, już więcej jej nie wspominaj - rzuciłam hardo, nadrabiając miną.

Ciągłymi pytaniami o to, czy ktoś się o mnie troszczy i czy jestem zupełnie sama, sprawił, że naprawdę czułam się teraz nic niewarta, nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Jestem pewien, że gdybyś przeprosiła swojego męża za to, co zrobiłaś, cokolwiek to jest...

Wstałam i zerwałam z twarzy chustkę. Miałam takie wypieki, jakbym znowu dostała gorączki.

- Sahib, mówisz niemądre rzeczy! Ty nic nie rozumiesz! Mój mąż brutalnie mnie bił, nieustannie! To wstrętny, okrutny człowiek! Ojciec sprzedał mu mnie, chcąc się pozbyć takiej córki! A wiesz, dlaczego sprzedał mnie temu nieznanemu podłemu Ghilzai?! Bo jako kobiety nic niewartej nie chciał mnie żaden Tadżyk! - zdawałam sobie sprawę, że krzyczę, ale nie przestałam. - A gdy mój mąż przekonał się, że jestem nic niewarta, bo nie urodziłam mu syna czy w ogóle dziecka, postanowił mnie zabić! Dlatego uciekłam! Uciekłam, by ratować życie, by żyć! Więc proszę cię, sahib, nie każ mi wracać do męża i go przeproszać! - Związałam rogi chustki w mocny węzeł i rzuciłam ją na podłogę między nas. - Ponowne spotkanie z mężem oznaczałoby dla mnie pewną śmierć w długich męczarniach! Rozumiesz teraz, sahib?!

Spoglądał na chustkę sztywny i pobladły, przez co jego blizna stała się bardziej widoczna. To, że był tak poruszony moją

opowieścią, w jakiś sposób mnie zadowoliło. Gdy podniósł wzrok, jego oczy wydawały się ciemniejsze na tle poblądłej twarzy. Teraz dostrzegłam w nich to, co Layak nazywał kobiecą miękkością. Ale to nie była miękkość, lecz po prostu smutek i współczucie. Layak był zbyt mało wrażliwy, by dostrzec tę różnicę.

Anglik otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. Ruszył do wyjścia, zatrzymał się i spojrzał na mnie. Stałam znieruchomiła, z zaciśniętymi dłońmi. Wyszedł.

Krażyłam po małej chacie Prity, zła nie tylko na niego, ale na cały świat. W końcu znowu rozboleła mnie głowa. Zgasłam lampy i próbowałam uspokoić oddech. Swym zachowaniem pozbawiłam się szansy dalszej pomocy ze strony Anglika. Jeśli brat Layaka mówił prawdę, to Hindus zmienił zdanie i postanowił nie brać mnie do siebie. Jeśli chodzi o sahiba, to był zdolny do współczucia, ale nie mogłam oczekiwać, że będzie dalej tolerował moje straszne, lekceważące zachowanie. Gdyby jutro wyrzucił mnie na ulicę, nie mogłabym go za to potępić.

Rzucalam się na posłaniu aż do świtu. Kilka razy podchodziłam do drzwi i wracałam do łóżka, czując, jak odzyskuję spokój i równowagę, niezbędne, żebym nabrała siły do walki z tym, co mogło mnie dziś czekać. Później stanęłam w drzwiach. Było mgliście, na trawie błyszczczała srebrzysta rosa, a na drzewach świergotały ptaki. W ogrodzie i na podwyższonej platformie za domem krzatali się służący. Nagle pojawił się na niej sahib z filiżanką. Tym razem był tylko w jasnych spodniach i białej koszuli, bez sztywnej części wokół kołnierza i jedwabnego szalika. Podnosząc filiżankę do ust, spojrzał w stronę chaty Prity. Gdy mnie spostrzegł, znieruchomił. Miałam odsłoniętą twarz i nie sięgnęłam po chustkę, żeby się zakryć. Po długiej chwili weszłam do środka.

Martwiąc się swoją sytuacją, nie czułam głodu, ale zjadłam cały ryż i owoce, które przyniosła mi Prita. Nie wiedziałam, czy tu jeszcze zostanę i czy wkrótce nie będę musiała sama zdobywać pożywienia. Prita uśmiechnęła się, jakby zadowolona, sprzątając puste talerze, i wróciła z ciepłą wodą do mycia. Ucieszyłam się, nie zobaczywszy na ciele śladu niedawnej wysypki.

Gdy rozczesywałam włosy drewnianym grzebieniem, który mi dała Hinduska, do chaty wszedł sahib. Wstydziałam się swojego wieczornego wybuchu i umierałam z obawy, że Anglik zaraz każe się

mi stąd wynosić. Ucieszyłam się więc, że już dłużej nie muszę na niego czekać. Odetchnęłam głęboko, ściskając w dłoni grzebień. Anglik spojrzał na moje rozpuszczone włosy, które sięgały mi do pasa, opadając na białą szatę.

- Sahib, sam widzisz, że czuję się już dobrze - oświadczyłam, choć wciąż byłam bardzo słaba.

Miał zaciśnięte usta. Podeszedł do okna i wyjrzał na bungalow.

- Sahib? - odezwałam się po chwili.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, jakby zapomniał, że tu jestem.

- Layak mnie nie weźmie. Wiem o tym - powiedziałam. Pokręcił głową.

- Źle oceniłem jego charakter i być może twój też - odparł.

Nie wiedziałam, czy to krytyka, czy komplement.

- Czy chcesz, sahib, żebym opuściła to miejsce? - spytałam.

- A dokąd byś ty poszła? W Multan nie byłoby ci ani trochę lepiej niż w Dżalalabadzie. Tamto miasto przynajmniej znajduje się w twoim kraju. Tu... - Chodził przede mną tam i z powrotem. - Nawet nie mówisz żadnym z tutejszych języków. - Rozmawiał czy może spierał się bardziej ze sobą niż ze mną. - Zawsze byłem... Podejmuję nieprzemyślane decyzje. Jestem... kim? - Powiedział jakieś angielskie słowo z taką pasją, że pewnie było to przekleństwo. - Robię wszystko bez poważnego namysłu, impulsywnie. Zawsze taki byłem.

- Tak jak ja mówię impulsywnie - wtrąciłam w nadziei, że odbierze moje słowa jako przeprosiny.

Zatrzymał się.

- Nie mogę cię tu zostawić. W Multan znam tylko gospodarzy tego domu, a oni nie mają dla ciebie pracy. Poprosiłem, żeby spytali innych, ale...

Skinęłam głową.

- Rozumiem - powiedziałam krótko.

- Muszę jechać do Bombaju. Mam tam zarezerwowane miejsce na statku płynącym do mojego kraju, do Anglii. Jeśli nie zjawię się w Bombaju na czas, będę musiał czekać dwa miesiące na następny statek. Jestem już poza krajem znacznie dłużej, niż planowałem, dobrze ponad rok. W domu spodziewają się, że przyplynę tym pierwszym statkiem.

- Do Bombaju? To też w Indiach? - zainteresowałam się.

- Tak. Daleko stąd, wiele tygodni podróży, a ja jestem tak... Urwał, ale wiedziałam, co chciał powiedzieć: że jest bardzo spóźniony, znacznie w tyle za swymi zamierzeniami, i że zmarnował dużo czasu; przeze mnie.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to znaczy czy gdybym znalazł kogoś, kto odwiózłby cię z powrotem do Dżalalabadu, pojechałabyś tam? - spytał.

Zastygłam w bezruchu.

- Wiem, że byś nie pojechała. Nie mogłabyś - odpowiedział sam sobie. - Przywiozłem cię tu i okazuje się, że w Multan nie masz czego szukać. Byłoby ci tu gorzej niż w Dżalalabadzie, bo Afganistan to przynajmniej twój kraj, w którym mieszkają twoi rodacy.

Znowu wydało mi się, że mówi bardziej do siebie niż do mnie.

- Jeśli więc nie możesz wrócić do ojczyzny ani zostać tu... Dużo o tym myślałem. - Gładził zawiązany pod szyją ciemnozielony jedwabny szalik, jakby dodawało mu to otuchy. - W Bombaju mam wielu przyjaciół. Wielu. Z pewnością znajdę tam dla ciebie miejsce i pracę w angielskim domu.

Czekałam, próbując ukryć zaskoczenie pod maską obojętności, ale było to trudne.

- Pojedziesz? - spytał ostrożnie. - Jeśli tak, musimy jutro wyruszyć. Wiem, że nie całkiem jeszcze wyzdrowiałaś, ale...

Zapadło milczenie. Za oknem któryś ze służących śpiewał cichym głosem, obcinając gałęzie drzew, jakieś dziecko wołało w hindi, a gdzieś w oddali ryczał wół. Czy pojadę do Bombaju? Staliśmy w tej małej chacie kilka kroków od siebie. Byłam zaskoczona, a zarazem skrepowana jego życzliwością. Po tym, jak okłamałam go w Dżalalabadzie, a ostatnio nie zapanowałam nad napadem złości i zuchwałością, nie mogłam zrozumieć, dlaczego troszczy się o moją przyszłość. Wydawał się nie tyle skrepowany, ile nieswój, jakby również on nie mógł zrozumieć, dlaczego komplikuje sobie życie i nadal mi pomaga. Dotarłam z tym mężczyzną tak daleko i nic złego mnie nie spotkało. Wydawało mi się, że nie mam innej możliwości, jak udać się z nim do Bombaju.

- Będę jutro gotowa do drogi - oświadczyłam bezbarwnym głosem. Nie zdołałam jeszcze uporządkować myśli dotyczących jego planu. - Dziękuję, sahib, również za to. Pochylił głowę i wyszedł. Wyjechaliśmy z Multan następnego dnia wcześniej rano. Trzęsło nas

niemiłosiernie, gdy posuwaliśmy się przez miasto wozem ciągniętym przez woły. Nie mogłam uwierzyć, że niedawno przybyłam tu taka chora, ledwie trzymając się w siodle, na wpół przytomna.

Wszędzie otaczały nas kolory. Po raz pierwszy zobaczyłam kobiety w czadorach, które nie były w odcieniach barwy ziemi, lecz szkarłatne, pomarańczowe i szafranowe, zwiewne, obszerne i plisowane. Niektóre fasony były zabawnie spiczaste. Zobaczyłam też Hinduski, które nie zasłaniały twarzy i ubierały się w piękne wielobarwne spódnice oraz oddzielne góry, bezwstydnie skąpe, ukazujące ręce i brzuch. Tkanina, z której zostały uszyte, była czasami przetykana złotą lub srebrną nicią. Hinduski często nie nosiły nakryć głowy, eksponując ściśle przylegające do głowy błyszczące włosy. Sahib przyglądał im się bez skrepowania.

Spojrzałam na swój strój. Prita wyposażyła mnie w różne rzeczy na podróż. Spakowała wszystkie do torby utkanej z wielobarwnych nici. Były wśród nich trzy koszule z długimi rękawami - kurty, jak je nazywała - sięgające mi do ud, jedna ciemnozielona, druga szaroniebieska, a trzecia subtelnie złota. Wokół szyi i rękawów były wyszyte koralikami i kolorowymi szklanymi paciorkami, a u dołu miały prosty haft.

- Są muzułmańskie - powiedziała, wręczając mi także trzy pary pasujących do kurt pantalonów.

Dostałam też nowe sandały z cienkiej skóry i dwie kwadratowe chusty - jedną ciemnopomarańczową z frędzlami, a drugą jasnozłotą. Prita powiedziała, że taka chusta nazywa się hidżab.

Włożyłam strój jasnozłoty, który doskonale pasował do mojej cery. Sprawilo mi to dużą przyjemność.

Prita wręczyła mi jeszcze drewniany grzebień, mydło i kawałki tkaniny do mycia się i wycierania, a także dwa olejki: jeden, który nazywała neem i który służył, jak mi pokazała, do smarowania się dla odstraszania owadów, i drugi, przeznaczony do pielęgnacji włosów, wzmacniający je i nadający im połysk. Na koniec zdjęła z nadgarstka kilka bransoletek i włożyła mi na rękę. Byłam wdzięczna Hindusce za życzliwość i uścisnęłam ją na pożegnanie.

Siedząc na wozie, trzymałam torbę między stopami. Był w niej cały mój dobytek, wszystko, co mogłam zabrać, jadąc tak daleko.

W mieście spostrzegłam dużo zwierząt i ptaków: od rozwrzeszczanych śmiałych papug i wspaniale upierzonych papużek

aleksandrett, trzymany w mosiężnych i drewnianych klatkach, po słonie pobrękujące dzwonekami przywiązany nisko do nóg. Słonie, monstrualnie wielkie stworzenia o pomarszczonej skórze, cierpliwie podążały wśród tłumu za swoimi właścicielami. Moją uwagę zwróciły też małe stworzenia o czarnych pyszczkach, zręcznych łapkach i długich, ruchliwych ogonach. Z pewnością były ulubieńcami ludzi, bo siedziały im na ramionach lub okręcały im ogony wokół szyi. Miały oczy jak paciorki, błyszczące i bystre. Czasami skrzeczały, domagając się czegoś, robiąc miny i obnażając drobne ostre ząbki.

Gdy wóz toczył się głównymi ulicami, zrozumiałam, dlaczego Layak nazwał Multan miastem świętych. Wszędzie było tu widać piękne meczety, inne świątynie i groby sufickich świętych. Mijaliśmy budynki, których nigdy dotąd nie widziałam. Wiele z nich zdobiły wzory powstałe dzięki odpowiedniemu ułożeniu cegieł, a inne mozaiki i barwne szkło. Okazałe domy miały wystające okna, czasami ozdobione fryzami ułożonymi z kafli pokrytych niebieskim szkliwem i pomalowane złotą farbą, wychodzące na rzeźbione balkony. Z niektórych dochodził zapach kadzidła, który z rozkoszą wdychałam.

Gdy zorientowałam się, że sahib na mnie patrzy, zdałam sobie sprawę, że przyciskam dłonie do piersi. - Jakie niezwykle miasto - powiedziałam. Skinął głową.

- Tak. Architektura jest tu naprawdę... niezwykła - zgodził się ze mną i wyciągnął rękę w stronę nakrytego kopułą meczetu, o oknach za marmurowymi kratami, ozdobionymi wzorem przypominającym o zawrót głowy. - To starożytne miasto. - Gdy wóz wtoczył się pod zakończone spiczasto, wysokie łukowe sklepienie, sahib dodał: - Przejeżdżamy przez Bramę Haram. Do miasta prowadzi sześć takich bram.

Przez chwilę myślałam o tym, jak wspaniale byłoby mieszkać w takim pięknym mieście, ale szybko przypomniałam sobie prostą chatę Layaka o rozpadających się ścianach, oknach bez okiennic i zakurzonej strzesze. To, co dziś oglądałam, było dla potężnych i bogatych. Jako służąca nie byłabym w takich budynkach mile widziana.

Przybyliśmy nad Indus. Sahib powiedział mi, że najpierw popłyniemy tą rzeką wiele mil do miasta Sukkur. Gdy na błotnistym brzegu wsiedliśmy do łodzi o płaskim dnie, przewiesiłam torbę przez ramię. Sahib niósł kilka skórzanych sakwojaży, w tym ze skóry

wielbłądziej, za dużo jak na jednego człowieka. Nie miał na sobie angielskiego ubrania, lecz, jak wcześniej, luźne bawełniane spodnie i kurtę, bardzo podobną do mojej, tyle że męską, uszytą z grubej bawełny w paski. Na głowę włożył biały longi. Znowu byłam zaskoczona tym, że gdy ma zakryte włosy, nie wygląda na białego cudzoziemca.

Usiedliśmy na niskich drewnianych skrzynkach przymocowanych do dna łodzi. U naszych stóp leżały worki wyładowane mango, granatami, pomarańczami, daktylami, papryką, bakłażanami i cebulą. Stały tam także klatki z kurczakami. W jednej ze skrzynek turlały się po dnie orzechy kokosowe. W rogach innej pobrzękiwały blaszane naczynia kuchenne. Od brzegu odepchnęli nas chłopcy, którzy podążali za łodzią, zręcznie manewrując długimi dragami. Śpiewali jakąś zwykłą prostą melodię.

Odwróciłam się, jak już kilka razy wcześniej, żeby spojrzeć na miejsce, z którego wyjeżdżałam i którego już nigdy więcej miałam nie zobaczyć. Wciąż nie potrafiłam określić, co czuję, gdy miasto stawało się coraz mniejsze, a głosy chłopców coraz bardziej donośne. Coraz bardziej oddalałam się od mojego domu, a faktycznie już go nie miałam. Ta świadomość była jak kopnięcie w brzuch przez Shaliqą, więc niemal zabrakło mi tchu. Czy tak czuła się moja babcia, gdy przenosiła się z miejsca na miejsce, przez cały czas poszukując wolności i zadowolenia z życia?

Rozdział XXIX

Łodzią płynęło piętnaście osób: sześć kobiet, w tym cztery Hinduski i, licząc mnie, dwie muzułmanki, oraz dziewięciu mężczyzn, w tym jeden muzułmanin, mąż bardzo młodej muzułmanki. Sahib był jedynym białym człowiekiem, ale czuł się wśród pozostałych swobodnie, jakby pochodził z ich kraju. Otwarcie go akceptowali, miał jakiś trudny do określenia autorytet, który nakazywał respekt. Obserwowałam, jak siedzi na klatce z kurczakami, w longi na głowie i hinduskim stroju, rozmawia i śmieje się wraz z pozostałymi mężczyznami. Jego białe mocne zęby kontrastowały z ciemną cerą. Wydawał mi się teraz bardziej rzeczywisty niż w chacie na tyłach wielkiego domu w Multan. Tam w swym obcisłym angielskim stroju stawał się sztywny jak biała kobieta, a nawet jego słowa wydawały się uszczypliwe. Ale może tylko miałam takie wrażenie, bo nasze rozmowy tam nie były przyjemne?

Żałowałam, że nie rozumiem, o czym rozmawiają kobiety. Niektóre uśmiechnęły się do mnie przyjaźnie i pozdrowiły mnie na powitanie. Niestety, mogłam tylko przepraszająco rozłożyć ręce. Muzułmanka o dużych bystrych oczach spytała mnie o coś, ale gdy odezwałam się do niej w paszto, a następnie w dari, tylko pokręciła głową.

Pierwszego dnia posuwaliśmy się rzeką leniwie płynącą zakolami przez rozległe równiny. Sahib usiadł przy mnie i powiedział mi, że najlepsza na podróż Indusem jest chłodniejsza sucha pogoda, właśnie dlatego, że rzeka płynie wolno i rozlewa się szeroko na płaskim terenie. Gdy natomiast robi się ciepło, przybiera i poszerza się, powodując powodzie, bo na północy zasila ją topniejący śnieg.

Było ciepło, niebo błękitne i bezchmurne. Chłopcy popychali dragami łódź tylko wtedy, kiedy dryfowała na płyciznach, a wieczorem ją zatrzymali. Przycumowali do słupków wbitych w ziemię na brzegu, zabili kilka kurczaków i udusili je z jarzynami na małych piecykach. Jedzenie było proste, ale od dawna nic mi tak nie smakowało. Położyłam się spać wraz z innymi kobietami w szałasie na rufie długiej łodzi, a sahib z mężczyznami w drugim.

Leżąc na macie, na łodzi łagodnie kołysanej falami, słyszałam nocne wycie szakali i pobrząkiwanie dzwoneczków wielbłądów w oddalonej od brzegu wiosce. Chłodne nadrzeczne powietrze, przesycone dymem ze spalanego wysuszonego łajna, przypomniało mi

moje życie z Ghilzai, ale po raz pierwszy od czasu ucieczki z obozu nie czułam strachu i smutku. Zastanawiałam się, czy pomimo tego, co wycierpiałam w ostatnich kilku latach, nie powinnam przyjąć tamtego życia jako zrzędzenia losu.

Następnego dnia płynęliśmy przez pustynię Cholistan. Na obu brzegach rzeki piasek zdawał się ciągnąć bez końca. Czasami mijaliśmy mężczyzn i chłopców łowiących ryby oraz kobiety zbierające twardą trzcinę, z której wyplatały koszyki. Na terenach, gdzie wykopano kanały w celu nawodnienia ziemi uprawnej, widziałam obsiane bawełną polećka w pobliżu wiosek. Wszędzie polatywały ptaki. Nie rozpoznawałam żadnego z nich. Wiedziałam tylko, że są to ptaki rzeczne. Nie było drzew, na których mogłyby siedzieć.

Nagle zobaczyłam najdziwniejszy widok pod słońcem. Stałam podekscytowana i wskazałam w tym kierunku palcem.

- Sahib! - krzyknęłam. - Spójrz! Co to jest?!

Wszyscy podążyli wzrokiem za moim palcem, a niektórzy kiwali głowami i mrużeli coś pod nosem.

, Anglik uśmiechnął się. - To delfin rzeczny - powiedział.

Rozbrykane stworzenie pływało i nurkowało w pobliżu łodzi. Nigdy jeszcze nie widziałam tak dużej ryby. Była wielkości barana, szarobrazowa. W pewnej chwili przekręciła się na bok i uniosła twardą płetwę, jakby nią machała. Miała różowy brzuch i długi wąski nos, bardziej podobny do dzioba niż do pyszczka ryby.

- Taka wielka ryba w takiej płytkiej wodzie - powiedziałam do sahiba.

Nagle pojawiły się inne takie ryby. Wszystkie baraszkowały i nurkowały wokół nas. Roześmiałam się i z zachwytem klasnęłam w dłonie, podobnie jak pozostałe kobiety. Gdy ponownie się odwróciłam, żeby spojrzeć na sahiba, spostrzegłam, że nie patrzy na ryby, tak jak wszyscy, tylko na mnie. Świadoma swego głośnego śmiechu, zamknęłam usta, choć były ukryte pod hidżabem, ale wciąż się uśmiechałam.

- Sahib, widziałeś te ryby wcześniej? - spytałam. Skinął głową.

- Delfiny rzeczne lubią zamulone wody Indusu w miejscach, gdzie rzeka płynie wolno. Ale spójrz na ich oczy. Z nadmiaru mułu te zwierzęta są niemal ślepe. Takie się rodzą - wyjaśnił.

Nieświadomie chwyciłam go za rękę, przechylając się przez burzę, żeby lepiej je widzieć i bez przeszkód obserwować. Rzeczywiście ich oczy były jak szparki z maleńkim otworkiem. Przyglądałam się im, dopóki nie znikły w wodzie. Wówczas usiadłam, zamknęłam oczy i zobaczyłam delfiny rzeczne jeszcze raz oczyma wyobraźni. Zapamiętałam ten widok na zawsze. Otworzywszy oczy, zorientowałam się, że wciąż trzymam sahiba za rękaw. Cofnęłam rękę, nie patrząc na niego.

Płynęliśmy już kilka dni. Codziennie rano budziłam się podekscytowana tym, co zobaczę. Nastął dla mnie czas nieoczekiwanego spokoju, siedzenia w przyjaznej ciszy z pozostałymi kobietami. Przypomniałam sobie swoje życie wśród kobiet Ghilzai, ich ciche towarzystwo i poczucie bycia częścią większej całości. Jakaż byłam samotna od chwili, kiedy uciekłam znad strumienia, ostrzeżona przez Faizę! Pomyślałam o swoim strachu, głodzie i pragnieniu, gdy przez te pierwsze dni po ucieczce ukrywałam się przed ludźmi, i o tym, jak niepewnie się czułam, kiedy błagałam sahiba, żeby mi pomógł. Ale nawet gdy zabrał mnie z Dżalalabadu do Multan, potrafiłam myśleć głównie o tym, co mnie czeka w domu Layaka.

Nadal powinnam czuć się niepewnie, bo nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać w Bombaju. Mimo to w pierwszych dniach podróży do tego miasta starałam się nie martwić o jutro, bo nie mogłam powrócić do przeszłości, musiałam iść naprzód. Wydawało mi się, że również sahib jest spokojny. Często się uśmiechał i z pogodnym wyrazem twarzy pisał coś w swojej oprawionej w skórę książce albo czytał te książki, które miał w bagażu. Ten jego spokój sprawiał, że rozmowa z nim wydawała mi się czymś naturalnym. Nadal zasłaniałam dolną część twarzy, ale nie uważałam już za konieczne spuszczać oczy, kiedy wymienialiśmy uwagi na jakiś temat.

- Sahib? Czy będę pasować do Bombaju? - spytałam go kiedyś po południu.

Odłożył książkę.

- Pasować? Co masz na myśli?

- Czy jest tam wielu muzułmanów, jak w Multan?

- W Bombaju żyją różni ludzie. Podoba mi się tam, bo nie jest tak... - szukał właściwego słowa - sztywno jak w Kalkucie czy w Madrasie, wielkich miastach na wschodzie Indii. - Przesunął palcami po okładce książki. - W Bombaju mieszka wielu Hindusów, Persów,

ludność napływowa z Gudżaratu i Europejczycy, jak na przykład Portugalczycy z Goa, no i oczywiście Brytyjczycy.

Nie potrafiłam sobie przyswoić tych wszystkich zaskakujących informacji. Wszystkie nazwy, jakie wymienił, od razu wyleciały mi z głowy. Były jak pstrokate papugi, szybko odtruwające z drzew.

- Nic nie wiem o wszystkich tych ludziach, z wyjątkiem Hindusów - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Parsowie pochodzą z Persji, z której wyjechali dawno temu. Teraz cieszą się w Bombaju wielkim szacunkiem, bo prowadzą interesy i są bardzo otwarci na wpływy europejskie, chętniej niż Hindusi przyjmując europejską moralność i etykę pracy. Ale Anglicy wolą kontakty z muzułmanami, gdyż wierzymy w jednego Boga, to znaczy chrześcijańskiego - uniósł brwi - tak jak wy wierzycie w jednego.

Zawstydziłam się w duchu. Wierzyłam w Allaha, ale czy jeszcze Go wzywałam? Modliłam się chyba raczej do czegoś, czego nie potrafiłam określić. Wierzyłam w dobroć Allaha i w to, że modlitwa do Niego tyłu Jego wyznawcom przynosi pocieszenie, chociaż nie mnie. Zmieniałam się bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę.

- Wielobóstwo Hindusów drażni naszą zbyt czułą na swoim punkcie wiarę - wyjaśnił ze śmiechem, który zabrzmiał dla mnie lekceważąco.

Pragnęłam zapytać o jego chrześcijańskiego Boga, ale nie chciałam mu przerywać.

- Europejczycy to obcy przybysze. Żyją więc w Bombaju ci wszyscy ludzie z ich różnymi religiami i językami, ale utrzymują ze sobą pokojowe stosunki. - Przerwał i spojrzał mi w oczy. - Jak powiedziałem, panuje tam większa swoboda niż w innych miastach Indii. Sądzę, Daryo, że będzie to dla ciebie dobre miejsce. Może znajdziesz...

- Znajdę co? Wzruszył ramionami.

- A co chciałabyś znaleźć? Co dałoby ci szczęście? Dotychczas nikt mnie o to nie spytał. Pomyślałam o tym, co mówiła moja babcia, że ludzie niezadowoleni muszą poświęcić dużo czasu na poszukiwanie szczęścia.

- Chciałabym mieć poczucie przynależności - odpowiedziałam ogólnikowo.

- Jak wszyscy - odparł z dziwnym uśmiechem.

- Ale jeśli mówisz, sahib, że twoim krajem jest Anglia, to do niej przynależysz - uściśliłam.

- Czy rzeczywiście? Sam nie wiem. Wydaje mi się, że nie potrafię nigdzie zapuścić korzeni. A ty, czy chciałabyś przynależeć tak jak kiedyś, gdy mieszkałaś w swojej wiosce czy ze... swoim mężem?

Pokręciłam głową.

- Nie pasowałam do mojej wioski. Nie zachowywałam się tak, jak powinnam. Zawsze ściągałam na siebie kłopoty - wyznałam szczerze.

Uśmiechnął się rozbawiony.

- Potrafię sobie wyobrazić, jakim byłaś dzieckiem.

Jego uśmiech i słowa świadczyły o tym, że nie uważa mojego nieposłuszeństwa i złego zachowania w dzieciństwie za poważne wykroczenia. Pomyślałam o głębszych zmianach, jakie we mnie zaszły wraz z pojawieniem się w naszym domu Sulimy. Sposepniałam, przypominając sobie ten trudny okres w moim życiu, i sahib przestał się uśmiechać.

- Również nigdy nie przynależałam w pełni do Ghilzai, plemienia mojego męża. Chciałam przynależeć i niektórzy tam mnie zaakceptowali, ale generalnie ich rozczarowałam, a zwłaszcza mojego męża - ciągnęłam.

- Ty go rozczarowałaś? Ty? - powtórzył, jakby nie mieściło mu się to w głowie.

Potaknęłam i odwróciłam się. Nie chciałam już więcej myśleć o Sulimie i Shaliqu.

Pod Sukkur rzeka się zwężyła. Wzdłuż brzegu rosły tu gaje palm daktylowych i eukaliptusów, a nad wodą było zacumowane mnóstwo łodzi. Kiedy się zatrzymaliśmy, czekały już na nas wozy zaprzężone w woły. Hindusi pospieszyli do jednego z nich, rozmawiając z ożywieniem, a Hinduski machały do mnie. Sahib wyjaśnił mi, że przybyli tu z pielgrzymką do grot i świątyń znajdujących się poza miastem. Dodał, że wiele osób odbywa tam pielgrzymki.

Czekałam wraz z młodziutką muzułmanką, kiedy jej mąż i sahib pojechali do miasta innym wozem. Po kilku godzinach wrócili konno, prowadząc dwa dodatkowe konie. Wsiadłyśmy i szybko ruszyliśmy drogą prowadzącą z Sukkur, aż dogoniliśmy niewielką karawanę.

- Słyszałem, że ta grupa wyruszyła dziś do Karaczi. Lepiej nie wybierać się tą drogą samemu - powiedział mi sahib.

Zostawił mnie z muzułmańskim małżeństwem i podjechał do karawany złożonej z trzech białych kobiet, pięciu białych mężczyzn i trzech Hindusów. Ci ostatni byli stajennymi i wieźli zapasy na silnych kucykach z Pegu o zmierzwionych grzywach. Do nich należało także rozbijanie obozu i gotowanie posiłków.

Rozpoczęliśmy podróż do Karaczi. Sahib nie zachowywał się już wobec mnie tak swobodnie jak na barce. Sprawiał wrażenie, że nie wie, jak ma mnie traktować. W jego żyłach płynęła afgańska krew i miał na sobie miejscowy strój, ale ponad wszelką wątpliwość był Anglikiem. Przez cały pierwszy dzień jechał razem z białymi kobietami i mężczyznami, choć często zerkał przez ramię do tyłu, gdzie podążałam wraz z muzułmańskim małżeństwem i stajennymi.

Wieczorem stajenni przygotowali dla nas posiłek i z mat uplecionych z liści palmy daktylowej zbudowali dwa maleńkie jakby szałas, jeden dla muzułmańskiego małżeństwa, a drugi dla mnie. Potem owinęli się cienkimi szalami, które w dzień nosili na ramionach, położyli się na ziemi w pobliżu koni i od razu zasnęli.

Sahib zjadł posiłek wraz z pozostałymi białymi i podszedł do mnie. Wstałam na jego widok.

- Jesteś zdrowa? - spytał, przestępując z nogi na nogę.

- Tak, sahib - odpowiedziałam, czując, że powinnam spuścić oczy, bo z jakiegoś niewiadomego powodu byłam tak samo jak on zakłopotana, ale tego nie zrobiłam.

Spojrzał na prymitywny szałas z mat.

- A ty, sahib, dobrze się czujesz? - odwzajemniłam się. Skinął głową.

Było to jak spotkanie obcych ludzi, pomimo całego tego czasu, który razem spędziliśmy, kiedy Anglik widział mnie w różnych sytuacjach.

- Tak, tak - potwierdził, powiedział mi dobranoc i poszedł spać do jednego z daków - małych prostych budynków, które stały przy drodze, najwyraźniej zbudowane dla białych podróżujących tą trasą.

Przez całą drogę do Karaczi było tak samo. W ciągu dnia nie rozmawialiśmy ani do siebie nie podchodziliśmy. Dopiero wieczorem po posiłku sahib zjawiał się przy mnie i pytał, jak się czuję. Zawsze odpowiadałam, że dobrze, a wtedy mówił mi dobranoc i wracał do

swoich. Ale starałam się nie rozpamiętywać tego zachowania, choć byłam nim dziwnie dotknięta i nie cieszyłam się już tym etapem podróży tak jak wcześniejszym. Miałam jednak co podziwiać i czym się interesować.

Zwróciłam uwagę, jak wcześniej już, gdy jechaliśmy z Dżalalabadu do Multan, że Anglik doskonale panuje nad koniem. On i jego wierzchowiec poruszali się tak, jakby byli ze sobą zrośnięci czy rozumieli się nawzajem. Zapewne sahib odziedziczył talent do jazdy konnej po swym afgańskim ojcu, bo żaden z pozostałych Anglików nie wydawał się tak doskonałym jeźdźcem.

Białe kobiety siedziały na koniach w dziwnej pozycji. Ich siodła znajdowały się z boku, tak że musiały trzymać nogi po jednej stronie, zgięte w kolanach. Byłam zaskoczona, że potrafią jechać w równym tempie, siedząc na koniu tak dziwnie. Jednakże poruszały się swobodnie w swych licznych spódnicach i zdumiewających nakryciach głowy. Zarówno Anglicy, jak i Angielki nosili kapelusze z białej twardej substancji, przypominające kształtem odwróconą miskę nasuniętą na czoło. Jedna z kobiet ozdobiła swój skórą węża i piórkami. Rozbawiło mnie to. Druga muzułmanka też miała roześmiane oczy, gdy obie po raz pierwszy spojrzaliśmy na tę damę.

Często zatrzymywaliśmy się w gajach, gdzie nad strumieniami w piaszczystej ziemi rósł palisander indyjski o twardej korze. Jego duże skórzaste liście dawały dobrą ochronę przed słońcem. Z gałęzi zwisały prostokątne płaskie strączki, a w koronach gnieździły się drapieżne ptaki o białych dziobach. Tą uczęszczaną drogą o głębokich koleinach podążało wielu podróżnych: na koniach, wielbłądach i wozach ciągniętych przez woły. Niektóre białe kobiety niesiono na płaskich łózkach wymoszczonych poduszkami i wyposażonych w zasłonę zawieszoną wokół na wysokiej drewnianej konstrukcji słupków i poprzecznych belek. Zasunięta zasłona chroniła podróżne przed kurzem, ale też zasłaniała im widok. U dołu łóżka z każdego rogu wystawały rączki, za które trzymali czterej niosący je mężczyźni. Czasami zatrzymywali się w tym samym ocienionym miejscu co nasza grupka. Wówczas podróżne wysiadały ze swych małych klatek, poruszając się niezdarnie, bo miały zeszywniałe stawy i poobijane ciała. Zastanawiałam się, dlaczego wybrały ten środek transportu. Było o wiele wygodniej jechać konno, zamiast skazywać się na

całodzienne trzęsienie w twardym drewnianym pudle, gdy tragarze szli wąskimi ścieżkami przez gaje i grząskie tereny.

Czasami mijali nas tubylcy na koniach. Wyglądali groźnie i popatrywali na białych mężczyzn gniewnie i podejrzliwie. Zrozumiałam, dlaczego sahib powiedział, że tym szlakiem lepiej jest podróżować w grupie.

Z przyjemnością spoglądałam na bujne zielone listowie wysokich drzew, w którym spostrzegałam niebiesko, żółto i czerwono upierzone papugi oraz inne kolorowe ptaki. Nad strumieniami pochylało się bydło, stojąc po kolana w błocie. Czasami na grzbietach tych zwierząt siedziały białe ptaki. Przykucnięte w pobliżu kobiety robiły pranie, miarowo uderzając praną odzieżą o kamienie. Znałam ten rytm i wiedziałam, jak ciężka jest mokra tkanina. Zastanawiałam się, ile to już czasu upłynęło, od kiedy przestałam być kobietą taką jak one. Właściwie niewiele, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło w moim życiu, wydawało mi się, że było to bardzo dawno.

Wciąż o tym myślałam, kiedy rozbiliśmy na noc obóz i położyłam się spać, oddzielona od muzułmańskiego małżeństwa matą z liści palmy daktylowej. W obozie panowała już cisza, jeśli nie liczyć cykania świerszczy, i dobrze słyszałam szelest ubrań za matą. Mężczyzna i kobieta zachowywali się dyskretnie, niemal przez cały czas milcząc, ale wiedziałam, co robią, i leżałam nieruchomo, wstrzymując oddech. Dziwnie podniecały mnie dochodzące zza maty odgłosy, choć nie tyle sam akt seksualny, ile szepty, jakie po nim następowały. Najwyraźniej muzułmańskie małżeństwo łączyła przyjaźń; rozmawiali serdecznie, tłumiąc śmiech, żeby nikogo nie obudzić.

Zasłoniłam dłonią zamknięte oczy. Kim teraz byłam jako kobieta? Nie miałam nic swojego. Od innych kobiet odróżniały mnie tylko halhal nad stopą i harqus na czole, oznaczające, że jestem mężatką. A przecież nie byłam już żoną. Prawdopodobnie już nigdy nie miałam doświadczyć fizycznego zespolenia z mężczyzną. Współżycie z Shaliqiem napawało mnie wstrętem, lecz przecież wiedziałam, że akt seksualny może wyglądać całkiem inaczej. Jeśli uczestniczyła w nim dobra kobieta, to wcale nie musiał przebiegać tak, jak powiedziała mi matka: bez przyjemności i spełnienia. Jej egzystencja była pełna ograniczeń. Matka nigdy nie przywiązywała wagi do swoich pragnień. Tak bardzo wierzyła w słuszność życia, które prowadziła, w potrzebę

wcielania w czyn wszystkiego, co jej zdaniem miało służyć zadowoleniu Allaha i własnego męża. Lecz czy ona czerpała z tego jakieś zadowolenie?

Słuchałam, jak muzułmanka szepce do męża coś, czego nie rozumiałam, i pragnęłam się dowiedzieć, co ona wie i czuje. Bolesnie zawiedziona, nie potrafiłam już zasnąć. Usiadłam w wejściu do szałasu i spoglądałam na księżyc i gwiazdy, dopóki nie zgasły. W końcu nadszedł mglisty poranek, pokrywając wszystko rosą, która migotała w pierwszych promieniach słońca jak robaczki świętojańskie. Miałam nadzieję, że wraz z nastaniem dnia uwolnię się od posepnego nastroju, w który popadłam w czasie tej samotnej nocy, kiedy mimo woli dowiedziałam się, co znaczy miłość między kobietą a mężczyzną, uczucie, którego nigdy nie zaznałam.

Im bardziej posuwaliśmy się na południe, w kierunku Karaczi, tym powietrze stawało się suchsze, upał się wzrósł, a słońce przypiekało mocniej. Często przebywaliśmy wiele kilometrów w milczeniu, ale nieustannie towarzyszyło nam brzęczenie owadów i łopotanie skrzydeł sępów. Czasami widziałam zbierające się nad horyzontem białe obłoki, które wolno płynęły po niebie i rozpraszały się. Mijaliśmy oddalone od szlaku wioski, meczety o strzelistych wieżach i nakryte kopułami świątynie, wyglądające jak miniaturki. Gdy przejeżdżaliśmy na tyle blisko ludzkich siedzib, że psy wyczuwały nasz zapach, ujadły zaciekle lub strasznie wyły, jakby zobaczyły zjawy, a ich jazgot było słychać w całej okolicy.

Pewnego popołudnia, gdy znaleźliśmy się w pagórkowatym terenie, powietrze nagle się zmieniło. Wciągnęłam je głęboko do płuc. Było świeże i wilgotne. Poczulałam prawdziwą ulgę po wielu dniach udreki, kiedy do ust i nosa wpadał mi gryzący kurz. Wjeżdżaliśmy na wzgórze. Na szczycie zatrzymaliśmy konie i zapatrzyliśmy się na rozpościerający się przed naszymi oczami widok.

To było Karaczi, położone na łagodnym wzniesieniu nad morzem. Po jednej stronie miasta rósł ogromny las namorzynowy, przez który trzeba by się przedzierać wiele dni, a po drugiej płynęła szeroka rzeka, stanowiąca naturalną zapórę. Miasto otaczała drewniana palisada, a teren wokół niego był błotnisty. Z tej odległości palisada wydawała się co najmniej trzykrotnie wyższa od człowieka. Od naszej strony była w niej tylko jedna brama. Druga musiała być nad rzeką. Zdobycie takiego miasta byłoby bardzo trudne. A za

miastem ciągnęło się morze. Zobaczyłam morze po raz pierwszy w życiu. Byłam jak zahipnotyzowana jego widokiem: ogromem i pięknem wodnej tafli złocącej się w blasku słońca. Ze wzruszenia łzy napłynęły mi do oczu. Cieszyłam się, że znajduję się z tyłu za muzułmańskim małżeństwem. Nie chciałam, żeby ktokolwiek zobaczył moje łzy i wziął je za oznakę słabości. Nie mogłam oderwać oczu od tej błyszczącej powierzchni, gdy zjeżdżaliśmy ze wzgórza, a następnie wjeżdżaliśmy na łagodne wzniesienie, na którym rozciągało się Karaczi.

Wjechaliśmy przez bramę do miasta, gdzie uderzył mnie widok żołnierzy i białych, których tak wielu w jednym miejscu jeszcze nie widziałam. Muzułmańskie małżeństwo odłączyło się od nas. Pożegnałam się z młodziutką kobietą serdecznie, bo choć nie mogłyśmy ze sobą rozmawiać, polubiłam jej towarzystwo. Podążyłam za sahibem i pozostałymi osobami do wysokiego kamiennego budynku. Przed wejściem stajenni otrzymali zapłatę i odeszli wraz z końmi, a biali porozmawiali przez chwilę z sahibem i weszli do środka.

- Stąd udamy się morzem do Bombaju znacznie większą barką niż ta, którą dotarliśmy do Sukkur. Odpływa jutro, więc spędzimy noc w Karaczi. Zabiorę cię w pobliże portu, gdzie znajdę ci pokój, w którym zamieszkasz wraz z tubylczymi kobietami - poinformował mnie sahib.

Mówiąc to, nie patrzył na mnie. Nadal było tak samo jak w czasie naszej podróży z Sukkur do Karaczi. Dzielące nas różnice wydawały się absolutnie oczywiste. Nie chodziło o różnicę płci, lecz koloru skóry i pozycji społecznej.

Jechaliśmy przez miasto skrzypiącym wozem ciągniętym przez woły. Zwróciłam uwagę, że jest tu wiele kamiennych budynków, ale zupełnie nie przypominały tych, które widziałam w Multan. Tutejsze były nowsze, kwadratowe i pozbawione ozdób, jakby wznosząc je, kierowano się względami praktycznymi, a nie pięknem. Nie rozumiałam, dlaczego jest tu tylu żołnierzy, choć spoglądając w stronę morza, zobaczyłam stojące na ziemi ogromne tofangi, przy których piętrzyły się ciężkie czarne kule wielkości dojrzałego melona.

W miejscu, które sahib nazwał portem, zatrzymaliśmy się przy wysokim drewnianym budynku, niemal białym z powodu przesyconego solą powietrza. Tam sahib kupił chapati z ciecierzycą i

papryką oraz lepiące się słodczyce na dużym zielonym liściu. Wręczył mi jedzenie i poszedł ze mną po schodach do pokoju, w którym przebywało już wiele tubylczych kobiet i dzieci. Zatrzymał się w drzwiach.

- Przyjdę po ciebie jutro - powiedział i skinął głową.

Uderzyło mnie panujące tu gorąco. Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, stwierdziłam, że w jedynym oknie znajduje się zakrzywiona krata. Zaniepokoiło mnie to. Odwróciłam się, chcąc spytać Anglika, po co ta krata i kiedy on jutro po mnie przyjdzie, ale już go nie było. Wybiegłam na schody pełne idących na górę i schodzących na dół mężczyzn i kobiet. Nie odważyłam się za nim pójść, bo bałam się, że nie trafię z powrotem do noclegowni. Ściemniało się już, ale w pomieszczeniu nie zauważyłam lampy. Stały tam tylko rzędy gołych prycz i trzy wiadra wody, a w każdym unosił się na powierzchni cynowy kubek. Panował okropny hałas, bo kobiety głośno rozmawiały, dzieci krzyczały, a na schodach rozlegały się kroki wchodzących i schodzących osób. Usiadłam na pryczy i zjadłam posiłek, niemal nie czując smaku. Kobieta zajmująca pryczę obok mnie zakryła twarz i płakała. W pokoju zaczęło cuchnąć, gdy kolejne osoby załatwiały się do zamykanego wiadra, ukrytego za kotarą. Z powodu upału panował straszny zaduch. Czułam się tak, jakby smród i gorąco oblepiały mi twarz. Oddychałam z trudem. W końcu kroki na schodach ucichły i dzieci oraz kobiety zasnęły, z wyjątkiem tej jednej obok mnie, która wciąż płakała. Położyłam się. Zza kotary docierało do moich uszu oszalałe bzyczenie much, a z portu nieustanne szczęknięcie metalu i ochryple krzyki wielu mężczyzn, rozlegające się ponad ciągłym zgrzytaniem, łomotaniem i piszczaniem, które było jak rozbijające się o brzeg i wciąż powracające fale.

Czułam się tu coraz bardziej niespokojna, jakby lada chwila moje życie miało się rozpaść na kawałki. Zdałam sobie sprawę, że się boję. Serce zaczęło mi łomotać. Taki paniczny strach paraliżował mnie, gdy samotna i zagubiona, przedzierałam się przez las i wzgórza po ucieczce od Shaliqą. Teraz przebywałam w dziwnym miejscu, znowu odizolowana od ludzi, bo nie mogłam tu nic do nikogo powiedzieć czy zrozumieć nawet najprostszego zdania. I nie miałam pieniędzy, nawet na jedzenie. Co się ze mną stanie, jeśli sahib nie wróci? Co, jeśli ktoś go napadnie i zabije, porzuci na jednej z tych brudnych ulic, którymi tu przyjechaliśmy? Co, jeśli nagle postanowił, że nie zabierze mnie do

Bombaju, i wsiadł już na płynący tam statek? Próbowałam sobie wyobrazić jego zatroskaną twarz, kiedy rozmawiał ze mną w chacie w Multan, i pogodnie uśmiechniętą w łodzi. Ale teraz przebywał z tyloma innymi Anglikami. Co, jeśli uznał, że popełnił błąd, zabierając mnie z Dżalalabadu? Jeśli zamierzał mnie gdzieś zostawić, to tylko tu.

Rzuciałam się na łożku przez całą tę koszmarną noc, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. O świcie wstałam zmęczona i lepka od potu. Podeszłam do zakratowanego okna. Nigdy jeszcze nie znajdowałam się tak wysoko nad ziemią. Gdy spoglądałam w dół na ludzi, zwierzęta i wozy w porcie, zaczęło mnie mdlić. Widok morza zasłaniały mi budynki. Na krawędzi dachu znajdującego się na wprost okna siedziało stado wron. Unosiły skrzydła i otrząsały się. Zatłuszczone pióra sterczały z ich dużych ciał jak kolce. Ptaszyska krakały, jakby obwinały Allaha o swój los.

Kobiety wychodziły z pokoju po dwie lub trzy, zabierając dzieci i bagaże. Byłam w panice. Nie wiedziałam, czy lepiej będzie cierpliwie czekać na sahiba, czy też wyjść razem z nimi. Może one też udawały się na statek? W końcu w pokoju została tylko ja. Czekałam i czekałam, siedząc prosto i próbując oddychać spokojnie, przygotowując się na to, co zrobię, jeśli sahib nie przyjdzie. Gdy na schodach rozległy się ciężkie głośnie kroki, podbiegłam do drzwi. Z góry schodził cudzoziemiec, ale nie ten, który się mną opiekował. Nawet na mnie nie spojrzał, wyraźnie się spieszył. Niósł duży pakunek, którym potracił mnie w łokieć i udo.

Wróciłam do pokoju. Dręczyło mnie pragnienie. Wypiłam resztkę wody z wiadra, ciepłej i nieświeżej. Powiedziałam sobie, że sahib przyjdzie, gdy wrony przestaną krakać. W końcu odleciały z dachu, łopocząc silnymi skrzydłami, a on wciąż nie nadchodził. Do sali weszła kobieta w podartym sari i zaczęła wolno zamiatać podłogę między pryczami, nucąc cicho. Wydawało się, że mnie nie dostrzega, tak jak wcześniej mężczyzna na schodach. Czyżbym stała się niewidzialna? Chodziłam między pryczami, licząc kolejne przejścia. I znowu sobie powiedziałam, że sahib przyjdzie, gdy policzę do dziesięciu, a następnie do dwudziestu i do trzydziestu, ale nadal się nie zjawiał.

Kobieta pozamiatała, ostrożnie wzięła zza kotary wiadro i wyszła. Usiadłam na pryczy, podciągnęłam kolana pod brodę i oparłam głowę na rękach. Teraz już wiedziałam, że sahib nie przyjdzie.

Z oddali dobiegło wezwanie muezina do południowej modlitwy. Na schodach znowu rozległy się kroki. Zapanowałam nad odruchem, żeby podbiec do drzwi, jak robiłam już pięć razy. Spoglądałam na drzwi, modląc się, żeby to był sahib. I moje życzenie się spełniło. Gdy wszedł do pokoju, aż podskoczyłam.

- Chodź - powiedział z uśmiechem. - Wszystko w porządku, ale musimy się pospieszyć.

Poczułam taką ulgę, że przepełniła mnie radość, ale po chwili zawrzałam gniewem.

- Mówisz, sahib, że wszystko w porządku? - spytałam z wyrzutem, ściskając torbę. - Właśnie minęło południe, a ja czekałam tu sama, nie wiedząc...

Zmarszczył brwi.

- Sprawilo ci to kłopot? Wyrządziło jakąś szkodę? - spytał, nie pozwalając mi dokończyć, jakby nagle zbity z tropu, najwyraźniej nieświadomy tego, jak się martwiłam. Tym razem miał na sobie angielskie ubranie. Odciągnął sztywny kołnierzyk, jakby był za ciasny.

- Nie - odpowiedziałam cichym głosem. - Ale... nie wiedziałam, gdzie jesteś, sahib. Potrafię się sobą zająć, kiedy wiem, co mam robić, czego mogę się spodziewać. Ale tu... Pomyślałam sobie... Nie wiedziałam, czy wyjechałeś... - Nagle poczułam się zakłopotana, że zachowuję się tak dziecinnie, i wzięłam chustę, chcąc zasłonić twarz, ale mnie powstrzymał, chwytając za róg.

- Trudno było dostać bilety. Mieli już komplet pasażerów. Musiałem czekać kilka godzin i tłumaczyć... - powiedział z lekkim rozdrażnieniem. - Nie mogłem przyjść wcześniej. Nie sądziłem, że będziesz się martwiła. - Rozejrzał się po pustym pokoju. - Powiedziałem ci, że przyjdę.

Poczułam się zawstydzona.

- Powinnam nauczyć się języka kraju, w którym mam zamieszkać. To upokarzające nie móc się z nikim porozumieć - powiedziałam i ruszyłam po schodach, a on za mną. Teraz byłam zła na siebie.

Rozdział XXX

- Dołączyliśmy do osób stojących w kolejce do wejścia na statek. Z wyjątkiem kilku żołnierzy, widzieliśmy samych tubylców. Nie rozmawialiśmy. Było mi przykro, że rozzłościłam sahiba. Szedł sztywno i nie patrzył na mnie, gdy zmierzaliśmy do kolejki. Tubylcy rozstąpili się przed nim, chcąc go przepuścić na początek, ale pokręcił głową. Ich zachowanie uświadomiło mi, jaką potęgą są w Indiach Anglicy. Przypomniałam sobie angielską pieśń. Tubylcy spoglądali na mnie z ciekawością, zorientowawszy się, że jestem z sahibem.

W końcu znaleźliśmy się na długim drewnianym pomoście, który prowadził na statek oczekujący na odpłynięcie z zatłoczonego portu. Była to ogromna łódź o wysokich, wznoszących się do nieba masztach, na które naciągnięto białe płótno. Na pokładzie stały po bokach drewniane ławki. Prowadziły stamtąd schody na wyższy i niższy poziom. Gdy staliśmy na lekko kołyszącym się pokładzie, nagle poczułam pod stopami dziwną wibrację. Wychodziliśmy wolno w morze, jakby poruszani siłą mięśni niewidocznych wioślarzy. Białe płótno nad nami wydymało się i łopotało jak wielkie ptasie skrzydła. Nie rozumiałam, dlaczego statek płynie z taką łatwością, choć wiedziałam, że częściowo jest to zasługa wiatru dmącego w białe płótno.

Tego dnia sahib nauczył mnie wielu angielskich słów odnoszących się do statku, takich jak para, żagle, kominy, silniki, pokłady, kajuty, mesa i marynarze.

- To jest mały parowiec, który regularnie kursuje po tym morzu - Morzu Arabskim - między Karaczi i Bombajem, przewożąc... Nie znam perskiego słowa. Chodzi o listy, które ludzie do siebie piszą - objaśnił mi.

Siedzieliśmy obok siebie na ławce. Wskazywałam części statku, on mówił mi, jak się nazywają, a ja jak dziecko powtarzałam za nim kolejne słowa. Ale nie czułam się jak dziecko. Sahib wydawał się zadowolony, że interesuję się takimi rzeczami. Uśmiechał się i kiwał głową, gdy wymawiałam angielskie nazwy. Poczułam ulgę, że już się na mnie nie gniewa. Zaskoczyło mnie, że mi zależy, by nie był ze mnie niezadowolony.

- Gdy zamieszkas w Bombaju, szybko nauczysz się hindi - powiedział, jakby odpowiadał na moje wcześniejsze narzekania, że nie znam miejscowego języka.

- Podoba mi się angielski - odparłam, wolno i wyraźnie powtarzając słowa, których mnie nauczył: sails, sailors, deck...

Roześmiał się, ale nie kpiąco, lecz przyjaźnie. Traktował mnie teraz tak samo jak wtedy, gdy płynęliśmy barką z Multan do Sukkur. Wiedziałam, dlaczego: bo nie było tu innych Anglików, jeśli nie liczyć paru obojętnych żołnierzy, którzy byli zbyt pochłonięci grą kolorowymi kostkami, żeby chcieć go osądzać. Nagle przyszło mi do głowy, że być może chronił mnie w ten sposób przed niepochlebnyimi opiniami Anglików i znajdujących się na pokładzie kobiet.

- Nauczysz się angielskiego, gdy zaczniesz pracować. Każda memsahib wymaga od swoich służących, żeby choć trochę znali angielski - dodał.

Znowu ogarnęły mnie rozmaite obawy. Próbowałam sobie wyobrazić, co się stanie, gdy ten Anglik zostawi mnie w obcym mieście, u nieznanym mi ludzi.

- Jak długo płynie się stąd do Bombaju? - spytałam.

- Dziesięć dni, jeśli wszystko idzie zgodnie z planem - usłyszałam w odpowiedzi.

Miałam jeszcze dziesięć dni. Dziesięć.

Posiłki podawano w ciągu dnia i wieczorem na stołach w dużej sali na wyższym poziomie nad pokładem. Sahib i żołnierze spali tam w swoich kajutach, a ja wraz z tubylcami w sznurowych łózkach pod pokładem, w jednej dużej sali przedzielonej kotarą na dwie części - dla kobiet i mężczyzn. Statek nie zatrzymywał się ani na chwilę. Dochodzące z dołu buczenie miało swój rytm jak dodająca otuchy muzyka.

Byłam tak podekscytowana, że pierwszej nocy nie mogłam spać i wyszłam na pokład, chcąc obejrzeć gwiazdy i odbicie księżyca w pomarszczonej wodzie, które falowało i wydłużało się, jakby rozpadając się na części.

Cały następny dzień spędziłam na pokładzie, siedząc na ławce lub stojąc oparta o burzę. Obserwowałam zmieniającą się linię brzegową i powtarzałam w myślach angielskie słowa, których się nauczyłam. Być na morzu! Płynąć wraz z orzeźwiającym wiatrem, który dawał przyjemny chłód, wzdłuż brzegu porośniętego bujną roślinnością lub najeżonego skałami! Pod wpływem łagodnego kołysania statku poczułam się odprężona, a widok wody - zawsze w ruchu i zawsze tej samej - działał na mnie uspokajająco.

Dołączył do mnie sahib i razem oglądaliśmy wybrzeże. - Podoba ci się morze? - spytał.

Skinęłam głową.

- Spodobało mi się zwłaszcza kołysanie statku, gdy spałam dziś w nocy - odrzekłam.

- Nie spodziewają się burz. Podróż powinna przebiegać pomyślnie, bez zakłóceń - powiedział.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, ale nie było w nim żadnego skrepowania.

- Podróżowanie po świecie to moja pasja - wyznał z uśmiechem, wciąż spoglądając na fale. - Czuję spokój tylko wtedy, gdy jestem w drodze.

- Jak nomada - skomentowałam.

Uśmiechnął się szeroko i przechylił głowę, patrząc na mnie.

- Jak nomada - przytaknął.

Byłam przekonana, że myśli o tym samym co ja: które z nas jest w większym stopniu nomadą?

- A więc twoja pasja, sahib, przynosi ci spokój - powiedziałam.

- Tak sądzę.

Spojrzałam na fale, poszukując odpowiednich słów, których dawno temu nauczyła mnie babcia. Wyrecytowałam:

Pasja odnawia moc starego lęku, odcina konar znużenia. Pasja to eliksir młodości; jeśli jest, nie ma znużenia.

Przypomniałam sobie z tego wiersza tylko cztery linijki.

- To Rumi. Znasz poezję Rumiego? - spytał po długiej chwili milczenia.

- Owszem. Innych poetów też. - Odgarnęłam z twarzy pasmo włosów, które pod wpływem silniejszego teraz wiatru wysunęło się spod hidżabu. - Znam poezję Rudakiego, Sadięgo i Hafiza.

- Nic o tobie nie wiem - zaczął, wciąż spoglądając na morze. - Znam tylko twoje imię i wiem, że nieobca jest ci twórczość Rumiego. Nie wiem, ile masz lat i jak dotąd żyłaś. Nic o tobie nie wiem, z wyjątkiem tego, że masz w sobie jakąś siłę, która pozwala ci przeżyć.

Siłę... Zachowałam obojętny wyraz twarzy, żeby się nie zdradzić, ale ogarnęła mnie radość. A więc on też dostrzegł we mnie siłę. Ten biały cudzoziemiec zobaczył we mnie to, czego nie potrafił dostrzec nikt inny - a przynajmniej o tym nie mówił - od czasu, gdy skończyłam jedenaście lat i byłam przy śmierci mojej babci.

- Sahib, wiesz o mnie więcej niż ja o tobie, bo nawet nie znam twojego imienia - powiedziałam po chwili.

Odwrócił się do mnie zaskoczony.

- Nazywam się David Ingram. Nie powiedziałem ci?

- Sahib David Ingram - powiedziałam.

- Tak. Sahib Ingram.

Wiatr się wzmógł, a fale stały się wyższe i spienione. Obserwowaliśmy ich ruch, jakby ukrywały jakiś sekret. Pomyślałam znowu o Rumim i o jego słowach: Jestem tylko słomką na wiet - rze. Skąd mam wiedzieć, gdzie jego podmuch rzuci mnie jeszcze? - Mam już prawie dwadzieścia lat. Poezji nauczyła mnie babcia. Nie urodziła się w Afganistanie, lecz przybyła tam z kraju położonego nad Morzem Czarnym - uchyliłam rąbka tajemnicy na temat mojego pochodzenia. Był zaskoczony.

- Znad Morza Czarnego? Z Rosji? - zapytał. Wzruszyłam ramionami. - Mówiła, że jest Czerkieską. Przytaknął. - Zatem nie jesteś w pełni Afganką.

- W mojej rodzinie i wiosce nie mówiło się o takich rzeczach. W dzieciństwie nawrócono babcię na islam, a poprzez małżeństwo z Tadżykiem stała się Tadżyjką. Była więc Tadżyjką i muzułmanką, tak jak ja.

David Ingram spojrzał na mnie i utkwiał wzrok w morzu.

- A ja skończyłem dwadzieścia trzy lata. Wszyscy, którzy mnie znają, uważają, że jestem Anglikiem, ale z pochodzenia jestem Afgańczykiem i mam Indie we krwi - wyznał.

- We krwi? - zdziwiłam się.

- To takie wyrażenie - wyjaśnił, śmiejąc się powściągliwie. - Niektórzy Anglicy urodzeni w Indiach zawsze mają w uszach dźwięki rozbrzmiewające w tym kraju i brakuje im tutejszych kolorów oraz zapachów. Anglia jest moim krajem rodzinnym, ale będąc tam, tęsknię za Indiami, moim pierwszym krajem rodzinnym, a czasami jestem niemal chory z tej tęsknoty.

A ja nie mam kraju rodzinnego, pomyślałam.

- Sahib Ingram, jesteś więc szczęśliwym człowiekiem, bo jak już kiedyś ci powiedziałam, możesz cieszyć się tym, że masz dwa, a teraz dowiaduję się, że nawet trzy kraje rodzinne i wybierasz, w którym z nich chcesz mieszkać - powiedziałam, starając się ukryć gorycz.

- Tak, masz rację. Powinienem się uważać za szczęśliwego człowieka.

*

Wieczorem po posiłku, gdy zeszłam na pokład, sahib Ingram siedział na ławce w tym samym miejscu, które zajmowaliśmy wczoraj. Pisał coś w swojej oprawionej w skórę książce, marszcząc w skupieniu czoło. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc przeszłam na drugą stronę statku.

Po pewnym czasie wróciłam i zobaczyłam, że zostawił książkę na ławce. Rozejrzałam się, chcąc sprawdzić, czy Anglik gdzieś tu jest, ale zapadał już zmrok i nie dostrzegłam nikogo. Z poczuciem winy podniosłam książkę z ławki, bo chciałam zobaczyć, dlaczego ten oprawiony w skórę tom jest dla sahiba Ingrama taki ważny.

Otworzyłam na pierwszej stronie. Zobaczyłam rzędy małych starannych czarnych znaczków, zupełnie niepodobnych do pisma Koranu. Odwróciłam stronę. Na następnej widniało jeszcze więcej rzędów angielskiego pisma, ale znajdował się tam także rysunek przedstawiający bazar pełen mężczyzn z mojego kraju i kobiet w czadorach, poruszających się niczym zjawy. Odwracając kolejne strony, oglądałam sceny, które rozpoznawałam. Zorientowałam się, że ta książka służy sahibowi Ingramowi do zapisywania wrażeń i przeżyć z podróży. Wiele rysunków ukazywało buzkaszi. Nie mogłam uwierzyć, że Anglik potrafi tak dokładnie narysować sceny z tej gry. Bezbłędnie ukazywał wysiłek koni i wyraz twarzy czapandozów, pełen napięcia, wysiłku i bólu. Były też inne wizerunki: Layaka siedzącego pod drzewem oliwnym na dziedzińcu domu w Dżalalabadzie, szerokich pleców Fareed, pochylonej nad paleniskiem, a także krajobrazy, które widzieliśmy w drodze do Multan. Był nawet mały rysunek bażanta czarnego, którego sahib Ingram zastrzelił, i niesamowity obraz, ukazujący wysokie ściany przełęczy Chajber.

Na kolejnej stronie zobaczyłam śpiącą kobietę. Leżała przy ognisku z policzkiem opartym na dłoni. Przyglądając się jej dokładniej w coraz słabszym świetle, spostrzegłam na czole znaczki. Zaskoczona, zdałam sobie sprawę, że to ja. Rozejrzałam się dokoła, czując się teraz jeszcze gorzej, że ukradkiem oglądam książkę sahiba, i znowu utkwiałam wzrok w rysunku.

Byłam wdzięczna losowi, że przynajmniej miałam wtedy zasłonę na twarzy i na rysunku zostały uwiecznione tylko moje zamknięte

oczy. Odwróciłam stronę, nie chcąc myśleć o tym, że ktoś mi się przyglądał, gdy spałam. Z ulgą spostrzegłam, że widniejący na niej rysunek ukazuje Bramę Haram w Multan. Ale na widok tego, który zobaczyłam na następnej stronie, straciłam oddech. Przedstawił mnie leżącą w łóżku w godown. Spoczywałam na boku w białej szacie, którą włożyła mi Prita, i nogi miałam obnażone do kolan; na kostkach jednej z nich widniał halhal. Luźno splecione włosy spływały na ramię, twarz była odsłonięta, a oczy otwarte. Czułam się tak, jakbym oglądając ten rysunek, patrzyła na siebie ze strony książki. Byłam wstrząśnięta i przerażona, widząc siebie ukazaną w ten sposób. Odłożyłam otwartą książkę na ławkę, jakby mnie parzyła. Ale zaraz ją zamknęłam i położyłam tak samo, jak leżała, zanim tu przyszłam.

Zeszłam po schodach do kajuty i położyłam się do łóżka. Nie chciałam, żeby sahib Ingram zastał mnie na pokładzie, gdy wróci po swoją książkę. Czułam, że skoro na rysunku uchwycił podobieństwo, to zna moją twarz i postać w dziwnie niepokojący dla mnie sposób.

Wieczorem, przedostatniego dnia podróży, stałam samotnie na pokładzie pogrążona w smutku. Dopóty, dopóki wędrowaliśmy lądem, wciąż czułam się związana z moim krajem. Ale teraz, po dziewięciu dniach spędzonych na morzu, nie potrafiłam sobie wyobrazić drogi powrotnej do domu. Naprawdę zostawiłam za sobą wszystko, co znałam.

Spędziłam na pokładzie noc, kładąc się w końcu na ławce i spoglądając w niebo. Próbowałam odzyskać radość, poddając się dotykowi morskiej bryzy, rozsiewającej przyjemny zapach, i śledząc ruch żagli, które wspaniale się napinały i odcinały od nocnego rozgwieżdżonego nieba. Staralam się odnaleźć spokój. Nadal tu byłam, gdy świt rozjaśnił niebo i na pokład wylegli pozostali pasażerowie, stając w małych grupkach i cicho rozmawiając. Obok mnie znalazł się sahib Ingram. Wszyscy spoglądaliśmy w kierunku portu w Bombaju, dokąd miał zawi -nać nasz statek.

Poczułam zapachy tego miasta, zanim jeszcze je zobaczyłam, bo wiatr przywiał nad wodę woń kwiatów i kadzidła, ale także odór gnijących warzyw i śmieci. Po chwili zobaczyłam domy ukryte za łagodną krzywizną zatoki otwierającej się na wzgórze. Domy były wysokie i zbudowane z białego kamienia, bo takie podobały się cudzoziemcom, jak dowiedziałam się w Karaczi. W porannym słońcu błyszcząły kopulaste świątynie, niektóre całe złote. Otuchy dodawał

mi widok iglic wielu meczetów. Gdy przybliżyliśmy się do portu, wpływając do szerokiej zatoki, którą mieliśmy dotrzeć do miasta, zobaczyłam, że jest to miasto ogromne, nieporównanie większe nawet od Karaczi.

- Sahib, nie spóźnisz się na swój następny statek? - spytałam. Pokręcił głową.

- Dotarliśmy na miejsce szybciej, niż się spodziewałem - odparł, spoglądając na miasto. - Bombaj był kiedyś zaledwie peryferyjnym portem przeładunkowym, a teraz, jak sama widzisz, jest kipiącym życiem miastem, które stale się rozrasta.

Zwykle słuchałam go z przyjemnością. Niestety, dziś rano byłam rozkojarzona i nie mogłam się skupić na tym, co mówił.

- Ale rozwijało się powoli i spokojnie, i wciąż ma, przynajmniej dla mnie, znacznie większy urok niż większość miast indyjskich. Choć dzieciństwo spędziłem w Kalkucie, częściej odwiedzam Bombaj.

Wygłaszał te pochwały z wyraźną przyjemnością, ale nie słuchałam go uważnie. Zresztą mówił jakby bardziej do siebie niż do mnie, nie oczekując mojej reakcji. Staliśmy ramię w ramię, lecz zapewne myślami byliśmy od siebie daleko.

Dużo czasu zajęło nam zawinięcie do portu i opuszczenie statku. W końcu zeszliśmy po długiej drewnianej platformie do brudnego, zatłoczonego portu. Było tu nieprzyjemnie. W gorącym słońcu przykre zapachy stały się jeszcze lepiej wyczuwalne i wszędzie stali groźnie wyglądający żołnierze, nie tylko angielscy, lecz także hinduscy.

- To są sipaje - wyjaśnił mi sahib, gdy go spytałam, dlaczego tubylcy noszą czerwone mundury. - Służą w armii indyjskiej, ale pod dowództwem angielskim.

Wydawało mi się dziwne, że tubylcy służą w jednej armii z Europejczykami. Czy zatem również Hindusi walczyli wraz z Anglikami przeciwko mojemu krajowi?

W porcie spostrzegłam poza tym oblepione przez muchy woły, kraczące wrony i kulące się wychudzone psy, a przede wszystkim mnóstwo ludzi. W oczy rzucała się zwłaszcza grupa rozchichotanych kobiet o oliwkowej cerze, ubranych w krótkie błyszczące spódniczki w jaskrawych barwach. Miały kwiaty we włosach i były obwieszane krzykliwą biżuterią. Podchodziły do białych żołnierzy i wykonywały bezwstydną gesty, tak iż odwróciłam głowę, nie chcąc dłużej na nie

patrzeć. Zauważyłam też bardzo wielu żebraków o zdeformowanych ciałach. Niektórzy mieli tylko kikuty rąk i nóg, innym brakowało nosów lub uszu. Ci, którzy byli w stanie, przez cały czas próbowali złapać za ubranie przechodzących białych mężczyzn i kobiety, ignorujących ich, odtrącających kopniakami albo wymyślających obraźliwie. Jeszcze większą przykrość sprawiał mi widok dzieci: mniejsze dreptały po obrzydliwym brudzie, zupełnie nagie, a starsze, odziane w łachmany, trzymały na plecach lub na udach niemowlęta, które wyglądały na chore. Wszystkie żałośnie zawodziły i wyciągały rączki po jałmużnę. Wszędzie uderzał w nos fetor zgromadzonych tu w jednym miejscu tyłu zwierząt i ludzi oraz ich odchodów.

Zasłoniłam szczelniej twarz i patrzyłam przed siebie, gdy sahib kładł swe torby i pudła na wóz. Gdy skończył, wsiedliśmy i woźnica popędził parę wołów, uderzając je po zadach luźnymi sznurami.

- Dokąd teraz jedziemy? - spytałam, rozglądając się wokół.

- Do domu moich przyjaciół, dobrych ludzi z Anglii. Poczynię z nimi ustalenia dotyczące twojej pracy. Nawet jeśli nie będą mogli cię zatrudnić, to znają kogoś, kto to robi. Zostanę tam na noc, a nazajutrz wyprowadzę się do angielskiego klubu, gdzie zamieszkać do czasu odpłynięcia statku.

Zatrzymuje się tam wielu kawalerów i mam nadzieję, że spotkam znajomych.

Gdy to powiedział, zdałam sobie sprawę, że nawet nie zastanawiałam się nad tym, czy ma żonę i dzieci.

- Sahib, nie masz żony? - spytałam, chcąc się upewnić, że rzeczywiście nie ma.

Odwrócił się do mnie.

- Nie - potwierdził.

- Sahib, dlaczego nie masz? W jakim wieku mężczyźni żenią się w twoim kraju? - ciągnęłam temat.

- To zależy - uciał.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu na drewnianej desce położonej w poprzek wozu, a ja oglądałam domy i ludzi.

- A więc teraz mnie zostawisz? A ci twoi przyjaciele są... życzliwi? - spytałam. Nie tacy jak Layak, dodałam w myślach.

- Tak.

Nagle uderzył mnie ogrom tego miasta. Spoglądałam na wąskie zatłoczone ulice, kołysząc się lekko na boki, gdy wóz z łoskotem

toczył się po ubitej, ale teraz błotnistej drodze. Wzdłuż wybrzeża cudzoziemcy wzniesli imponujące budynki, zbudowane na modłę europejską, tu natomiast stały wysokie, proste domy o wyblakłych barwach, a pomiędzy nimi rosły drzewa liściaste. Mijaliśmy po drodze meczety i świątynie o zaokrąglonych dachach, a także inne, w kształcie piramid, na wpół ukryte za wysokimi ażurowymi ogrodzeniami z drewna. Rozlegały się dźwięki dzwonów i gongów. Następnie wóz jechał przez zatłoczone miejsce, gdzie widać było tylko ludność miejscową i domy popadające w ruinę, choć pomalowane na różowo czy żółto.

W końcu znaleźliśmy się na ulicy, przy której stały piękne duże domy, oddzielone od siebie ubitą ziemią. Gdy zatrzymaliśmy się przed jednym z nich i sahib wręczył woźnicy kilka monet, zsiadłam z wozu i zaczęłam się przyglądać domowi. Ale David Ingram już ruszył zwirowaną alejką w kierunku domu, więc zdążyłam tylko zauważyć pięknie rzeźbione filary i wysoki dach z czerwonej dachówki. Do domu wchodziło się po schodach, które prowadziły na szeroką platformę osłoniętą przed słońcem przedłużonym dachem. Była podobna do tej znajdującej się na tyłach bungalowu w Multan, zastawiona stołami, krzesłami i roślinami w donicach. Przed drzwiami stali dwaj służący w bieli. W rogu platformy spostrzegłam dwóch małych chłopców, gołych do pasa, a od pasa okrytych z tyłu i z przodu kwadratami płótna zawieszonymi na sznurkach. Przykucnęli ramię przy ramieniu i spoglądali na nas wielkimi oczami.

- Sahib, jak to się nazywa? - szepnęłam, nie wiedząc, dlaczego czuję, że powinnam ściszyć głos. - To pomieszczenie z dachem, ale bez ścian.

- Weranda. Poczekaj tu, proszę - polecił mi i odwrócił się do jednego z Hindusów, wymieniając swoje nazwisko.

Służący pochylił owiniętą turbanem głowę i otworzył drzwi.

Obaj służący weszli za sahibem do środka, a ja stałam niepewnie na werandzie, czekając na jego powrót. Chłopcy nie odrywali ode mnie oczu. Przez otwarte okno słyszałam, jak sahib Ingram rozmawia po angielsku z jakąś kobietą. Przypomniałam sobie, jak będąc młodzieńką dziewczyną, siedziałam za kotarą w domu ojca, a on rozmawiał z Ghilzai. Tak samo jak wtedy, tak i teraz będę musiała czekać, aż inni podejmą decyzję w sprawie mojej przyszłości. Tyle że nie byłam już tamtą gąską, która nic nie wiedziała o świecie i

mężczyznach. Wiedząc dużo, nie miałam żadnych naiwnych marzeń. Po pewnym czasie sahib Ingram wyszedł na werandę z białą kobietą, starszą od nas obojga, o miłej twarzy i ciepłym uśmiechu. - Daryo, to jest memsahib Andrews - powiedział. Skinęłam głową i spojrzałam na Angielkę. Powiedziała coś do mnie po angielsku. - Możesz usiąść, Daryo - powiedział sahib, wskazując dłonią stojące w pobliżu krzesło.

Jeden ze służących, którzy stali przy drzwiach, gdy się zjawiliśmy, wniósł na tacy trzy szklanki z jasnożółtym płynem.

Memsahib Andrews i sahib Ingram usiedli na wyplatanych krzesłach, a ja na tym, które mi wskazał. Służący w turbanie pochylił się nad nimi i podsunął im tacę. Każde wzięło szklan - kę i postawiło ją na stole. Sahib powiedział coś do niego w hindi. Wówczas ten spojrzał na mnie i marszcząc czoło, podszedł do mnie z tacą. Poczulałam się nieswojo, bo jeszcze nigdy nie usługiwał mi mężczyzna. Ale bardzo chciało mi się pić. Poza tym mój sahib z pewnością kazał mu mnie obsłużyć. Sięgnęłam więc po szklankę. Służący jednak nieco odsunął ode mnie tacę i zmrużył oczy, najwyraźniej uważając, że obsługiwanie mnie jest poniżej jego godności. Wówczas mocno przytrzymałam szklankę, ignorując jego minę.

Memsahib Andrews i sahib Ingram rozmawiali szybko po angielsku, a ona co chwila zerkała na mnie. Byłam bardzo spragniona, lecz nie chciałam pić pierwsza, zanim oni nie zaczną. Z jej tonu wywnioskowałam, że zadaje sahibowi pytania dotyczące mojej osoby, spoglądając to na mnie, to na niego. Siedziałam sztywno, ze ściśniętymi kolanami, trzymając szklankę w obu dłoniach. Staralam się wyglądać tak, jak sądziłam, że powinnam: na osobę stojącą niżej w hierarchii społecznej, a zarazem nieco się niecierpliwiającą.

Sahib Ingram na ogół odpowiadał na pytania kobiety paroma słowami, ale kilka razy spojrzał na mnie, jakby nie wiedział, co rzec. Po pewnym czasie kobieta umilkła, by napić się żółtego płynu, i wówczas ja też pociągnęłam łyk z trzymanej w dłoniach szklanki. Napój miał słodki cytrynowy smak. Następnie spojrzałam na sahiba Ingrama, który nie pił, lecz wpatrywał się w swoją szklankę. Zastanawiałam się, co powiedział o mnie tej kobiecie i jakie pytania mu zadała. Popijając cytrynowy napój, kiwała głową i mrugała szybko oczami, jakby była zdenerwowana, choć może miała kłopoty ze wzrokiem. Przy jasnobrązowych włosach Angielki uderzała dziwna bezbarwność jej brwi i rzęs. Miała bardzo blade usta, które wyglądały,

jakby je zagryzała. Była bardzo szczupła, ale jej suknia uszyta z tkaniny w niebiesko - białe pasy wydawała się zbyt obcisła i rozszerzała się ku dołowi.

Po chwili memsahib Andrews odstawiła szklanę, zmarszczyła czoło i zaczęła mówić jeszcze szybciej, powracając do rozmowy z sahibem. Przerwała, gdy na werandę wyszła z domu Hinduska w bieli, z czerwoną kropką na czole, taką samą, jaką miała Prita. Trzymała na rękach dziecko, które nie miało jeszcze roku. Jego skóra wydała mi się przeraźliwie blada. Kontrastowały z nią jasnoróżowe plamy na policzkach i cienkie liliowe żyłki na skroniach. Niebieski kolor oczu dziecka był tak jasny, że wydawał się niemal biały. Jeszcze takich nie widziałam. Nie potrafiłam określić, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Dziecko miało na sobie kilka warstw białego koronkowego stroju. Jego bardzo jasne włosy, proste i rzadkie, były spocone i przylegały do główki. Z takimi włosami, skórą i oczami, które były za duże, a teraz błyszczały z powodu gorączki, wyglądało jak opętane przez dżinna. Kwiliło, wyciągając rączki do Angielki, która wstała i wzięła je od Hinduski, z roztargnieniem poklepując po plecach. Przyglądała mi się przez chwilę, jakby lekko skonsternowana i wyczerpana. Coś jeszcze powiedziała i weszła do domu, a za nią Hinduska.

- Co powiedziała? - spytałam sahiba Ingrama. - O co pytała?

- Zadawała mi pytania, których mogłaś się spodziewać: co potrafisz robić i jaki masz charakter.

- I? Co jej powiedziałaś, sahib?

- Powiedziałem... że nie wiem dokładnie, co potrafisz robić, lecz że jesteś pojętna, uczciwa i pracowita.

Powinnam być zadowolona z tej pochlebnej oceny, ale z pewnością nie powiedział mi wszystkiego. Rozmawiali zbyt długo, żeby móc poprzestać na takich prostych pytaniach i odpowiedziach. Byłam zadowolona, że sahib Ingram uważa mnie za uczciwą, pracowitą i pojętną, ale przez to jakże mało byłam interesująca. Czy właśnie taką mnie widział? Jako prostą kobietę, która pierze w strumieniu i gotuje na ognisku? Czy naprawdę to wszystko, czym jestem? Nie. Byłam kimś znacznie więcej. Musiałam tylko mieć możliwość pokazania tego.

Rozdział XXXI

- Czy ma dla mnie pracę? - spytałam, odpychając natrętne myśli.

- Jej najmłodsze dziecko poważnie choruje. Oprócz tej maleńkiej córeczki ma jeszcze dwoje małych dzieci. Jest jej trudno, chociaż ma do pomocy aję. Jej mąż spędza dużo czasu poza domem, a teraz, w chłodniejszej porze roku, przybywa tu wielu gości. Powiedziała, że z pewnością będziesz mogła pomagać przy dzieciach. Gdy uspokoi córeczkę, przyjdzie tu, żeby bliżej omówić sprawę twojego zatrudnienia.

Skinęłam głową. Dzieci to dzieci, obojętne czy europejskie, czy tubylcze. Zajmowanie się nimi nie byłoby dla mnie trudne. Z dziećmi zawsze sobie dobrze radziłam. To było znacznie więcej, niż oczekiwałam. Uśmiechnęłam się z ulgą.

- Czy zadowolili cię taka praca? - spytał. Skinęłam głową.

- Lubię dzieci - powiedziałam, a w myślach dodałam: choć nigdy nie będę miała własnych.

Drzwi się otworzyły i na werandę wszedł jakiś mężczyzna. Minał mnie, kierując się prosto do sahiba Ingrama, który wstał i uścisnął mu rękę. Sahib Ingram wyglądał na zaskoczonego i lekko zaniepokojonego, choć mężczyzna uśmiechał się do niego szeroko. Ale zaraz odwzajemnił uśmiech, choć nie był on tak naturalny jak ten, który znałam.

Gdy rozmawiali po angielsku, przyglądałam się nieznanemu, przypuszczając, że to mąż pani domu. Nie miał tak gładkiej i pięknej twarzy jak sahib Ingram, może dlatego, że wyglądał na znacznie starszego, jakby był w wieku mojego ojca. Gruby i masywny, o lekko opuchniętej, jak mi się wydawało, twarzy, miał zbyt jasną skórę, jak chore dziecko gospodarzy, a na policzkach nikłe blizny po dawno przebytej ospie. Z powodu tej jasnej, lekko błyszczącej skóry skojarzył mi się z rośliną pozostawioną w mroku. Ale mógł się podobać. Zwracały uwagę jego proste włosy barwy ciemnej, nasyconej czerwieni, z nielicznymi pasemkami różowawosiwymi. Były zaczesane do tyłu i dotykały kołnierzyka koszuli. Miał też tej samej barwy bokobrody i wąsy.

Nagle odwrócił się i spojrzał na mnie. Wstałam i spuściłam oczy.

- Daryo, to jest sahib... mister Bull. Przyjechał z Anglii. Jest tu gościem - powiedział do mnie po persku sahib Ingram. Czyli nie był to mąż gospodyni, lecz jeden z jej wielu gości. Na werandzie było

bardzo gorąco. Miałam suche usta, choć przed chwilą wypilałam cytrynowy napój.

- Miss Daryo - odezwał się do mnie pan Bull, poprzedzając moje imię, jak przypuszczałam, angielskim zwrotem grzecznościowym, tak jak sahib Ingram poprzedził jego nazwisko zwrotem mister. - Jakże mi miło panią poznać. To prawdziwa niespodzianka, że mister Ingram nabył cię po drodze.

Bezbłędnie powiedział to po persku, jakby znajomość tego języka wysłał z mlekiem matki. Miał łagodny i spokojny głos, ale nie podobało mi się, że użył słowa „nabył”, jakby traktował mnie jak rzecz. Uniosłam głowę i utkwiałam w nim wzrok. Sahib Ingram znalazł mnie wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jak należy rozumieć moje spojrzenie, bo szybko powiedział coś do pana Bulla po angielsku. Ten unióśł brwi, o coś go spytał, a usłyszawszy odpowiedź, uśmiechnął się.

- A więc, jak rozumiem, miałaś jakiś kłopot i spodziewasz się, że lepiej powiesz ci się w obcym kraju - powiedział po persku.

Mówiąc „powiesz”, zapewne miał na myśli, że po prostu będzie mi lepiej.

Skinęłam głowę.

Oстрыm tonem wydał siedzącym w rogu werandy chłopcom jakieś polecenie w hindi. Niemal w tej samej chwili nad naszymi głowami rozległ się miarowy stukot. Spojrzałam w górę i zobaczyłam przymocowaną do drewnianej ramy tkaninę, która kołysała się w tył i w przód, poruszając powietrze. Z jednej strony do ramy był przymocowany sznurek, za który pociągał jeden z chłopców.

- To musiała być całkiem interesująca podróż - powiedział pan Bull po persku i usiadł na krześle. Założył nogę na nogę i spojrzał na sahiba Ingrama, a następnie na mnie.

Po raz pierwszy w życiu widziałam tak siedzącego mężczyznę. Zrozumiałam, że czegoś ode mnie oczekuje, więc skinęłam głowę.

- Oczywiście twoja nauka perskiego była tego warta - powiedział do sahiba Ingrama. - Masz wyjątkowy talent do tego języka.

- Perski okazał się w Afganistanie najbardziej przydatny - odparł sahib Ingram.

- Będziesz kontynuował naukę perskiego? - spytał pan Bull.

- Jeszcze nie zdecydowałam, co będę robił po powrocie do Anglii, choć możliwe, że tak - odpowiedział sahib Ingram.

Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że rozmawiają po persku, bo chcą, żebym uczestniczyła w rozmowie. Byłam mile zaskoczona.

- To zdolny gość. Nieprawdaż, panno Daryo? - zwrócił się do mnie pan Bull, a sahib Ingram spuścił wzrok, najwyraźniej nieswój. - Choć jest dziki jak jastrząb, nieprzewidywalny i niezdyscyplinowany.

Oblała mnie fala gorąca. Wszystko ze zdenerwowania, że ten nieznany mi Anglik rozmawia ze mną tak bezpośrednio, jakbym była tu trzecim mężczyzną, i bez skrupowania wypowiada do mnie opinię na temat sahiba Ingrama. Nagle zdałam sobie sprawę, że on zawsze rozmawiał ze mną inaczej. Spojrzałam na niego, czekając na znak, jak mam odpowiedzieć, ale nie uniósł głowy.

Pan Bull odchrząknął.

- Miss Daryo, możesz mówić, jeśli tylko sobie życzysz - zachęcił mnie, uśmiechając się zyczliwie.

Starłam się zapanować nad sobą, by wydać się pewną siebie, choć czułam się kompletnie zbita z tropu, siedząc w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy nie byli moimi krewnymi, i będąc obsługiwana przez trzeciego. Co ja mogłam powiedzieć? Nigdy dotychczas nikt mnie nie zapraszał do udziału w rozmowie mężczyzn. Pomyślałam o tym, co pan Bull powiedział na temat uczenia się przez sahiba Ingrama perskiego.

- Jesteś nauczycielem języków obcych, sahib? - spytałam rudowłosego Anglika.

- Czarujący głos - ocenił i odpowiedział na moje pytanie: - Nie. Ale wszyscy znają mnie z tego, że udzielam innym różnych informacji, to znaczy tym, którzy mają podobne do moich zainteresowania, jeśli chodzi o podróże i upodobanie do egzotyki, do badań nad dawnymi cywilizacjami i innymi kulturami. - Odwrócił się do sahiba Ingrama. - Odbyliśmy dziwną, interesującą dyskusję na temat naszych podróży na Wschód, innych kultur itd., nieprawdaż, Davidzie?

Sahib Ingram zerknął na mnie. W jego oczach malowało się napięcie, jakby wiele wysiłku kosztowało go zachowanie miłego, obojętnego wyrazu twarzy. W tym momencie zrozumiałam, że nie lubi pana Bulla.

- Owszem - uciał.

- Miss Daryo, czy poznała pani wielu Europejczyków? - spytał mnie pan Bull.

Pokręciłam głową.

- Jedyne Europejczyki, jakiego znam, to sahib... mister Ingram - odpowiedziałam.

Słowo mister zabrzmiało w moich ustach dziwnie, ale pana Bulla wydawała się bawić moja angielska wymowa. Uśmiechnął się do mnie.

- Więc niewiele wiesz na temat naszego wspaniałego imperium... brytyjskiego?

Na dźwięk słowa „brytyjskiego” uśmiechnęłam się pod hidżabem.

- Znam pieśń o Brytanii - wyznałam, przywołując w pamięci słowa babci: "Rule, Britannia. Daryo jan, zaśpiewaj mi to".

- Pieśń? - Pan Bull spojrzał na pana Ingrama, zacierając ręce i uśmiechając się. Powiedział do niego coś po angielsku, a ten pokręcił głową, jakby niezadowolony. Wówczas pan Bull zwrócił się do mnie po persku, ignorując pana Ingrama: - Czy mogłabyś ją nam zaśpiewać?

Pokręciłam głową, tak jak sahib Ingram. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego powiedziałam panu Bullowi, że znam tę pieśń.

- Wobec tego może kiedy indziej - skwitował moją odmowę i spytał: - Mister Ingram? Czy długo pan tu zostaje?

Sahib odpowiedział mu coś po angielsku.

Na werandę wróciła memsahib Andrews z tą samą Hinduską, która teraz z powagą zaczęła mnie oglądać od stóp do głów. Obaj mężczyźni wstali z krzeseł. Pani domu powiedziała coś po angielsku do sahiba Ingrama, a on skinął w moją stronę głową.

- Memsahib Andrews mówi, że możesz pomagać hinduskim służącym przy dzieciach. Ta aja, która tu stoi, to znaczy Unma, nauczy cię o twoich obowiązkach - powiedział.

Unma rzuciła jakieś słowo w języku hindi i skłoniła głowę. Spojrzałam na sahiba Ingrama.

- Idź z nią. Zaprowadzi cię do godown, gdzie zamieszkas - wyjaśnił.

Na werandzie było teraz dużo osób. Nagle poczułam się tu strasznie przytłoczona i zapragnęłam być z powrotem na parowcu z sahibem Ingramem i płynąć wzdłuż spokojnego wybrzeża. Wszystko stało się zbyt szybko, choć przecież wiedziałam, po co ten Anglik mnie tu przywiózł.

- Zobaczymy się jutro, Daryo - powiedział sucho, z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Davidzie... Ona nie wydaje się dobrym materiałem na aję - powiedział po persku pan Bull.

Spojrzałam na niego, a następnie na sahiba Ingrama, który zeszywniał.

- Miss Daryo, jesteś pewna, że wiesz, w co się pakujesz? - spytał mnie pan Bull i uśmiechnął się tak samo jak na początku.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Hinduska służąca już ruszyła po schodach. Mogłam tylko pójść za nią.

Godown znajdowała się za dużym domem, podobnie jak w Multan. Ale Unma nie była tak delikatna i wyrozumiała jak Prita. Z nachmurzoną miną trajkotała do mnie w hindi, choć wiedziała, że nie znam tego języka. A gdy w chacie zdjęłam hidżab, pokręciła głową, jakby zawiedziona, na widok harquus na moim czole. Wciąż mówiła, wymachując rękami, najwyraźniej bardzo zła. Na szczęście w końcu wyszła, więc usiadłam na łóżku i zastanawiałam się, co robić, ale zaraz weszła młodsza hinduska służąca, wnosząc talerz, na którym była porcja kurczaka, papka z soczewicy i chapati.

- Unma posłała mnie do ciebie na rozmowę - powiedziała z wahaniem po persku, co przyjąłam z ulgą, i podała mi talerz. - Pracuję u rodziny Persów i uczę się perskiego. Tu też jestem ają.

- Mam na imię Darya - przedstawiłam się. Uśmiechnęła się, choć z wahaniem.

- A ja Kavindra - powiedziała, unikając mojego spojrzenia. - Baba Evie zawsze chora, wymaga dużo opieki. Unma być z nią, ty pomagać mnie przy małych sahibach. Mają na imię George i Teddy. Masz baba? Pokręciłam głową.

- Małe dziecko? Nie, nie mam. Ale zawsze zajmowałam się dziećmi... innych. Znam dzieci. A ty masz?

- Dwoje - odpowiedziała i dodała, bezradnie wzruszając ramionami: - Ale tylko córeczki.

- Gdzie one są?

- U teściowej. Widuję je czasami. - Wskazała dłonią talerz. - Jedz. Znacznie lepiej zostaniesz tu teraz, nie widzieć Unma. - Zawahała się, po czym powiedziała tylko: - Jutro pracujesz. - I wyszła.

Zastanawiałam się przez chwilę, czym tak rozgniewałam Unmę i dlaczego Kavindra trochę się mnie boi, ale głód sprawił, że więcej o nich nie myślałam i zjadłam wszystko, co było na talerzu. Gdy skończyłam, wyszłam przed chatę. Było późne popołudnie. Usiadłam, oparłam się plecami o ścianę i zaczęłam oglądać duży dom. Okazało się, że weranda znajduje się nie tylko od frontu, lecz także z tyłu. Biali ludzie wychodzili na nią z domu, siadali, popijali podawane im napoje i rozmawiali. Szukałam wśród nich sahiba Ingrama, ale go nie było. Spozstrzegłam natomiast pana Bulla i słyszałam jego donośny głos.

Po pewnym czasie wróciłam do chaty i spróbowałam zasnąć. Unma i Kavindra już się nie pojawiły, więc uznałam, że śpią w dużym domu, blisko dzieci.

Rano ta druga przyniosła mi białą szatę, taką samą, jaką nosiły ona i Unma. Włożyłam szatę i zakryłam twarz białą chustką. Poszłam za Kavindrą na werandę z tyłu domu, gdzie już siedziała Unma, trzymając baba Evie na kolanach. Dziewczynka wydawała się jeszcze bardziej chora niż wczoraj. Milcząca i blada, przytulała się do piersi niani. Zupełnie niepodobni do siostry chłopcy mieli ciemne włosy, częściowo zakryte białymi kapeluszkami w kształcie odwróconej miski, jak wszyscy Europejczycy, których widziałam w Indiach. Kipieli energią.

Obaj mali sahibowie - jeden około trzech lat, a drugi około pięciu - mówili po angielsku i w hindi. Kavira wymieniła moje imię i obaj na mnie spojrzeli. Odśloniłam twarz, uśmiechnęłam się i uklękłam przy młodszym, który miał na imię Teddy. Dotknął mojego czoła ozdobionego harquus i spytał o coś wysokim głosem. Kavindra mu odpowiedziała, a on skinął głową. Wyciągnęłam do niego rękę. Bez wahania pozwolił się objąć i posadzić na kolanach, najwyraźniej ufny. Trzymał w ręku książeczkę, którą teraz położył sobie na kolanach i oglądał znajdujące się w niej obrazki. Żałowałam, że odwraca strony zbyt szybko, bo na obrazkach widniały dzieci i zwierzęta, ciekawie przedstawione.

Pochłonięta oglądaniem, nie usłyszałam, jak na werandę wszedł pan Ingram. Zorientowałam się, że tu jest, dopiero wówczas, gdy powiedział coś w hindi. Uniosłam głowę. Jak długo był, zanim go spozstrzegłam? Czy patrzył na mnie? Zakryłam twarz i wstałam z małym sahibem na rękach. Wówczas pan Ingram powiedział coś w hindi do Unmy, która po tych słowach wydała mi się jeszcze bardziej

zirytowana niż wczoraj. Zacisnęła usta i weszła do domu, niosąc na rękach śpiącą teraz Evie. Kavindra wzięła ode mnie sahiba Teddy'ego i trzymając za rękę sahiba George'a, zeszła po schodach do ogrodu, gdzie zaprowadziła chłopców pod duże drzewo o rozłożystej koronie i usiadła z nimi w cieniu.

- Przyszedłem się pożegnać - zaczął pan Ingram. W tym momencie jego twarz stała mi się tak droga, że na myśl, iż więcej jej już nie zobaczę, ogarnął mnie wielki smutek.

- Wyprowadzasz się z tego domu, sahib? Teraz? - spytałam bliska paniki.

- Tak. Memsahib Andrews jest przytłoczona liczbą gości i nie chcę jej dodatkowo obciążać. Jak mówiłem wczoraj, do czasu wypłynięcia z Bombaju będę mieszkał w angielskim klubie.

Skinęłam głową.

Pan Ingram spojrział na godown i na mnie.

- Będzie ci tu dobrze? Z tymi dziećmi? - spytał.

- Tak - potwierdziłam. Nie miałam powodu spodziewać się, że nie będzie, lecz mimo to... - Przypominają mi o mojej młodszej siostrze i bracie. - Oczywiście sahib George i sahib Teddy należeli do innego świata, ale chciałam... musiałam zapewnić Davida Ingrama, że znajdując mi tę pracę, zrobił dla mnie coś dobrego, że jestem z niej bardzo zadowolona i bardzo mu wdzięczna, choć było mi niewypowiedzianie ciężko na sercu. - A przynajmniej przypominają mi siostrę i brata sprzed kilku lat, kiedy widziałam ich po raz ostatni.

- Nigdy o nich nie mówiłaś.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o wielu rzeczach - powiedziałam. Ja też chciałam wiedzieć, czy ma braci i siostry. Jak wygląda

jego życie? Spędziliśmy we dwoje tyle czasu, a mimo to wydawało mi się niestosowne zadawanie mu pytań o sprawy osobiste. Wprawdzie wiele razy wyczuwałam, że chciałby ze mną porozmawiać, a może także spytać o moje życie, ale oboje trzymaliśmy się ról wyznaczonych nam przez los: angielskiego sahiba i Afganki. Ale teraz, kiedy wyjeżdżał, pragnęłam dowiedzieć się więcej o tym obcym, życzliwym Angliku, w którego żyłach płynęła również afgańska krew. Przyzwyczaiałam się do widoku tego mężczyzny o złocistych włosach, ciemnych, pełnych wyrazu oczach i ustach o pięknym wykroju. Patrzenie na niego sprawiało mi niezwykłą przyjemność.

Coś nas ze sobą łączyło i nie była to zła siła, jak na przykład dżinn, lecz dobra i przynosząca pociechę. Niestety, tak mnie przytłaczała, że nie mogłam oddychać. Oboje milczeliśmy. Miałam mu tyle do powiedzenia, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Czy on czuł to samo?

Z domu dotarł na werandę głos pana Bulla. Oboje spojrzeliśmy na drzwi.

- Sahib, czy mister Bull jest do ciebie podobny? - spytałam nie dlatego, że rudowłosy Anglik cokolwiek mnie obchodził, lecz ponieważ chciałam rozproszyć ciężką atmosferę, powiedzieć coś banalnego, a przez to bezpiecznego.

- Podobny? Co przez to rozumiesz? Pokrewieństwo? - zdziwił się.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie. Chodziło mi tylko o to, czy jest... prawdziwym sahibem, w każdym calu dżentelmenem.

Sahib Ingram się nachmurzył.

- Nie jesteśmy w żaden sposób do siebie podobni. - Odgarnął włosy z czoła i przypomniałam sobie, jak po raz pierwszy zobaczyłam jego nieskazitelne, szczupłe dłonie o długich palcach. - Przez pewien czas mieszkał w Persji, podobnie jak w Indiach i innych wschodnich krajach. Zachęcił mnie do nauki perskiego.

- Ale czy jest także twoim... przyjacielem? - nie ustępowałam, bo nie zapomniałam wyrazu jego twarzy na widok pana Bulla wczoraj na werandzie. Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego ostatnie chwile naszego pożegnalnego spotkania marnuję na rozmowę o tym mężczyźnie.

- Przyjacielem? - Pokręcił głową. - Nie. W Kalkucie był przyjacielem mojego... Anglika, którego uważałem za swojego ojca. Teraz mieszka w Londynie, gdzie ja również mieszkam z matką. Postanowił mi udzielić pewnych rad, gdy przed kilku laty zastanawiałem się, jakie studia podjąć. Moja matka... - zawahał się - spotyka go czasami na gruncie towarzyskim. Dała jednak jasno do zrozumienia, że nie zamierza utrzymywać z nim kontaktów. - Znowu się zawahał. - Ona świetnie zna się na ludziach.

Z wyrazu jego twarzy i tonu głosu wywnioskowałam, że bardzo troszczy się o swoją matkę. Czyli mieszkał z nią w mieście o nazwie

Londyn. Pomyślałam, że jest to człowiek głęboki, mający wiele sekretów. Bardzo niewiele z tego było mi dane poznać.

- Czy ta nowa praca, życie w domu memsahib Andrews... Czy czujesz się teraz bardziej pewna, jeśli chodzi o twoją przyszłość? - spytał, gdy milczałam.

Uczył wszystko, co było w jego mocy, żeby mi pomóc. Nie mógł już zrobić dla mnie nic więcej.

- Sahib, czy ktokolwiek może być pewny swej przyszłości? Czy ty możesz być pewny swojej? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie, myśląc o poezji Rumiego.

Spojrzał na mnie przenikliwie i już miał coś powiedzieć, z pewnością coś ważnego, kiedy na werandę wszedł pan Bull.

Ogarnęła mnie złość. Dlaczego ten rudy Anglik musiał zjawić się tu właśnie w tym momencie? Czy nie mógł nam umożliwić pożegnania? Zapewne pan Ingram uważał podobnie, bo odsunął się ode mnie - dopiero teraz uświadomiłam sobie, że stał bardzo blisko - i po angielsku powiedział coś do pana Bulla, uprzejmie, lecz z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Pan Bull trzymał w dłoni kieliszek z bursztynowym płynem. Odpowiedział sahibowi Ingramowi również po angielsku, pociągnął długi łyk, usiadł na drewnianym krześle, oparł się wygodnie i błogo westchnął. Popijał i patrzył na nas. Najwyraźniej zamierzał tu zostać, bez względu na to, co sahib Ingram mu powiedział.

- Muszę już iść - rzekł cicho, odwracając się do pana Bulla tyłem, i spojrzał mi w oczy, jakby czegoś w nich szukał. - Zatem do widzenia, Daryo. Życzę ci... Mam nadzieję...

Tak samo jak on nie potrafiłam znaleźć właściwych słów i serce pękało mi z żalu. Przez cały czas byłam przygotowana na rozstanie. Ale gdy w końcu nadeszło... Wzięłam go za rękę i odsłoniłam twarz, bo nagle zapragnęłam, żeby po raz ostatni ją zobaczył.

- Sahib Ingram...

Spojrzał na mnie i na moją dłoń, którą trzymałam na miękkiej wełnie jego rękawa, czując pod nim ciepło ciała i twarde mięśnie.

- Chciałabym ci podziękować, bo jeszcze tego nie zrobiłam, za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Gdybyś mnie... - Skrzyżowałam dłonie na piersiach. - Jestem ci niezmiernie wdzięczna.

Skinął głową, ale wyraz jego twarzy był nieodgadniony.

- Nie rozczaruję cię. Będę zachowywać się tak, jak powinna służąca - zapewniłam go, świadoma, że pan Bull rozumie perski i słucha naszej rozmowy.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Dżalalabadu ktoś trzeci znał język, w którym się porozumiewaliśmy. Poza tym w obecności tego rudego Anglika nie potrafiłam mówić swobodnie. Żałowałam, że nie mam na to pożegnania więcej czasu, że nie nastąpi ono jutro.

- Wiem. Ufam ci - zapewnił mnie sahib Ingram. W jego głosie brzmiało napięcie, widać było, że jest skrępowany.

Wzięłam w obie ręce jego dłonie i przycisnęłam ją do czoła, spuszczać oczy i wdychając przyjemny zapach jego skóry.

- Niech towarzyszy ci spokój, Davidzie Ingram - powiedziałam, czując dziwny zamęt i żal. Dlaczego ja... Dlaczego co? Czego żałowałam, że nie zrobiłam? Nigdy cię już nie zobaczę, dodałam w myślach.

- I tobie także - odwzajemnił się, tak jak robili Tadżycy, i mocno uściśnął moją rękę.

Byłam tak przytłoczona nieoczekiwanym i nieznanym mi uczuciem, że nie potrafiłam spojrzeć sahibowi Ingramowi w oczy, bo bałam się, że jeśli spojrzę, to on zobaczy coś, co jest wypisane na mojej twarzy, a być nie powinno. Puścił moją rękę i wszedł do domu, a ja stałam, patrząc w podłogę i myśląc o ciepłe jego dłoni.

Sahib Ingram był ze mną codziennie przez ostatnie trzy miesiące. Zawsze miałam poczucie, że jest przy mnie, choć oboje próbowaliśmy żyć w świecie różnym od jego i mojego świata. Wiedziałam, czego mogę się po nim spodziewać, i czułam się przy nim bezpiecznie. A teraz nagle zdałam sobie sprawę, jak mało wiem o nim i o jego życiu. Początkowo był dla mnie tylko sahibem, „moim” sahibem, jak zaczęłam o nim myśleć, choć wiedziałam, że nigdy nie będzie mój. Pomyślałam o wszystkim, co dla mnie zrobił. Błagałam go po buzkaszi, żeby mnie zabrał do Dżalalabadu, i uczynił to. Błagałam, żeby zabrał mnie z Dżalalabadu do Multan, i również to zrobił, a nawet zapewnił mi pracę u Layaka. Zachorowałam, zanim dotarliśmy do Multan, i mógł mnie zostawić nad rzeką, żebym tam umarła, bo nikt nigdy by się nie dowiedział, co się ze mną stało, ale on zawiózł mnie do chaty Prity i oddał pod opiekę tej delikatnej i wspaniałomyślniej kobiety. Wreszcie mógł mnie zostawić w Multan,

abym sama sobie radziła, i powiedzieć mi, że zrobił już dla mnie wystarczająco dużo. Ale oczywiście tego też nie zrobił.

Pielegnował mnie podczas choroby, gdy obozowaliśmy nad rzeką, łagodząc moje cierpienie zarówno dotykiem chłodnych dłoni, jak i recytowaniem poezji. Zaniósł mnie do chaty Prity na rękach. Odbyliśmy wspólną podróż końmi, barką i parowcem. Wykonał dwa moje wizerunki. Znał mnie dostatecznie dobrze, by potrafić odtworzyć mój wygląd na papierze i w sposób zdumiewający uchwycić podobieństwo - oczy, usta, włosy... I teraz nagle zakończył się ten okres w moim życiu. Sahib Ingram przywiózł mnie do Bombaju i właśnie zniknął z mojego życia. Tak prysła ostatnia wąłła nić łącząca mnie z moim poprzednim życiem. Zostałam absolutnie sama w obcym miejscu.

Rozdział XXXII

Po wyjściu sahiba Ingrama, wciąż wpatrzona w otwarte drzwi, kompletnie straciłam poczucie czasu i miejsca. Z zadumy wyrwał mnie dźwięk mojego imienia. Odwróciłam się. Dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że mam odsłoniętą twarz, a na werandzie siedzi pan Bull.

- Miss Daryo - powtórzył, utkwivszy wzrok w moim har - quus.

Szybko zasłoniłam twarz chustą, co wyraźnie go zaintrygowało. Spojrzał na mnie spod lekko zmrużonych powiek tak, że zadrżałam. Zamrugał oczami i uśmiechnął się, ukazując proste, mocne zęby, tylko trochę pożółkłe od palenia. Wstał z krzesła, podszedł do mnie i wziął mnie za rękę, którą kilka chwil przedtem trzymał sahib Ingram.

Bardzo mnie tym zaskoczył. Ten gest był niestosowny, ale zdradzał wielką pewność siebie. Natychmiast zrozumiałam, że nie uważa go za niewłaściwy i postępuje w sposób przyjęty w Anglii. Skoro jednak mieszkał na Wschodzie, to musiał wiedzieć, jak się powinien zachowywać wobec muzułmanki. Cofnęłam rękę, a on rozluźnił uścisk.

- Miss Daryo, proszę się nie denerwować. Widzę, że jest pani roztrzęsiona z powodu wyjazdu pana Ingrama. Chciałem tylko panią pocieszyć. - Gestem zaprosił, żebym usiadła obok niego na krzesło. - Proszę usiąść i porozmawiać ze mną.

Zmieszana, pokręciłam głową.

- Muszę wrócić do pracy - oświadczyłam, zerkając na ogród, gdzie Kavindra siedziała na trawie z małymi sahibami i spoglądała na mnie, osłaniając dłonią oczy.

- Skoro musisz - odparł i usiadł.

Oparł stopę na taborecie i powiedział coś do chłopca siedzącego po turecku na drugim końcu werandy. Chłopiec zerwał się, podbiegł do niego z wachlarzem z długich kolorowych piór i stanął za nim. Uniósł wachlarz i zaczął nim wolno poruszać nad głową Anglika, który podniósł do ust kieliszek, błyskając nasuniętym na mały palec złotym pierścionkiem z czarnym oczkiem. Ruszyłam do Kavindry.

Dzień dłużył mi się niemiłosiernie. Nie rozumiałam języków, którymi rozmawiali otaczający mnie ludzie. Musiałam stosować się do ustalonego rozkładu zajęć dzieci i uważać, żeby nie narazić się czymś Unmie. Zastanawiałam się przez chwilę, czy budzę w niej gniew dlatego, że jestem muzułmanką. W domu pracowała jeszcze jedna aja,

również Hinduska, która usługiwała memsahib Andrews. Poza tym służącymi byli sami mężczyźni. Nie potrafiłam uwolnić się od smutku, który ogarniał mnie, ilekroć pomyślałam o Davidzie Ingramie, o tym, że jest gdzieś w Bombaju i wkrótce go opuści, podczas gdy ja tu zostanę. Byłam zaskoczona, że tak mocno przeżywam rozstanie na zawsze z tym mężczyzną.

W wielkim domu zobaczyłam tylko pokój dziecienny. Zaprowadziła mnie tam Kavindra. Jak wszystkie drzwi prowadzące z werandy do domu, tak i te były wykonane z drewnianych listew, co miało zapewnić przewiew. W pokoju stały dwa wysokie łóżka i trzecie jeszcze wyższe, z biegnącą dookoła kratą. Leżała w nim na cienkim pościeliu baba Evie, kręcąc się niemrawo i kwiląc. Domyśliłam się, że krata jest po to, żeby nie wypadła. Nogi wszystkich trzech łóżek stały w naczyniach z wodą. Spostrzegłam na podłodze wiele owadów i zorientowałam się, że woda jest po to, aby nie mogły wpełznąć na pościel i pokąsać śpiących dzieci. Każde łóżko całkowicie zasłaniała rozpięta nad nim biała przejrzysta tkanina. Oglądane przez nią dzieci wyglądały jak blade duchy zamknięte w celach o półprzezroczystych ścianach. Wydawało mi się to smutne, że śpią same. W Afganistanie czy w Indiach każde małe dziecko spało z matką bądź z inną dorosłą osobą.

Gdy zapadł zmrok i dzieci zostały nakarmione, wykąpane i ułożone do snu, Unma i Kavindra położyły się na łóżkach stojących po drugiej stronie dzieciennego pokoju. Były ich trzy, ale gdy położyłam się na tym wolnym, Unma, gniewnie mruczając coś pod nosem, pokręciła głową i pomachała na mnie ręką, żebym wstała.

- Daryo, Unma mówi, że będziesz sypiać w godown - powiedziała Kavindra.

Wyszłam z dzieciennego pokoju na werandę, a stamtąd udałam się przez ogród w stronę chat oświetlonych pochodniami. W godown od razu położyłam się na łóżku i nasłuchiwałam odgłosów docierających tu z wielkiego domu - pobrzękiwania naczyń i szkła, głosów osób rozmawiających po angielsku i ich śmiechu, zwłaszcza charakterystycznego śmiechu pana Bulla, rozbrzmiewającego, jak mi się wydawało, długo w noc.

Miałam już za sobą ucieczkę przed mężem i pełną niepewności podróż w poszukiwaniu bezpiecznej przystani. Wiedziałam jednak, że nigdy nie otrąsnę się ze smutku i żalu po utracie kraju, rodziny i

bliskich. Nie stałam się ofiarą gniewu Shaliq'a ani obdartym wyrzutkiem z moich najczarniejszych snów. Miałam co jeść i gdzie spać. Memsahib Andrews wydawała się osobą życzliwą. Dzięki kontaktowi z dziećmi zaczęłam się uśmiechać. Kavindra była nieśmiała, ale nastawiona wobec mnie przyjaźnie. A jeśli chodzi o Unnę, to uwierzyłam, że sobie z nią poradzę. Czułam się tu bezpiecznie. Wszystko było w porządku, a mimo to nie mogłam przestać myśleć o mojej podróży z sahibem Ingramem. W czasie tej podróży nigdy nie byłam pewna swego losu, teraz jednak żałowałam, że nie rozumiałam wolności, jaką się wtedy cieszyłam. W czasie tych nocnych rozmyślań widziałam wyraźnie twarz Davida Ingrama, a spędzony z nim czas wydał mi się długi. Pomyślałam o wyrazie twarzy Anglika w chwili naszego pożegnania. Czy wyrażała żal i smutek? Czy tylko sobie to wyobraziłam? A może po prostu ulgę, że wreszcie pozbył się mnie i odzyskał swobodę? Roztrząsałam tę kwestię, rozmyślając o swoich wizerunkach wykonanych jego ręką, o tym, jak czasami na mnie patrzył, kiedy na przykład śmiałam się, oglądając delfiny rzeczne czy recytując poezję Rumiego albo też spoglądając na fale, i o tym, jak przy pożegnaniu trzymał mnie za rękę, ściskając ją mocniej, niż się spodziewałam. Ale wyjechał na zawsze. Powiedziałam sobie, że nie wolno mi więcej o nim myśleć. Zakazałam też sobie myśleć o okresie życia, który spędziłam w moim watan. Moją nową ojczyzną stały się Indie. Tu rozpoczęłam nowe życie. Nauczę się języków, którymi posługują się mieszkańcy tego kraju, i stanę się tak dobrą ają, jak tylko będę mogła. To było wszystko, czego mogłam oczekiwać.

Daryo jan, czy takie skromne życie to naprawdę wszystko, o czym marzysz? - usłyszałam w myślach głos babci. Otworzyłam oczy. Madar - e kalan, czy nie dość się starałam? Jak możesz tyle ode mnie oczekiwać? - odpowiedziałam jej w myślach. Daryo jan, czy na pewno nie pytasz: dlaczego miałabym oczekiwać od siebie tak mało? Jeśli chcesz zaakceptować obecne życie, to musisz być pewna, że nic więcej nie potrafisz - usłyszałam znowu w myślach jej głos. Przewróciłam się na bok, próbując zatrzymać go w myślach, i zacisnęłam powieki.

Drugiego dnia robiłyśmy to samo co pierwszego, choć Unna traktowała mnie jeszcze bardziej szorstko. Uderzyła mnie w rękę, gdy nie mogłam opanować umiejętności posługiwania się angielskimi

srebrnymi sztuccami, niezbędnej, żeby pomóc nimi jeść sahibowi Tedd'emu. Mruczała przy tym pod nosem jakieś złośliwe uwagi, piorunując mnie wzrokiem. Postanowiłam nie przejmować się takim traktowaniem i nie okazywać zdumienia, w jakie wprawiał mnie sposób wychowania tych dzieci. Nie odmawiano im niczego. Wystarczyło, żeby tylko wskazały coś palcem, i już któraś z nas biegła, by im to przynieść. Nie wiedziałam, czy jest tak dlatego, że to chłopcy, czy też z tego powodu, że są Anglikami. A może wchodziły w grę obie przyczyny? Baba Evie była zbyt ospała, żeby domagać się czegokolwiek, ale to na skutek choroby, która zdawała się całkowicie pozbawiać ją rumieńców i sił.

Było oczywiste, że Unma przydziela mi najgorsze zajęcia, takie jak na przykład zdejmowanie Evie mokrych, pobrudzonych ubranek czy zabijanie owadów w pokoju dziecinnym. Kazała mi też zanosić porcelanowy nocnik, do którego chłopcy się załatwiali, staremu Hindusowi w wystrzępionej przepasce biodrowej, który czekał skulony w kurzu przy bocznej ścianie domu i wyciągał po naczynie drżącą, kościstą rękę.

- Muszę to robić. Taką mam pracę. Jestem teraz ają - szeptałam do siebie drugiego dnia.

Nie byłyśmy ważne dla białych kobiet i mężczyzn, którzy wchodzili i wychodzili z wielkiego domu, siadywali na werandzie z kieliszkami w ręku i palili, to znaczy mężczyźni, ciemne liście tytoniu zwinięte w długie cienkie rurki. Służący kłaniali się i usługiwali tym Anglikom, jakby ci nadal byli w wieku George'a i Teddy'ego, zaspokajając każdą ich zachciankę, jeszcze zanim została wypowiedziana. Nie było czynności, której by nie wykonali - od wycierania butów z kurzu po dolewanie do kieliszków, zanim zostały opróżnione, i nieustanne odpędzanie owadów specjalną miotełką. A goście nie czuli się ani odrobinę wdzięczni służącym. Pomyślałam o tym, jak w porcie w Karaczi tubylcy rozstąpili się, by przepuścić sahiba Ingrama. Wyglądało to tak, jakby angielska krew była lepsza od innych.

Podobnie jak inni służący, poruszałam się cicho, niewidzialna dla wszystkich z wyjątkiem pana Bulla. Dwa razy, gdy bawiłam się z dziećmi, spostrzegłam, że przygląda mi się z otwartego okna wychodzącego na werandę. Uśmiechnął się, gdy na niego spojrzałam, ale odwróciłam głowę.

Później tego dnia, gdy wraz z Unmą i Kavindrą siedziałyśmy na tarasie, przysłała do nas memsahib Andrews. Rozmawiała z Unmą, ale patrzyła na mnie. Unma odpowiadała jej zbyt szybko i głośno. Memsahib zdawała się ją uspokajać, mówiąc coś do niej po cichu i zerkając na mnie. Mówiąc, przechylała głowę, jakby przemawiała Unmie do rozsądku.

- Jest wielkie zmartwienie - szepnęła mi Kavindra, gdy memsahib wyszła. - Córka Unmy trzecia aja, ale teraz ty tu i córka Unmy musi iść do domu. - Spojrzałam na Unmę, która gładziła rzadkie włosy Evie. Robiła to delikatnie, ale mamrotała coś pod nosem, nie patrząc na nas. Kavindra znowu szepnęła: - Unma nie może być zła na memsahib Andrews, więc musi być zła na ciebie. - Przynurła się do mnie bliżej i dodała niepewnie: - Daryo, Unma jest już tak długo ulubienicą memsahib. Memsahib mówi do niej, nie martw się, mówi, że musi wziąć cię chwilowo, bo chce tego wysoki sahib, który cię tu przyprowadza, ale gdy wkrótce odpłynie on stąd wielką łodzią... - Pokręciła głową. - Może nie jest dobrze dla ciebie, Daryo, słyszę. Nasza memsahib bardzo miła lady, ale gdy statek odpłynie, odda cię w inne miejsce jako aję, żeby Unma być znowu szczęśliwa. - Pokręciła głową. - Każda aja zna sahiba, do którego pójdziesz. Niedobrze.

Tej nocy znowu rzucałam się na łóżku. Czy Kavindra powiedziała prawdę? Miała szczerą twarz. Czy w moim życiu znowu nic nie miało być pewne?

Rano siedziałyśmy na werandzie z chłopcami. Teddy się rozplakał, gdy Kavindra łagodnie nalegała, żeby nie zdejmował białego twardego kapelusza - topi - nawet w cieniu. Chcąc go rozweselić, zaczęła uderzać pałeczkami w małe dzwonki. Teddy od razu zapomniał o swoim niezadowoleniu i wraz z bratem też zaczęli z entuzjazmem uderzać pałeczkami w dzwonki.

Robiłam wszystko, co kazała mi Unma, zanim weszła z werandy do domu, wnosząc Evie. Wyczyściłam pastą czarne skórzane buty małych sahibów i wypolerowałam je do połysku miękkim gałgankiem.

- To jest zajęcie siudrów, którzy stanowią naszą najniższą kastę, jak ten, który odbiera porcelanowe nocniki pomalowane w kwiaty - powiedziała mi Kavindra, gdy najstarsza aja wyszła. - Ale Unma mówi, teraz ty to robisz. Tobie... wolno dotykać skóry, nie jesteś jak dobra Hinduska.

Dobra Hinduska... Pomyślałam o tym, że się nie modłę, nieżyczliwie myślę o Allahu i mam w większym poważaniu Davida Ingrama. Nie byłam już dobrą muzułmanką. Siedząc na piętach, polerowałam energicznie nosek małego bucika, jakby próbując pozbyć się myśli o swojej niewierności Allahowi.

Nagle ktoś zatrzymał się obok.

Zobaczyłam błyszczące buty. Spojrzałam w górę. Stał nade mną pan Bull i mruczał coś pod nosem, jakby skonsternowany.

- To najbardziej przykry widok pod słońcem - oświadczył. - Kobieta taka jak ty nie powinna być skazana na tego rodzaju harówkę. Proszę, przestań to robić.

Pokręciłam głową.

- Nie mogę, sir. Gdyby Unma zobaczyła, że siedzę beczynn timer, doniosłaby memsahib...

Lekceważąco machnął ręką.

- Jestem burra sahib, najważniejszy dżentelmen. Jeśli ja sobie życzę, żebyś przestała, to musisz być posłuszna mnie, a nie Unmie. Proszę usiąść, miss Daryo. - Opadł na wyplatany fotel wyłożony poduszkami i poklepał stojący obok.

Zerkając na Kavindrę, odłożyłam pastę i gałganki do drewnianej skrzynki, wstałam i wytarłam ręce w czystą ściereczkę. Zawahałam się, ale pan Bull znowu poklepał fotel. Przycupnęłam na jego krawędzi i splotłam dłonie na kolanach.

- Po prostu muszę... - Delikatnie zsunął z mojej twarzy chustę.

Odsunęłam się gwałtownie i spuściłam głowę, żeby nie mógł zobaczyć, jak jestem zła z powodu tej jego zdumiewającej poufałości. Z zadowoleniem stwierdziłam, że Kavindra jest zajęta chłopcami i na nas nie patrzy.

- Przepraszam... - zaczął. Uniosłam głowę, widząc, że on nie rozumie niewłaściwości swego zachowania i tak naprawdę absolutnie nie widzi powodu do przeprosin.

- Jestem zafascynowany tymi znakami na twojej twarzy. Myślę o nich od chwili, kiedy je zobaczyłem. I o tobie. - Uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

Jego zachowanie z pewnością nie wyplęwało z nieznajomości dobrych manier. Był tak pewny siebie, że nie liczył się z tym, jak może ono zostać odebrane czy też jakie może mieć skutki. Był jak

zuchwałę dziecko, przyzwyczajone do tego, że mu się wybacza, i sądził, że zawsze tak będzie.

- Miss Daryo, rozumiem obyczaje twojego narodu - powiedział, jakby czytał w moich myślach. - Wiem, że krępuje cię to, jak na ciebie patrzę. Ale czuję, że jesteś... inna niż typowa muzułmanka. Czy nie mam racji?

Oczywiście, że byłam inna. Wszystko, co mi się przydarzyło i co sama spowodowałam, sprawiło, że stałam się inna. Ale nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi na to pytanie.

- Musisz mi opowiedzieć o tych znakach - ciągnął. - Odwiedziłem różne wschodnie kraje i mieszkałem w nich, ale nie widziałem tego wzoru tatuażu. Co dokładnie te znaki przedstawiają? Mister Ingram powiedział mi, że jesteś Tadżyjką. - Wstał, ujął mnie za podbródek i odwrócił moją twarz w bok. - Jestem nimi niezmiernie zaintrygowany. Czy możesz mi powiedzieć, w jaki sposób zostały wykonane? Różne ludy używają różnych technik. - Stał tak blisko, że połą kurtki dotykał mojego ramienia. Pachniał tytoniem i jakąś kwiatową wonią, lecz przebijał przez nią nikły zapach potu.

Staralam się panować nad sobą. Czy zachowywał się tak oburzająco, bo taką miał naturę, czy też dlatego, że był Anglikiem? Tej ostatniej przyczyny nie mogłam brać pod uwagę, bo David Ingram nigdy się tak nie zachował. Zawsze traktował mnie z szacunkiem, nawet w chwilach najbardziej dla mnie przykrych. Ale z drugiej strony nie był w pełni Anglikiem.

- Nie wstydź się. Proszę, powiedz - nalegał pan Bull, siadając z powrotem na fotelu.

Przełknęłam gniew. Nie miałam wyboru, musiałam mu odpowiedzieć. Poinformowałam go najkrócej, jak mogłam, o sposobie wykonywania takiego tatuażu.

- Czy to bolało? - spytał i oblizał usta, które wydały mi się zbyt pełne jak na mężczyznę. Nie zmniejszyły tego efektu nawet sumiaste rude wąsy.

Spojrzałam na drzewa, kwitnące krzewy i alejkę prowadzącą do chat.

- Odrobinę. Już dokładnie nie pamiętam. To było kilka lat temu - odparłam lakonicznie.

- Czy to tadżycki rytuał? Oznaczający być może osiągnięcie przez kobietę wieku dojrzałego? - próbował zgadnąć.

- To nie jest tadżycki rytuał. Tadżyjki nie zdobią się har - quus - powiedziałam.

- Harquus - powtórzył za mną, jakby wymówienie tego słowa sprawiło mu przyjemność. - Ale skoro jesteś Tadżyjką...

- Harquus ma, według plemienia Ghilzai, sprzyjać zachowaniu zdrowia i płodności, a także dodawać urody...

- Dlaczego zostałam ozdobiona nim przez Ghilzai? W końcu na niego spojrzałam.

- Ze względu na mojego męża, Pasztuna z plemienia Ghilzai. Życzył sobie tego - odpowiedziałam.

- Twojego męża? Byłaś mężatką?

Nie wiedziałam, czy moja odpowiedź go zadowoliła, czy też nie, ale spojrzał na mnie bardziej surowo.

- Tak - potwierdziłam i znowu odwróciłam głowę.

- To staje się jeszcze bardziej interesujące, bo David Ingram powiedział mi, że jesteś sama na świecie - rzekł.

- To prawda, gdyż nie uważam się już za mężatkę - odparłam zgodnie z własnym sumieniem, choć przez islam byłam nadal przypisana do Shaliqā i nie wypełniałam obowiązków żony. Pod wieloma względami islam wydawał się dla mnie stracony.

Zaczęłam usuwać czarną pastę, która dostała mi się pod paznokcie, ale po chwili znowu spojrzałam na rudego Anglika. Miał ten sam senny wyraz twarzy co wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył mnie bez chusty.

- Muszę wrócić do pracy - powiedziałam, podnosząc się z fotela.

- Zostań jeszcze chwilę, dobrze? - poprosił i przechylił głowę. - Masz taki śliczny głos. Zrobisz coś dla mnie?

Czekałam.

- Powiedziałaś, że znasz pieśń o Brytanii. Czy nauczył cię jej David Ingram?

- Nie.

- Więc kto? Kto nauczył cię angielskiej pieśni? Czy znasz wielu innych angielskich dżentelmenów? Czy ukrywasz coś przede mną? Miss Daryo?

- Nie - odparłam, zniesmaczona jego sugestią. - Nauczyła mnie jej moja babcia.

- Twoja babcia?

- Dużo wiedziała o świecie.

Znowu wziął mnie za rękę, a ja stanęłam sztywno.

- Miss Daryo, nie puszczę cię stąd, dopóki mi nie zaśpiewasz. Obserwowałam jego twarz. Uśmiechnął się, spoglądając na

mnie nieruchomym spojrzaniem węża. Droczył się ze mną, ale zapewne zamierzał zrobić to, co powiedział. - Znam tylko kilka słów - uprzedziłam. - Nie szkodzi - zachęcił mnie. Wzięłam głęboki oddech.

- Rule, Britannia - zaczęłam bardzo cicho. Miałam nadzieję, że Kavindra i chłopcy będą zajęci uderzaniem pałeczkami w dzwonki i że aja nie usłyszy, jak śpiewam Anglikowi, który trzyma mnie za rękę. Nawet nie wiedziałam, czy pamiętam rytm tej melodii, ale zaśpiewałam ją szybko, niemal na jednym oddechu, pragnąc jedynie mieć to już za sobą. Byłam zawstydzona i zła, że pan Bull postawił mnie w takiej sytuacji. Zaśpiewałam: - Britannia, rules the waves: Britons never will be slaves. - I oświadczyłam: - To wszystko, co znam.

Anglik wypuścił moją rękę i klasnął w dłonie, wciąż się uśmiechając.

- Miss Daryo! Wspaniały śpiew! Godny podziwu! Jak ładnie brzmi w twoich ustach język angielski! Czyż nie jesteś zdolną dziewczyną?

- Wracam do swoich zajęć - powiedziałam.

Pan Bull westchnął ciężko, jakby przytłoczony smutkiem, i położył rękę na sercu.

- Co za rozczarowanie - rzekł.

Powróciłam do czyszczenia butów. Odetchnęłam z ulgą, gdy po chwili Anglik zszedł z werandy. W przeciwieństwie do niego, westchnęłam szczerze.

Wieczorem w godown oglądałam w świetle świecy jedną z książek dla dzieci, gdy na zwirowanej alejce prowadzącej tu z wielkiego domu usłyszałam czyjeś ciężkie kroki. Zastygłam z dłonią na kartce, którą właśnie miałam odwrócić. Nie poprosiłam nikogo o pozwolenie, żeby zabrać tę książkę do chaty, lecz po prostu wychodząc z pokoju dziennego, wzięłam ją ze stołu, by umilić sobie czas przed zaśnięciem. Czyżby Unma to zobaczyła i powiedziała memsahib Andrews, że ukradłam książkę? Z pewnością Hinduska chętnie przysporzyłaby mi kłopotów, żeby pozbyć się mnie stąd jak najszybciej z powodu, którego nikt by nie mógł podważyć. Zerwałam się z krzesła, trzymając w dłoni książkę. Gdybym próbowała teraz ją

ukryć, wyglądałoby na to, że rzeczywiście zachowuję się jak złodziejka.

Ale to nie była memsahib, lecz pan Bull. W jednej ręce trzymał małą lampę olejną, a w drugiej kieliszek bursztynowego płynu.

- Miss Daryo, proszę się nie niepokoić i nie trudzić zasłanianiem twarzy chustą.

Ale już zdążyłam zakryć dół twarzy, więc tylko westchnął ciężko, jak wcześniej.

- Wieczór był niezwykle nużący, a towarzystwo nudne i przewidywalne. Postanowiłem przejść się po ogrodzie i zobaczyłem, że w twojej chacie pali się światło. Dlaczego jeszcze nie śpisz? Wszyscy pozostali służący, z wyjątkiem tych, którzy są potrzebni, już śpią.

Wzruszyłam ramionami.

Znowu westchnął. Moja nadąsana mina musiała go bardzo irytować.

- Okropnie się tu nudzę. Szczęśliwie za kilka dni wyjeżdżam - powiedział bardziej do siebie niż do mnie, położył rękę na brzuchu i zaczął głęboko oddychać, lekko skrzywiony, jakby go coś bolało.

- Sir, dokąd się wybierasz? - spytałam, przyjmując z ulgą wiadomość, że już go tu nie będzie, ale starając się ukryć zadowolenie.

- Wracam do domu, do Anglii. To była moja ostatnia podróż do Indii. Spędziłem w tym klimacie dużą część życia, ale nagle przestał mi służyć. Od miesiący, kiedy tu przyjechałem, co pewien czas choruję. - Znowu przycisnął dłoń do brzucha. - Sądziłem, że chłodniejsza pora roku pomoże mi zwalczyć objawy, ale obawiam się, że muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Popłynę do domu i z konieczności zadowolę się tam swoimi małymi Indiami.

- Małymi Indiami w Anglii? Co to znaczy? - spytałam.

- Próbuję odtworzyć w domu hinduski styl życia. - Zakołysał bursztynowym płynem w kieliszku, przysuwając go do ust i zaglądając do środka. - Wprost uwielbiam tutejsze bogactwo barw, smaków i zapachów, a także hinduskich służących, którzy są znacznie wierniejsi i oddani pracy niż angielscy. Oczywiście moje dokonania są niewielkie, jeśli chodzi o naśladowanie Indii w Anglii, ale robię, co mogę. - Napił się.

Skinęłam głową, pocierając palcami okładkę książki.

- Co oglądasz? - Podszedł bliżej i postawił lampę na niskim stole obok świecy. Stał tak blisko mnie, że instynktownie się cofnęłam. Uśmiechnął się i przechylił głowę, jakby chciał mnie zbesztać. - Miss Daryo - ponaglił mnie.

Pokazałam mu książkę.

- Odniosę ją jutro. Należy do małych sahibów. Chciałam ją tylko obejrzeć dziś wieczorem. Jutro oddam - tłumaczyłam się.

- W bungalowie są znacznie bardziej interesujące książki niż te proste dziecinne szkice. Przyniosę ci kilka. Chcesz? Jutro.

- Jeśli pan sobie życzy - odpowiedziałam powściągliwie, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, bo, jak wcześniej, utkwił we mnie nieruchome spojrzenie.

- Miss Daryo, czy uważasz mnie za atrakcyjnego mężczyznę? Śmiałość tego pytania tak mnie zaskoczyła, że spuściłam głowę i wbiłam wzrok w podłogę.

- Nie spojrzysz na mnie i nie odpowiesz na moje pytanie? Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Dla mnie jesteś bardzo pociągająca - wyznał.

- Mister Bull - zaczęłam, wymawiając po raz pierwszy jego nazwisko. - Nie chcę, żeby pan tu był. Proszę wrócić do domu. - Ani na moment nie podniosłam głowy.

- Nie bój się.

- Nie boję się - oświadczyłam wbrew prawdzie, bo czułam się bardzo nieswojo sama z nim w chacie pełnej cieni rzucanych przez świecę i jego lampę.

- Wierzę ci. Naprawdę jesteś dzielną młodą kobietą. Znajdujesz się tak daleko od domu. Masz w sobie ducha przygody i potrafisz się przystosować do nowych warunków i otoczenia.

Nadal nie podobało mi się, że pan Bull tu jest, ale jego słowa napełniły mnie dumą. Powiedział coś, co gdy niedawno siedzieliśmy na werandzie z memsahib Andrews, chciałam usłyszeć z ust Davida Ingrama zamiast opinii, że jestem pracowita. Nie chciałam jednak, żeby pan Bull wiedział, jaką przyjemność sprawiły mi jego słowa.

- Jestem nikim, sir; bezdomną i bezdzietną kobietą, która robi, co musi, żeby przeżyć - powiedziałam i w końcu podniosłam wzrok.

Zmarszczył brwi, jakby zaskoczony.

- Nie widzę cię w ten sposób, moja droga. Jesteś bardzo egzotyczna.

- Egzotyczna? A czemuż to zawdzięczam? - spytałam z ciekawością. Nie chciałam dłużej rozmawiać z tym człowiekiem, ale jego komplementy działały na mnie jak zapach potraw na głodnego człowieka. - Jestem całkiem zwyczajna - powiedziałam, dodając w myślach: Tylko przez próżność chcę usłyszeć, co masz o mnie do powiedzenia.

- W Anglii nikt nie uznałby cię za zwyczajną. Tam fascynuje nas życie ludzi w innych częściach świata, a obecnie zwłaszcza na Wschodzie. W Londynie wystawia się wiele obrazów przedstawiających kobiety takie jak ty, młode i piękne, kuszące powabem nieznanego - oznajmił.

Czyżby ze mnie kpił? Nie byłam piękna ani powabna. Uchodziłam za zbyt wysoką. Miałam tatuaż, który tylko Ghilzai uznawali za właściwy, ale nikt nigdy nie mówił tak o mnie jak teraz ten Anglik.

- Miss Daryo, czy myślałaś kiedyś o tym, żeby zamieszkać w Londynie? - spytał, gdy milczałam.

- Co masz na myśli, sir? O czym mówisz? - zdumiałam się.

- David Ingram musiał pobudzić twoją wyobraźnię opowieściami o Anglii. Czyż nie?

Pokręciłam głową.

- Nie wspomniał ci słowem o wspaniałościach naszego pięknego kraju? Cóż, nie zaskakuje mnie to, skoro czuje się bardziej w domu tu niż w Anglii. Nie, absolutnie mnie nie zaskakuje, biorąc pod uwagę to, co wiem na temat wspaniałego młodego pana Ingrama, wybryków jego fantazji i nieprzestrzegania stosownych obyczajów. Widziałem jednak, jak mroczny wyraz jego twarzy i zamyślane spojrzenie doprowadzają młode angielskie damy do szału - powiedział kpiąco. - Miss Daryo, nie przekonasz się o tym, jeśli nie będziesz miała dla porównania innego - prawdziwego i właściwego - Anglika, takiego jak ja.

Nie podobało mi się to, co i w jaki sposób mówił. Zachowywał się tak, jakby chciał mi pokazać pana Ingrama w złym świetle, a jego tu przecież nie było i nie mógł się bronić.

- Nie powinnaś porównywać wszystkich Anglików z Davi - dem Ingramem. To nie ma sensu. Tak czy inaczej - z irytacją pokręcił głową - powracając do tego, o czym pomyślałem... Miss Daryo, czy chciałaś kiedyś obejrzeć widoki, jakie można zobaczyć w naszym

wspaniałym imperium? - Pociągnął z kieliszka drugi łyk bursztynowego płynu.

Teraz nie odrywałam od niego wzroku.

- To całkiem proste, naprawdę - ciągnął. - Mogę zapewnić ci podróż statkiem. Będziesz musiała przebywać na dolnym pokładzie, jak wszyscy tubylcy, a rejs trwa diabelnie długo, ale gdy dotrzemy do Anglii, mogłabyś... Pokręciłam głową.

- Dlaczego miałabym popłynąć do Anglii? Co mnie tam czeka? - spytałam trzeźwo.

- Co cię tam czeka? Jak to? Przyjemności. Po prostu przyjemności. Czy nie uważasz, że na nie zasługujesz? - Opróżnił kieliszek. - Masz tu być ają i pracować za parę rupii rocznie? Jak ci powiedziałem, w moim domu w Londynie stworzyłem mały Hindustan. Prowadzę tam życie podobne do tego, jakie prowadziłem w Indiach. I chcę otworzyć mój londyński dom dla innych. Wielu osobom odpowiada moja gościnność i egzotyka, jaką oferuję. Lubię myśleć o sobie, moja droga, jako o nababie.

Nie wiedziałam, co znaczy słowo „nabab”, i nic mnie to nie obchodziło.

- Sądzę, że pański pomysł nie ma sensu. To tak jak filiżanka bez dna, wyschnięta rzeka czy kobieta bez dziecka - powiedziałam z goryczą. - Dlaczego pan chce mnie tam mieć?

- Czy nie cieszyłoby cię oglądanie na własne oczy imperium brytyjskiego, o którym opowiadała ci babcia? Miss Daryo, ja naprawdę składałam ci ofertę. Naprawdę.

- A czego ode mnie oczekujesz, sir, w zamian za przyjęcie tej oferty? - spytałam bez ogródek, czerwieniąc się ze wstydu.

Do pokoju wpadł przez otwarte drzwi powiew wietrzyka. Płomyk świecy zamigotał, zasyczał i zgasł.

- Z pewnością - zaczął cichym głosem, jak mi się wydawało, lekko nachmurzony - w drodze z Dżalalabadu do Bombaju musiałś dobrze poznać Davida Ingrama. Nie wątpię, że odpłaciłaś mu za wszystko, co dla ciebie zrobił. Nie proszę o więcej, niż otrzymał od ciebie.

Oblała mnie fala gorąca.

- David Ingram to dobry człowiek - oświadczyłam, starając się ukryć, jak zaszokowała mnie ta sugestia, i zachować godność. Czułam się znieważona i zaniepokojona nie tylko taką oceną mojego

charakteru, lecz także oceną podejścia do mnie tego młodego Anglika.
- Zawsze traktował mnie z szacunkiem. Mister Bull, jestem przyzwoitą kobietą. - Z oburzenia zabrakło mi tchu. Bull uśmiechnął się przebiegle.

- Oczekujesz, żebym w to uwierzył? - spytał, opierając się o ścianę. - Naprawdę? Byłaś mężatką. Nie można cię uważać za przestraszoną dziewczynę, która ma do stracenia dziewictwo. Daryo, ja też jestem dobrym człowiekiem, na swój sposób, bo mógłbym zgasić tę lampę i wziąć cię tu, na miejscu, gdybym nie był dżentelmenem. Nie sądzisz, że tak się w końcu stanie, gdy zjawi się tu jakiś inny burra sahib? Wiadomości szybko się rozchodzą między tutejszymi małymi brytyjskimi enklawami. Kto wie kiedy, a nie czy w ogóle do tego dojdzie?

I kogo to będzie obchodziło?

Było mi coraz ciężiej na sercu, a w głowie kłębiły mi się różne myśli.

- Jestem dobrą muzułmanką - powtórzyłam. - Ja...

- Daryo, skończ z tym męczącym protestem. Żadna dobra muzułmanka nie przemierza setek kilometrów i nie przebywa przez wiele miesięcy sama z młodym mężczyzną. Sądzisz, że memsahib Andrews nie wie, że brak ci zasad moralnych, bez względu na to, co Ingram próbował jej powiedzieć? I czy nie domyślasz się, z jakiego powodu inni służący nie okazują ci szacunku? Jesteś, jak to określają Anglicy, kobietą upadłą. Kto wie, jak nazywają cię Hindusi? Daryo, nie jesteś tu wiele warta.

Wpatrywałam się w niego. Powiedział, że jestem niewiele warta. Znowu to o sobie usłyszałam.

- Będiesz więc wykorzystywana przez pożąujących cię mężczyzn zgodnie z ich wolą. Oczywiście w końcu urodzisz dziecko i w związku z tym stracisz pracę. Znajdziesz zajęcie tylko w zgiełkowych burdelach Bombaju. - Przechylił głowę. - Och, zapomniałem. Jesteś przyzwoitą kobietą. W takim razie dołączysz do żebraków w porcie.

Zasłoniłam dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

- Zmartwiłem cię? Pomyśl o tym, co czeka cię tu i czego możesz spodziewać się w Anglii. Będę cię tam traktował jak księżniczkę, jak moją egzotyczną księżniczkę. Zastanów się nad tym, Daryo jan - powiedział mister Bull.

Na dźwięk tego ostatniego słowa, którego dotychczas używała w stosunku do mnie tylko babcia, ogarnął mnie lodowaty chłód.

- Porozmawiamy o tym jeszcze jutro - dodał nagle dziwnie uprzejmym tonem. - Wiem, że trudno jest słuchać pewnych rzeczy, dowiedzieć się, co naprawdę myślą o nas inni. Ale ja oferuję ci sposób wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Chcę, żebyś miała życie, o jakim nigdy nie marzyłaś, w luksusie i wolności, takie, jakie mają tylko nieliczni szczęśliwcy. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. - Wziął lampę i ruszył do drzwi, ale zanim wyszedł, obejrzał się przez ramię i dodał: - Niewiele osób może wybierać swój los. Zastanów się więc bardzo głęboko, jakiego chcesz życia.

Rozdział XXXIII

Chodziłam po chacie tam i z powrotem. Oczy piekły mnie ze zmęczenia, a serce mi łomotało. Wciąż przeżywałam niestosowną propozycję, jaką złożył mi pan Bull. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by jakikolwiek muzułmanin mógł zaproponować coś takiego zwykłej przyzwoitej kobiecie. W końcu się położyłam i leżałam na wznak z otwartymi oczami, dopóki nie wzeszło słońce. Przez cały czas powtarzałam sobie, że to, co powiedział ten bezczelny biały cudzoziemiec, jest przerażające i obraźliwe. Myślałam o tym, gdy się myłam, jadłam skromne śniadanie i szłam z chaty do bungalowu.

Wchodząc do pokoju dziecinnego, wiedziałam już, dlaczego Unma tak krzywo na mnie patrzy. Wiedziałam, że traktuje mnie tak źle nie tylko dlatego, iż czasowo odebrałam zajęcie jej córce. Postrzegala mnie tak samo jak Fareed w Dżalalabadzie, jako kobietę niskiego pochodzenia, która się niemoralnie prowadzi. A to, co w wypadku Kavindry brałam za nieśmiałość, faktycznie było rodzajem fascynacji wynikającej z zaskoczenia, że memsahib Andrews przyjęła kogoś takiego jak ja do swojego domu.

Dziś praca wydała mi się jeszcze trudniejsza, bo byłam rozkojarzona, chłopcy piszczełi, wciąż czegoś się domagając, a ich siostra przez cały czas żałośnie kwiliła. Czułam, że Unma, a także Kavindra oceniają każdy mój ruch. Miałam ochotę krzyknąć do nich, że nie jestem kobietą, za jaką mnie uważają. Czy tak miało być zawsze, gdziekolwiek bym pracowała w Bombaju?

Czy wszędzie miało mi towarzyszyć ciche potępienie lub jawna wrogość bądź jeszcze gorsze dla mnie przekonanie mężczyzn, że mogą używać mojego ciała, kiedy zechcą?

Dziś pan Bull zdawał się być wszędzie tam, gdzie byłam ja. Spoglądał na mnie przez otwarte okna i drzwi lub z werandy, gdzie siedział, założywszy nogę na nogę. Unikałam jego spojrzenia, a on nic do mnie nie mówił. Jednakże znałam jego myśli i byłam niespokojna. Potykałam się na równej drodze i wszystko leciało mi z rąk. Dyskretnie obserwowałam otaczających mnie ludzi i zadawałam sobie różne pytania: Czy ten sahib z długimi opadającymi wąsami wpatruje się we mnie? Dlaczego memsahib marszczy brwi, patrząc, jak trzymam sahiba Teddy'ego? Czy gdy przechodziłam obok jednego ze służących, który nadzorował wszystko, co działo się na werandzie, mruknął pod nosem coś niepochlebnego, czy tylko odchrząknął?

Wydawało mi się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Zbijały mnie z tropu własne lęki i nie mogłam się skupić z powodu natłoku myśli. Unma przez cały czas rzucała mi wściekłe spojrzenia, z sykiem wydając polecenia, które Kavindra tłumaczyła na perski. Nie kryła, że w jej ocenie nie wykonuję swych obowiązków właściwie i nie poświęcam chłopcom należytej uwagi.

Gdy w końcu dzieci znalazły się w łózkach, poszłam do chaty, słaniając się z wyczerpania. Usta mi drżały, ale starałam się zapanować nad płaczem. Drżącymi dłońmi zdjęłam z głowy chustę i powiedziałam sobie, że po prostu jestem zmęczona z powodu nieprzespanej nocy i słaba, bo niepokój odebrał mi apetyt. Pocięczałam się, że jutro będzie lepiej. Ale czy rzeczywiście mogłam na to liczyć?

Spostrzegłam na łóżku dużą książkę w bladożółtych jedwabnych okładkach. Z pewnością zostawił ją dla mnie pan Bull. Zapaliłam świecę i usiadłam. Wolno odwróciłam wszystkie strony i wróciłam do początku, żeby teraz obejrzeć każdy obrazek uważnie. Za każdym razem, gdy oglądałam któryś z nich, odkrywałam w nim coś nowego, zaskakującego lub fascynującego. Nie były kolorowe jak obrazy wiszące w pokoju dzieciennym czy w chacie Prity w Multan, lecz utrzymane w odcieniach szarości, bieli i czerni. Gdy przesuwiałam po nich palcami, niemal wyczuwałam kształty wysokich budynków, strukturę liści na drzewach przy szerokich kamiennych drogach, grubość grzyw koni zaprzężonych do dziwnych pudeł, które wyglądały jak maleńkie domki. Widoczne na obrazkach kobiety miały na sobie dopasowane w talii suknie o bardzo szerokich dołach, a głowy nakrywały kapeluszami przypominającymi ciężkie ptaki. Takie suknie nosiła memsahib Andrews i jej przyjaciółki. Był też obrazek przedstawiający niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach, z szerokim pasem na szyi, który wytarł mu sierść. Zwierzę miało otwarty pysk, jakby ryczało, ukazując zaskakująco krótkie i kwadratowe zęby. Zastanawiałam się, jak zagryza nimi zwierzęta, którymi przecież się żywi.

- Podobają ci się fotografie Londynu? - spytał pan Bull. Zerwałam się z łóżka, bo nie słyszałam jego kroków. Znowu trzymał w dłoni kieliszek, który od razu opróżnił i odstawił na parapet okna.

- Fotografie - powtórzył i opowiedział mi o pudełku, w którym powstały wizerunki tych ludzi, zwierząt i budynków ukazane następnie na papierze.

Nie uwierzyłam mu. Z pewnością to wymyślił, chcąc zrobić na mnie wrażenie. Był wprawdzie potężnym białym cudzoziemcem, ale tylko człowiekiem.

- Czy niedźwiedzie chodzą po ulicach Londynu? - spytałam, znajdując stronę z wizerunkiem tego zwierzęcia.

Pan Bull usiadł obok mnie na łóżku. Odsunęłam kolana i cofnęłam rękę, żeby mnie nie dotknął.

- Nie. Ten znajduje się w... Czy na określenie tego miejsca istnieje perskie słowo? Po angielsku nazywa się ono circus. Inne niedźwiedzie żyją w zoo. Ludzie przychodzą tam, żeby je oglądać.

- Niedźwiedzie się na nich nie rzucają?

- W zoo trzyma się je w klatkach, tak samo jak różne inne zwierzęta i ptaki.

- Wszystkie żyją w klatkach? - zdziwiłam się, a gdy skinął głową, spytałam: - Na co tam czekają?

Anglik pochylił się nad wizerunkiem niedźwiedzia i przesunął po nim palcami.

- Na co tam czekają? - powtórzył za mną i spojrzał mi w twarz; siedział już zbyt blisko. - Na nic nie czekają. - Jego oddech pachniał bursztynowym płynem, mocno i nieprzyjemnie, jak namoczone w jakiejś cieczy szmatki, którymi Prita przemywała moje ciało w czasie choroby. - Służą rozrywce ludzi, którzy tam przychodzą.

Przyjrzałam się jego dłoni, którą położył na książce. Miał krótkie palce i nieco za długie paznokcie, zdumiewająco gładkie, jakby wypolerowane do połysku. W świetle lampy połyskiwało też czarne oczko w jego pierścieniu.

- A więc w Anglii niedźwiedź jest zwierzęciem egzotycznym? - spytałam. Gdy pan Bull odsunął dłoń, zamknęłam z trzaskiem książkę, przycisnęłam ją do piersi, wstałam i zadałam mu kolejne pytanie: - Czyli będę w Anglii jak ten niedźwiedź? Służyć pana rozrywce? - Nie czekając na odpowiedź, dodałam cicho, lecz stanowczo: - Sir, proszę mi powiedzieć prawdę. Czy jeśli skorzystam z pana oferty i popłynę do Anglii, też zamknie mnie pan w klatce?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział z gniewem i również wstał. Miał pot na czole, a usta wykrzywił mu grymas bólu, najwyraźniej z

powodu jakiejś dręczącej go choroby. - Nie zmuszam cię, żebyś jechała ze mną do Anglii. Jeśli nie chcesz, po prostu powiedz, a zostaniesz tu, pracując do końca życia jako służąca. - Wyjął z moich rąk książkę. - Daryo, wyświadczam ci przysługę.

Zwróciłam uwagę, że już nie poprzedza mojego imienia zwrotem grzecznościowym miss. Stał przede mną w milczeniu. Łatwiej było mi z nim rozmawiać, gdy spoglądał na mnie gniewnie, niż gdy patrzył z rozbawieniem.

- Mister Bull, gdybym na moment założyła, że pojedę, czy mogłabym tu wrócić, jeśli w Londynie by mi się nie spodobało? - spytałam, wstrząśnięta własnymi słowami, których Anglik zdawał się słuchać w skupieniu. Co ja powiedziałam? Czy rzeczywiście brałam pod uwagę wyjazd z nim do Anglii?

- Daryo, nie jesteś moim więźniem - odparł. - Jeśli sobie tego życzysz, możesz zaraz wrócić do Afganistanu. Nikt cię nie powstrzyma. Czy nie jest tak?

Spoglądałam na jego usta. Nie, nie byłam jego więźniem. Ale też nie mogłam wrócić do rodzinnego kraju. Nie miałam tam czego szukać. Z kolei gdybym pojechała do Anglii, nie było dla mnie drogi powrotu do Indii. Tu też nie miałam czego szukać. Wydawało mi się, że coraz bardziej oddalam się od tego, co znajome. A im dalej się udawałam, szukając dla siebie... miejsca do życia, tym bardziej ono się oddalało. Teraz to sobie uświadomiłam. Zawsze znajdowało się poza moim zasięgiem. Ale czy mogłam się poddać, poniechać starań, żeby do niego dotrzeć?

- Co to za mina? - spytał mnie pan Bull. - Przecież ci powiedziałem, że nie będziesz moim więźniem. I na pewno nie będziesz źle traktowana. Będziesz żyła w luksusie, o jakim nie masz pojęcia. Już nigdy nie będziesz musiała czyścić czyichkolwiek butów czy opiekować się zepsutymi dziećmi o niezdrowo białych twarzach. Nie będziesz musiała nic robić. Wreszcie będziesz mogła cieszyć się życiem. Jak ci powiedziałem wczoraj, moja droga, otrzymujesz ode mnie wolność. - Wziął z parapetu pusty kieliszek, wsunął książkę pod pachę i wolno poszedł alejką do domu. Dwukrotnie zatrzymał się po drodze, lekko pochylił do przodu i dotknął dłonią brzucha.

Odprowadzałam go wzrokiem, ale on ani razu się nie obejrzał.

Zgasłam świecę i podeszłam do otwartego okna. Nad wielkim domem i otaczającym go ogrodem świecił na wieczornym niebie

księżyc w pełni. Świat był skąpany w jego niezwyklej srebrzystej poświacie. Przypomniałam sobie twarz babci i kraj rodzinny, z którego uciekłam, Davida Ingrama, gdy zegnał się ze mną, i propozycję pana Bulla. Pomyślałam o przyszłości, jaka według pana Bulla mnie tu czeka: wkrótce memsahib Andrews umieści mnie w domu innych sahibów, a wieść o mojej złej reputacji lotem błyskawicy rozniesie się wśród miejscowych Anglików. Będę tu zawsze żyć w cudzym domu i bez rodziny, a dni świąteczne spędzać samotnie, bo każda inna aja będzie na mnie patrzyła jak teraz Unma czy Kavindra i nigdy do siebie nie zaprosi. W najlepszym wypadku przez resztę życia w Bombaju będę należała do tej czy innej memsahib. I może rzeczywiście będą mnie wykorzystywali podli mężczyźni, bo nie miałam nikogo, kto mógłby mnie przed nimi obronić. Rudy cudzoziemiec zaproponował mi coś zupełnie nieznanego.

Trzeba znaleźć sposób na to, by poczuć, że się żyje i jest się wolnym, mówiła mi babcia. Ale wbrew temu, czym kusił mnie pan Bull, mieszkając z nim, nie stanę się wolna, bo będę do niego należała, a on zawsze postąpi ze mną tak, żeby to on był zadowolony. Z drugiej strony zawsze do kogoś należałam: najpierw do ojca, potem do męża, a teraz do memsahib Andrews. Niebawem miałam zaś należeć do innej memsahib. Poza tym zawsze ciężko pracowałam, za co nikt mi nie dziękował i nie wynagradzał mnie żadnymi przyjemnościami. Gdy zdecyduję się tu zostać, czy nie będę miała takiego samego życia jak w Afganistanie, upływającego w samotności i na obsługiwaniu innych? W Anglii natomiast, zgodnie z tym, co mówił pan Bull, miałam nie pracować i nie wykonywać żadnych obowiązków, a jedynie z nim współżyć. Pomyślałam o Shaliqu i o tym, że nic nie czułam, kiedy nocą obcował ze mną fizycznie, z wyjątkiem mechanicznego podrażnienia, które budziło we mnie wstręt, ale, na szczęście, trwało krótko. Czy mogłam się spodziewać, że moje intymne współżycie z panem Bullem będzie przebiegało jeszcze gorzej? Przynajmniej będę mieszkać w Londynie, w centrum wielkiego imperium brytyjskiego, i zgodnie z przepowiednią babci, zobaczę, jak wygląda świat. Oczywiście nie mogła przewidzieć, w jaki sposób to się stanie, ale z pewnością zdawała sobie sprawę, że w życiu niewiele się otrzymuje bez ponoszenia ofiar.

Z drugiej strony, gdybym pojechała do Anglii jako kobieta należąca do pana Bulla, świadomie złamałabym przepisy prawa

islamskiego, decydując się na fizyczne współżycie z mężczyzną poza małżeństwem. Dokonanie takiego wyboru oznaczałoby, że po śmierci nie pójdę do raju. Położyłam ręce na parapecie i oparłam na nich czoło. Dlaczego ta decyzja jest taka trudna? Dlaczego nie mogę być dobrą, bojaźliwą muzułmanką, która nigdy nie rozważałaby tak jawnie niegodziwej propozycji albo przeciwnie - kobietą niewierną, złą i bezwstydną, która godzi się na tego rodzaju propozycję tak łatwo, jak łatwo zdmuchuje się płomień świecy? Czy nie ma niczego pośrodku? Daryo, poza czernią i bielą istnieje wiele kolorów, powiedział mi kiedyś pan Ingram. Mimo to wydawało się, że ja mogę wybierać tylko między czernią i bielą. David Ingram... Od czasu, kiedy wczoraj wieczorem pan Bull złożył mi wiadomą ofertę, w moim umyśle nie było już miejsca dla młodego Anglika. I teraz nagle pojawił się w mej pamięci jak żywy. Czy dowie się o wszystkim? Wyjechał już czy może... Usiłowałam sobie przypomnieć, co powiedziała mi Kavindra: gdy tylko wkrótce ten wysoki sahib odpłynie na wielkiej łodzi... Czy to znaczyło, że w najbliższych dniach do Anglii wyruszał z Bombaju tylko jeden statek, którym udadzą się tam obaj ci mężczyźni i być może również ja? A jeśli wyruszę tam z panem Bullem, to czy potrafię spojrzeć panu Ingramowi w oczy, nie padając przed nim na kolana, by prosić o przebaczenie? Czy potrafię mu wytłumaczyć, dlaczego dokonałam takiego wyboru? Ale czy powinnam podejmować decyzję, kierując się tym, co pomyśli o mnie pan Ingram? Uniosłam głowę. Zostawił mnie tu, pożegnał się ze mną i poszedł w swoją stronę. Byłam dla niego kimś bez znaczenia, więc powinnam przestać myśleć o tym, jak na mnie patrzył przy pożegnaniu, jak uścisnął mi rękę i jak podskoczyło mi serce. Spojrzałam na księżyc i przypominałam sobie słowa białego cudzoziemca, że Anglią rządzi kobieta.

- Madar - e kalan, widzę, jak lśnisz nade mną w górze - szepnęłam do pełnej blasku kuli na niebie. - Czy widzisz mnie z raju? Czy to źle, że czuję potrzebę zamiany mojego obecnego życia, które na pewno nie da mi zadowolenia, na inne, nieznanne, w którym oddam komuś niewielką część siebie w nadziei, że w zamian otrzymam odrobinę szczęścia i poznam świat? Czy ty właśnie tak postąpiłaś? A może, jak przystało na uczciwą kobietę, powinnam żyć w ukryciu i milczeć, niewidzialna dla świata, pozbawiona jakiegokolwiek władzy? Proszę, wskaż mi drogę.

Oczywiście nikt nie mógł mi powiedzieć, jak powinnam postąpić. Ale gdy spoglądałam w wieczorne niebo, świadoma tego, że mogę ufać tylko sobie, przypląnęła ciemna postrzępiona chmura i zakryła księżyc. Noc straciła dla mnie swą czarodziejską moc.

Rano, gdy siedziałam na werandzie obok małego sahiba George'a, który drewnianym mieczem uderzał swoje ołowiane żołnierzyki, przyszedł do mnie pan Bull.

- Daryo, zastanowiłaś się nad moją propozycją? - spytał bez żadnych wstępów, a gdy nie odpowiedziałam od razu, dodał: - Proszę, nie rozczaruj mnie. - Miał szczere spojrzenie i mówił niemal błagalnie, co dodało mi otuchy. - Statek odpływa jutro. Nie ma już czasu.

Wstałam z podłogi i wzięłam głęboki oddech.

- Zrobię to - odpowiedziałam, choć te słowa z trudem przeszły mi przez gardło. - Pojadę z panem do Londynu.

Uśmiechnął się szeroko i uniósł podbródek.

- Dokonałaś właściwego wyboru - oznajmił. - Nie było to takie trudne, nieprawdaż? Rzucić to wszystko dla życia w luksusie. - Machnął ręką w stronę Unmy, która próbowała uspokoić krzyczącą Evie, i Kavindry, po raz kolejny usiłującej nie dopuścić do tego, żeby sahib Teddy zdjął z głowy topi.

- To moja babcia zdecydowała. Poprosiłam ją o radę i powiedziała mi, że powinnam pojechać - odpowiedziałam po chwili.

- Twoja babcia? Nie rozumiem...

- Mister Bull, wielu rzeczy pan nie rozumie - ucięłam krótko.

Nachmurzył się, dotknięty tym tonem, ale się tym nie przejęłam. Odwróciłam się, by pomóc sahibowi George'owi znaleźć miecz, który wyleciał mu z ręki i wpadł między oleandry, bujnie krzewiące się przy werandzie.

Już do końca dnia nie rozmawiałam z Unmą i Kavindrą. Byłam zadowolona, że mnie ignorują. Nie chciałam, żeby teraz, gdy jeszcze musiałam z nimi pracować, dowiedziały się o moim wyjeździe i o tym, co on oznaczał. Zakładałam, że pan Bull powiadomi o wszystkim memsahib Andrews i po prostu wyjadę bez informowania o tym dwu pozostałych służących. Było jasne, że poczują ulgę, gdy stąd zniknę.

Wieczorem pan Bull znowu do mnie przyszedł z kieliszkiem w rękę, ale tym razem nie przyniósł lampy. Siedziałam przed chatą, oparta o ścianę, rozkoszując się księżycową poświatą.

- Chciałem ci jeszcze raz powiedzieć, jak jestem zadowolony z twojej decyzji, Daryo jan - powiedział.

Przeszył mnie dreszcz na myśl, że tak nieobowiązująco używa zwrotu, oznaczającego bardzo bliskie relacje z drugą osobą. Stałam naprzeciw rudego Anglika. Był wysoki, choć nie tak wysoki jak pan Ingram.

- Kiedy wsiadamy na statek? Jutro rano? - spytałam, chcąc opuścić to miejsce jak najszybciej, skoro podjęłam decyzję, która czyniła ze mnie osobę, za którą uważały mnie Unma i Kavindra.

- Późnym rankiem - potwierdził ku mojemu zadowoleniu. - Już kupiłem ci bilet i poinformowałem panią Andrews, że ze mną wyjeżdżasz.

Zamknęłam oczy na myśl o tej rozmowie.

- Czy Anglia jest stąd bardzo daleko? - spytałam.

- Tak - potwierdził.

- Czy tak daleko jak z Karaczi do Bombaju?

- Bez porównania dalej. - Przesunął palcem po brzegu kieliszka, uśmiechając się, jakby był z siebie bardzo zadowolony. - Płynie się przez Ocean Indyjski, a następnie przez Ocean Atlantycki. Wsiądziemy na statek, które wiezie do Anglii różne towary: bawełnę, jedwab, herbatę i przyprawy, ale także ludzi. Bardzo daleka jest stąd droga do portów rzecznych w Londynie.

Skinęłam głową.

Spojrzał na mój biały strój służącej.

- Czy masz jakieś rzeczy? - spytał.

- Tylko jedną torbę.

- Poślę kogoś na targ wcześniej rano, żeby kupić wszystko, czego będziesz potrzebowała w podróży. - Odstawił kieliszek i zatarł ręce, jakby jeszcze bardziej z siebie zadowolony. Byłam ciekawa, co uważał za potrzebne mi w podróży.

Rozdział XXXIV

W porcie znowu zobaczyłam umalowane kobiety w strojach ukazujących ciało. Ale teraz reagowałam na nie inaczej niż przed niespełna tygodniem. Spojrzałam na swoje jedwabne, żółtopomarańczowe, migotliwe sari i dołączony do niego szal, który zakrywał górną część ciała oraz ręce. Przyniósł mi ten strój do chaty pan Bull, czekałam na niego przed wyjazdem do portu. Gdy wyszedł, włożyłam sari, a twarz zakryłam delikatnym złocistym hidżabem, który również mi przyniósł. Złożyłam trzy inne sari, które dostarczył mi na podróż, i schowałam je do torby.

Zastanawiałam się, jak te kobiety podjęły decyzję dotyczącą tego, z czego będą żyły, odrzucając tym samym egzystencję wymizierowanych, cuchnących żebraków, którzy wyciągali ręce po jałmużnę. Czy rzeczywiście były tak złe, jak początkowo to sobie wyobrażałam? A może tak jak ja po prostu zrobiły to, co musiały, żeby przeżyć, żeby móc pokierować swoim losem choćby w minimalnym stopniu?

Ogromny statek z żaglami sięgającymi wysoko w niebo stał daleko w morzu. Pan Bull, zaborczo trzymając dłoń na moich pośladkach, skierował mnie do łodzi, w której siedziało już około dwudziestu osób. Z wyjątkiem trzech Hindusek ubranych w proste białe sari, z których każda była ają angielskiej memsahib, gdyż trzymała na kolanach angielskie dziecko, wszyscy byli Europejczykami.

Do statku wieźli nas dwaj mężczyźni o bardzo ciemnej skórze, ubrani tylko w przepaski biodrowe. Na klęczkach pruli wiosłami mętną wodę, rytmicznie poruszając szczupłymi, zaskakująco silnymi dłońmi. Jeden z nich, o okropnie wystających żółtych zębach, uśmiechnął się do mnie zbyt poufale. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie i odwróciłam głowę, unosząc podbródek i szczelnie zasłaniając twarz hidżabem. Żałowałam teraz, że nie mam na sobie prostego białego sari, jak każda aja. Uśmiezek przewoźnika wyraźnie mówił o tym, za kogo mnie uważa: za kobietę niewiele lepszą od tych stojących w porcie. Zauważył, jak mocno pan Bull trzymał mnie za rękę, gdy wsiadaliśmy do łodzi, i jak kosztowne mam na sobie sari.

Postanowiłam, że już na niego nie spojrzę. Siedziałam przy burcie łodzi, obok pana Bulla. Gdy zaczęliśmy wypływać coraz bardziej w morze, przytrzymałam się burty tak kurczowo, że aż pobielały mi

dłonie. Płynęłam już barką po Indusie i pocztowym parowcem z Karaczi do Bombaju, ale ta mała, niska łódź była tak blisko wody, wzburzonej przez płynące obok nas inne łodzie. Bałam się, że łódź się przechyli i wpadniemy do morza. Zerknęłam na pana Bulla i spostrzegłam, że patrzy na moje ręce. Położyłam dłonie na kolanach, nie chcąc, aby widział, że się boję.

Dopłynęliśmy do wielopiętrowego statku, wysokiego jak budynki w mieście. Górował nad nami niczym wieża. Biali mężczyźni pomogli wejść na spuszczoną z boku statku grubą drabinę kolejnym memsahib i ich starszym dzieciom. Osłoniwszy oczy od słońca, spojrzałam w górę. Wysoko na pokładzie stał biały cudzoziemiec w topi i białym angielskim ubraniu z mosiężnymi guzikami. Pomógł wejść na pokład kobietom i dzieciom. Po nich weszli biali mężczyźni niosący mniejsze dzieci. Odebrał je od nich na górze i podał białym kobietom. Następny był pan Bull. Wspiął się po drabinie z trudem, niepewnie stawiając nogi, a gdy znalazł się na górze, wciągnęło go na pokład dwóch mężczyzn. Za nim weszły hinduskie służące, przytrzymując jedną ręką sari. Mężczyzna w białym stroju nie pomógł im wejść na pokład. Ja byłam ostatnia. Wyszarpnęłam się przewoźnikowi o żółtych zębach, który próbował objąć mnie w pasie pod pretekstem, że pomaga mi wejść na drabinę, a przecież nie pomógł żadnej Hindusce.

Znalazszy się na pokładzie, zobaczyłam pana Bulla siedzącego na niskim drewnianym krześle z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Z trudem łapał oddech i trzymał się za brzuch. Stałam przy nim, ale po chwili mężczyzna w białym stroju przemówił do mnie ostrym tonem. Wówczas pan Bull otworzył oczy i coś powiedział temu mężczyźnie.

- Daryo, on ci pokaże, gdzie masz się udać - zwrócił się do mnie i znowu zamknął oczy. Miał ziemistą cerę, a usta blade i suche.

Podążyłam za mężczyzną w białym stroju. Ruchem głowy i wyciągniętą dłonią wskazał mi prowadzące w dół strome szczełkające schody. Zeszłam do wąskiego holu i skierowałam się tam, gdzie rozlegały się głosy kobiet rozmawiających w hindi. Zatrzymałam się w drzwiach prowadzących do kajuty. Wisiały tam dwa rzędy sznurowych łóżek przymocowanych do ścian za pomocą olbrzymich haków. Na łóżkach leżały złożone koce. Nie zauważyłam w tym pomieszczeniu okna. Wnętrze oświetlały jedynie wiszące na ścianach lampy. Panował tu półmrok i już o tej porze było gorąco. To była

sypialnia dla służących. Trzy już znałam z łodzi. Oprócz nich spostrzegłam trzy inne i inną miejscową kobietę, która nie miała na sobie białego sari służącej, lecz piękne kolorowe. Siedziały na swoich sznurowych łózkach i rozmawiały, ale na mój widok umilkły. Podeszłam do pustego i położyłam na nim torbę.

Kobieta, która nie wyglądała na aję, powiedziała coś do mnie, ale jej nie rozumiałam i wzruszyłam ramionami. Przemówiła w innym języku, ale też go nie znałam.

- Mówisz po persku? - spytała w końcu.

- Tak - odpowiedziałam z ulgą, że jest tu ktoś, z kim będę mogła rozmawiać, i uśmiechnęłam się do niej.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie jesteś ają - stwierdziła i przyjrzała mi się uważnie. - Poza tym nie masz oczu Hinduski. Jesteś Portugalką?

- Nie. Pochodzę z kraju za Północno - Zachodnią Prowincją Graniczną - odpowiedziałam i zdjęłam hidżab, ocierając ręką pot z czoła.

- Hm - mruknęła i pokręciła głową, spoglądając na mój harquus.
- Widzę, że muszę mieszkać w jednej sali z kobietą pochodzącą z jakiegoś plemienia. Kto zabiera cię do kraju pod pochmurnym niebem?

- Podróżuję z bardzo wpływowym sahibem. Zabiera mnie do Anglii jako swego gościa - odpowiedziałam śmiało, jakbym nie czuła się zawstydzona, choć moje serce nagle stało się ciężkie jak kamień.

Nieznajoma uniosła brwi i uśmiechnęła się przebiegle.

- Hm - mruknęła znowu. - Patrząc na ciebie, nie pomyślałabym o tym. Twojemu sahibowi podoba się twarz z tym tatuażem? Czy nie nalega, żebyś przypudrowywała te znaczki?

- A ty kim jesteś? - spytałam, ignorując jej minę i pytania.

- Europejką. Mój ojciec jest Anglikiem, a matka pochodzi z parsów - odpowiedziała.

Miała jaśniejszą cerę niż hinduskie aje, ale szybko spostrzegłam, że jej twarz i szyję pokrywa cienka warstwa kremowej mazi, widoczna tylko z bliska. Odbijały od niej czarne oczy i wygięte brwi. Nie wyglądała jak Hinduska, ale również nie przypominała memsahib. Była uderzająco piękna i delikatna, miała małe dłonie i stopy.

- Ty też nie jesteś ają - powiedziałam, spoglądając na jej sari z niebieskozielonego jedwabiu, przetykanego złotą nicią, przypominającego papużkę aleksandrette.

Miała duże oczy podmalowane kohlem, a długie i gęste czarne włosy posmarowane olejkiem jak aja. Nad uchem wpięła w nie kwiat z białej błyszczącej tkaniny, a po bokach wplotła sznury drobnych sztucznych pereł.

- Nie jestem - potwierdziła. - I nie powinnam być tu umieszczona, w tej żalostnej kajucie dla Hindusek. Ale takim kobietom jak my jest trudno, nieprawdaż? Ja również podróżuję w towarzystwie wielkiego sahiba. - Uczyniła to wyznaniem tonem, który mi się nie podobał, świadczącym, podobnie jak jej uśmiech, o przebiegłości. - To Anglik. Zabiera mnie do domu.

- Anglia jest twoim domem? - zdziwiłam się.

- Tak, choć jeszcze tam nie byłam - oświadczyła, odrzucając głowę do tyłu, jakby chodziło o drobiazg. - Bo on uczyni ze mnie prawdziwą angielską lady. Urodziłam się, żeby nią zostać.

- Jest twoim mężem? - spytałam trzeźwo.

Mlasnęła językiem, kręcąc głową i uśmiechając się od ucha do ucha, co nie pasowało do jej twarzy.

- Czyż nie mamy szczęścia, że zdobyliśmy naszych sahibów? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Nic na to nie odrzekłam. Pozostałe kobiety spoglądały na nas z niechęcią. Z pewnością nie znały perskiego, ale najwyraźniej nie chciały nas mieć obok siebie.

- Mam na imię Blossom - przedstawiła się moja rozmówczyni. - Nadała mi je matka. Od małości zawsze mi powtarzała, że pewnego dnia popłynę do domu. Teraz jest bardzo szczęśliwa.

- A mnie na imię Darya.

Nagle wszystkie kobiety wyszły z sypialni.

- Dokąd poszły? - spytałam.

Blossom położyła się leniwie na łóżku i zaczęła oglądać swoje pomalowane na czerwono paznokcie.

- Zaraz odpływamy - powiedziała i zamknęła oczy. - Byłabym uszczęśliwiona, gdybym po raz ostatni spojrzała na Bombaj, ale chcę zobaczyć tylko mój prawdziwy dom.

W przeciwieństwie do niej chciałam zobaczyć, jak odpływamy z tego miasta, więc podążyłam za pozostałymi kobietami. Weszłam na

dolny pokład, ciągnący się wokół statku, i stanęłam obok nich, ale odsunęły się ode mnie ostentacyjnie. Pokład górny, szerszy od dolnego, był zatłoczony przez białych, którzy spoglądali w stronę lądu, rozmawiali i śmiali się, machając osobom stojącym w porcie, z tej odległości dziwnie maleńkim. Biali cudzoziemcy wydawali się szczęśliwi, że wyjeżdżają z Indii i powracają do Anglii. Pomyślałam o znajdującym się wśród nich panu Ingramie i przestałam na nich patrzeć, szczerzej zasłaniając twarz hidżabem, bo nagle poczułam, że nie chcę go spotkać, nie chcę, żeby mnie rozpoznał, choć wydawało się to niemożliwe, biorąc pod uwagę mój strój i zakrytą twarz. Nie dostrzegłam wśród Europejczyków pana Bulla. Wyglądał tak źle po wejściu na pokład, że zapewne odpoczywał w swojej kajucie.

Stojące w pewnej odległości ode mnie hinduskie służące nie okazywały nadmiernego wzruszenia, choć jedna z nich obejmowała kobietę, której trzęsły się ramiona; z pewnością płakała z żalu, że opuszcza swój dom.

Wiele godzin zajęło załadowanie na statek gór worków i toreb oraz dostarczenie na pokład pasażerów. Gdy odpływaliśmy, był już wczesny wieczór i bryza przybrała na sile. W porcie i w pobliskich domach rozblęły światła. O tej porze mieszkańcy krzatali się po pokojach, jedząc kolację, rozmawiając i przygotowując się do snu. Wiedzieli, co ich czeka jutro i w najbliższych dniach. Zazdrościłam im tego, ale nie potrafiłam dokładnie określić własnych uczuć. Już dawno temu opuściłam kraj rodzinny, niewiele wiedziałam o mieście, z którego odpływaliśmy, i nic nie wiedziałam o kraju, do którego się udawałam, z wyjątkiem tego, że rządzi tam królowa. Poza tym na obrazkach, które pokazał mi pan Bull, zobaczyłam trochę widoków Londynu. Statek kołysał się łagodnie pod moimi stopami, a reling, którego się trzymałam, był wilgotny i śliski. Kobiety milczały. Dwie ocierały łzy rękami chust.

- To jest chiński kliper! - usłyszałam z tyłu głos pana Bulla, dostatecznie donośny, by przekrzyczeć panujący na statku hałas. - Najwspanialszy statek do pływania po morzu! - Anglik nadal miał ziemistą cerę, a zapach jego oddechu świadczył o chorobie. Gdy mówił, starałam się nie oddychać nosem.

Na jego widok Hinduski odsunęły się ode mnie jeszcze dalej. Dwie zerkały na nas i coś mówiły, zasłaniając usta dłońmi.

- Na żagle tego statku zużywa się ogromne ilości płótna! - ciągnął, wskazując dłonią wydymające się białe płachty. - Porusza je siła wiatru! Gdy wiatr wieje mocno, statek pruje fale, jakby frunął po oceanie!

Zignorowałam Hinduski i spojrzałam na żagle, które widziane z pokładu przypominały mi latawce. Podobało mi się to porównanie. Jak cudownie byłoby unosić się nad wodą na podobieństwo latawca lub wielkiego ptaka, z poczuciem swobody i wolności.

- Kliper nazywają królem mórz. Dzięki jego wspaniałym żaglom odbędziemy podróż w rekordowo krótkim czasie, w niecałe sto dni - powiedział pan Bull.

- W sto dni? W sto? - byłam wstrząśnięta, uważałam, że to bardzo długo.

Wprawdzie pan Bull powiedział mi wcześniej, że podróż z Bombaju do Londynu jest znacznie dłuższa niż z Karaczi do Bombaju, i wspomniał o oceanach, które w drodze do Anglii trzeba przepłynąć, ale nie spytałam go, ile dni to trwa. Okazało się teraz, że prawie sto. W tym okresie z nasion wyrastały rośliny uprawne, kwitły i owocowały śliwy, owoce suszono albo robiono z nich powidła. W ciągu trzech miesięcy księżyc trzy razy osiągał pełnię.

Nagle rozległ się dźwięk, jakby diabeł zazgrzytał zębami, i statek szarpnął, a ja kurczowo przytrzymałam się relingu.

- Podnoszą kotwice, żebyśmy mogli wypłynąć w morze! - krzyknął mi do ucha pan Bull i uśmiechnął się, jakby rozbawiony, ale zaraz się skrzywił i dotknął dłonią brzucha.

Kliper pomknął po wodzie, a wiatr jeszcze się wzmógł. Przytrzymałam kurczowo hidżab pod brodą, ale silny podmuch zerwał mi go z głowy i uniósł do góry. Śledziłam ruch jasnego kwadratu tkaniny, frunącego jak złocisty ptak nad wydętymi żaglami, aż w końcu straciłam go z oczu.

Pierwszego dnia dowiedziałam się, że w kajucie, w której miałam spędzić prawie sto dni, nie tylko mieszka za dużo osób i jest w niej zbyt gorąco, ale i że panuje tu okropny hałas. Znajdowała się obok kajut marynarzy i ładowni, gdzie przechowywano zapasy żywności i trzymano żywy inwentarz. Z powodu gorąca nie mogłyśmy zamknąć drzwi, przez co stale byłyśmy narażone na przykre zapachy i widok przechodzących przez hol marynarzy, i całkowicie pozbawione prywatności. Często mijali nas w wąskim, długim i ciemnym

korytarzu, niemal się o nas ocierając, gdy któraś szła załatwić się do wiadra stojącego w rogu za kotarą. W drugim rogu stały kubły z wodą do mycia, ale samo to miejsce nie było czyste. Posiłki jadłyśmy w dużej sali na wyższym poziomie, gdzie stały pokiereszowane drewniane stoły i ławy. Przylegała do niej znacznie większa i jaśniejsza kabina z oszklonymi okrągłymi okienkami i z oddzielnym pomieszczeniem na każde łóżko. Na wbitych w ściany hakach wisiały proste stroje białych kobiet. Zwróciłam też uwagę na wydzieloną w kabinie przestrzeń, w której pasażerki się myły, znacznie większą od naszej i nieskazitelnie czystą.

- Co to za pokój? - spytałam Blossom, gdy pierwszego dnia przechodziłyśmy obok niego.

- Dla białych służących - odpowiedziała. - Nam przydzielono najgorszy, na dnie statku, dla najniżej postawionych pasażerów. Oczywiście mój sahib chciał, żebym mieszkała na górze, w ładnej przestronnej kabinie, ale okazało się to niemożliwe, bo kapitan statku nie wziął pod uwagę mojego angielskiego pochodzenia. - Nachmurzyła się i dodała: - To nie w porządku. Nie jestem jedną z was. - Pogłaskała jedwabny kwiat, który zawsze miała wpięty we włosy. - Tubylcom nie wolno nawet wyjść powyżej tego drugiego poziomu. Wyjątek stanowią aje, które mają do tego prawo, jeśli zawoła je pani, bo chce zostać obsłużona czy oddać pod opiekę dzieci, kiedy je lub zażywa rozrywki. Ale aje muszą wtedy pozostać w ukryciu i przez cały czas przebywać w kabinie swej pani.

Opowieść Blossom o ojcu Angliku nie wydała mi się przekonująca, ale ta kobieta była jedyną na statku, z którą mogłam porozmawiać w języku perskim, i cieszyłam się, że ją poznałam.

- Więc nie będziemy widywały swoich sahibów? - spytałam. Jej usta wykrzywił chytry uśmieszek, który już dobrze znałam.

- Jeśli się po nas nie zgłoszą i nie załatwią nam wejścia na górny pokład. Dopóki na górze nikt spośród pasażerów nie odkryje naszej obecności, marynarze będą udawali, że nas nie widzą, jak zapewnił mnie mój sahib - wyjaśniła.

Miałam nadzieję, że pan Bull się po mnie nie zgłosi, a w każdym razie nie tu, na tym statku. Pomyślałam o żółtawym odcieniu jego skóry i nieświeżym oddechu. Ale czy znaczyło to, że nie zobaczę pana Ingrama? Nie wiedziałam, jaką odpowiedź chciałam usłyszeć, gdy pytałam Blossom:

- Czyli Europejczycy nigdy nas na tym statku nie zobaczą?
Wzruszyła ramionami.

- Wolno im chodzić po statku, gdzie tylko zechcą, tak jak powinno być wolno mnie - znowu pokręciła głową - skoro w moich żyłach płynie wspaniała angielska krew. Ale nie będą sobie zawracali głowy schodzeniem na dolny pokład, bo po co? Mój sahib mówi, że ci na górze będą spędzali czas na ucztowaniu, grach i zabawach, na słuchaniu muzyki w wykonaniu specjalnego zespołu, i czasami na tańcach - kobiet z mężczyznami, oczywiście zgodnie z angielskim zwyczajem, a nawet na wystawianiu kameralnych przedstawień.

- A jak my będziemy spędzały czas tu na dole? - spytałam.
Zrobiła minę.

- Będziemy siedziały i czekały - odpowiedziała. - Nikt nie zamierza troszczyć się o nasze rozrywki. Jeszcze nie teraz. Ale gdy dotrzemy do Anglii, będzie inaczej. Wówczas nasi sahibowie postarają się o to, żebyśmy uczestniczyły we wszelkich uroczystościach. Tam, Daryo, niebo nie jest takie jak w Indiach. Tam, jak słyszała moja matka od mojego ojca, zanim powrócił do swej ojczyzny, gdy byłam małą dziewczynką, słońce jest blade i chłodne, rzadko widoczne na niebie, i brak mu blasku, a chmury są barwy srebra, któremu odebrano połysk. Ale nie przejmuję się tym, bo dlaczego, skoro będę dysponowała takimi bogactwami, skoro będę miała tyle do zrobienia, jak obiecuje mi mój sahib?

Zastanawiałam się nad tym, co powiedziała o słońcu. Czy księżyc również ma tam mniej blasku?

Następnego wieczoru, czyli drugiego dnia na morzu, gdy Hinduski i Blossom położyły się spać, wyszłam na dolny pokład, bo było mi za gorąco i nie miałam czym oddychać, czując wokół zapach potraw jedzonych przez marynarzy i odór zwierząt. Stałam w mroku i oddychałam głęboko morskim powietrzem, spoglądając w rozgwieżdżone niebo. W wieczornej ciszy do moich uszu docierały przytłumione melodie grane na nieznanym instrumentach. Czy rzeczywiście będzie tak, jak powiedziała mi Blossom? Czy Anglicy tańczyli? Czy będę tańczyła z panem Bullem, gdy znajdziemy się w Anglii?

Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma marynarzy, ruszyłam po schodach prowadzących na górny pokład. Nikogo tam nie było. Stałam daleko od dużych okien umieszczonych na obwodzie wielkiej

sali pośrodku. Ze swego ciemnego miejsca widziałam, jak Anglicy śmieją się i rozmawiają, a niektórzy siedzą przy stołach ustawionych wokół sali, jedząc i pijąc. Inni bezwstydnie tańczyli w parach na środku długiej sali, dotykając się nawzajem na oczach wszystkich. Nie zauważyłam tam pana Bulla. Ale w rogu, naprzeciw mnie, siedział samotnie przy stole pan Ingram. Spoglądał na tancerzy z poważną miną, a na stole przed nim leżała otwarta książka.

Pan Ingram... Nie widziałam go zaledwie od kilku dni, a wydawało mi się, że od naszego ostatniego spotkania minął rok. Jak zwykle miałam poczucie, że angielski strój jakoś do niego nie pasuje. Ale chodziło o coś więcej, bo gdy go teraz obserwowałam, jak spogląda na innych, wydało mi się, że czuje się samotny i jakiś nieswój, oczywiście nie z powodu tego obcisłego angielskiego stroju. Przypomniałam sobie, jak swobodnie siedział na piętach wśród Hindusów na barce, w swych luźnych bawełnianych spodniach i kurcie, jak odrzucając głowę, śmiał się szczerze, patrzył i mówił z ożywieniem. A teraz, wśród swoich, nie wydawał się na swoim miejscu. Czy tak bardzo różnił się ode mnie, poszukując dla siebie miejsca w życiu, miejsca, w którym mógłby być ze sobą w zgodzie?

Nie zdążyłam odpowiedzieć sobie na to pytanie, bo czyjeś ręce chwyciły mnie za ramiona. Krzyknęłam przestraszona i odwróciłam się. Stał przede mną rosły marynarz w nieskazitelnym białym mundurze z rzędami mosiężnych guzików, które świadczyły o jego wysokiej randze. Mówił coś do mnie szorstkim tonem i potrząsał mną.

- Nic złego nie robię, tylko patrzę! - powiedziałam, zasłoniwszy dół twarzy chustką.

Oczywiście nie rozumiał mnie, tak jak ja jego. Wciąż coś do mnie mówił i mną potrząsał, popychając w stronę schodów.

Nagle rozległy się inne głosy i muzyka ucichła. Niektórzy podeszli do okien, a mała grupka mężczyzn i kobiet stanęła w drzwiach sali.

Oddychałam ciężko, zasłaniając twarz chustką i stawiając marynarzowi opór. Czułam na sobie spojrzenia wielu par oczu. Nagle silniejsza fala zakołysała statkiem i marynarz mnie puścił. Przytrzymałam się słupka, żeby nie stracić równowagi. Chustka zsunęła mi się na ramiona. Jedna z kobiet stojących w drzwiach na mój widok wykrzyknęła coś gniewnie.

- Dzikuska! Dzikuska! - powtarzała po angielsku, jak się później dowiedziałam. Syczała jak żmija i spoglądała na mnie z odrazą.

Nagle podszedł do mnie pan Ingram, przepchnąwszy się przez tłum.

- Daryo? Daryo? - powtarzał z niedowierzaniem, spoglądając na moje sari.

Spuściłam głowę, żeby nie zobaczył upokorzenia w moich oczach.

- Co tu robisz? - spytał i wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał mnie podtrzymać, bo statek znowu się zakołysał.

Marynarz ponownie chwycił mnie za ramię, ale zaraz puścił, gdy tylko pan Ingram coś do niego powiedział.

- Daryo, proszę, zejź na dół - zwrócił się do mnie sahib. Gdy udałam się na schody, podążył za mną, odprowadzany szmerem głosów.

- Przepraszam, panie Ingram - powiedziałam, gdy znaleźliśmy się na dolnym pokładzie. - Chciałam tylko popatrzeć. Nie sądziłam, że...

Pokręcił głową.

- Ale... skąd się tu wzięłaś? - przerwał mi, jakby nie dowierzając własnym oczom.

Nagle zabrakło mi tchu. Od chwili, w której przyjął propozycję pana Bulla, wiedziałam, że może się to zdarzyć, że mogę spotkać pana Ingrama. Ale nie potrafiłam znaleźć słów, żeby mu wytłumaczyć, dlaczego tu jestem.

- Daryo? - powtórzył, czekając na odpowiedź.

Zrobiło mi się wstyd na myśl, jakiego dokonałam wyboru. Odwróciłam głowę i zakryłam twarz chustką.

- Dlaczego się przede mną zasłaniasz? Jak się tu znalazłaś? Twoje sari... Powiedz mi - nalegał.

Spojrzałam na niego.

- Płynę do Anglii, panie Ingram - oznajmiłam krótko.

- To oczywiste. Ale...

- Pan Bull mnie zaprosił - odpowiedziałam w końcu głośniejszym głosem, niż chciałam, oddychając nierówno.

Skuliłam się wewnątrz, rozdygotana, ale zachowałam pozory śmiałości. Gdybym się poddała temu, co naprawdę czułam, przeproszającym szeptem wyznałabym Davidowi Ingramowi prawdę o swojej decyzji. Ja jednak rozpaczliwie chciałam ukryć swoją hańbę.

- Osric Bull? Jedziesz... z nim? Z Osrikiem Bullem? - pytał z niedowierzaniem, jakbym mu powiedziała, że przyplłynęłam tu wpław z Bombaju, rzuciwszy się w morze i dogoniwszy statek.

Wiatr poruszał żaglami. Nie był zimny, a mimo to drżałam.

- Będę jego gościem - odpowiedziałam dziwnie słabym teraz głosem, jakbym nie wierzyła we własne słowa.

- Jego gościem - powtórzył głośno i dobitnie. - Jedziesz do Anglii w charakterze gościa Osrica Bulla. - Powiedział to takim tonem, jakby musiał sam siebie zapewniać, że się nie myli.

Skinęłam głową, wciąż na niego spoglądając i pragnąc... Pragnąc czego? Jego aprobaty? Zrozumienia? A może braku zrozumienia? Przekonania, że to, co zrobiłam, jest niewinne i zwykłe.

Ale wyraz twarzy Davida Ingrama był aż nadto jasny. Szok i niedowierzanie ustąpiły miejsca surowości i chłodowi.

- Nie odpowiadała ci praca ai? - spytał, cofając się o krok, głosem tak obcym i zimnym, że chciało mi się płakać.

- To nie było... Panie Ingram - zaczęłam i powiedziałam w myślach: Proszę, dotknij mnie jak na werandzie w Bombaju. Zrozum, kim jestem i dlaczego to zrobiłam. - Panie Ingram, gdy pan się wyprowadził... - przerwałam, bo co miałam mu powiedzieć? Jak mogłam narzekać? Mówić mu o dręczącym mnie strachu, co się ze mną stanie? Jak mogłam sprawić, by zrozumiał, że osoba, którą miałam się stać, nie była prawdziwą mną? - Gdy milczał, spytałam: - Panie Ingram, czy nie może pan spróbować mnie zrozumieć? Pan Bull ofiarował mi coś... sposób uwolnienia się od bycia na służbie i upokorzenia... Zaproponował mi... Czy może pan to zrozumieć? Czy mam pana błagać o wybaczenie? Uważał pan, że życie w Bombaju będzie dla mnie...

Odsunął się jeszcze bardziej.

- Nie, Daryo. Nie musisz mnie błagać o wybaczenie. - Zaciśnął szczęki. - To ty powinnaś mi wybaczyć. Jakiż byłem głupi... Rozumiem doskonale. Zgodziłaś się być dziewczką Osrica Bulla. Oczywiście, że rozumiem. - Każde słowo akcentował tak, jakby mi wymierzał siarczasty policzek. Potem odwrócił się i sztywno ruszył na schody. Odgłos jego kroków rozbrzmiewał mi w uszach jak wystrzały, jakby wziął do ręki tofang i zrobił z niego właściwy użytek.

Rozdział XXXV

Przez kilka pierwszych dni od tego spotkania czułam się bardzo źle. W głowie mi huczało i nie mogłam jeść. Nie miało to jednak nic wspólnego z podróżą morską, lecz było skutkiem rozmyślań o panu Ingramie, o tym, jaki miał wyraz twarzy i ton głosu, gdy mnie zobaczył na górnym pokładzie. Na mój widok rozbłysły mu oczy, ale później był wstrząśnięty, że jestem na statku. Słuchając mojego niezdarnego tłumaczenia, skąd się tu wzięłam, spoglądał na mnie z coraz większym niesmakiem, jakby do jego nozdrzy zaczął docierać zapach zgnilizny. Byłam przekonana, że myśli o mnie jak najgorzej, jeśli nie wyrzucił mnie jeszcze z pamięci. Wciąż się nad tym zastanawiałam. Powiedział, że mnie rozumie, ale tak nie było. Nie pojmował, że nie zgadzam się na to, co wydawało się przy - pisanym mi losem.

Od spotkania na górnym pokładzie nie widziałam go przez dwanaście dni, choć czasami czułam, że patrzy na mnie stamtąd. Ilekroć wydawało mi się, że tak jest, szybko się odwracałam i spoglądałam w górę, ale nigdzie go nie widziałam. Tak bardzo chciałam ponownie go spotkać. Z drugiej strony byłam przekonana, że nie zniosę jego spojrzenia, gdyby było takie samo jak przed kilkunastoma dniami, gdy rozstawał się ze mną na dolnym pokładzie. Patrzyłam na przetaczające się bez końca fale. Teraz moja przyszłość wydawała mi się mroczna jak one, do końca życia naznaczona samotnością. Bałam się, jak przetrwam tę niewyobrażalnie długą podróż. Wydawało mi się teraz, że splamiłam i zepsułam to, co zaszło między mną i panem Ingramem na werandzie domu w Bombaju. Pewnie znienawidził mnie za decyzję wyjazdu do Londynu z panem Bullem. Na myśl o tym przeżywałam istne katusze.

- Panie Ingram, przepraszam - szeptałam w kółko, żałując, że nie mogę tego powiedzieć, patrząc mu w oczy.

Kiedyś gdy stałam o zmierzchu na dolnym pokładzie, nieoczekiwanie przyszedł do mnie jakiś marynarz. Wymienił moje imię, a ja skinęłam głową. Wówczas powiedział coś po angielsku. Dałam mu znak, żeby zaczekał, i przyprowadziłam na pokład Blossom, żeby przetłumaczyła mi jego słowa na perski. Wysłuchawszy marynarza, oznajmiła, że wzywa mnie mój sahib. Pomyślałam, że chodzi mu o pana Ingrama, i chwyciłam się za gardło, czując gwałtowne bicie serca.

- Mówi, żebyś za nim poszła. Zaprowadzi cię do kajuty sahiba, który chce się z tobą zobaczyć - oznajmiła.

Po tych słowach zdałam sobie sprawę, że teraz moim sahibem jest pan Bull, o którym myślałam z obrzydzeniem. Zdawało mi się, że odpowiada mu to, że stale przebywa na górnym pokładzie, a ja na dolnym. Byłam z tego bardzo zadowolona. Przełknęłam ślinę i spojrzałam na Blossom, która mrugnęła do mnie i uśmiechnęła się. Z przerażeniem myślałam, że muszę teraz zaraz, w tym miejscu, spotkać się z nim, ale jaki miałam wybór?

Szłam za marynarzem po schodach na górny pokład, a następnie korytarzami wśród kajut. W końcu zatrzymał się przed jedną z nich i zapukał. Usłyszawszy dobiegający stamtąd cichy głos, otworzył, wpuścił mnie do środka i zamknął za mną drzwi.

W twarz uderzył mnie odór potu i inne przykre zapachy towarzyszące chorobie. Zatkaną nos, wsuwając rękę pod hidżab. Pan Bull leżał wsparty o poduszki na drewnianym łóżku przymocowanym do ściany. Twarz miał chudsza niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni, i bardzo żółta.

- Och, Daryo, podejdz tu - odezwał się do mnie, ukazując zęby w uśmiechu, który bardziej przypominał grymas.

Zrobiłam kilka kroków w stronę łóżka i rozejrzałam się po mrocznym wnętrzu. Na ścianach wisiały obrazy, a drewniane meble mocno błyszcząły. I jedne, i drugie były na stałe przymocowane do ścian, a meble dodatkowo do podłogi. Wnętrze robiło przyjemne wrażenie, lecz małe okno było zamknięte i majaczyła za nim szarość wczesnego zmierzchu. Pan Bull był przykryty kilkoma kocami, choć twarz błyszcząca mu od potu.

- Przepraszam cię za mój stan - powiedział, odgarniając z czoła zlepione, tłuste włosy. - Zapalenie trzustki jest straszne. Jego symptomy to między innymi zaburzenia trawienia. Kołysanie statku jeszcze je nasila. Zwracam prawie wszystko, co zjem i wypiję.

Gdy stanęłam bliżej, w nos uderzył mnie straszny odór. Myślałam, że za chwilę się uduszę. Cuchnęło tak ze stojącego przy łóżku wiadra przykrytego ścierką. Miałam ochotę natychmiast stąd uciec, żeby zaczerpnąć do płuc świeżego morskiego powietrza.

- Posiedzisz przy mnie i dotrzymasz mi towarzystwa? - spytał pan Bull i wyciągnął do mnie rękę.

Na widok mokrych końców jego wąsów cofnęłam się lekko.

- Brakowało mi twojej ślicznej twarzy - oznajmił, bezwładnie opuszczając rękę na pościel. Po chwili władczy tonem dodał: - Odsłoń ją.

Gdy zsunęłam chustę na ramiona, na żółtej twarzy pana Bulla pojawił się szeroki uśmiech, a raczej może cień takiego uśmiechu. Anglik skinął na mnie, żebym usiadła, i zaczął się podnosić z poduszek, chcąc usiąść. Kosztowało go to jednak tyle wysiłku, że nagle twarz dziwnie mu się zmieniła i zaczął ciężko dyszeć. Wychylił się z łóżka i z trudem zdjął z wiadra ścierkę.

Na ten widok pospiesznie wyszłam z kajuty, zamykając za sobą drzwi. Nie chciałam zostać w środku i patrzeć, jak pan Bull wymiotuje. A on nie był w stanie zażądać, żebym mu towarzyszyła. Zeszłam na dolny pokład. Nie współczułam Anglikowi w chorobie i wstydziałam się tego, ale z wielką ulgą myślałam o tym, że stan zdrowia najwyraźniej nie pozwala panu Bullowi niczego ode mnie żądać. Blossom nadal stała tam, gdzie się z nią rozstałam.

- Dlaczego tak szybko wróciłaś? - zdziwiła się, marszcząc czoło.
- Nie spodziewałam się, że jeszcze cię dziś zobaczę.

- On jest chory, bardzo chory - odpowiedziałam lakonicznie.

- To niedobrze - orzekła, obserwując moją twarz. - Daryo, miej nadzieję, że nie umrze.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

- Dlaczego miałyby umrzeć? - spytałam, bo taka możliwość w ogóle nie przyszła mi do głowy.

- Anglicy umierają, jeśli zaczynają na coś chorować w Indiach. Martwię się o mojego dżentelmena. Nie jest już młody i trudno mu wyjść na pokład. Jeśli obaj umrą, co się z nami stanie? - zakończyła z troską.

- Blossom, nie mówmy o tym - ucięłam rozmowę. Wzruszyła ramionami i zaczęła trajkotać o czymś innym. Starła się nauczyć mnie angielskiego, którego sama nauczyła

się od matki, i śmiała się bez złośliwości z moich błędów. Powiedziała, że nie powinnam jeść palcami, bo tak robią tubylcy, a w Anglii jest to niedopuszczalne. Posługiwałam się więc tępym nożem, widelcem i łyżką, które po raz pierwszy trzymałam w rękach przed kilku dniami, gdy używając tych sztućców, próbowałam nakarmić małego sahiba Teddy'ego. Żywność, jaką codziennie podawano nam na statku na długim drewnianym stole - mięso, ryby, jarzyny - była

sucha i niesmaczna, pozbawiona przypraw. Najczęściej raczono nas wieprzowiną, której jako muzułmanka wcale nie jadłam. Blossom powiedziała mi, że wieprzowinę podaje się tu zamiast wołowiny, której nie jedzą Hindusi. Tęskniłam za czymś znajomym, co chętnie wzięłabym do ust. Była to podawana od czasu do czasu potrawa z ryżu i z kawałków mięsa z dodatkiem curry, o rzadkiej konsystencji. Często czułam się głodna, więc jadłam to, choć mięso w tej potrawie mogło być wieprzowe. Powiedziałam sobie, że skoro nie wiem, co to za mięso, to nie grzeszę.

Blossom narzekała na zwykłą czarną herbatę i krzywiła się, pijąc ją z blaszanego kubka.

- Przywykłam do prawdziwej angielskiej herbaty z mlekiem, podawanej w porcelanowych filiżankach. Widocznie nie jesteśmy dość ważne, żeby na taką herbatę zasłużyć - burczała, dodając z goryczą, że damom mieszkającym w górnej części statku podaje się taką herbatę w stosownym serwisie.

Lubiłam Blossom pomimo jej narzekań. Było mi trudno oprzeć się czarowi jej uśmiechu i wygłaszanych szeptem zabawnych komentarzy o tej czy innej memsahib. Ale przede wszystkim zapewniałyśmy sobie nawzajem towarzystwo. Dzięki niej zdałam sobie sprawę, jak bardzo od kilku miesięcy brakowało mi kontaktów z kobietą, z którą mogłabym porozmawiać. Opowiadałyśmy sobie o naszym dotychczasowym życiu i czasami potrafiła mnie rozśmieszyć, choć ani na chwilę nie zapomniałam o tym, jak patrzył na mnie pan Ingram podczas naszej rozmowy na dolnym pokładzie.

Czasami Blossom popadała w posępną zadumę. Zorientowałam się szybko, że jej nastrój zależy od tego, czy starszy marynarz, który spoglądał na nią z pogardą, przyniesie jej czy też nie do kabiny kawałek białego jedwabiu z namalowanym na nim czarnym symbolem. Gdy nie zjawiał się przez kilka dni, wyglądała na zmartwioną i niespokojną. Ale jak tylko przychodził, odzyskiwała radość i śpiewała, wybierając któreś ze swych licznych sari, czesząc się starannie, nakładając na twarz więcej niż zwykle białego kremu i spryskując ręce i szyję wodą różaną. Gdy Hinduski zasypiały, wymykała się z kajuty, ale rano zawsze była w swoim łóżku. Po powrocie nie pachniała już wodą różaną, lecz męskim potem. Znaczyło to, że spędziła ze swoim sahibem noc. Wówczas byłam jeszcze bardziej zadowolona, że pan Bull jest chory.

Pewnego popołudnia, gdy wiał silny wiatr, stałyśmy na dolnym pokładzie. Nagle Blossom posłała komuś ponad moim ramieniem olśniewający uśmiech i lekko uszczypnęła mnie w rękę. Odwróciłam się. Zmierzał do nas pan Ingram. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Tak bardzo chciałam go znowu zobaczyć, a teraz, kiedy się do nas zbliżał, bałam się tego, co mi powie i jak na mnie spojrzy. Chyba nie zniosłabym więcej przykrych słów i nieprzyjemnego wyrazu jego twarzy.

Stanął przy mnie. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Blossom, która stała między nami, podała panu Ingramowi rękę i uniosła podbródek.

- Dzień dobry, sir - pozdrowiła go po angielsku i przyklękła na jedno kolano.

Pan Ingram spojrzał na jej wyciągniętą rękę i lekko ją uścisnął.

- Dzień dobry - odparł.

Znałam już ten angielski zwrot, bo Blossom mnie nauczyła. - Śliczny mamy dziś dzień - ciągnęła.

Stwierdziłam z zadowoleniem, że rozumiem również te słowa. - O tak - odrzekł.

- Przedstawię cię. Zachowuj się czarująco - syknęła do mnie po persku. Zanim zdążyłam coś powiedzieć, wzięła mnie za ramię i powiedziała coś do pana Ingrama po angielsku, zbyt szybko, żebym mogła zrozumieć.

- O tak. Miss Darya i ja znamy się już - odpowiedział po persku.

Blossom otworzyła usta ze zdziwienia.

- Blossom, to jest pan Ingram - przedstawiłam go, bo czekała, żebym coś powiedziała, i dodałam: - Mówi po persku. Panie Ingram, to jest Blossom - dodałam.

- Aha - zaczęła Blossom, spoglądając to na niego, to na mnie. - A więc jesteś, sir, dżentelmenem przyjacielem Daryi. - Przeszła, tak jak on, na perski i dodała z uśmiechem: - Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej.

Pan Ingram nic nie odpowiedział, ale miał zagadkową minę. Napięcie rosło, bo Blossom nadal spoglądała to na mnie, to na niego, coraz bardziej zbita z tropu. W końcu znowu przyklękła na jedno kolano i spuściła powieki, jakby zawstydzona.

- Zostawiam was samych, sir, bo z pewnością macie sobie dużo do powiedzenia - zwróciła się do pana Ingrama i podała mu rękę. Gdy

uściskał jej dłoń, wolno ruszyła na drugą stronę pokładu, kołysząc biodrami pod cienkim sari. Pan Ingram odprowadził ją wzrokiem.

- Blossom uczy mnie angielskiego - powiedziałam podenerwowana, chcąc, żeby jak najpóźniej powiedział mi to, z czym do mnie przyszedł. Dla zademonstrowania, że mówię prawdę, powtórzyłam to, czego nauczyła mnie wczoraj wieczorem, tak samo silnie jak ona akcentując sylaby: - Ty wielki człowiek, sahib. Jakże miło cię poznać.

Pokręcił głową i nachmurzył się.

- Niech więcej cię nie uczy. To tylko che - che - powiedział zimnym i obcym tonem.

- Che - che?

- Głupia, śpiewna wersja angielskiego, którą posługują się niewykształceni służący. Jest poniżająca. Nie pasuje do ciebie... - Gdy milczałam, podjął podniesionym głosem: - A może pasuje. Zawsze uważałem cię za dumną kobietę, ale... Rób to dalej, Daryo, ucz się che - che. - Obejrzał się na Blossom, opartą o reling. - Widzę, że na statku są też inne takie jak ty. - Był zły. Ścisnął dłońmi poręcz nadburcia.

Oblałam się szkarłatem. Znowu poczułam się tak, jakby mnie uderzył. Oczywiście, że ja i Blossom byłyśmy takie same.

Mrugał oczami i gniewnie mruczał pod nosem krótkie angielskie słowa, ale po chwili się uspokoił i przeczesał włosy palcami.

- Przepraszam - powiedział, jakby nagle zmęczony. - Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać z tobą w taki sposób. Ale jest mi bardzo... trudno myśleć o tobie inaczej niż dotychczas.

Nic na to nie odpowiedziałam, ale ucieszyłam się, że nadal o mnie myśli.

- Dużo się zastanawiałem nad tą całą sytuacją - ciągnął. - Wiem, że nie mam prawa cię osądzać. To nie moja rola. Sam już dość... - przerwał i oświadczył: - Przyszedłem tu, żeby cię przeprosić za moje wcześniejsze zachowanie, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się na statku. - Odchrząknął. - Niestety, nie robię tego tak, jak powinienem. Przepraszam.

Spuściłam wzrok.

- Ja też przepraszam, panie Ingram - powiedziałam. Tyle razy powtarzałam te słowa w myślach i na głos, a teraz zabrzmiały jakoś anemicznie.

Oboje spoglądaliśmy na fale.

- Dziękuję, sir - powiedziałam cicho po angielsku, odwracając się do niego.

W końcu na mnie spojrział.

- Czy to poprawny zwrot, czy che - che? - spytałam go po persku.
- Jeśli nie, to czy mogę cię prosić, sir, o podanie mi właściwego?

- Wracam na górę - oświadczył, ignorując moje pytanie, ale nadal stał obok mnie, jakby na coś czekał. Znowu wstąpiła we mnie nadzieja, lecz on po chwili gwałtownie się odwrócił i ruszył na schody.

- Panie Ingram?! - zawołałam zrozpaczona, zbyt piskliwym głosem, niemal tracąc oddech. Gdy się zatrzymał i odwrócił do mnie, spytałam: - Porozmawia pan ze mną?! Czy zostanie pan jeszcze i mnie wysłucha?!

Teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo tego pragnę. Chciałam, żeby znowu był moim sahibem, z którym spędziłam tyle czasu w drodze z Dżalalabadu do Bombaju. Owszem, rozczarowałam go i zdenerwowałam, ale czy byłam aż tak odpychająca, żeby nie mógł nawet ze mną porozmawiać? Żeby nie mógł znieść, iż stoimy na tym samym pokładzie?

Nie odpowiedział, lecz załamał ręce, co widziałam u niego po raz pierwszy.

- Nie sędzę. Przyszedłem tylko po to, żeby cię przeprosić. Daryo, uważam, że najlepiej będzie, jeśli... jeśli... do końca podróży się nie spotkamy.

Poczułam chłód w sercu.

- Ale dlaczego? - spytałam, znając odpowiedź na to pytanie, wiedząc, że w oczach Davida Ingrama nie jestem już dumną kobietą, lecz upadłą jak Blossom, znajdującą się na dnie.

Spojrzał na fale i znowu na mnie. Miał surowy wyraz twarzy, lecz zarazem wydawał się dziwnie samotny, jak wtedy gdy obserwowałam go na górnym pokładzie przez okno sali jadalnej dla białych.

- Po prostu uważam, że tak będzie lepiej - powtórzył i długim, pewnym krokiem ruszył na schody.

Gdy zniknął z pola widzenia, podbiegła do mnie Blossom, która z pewnością dyskretnie nas obserwowała.

- Daryo, masz wspaniałego sahiba! Jest taki młody i przystojny! - zachwycała się. Spuściła powieki i spytała: - Czy przyszedł umówić

się z tobą na spotkanie? Jestem zaskoczona, że wytrwał bez ciebie tak długo. A może wykradałaś się do niego, gdy spałam...

- On nie jest moim sahibem - przerwałam jej. - I nie chodzę do niego.

- Jak mam to rozumieć? - zdziwiła się.

- Pan Ingram nie jest tym sahibem, który zabiera mnie do Anglii. Jest... kimś innym, kimś, kogo znałam... wcześniej. Sahib, z którym wsiadłam na statek, w niczym nie przypomina pana Ingrama - wyjaśniłam.

- Ale... zauważyłam, jak on na ciebie patrzy i ty na niego. Ty już z nim byłaś. On chce, żebyś znowu do niego przyszła. Ty też tego chcesz. Widzę to wyraźnie. Dlaczego teraz do niego nie pójdziesz? Skoro ten, który zabiera cię do Anglii, jest chory, o niczym się nie dowie.

Chciałam być sama, żeby pomyśleć o tym, co się przed chwilą stało.

- Z panem Ingramem nie łączy mnie tego rodzaju zażyłość - odparłam.

Blossom już się nie odezwała, ale z jej miny wyczytałam, że mi nie wierzy. Powiedziałam, że boli mnie głowa i idę do kajuty, aby się położyć.

Rzeczywiście udałam się tam i położyłam się na sznurowym łóżku, myśląc o panu Ingramie i o przekonaniu Blossom, że łączy mnie z nim zażyłe stosunki. Zastanawiałam się, co bym czuła, gdyby pieścił moje ciało. Nie potrafiłam się rozpłakać, jakby zmroził mnie chłód, jakbym była martwa ze zgrzyoty.

To dziwne, ale właśnie śmierć sprawiła, że po pewnym czasie znowu zobaczyłam pana Ingrama. Po kilku tygodniach bezwietrznej pogody, kiedy przesiadywałam na dolnym pokładzie, czekając, żeby minął kolejny dzień, i starając się nie patrzeć na górny pokład, gdzie z pewnością przebywał pan Ingram, nagle w nocy zerwał się silny wiatr. Rozszalał się sztorm. Morski żywioł rzucał naszym statkiem jak łupiną orzecha i w naszej kajucie wszystkie dostałyśmy morskiej choroby. Wydawało się, że tym wspaniałym żaglowcem ciska na oślepotę potężny dzinn. Żadna z nas nie zdołałaby przejść korytarzem do stojącego na jego końcu wiadra i wymiotowałyśmy na podłogę. W mroku kajuty Hinduski wrzeszczały i przywoływały imiona swych bożków. Ja trzymałam się kurczowo sznurowego łóżka i modliłam się

do Allaha, nagle przypomniał sobie dawne modlitwy, ale odmawiałam tylko tę o uciszenie burzy. Miałam dziwną pewność, że nie jest moim przeznaczeniem umrzeć na morzu w czasie burzy, więc w przeciwieństwie do hinduskich służących nie obawiałam się śmierci.

Ich obawy okazały się uzasadnione. Jedna z Hindusek nie chciała się przywiązać do łóżka chustkami i sari, jak my wszystkie, bo się bała, jak mi później powiedziała Blossom, że gdy morze wedrze się do kabiny, nie zdoła uciec na górę i utonie. W pewnym momencie statek zakołysał się tak gwałtownie, że kobieta spadła z łóżka i uderzyła głową o wystającą belkę. Nikt tego nie zauważył w ciemnościach i wśród huku wody. Dopiero kiedy przed świtem weszli do nas marynarze z lampami i wiadrami wody morskiej, żeby spłukać z podłogi nieczystości, dokonałyśmy makabrycznego odkrycia. Zatykając nosy przed smrodem bijącym z podłogi, zobaczyłyśmy jej ciało.

Hinduski wrzeszczały, gdy marynarze podnieśli zwłoki ich towarzyszki, owinęły je prześcieradłem i wyszli z nimi na dolny pokład. Później, łkając, umyły ją i ubrały w jej najlepsze sari, a następnie owinęły czystym białym prześcieradłem, które związały w pasie. Dwaj marynarze delikatnie opuścili zwłoki do morza. Oprócz mnie w pogrzebie uczestniczyły Hinduski i kilka Angielek. Te ostatnie przyniosły ciastka i drobne upominki, które Hinduski wrzuciły do wody, płacząc cicho i modląc się, gdy mały biały kształt zniknął pod powierzchnią spokojnego już morza.

Spoglądałam na miejsce, w którym nad ają zamknęło się lustro wody. To straszne być pochowaną tak daleko od domu i ukochanych osób. Czy stąd dusza tej kobiety zdoła dotrzeć do hinduskiego raj? - zastanawiałam się.

Gdy się odwróciłam, chcąc stąd odejść, zasmucona losem nieznannej mi kobiety, której rodzina w Indiach mogła się nigdy nie dowiedzieć, że umarła na morzu, podszedł do mnie pan Ingram. Oddychał ciężko, bo zbiegi po schodach z górnego pokładu, i był dziwnie blady.

- Panie Ingram? - odezwałam się zaskoczona jego obecnością na dolnym pokładzie po tym, co mi powiedział wiele dni temu, ale także jego wyglądem.

Po chwili zaczął oddychać spokojniej, ustąpiła bladość.

- Właśnie się dowiedziałem, że... jedna z kobiet... umarła... dziś w nocy i... - powiedział z trudem i otarł dłonią usta.

- To aja - powiedziałam, obserwując, jak drżą mu dłonie. - Przed chwilą spuszczone jej zwłoki do morza.

Utkwił wzrok w spienionej wodzie z boku statku.

- Czy była twoją przyjaciółką? - spytał po długiej chwili nieswoim głosem.

Pokręciłam głową, choć nadal nie odrywał wzroku od wody.

- Nie. Nawet nie wiedziałam, jak jej było na imię. Hinduskie służące nie rozmawiają ze mną ze względu na to, za kogo mnie uważają, choć... choć nie chcą dostrzec, kim naprawdę jestem - odpowiedziałam, a w myślach dodałam: Pod tym względem są podobne do pana, Davidzie Ingram.

W końcu odwrócił się do mnie, w pełni odzyskawszy zwykły koloryt cery i brzmienie głosu.

- Osric Bull jest poważnie chory. Nie może wstać z łóżka. Szczęściem na statku jest medyk, który się nim opiekuje - powiedział.

- Wiem, że jest chory - odparłam. Morze już się uspokoiło. Teraz trudno było sobie wyobrazić jego przemianę w rozszalały, potężny, morderczy żywioł. Spoglądałam na przetaczające się fale i myślałam o tym, że Blossom uprzedziła mnie, iż pan Bull może umrzeć. - Czy uważa pan, że on umrze? - spytałam. Młody Anglik pokręcił głową i uśmiechnął się posepnie.

- Powiedziano mi, że cierpi na zapalenie trzustki. Potaknęłam, przypominając sobie dziwne angielskie słowo, jakiego użył pan Bull, mówiąc o swojej chorobie.

- Ona atakuje jego... - położył rękę na brzuchu. - Nie znam perskiej nazwy tego organu. Pan Bull pije alkohol, co pogorszyło jego stan. Ale wyliże się z tej choroby. Ludzie tacy jak Osric Bull potrafią chyba przetrwać wszystko.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „ludzie tacy jak on”? - spytałam.

David Ingram zaczerwienił się.

- Daryo, nic o nim nie wiesz, a mimo to zgodziłaś się mu towarzyszyć... żyć z nim w Anglii. Jak mogłaś to zrobić? - Wciąż był zbity z tropu moim zachowaniem i rozgniewany, ale nałożył na twarz maskę spokoju.

- O tobie, sir, też nic nie wiedziałam, a dwa razy błagałam cię, żebyś zabrał mnie ze sobą, z miejsca buzkaszi do Dżalalabadu i z Dżalalabadu dokądkolwiek... Rozpacz to wielka siła.

- Byłaś zrozpaczona w Bombaju? Spojrzałam mu w oczy.

- Tak - potwierdziłam.

- Więc poprosiłaś Bulla, żeby...

- Nie - przerwałam. - To on mnie poprosił. W pierwszej chwili byłam wstrząśnięta jego propozycją. Czułam się nią znieważona i w ogóle nie brałam jej pod uwagę. Ale później... - Pokręciłam głową. - Podjęcie tej decyzji, sir, nie przyszło mi łatwo. I nadal nie wiem, czy słusznie postąpiłam... Nie. Teraz już wiem, że niesłusznie, to znaczy... nie wiem, czy... - umilkłam, bo nie wiedziałam, jak mu to wszystko wytłumaczyć, jak powiedzieć, nie wspominając o swoich pragnieniach i poczuciu godności, że chciałam znaleźć sobie miejsce do życia, w którym nie tylko będę czuć się bezpiecznie, ale także mieć na coś nadzieję i doznawać radości.

Czy znajdę to wszystko w Anglii? Nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że nie będę sobą, mieszkając w Bombaju jako kobieta pogardzana.

David Ingram patrzył na mnie niepewnie.

- Ale ja myślałem... zakładałem, że będziesz... zadowolona jako aja. Państwo Andrews to wspaniali ludzie - powiedział.

- Z pewnością tak - zgodziłam się, bo nie chciałam opowiadać, jak byłam traktowana, gdy przeniósł się do klubu, i co ci jego wspaniali przyjaciele postanowili ze mną zrobić.

- Co Bull ci obiecał, że zdecydowałaś się z nim pojechać? Nie chciałam odpowiadać na to pytanie.

- Powiedział pan, że będzie lepiej, jeśli przestaniemy ze sobą rozmawiać. A mimo to stoi tu pan i ze mną rozmawia. Dlaczego zmienił pan zdanie? - spytałam.

Znowu spojrzał za burzę, a ja przywołałam w pamięci małą postać owiniętą w biały całun, ze wszystkich stron zabezpieczoną chustkami pozostałych Hindusek, i plusk wody, tak niewiele znaczący w bezkresnym oceanie, gdy zwłoki uderzyły o powierzchnię.

- Wyobraziłeś sobie, sir, że to ja zginęłam - powiedziałam, przekonana, że taka jest prawda, od chwili, w której zobaczyłam jego przerażoną twarz.

Spojrzał na mnie, lecz ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Zdałem sobie sprawę, że ignorowanie cię nie przyniesie nic dobrego, że traktowanie cię tak... Wiedziałem, że to do niczego nie prowadzi. - Skinął głową i odszedł, ale teraz nie wątpiłam, że wróci.

Gdyby mnie znienawidził, jak już zaczęłam uważać, obawa, że to ja zginęłam, nie przywiodłaby go tu wstrząśniętego i przestraszonego. Nie drżałyby mu ręce i głos by mu się nie załamywał. Poczułam przypływ siły. Nadal obchodziłam pana Ingrama, bez względu na to, jak mnie nazwał i jak walczył z tym uczuciem.

Zrozumiawszy to, poczułam spokój, po raz pierwszy od chwili, w której pożegnał się ze mną na werandzie domu w Bombaju. W tej chwili nie przejmowałam się tym, co się stanie, gdy przypłyniemy do Londynu, a nawet tym, co wydarzy się jutro. Uczepiłam się tego, że David Ingram nie potrafi przestać o mnie myśleć. Odwróciłam twarz do słońca.

Rozdział XXXVI

Rano do naszej kabiny przysła biała kobieta, którą widziałam na pogrzebie Hinduski. Stała na dolnym pokładzie w grupce innych Angielek, ale wyglądała inaczej niż one. Trzymała książkę w mocno zniszczonych czarnych skórzanych okładkach. Czytała z niej półgłosem, gdy marynarze spuszczała ciało ai do morza.

Wszystkie memsahib nosiły bardzo strojne ubiory, ona zaś miała na sobie prostą ciemnoniebieską suknię z pożółkłym koronkowym kołnierzykiem, która na niej wisiała i była odbarwiona pod pachami. W dniu pogrzebu ai na nieładnej twarzy Angielki malowało się przygnębienie, a w jej oczach dostrzegłam łzy.

Teraz miała na sobie tę samą suknię, a przez płaską klatkę piersiową przewiesiła płócienną torbę. Była wysoka i bardzo chuda, o nieprzyjemnie kościstej twarzy i oczach oraz włosach barwy wyblakłego brązu. Tak jak wczoraj, trzymała oprawioną w skórę książkę. Teraz spostrzegłam, że przy całej szczupłości jej silne dłonie o krótkich równych paznokciach wyglądają jak męskie. Uśmiechała się do nas z czułością, jakbyśmy byli jej ukochanymi dziećmi, których od dawna nie widziała.

Przemówiła do nas w hindi, ale Hinduski nie patrzyły na nią, buntowniczo odwracając się plecami. Blossom roześmiała się z czegoś, co powiedziała Angielka. Ale ta nawet nie drgnęła, lecz uśmiechnęła do niej dobrodusznie.

- Kto to jest? Czego chce? - spytałam Blossom.

- Głosi słowo białego Boga. Po angielsku nazywa się missionary lady, czyli misjonarka. Gdziekolwiek są memsahib, tam zjawia się misjonarka - odpowiedziała.

- Missionary lady - powtórzyłam.

Oczy kobiety rozblęły. Podeszła do mnie. Wzięła mnie za rękę i położyła ją na książce. Czarna skóra była miękka i porysowana od częstego używania książki, ciepła, bo kobieta długo trzymała ją w dłoniach.

- Uważaj - przestrzegła mnie Blossom i znowu się roześmiała. - Ona chce, żebyś przyjechała do swojego serca chrześcijańskiego Boga, a ty musisz zostawić tam miejsce dla swojego sahiba. - Roześmiała się jeszcze głośniej ze swojego prostackiego żartu.

Zignorowałam ją.

Misjonarka nakryła dłonią moją rękę i zaczęła mówić do mnie w hindi natarczywie i z powagą. Gdy Blossom coś powiedziała niegrzecznie, zadała jej jakieś pytanie, a usłyszawszy odpowiedź, wyraźnie się zakłopotowała. Położyła książkę na moim łóżku, splotła dłonie na piersiach i przemówiła głośnie, jakbym dzięki temu mogła ją zrozumieć. Blossom wciąż się śmiała, a Hinduski nie zwracały na nas uwagi. W końcu misjonarka rozplotła dłonie. Z wysiłku twarz miała mokrą od potu. Nie wiedziałam, czego ode mnie chce. Była jedyną białą kobietą, która patrzyła mi w oczy i coś do mnie mówiła. I nie zachowywała się jak inne memsahib.

W końcu odwróciła się i wyszła wąskimi drzwiami. Suknię na plecach miała mokrą od potu. Poszłam za nią. Na pokładzie położyłam jej dłoń na ramieniu. Spojrzała na nią, a następnie na mnie.

- English - powiedziałam, wskazując na siebie. Pokręciła głową, delikatnie dotykając mojego harquus.

- English? No English - odparła, błędnie zrozumiawszy, że przedstawiam się jej jako Angielka.

Zniecierpliwiona pokręciłam głową. Czy myślała, że jestem drugą zarozumiałą Blossom? Dotknęłam palcami jej ust, a następnie swoich.

- English. You say. Me. English - powiedziałam. Twarz jej się rozjaśniła, bo wreszcie zrozumiała, że chcę, aby mówiła do mnie po angielsku.

- Aha - potaknęła energicznie i skinęła na mnie, żebym usiadła obok niej na ławce. Gdy usiadłyśmy, otworzyła książkę i powiedziała: - Dobrze. - Dotknęła dłonią strony i spojrzawszy w niebo, oznajmiła: - Bóg.

- Bóg - powtórzyłam, myśląc o Allahu. Wskazała dłonią swoją lewą pierś.

- Kocha - ciągnęła.

Powtórzyłam za nią to słowo, a ona poklepała się po klatce piersiowej.

- Mnie - powiedziała i powtórzyła wszystkie te trzy słowa jedno po drugim.

Powtórzyłam je za nią, czując się jak małe dziecko. Oczy jej rozbłyły i skinęła głową jeszcze energiczniej, poruszając gwałtownie cienką szyją.

- Tak, tak... O tak. Bóg mnie kocha i kocha ciebie - powiedziała, ukazując zęby, słabe i zbrązowiałe przy dziąsłach.

Rozumiałam, co za nią powtarzam. Jej Bóg nie różnił się tak bardzo od mojego. Zastanawiałam się jednak, czy jej Bóg łatwiej wybacza i nie ocenia mnie tak jak mój. Chciałam uczyć się angielskiego od tej kobiety, aby pokazać panu Ingramowi, że mówię nie tylko che - che, nawet jeśli on uważa mnie za taką samą kobietę jak Blossom.

Czasami statek zatrzymywał się w obcych portach. Jedni pasażerowie wysiadali, inni wsiadali, a stojący w rzędach spoceni mężczyźni podawali sobie kolejno wielkie pudła i skrzynie, które w ten sposób trafiały na pokład. Straciłam rachubę czasu. Doliczyłam dni do dwudziestu, do tego dnia, w którym pan Ingram znowu do mnie przyszedł. I odtąd byłam szczęśliwa. Nie obchodziło mnie, czy podróż potrwa dwieście dni czy dłużej, czy zostaniemy na tym statku na zawsze, krążąc między światem pana Ingrama i moim.

Trzeciego dnia po pogrzebie ai, gdy po południu patrzyłam na morze, wsparta o reling, stanął obok mnie pan Ingram i w milczeniu, tak jak ja, zapatrzył się w fale. Nie odwróciłam się na jego widok, bo nie chciałam, aby się zorientował, że na niego czekałam i spodziewałam się, że przyjdzie. Po chwili kątem oka spostrzegłam, że oderwał wzrok od morza i patrzy na mnie, więc ja też na niego spojrzałam. Nie nosiłam już hidżabu. Wiatr nieustannie szarpał go na mojej głowie, co w końcu stało się trudne do wytrzymania, ale jeszcze ważniejsze było to, że noszenie hidżabu nie wydawało mi się teraz konieczne. Przebywałam wyłącznie z kobietami. Dla marynarzy byłam powietrzem. Tu rządziły inne zasady niż w moim świecie. Nie miałam pod stopami ziemi, lecz płynęłam statkiem. Nosiłam cudzoziemski strój i uczyłam się nowego języka. Nic nie przypominało mi mojego dawnego życia. Ale obiecałam sobie, że gdy zejdem ze statku, znowu zasłonę twarz.

- Dzień dobry, sir - pozdrowiłam go po angielsku, starannie wymawiając słowa; wcześniej kilka razy przećwiczyłam z misjonarką powitalne zwroty grzecznościowe.

Tym razem uśmiechnął się szczerze, tak znajomo, że ogarnęła mnie radość.

- Dzień dobry, miss Daryo - odpowiedział. Odwzajemniłam uśmiech, słysząc słowo miss.

- Czy twoja kajuta jest wygodna? - spytał, powracając do perskiego.

Gdy usłyszałam to pytanie, nagle ostatnie tygodnie przestały się dla mnie liczyć, jakbym dotychczas wcale się nie martwiła, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, którzy zostali na krótko rozdzieleni, lecz znowu są razem. Wzięłam głęboki oddech.

- Nie narzekam - skłamałam.

- Dobrze się czuje twoja przyjaciółka Blossom? - Tak. Właśnie śpi. Bardzo dużo śpi - powiedziałam, a w myślach dodałam: zwłaszcza wtedy, gdy spędzi pół nocy ze swoim sahibem.

- Czy nadal uczy cię angielskiego?

Pokręciłam głową.

- Uczy mnie misjonarka. Chcę się nauczyć mówić poprawnie - odparłam. Odchrząknął.

- Dużo mówi o waszym Bogu - dodałam i nachmurzyłam się. - Kiedyś powiedziałaś mi, sir, że łączy nas wiara w jednego Boga, a ona mówi o trzech.

- O trzech?

- Mówi o ojcu, synu i... trzecim, którego nie potrafi mi przybliżyć, o Bogu zwanym... Duchem Świętym - powiedziałam.

- Uczy cię o Ojcu, Synu Bożym i Duchu Świętym - mruknął po angielsku, kręcąc głową. - To nie są trzej Bogowie, lecz chrześcijański jeden Bóg w trzech osobach.

- To bardzo zagmatwane.

- Owszem - potwierdził i znów zaczęliśmy patrzeć na fale.

- Sahib, a co z twoimi ojcami? Powiedziałeś mi o angielskim i o tym drugim. - Spojrzałam na jego profil i nie dostrzegłam zmiany wyrazu twarzy, ale wyczułam zmianę nastroju.

- Anglik, którego uważałem za swojego ojca, zmarł na malarię - powiedział krótko.

- Czy łączyła was bliska więź? - drażylałam.

Pokręcił głową, ale nie odpowiedział. Po chwili odwrócił się do mnie.

- Słabo go pamiętam. Mieszkaliśmy wtedy w Indiach. Gdy zmarł, byłem małym chłopcem. Potem pojechałem z matką do Anglii - wyjaśnił.

- A co z twoim... drugim ojcem, sir? Z tym, z którym łączą cię więzy krwi? Czy żyje? - dopytywałam się.

Znowu umilkł.

- Daryo, jeszcze z nikim o nim nie rozmawiałem - rzekł po chwili.

- Przepraszam, już o niego nie spytam - powiedziała ze skruchą.

Skinał głową.

Spytałam go o coś błahego, co dotyczyło morza, ale mi nie odpowiedział.

- Z drugiej strony wiem, że z tobą mogę o tym rozmawiać, bo... - Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie. - Bo to inna sytuacja, nieprawdaż? - Nawiązał do mojego poprzedniego pytania i czekał, żebym coś powiedziała.

Ale nie miałam pojęcia, co odrzec. Nie bardzo wiedziałam, co rozumie przez „inną sytuację”, choć ucieszyłam się, że tak powiedział, że w pewien sposób łączy go ze mną inna sytuacja niż z pozostałymi ludźmi. Dawało mi to ulotne poczucie naszej bliskości. Zastanawiałam się, czy wyraz twarzy odzwierciedla moje myśli i uczucia.

- Bo nie jesteś Angielką - wyjaśnił w końcu, jakby wejrzał w mój umysł i wiedział, że chcę, aby pomógł mi zrozumieć sytuację. - I ponieważ nie będziesz mnie osądzać za coś, w czym nie odegrałem żadnej roli... to znaczy w tym, jakie jest moje pochodzenie.

- Nie mam prawa cię oceniać, sir, w żaden sposób, w żaden - odpowiedziałam tak jak on kilkanaście dni temu.

Znowu utkwiał wzrok w morzu i milczał. Miał nieruchomą twarz, jakby pograżył się w myślach, a przynajmniej zastanawiał się nad tym, jak odnieść się do moich pytań. Po chwili podszedł do ławki i usiadł, a ja za nim. Zająłam miejsce obok niego, pewna, że tego chce. Położyłam ręce na kolanach i czekałam, świadoma bliskości naszych ciał na wąskiej ławce. Wydawało mi się, że czuję promieniujące od niego ciepło.

- Naprawdę nie mam pojęcia, czy mężczyzna, który mnie spłodził, żyje czy też nie - zaczął, opierając dłonie na udach. Wpatrywał się w swoje palce, jakby miały mu odpowiedzieć na dręczące go pytanie. - Dopiero przed dwoma laty dowiedziałem się, że nie jestem tym, za kogo się uważałem. Wówczas moja matka wyznała mi prawdę o mnie. Powiedziała, że postanowiła to zrobić, gdy skończę dwadzieścia jeden lat. - Podniósł wzrok i spojrzał na ocean, zapewne dlatego, że woda działa uspokajająco, tak samo jak ogień, i sprzyja

rozmowie. - To dlatego przyjechałem do twojego kraju. Chciałem... pragnąłem dowiedzieć się czegoś na ten temat.

- Szukałeś tam swojego ojca, sir? - spytałam cicho, spoglądając na jego profil.

Pokręcił głową.

- Nie znam nawet jego imienia. Matka mi go nie zdradziła. Oświadczyła, że nigdy nie znajdę swojego prawdziwego ojca, bo ona sama nie wie, co się z nim stało. Znała go krótko, a potem już nigdy więcej go nie widziała - powiedział głośniej, jakby przypominając sobie rozmowę z matką.

- Ale... czy znalazłeś w Afganistanie to, co miałeś nadzieję tam znaleźć? - spytałam.

Czy znalazł to, czego szukał, gdy podróżował przez mój... swój kraj, oglądał buzkaszi, widział na targu w Dżalalabadzie angielskich żołnierzy i był świadkiem pobicia tam kobiety przez mężczyznę? Czy w Afganistanie chciał się przekonać, kim rzeczywiście jest i kim był jego ojciec? Czy spodziewał się tu jakiegoś głębokiego przeżycia, które przynosi pociechę bądź ulgę?

W końcu odwrócił się do mnie.

- Nie wiem, czego szukałem - wyznał niespokojnie, jakby z bólem.

Wiatr zwał mi włosy na czoło. Gdy je odgarnęłam, David Ingram podniósł rękę.

- Po angielsku nazywa się to niebo. Czy chcesz, żebym ci pomógł w nauce angielskiego?

Przytaknęłam, nie kryjąc zdziwienia, że mi to zaproponował.

- Niebo - powtórzyłam za nim po angielsku. Wiedziałam, że nie powie mi już nic więcej o swoich dwóch ojcach.

Po tej rozmowie przychodził do mnie na dolny pokład codziennie, czasami rano, czasami po południu, a czasami po zmierzchu. Rozmawiał ze mną po angielsku, starannie wymawiając słowa i wykazując wielką cierpliwość. Staralam się pilnie powtarzać to, co do mnie mówił, ale popełniałam wiele błędów i czasami trudno było mi zachować powagę. Gdy wybuchałam śmiechem, pan Ingram śmiał się wraz ze mną. Czasami przynosił mi książki z barwnymi ilustracjami i szkicami, które przedstawiały ludzi i angielski krajobraz. Zadawał mi też dużo pytań o mój kraj i opowiadał o tym, co tam widział. Prosił, żebym mu opowiedziała o swoim dzieciństwie. Wówczas

spoglądałam na morze i mówiłam o zmieniających się porach roku tam, gdzie mieszkałam do szesnastego roku życia, o wiosennym słońcu igrającym na młodych liściach morw, które rosły na podwórzu mojego rodzinnego domu, i o otaczających go złocistych łąkach zbóż, a także o wietrze, który zimą nadciągał z gór, przynosząc ich zapach. Gdy mówiłam, patrzył na mnie, a gdy milczałam, też milczał, ale nie odrywał ode mnie wzroku. Wówczas odwracałam głowę zawstydzona emocjami, jakie zdradzał mój głos.

- Opowiadasz o swoim kraju z wielką miłością - orzekł. Zrozumiałam, że nie muszę żałować szczerości, z jaką w tej rozmowie wspominałam Afganistan.

- Zazdroszczę ci tej pewności uczuć. Żałuję, że moje uczucia do Anglii są tak pogmatwane - wyznał.

- Tak mi przykro - powiedziałam ze zrozumieniem.

- Potrafię sobie wyobrazić, jak trudno było ci opuścić ukochany dom twojego dzieciństwa - rzekł.

Skinęłam głową.

- A zwłaszcza rozstać się z matką, z siostrą Nasreen i bratem Yusufem - powiedziałam drżącym głosem.

Nie byli już małymi dziećmi jak wtedy, gdy wyjeżdżałam z domu. Czy Nasreen jeszcze mnie pamięta? Czy matka nadal wyznaje zasadę, że nie należy mówić o bolesnych wydarzeniach z przeszłości? Nasreen pewnie nie ma żadnych wspomnień o swej starszej siostrze, choć ta była przy jej narodzinach, nosiła ją na plecach, uspokajała rozplakaną i przytulała w czasie snu. I zapewne nikt w wiosce nie rozmawia o mnie, może z wyjątkiem Yaldy, choć do tego czasu pewnie już poszła do raju. Zastanawiałam się, czy moi rodzice i rodzeństwo oraz mieszkańcy wioski uważają mnie za zmarłą.

Ku swemu przerażeniu poczułam w oczach łzy. Szybko się odwróciłam i wytarłam je palcami. Moich pleców dotknęła dłoń pana Ingrama.

- Boję się, że już nigdy ich nie zobaczę, że jestem dla nich martwa - wyznałam, tłumiąc płacz.

- Rozumiem. Udajesz się tak daleko. Ale z pewnością zawsze będą o tobie pamiętali, tak jak ty pamiętasz o nich - rzekł pocieszająco.

Czułam mocny dotyk jego dłoni na plecach i zamknęłam oczy. Nagle zapragnęłam, żeby ktoś mnie trzymał i pocieszał. Ale pan

Ingram cofnął rękę, a ja wzięłam głęboki oddech i odchrząknęłam. Poprosiłam, żeby jeszcze raz wymienił angielskie nazwy dni tygodnia.

Kiedy świeciło słońce i wiał łagodny wietrzyk, stawaliśmy przy relingu, a gdy było chłodno lub padał deszcz, siadywaliśmy na osłoniętej ławce. Pan Ingram przynosił mi nie tylko książki, lecz także łąkocie. Było jasne, że na górnym pokładzie jada się dobrze. Nie powiedziałam, że teraz dają nam do jedzenia suchary, breję owsianą i bardzo słone mięso wieprzowe, które jem, w duchu prosząc Allaha o przebaczenie. Przekonywałam samą siebie, że to, co już zrobiłam, aby przeżyć, było znacznie gorsze niż spożywanie zakazanego przez religię pokarmu.

Gdy byłam w towarzystwie pana Ingrama, Blossom trzymała się ode mnie z daleka. Czasami tylko robiła oko lub unosiła brwi. Hinduskie służące, które często krążyły po pokładzie, na nasz widok przyciskały się do relingu, jakbyśmy mogli je splugawić.

- Co będzie, sir, jeśli w Anglii ludzie potraktują mnie jak ta kobieta z górnego pokładu, która syknęła, że jestem dzikuską, i spoglądała na mnie jak na jadowitego węża? - spytałam pewnego słonecznego popołudnia.

Milczał tak długo, że przestałam się spodziewać odpowiedzi.

- Rozumiem twoje obawy. Gdy wyjeżdżałem z Anglii do Afganistanu, wewnętrzny głos kazał mi zastanawiać się nad tym, co przyniesie kolejny etap tej podróży. Czasami zadawałem sobie pytanie, dlaczego to robię, dlaczego narażam się na sytuacje nieznane i nieprzyjemne, a niekiedy nawet niebezpieczne - odezwał się w końcu.

Pomyślałam o tym, na co ja się narażałam, o moim strachu i poczuciu zagrożenia.

- Czy znalazłeś odpowiedź na to pytanie, sir? - spytałam.

- Teraz uważam, że ten wewnętrzny głos jest jednym z elementów, które składają się na urok podróży. Może właśnie go słyszysz? Ale w czasie podróży odzywał się we mnie także inny głos, cichszy i jakby mniej wymagający. Musiałem pilnie słuchać, żeby go usłyszeć.

Nic na to nie powiedziałam.

- Ten drugi kazał mi ufać, wierzyć we własne siły i zdobytą wiedzę, nie starać się rozumieć, dlaczego otaczający mnie świat jest inny niż ten, który znam, lecz po prostu poddać się tej inności.

Podporządkować się myśli, że dopóki będę postępował w możliwie najlepszy sposób, moje życie ułoży się tak, jak powinno - wyjaśnił.

Uśmiechnęłam się.

- Znam tę zasadę, ale od dawna nie... - Spoważniałam i spojrzałam na przetaczające się fale. - Nauczono mnie, że jeśli będę wierzyć w Allaha, to wówczas moje życie ułoży się tak, jak powinno. Co napisane, to napisane.

- To jest dobre dla tych, którzy potrzebują takiej wiary - podsumował.

Pomyślałam o tym, co powiedział wcześniej.

- Dopóki nie poddadzą się całkowicie nowemu życiu lub przekonaniu, że nie mogą tego życia zmienić - powiedziałam na to.

Wyjął coś z kieszeni i pokazał mi.

- Co to jest? - spytałam. - Ach, to ta'wiz. - Był to mały amulet, który nosiło wiele osób w moim kraju. Zawierał napisane na papierze słowa pobłogosławione przez mułę.

Pan Ingram pogładził kciukiem kawałek zwiniętej skóry.

- Otrzymałem go, gdy przybyłem do twojego kraju, na powitanie od życzliwego wieśniaka. I od tego czasu noszę go przy sobie. Człowiek ten powiedział mi, że amulet zapewni mi bezpieczeństwo. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Wiem, że to tylko przesąd, ale...

- To jest przesąd dla ciebie, sir, a dla tego wieśniaka był to talizman, w którego moc wierzył. Jeśli przyjąłeś ta'wiz, to również powinieneś wierzyć w jego moc - powiedziałam.

Spojrzał na ta'wiz.

- Chyba uwierzyłem. W przeciwnym razie... dlaczego wciąż miałbym go przy sobie?

Wzięłam od niego amulet i zamknęłam go w dłoni. Był ciepły. Oddałam go, patrząc Davidowi Ingramowi w oczy.

- Może dlatego, że w duszy jesteś wyznawcą islamu? Po ojcu.

- Może - powtórzył za mną, spoglądając niepewnie i wzruszając ramionami.

Zrobiło się chłodniej. Pan Ingram powiedział mi, że jesteśmy daleko na Oceanie Atlantyckim, na ostatnim odcinku podróży. Gdy zjadłam kawałek ciasta kokosowego, który mi przyniósł, wyjął z kieszeni kasetkę, otworzył ją i pokazał mi widniejącą w niej

podobiznę kobiety. To był taki sam obrazek jak te, które pokazał mi w Bombaju pan Bull w książce o Anglii, ale bardziej brązowy.

- Znam takie obrazki - powiedziałam, ale nie przyznałam się, że dzięki panu Bullowi, bo nie chciałam tym zepsuć nastroju. - Pochodzą z pudełka, czyż nie? - Przechyliłam głowę i uśmiechnęłam się, spodziewając się, że młody Anglik wytlu - maczy mi, jak faktycznie powstają.

- Tak - potwierdził. - To jest dagerotyp, rodzaj fotografii. Skinęłam głową, lekko poirytowana, że pan Bull powiedział mi prawdę.

- Przedstawia moją matkę - oznajmił. Przyjrzałam się kobiecie na zdjęciu. Z wyjątkiem jasnych włosów i wyrazistego podbródka nie łączyło jej z panem Ingramem żadne podobieństwo.

- Zapewne jesteś podobny do ojca, sir - stwierdziłam. - Co o niej pomyślałeś, kiedy ci powiedziała o tym drugim ojcu?

- Co masz na myśli? - spytał pan Ingram.

- Czy nie pomyślałeś o niej... źle, że zdradziła męża, że popełniła cudzołóstwo?

Otworzył usta, jakby zdumiony moim pytaniem, i energicznie pokręcił głową.

- Nigdy nie pomyślałem o niej źle. Musiała mieć swoje powody, że tak postąpiła.

- Czy inni ludzie o tym wiedzą? Że jesteś... - Pomyślałam o słowie, którego użył pan Bull, kiedy mówił, co może mi się przydarzyć, jeśli zostanę w Bombaju. Przywołałam w pamięci Blossom. - Że jesteś, sir, półkrwi Anglikiem i półkrwi Afgańczykiem?

Pokręcił głową. - Nikt, nikt z wyjątkiem... Czekałam na odpowiedź.

- Matka powiedziała mi, że Osric Bull zawsze podejrzewał, jaka jest prawda. W Kalkucie miało miejsce jakieś zajście, w którym uczestniczył Bull i moja matka.

Skinęłam głową, przypominając sobie, jak lekceważąco mówił pan Bull o panu Ingramie. - Czy w Anglii źle jest być osobą półkrwi? - spytałam.

Zrobił drwiącą minę. - Owszem - potwierdził.

Oboje staliśmy się sztywni i żałowałam teraz, że rozmowa zesłała na pana Bulla.

- Czy tak samo jest w Indiach, że nie szanuje się tam osób półkrwi? - ciągnęłam temat.

Potaknął z posepną miną.

- W Indiach wiele Angielek żywi pogardę wobec dzieci Hindusek i Anglików. Jest w tym jakaś ironia, nieprawdaż? - spytał.

- Blossom jest półkrwi. Mówi, że ma ojca Anglika - powiedziałam.

- Zwykle tak bywa, ale w moim wypadku to matka jest Angielką... To nietypowa sytuacja. O wiele gorzej jest dla białej kobiety, gdy zwiąże się z tubylcem, niż dla białego mężczyzny, gdy wybierze sobie Hinduskę. A przed dwudziestu trzema laty moja matka przeżyłaby tragedię, gdybym po urodzeniu okazał się zbyt podobny do dzieci tubylców. - Wziął ode mnie kasetkę i przesunął palcem po zdjęciu matki. - Udało się jej ukryć prawdę. Moja matka jest wyjątkową kobietą. Bardzo silną.

- Czy wyszła ponownie za mąż po śmierci pańskiego angielskiego ojca? Na przykład za pańskiego stryja? W moim kraju odpowiedzialność za los wdowy spada na brata jej zmarłego męża - wyjaśniłam.

- Nie, nie wyszła, a poza tym nie mam wujków i ciotek. I Zmarszczyłam czoło.

- A masz braci, sir, którzy wraz ze swymi żonami opiekowaliby się nią? Lub siostry, które jeszcze nie wyszły za mąż? - dopytywałam się.

- Nie. Nie mam żadnego rodzeństwa i żadnej rodziny - odpowiedział.

- A kiedy nie ma cię w Anglii, kto się o nią troszczy? - spytałam zaskoczona.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął jakby trochę przepraszająco. - Sama się o siebie troszczy - odpowiedział.

- Jak to możliwe? - zdziwiłam się. - Daryo, w Anglii to możliwe. Zastanawiałam się nad tą dziwną sytuacją.

- Czy nie przytłacza jej smutek, kiedy jest zupełnie sama? - spytałam.

Spojrzałam na jej zdjęcie i wyobraziłam sobie moich rodziców, Nasreen i Yusufa. Żal ścisnął mnie za serce, gdy pomyślałam, że oddalam się od nich coraz bardziej. Było mi coraz trudniej przywołać w pamięci ich twarze i myśleć o ich życiu czy losie. Nie mogłam się

widywać z moją rodziną, gdy wyszłam za mąż, ale przez cały czas czułam się z nią związana. Miałam nadzieję, że kiedyś Shaliq pozwoli mi ją odwiedzić albo ktoś przekaze mi wiadomość od niej. Teraz natomiast, w miejscu, do którego zmierzałam, znajdującego się tak daleko od mojej rodzinnej wioski, oddzielonego od niej dwoma oceanami, ten związek zostanie ostatecznie zerwany. Nie będę wiedziała, czy członkowie mojej rodziny żyją i są zdrowi, kiedy Yusuf przyprowdzi do naszego domu żonę, żeby opiekowała się naszą starą matką, i kiedy Nasreen wyjdzie za mąż, a w związku z tym wyprowadzi się z Susmar Chord. Położyłam rękę na piersiach i wzięłam głęboki oddech.

- Mojej matki w żadnym wypadku nie przytłacza smutek - powiedział pan Ingram, zdając się nie zauważać mojego smutku. - I wcale nie jest sama. Ma wielu przyjaciół i łączy ją bardzo bliski związek z pewnym mężczyzną, z którym jest szczęśliwa. Ale postanowiła nie wychodzić ponownie za mąż. Nie jest taka jak większość Angielek.

- Dlaczego? - spytałam, nie chcąc myśleć o mojej rodzinie.

- Jest skomplikowaną kobietą. Zawsze okazywała mi wielką miłość, ale pomimo że jestem jej jedynym dzieckiem, bez trudu godziła się z wyborami, których dokonywałem. Czasami nawet wydawało mi się, że zachęca mnie, abym był inny niż moi szkolni koledzy, choć teraz... Teraz rozumiem, że widziała, jak się od nich różnię, i być może po cichu była z tego zadowolona.

- A co z pana angielskim ojcem? Czy zachowała go dla pana we wspomnieniach? - spytałam zaintrygowana.

Pokręcił głową.

- Nie mówiła o nim i raczej nie utrzymywała kontaktów z jego przyjaciółmi. Pamiętam, że kiedy miałem jedenaście czy dwanaście lat, stale o niego pytałem. Starła się opowiedzieć mi o nim, ale chyba nie miała zbyt wielu wspomnień związanych z tym człowiekiem. Potrafiła bez końca opowiadać o swoim i moim życiu w Indiach, o tym, co najbardziej mi tam smakowało, w co się ze mną bawiła, jakie śpiewała mi piosenki, jaką kochającą miałem aję, jak biegałem z dziećmi służących i jak wyglądał nasz dom i ogród, ale nie mówiła nic szczególnego o moim angielskim ojcu, na przykład że nazywał mnie jakimś zdrobnieniem, i nie opowiadała mi o jego życiu. Zawsze gdy o niego pytałem, wydawała się zdenerwowana. W końcu uznałem, że z

żału po jego stracie pozbyła się związanych z nim wspomnień. Doszedłem do wniosku, że to brzydko zmuszać ją, by powracała do niego myślami.

Umilkł i słuchaliśmy plusku fal kołyszących statkiem.

- W rezultacie zacząłem podejrzewać, że była z nim bardzo nieszczęśliwa. Być może dlatego zainteresowała się innym mężczyzną. Tak to sobie wyobrażam - podsumował.

Potaknęłam.

- Zwykle nie rozmawiam o matce - oznajmił, kręcąc głową. - A właściwie nigdy o niej nie mówię. Anglik tak nie postępuje. - Uśmiechnął się, nieco zakłopotany.

Ja też się uśmiechnęłam, głaszcząc gładką skórę kasetki.

- Muzułmanin uważa, że niebo znajduje się pod stopami jego matki. To ona jest najważniejszą kobietą w jego życiu. Może mieć wiele żon, ale najbardziej liczy się dla niego matka - powiedziałam.

Gdy mówiłam, David Ingram patrzył na moje usta. Podałam mu kasetkę, ale zdawał się jej nie zauważać. Dotknęłam swoich ust, żeby sprawdzić, czy nie przywarł do nich jakiś okruszek ciasta, ale były czyste. Położyłam Davidowi Ingramowi kasetkę na dłoni. Spojrzał na nią, a następnie na moje usta w taki sposób, że oblałam się rumieńcem. Wstałam szybko z ławki i podeszłam do relingu. Wystawiłam twarz na deszcz, żeby ochłodził mi policzki.

Rozdział XXXVII

Pewnego popołudnia, gdy leżałam na łóżku i oglądałam barwne ilustracje w jednej z książek pana Ingrama, podeszła do drzwi Blossom i spojrzała na mnie zdziwiona.

- Daryo, prosi cię dżentelmen - powiedziała. Odłożyłam książkę i zerwałam się z łóżka. Uśmiechając się, poprawiłam z tyłu włosy.

- To nie jest twój pan Ingram, lecz ten drugi... ten chory, jak sądzę - uprzedziła mnie.

Nagle mój żołądek stał się ciężki jak kamień. Przeszłam obok Blossom i wolno ruszyłam na schody.

Pan Bull stał na dolnym pokładzie, trzymany pod rękę przez dwóch marynarzy.

- Sir - zaczęłam, wstrząśnięta jego wyglądem, ale opanowana. Schudł tak, że skóra na twarzy i szyi mu obwisała, cerę miał poszarzałą. Nawet jego rude włosy wydawały się wyblakłe, przylegały do czaszki i były pozbawione połysku. - Cieszę się, że może pan już chodzić.

- Byłem ciężko chory - powiedział z irytacją. - Szkoda, że nie wróciłem do Anglii wcześniej, zanim objawy tak się nasiliły, bo tam miałbym należytą opiekę lekarską. Ale wierzę, że najgorsze już minęło i teraz po prostu muszę odzyskać siły. - Wydawał się czekać na wyrazy współczucia, a gdy milczałam, dodał: - W przeciwieństwie do mnie wyglądasz tak, jakby życie na morzu ci służyło.

- Czuję się bardzo dobrze. Dziękuję - powiedziałam wolno po angielsku.

Nachmurzył się.

- Co to wszystko znaczy? Kto cię uczy angielskiego? - spytał.

- Misjonarka - skłamałam, wiedząc, że nie byłoby rozsądnie wspomnieć o panu Ingramie.

- Hm... - burknął. - Nie podoba mi się ten język w twoich ustach. Powinnaś trzymać się tego, co znasz. Wolę, jak mówisz po persku. - Zmarszczył się. - Pamiętaj o tym. Mówisz tylko po persku.

Skinęłam głową.

- Za tydzień będziemy w Londynie - powiedział. Znowu potaknęłam.

- Gdy zawiniemy do portu, czekaj przy wyjściu. Kogoś po ciebie przyślę - poinstruował mnie.

- Tak, sir - powiedziałam. Wróciłam do kabiny i położyłam się na łóżku, ale straciłam zainteresowanie oglądaniem ilustracji i rozmową z Blossom. Nasza podróż zbliżała się do kresu. Ogarnął mnie smutek. Byłam pełna złych przeczuc.

W ostatnich tygodniach zrobiło się zimniej i bardziej wietrznie. Następnego dnia po moim spotkaniu z panem Bullem nie - bo było zaciągnięte chmurami, a morze szare. Woda połyskiwała słabo tylko wtedy, gdy na chwilę wyjrzało zza nich blade słońce. Spoglądając na ciężkie chmury, przypomniałam sobie słowa Blossom o kraju pod pochmurnym niebem i zrozumiałam, co chciała przez to powiedzieć.

Zapadł już wieczór, gdy pan Ingram w końcu przyszedł na opustoszały dolny pokład, po którym hulał wiatr. Siedziałam w zacisznym miejscu, trzymając stopy na ławce i obejmując kolana dłońmi, okryta cienkim szorstkim kocem, który zabrałam z łóżka.

- Chciałem przyjść tu wcześniej - odezwał się pan Ingram, opierając się o reling i spoglądając na mnie - ale w jadalni zjawił się dziś na obiedzie Osric Bull. Czuje się już lepiej i trzymał mnie tam strasznie długo, zanudzając opowieściami o swoich dawnych przygodach. - Spojrzał w bok. - Za kilka dni będziemy w Londynie. Za kilka dni. - Nie wyglądał jak ktoś, kto przybywa do domu po długiej podróży.

- Czy nie czeka cię w Anglii nic przyjemnego, sir? - spytałam.

- Dobrze będzie spotkać się z matką i z niektórymi przyjaciółmi - odpowiedział po chwili. - Spodziewam się, że będzie na mnie czekała w porcie. Przesłałem jej z Karaczi wiadomość, że wrócę tym statkiem.

Drżałam, ale nie z zimna i wilgoci, lecz dlatego, że po przyjeździe do Londynu ja zamieszkam w domu pana Bulla, a pan Ingram powróci do swojego życia i już nigdy nie będziemy nigdzie razem. Opuściłam nogi na pokład i szczelniej okryłam się kocem.

Nagle pan Ingram przyjrzał mi się uważnie.

- Czy Bull nie wyposażył cię w nic innego poza tymi cienkimi sari i szalami? W żadne buty czy ciepłą pelerynę? - zdziwił się.

- Koc jest ciepły - powiedziałam.

Mruknął coś pod nosem, zirytowany na pana Bulla, pokręcił głową i zdjął grubą wełnianą kurtkę.

- Daryo, chodź tu! - zawołał.

Gdy podeszłam, pomógł mi włożyć kurtkę, która miała jedwabną podszewkę, jeszcze ciepłą. Skrzyżowałam dłonie na piersiach i spojrzałam na niego.

- Czy coś w Anglii będzie dla mnie znajome? - spytałam.

- Są tam piękne krajobrazy, łąki, łagodne wzgórza, lasy, a także ptaki i kwiaty, w większości inne od tych, które znasz. Ale śpiew ptaka wszędzie jest śpiewem ptaka, a róża różą. - Uśmiechnął się.

- Znam opowieść o róży - powiedziałam. - O róży i słowiku. Opowiedziała mi ją babcia. To bardzo stara opowieść, wiele razy powtarzana w seraju, kiedy wieczorami kobiety rozmawiały, by zapomnieć o smutku rozłąki z rodzinami. - Zwróciłam uwagę, że pan Ingram uważnie mi się przygląda. - W wielu krajach słowiki były najcenniejszymi ptakami. - Spojrzałam w stronę horyzontu, wyobrażając sobie, że zamiast zimnego szarego morza są tam ciepłe wspaniałe Słodkie Wody, które znała moja babcia. - Kiedyś słowik dostrzegł piękno śpiącej róży i zaśpiewał jej w mroku opromienionym blaskiem księżyca. Pod wpływem aksamitnego głosu ptaka róża się obudziła... - Pomyślałam o księżycu i o babci. - Była to biała róża, jak wszystkie wtedy, niewinna i czysta. Dziewicza. Gdy ta nietknięta przez nikogo róża słuchała śpiewu słowika, poruszyło się jej serce i zadrżała. Ptak przyfrunął do niej, urzeczony jej urodą widoczną w blasku księżyca, i cichym śpiewem wyznał jej miłość. - Przerwałam i oblizałam wargi. - Kocham cię, różo. Jakże cię kocham, bo jesteś niepodobna do niczego, co wcześniej znałem. - Zniżyłam głos, spoglądając na morze, a następnie na pana Ingrama. - Na dźwięk tych słów róża spłonęła się i w tej chwili na świecie pojawiły się różowe róże. Słowik zbliżał się do niej coraz bardziej. W czasie stworzenia świata Allah powiedział róży, że nie wolno jej poznać ziemskiej miłości. Teraz jednak, gdy rozchyliła płatki, słowik skradł jej czystość. Zawstydzona tym, czego się dopuściła, świadoma, że wywołała niezadowolenie Allaha, stała się rano purpurowa, dając początek czerwonym różom. Od tego czasu słowik, poznawszy piękno doznania, na które mu pozwoliła, zjawia się u niej co noc, żeby prosić o chwilę boskiej miłości. - Zniżyłam głos niemal do szeptu. - Ale gdy róża drży, słysząc śpiew słowika, niestety, jej płatki na zawsze pozostają w nocy stulone, bo ta miłość nie może się nigdy spełnić.

Wzięłam głęboki drżący oddech. Na tych kilka chwil zapomniałam, gdzie jestem, zatracając się w opowieści. W wyobraźni

słyszałam śpiew samotnego słowika i czułam subtelny zapach smutnej róży. Gdy owładnięta własnym niespełnionym uczuciem otworzyłam oczy, z przerażeniem stwierdziłam, że są mokre od łez. Szybko się odwróciłam, żeby pan Ingram nie mógł tych łez zobaczyć, i otarłam je palcami. Wówczas wziął mnie za ramiona i odwrócił do siebie. Widząc wyraz jego twarzy, poczułam jakąś dziwną wewnętrzną lekkość i jasność, jakby nagle została przywrócona zwichnięta równowaga i uczucie stało się jak drogocenny klejnot. Drżałam na całym ciele. Pan Ingram w milczeniu okrył mnie szczelniej swą kurtką i pod dotykiem jego dłoni moje ciało się uspokoiło. Staliśmy tak blisko siebie, że czułam zapach mydła Anglika i widziałam wyraźniej jego złociste bokobrody, a nawet bliznę pod okiem, choć od czasu, gdy spostrzegłam ją po raz pierwszy w Dżalalabadzie, stała się mniej widoczna. Nie potrafiłam się powstrzymać i przesunęłam po niej delikatnie palcem. Zadrżał i zamknął oczy.

- Zmarzłeś, sir - powiedziałam cicho, bo nasze twarze były tak blisko siebie. - Proszę, weź kurtkę.

- Nie, nie jest mi zimno - odparł i lekko mnie odsunął. Gdy oparłam się o ścianę, wziął mnie za rękę, jakby chciał ją ogrzać. - W czasie podróży twoje dłonie wydelikatniały - zauważył.

Próbowałam uspokoić oddech.

- Nic nie robię, a poza tym to morskie powietrze... - Umilkłam, czując, jak przesuwa kciukiem po moich palcach.

- Dotknij mnie jeszcze raz - powiedział po angielsku tak cicho, że z trudem zrozumiałam. Powtórzył: - Daryo, dotknij mnie.

Ponownie przesunęłam palcem po słabo wyczuwalnej bliznie pod jego okiem, od grzbietu nosa do kości policzkowej, tym razem czterema palcami, a on przez cały czas patrzył mi w oczy. Następnie pogładziłam dłonią jego policzek i szczękę, czując pod palcami jednodniowy zarost. David Ingram wsunął dłonie pod kurtkę i objął mnie pod nią. Oparłam głowę na jego piersi i wdychałam zapach świeżej białej koszuli. Wydało mi się to tak naturalne jak codzienne znikanie słońca w morzu o zmierzchu. Czułam bicie serca Davida Ingrama. Staliśmy tak bardzo długo, a ja po raz pierwszy w życiu chłonełam ciepło męskiego ciała.

- Daryo - usłyszałam po chwili.

Wiedziałałam, że muszę na niego spojrzeć. Gdy to zrobiłam, pochylił głowę i po raz pierwszy w życiu poczułam dotyk warg

mężczyzny na swoich. Lekko rozchylił usta tuż przy moich wargach. Uczyniłam to samo. Wydawało mi się, że zawsze wiedziałam, jak to zrobić, i nasz pocałunek jest tak naturalny, jakby od zawsze usta tego Anglika należały do mnie, a moje do niego. Pragnęłam, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył. Ale musiało się to stać. David Ingram oderwał usta od moich warg, a ja ponownie oparłam policzek na jego torsie. Jego serce biło jak oszalałe.

- Jezu Chryste - wymówił cicho imię swego Boga. Spojrzałam na niego.

- Czy to modlitwa? - spytałam.

Uśmiechnął się pięknie, ale smutno i pokręcił głową.

- Nie, nie modliłem się od długiego czasu - wyznał.

- Ja też nie, Davidzie - po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu. Pragnęłam powtarzać je bez końca i znowu poczuć na wargach jego usta. Stałam na palcach. Gdy jednak pan Ingram... David pochylił głowę, gdzieś blisko rozległ się głos marynarza, a po nim odpowiedź drugiego. Wówczas odsunął się ode mnie.

- David? O co chodzi? - zaniepokoiłam się.

- Nie powinienem był tego robić - oznajmił.

- Chciałam tego - wyznałam onieśmielona.

- Wszystko to dzieje się na statku. Nie jesteś w swoim kraju ani ja nie jestem w swoim. Znajdujemy się gdzieś pomiędzy i wydaje się, że nie obowiązują tu zasady rządzące twoim i moim dotychczasowym życiem, a z pewnością twoim. Ale z chwilą, gdy przyplniemy do Anglii, ja będę musiał zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami innych, a ty będziesz... będziesz... - Przerwał i zmienił temat: - Zadbam o to, żebyś otrzymała cieplejsze ubrania.

Wyciągnęłam do niego rękę, lecz tylko na nią spojrział i odszedł.

Myślałam, że zaraz wróci z jakimś cieplejszym ubraniem i odbierze ode mnie swoją kurtkę, więc czekałam tam, gdzie się rozstaliśmy. Po pewnym czasie zaczęłam chodzić tam i z powrotem po mokrym pokładzie, ubrana w tę kurtkę, obejmując się rękami, żeby było mi cieplej. Ale gdy niebo jeszcze bardziej pociemniało, a na górnym pokładzie zapanowała kompletna cisza, zrozumiałam, że David już do mnie nie wróci.

Poszłam do kajuty i położyłam kurtkę na łóżku. Gdy chciałam ją wygładzić, pod dłonią wyczułam w kieszeni jakieś zgrubienie.

Sięgnęłam do środka i wyjęłam amulet. Położyłam się, przykryłam kurtką i narzuciłam na nią koc.

Rano wyszłam wcześniej na dolny pokład i rozglądałam się za Davidem. Uważałam za normalne, że znowu się zobaczymy. Żałowałam tylko, że jest dzień, a w związku z tym David mnie nie obejmie i nie pocałuje, bo po dolnym pokładzie kręci się zbyt dużo osób. Czekając, zrezygnowałam z południowego posiłku, ale również po nim David nie przyszedł. Po pewnym czasie podeszła do mnie natomiast misjonarka. Przyniosła mi grubą wełnianą pelerynę, pończochy i wysokie czarne buty z dwoma rzędami czarnych guziczków, które wyglądały jak oczy lisa. Poczułam się boleśnie zawiedziona.

Pokazała mi, jak włożyć pończochy i połączyć ze sobą guziczki. Tępo naśladowałam jej gesty. Buty uwierały mnie w podbiciu, ścisnęły palce i ocierały kostki. Próbowałam w nich chodzić, naśladując białe kobiety, przesuwając lekko nogę za nogą, ale stapałam ciężko i niezdarnie, stukając o pokład jak koń kopytami. Teraz się cieszyłam, że David nie dostarczył mi ich osobiście, bo nie chciałam, by zobaczył, że nie potrafię chodzić w angielskich butach. Mimo to nie rozumiałam, dlaczego się nie zjawił. Czy rozpamiętywał nasz pocałunek? Tylko o tym potrafiłam myśleć.

Gdy zdjęłam te okropne buty, przygotowując się do snu, stwierdziłam, że mam stopy zaczerwienione w miejscach, gdzie skóra zbyt mocno przylegała. Wiedziałam, że nigdy się nie przyzwyczaję do noszenia angielskich butów.

Rano obudziła mnie subtelna zmiana ruchu statku, która znaczyła, że zwalniamy. Korytarz przed naszą kajutą był jeszcze pograżony w mroku, ale wyszłam na pokład, narzuciwszy na ramiona pelerynę. Gdy stanęłam przy relingu, nadszedł świt. Mimo to wydawało mi się, że jesteśmy w chmurach. Czyżby morze w pobliżu Anglii, tak jak góry w moim kraju, znajdowało się tak wysoko, że dotykało nieba? Wokół snuła się zimna, gęsta mgła, zasłaniając widoczność w promieniu kilku metrów. Nawet drzwi, którymi weszłam na pokład, ledwie w niej majaczyły. Przytrzymałam się mokrego relingu, a gdy mgła się podniosła, zorientowałam się, że płyniemy pomiędzy płaskimi bagnami szeroką, leniwie toczącą swe wody rzeką. Pełno było na niej różnego rodzaju łodzi i statków. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że jeszcze się z żadnym nie zderzyliśmy. Jednakże mijały

się i wyprzedzały z widoczną łatwością. My poruszaliśmy się wolno, lecz miarowo, a po pewnym czasie zaczęliśmy sunąć szerokim zakolem w stronę odległego lasu masztów, na których powiewały płaty tkaniny ozdobione różnymi barwami i symbolami. Za statkami, które stały w porcie, z wysokich kominów buchał w szare niebo czarny dym, a wilgotny wiatr rozpraszał go na wszystkie strony. Nie było tu, w przeciwieństwie do Bombaju, połyskujących w ostrym słońcu białych budynków ani bujnej zieleni czy też złocistych kopuł i misternych strzelistych zwieńczeń meczetów. Dostrzegałam tylko rzędy szerniałych kamiennych budynków, czułam odór śmieci, który roznosił wiatr, i widziałam pochmurne niebo.

- Londyn - szepnęłam.

Gdy podpłynęliśmy bliżej, zobaczyłam w pobliżu brzegu maleńkie postacie. Po pewnym czasie zorientowałam się, że brodzą w wodzie, w tym również małe dzieci. Penetrowały mulisty brzeg, szukając czegoś, co zmyła skądś szara, pluskająca woda.

W miarę jak zbliżaliśmy się do portu, coraz lepiej było słyszeć nawoływania ludzi i szczekanie kołyszących się łańcuchów, na których transportowano ze statków skrzynie, składając je w porcie. Spokój, jaki czułam na morzu, ulotnił się jak dym z komina. Nadal wierzyłam, że David do mnie przyjdzie. Na moim łóżku leżała jego kurtka. Musi przyjść, skoro mnie całował i obejmował w taki sposób. W końcu statek się zatrzymał. Usłyszałam okrzyki, gdy marynarze spuścili na dno kotwice i rozległ się silny plusk wody. David nadal nie pojawiał się na pokładzie, więc zeszłam do kajuty. Starannie złożyłam kurtkę i spakowałam ją do mojej torby, nie mogąc uwierzyć, że już nie zobaczę młodego Anglika.

Na dolnym pokładzie pożegnałam się z Blossom. Przyciągnęła skórzaną walizę ze strojami do miejsca, w którym czekałam, jak kazał mi pan Bull, z torbą przewieszoną przez piersi.

- Cześć, cześć! - powtarzała, a stojące w pobliżu dwie Angielki słuchały tego wyraźnie rozbawione.

Teraz była ubrana jak one, w piękną suknię z bladoniebieskiej wełny z kołnierzykiem ze śnieżnobiałej koronki i w pelerynę bordo, wykończoną miękkim czarnym futrem, a na głowie miała kapelusz ozdobiony błyszczącymi piórami. Nie pomalowała już sobie oczu kohlem, choć nałożyła na twarz grubą warstwę białej mikstury.

- Do widzenia! Będę o tobie myślała! - powiedziałam na pożegnanie.

- A ja o tobie! - odpowiedziała i uśmiechnęła się do mnie, lecz mimo to dostrzegłam w jej pogodnym spojrzeniu jakąś niepewność. Przy całej swej śmiałości niepokoiła się tak samo jak ja. Objęłam ją, a ona odwzajemniła mój uścisk, uświadamiając mi, jak samotna będę się czuć w tym nowym kraju bez jej czy czyjejkolwiek przyjaźni. Ale zaraz się odsunęła, wyprostowała ramiona, dotknęła drżącą dłonią kapelusza i powiedziała: - Pamiętaj, Daryo, że nigdy nie dostaniesz tego, o co nie poprosisz. Z pewnością wiesz, że Anglicy różnią się od mężczyzn, których dotychczas znałyśmy, i musisz wykorzystać tę wiedzę dla swojego dobra. Nauczyła mnie tego matka. - Gdy się do mnie uśmiechała, drżały jej usta. Drżał również jej oddech, kiedy głęboko wciągała powietrze do płuc. Gdy uściśnęła mnie ponownie, trzymając przez długą chwilę w objęciach, po raz ostatni poczułam zapach jej wody różanej i dotyk skóry pomalowanej kredową miksturą.

Odprowadzałam ją wzrokiem, gdy podążała do starego, bardzo otyłego mężczyzny o czerwonej, plamistej twarzy. Strój sprawiał, że szła tak samo sztywno i nienaturalnie jak każda memsahib. Wzięła mężczyznę pod rękę, ze śmiechem patrząc mu w oczy, i ruszyli przez długi drewniany pomost prowadzący ze statku do portu. Ze względu na wiek i wagę mężczyzna szedł bardzo wolno, podpierając się grubą rzeźbioną laską o złotej gałce. W pewnym momencie Blossom odwróciła się i pomachała mi. Miała na dłoniach rękawiczki. Ja też jej pomachałam. Oby rzeczywiście stała się prawdziwą angielską damą, za jaką się uważała.

Gromada mężczyzn ładowała na pokładach worki na wózki; wieźli je szerokim pomostem i zrzucali tam, gdzie stał na kotwicy nasz statek. Czekałam tam, gdzie kazał mi pan Bull. W nos uderzał tu silny odór odpadków i zgnilizny, a na wszystkim osiadały drobiny sadzy z dymu unoszącego się z kominów. Oprócz dorosłych mężczyzn w porcie pracowali także młodzi chłopcy. Ciągnęli kosze wyładowane brudzącymi czarnymi kamieniami. Niemal tak samo czarne były ich twarze i ręce, a przez to białka oczu wydawały się jeszcze bielsze i budziły lęk. W innych miejscach spostrzegłam małe dziewczynki, które trzymały w wyciągniętych dłoniach bukietki zwieńczonych kwiatów lub małe pudełeczka w nadziei, że je sprzedadzą.

Zasmucił mnie widok tych dzieci. Wprawdzie nie żebrały, jak ich rówieśnicy w porcie w Bombaju, ale przykro było patrzeć, jak pracują, niewiele starsze od Nasreen i Yusufa, niektóre samotnie, w takim brudnym, zimnym miejscu.

Gdy przyglądałam się tym dzieciom, zastanawiając się, co mogą teraz robić w bezpiecznej Susmar Chord moja siostra i brat, podszedł do mnie wysoki szczupły mężczyzna w ciemnej kurtce i kapeluszu, spod którego wystawały przetłuszczone, długie, siwe włosy. Zwrócił się do mnie pytającym tonem, wymieniając moje imię i nazwisko pana Bulla. Gdy potaknęłam, skinął na mnie dłonią, więc podążyłam za nim, Ale szedł bardzo szybko. Kiedy ruszyłam pomostem do portu, nagle nogi odmówiły mi posłuszeństwa, jakby zapomniały, jak chodzi się po ziemi. Ledwie mogłam za tym mężczyzną nadążyć i bałam się, że tłum nas rozdzieli. Potykałam się i zataczałam, omal nie wpadając na mijających mnie ludzi.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie piętrzyły się worki. - Proszę tu poczekać - powiedział. Skinęłam głową i przystanęłam, a on poszedł dalej. Stałam niepewnie, zasłoniwszy twarz hidżabem, a ludzie przepychali się obok mnie. Niektórzy się gapili, inni tylko rzucali w moim kierunku dyskretne spojrzenia. Przeszukiwałam wzrokiem tłum w nadziei, że zobaczę Davida, zanim przyjdzie po mnie pan Bull. Czasami tak drżały mi nogi, że opierałam się ręką o stos worków. Zewsząd do moich uszu docierały słowa wypowiedane w językach, których nigdy dotąd nie słyszałam, a grupa marynarzy o włosach koloru zboża śpiewała hałaśliwą piosenkę. Poklepywali się po ramionach i uśmiechali od ucha do ucha. Teraz zorientowałam się, że smród pochodzi częściowo ze stojących obok ogromnych otwartych skrzyń ze skórami zwierząt i ich rogami. Do moich nozdrzy docierał też słaby zapach nieznanymi przypraw i znajomy smoły z lin okrętowych. Wokół rozlegały się nawoływania ludzi, miarowy stukot młotków, pobrząkiwanie łańcuchów i czasem rzenie koni. Cofnęłam się, widząc, że w moją stronę, dudniąc głucho, toczy się po kamieniach pusta beczka.

Gdy znowu się rozejrzałam, zobaczyłam, że zmierza do mnie David. Miałam ochotę podbiec do niego, ale gdy próbowałam ruszyć z miejsca, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Gdy David znalazł się przy mnie, zatoczyłam się na niego. A może próbowałam rzucić mu się w ramiona? Sama nie wiem. Pamiętam tylko, że poczułam na piersiach

twardość jego szerokiego torsu, a na nogach sprężystość ud. Odruchowo chwycił mnie za ramiona, żebym się nie przewróciła. Nasze twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Nie pragnęłam niczego więcej, jak tylko dotknąć ustami jego warg, ale oczywiście nie zrobiłam tego, bo nie mogłam. Co ja sobie wyobrażałam? Obok zatrzymała się jakaś kobieta. Gdy tylko zdjął dłonie z moich ramion, odsunęłam się.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Skinęłam głową, zakłopotana reakcją swego ciała i badawczym spojrzeniem kobiety.

- Moje nogi... Nie mogę iść... ze statku - wyjąkałam.

- O tak. Zawsze tak się dzieje. Będziesz potrzebowała kilku dni, żeby odzyskać w nich siłę - powiedział po persku, po czym dodał po angielsku: - To moja matka, pani Ingram. - Podprowadził ją bliżej i przedstawił mnie: - Mamo, to jest Darya. - Dalej zaczął mówić po angielsku tak szybko, że nic nie rozumiałam, a ona potakiwała.

- Miss Daryo, miło mi panią poznać - powiedziała z uśmiechem.

- Miło mi panią poznać - powtórzyłam za nią, spoglądając na jej owalną twarz o jasnej cerze, złotobrazowe oczy i wyblakłe złociste włosy zaczesane do tyłu i wysuwające się spod prostego aksamitnego kapelusza w śliwkowym kolorze. Miała serdeczny, szczery uśmiech, ten sam piękny uśmiech, który tak mnie oczarował u jej syna. Na zdjęciu była poważna, więc spostrzegłam to dopiero teraz.

Wyjęłam z torby kurtkę i podałam ją Davidowi. Przyjął ją w milczeniu, a jego matka przyglądała się temu zaintrygowana.

- Miss Daryo, czy pochodzi pani z Bombaju? - spytała wolno, żebym ją zrozumiała.

Spojrzałam najpierw na Davida, a następnie na nią i pokręciłam głową.

- Afganistan. Jestem... mój kraj Afganistan - odpowiedziałam.

Pani Ingram wzdrygnęła się i utkwiała wzrok w synu. Na twarzy Davida malowało się napięcie. Nachmurzony spoglądał na kurtkę, jakby jej nigdy wcześniej nie widział.

Pani Ingram znów coś do mnie powiedziała, ale zbyt szybko, żebym mogła zrozumieć.

- Przepraszam - powiedziałam, kręcąc głową. - Ja... - Spojrzałam na Davida, żałując, że nie przetłumaczył mi tego na perski.

Ale już mówił coś do matki i usłyszałam nazwisko Bull. Pani Ingram głośno zaczerpnęła tchu. Zapytała o coś Davida podniesionym głosem tak szybko, że w moich uszach jej słowa zlały się ze sobą.

- Miss Daryo - zaczęła i wzięła mnie za rękę, przyglądając mi się w skupieniu, jakby chciała, żebym coś zrozumiała, choć nic nie mówiła.

Czułam siłę jej dłoni. Pamiętałam, co David mi o niej powiedział. Patrząc w jej twarz, rozumiałam, że to ona nauczyła go współczucia dla ludzi, że nigdy nikogo nie skrzywdziła słowem ani czynem, a mimo to wcale nie była słaba czy potulna.

- Idziemy. Pan Bull czeka w powozie - usłyszałam głos ubranego na czarno mężczyzny o tłustych włosach, który nagle wyrósł tuż przy mnie.

Spojrzałam na Davida. Chciałam, żeby powiedział: Daryo, nie idź do pana Bulla, zostań ze mną.

Gdy mężczyzna pociągnął mnie za rękę, David wypuścił z rąk kurtkę, która upadła na błotnistą ziemię, i sięgnął do kieszeni, jakby czegoś szukał. Po chwili powiedział coś szybko, niemal natarczywie do matki, która skinęła głową i wyjęła ze swojej jedwabnej torebki mały sztywny kawałek papieru kremowej barwy. Podała go synowi.

- Chwileczkę - powiedział David do mężczyzny, a następnie do mnie po persku: - Weź to. - Włożył mi kremowy papier do ręki.

Spojrzałam na swoją dłoń. Na papierze drgały nieznajome słowa. Gdy utkwiałam w nich wzrok, wydawało mi się, że raz są większe, a raz mniejsze.

- Jeśli... jeśli wręczysz to dorożkarzowi na dowolnej ulicy, przywiezie cię do mnie - wyjaśnił mi David.

- Dorożkarzowi? - spytałam, czując w głowie zamęt z powodu tego kartonika i słów, które usłyszałam. Spojrzałam na panią Ingram. Pod wpływem wyrazu jej twarzy i dziwnych słów Davida zaczął narastać we mnie strach. - David? - Wyszarpnęłam rękę, bo mężczyzna w czarnym ubraniu wciąż ją trzymał, podeszłam do pana Ingrama bliżej i spytałam: - Czy przyjdiesz do pana Bulla? Przyjdiesz mnie odwiedzić?

Skinął głową.

- Tak, tak - zapewnił. - Nie zgub tego. - Wskazał papier, który teraz trzymałam w dwóch palcach. - Tam jest napisane, jak możesz mnie znaleźć, jeśli będziesz... jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Chciałam dotknąć Davida Ingrama, powiedzieć, że teraz go potrzebuję. Pragnęłam, aby mnie objął i oświadczył, że to pomyłka, że nie powinnam odchodzić z tym mężczyzną, lecz zostać z nim. Ale niczego takiego nie zrobił. Oczywiście, że nie. Co ja sobie wyobrażałam? Miał ojca Afgańczyka, ale faktycznie był angielskim dżentelmenem o nieskazitelnym manierach i wyznawał wyższą moralność oraz wyższe ideały niż pan Bull. Nigdy nie mógłby być z dzikuską pochodzącą z jakiegoś plemienia, stanowiącą własność męża i nieznającą świata Davida Ingrama. A mimo to w moim towarzystwie ten Anglik śmiał się swobodnie i radośnie, z przyjemnością słuchał moich opowieści i rozmawiał ze mną o swoim i moim życiu. Mogłam sobie wyobrażać różne rzeczy, ale nie wyraz jego twarzy i dreszcz, jaki go przeszył, gdy dotknęłam blizny pod jego okiem, nie napór jego ciała i siłę obejmujących mnie rąk, nie zaborczość jego ust.

- Do widzenia, Daryo - powiedziała pani Ingram. Skinęłam głową i powiedziałam do widzenia, patrząc na Davida. Zaraz jednak się odwróciłam i ruszyłam za mężczyzną o tłustych włosach, chwiejąc się lekko na nogach, które odmawiały mi posłuszeństwa, jakby były cudze.

Część trzecia

W kraju pod pochmurnym niebem

Rozdział XXXVIII

Bagażę pana Bulla były przywiązane grubym sznurem z tyłu bardzo wymyślnego pudła - powozu - na dużych kołach. Z przodu na wysokim siedzeniu, sięgającym dachu, siedział mężczyzna w wysokim czarnym kapeluszu, trzymając w dłoniach cugle dwóch koni. Ten o tłustych włosach, który mnie przyprowadził, otworzył mi drzwi. Stałam na stopniu i weszłam do środka, a on zatrzaskał za mną drzwi. Usiadłam naprzeciwko pana Bulla na ławce pokrytej materiałem. Woźnica krzyknął na konie i pojazd ruszył tak gwałtownie, że poleciałam do przodu. Aby nie upaść, oparłam dłońe na udach pana Bulla i natychmiast oderwałam je jak oparzona. Odsunęłam się na swoim siedzeniu do tyłu, odwróciłam się do okna i próbowałam wyłowić z tłumy Davida. Niestety, okazało się to niemożliwe w takim tłumie ludzi i pojazdów. Poczułam w głowie zamęt. Koła toczyły się po kamienistej drodze, powóz kołysał się i trząsł.

- Straszne miejsce, Wapping Docks - powiedział pan Bull. - Brud i nędza, jak zapewne we wszystkich portach świata. A mimo to dobrze być w kraju. - Wyrzwał przez otwarte okno i uśmiechnął się czy raczej skrzywił usta. - Imperium brytyjskie ani na moment nie przestaje się powiększać. Należą już do niego Indie Zachodnie, Kanada, wielkie obszary Afryki, Australii, Nowej Zelandii i oczywiście Indii.

Czy sądził, że znam te miejsca, nie licząc Indii? Czy starał się zrobić na mnie wrażenie, podczas gdy ja potrafiłam myśleć tylko o Davidzie, o tym, że został w porcie, a mnie stamtąd zabrano?

- Tak - ciągnął pan Bull, spoglądając na mnie, jakby chciał, żebym przytaknęła, wyraziła zdumienie i okazała respekt. - I oczywiście mamy wpływ na to, co dzieje się na tyłu morzach. To jest wielkie imperium. - Rozparł się na siedzeniu, zadowolony z siebie, jakby to on w jakiś sposób przysporzył krajowi wielkości.

Odwróciłam się od niego i zaczęłam wyglądać przez okno. Powóz jechał wolno przez zatłoczony port i zobaczyłam jeszcze więcej pracujących tam dzieci. Niektóre ładowały na wózki towary, a inne usiłowały sprzedać jakieś drobiazgi. Stało tam wiele magazynów wypełnionych skrzyniami, pudłami, koszami i pakami. Potem znaleźliśmy się wśród niskich budynków. W ich frontowych oknach były wystawione rzeczy znane mi ze statku: ubrania marynarzy, liny, puszki z wizerunkami mięsa i suchary, które jadłam codziennie, słoje

z mosiężnymi guzikami oraz inne wyroby o nieznanym mi nazwach. Następnie minęliśmy ponure domki o oknach zakrytych brązowym papierem. Wszędzie tam kręciły się dzieci, brudne i w łachmanach, rozkrzyczane albo spoglądające obojętnie na piękne powozy. Niektóre trzymały na rękach niemowlęta.

Odwróciłam się od okna, bo zaczęło mi się kręcić w głowie od tylu widoków, i oparłam się na wyściełanym siedzeniu. Zamknęłam oczy, ale pod moimi powiekami wciąż przesuwały się jak w kalejdoskopie obrazy ludzi, pustych twarzątek dzieci, budynków i koni ciągnących wozy i powozy, jak ten, w którym jechałam z panem Bullem. Niczego w tym mieście nie rozpoznawałam i niczego wcześniej nie znałam, z wyjątkiem wyrobów mających związek ze statkiem. Oddychałam głęboko, żeby nie wpaść w panikę.

- Daryo, źle się czujesz z powodu ruchu powozu? - spytał pan Bull.

- Nie - odparłam, otwierając oczy. - Ale nie mogę na to wszystko patrzeć. - Powiedziawszy to, zastanowiłam się nad swoimi słowami, bo zawsze lubiłam oglądać nowe rzeczy. Teraz też mogłam to robić, ale nie chciałam.

- Ależ powinnaś. Jest tu tyle do zobaczenia - zachęcił mnie, znowu pochylając się do przodu i wyglądając przez okno; po chwili uśmiechnął się szeroko, drapieźnie. Gdy schudł, zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły. - Och, ten Londyn, w całej swojej wspaniałości i chaosie, w całej swojej potędze! Zniewala mężczyzn wielkich i potężnych! - powiedział, patrząc na mnie. - Daryo, czy zdajesz sobie sprawę, że jestem jednym z takich mężczyzn? Wielkich i potężnych? - Obliznął wargi.

Pomyślałam o niepokoju, jak odmalował się na twarzy pana Ingrama, gdy powiedziałam mu, że jestem z panem Bullem, i odwróciłam głowę.

- A zatem? Czy nie widzisz mnie w ten sposób? - domagał się odpowiedzi.

- Widzę - potwierdziłam, nie patrząc na niego. Wiedziałam, że na to czekał, a poza tym nie mogłam mu się przeciwstawić w pierwszych chwilach pobytu wraz z nim w Londynie.

Jechaliśmy długo, zatrzymując się i znowu ruszając, a docierając do powozu krzyki i nawoływania, turkot kół i stukot kopyt były niekiedy tak głośne, że miałam ochotę zatkać uszy. Po pewnym czasie

hałas osłabił i ogarnęła mnie senność. Skłaniając chwiejącą się głowę na oparcie, myślałam o tym, co czułam, gdy David przytulał policzek do mojej twarzy i muskał silnym torsem moje piersi.

Otworzyłam oczy, bo powóz nagle się zatrzymał. Mężczyzna o tłustych włosach pomógł wysiąść panu Bullowi. Teraz dopiero zorientowałam się, że jechał z tyłu. Nagle powóz lekko się zakołysał i usłyszałam głuchoe stuknięcia zrzucanych na ziemię bagaży pana Bulla. Mężczyzna o tłustych włosach otworzył drzwi po mojej stronie i wysiadłam.

Udałam się za panem Bullem po schodach do błyszczących czarnych drzwi domu, a za nami mężczyzna z bagażami. Przez tkaninę torby wymacałam kawałek twardego papieru, który dał mi David. Gdy podeszliśmy do drzwi, otworzyły się, jakby ktoś za nimi czekał. Weszłam za panem Bullem do dużego pomieszczenia, w którym stał niemłody Hindus w angielskim stroju. Widok brązowej twarzy w londyńskim domu zaskoczył mnie, a zarazem dodał mi otuchy. Mężczyzna miał mnóstwo zmarszczek, zapadnięte oczy i rzadkie białe włosy, ale postawę pełną godności i łagodne spojrzenie. Zerknął na mnie i ukłonił się nisko panu Bullowi, przyciskając dłonie do piersi.

Spodziewałam się, że pan Bull przemówi do niego w hindi, ale odezwał się po angielsku:

- Dzień dobry, Govind. Nareszcie jestem... jesteśmy w domu. Do pomieszczenia wszedł mężczyzna o tłustych włosach i postawił w kącie bagaże pana Bulla. Govind dał mu jakąś monetę. Mężczyzna dotknął kapelusza i wyszedł.

Hindus znowu się ukłonił i wziął od pana Bulla kapelusz oraz kurtkę. Następnie wyciągnął rękę do mnie, ale nie patrzył w moją stronę. Podałam mu pelerynę, którą wraz z kurtką pana Bulla przewiesił przez rękę. Drugą rękę znów wyciągnął w moją stronę, jak się domyśliłam, po torbę.

- Nie. Zatrzymam. Proszę - powiedziałam po angielsku. Zniknął gdzieś z naszymi wierzchnimi okryciami, ale zaraz

wrócił. W tym czasie pan Bull zdjął szare miękkie rękawiczki. Kuśtykając, jakby miał sztywną jedną nogę, służący zaprowadził nas po szerokich, wysokich schodach do dużego pokoju. Podążając za panem Bullem, kurczowo ściskałam pasek torby, którą przewiesiłam, jak wcześniej, przez pierś.

Gdy weszliśmy do środka, odetchnęłam z ulgą. Byliśmy w Anglii, a mimo to poczułam się teraz tak, jakbym znajdowała się w miejscu w jakiś sposób mi znanym. W wysokich oknach wisiały zasłony z grubego czerwonego aksamitu. Były zasunięte. Stałam w przyciemnionym wnętrzu i oddychałam głęboko, zamknawszy oczy. Nagle w wyobraźni znalazłam się wraz z babcią na dachu naszego domu o zmierzchu, następnie przebiegłam bosą koło meczetu w naszej wiosce, gdzie unosił się słodki zapach kadzidła, a potem leżałam w swoim łóżku, które stało na grubych dywanach, zarzuconych haftowanymi poduszkami. Bez reszty pochłoneły mnie zapachy, które po długim czasie powróciły do mnie z taką intensywnością i tak nieoczekiwanie, że z piersi wyrwał mi się ni to szloch, ni to głośnie westchnienie. Otworzyłam oczy.

Pan Bull niczego nie zauważył, bo właśnie Govind pomógł mi usadowić się w głębokim czerwonym fotelu. Opadłszy na miękkie siedzenie, westchnął błogo.

- To zadziwiające, jak działa na człowieka powrót do własnego domu i na stały ład. Od razu czuję się lepiej. A więc w końcu dotarliśmy do Londynu, moja Daryo jan - odezwał się.

Zrobiło mi się przykro, że tak od razu użył tego pieszczotliwego określenia z języka dari. Zrobił szeroki gest dłonią.

- Co sądzisz o moim domu? - spytał.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę, jakby coś boleśnie uwierało mnie w gardło, i zamrugałam oczami, powstrzymując łzy.

- Jest... jak w Indiach, zgodnie z tym, co pan powiedział - odparłam, do bólu zaciskając dłonie na pasku torby.

Pan Bull uniósł brwi.

- Oczywiście jako miejski dom nie może się on równać z niektórymi rezydencjami, na przykład pani Ingram. Ale całkiem odpowiada mojemu stylowi życia - powiedział.

Odsunęłam zasłonę w jednym z okien. Przez wysoką szybę wpadło do wnętrza słońce. Było późne popołudnie. Ale na zewnątrz widziałam tylko rząd wysokich kamiennych budynków o wielu oknach. Czulałam się jak uwięziona w ceglanych murach. Nie miałam tu poczucia kierunku i miejsca, w którym słońce wschodzi i zachodzi, nie wiedziałam, co gdzie się znajduje poza tymi domami i tym pokojem. A ja chciałam, ba, potrzebowałam tego, żeby mój wzrok spoczywał na ziemi, na morzu i na niebie. Zrobiło mi się duszno,

jakby w tym wnętrzu brakowało powietrza. Położyłam dłonie na szybie i szukałam sposobu, żeby otworzyć okno. Pchnęłam ją, ale nawet nie drgnęła. Byłam w coraz większej panice.

Nagle zewsząd do moich uszu zaczęło dochodzić wielogłose dzwonienie o różnych tonach. Błyskawicznie odwróciłam się do pana Bulla.

- Wkrótce się przyzwyczaisz do dźwięku urządzeń przypominających, że minęła kolejna godzina. Kolekcjonuję zegary - wyjaśnił.

Gdy bicie zegarów ucichło, w pokoju rozległ się cichy, jakby gdaczący głos. Spojrzałam w stronę mrocznego kąta, z którego dochodził, i zobaczyłam papugę siedzącą na drewnianym drążku w ogromnej mosiężnej klatce, która stała na podłodze i była wyższa ode mnie.

- Hello! Hello! - zaskrzeczała po angielsku, następnie coś w nieznanym mi języku i w końcu po persku: - Salami Salami

- Salami - powtórzyłam za nią, ostrożnie podchodząc do klatki. Uważałam, że to, co robię, jest głupie, ale mimo to spytałam ptaka: - Cze hal darid? Jak się masz?

- Chub hastom, tashakkor! Doskonale, dziękuję! - zaświstała papuga. Miała jaskrawe czerwono - zielone upierzenie i bystre czarne oczy.

Zastanawiałam się, jak długo już żyje w klatce w tym pokoju. Właśnie zeszła z grędy, przekrzywiła łebek i podziwiała swoje odbicie w małym mosiężnym lusterku, które wisiało z boku klatki. W pokoju zapanowała nieznośna cisza, która aż dźwięczała w uszach. Usłyszałam ciężki, powolny oddech pana Bulla i szybszy, głośniejszy Govinda. Odwróciłam się do nich, nagle zdenerwowana, i zasłoniłam twarz rogiem hidżabu.

- Daryo, nie ma powodu, żebyś w tym domu zakrywała twarz. Uważaj go za swoje bezpieczne schronienie, choć dopiero zaczynasz w nim nowe życie. Wszystko pójdzie lepiej, jeśli będziesz czuła się ze mną swobodnie i zachowywała, jak oczekuję - pouczył mnie pan Bull.

Zdjęłam z twarzy chustę.

- Z pewnością jesteś bardzo zmęczona długą podróżą i przytłoczona nową sytuacją. Zaznajomienie się z tym obcym krajem musi ci zająć trochę czasu. Dobrze znam uczucie, że jest się

cudzoziemcem, przebywa w nieznanym kraju. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc się tu zadomowić - ciągnął.

Jego słowa brzmiały w moich uszach szczerze, ale wychudzona twarz niemal mnie przerażała.

- Poza tym rozumiem, że mogło ci być trudno żegnać się po raz drugi z Davidem Ingramem - dodał po chwili.

Zamarłam w bezruchu. Czyżby widział mnie w porcie z Davidem i jego matką? Czy wie o tym, że na statku spędzałam z panem Ingramem dużo czasu?

- On... on jest... - zaczęłam, ale nie mogłam wymyślić niczego, co chciałabym powiedzieć o nim panu Bullowi.

- Jak ci powiedziałem w Bombaju, to dziwny młody człowiek - zaczął, nie czekając, aż dokończę. - Przyjaźniłem się z jego ojcem w Kalkucie i znałem jego matkę. Po śmierci męża pani Ingram wróciła do Londynu i straciłem z nią kontakt, ale nawiązałem go tu ponownie przed kilku laty. Uważa się za kogoś lepszego ode mnie, choć oczywiście stara się to ukryć. Śmiechu warte. - Zmrużył oczy.

- Śmiechu warte? - zdziwiłam się.

- Ona nie zasługuje na styl życia, na jaki ją stać. Jej mąż Somers Ingram zostawił jej dość pieniędzy, żeby nie musiała o nic się martwić. To ja powinienem być tak sytuowany, a nie kobieta taka jak ona.

Byłam zdenerwowana, że mówi o niej tak drwiąco.

- Nie wyjawiał ci żadnego sekretu dotyczącego jego osoby? Młody pan Ingram... - Zatarł ręce, jakby mu zmarzły, choć w pokoju było za ciepło, bo w otworze w ceglany murku obok jego fotela buzował ogień.

Pokręciłam głową, nie chcąc rozmawiać o Davidzie i jego matce i nic więcej o nich usłyszeć.

- Nie? Żadnego cudownego, głęboko skrywanego i mrocznego sekretu? - dopytywał się.

Ponownie pokręciłam głową.

Dotknął ręką czoła.

- Muszę się położyć - oświadczył. Obserwował mnie przez chwilę, pocierając kolistym ruchem skroń, wreszcie spytał: - Nie cieszysz się, że tu przyjechałaś? Mam nadzieję, że jesteś mi wdzięczna za to, co dla ciebie zrobiłem.

W rogu pokoju rozległo się jękliwe nawoływanie papugi, jakby czuła się samotna.

Zrobiłam teraz to, co powinnam, zgodnie z rolą, jaka mi przypadała w tym domu. Uklękłam u stóp pana Bulla i spuściłam głowę. Po chwili wstałam i spojrzałam na mego. Na jego twarzy malowało się zadowolenie i jeszcze jakieś inne, raczej małosłowne uczucie, które mnie zaniepokoiło.

- Govind zaprowadzi cię do twojego pokoju, który jest śliczny. Z pewnością ci się spodoba. Służba poda ci owoce i ser - powiedział swym biegłym perskim i znowu zatarł ręce. Czyżby tak się niecierpliwił? - Poznamy się lepiej jutro, gdy odpoczniemy. - Wolno wstał z fotela, podszedł do papugi i dodał: - Nic nie powinno dziś zakłócać mi snu, żebym mógł odzyskać... wigor.

Zrozumiałam, co ma na myśli. Odwróciłam się, by ukryć ulgę, że nie muszę od pierwszej chwili znosić jego zalotów.

Ptak zatrzepotał skrzydłami i zagwizdał podekscytowany, ale pan Bull osłonił klatkę dużym płatem czarnej tkaniny. Papuga natychmiast umilkła, a on podszedł do mnie, wziął mnie za rękę i pochylił się nad nią. Włosy na czubku głowy miał mocno przerzedzone. Zobaczyłam przez nie zaróżowioną skórę i w tej chwili poczułam na dłoni lekko wilgotne i zbyt miękkie usta. Z trudem powstrzymałam chęć cofnięcia ręki.

- W ostatnich tygodniach moja przypadłość coraz bardziej się cofa i do jutra... - Uśmiechnął się. - Z pewnością nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby poczekać jeszcze jedną noc.

Przełknęłam ślinę i poczułam w ustach przykry smak.

- Proszę, idź teraz z Govindem do twojego pokoju. Śpij dobrze - powiedział, puszcżając moją dłoń.

Służący znów wyciągnął rękę po moją torbę, którą tym razem mu oddałam. Przewiesił ją przez ramię i udaliśmy się na drugie piętro. Szedł po schodach wolno, wlokąc za sobą sztywną nogę. Coraz bardziej dyszał i ciężko opierał się o poręcz. Najwyraźniej coś go bolało. Pomyślałam o babci w ostatnich dniach jej życia.

Gdy znaleźliśmy się w szerokim holu, otworzy! jeden z pokoi i wręczył mi torbę. Podziękowałam mu po persku, a następnie po angielsku, lecz nawet nie drgnął ani nie mrugnął okiem.

W mojej sypialni płonął ogień i paliły się lampy. Tu również okna były wysokie, ale wyposażone w cienkie żaluzje z listewek,

pomalowane na biało. Gdy Govind je zasunął, rozejrzałam się po wnętrzu. Stało tam bardzo wysokie łóżko nakryte narzutą. Miało zasłone uszytą z indyjskiej bawełny w jasnych odcieniach zielonego, niebieskiego i żółtego. Przypomniała mi Blossom, gdy ją zobaczyłam po raz pierwszy. Na podłodze leżał gruby ciemnozielony dywan w niebieskawym deseń. Na drewnianym obramowaniu otworu w ceglany murku na ogień stały figurki indyjskich bożków.

Govin uklonił mi się, tak jak wcześniej panu Bullowi, krzyżując ręce na piersiach, i wyszedł. Zaczęłam krążyć po pokoju. Dotknęłam gładkiego połyskliwego drewna mebli, zajrzałam do dzbana z wodą i zwróciłam uwagę na cienką serwetkę, którą było przykryte jedzenie na talerzu. Pod łóżkiem odkryłam misę z porcelany, malowaną w kwiaty, ale ponieważ stała właśnie tam, zrozumiałam, że jest to nocnik, taki sam jak ten, który służył dzieciom z bungalowu w Bombaju. Był zbyt piękny jak na naczynie spełniające taką poślednią funkcję.

Zgasila lampy i zdjęłam znieawidzone angielskie buty. Gdy wyjmowałam z torby strój do spania, z jego fałd wypadł ta'wiz, który uniosłam do nosa w nadziei, że zachował zapach Davida. Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki Govinda powłóczącego nogą. Po chwili usłyszałam je nad swoją głową. Znowu pomyślałam o babci. Trzymając w dłoni amulet, podeszłam do okna, żeby je otworzyć. Rozsunęłam żaluzje i popchnęłam szybę, ale ani drgnęła. Podniosłam głowę, by zobaczyć księżyc. Niestety, widoczność ograniczały dachy i kominy stojących naprzeciwko domów. Nie tylko nie widziałam księżyca, ale również całego nieba. Poczułam tę samą panikę co wcześniej, kiedy stałam przy oknie pokoju z papugą. Chciałam powąchać londyńskie powietrze i poczuć je na skórze. Jak londyńczycy mogą żyć w zamkniętych wnętrzach? Czy w domu Davida jest tak samo? Wydawało mi się to niemożliwe. Pan Ingram tak samo jak ja potrzebował do tego powietrza i widoku nieba. Zapadł już wieczór, a niebo nie było czarne, lecz miało jakiś dziwny, nienaturalny blask. Nie spostrzegłam żadnych gwiazd.

Przewracałam się w łóżku z boku na bok, bo nie byłam przyzwyczajona do leżenia tak wysoko nad podłogą, a poza tym ciągle dotykałam nogą lub ręką krawędzi. Nie mogąc zasnąć w tym nowym miejscu, słuchałam, jak zegary wybijają kolejne godziny. Ale przynajmniej nie musiałam się martwić, że przyjdzie do mnie dziś pan

Bull. Również z ulicy docierały tu różne dźwięki: dudnienie kół powozów, stukot końskich kopyt po kamiennym bruku, stłumione dźwięki rozmów i odgłosy stóp pospiesznie przemierzających ulice. Zastanawiałam się, jak ludzie nauczyli się spać w takim hałasie i na takich wysokich i miękkich łóżkach. Czułam tępy ból głowy.

Pomyślałam o wszystkich miejscach, w których spałam od czasu, gdy wyjechałam z Susmar Chord - o namiotach i jurtach w obozie Ghilzai, a po ucieczce stamtąd o lesie i kamienistej ziemi, o posłaniu w domu Fareed w Dżalalabadzie, o posłaniu rozkładanym na noc przy ognisku lub nad rzeką, gdy wyjechałam z Afganistanu i podróżowałam przez północne Indie, o godown w Multan, gdzie chora rzucałam się na łóżku, o przyjemnie kołyszącej się barce w drodze do Sukkur, o szalasy z mat uplecionych z liści palm daktylowych w drodze do Karaczi, o dusznej i zatłoczonej tamtejszej noclegowni dla tubylców na wysokim piętrze wysokiego budynku, gdzie każdy czuł się samotnie, o buczącym parowcu płynącym przez Morze Arabskie do Bombaju, o godown w tym mieście i o sznurowym łóżku na kliprze w drodze do Anglii, kiedy słuchałam łopotania żagli, oddalając się coraz bardziej od domu. A teraz leżałam w angielskim łóżku, zbyt dla mnie miękkim i wysokim jak stół.

Przyzwyczałam się już do zmiany miejsc, żywności i otoczenia. Szybko przystosowałam się do trybu życia Ghilzai i do podróży z Davidem, tak więc teraz też łatwo przywyknę do mieszkania w londyńskim domu. Z drugiej strony miałam świadomość, że żadne z tych miejsc, w których byłam od czasu opuszczenia mojej wioski, nie stało się moim prawdziwym domem. Z przykrym uczuciem zawodu rozplakałam się, ściskając w dłoni amulet Davida.

Ale czy nasz dom z gliny i słomy w Susmar Chord stał się kiedykolwiek prawdziwym domem dla Sulimy? Czy moja babcia czuła się jak w domu w seraju albo tam, gdzie mieszkała ze swoim ukochanym Anglikiem w Ankarze? I czy później była naprawdę u siebie, gdy znalazła się w naszej wiosce jako żona Tadżyka? Mężczyźni zabierali nas ze sobą do różnych miejsc. Udawałyśmy się tam w poszukiwaniu bezpieczeństwa i wolności, ale czy je zdobywałyśmy? Leżąc w łóżku w tym wielkim, ciemnym angielskim domu, w obcym kraju, myślałam o Sulimie, o sobie i o swojej babci. Czy któraś z nas osiągnęła swobodę, jakiej się spodziewała?

Usiadłam i przycisnęłam do piersi amulet, ocierając łzy indyjską bawełną. Próbowałam się uspokoić, oddychając głęboko. Przez na wpół rozsunięte żaluzje do pokoju sączyło się już światło poranka. Rzuciły one na podłogę cienie tworzące złowieszczy wzór kraty. W pokoju pachniało woskiem z dawno wypalonych świec, czułam ślad obecności tych, którzy mieszkali tu wcześniej. Co ja zrobiłam, godząc się przyjechać do Anglii? Co ja zrobiłam?

W końcu zasnęłam, wyczerpana płaczem. Śniła mi się babcia. Weszła po drabinie na dach naszego domu z jakąś niezwykłą łatwością, lekko i swobodnie. Spojrzała na mnie z góry i podała mi rękę. Sięgnęłam po nią, lecz ku swemu przerażeniu, zamiast własnej dłoni, zobaczyłam dłoń starej kobiety, pomarszczoną, pokrytą plamami i sękatą. Spojrzałam w górę i zobaczyłam spoglądającą na mnie własną twarz. Spadłam z dachu. Tyle zapamiętałam z tego snu.

Rozdział XXXIX

Obudziłam się na dywanie koło łóżka. Leżałam skulona na boku. Bolało mnie ramię i nogi miałam zeszywniałe z powodu leżenia w jednej pozycji. Obok poniewierała się poskręcana indyjska narzuta. Usłyszałam dobiegające z dołu, stłumione skrzeczenie papugi, jakby czuła się czymś bardzo rozczarowana. Wyobraziłam sobie, że klatka została odsłonięta i ptak wykonuje swój poranny rytuał. Oczy mnie piekły. Nie miałam pojęcia, która może być godzina. Gdy tak leżałam, zabiły zegary. Zaczęłam liczyć uderzenia. Było ich dziewięć, a więc obudziłam się przed dziewiątą. Szybko przebrałam się w sari, ale nie włożyłam butów ani nie zasłoniłam twarzy, zgodnie z życzeniem pana Bulla, i rozsunałam żaluzje. Niebo miało barwę metalu. Spojrzałam w dół i stwierdziłam, że nie mam już, tak jak w Karaczi, lęku wysokości. Widok, jaki zobaczyłam za oknem, był dziwny, ale niezbyt interesujący. Pomiedzy wysokimi ceglanyimi ogrodzeniami domów dostrzegłam tylko jedno bardzo wąskie przejście, a z mojego okna widziałam głównie okna innych domów, w większości jeszcze zasłonięte.

Do drzwi zapukał Govind i od razu wszedł do pokoju. Postawił na stole tacę ze śniadaniem, a zabrał tę przyniesioną wczoraj, z której nawet nie zdjęłam serwetki.

- Czy mówisz po persku? - spytałam go w tym języku z nadzieją, że tak, ale nie odpowiedział, więc dodałam po angielsku: - Mówisz mi po angielsku?

Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Zjadłam ugotowane na miękko jajko i kromkę bladego angielskiego chleba. Wlałam mleko do herbaty, znowu myśląc o Blossom, ale taka mieszanka mi nie smakowała. Ciekawe, co teraz robiła moja znajoma ze statku? Przynajmniej... Pomyślałam o tym, czego oczekiwał ode mnie pan Bull. Blossom nie musiała się już o to martwić. Była ze swoim dżentelmenem od jakiegoś czasu.

Zastanawiałam się, co może robić teraz David. Próbowałam go sobie wyobrazić w takim domu jak ten, ale nie potrafiłam. Potrafiłam myśleć tylko o takim panu Ingramie, którego poznałam w czasie naszej podróży przez Afganistan i północno - zachodnie Indie, o opalonym młodym mężczyźnie, który ocierał pot i kurz z twarzy, siedział przy dymiącym ognisku z długimi, nieuczesanymi włosami,

miał brudne paznokcie, rozrywał palcami mięso, własnoręcznie przyrządzone na ognisku, i uśmiechał się chętnie i naturalnie.

Po kilkunastu minutach Govind wrócił i skinął na mnie, żebym za nim poszła. Minęliśmy prawie pusty pokój przylegający do mojego, gdzie stało tylko wąskie łóżko, a następnie większy, od frontu, w którym spostrzegłam duże łóżko, indyjskie kufry, dywany i rzeźby, a na ścianie kły słonia. Na podłodze stała jedna z walizek pana Bulla, więc domyśliłam się, że to jego sypialnia. Zeszliśmy po schodach do pokoju z papugą. Zastony w oknach były tam częściowo odsunięte. Pokój stał się jaśniejszy również dlatego, że paliło się w nim dużo lamp, które wisiały na ścianach lub stały na stołach. Wydobywało się z nich ciche syczenie.

Pan Bull stał przy klatce z papugą. Miał dziś lepszą cerę i wyglądał na wypoczętego.

- Dobrze spałaś, Daryo? - przywitał mnie.

- Tak, sir. Dziękuję - odpowiedziałam.

- Poleciałem Govindowi, żeby dziś pozwolił ci spać jak najdłużej - oznajmił, zerkając na zegar ścienny, który w tym momencie zaterkotał i kliknął. Pan Bull z aprobatą skinął głową, wyjął z kieszeni małe okrągłe złote pudełeczko, nacisnął je i wieczko się uniosło. Po chwili rozległy się melodyjne dźwięki.

Minęła kolejna godzina. Pan Bull zamknął pudełeczko i włożył je do kieszeni. - Dobrze - mruknął. - Wszystko działa. Właśnie miałem napić się herbaty. - Wskazał dłonią delikatny biało - niebieski czajniczek stojący na niskim stole, wraz z dobranymi do niego filiżankami na spodeczkach.

Wiedziałam, czego ode mnie oczekuje, więc podeszłam do stolika i ujęłam czajniczek za ucho.

- Z cukrem? - spytałam.

Uśmiechnął się szerzej i zbliżył się do mnie. Położył dłoń na ręce. Była gorąca i sucha. Cofnęłam się.

- Pozwól - powiedział i nalał herbaty do dwóch filiżanek. - Usiądź, proszę.

Wzięłam do ręki spodeczek z filiżanką i zajęłam miejsce przy ogniu, krzyżując nogi w kostkach i prostując plecy. Ogień trzaskał wesoło. Pan Bull usiadł naprzeciwko mnie i założył nogę na nogę, jak w Bombaju. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić przykucniętego czy siedzącego na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami, jak mężczyźni w

moim kraju, co Davidowi przychodziło z łatwością. Wypiliśmy herbatę i rozejrzałam się po pokoju. Nagle zdałam sobie sprawę, że wczoraj zbyt wiele się działo, żebym mogła w spokoju obejrzeć to wnętrze.

Dwie ściany były wypełnione ustawionymi na półkach książkami. Na podłodze leżały kosztowne dywany z frędzlami, mniejsze na większych. Rozpoznałam motyw drzewa i ptaka, który występował na kaszmirskich i tureckich dywanach w meczecie w Susmar Chord. Na pozostałych dwóch ścianach wisiały obrazy, ale z daleka nie potrafiłam określić, co przedstawiają. Pośrodku pokoju stał okrągły stół nakryty szalem wykończonym jedwabnymi frędzlami. Na blacie spostrzegłam pięknie ozdobioną czalą - fajkę wodną, z wijącą się wokół niej rurką. Wygląd ustnika świadczył o częstym używaniu, co znaczyło, że pan Bull lubi palić fajkę wodną. W pokoju stały niskie taborety z brokatowymi siedzeniami i wiele foteli oraz małych stolików. Przy jednej ścianie spostrzegłam dziwny wysoki jakby fotel obity czerwonym aksamitem, takim samym jak ten w zasłonach. Ów niby - fotel był na tyle wysoki i długi, żeby mogły na nim usiąść trzy osoby. Miał niskie oparcie i z jednej strony podłokietnik. Na długiej półce nad kominkiem stało wiele przedmiotów - oprócz mosiężnych i drewnianych malowanych figurek indyjskich bożków spostrzegłam rzeźby kobiet w fantazyjnych strojach, kule z czerwonego i niebieskiego szkła, kolekcję różnej wielkości fajek, wysokie świece w srebrnych świecznikach i różne drobne, raczej pozbawione funkcji użytkowej przedmioty, których nazw nie znałam. Odbijały się w umieszczonym za nimi lustrze. Pokój zdobiły też liczne mosiężne i malowane porcelanowe donice z roślinami ozdobnymi. Zastanawiałam się, jak to się dzieje, że kwitną w tym szarym świetle.

Z kąta pokoju przyglądała mi się papuga. Siedząc na drążku, uniosła jedną nogę z palcami o zakrzywionych pazurach, dziobnęła je, a następnie zrobiła to samo z drugą nogą, ani na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

Pan Bull odstawił pustą filiżankę na stół, zdjął nogę z nogi i pochylił się do przodu. Pod wpływem ciepła promieniującego z ognia połowa twarzy Anglika znajdująca się od strony płomieni lekko się zarumieniła. Pan Bull miał jasnoniebieskie oczy, choć czasami wydawały mi się ciemniejsze. Spoglądał na mnie tak, jakby łączyła nas jakaś zażyłość. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Zerwałam się z

siedzenia, odstawiając pustą filiżankę na podłogę tak szybko, że zabręczała na talerzyku, i podeszłam do okna. To spojrzenie mnie przeraziło, bo stanowiło zapowiedź tego, co wydarzy się dziś w nocy.

Niewiele mogłam zobaczyć przez mokrą od deszczu szybę. Spojrzałam w dół. Od tej strony ulica była znacznie ruchliwsza i szersza niż ta, na którą wychodziło okno mojej sypialni na tyłach domu. Z boku zobaczyłam korony drzew.

- Czy cały Londyn jest taki, sir? - spytałam, udając, że bardzo mnie to interesuje. Może dzięki temu pan Bull nie zorientuje się, że gram na zwłokę, nie chcąc siedzieć tak blisko niego?

Po drugiej stronie ulicy stał biały budynek, wysoki i bardzo szeroki. Miał wiele drzwi, niektóre wykonane z ciemnego drewna, a inne pomalowane, i cztery rzędy okien. Jak wczoraj pan Bull nazwał swój dom? Miejską rezydencją.

- Czy Londyn jest wypełniony miejskimi rezydencjami? - spytałam, odwracając się do niego.

- Nie, nie, miasto jest ogromne. W różnych jego miejscach są różne typy zabudowy. To jest Kensington - odpowiedział.

- Widzę drzewa.

- Kensington Square - podał pełną nazwę. - Przyjemne miejsce na spacer.

- Czy moglibyśmy pójść na spacer? - poprosiłam, a w myślach dodałam: Czy moglibyśmy pójść teraz, żebym nie musiała tu sama z tobą siedzieć? Żebym nie musiała znosić twojego spojrzenia, pod którym drzę jak na zimnym wietrze?

- Z pewnością kiedyś pójdziemy.

- Czy Da... pan Ingram i jego matka mieszkają blisko pana? Prychnął, jakby moje pytanie go zirytowało.

- Nie. Mieszkają w Richmond. Dla mnie wieje tam zbyt wielką nudą, te wszystkie ogrody i to całe odosobnienie. Ja lubię być bliżej miasta - gwaru ulic, sklepów i kręgu moich interesujących znajomych. Taki styl życia znacznie bardziej mi odpowiada. - Oblizał usta i zacisnął je.

Skinęłam głową i znów przylepiłam nos do szyby.

- Odejdź od okna i usiądź tu - polecił. Gdy zrobiłam, jak mi kazał, pokręcił głową.

- Naprawdę zazdroszczę panu Ingramowi odbytej podróży: całej tej wędrówki do Kabulu i dalej, zobaczenia wszystkiego, co godne

uwagi w twoim kraju. I tego, że uczynił tę wyprawę jeszcze wspanialszą, ratując od śmierci piękną młodą kobietę. Przypomina to trochę baśń, jedną z tych urzekających opowieści z Tysiąca i jednej nocy, czyż nie?

Z pewnością David nigdy nie powiedziałby o ratowaniu od śmierci, bo nie ratował mnie przecież od śmierci. To ja sama się ratowałam, przynajmniej po buzkaszi i potem w Dżalalabadzie. Nie poddałam się i nakłoniłam Davida, żeby zabrał mnie ze sobą.

- Moja droga, co znaczy ta konsternacja na twojej twarzy? Czyżbyś nie wierzyła w swoją urodę? - spytał mnie pan Bull.

Podskoczyłam, bo zatopiona w myślach nie słuchałam, co do mnie mówił, i nie miałam pojęcia, że wyraz twarzy odzwierciedla moje uczucia.

- To prawda, że brak ci tak tu cenionych u młodych kobiet delikatności i bladości, ale jest w tobie jakaś wielka... siła, która zawsze podobała mi się w kobietach. Lubię, jak moje kobiety są z ziemi, a nie z powietrza. I zapewne zawsze już tak będzie. Naprawdę uwielbiam kobiety, które mają w sobie ducha walki i nie poddają się bez niej. Czyż nie to w tobie dostrzegam?

Spojrzałam na swoją filiżankę, która leżała na boku.

- Moja babcia była bardzo silna. Myślę, że jestem taka jak ona - odpowiedziałam, starając się odsunąć od siebie myśl, że ten mężczyzna przyjdzie dziś do mnie. Deszcz dzwonił o szyby, a na stole tykał zegar. Spytałam: - Czy mogę jeszcze poprosić o herbatę? Zaschło mi w gardle.

Pan Bull wstał.

- Oczywiście - powiedział. Podeszedł do długiego sznurka wiszącego przy kominku i pociągnął. - Każę Govindowi przynieść świeżo zaparzonej herbaty.

Gdy służący postawił na stole czajniczek, pan Bull napelnił mi filiżankę i wziął z tacy brązową buteleczkę.

- Dzięki temu staniesz się swobodniejsza. To angielska tradycja - powiedział i wlał kilka kropel płynu z buteleczki do mojej herbaty. Następnie wsypał cukier i zamieszał. - Weź filiżankę na otomanę - wskazał podbródkiem mebel, który nazwałam w myślach wysokim długim krzesłem - i usiądź wygodnie.

Zrobiłam, jak powiedział, siadając blisko podłokietnika. Upiłam łyk herbaty. Miała dziwny smak, lekko maskowany przez cukier, ale

był raczej przyjemny. Delektując się aromatycznym napojem, pomyślałam, że Anglię i Afganistan łączy przynajmniej jeden zwyczaj towarzyski - picie herbaty. Nagle poczułam się senna i zrelaksowana. Oparłam głowę o podłokietnik.

- Czy teraz czujesz się lepiej? - spytał pan Bull kojąco. - Laudanum, które dodałem ci do herbaty, bardzo poprawia nastrój.

Spojrzałam na niego, absolutnie spokojna. Blask ognia palącego się w kominku rozjaśniał twarz Anglika, który nie wydawał mi się już groźny.

- O tak - potwierdziłam i dodałam rozmarzonym głosem: - Moja babcia żyła w seraju. - Nie rozumiałam, dlaczego właśnie teraz zobaczyłam ją tak wyraźnie w swoich myślach. - Daleko od mojego kraju rodzinnego. - Słuchając cicho trzaskającego w kominku ognia, wymamrotałam: - Nad Słodkimi Wodami.

- Nad Słodkimi Wodami? To znaczy nad Bosforem? - Pan Bull uśmiechnął się zachwycony. - O tak, w jednym z największych haremów imperium osmańskiego. Jakież to intrygujące. - Uśmiechnął się do mnie jeszcze serdeczniej. - Cała ta historia staje się coraz bogatsza.

- Coraz bogatsza? - powtórzyłam, nie rozumiejąc, co miał na myśli, ale mi nie wyjaśnił. - Babcia przepowiedziała, że poznam wiele krajów, że będę się przemieszczać po ziemi jak księżyc po niebie. - Zamknęłam oczy. - I nie pomyliła się. Jestem... - Chciałam powiedzieć, że jestem gwiazdą, błyszczącą i żywą, ale wymagało to ode mnie zbyt dużego wysiłku. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi do głowy, że jestem jak gwiazda na niebie?

- Może była w jakimś stopniu wróżką - powiedział pan Bull. Otworzyłam oczy. Spoglądał na mnie z uśmiechem, jakby był bardzo zadowolony. Ja też się do niego uśmiechnęłam. Zastanawiałam się bez szczególnego zmartwienia, jak to się stało, że tak rozwiązał mi się język i mówię z taką łatwością, a na dodatek tak melodyjnie jak szmerzący strumień, co mnie kompletnie zaskoczyło. W pokoju panowała błoga cisza, tylko papuga cicho ćwierkała.

Nagle gdzieś rozległ się dźwięk dzwonka. Zirytowany pan Bull podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz, przywołując Govinda.

- Żadnych gości - oznajmił, ale gdy lokaj coś powiedział, wyszedł do niego na korytarz i zamknął drzwi.

Gdy wrócił do pokoju, nie wiedziałam, jak długo go nie było, bo straciłam poczucie czasu.

- Daryo jan, wydajesz się senna - zaczął.

Byłam tak rozluźniona, że tym razem nie miałam nic przeciwko temu pieszczotliwemu określeniu. . - Pójdź do swojego pokoju i prześpij się. Kazałem kucharce przygotować same specjały na twój pierwszy tutaj oficjalny posiłek. Będziemy się nimi raczyli, a później, wieczorem...

Wstałam z otomany, rozgrzana ciepłem promieniującym z kominka. Gdy pan Bull pochylił się nade mną, nie czułam lęku, choć dał mi jasno do zrozumienia, że dziś wieczorem będzie ze mną obcował fizycznie.

- Śpij dobrze - powiedział na pożegnanie.

Wychodząc z pokoju, leniwie pomachałam papudze palcami. Było to zachowanie zupełnie do mnie niepodobne.

Natychmiast zasnęłam. Gdy się obudziłam i usiadłam na wysokim łóżku, spostrzegłam stojącą obok dziewczynę, młodszą ode mnie może o kilka lat, która trzymała w ręku szmatkę i słoik. Miała zaczerwienione i pokryte strupkami dłonie. Przyglądała mi się, ale zaraz się odwróciła i zaczęła polerować szmatką drewniane meble, zanurzając ją w słoiku i co chwila zerkając na mnie przez ramię. Na czarnej sukni miała białą jakby spódniczkę, zawiązaną z tyłu w pasie na kokardę. W jej ciemnych włosach zauważyłam jaśniejsze pasma. Spod białego czepka opadały na kołnierz niesforne kosmyki. Nie wiedziałam, czy powinnam z nią rozmawiać, ale sprawiała wrażenie bardzo mną zainteresowanej. Lekko rozchyłała usta, ukazując dolne zęby, małe i ostre. Jej twarz, szyję i ręce pokrywały brązowe kropeczki.

Gdy w pokoju zjawił się Govind, uciekła. Przetarłam oczy i odgarnęłam włosy z czoła. W głowie mi huczało i miałam suche usta. Lokaj skinął głową, żebym za nim poszła. Zaprowadził mnie na parter, gdzie wczoraj weszłam z panem Bullem z ulicy po przyjeździe z portu - czy rzeczywiście dopiero wczoraj? - i otworzył przede mną drzwi do kolejnego pokoju.

Przy bardzo długim stole, na którym stały talerze, a obok nich leżały sztuce, czekał na mnie pan Bull. Zwróciłam uwagę, że pośrodku stoi kilka dużych przykrytych naczyń. Było wczesne popołudnie, lecz mroczne wnętrza oświetlało mnóstwo świec

zapalonych w srebrnym kandelabrze, ustawionym na środku wypolerowanego blatu. Pan Bull przebrał się w inny strój, jego ciemnorude włosy błyszcząły w świetle świec.

- Daryo jan, wypoczęłaś? - odezwał się na powitanie.

Skinęłam głową, bo nie mogłam mówić. Wydawało mi się, że mój język stał się za duży.

Odsunął stojące przede mną krzesło, a gdy stałam zaskoczona, gestem polecił mi, żebym usiadła. Zająłam miejsce przy stole, a on usiadł po przeciwnej stronie na wprost mnie. Podszedł Govind i uroczyście zdjął z naczyń pokrywki. Zgodnie z obietnicą kucharka przygotowała apetyczne potrawy, których nie widziałam od czasu, gdy wsiadłam na statek w Bombaju: ryż z szafranem, orzechami i rodzynkami, pikantną jagnięcinę z rusztu i smażone jarzyny. Govind był w białych bawełnianych rękawiczkach. Nałożył potrawy na stojący przede mną duży talerz z kości słoniowej ze złotą obwódką. Wzięłam do ręki widelec dopiero wtedy, gdy wziął go pan Bull. Był ciężki, znacznie cięższy od sztućców, których używałam na statku, ozdobiony wirującymi kręgami; w największym z nich widniał jakiś symbol.

Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Wypiłam trzy kieliszki wody, którą nalewał mi Govind. Od dawna apetyt tak mi nie dopisywał, a potrawy były wprost wyśmienite. Wiele wysiłku kosztowało mnie jedzenie powoli i elegancko, według wskazówek Blossom, bo instynkt popychał w przeciwnym kierunku. Pan Bull jadł bardzo niewiele, rozgrzebując tylko potrawy na talerzu, a czasami oddychając głęboko i chwytając się za brzuch.

Gdy przełknęłam ostatni kęs jagnięciny, odłożył nóż i widelec, podszedł do mnie i stanął z tyłu za krzesłem. Wsunął mi palce pod warkocz i delikatnie zaczął pieścić szyję. Zaszokowana, omal nie zwróciłam tego kęsa. Po chwili ścisnął mnie za ramiona. Byłam zadowolona, że nie widzę jego twarzy. Przesunęłam kciukiem po symbolu na widelcu, przygotowując się na... Nie wiedziałam, na co. Do moich nozdrzy dotarł zapach tytoniu i ledwie wyczuwalna woń piżma.

Nagle pan Bull zostawił mnie i podszedł do drzwi. Położywszy rękę na mosiężnej gałce, odwrócił się do mnie. Spojrzałam na niego, drżąc lekko. Jeden z zegarów głośno tykał. Pan Bull oddychał równo. Obserwował mnie.

- Mam sprawę do załatwienia, ale za godzinę spotkamy się w salonie - powiedział i wyszedł, zamykając drzwi ostrożnym, wystudiowanym ruchem.

Siedziałam przy stole. Wolałam sobie nie wyobrażać tego, co miało niedługo nastąpić. Nie byłam niewinną dziewczyną, jak wtedy, gdy zostałam poślubiona Shaliqowi, dziewczyną, która nie ma pojęcia, co wydarzy się w łóżku. Nie bałam się tego tak jak wtedy. Teraz martwił mnie chłód mej duszy, smutny i przytłaczający, świadomość tego, kim się stałam: kobietą, której usługi seksualne opłaca się życiem w luksusie. Byłam gorsza od Sulimy, bo ona przynajmniej wyszła za mojego ojca. Możliwe, że byłam gorsza nawet od Blossom, gdyż ta mówiła o swoim dzentelmenie z autentyczną czułością i łączyły ją z nim intymne kontakty już w Indiach.

Po chwili przy stole zjawił się Govind i zaczął sprzątać naczynia. Zabierając mój talerz, pochylił się nade mną.

- Skąd panienka pochodzi? - spytał po angielsku cicho i ochryple. Po raz pierwszy usłyszałam jego głos.

Uniosłam głowę.

- Mówisz mi po angielsku? - spytałam go, jak wcześniej tego dnia, równie cicho jak on, choć nie wiedziałam dlaczego.

- Tak, panienko.

- Pochodzę z Afganistanu, północ od Indii - odpowiedziałam.

- Z daleka, panienko. Pochodzisz z daleka - stwierdził tak samo cicho i ochryple.

Teraz uświadomiłam sobie, że Govind nie może mówić głośniej, i zastanawiałam się, co mu się stało. Przechyliłam się i spojrzałam mu w twarz.

- Panienko, musisz postępować ostrożnie. Ostrożnie - powiedział z taką miną, jakby było mu mnie żal lub jakby się martwił.

Rozpłakałam się i nagle jedzenie zaczęło mi ciążyć w żołądku jak gruda gliny. Było zbyt suto po niewielkich prostych posiłkach, do jakich przywykłam na statku. I zjadłam wszystkiego za dużo. Oblałam się zimnym potem, spoglądając na życzliwą twarz starszka. Znowu zaczęłam się zastanawiać nad tym, co zrobiłam najlepszego, przyjeżdżając tu. Nie mogłam się uwolnić od myśli o dłoniach pana Bulla gładzącego mnie po szyi i ściskającego za ramiona tak poufale i zaborczo, jakbym była jego własnością. Wkrótce miałam poczuć te dłonie na całym ciele. Jedna ze świec w kandelabrze wypaliła się i z

sykiem zgasła. Nagle zjedzona jagnięcina podeszła mi do gardła. Poczułam, że zaraz dostanę torsji, i zasłoniłam usta dłońmi. Govind podstawił mi pod brodę pustą srebrną misę i czekał cierpliwie, dopóki nie zwymiotuję.

Rozdział XL

Wytarłam usta wilgotną ściereczką, którą podał mi Govind, napiłam się wody i poszłam do salonu, jak kazał mi pan Bull. Byłam zdenerwowana. Nie wiedziałam, jak długo muszę na niego czekać, i nie mogłam usiedzieć w miejscu. Zdejmowałam z półek różne książki i zaglądałam do nich, gładząc okładki z miękkiej skóry lub jedwabiu. W większości były zapisane angielskim pismem. W końcu jednak natrafiłam na jedną z fotografiami kobiet. Usiadłam i zaczęłam ją przeglądać. Kobiety były ubrane w egzotyczne stroje. Niektóre miały bardzo wąskie oczy, jak Chazarowie, ale reprezentowały inną rasę. Nosiły obcisłe jedwabne suknie i kunsztowne uczesania. Miały okrągłe twarze pokryte bardzo jasnym pudrem, a usta pomalowane w kształt maleńkich kwiatów. Były też fotografie innych kobiet, o ciemniejszej skórze, ubranych w stroje z przejrzystej tkaniny i obwieszonych biżuterią. Przypominały kobiety z plemienia Paszto, choć miały delikatniejsze rysy.

Oglądając fotografie, nie usłyszałam, jak do salonu wszedł pan Bull, a za nim Govind, niosąc tacę z herbatą. Zerwałam się z miejsca, książka wyśliznęła mi się z rąk i ciężko upadła na dywan.

- Usiądź, Daryo - powiedział pan Bull, gładząc swe rude wąsy.

Usiadłam na jednym z wyściełanych taboretów przy niskim stole, a pan Bull zajął miejsce na otomanie i zapalił fajkę wodną. Ciemny lepki trójkąt, który wepchnął z wprawą środkowym palcem w główkę fajki, nie dawał zapachu tytoniu, lecz inny, nieznany mi, słodszy i cięższy aromat haszyszu. Dulfiya podawała haszysz osobom z urazami ciała, a czasami także tym, którym miała składać złamane kości lub zszywać rany. Chory nie czuł wtedy bólu, uspokajał się i ogarniała go senność.

Pan Bull zaciągnął się mocno dymem, podniósł wzrok i uśmiechnął się. Podał mi ustnik, ale odmówiłam.

- Pomaga mi na bóle głowy - powiedział i ponownie wciągnął dym, aż gorąca woda wesóło zabulgotała. - Cierpię na bardzo silne bóle głowy. - Przytrzymał dym w płucach i po chwili wypuścił go ustami z przeciągłym westchnieniem.

Wkrótce wyraźnie się odprężył i nie marszczył już tak bardzo czoła, co znaczyło, że rzeczywiście wdychanie tego dymu mu pomaga. Ulokował się w pozycji półleżącej na czerwonej otomanie i skrzyżował nogi w kostkach. Jego powieki stały się ciężkie, ale były

tylko na wpół przymknięte. Gdy wstałam z taboretu, natychmiast otworzył oczy.

- Dokąd idziesz, moja droga? - spytał wolno niskim głosem.

- Myślałam, że zasnąłeś, sir - odpowiedziałam.

- Nie, nie. Zostań ze mną. - Dotknął dłonią skroni. - Podejdź tu, proszę. Podejdź bliżej - nalegał.

Gdy podeszłam, wziął mnie za rękę i przyłożył ją sobie do skroni, wzdychając ciężko.

- Twoja śliczna dłoń jest taka chłodna, a jej dotyk taki kojący - powiedział i zamknął oczy. - Rozmasuj mi skronie.

Odetchnęłam, uklękłam przy podłokietniku, na którym oparł głowę, i zaczęłam masować mu skronie małymi okrężnymi ruchami. Miał gorącą suchą skórę. Po chwili błogo westchnął, a ja zacisnęłam zęby. Dostrzegłam na jego twarzy zadowolenie.

- Tęsknisz za domem? - spytał cicho, ale nie czekał na odpowiedź, tylko ciągnął: - Ja już tęsknię za życiem... na Wschodzie. Jest tam tak ciepło, tak przyjemnie. Mieszkałem w tyłu miejscach, gdzie byłem... - Usiłował oblizać wargi, które wydawały się równie suche jak skóra pod moimi palcami. - Przeklęty organizm; zawodzi mnie... Moja głowa. Daryo, proszę, nie przestawaj masować. Podjęłam przerwana czynność.

- Czy ci mówiłem, że... - otworzył oczy, czym mnie przestraszył i sprawił, że zgubiłam rytm - że znałem matkę Davida Ingrama? - Wolno uniósł się na otomanie, włożył do ust smukły ustnik fajki wykonany z kości słoniowej i znowu zaciągnął się dymem.

Odsunęłam się i usiadłam na piętach.

- W Kalkucie - powiedział po krótkiej przerwie. - Dawno temu.

Oczywiście, że już mi o tym mówił, ale nie chciałam mu przerywać.

- To była dziwna młoda kobieta, tajemnicza, zamknięta w sobie. Uważałem ją za intrygującą. Zawsze podobały mi się kobiety, które miały jakiś sekret. - Zamknął oczy i powiedział z rozmarzeniem, znowu odprężony: - To dziwne, jak sądzę... Jej sekret... Oczywiście ja... David...

Pochyliłam głowę na dźwięk imienia pana Ingrama. Pan Bull odłożył ustnik, wolno napełnił filiżankę herbatą, wyjął z kieszeni ciemną buteleczkę i odkorkował.

- Dam ci znowu odrobinę tego - powiedział.

- Nie, sir, herbata będzie mi smakowała równie dobrze bez tego. Pokręcił głową, jakby z wyrzutem.

- Mam na imię Osric. Tak masz do mnie mówić, Daryo jon. To tylko laudanum. Wszyscy je zażywają. Nie wyrządzi ci żadnej szkody - perswadował.

Cóż dałby mi opór w tak drobnej sprawie?

Nie oponowałam, gdy dodał do herbaty kilka kropli przejrzystego płynu, a następnie łyżkę cukru i zamieszał, jakbym była dzieckiem. Piłam w milczeniu, a on palił fajkę.

- Widzę, że oglądałaś książkę z fotografiami - odezwał się po chwili. - Przypuszczam, że nie wiesz, co to są fotografie. - Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: - Słowo „fotografia” pochodzi z greckiego i znaczy „rysować światłem”.

- Wiem coś na temat fotografii. Pokazał mi pan w Bombaju książkę z fotografiami Anglii - przypomniałam mu.

- Ach, tak - powiedział powoli, jakby był rozkojarzony lub mówił do siebie. - Robienie fotografii czy inaczej zdjęcia opiera się na wykorzystaniu właściwości światła, na połączeniu chemii z tym, co widzi oko, i na optyce z jej zwierciadłami i soczewkami. Jest fascynujące. Fascynujące. Ja też robię zdjęcia.

Z tego, co powiedział, zrozumiałam tylko ostatnie zdanie.

- Robi pan zdjęcia Anglii?

- Anglii? Och, nie. To byłoby nużące. Robię zdjęcia ludzi.

- Ludzi? Jakich ludzi? - spytałam z ciekawością. Uśmiechnął się miło.

- Tylko tych pięknych, moja droga. Muszą być piękni, żeby mnie zainteresowali. - Podniósł się z otomany, nalał sobie herbaty, ponownie napełnił moją pustą filiżankę i dodał do niej płynu z ciemnej buteleczki. Podał mi herbatę i spytał: - Czy chciałabyś, Daryo jan, żebym ci zrobił zdjęcie?

Spojrzałam nań znad filiżanki.

- Nie... nie wiem - odpowiedziałam; już wcześniej zastanawiałam się nad jego słowami o fotografowaniu, nad tym, że oznacza ono schwywanie czegoś czy kogoś do pudełka.

- Wypij herbatę - polecił, a gdy to zrobiłam, oznajmił: - Teraz pokażę ci moją ciemnię.

Wziął mnie za rękę, a ja nie zaprotestowałam, świadoma, że laudanum osłabia mój opór i łagodzi niepokój. Zaprowadził mnie do

przyległego pokoju. Unosił się tam dziwny zapach, którego nie potrafiłam określić. Wysokie okno na wprost drzwi zasłaniały dwie warstwy grubej żółtej tkaniny, przez którą sączyło się przyćmione przedwieczne słońce. W efekcie w pokoju było niemal ciemno. Pan Bull zapalił lampę na kwadratowym stole z szufladami. W jej niesamowitym żółtym świetle znajdujące się tu przedmioty wydawały się nierzeczywiste i nadal były niewyraźne, choć może widziałam inaczej pod wpływem laudanum? Na ścianach wisiały mapy i wypchane głowy zwierząt, a na podłodze leżał dywan w białe - czarne pasy, który miał kształt jelenia lub małego konia. Przed kwadratowym stołem stał fotel. Na blacie przyciągnął moją uwagę ozdobny słój z pękiem gęsiich piór. Przesunęłam po nich palcami, wyjęłam korek ze stojącej obok nich buteleczki z czarnym płynem i zbliżyłam ją do nosa. Poczulałam zapach gumy, ale nie był to ten, który unosił się w pokoju.

- Zostaw atrament i przyjdź do mnie! - zawołał mnie pan Bull od okna.

Podeszłam. Jego twarz wydała mi się niesamowita w żółtym świetle. Stał przy długim wąskim stole, na którym znajdowały się różne przedmioty: metalowe kuwety, połączone ze sobą kwadratowe deseczki, duże brązowe butelki i wąskie z białego szkła, przezroczyste, wypełnione przejrzystym płynem, a także wysoki stos kwadratowych szybek. Po jednej stronie stołu stało duże pudełko na trójnogu.

- Usiądź tam. - Pan Bull wskazał stojący przed stołem drewniany taboret. - Chcę ci coś pokazać. - Wyjął z umieszczonej pod stołem półki jakieś pudełko. Ruchy miał powolne i płynne, a może tak mi się wydawało w tym niesamowitym świetle.

Obejrzałam przezroczystą butelkę, którą miałam tuż przed sobą. Wyjęłam z niej korek z taką samą łatwością jak z buteleczki z atramentem. Gdy dotknęłam palcem mokrej krawędzi szyjki, na skórze pojawiła się srebrząca się brązowa obrączka. Zamknęłam butelkę, odstawiłam ją na miejsce i wzięłam stojącą obok, większą, brązową. Wsunęłam ją pod żółte światło lampy, by zobaczyć, co jest w środku, i lekko nią potrząsnęłam.

- Przestań, Daryo! Odstaw ją na miejsce! Ostrożnie! - odezwał się na ten widok pan Bull ostrym tonem i podszedł do mnie. Postawił butelkę na wysokiej półce i wyjaśnił: - Kolodium to środek silnie

wybuchowy, jeśli obchodzić się z nim nieostrożnie lub zbliżyć do ognia. Niestety, przekonał się o tym już niejeden fotograf. - Wziął z blatu miękki pędzelek i położył go na stercie kwadratowych szybek. - Po zrobieniu zdjęć przeobrażam je tu w wizerunki sfotografowanych obiektów i jest mi do tego potrzebne wszystko, co tu zgromadziłem, włącznie z żółtym światłem. Spójrz na to. - Wręczył mi kawałek papieru.

To była błyszcząca fioletowawobrazowa fotografia. Widniała na niej kobieta z gołą głową, stojąca tyłem i spoglądająca przez ramię. Miała na sobie sari, którego krótka góra ukazywała do połowy jej plecy, a przejrzysta spódnica owijała się wokół bioder, eksponując nogi. Strój ten był bardziej nieprzyzwoity niż te, które widziałam w Indiach, ale pochodził z tamtej kultury, kobieta natomiast, choć ciemnoskóra, nie miała rysów Hinduski.

Podał mi następną fotografię. Przedstawiała dwie kobiety. Jedna spoczywała w pozie półleżącej, opierając się na poduszkach, z ręką pod głową, spowita w delikatny strój wyraźnie podkreślający jej kształty. Jej włosy zdobiła obręcz ze szlachetnych kamieni i dużo biżuterii na rękach i szyi. Kobieta miała znudzoną minę. U jej stóp klęczała druga, tworząc z nią silny kontrast, bo była ubrana tylko w krótki prosty strój i w nakrycie głowy częściowo zasłaniające twarz. Trzymała nad stopami swojej leżącej towarzyszki dzban z wodą, jakby zamierzała umyć jej nogi. Również te kobiety miały ciemną skórę, ale w ich strojach i pozach było coś sztucznego. Sądząc po meblach, oba zdjęcia zostały zrobione w salonie pana Bulla.

- Wykonanie takich fotografii wymaga wprawy i cierpliwości - powiedział, podając mi trzecie zdjęcie, przedstawiające równie dziwną kobietę w cudzoziemskim stroju, siedzącą w leniwej i niedbałej pozie, z rozchylonymi kolanami.

- Czy to pańskie przyjaciółki? - spytałam, choć wydawały mi się dość nieokrzesane.

- Przyjaciółki? - zdziwił się pan Bull. - Oczywiście, że nie. Zapłaciłem im, żeby mi pozowały do zdjęć.

- Czy to jest ich praca? - spytałam. Uśmiechnął się, patrząc mi w oczy.

- Daryo jan, one wykonują całkiem inne zajęcie, ale są uszczęśliwione, jeśli mogą w ten sposób zarobić dodatkowe szylingi. Łatwo je znaleźć.

- Znaleźć? Skąd one są? - Wzięłam do ręki pierwszą fotografię i powiedziałam: - Ta kobieta nie jest Hinduską. - Sięgnęłam po drugą, ale pan Bull szybko zamknął pudełko, jakby nie chciał, żebym obejrzała kolejne.

- To nie ma znaczenia, skąd one są. Lubię samo fotografowanie i jego efekty. - Uśmiechnął się do mnie. - Ale ty, Daryo, jesteś zupełnie inna.

Spojrzałam ponownie na pierwszą fotografię i na niego. Gładził pokrywkę pudełka.

- Ty jesteś inna. Nietrudno dostrzec w tobie dumną Tadżyjkę. I jesteś naprawdę piękna. Nie musisz też udawać kobiety egzotycznej. Czy wiesz, jaka jesteś śliczna? Chodź... - Wziął mnie za rękę i zaprowadził do lustra wiszącego na ścianie przy drzwiach. Stając za mną, położył mi swe ciepłe dłonie na ramionach i szepnął do ucha w taki sposób, że poczułam na włosach jego gorący oddech: - Daryo, spójrz na siebie.

Zamrugałam oczami, bo moje odbicie w lustrze było chwiejne i rozmazane, jakby oglądane przez żółtą wodę. W końcu zobaczyłam je wyraźnie, ale oczy nie wyglądały jak moje. Nie widziałam w nich zielonych tęczy, lecz czarne. Przysunęłam się bliżej i oglądałam je uważnie, lecz nagle nad swoim ramieniem spostrzegłam odbicie twarzy uśmiechniętego lubieżnie Shaliqa. Krzyknęłam i odwróciłam się od lustra, ale poczułam silny uścisk ramion.

- Co się stało? - usłyszałam surowy głos mojego męża mówiącego po persku, a nie w paszto.

- Nie... nie chcę dłużej patrzeć w lustro - oświadczyłam.

- Musisz - powiedział Shaliq, zmuszając mnie siłą do ponownego spojrzenia w błyszczącą taflę.

Tym razem zobaczyłam siebie taką, jaką byłam w rzeczywistości, i pana Bulla, który patrzył w lustro nad moją głową i trzymał mnie za ramiona.

- No, już dobrze - powiedział uspokajająco. - Czy dobrze się już czujesz?

Skinęłam głową.

- Cieszę się, cieszę - szepnął i zaczął przesuwać dłońmi po moich rękach. Poczułam wstręt. - Jesteś zimna - wyszeptał mi w kark. - Nie możemy na to pozwolić. Chodź. Chodź, moja księżniczko. - Wziął

mnie pod rękę i zaprowadził po schodach do swojej sypialni, gdzie stało szerokie łóżko.

Nie było tak, jak się spodziewałam. Ale czego się spodziewałam? Wszystko, co wiedziałam na temat aktu seksualnego, pochodziło z mojego współżycia z Shaliqiem. Mój mąż za każdym razem traktował mnie z taką samą rutyną. Kompletnie nieczuły, poruszał się we mnie tępo, jakby chodziło o jakąś przyziemną czynność. W przeciwieństwie do niego pan Bull - Osric - nie kochał się ze mną pospiesznie ani nie traktował mnie brutalnie, a mimo to po zbliżeniu czułam się tak samo, a może jeszcze bardziej zawstydzona i pełna niesmaku jak po nocy poślubnej z Shaliqiem.

Gdy w końcu przemknęłam przez ciemny hol z jego sypialni do swojej, natychmiast zdjęłam sari, które włożyłam przed chwilą, żeby móc udać się do siebie, i umyłam się, szorując szmatką ciało aż do bólu, jakbym chciała zetrzeć z siebie skórę. Chciałam czuć to pieczenie, aby zagłuszyć myśli, bo wolałabym zostać potraktowana w sposób, jaki znałam, wzięta pospiesznie i rutynowo. Zaciskałam zęby na myśl o wyrafinowanych ruchach i wypowiedzianych szeptem poleceniach pana Bulla, o jego westchnieniach, pomrukach i wreszcie okrzykach rozkoszy. Namydlałam się i tarłam mokrą szmatką, jakbym chciała zmyć z siebie wszelkie ślady kontaktu z jego ciałem.

Pan Bull zgasił lampy i wewnątrz pokoju oświetlał tylko ogień. Podszedł do kominka i zdjął z obramowania figurkę jednego z bóstw, które stały w tym miejscu we wszystkich pokojach jego domu.

- To jest Kali, małżonka Śiwy Niszczyciela. Chodź tu i obejrzyj ją - polecił.

Zrobiłam, jak mi kazał, i ucieszyłam się, że nie ma jej w moim pokoju, bo była brzydka i groźna. Miała wysunięty język i okrutne spojrzenie, a jej szyję zdobił naszyjnik z ludzkich czaszek. Laudanum wciąż spowalniało moje myśli i ruchy.

- Mam też figurki innych bóstw. - Pan Bull podszedł do szafki z szufladami, wyjął z jednej taką figurkę i powiedział: - Obejrzyj ją.

Podał mi małą rzeźbę. W świetle ognia palącego się w kominku zobaczyłam dwugłową postać z wieloma rękami i nogami. Od razu się zorientowałam, że nie jest to jedna postać, lecz kobieta i mężczyzna zespoleni w akcie seksualnym w jakiejś nienaturalnej pozycji. Wstrząśnięta, bez słowa oddałam rzeźbę panu Bullowi, jakby mnie parzyła.

Spojrzał na rzeźbę, pogładził ją i utkwiał wzrok we mnie.

- Moja droga, czy nadal czujesz się rozluźniona po laudanum? - spytał. Gdy milczałam, dodał: - Ja czuję się raczej spokojny. - Postawił odrażającą rzeźbę na obramowaniu kominka i powiedział: - Pozwól. - Podeszedł do mnie z tyłu, rozwiązał sznureczek na końcu mojego warkocza i rozpuścił mi włosy, delikatnie przeczesując je palcami. Potem uniósł je do nosa i długo wdychał ich zapach. W końcu westchnął błogo w fotelu przy kominku, wyciągnął nogi i polecił: - Zdejmij sari.

Instynktownie skrzyżowałam dłonie na piersiach.

- Nie, sir...

- Osric - przerwał mi, cmokając ze zniecierpliwieniem. - Masz się do mnie zwracać tylko po imieniu. Powiedz moje imię.

- Osric - szepnęłam.

- Tak lepiej. A teraz rozbierz się, ale powoli, powoli, moja droga.

Nigdy jeszcze nie stałam przed nikim naga. Nie mogłam podnieść wzroku, gdy odwinęłam sari i zdjęłam przez głowę górną część, rzucając ją na podłogę. Cała się trzęsłam i brakło mi tchu.

- O tak. Tak myślałem, że będziesz wyglądała. Tyle razy sobie ciebie wyobrażałem, moja mroczna księżniczko. Jesteś jeszcze piękniejsza, niż się spodziewałem. - Wstał.

Wzdrygnęłam się i cofnęłam.

- Boisz się mnie? Nie masz powodu. Czy dałem ci jakieś podstawy do obaw, że wyrządę ci krzywdę? Mnóstwo kobiet mówiło mi, że dałem im wielką rozkosz. Czy nie chciałabyś, żebym dał ją tobie? Moja Daryo jan, czy nie czujesz się samotna, samotna bez mężczyzny? Z pewnością w twoich żyłach płynie gorąca krew, co przede wszystkim tak mnie w tobie pociągnęło. Jesteś kobietą o ognistym temperamencie. Powszechnie wiadomo, że ludzie o ciemniejszej karnacji mają w sobie więcej żaru - powiedział cicho, spoglądając na mnie błyszczącymi oczami. Stałam nieruchomo i milczałam.

- Nigdy mnie nie interesowały omdlewające i blade Angielki o ściągniętych twarzach. Podobają mi się kobiety... pełne wigoru. Dlatego nieco mnie rozczarowuje ta twoja naiwność, to, że tak stoisz przede mną z szeroko otwartymi oczami. A może podobało się to Davidowi Ingramowi... twoja próba bycia kobietą pruderyjną?! - To pytanie zadał podniesionym głosem, utkwiał we mnie badawcze

spojrzenie i spytał ponownie: - Czy zachęcał cię, żebyś się tak zachowywała, żebyś była bardziej jak angielski wędnący kwiat?!

Na dźwięk imienia pana Ingrama zamknęłam oczy. Dlaczego pan Bull powiedział to teraz, gdy stałam przed nim naga i bezbronna, zawstydzona, pełna wstrętu i przestraszona?

- Przykro mi, Daryo, ale oczekuję od ciebie więcej - oświadczył z irytacją. - Naprawdę oczekuję od ciebie, że będziesz się zachowywała w określony sposób, niecierpliwie, a może nawet nieco... agresywnie. Jeśli tak się nie stanie, to znaczy jeśli okaże się, że nie jesteś taka, jak myślałem, sądząc z twojego śmiałego spojrzenia, odwagi mówienia tego, co myślisz, i rozumienia, czego od ciebie chcę, to sprawy mogą nie ułożyć się tak gładko, jak oboje się spodziewaliśmy.

Przypomniałam sobie słowa Govinda, że muszę postępować ostrożnie. Przeszył mnie dreszcz. Źle oceniłam Osrica Bulla. Udawał dżentelmena o nienaganych manierach... Pomyślałam o zrobionych przez niego zdjęciach młodych kobiet, o ich dziwnych apatycznych twarzach, jakby również pozujące mu modelki nie chciały robić tego, czego od nich oczekiwał... Jakby one też paliły haszysz. Przypomniałam sobie jego senne spokojne spojrzenie, gdy przesuwiał dłonią po rzeźbie, gdy patrzył na mnie. Zaczepnęłam głęboko tchu i otworzyłam oczy.

- Osric, nie boję się - oświadczyłam, udając pewność siebie. - Ale w tej chwili czuję się tak, jakbym była wielbłądem wystawionym na targu na sprzedaż.

Śmiał się głośno i długo, po czym podszedł do mnie blisko. Zdjął wierzchnie ubranie i zaczął rozpinąć mankiety koszuli. Położyłam się w jego wielkim łóżku. Po chwili robiłam to, co zgodziłam się robić, żeby móc uciec od życia czekającego mnie w Bombaju.

Rozdział XLI

Spałam mocno, ale niespokojnie. Przez żaluzje sączyła się do pokoju smuga światła. Wstałam, rozsunałam je i spojrzałam na blade słońce. Na myśl o tym, co byłam zmuszona robić dziś w nocy, poczułam taki wstręt, że zasłoniłam dłonią usta, by nie zwymiotować. Teraz moim panem był Osric Bull. Mógł wezwać mnie do siebie, kiedy chciał, a ja musiałam robić wszystko, czego zażądał, i podporządkować się wszystkiemu, czego sobie zażyczył.

Podeszłam do torby, w której wciąż znajdowały się zwinięte sari, i wymacałam wśród nich wizytówkę Davida. Wyjęłam ją i popatrzyłam na angielskie słowa. Pan Ingram powiedział, że mogę do niego przyjść, jeśli będę potrzebowała pomocy. Ale... nie mogłam. Bo czy potrzebowałam pomocy? Doskwierało mi to, że nie chciałam tu być. Pragnęłam być z Davidem, a nie z Osrikiem Bullem.

Rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

- Chodź, moja droga - odezwał się Osric Bull, wchodząc. - Mam dla ciebie niespodziankę. - Wyciągnął do mnie rękę. Miał spokojną twarz. Gdy zignorowałam jego gest, lekko zmarszczył czoło.

Weszliśmy do salonu, w którym dziś wszystkie zasłony były rozsunięte i nagle stał się bardzo jasny. Klatka papugi nie połyskiwała tak jak w ogniu kominka i światło lamp. Mosiądz zmatowiał, miejscami pokrywała go patyna. Pluszowa otomana i aksamitne zasłony w nasyconym czerwonym kolorze wyglądały teraz jak sprane, brokatowe obicia krzeseł i taboretów były w wielu miejscach wytarte i poplamione, czego nie dało się zauważyć w półmroku, a w szalu przykrywającym stół brakowało frędzli. Na kafelkach wokół paleniska dostrzegłam smugi sadzy, a na kloszach lamp plamy i odciski palców. Przy stole siedziała na krześle tęga kobieta.

- Daryo jan, pani Allen uszyje ci nowe stroje - oznajmił Osric Bull z uśmiechem i od razu rozzłościł mnie tym jan, którego używała moja babcia. - Rozpaczliwie ich potrzebujesz.

- Stroje angielskie? - spytałam przekonana, że nie będę czuła się swobodnie w sukniach o tak obcisłych stanikach; pamiętałam, jak niewygodne były angielskie buty.

Kobieta wyjęła z torebki zawiązywanej u góry na sznureczek rodzaj długiej wstążki.

- Ależ skąd - odpowiedział spokojnie pan Bull. - Nie powinnaś się ubierać jak Angielka. Co byłoby w tym ekscytującego? Nie, krawcowa stworzy stroje eksponujące twoją sylwetkę i rysy twarzy.

- Będą tadżyckie? - spytałam ostrożnie. - To - wskazałam na wyblakłe już sari, które miałam na sobie - nie pochodzi przecież z mojego kraju.

- Stroje będą ucieleśniać moją wizję - odpowiedział niecierpliwie Osric Bull.

Zaczął mówić coś szybko do kobiety, a ona potakiwała, przyglądając mi się. Potem opasała mnie ową wstążką kolejno w biuście, talii i biodrach, przyłożyła ją do pleców wszerz i wzdłuż oraz do nóg. Nie podobał mi się ten poufały dotyk. Poza tym krawcowa okropnie się pociła i mruczała coś pod nosem, a czasami zapisywała na kartce jakieś liczby. Na koniec kazała mi postawić bose stopy na brązowym papierze i obrysowała je, po czym wyszła z salonu z panem Bullem. Usiadłam przy okrągłym stole, ale wstałam, gdy po kilku chwilach gospodarz wrócił.

- Nie musisz wstawać, gdy wchodzę - powiedział. Gdy usiadłam, dodał: - Daryo, wiem, że będziesz bardzo zadowolona ze swych nowych strojów. - Z podnieceniem oblizął wargi. - Będą naprawdę eleganckie, udrapowane, zwiewne, wyszywane paciorkami i maleńkimi kryształkami, wykonane z najwspanialszych jedwabi i przejrzystych tkanin w barwach szlachetnych kamieni. A do tego zostaną dobrane delikatne pantofle.

- Żeby móc wyjść na dwór? - spytałam. - Dostałam od misjonarki pelerynę i buty, ale czy ta kobieta uszyje mi też coś...

- Nie martw się o to, moja droga - przerwał mi pan Bull. - Nie chcę, żebyś za często wychodziła, więc nie ma potrzeby szycia czegoś poza tym, co zamówiłem. Pani Allen ma zdumiewającą kolekcję egzotycznych strojów. Jeśli zatrudni przy ich przeróbce wszystkie swoje szwaczki, zrobią to w kilka dni. Zapewniła mnie, że będzie ci w tych strojach doskonale. Czy nie sprawia ci to przyjemności? Żałuję, że się nie uśmiechasz. Jesteś naprawdę śliczna, gdy masz uśmiech na twarzy.

Uśmiechnęłam się wymuszenie.

- Może będziesz w nich podobna do twojej babci w czasach, gdy była konkubiną sułtana w seraju. To dziwne, jak historia się powtarza.

Było mi przykro, że nazywał moją babcię konkubiną.

- Na statku zażądałeś, sir, żebym mówiła wyłącznie po persku - zaczęłam, zmieniając temat. - Ale ja tak bardzo chciałabym nauczyć się lepiej angielskiego...

- Owszem, powiedziałem ci, że nie chcę, byś się uczyła angielskiego, i tak zostanie - przerwał mi, kręcąc głową. - Doskonale porozumiewamy się ze sobą po persku. Uwielbiam rozmawiać w tym wspaniałym języku. Dlaczego miałabyś zepsuć to, co nas łączy, mówiąc po angielsku?

Przesunęłam palcami po wypukłym wzorze na szalu.

- Ale w języku perskim nie mogę rozmawiać z nikim innym. Czy nie będę miała możliwości poznać innych ludzi, zwłaszcza Anglików? - argumentowałam.

- Daryo jan, wybij to sobie z głowy - powiedział cicho i łagodnie. - Czy w tym naszym małym świecie nie ma czegoś szczególnego? - Podszedł do mnie i uniósł moją opartą na blacie rękę. - W świecie należącym tylko do nas dwojga? - Ujął moją rękę w duże i kwadratowe, wilgotne i silne dłonie. - To będzie nasz sekretny język.

- I pana Ingrama, który też przecież zna perski - przypomniałam mu i zabrałam dłoń. - Powiedział mi, że wkrótce zjawi się tu z wizytą. - Oznajmiłam to takim tonem, jakbym chciała go o tym przekonać. A siebie?

Pan Bull zmrużył oczy.

- To bardzo zajęty młody człowiek. Studiuje i ma wielu przyjaciół. Nie spodziewaj się go tu, pomimo że obiecał się pokazać. Nie jest już za ciebie odpowiedzialny. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - Uniósł brwi.

Gdy nic na to nie odpowiedziałam, uśmiechnął się zimno.

- Powrócił do swojego dotychczasowego życia. Nie ma już powodu o tobie myśleć. Przestał być za ciebie odpowiedzialny z chwilą, gdy przywiózł cię do Bombaju, i nie trzyma cię już w garści. - Podszedł do drzwi i dodał: - Muszę teraz odpocząć. Odzyskuję siły, ale powoli, i nie chcę się przemęczać. Już dziś rano wychodziłem z domu. - Obserwował moją twarz. - Powinnaś przestać myśleć o Davidzie Ingramie. Najlepiej będzie, jeśli o nim zapomnisz. Jestem pewien, że on też bardzo szybko o tobie zapomni... O ile już tak się nie stało. Całą uwagę tego młodzieńca będzie pochłaniała wybranka jego serca.

- Wybranka jego serca? Co to znaczy? - zaniepokoiłam się. Uśmiechnął się niemal promiennie.

- No, jak to? Oczywiście jego narzeczoną. David Ingram jest po słowie ze śliczną Gwendolyn Liston. Skoro wrócił już do kraju, ona z pewnością będzie się starała ustalić datę ślubu.

Coś jeszcze mówił, ale go nie słuchałam. David był zaręczony? Ale... Z trudem przełknęłam ślinę, jakby coś uwięzło mi w gardle. Przesunęłam palcami po suchych nagle ustach. Ale on mnie pocałował...

Tak jak wczoraj, znowu zadźwięczał dzwonek i po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Osric otworzył Govindowi, który coś mu powiedział. Wówczas ten pokręcił głową, zamknął drzwi za służącym i spojrzał na mnie.

- Źle się czujesz, moja droga? Jesteś strasznie blada. Idę się położyć. Ty też odpocznij - powiedział i wyszedł.

Leżałam na otomanie w cichym ciepłym salonie, z głową na brokatowej poduszce, zasłaniając oczy dłonią. Po długiej chwili usiadłam i spojrzałam na papugę. Trzymała w palcach orzeszek i delikatnie wyjmowała go ze skorupy mięsistym czarnym językiem. Czułam się tak, jakbym odzyskała przytomność pobita przez Shaliqą, straszliwie obolała i bliska torsi, jak pierwszego dnia w tym domu po obfitym posiłku. Ale oczywiście tym razem powód był inny. Przycisnęłam rękę do brzucha i zgięłam się wpół. Czy kiedy David mnie całował i przytulał, myślał o swojej ukochanej, z którą rozstał się na tak długo? Czy gdy wtedy po zmierzchu obejmował mnie i namiętnie całował, a ja czułam się tak, jakby z mrocznego dolnego pokładu ktoś nagle uniósł mnie do nieba i do słońca, marzył tylko o tej kobiecie? Jakie imię i nazwisko wymienił pan Bull? Czy David kierowało tylko pożądanie i chciał sobie przypomnieć, jak wygląda ciało kobiety? Czy całując mnie, myślał o niej?

Do salonu wszedł Govind. Nappełnił miseczkę papugi wodą i zaczął sprzątać klatkę.

- Sulejman, Sulejman Wspaniały - powtarzał, dopóki spłoszony ptak się nie uspokoił i nie przestał machać skrzydłami.

Nie mogąc spokojnie uleżeć, wstałam z otomany i zaczęłam chodzić po salonie.

Govind wrzucił do ognia brudny papier wyściełający dno klatki i odwrócił się do mnie.

- Panienko, jesteś dobra dla pana Osrica? - szepnęła. Zaczerwieniłam się i spojrzałam w bok.

- Panienko? - ponaglił mnie.

Zmusił mnie, żebym na niego spojrzała, ale tak jak poprzednio nie potrafiłam odgadnąć wyrazu jego twarzy.

- Wszystko pójdzie znacznie lepiej, jeśli panienka zawsze będzie dla niego dobra - poradził swym ochrypłym cichym głosem i wyszedł.

W głowie wciąż rozbrzmiewały mi te słowa.

- Salami - zakrzeczał Sulejman, ale zaraz się odwrócił, jakby zirytowany, i znieruchomiał osowiały w swej ogromnej błyszczącej klatce.

Znowu rozległ się dźwięk nieznanego mi dzwonka. Przystanąłam i nasłuchiwałam. Za drzwiami zaszemrały ciche głosy. Po chwili do salonu wszedł Osric, poruszając palcami, jakby go bolały.

- Niestety, nie mogłem odpocząć, bo znowu rozboleła mnie głowa - oznajmił, przechodząc przez salon i zasuwając zasłony, a następnie sadowiąc się w czerwonym fotelu przy kominku. Na stoliku przed nim stała misa z orzechami.

Do salonu docierał z ulicy stłumiony turkot kół na bruku, a czasami jakieś słowa. Pragnęłam oddychać świeżym powietrzem, a nie zatechłym z powodu zamkniętych okien, chodzić długimi krokami po ulicy, a nie jedynie w domu po schodach. Z braku ruchu zeszywniały mi mięśnie.

Podeszłam do okna i stanęłam między zasłonami, obserwując przechodniów. Mężczyzna i kobieta szli, trzymając się pod rękę. Jej suknia falowała wokół kostek. Nagle kobieta przytrzymała dłonią kapelusz, odwróciła twarz do swego towarzysza i uśmiechnęła się. Co David robił na... Nie, postanowiłam o nim nie myśleć.

- Czy możemy wyjść na dwór? - zasugerowałam. - Dzień jest słoneczny.

- To nie jest właściwa pora - odparł stanowczo Osric.

- A kiedy będzie właściwa pora? - spytałam, celowo jakby od niechcienia. Wiedziałam, że powinnam przestać zadawać mu pytania, ale nie mogłam.

- Kiedy ci powiem - odparł i włożył sobie do ust orzech, wypychając policzek.

- Ubrałabym się w swoją ciepłą pelerynę. Bardzo chciałabym wyjść z domu na plac, gdzie widzę drzewa. Proszę... - zawahałam się -

Osric... - To imię zabrzmiało w moich ustach jakoś twardo, wręcz kanciasto. - Tylko na...

Westchnął znużony, odstawił misę z orzechami i dotknął dłonią czoła.

- Daryo, nie denerwuj mnie. - Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, zamknął oczy i energicznie pocierał czoło. - Chodź tu i pomóż mi. Uśmierz ten straszny ból. Wiesz, co robić.

Stanął za fotelem i dotknęłam skroni Osrica. Od razu się rozluźnił, rozprostował ramiona i odchylił się na oparcie.

- Och - westchnął z ulgą i powiedział cicho: - Tak, tak. - Jeszcze bardziej odchylił głowę.

Ścisnęłam mocniej jego skronie.

- Och. To mi dobrze robi - powiedział.

Przez jakiś czas wykonywałam okrężne, łagodzące ból ruchy. Robiłam to automatycznie, rozglądając się po pokoju i obserwując Sulejmana, który przeglądał się w lusterku, przekrzywiając łebek to w jedną, to w drugą stronę.

Nieoczekiwanie pan Bull ścisnął mój nadgarstek tak nagle, że aż się wzdrygnęłam i krzyknęłam, choć niezbyt głośno.

- Wszystko w porządku. Wszystko w porządku - powtórzył chrapliwym, obcym głosem i przesunął moją dłoń po swoim policzku i wąsach aż na szyję, ponad sztywnym białym kołnierzykiem, na pulsującą tętnicę, gdzie skóra była obwisła, cienka i szorstka. - Daryo jan, z pewnością wiesz, czego potrzebuję? - zapytał.

Zesztywniałam.

Puścił moją rękę, wstał i spojrzał na mnie. Miał zaczerwienione policzki, ciężkie powieki i rozchylone usta. Między przednimi dolnymi zębami spostrzegłam kawałeczek orzecha. Ten wygląd mówił sam za siebie.

Minęło już południe, bo gdy masowałam skronie pana Bulla, zegary zabiły dwanaście razy.

- Chodźmy do mojego pokoju - powiedział cicho. Znowu zadzwonił dzwonek. Ktoś dzwonił natarczywie i długo.

- Cholera! - zaklął rozgniewany Osric, energicznie podszedł do okna, szarpnął za zasłonę i wyjrzał na ulicę, której dziś nie rozjaśniało słońce.

Tym samym niecierpliwym krokiem podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, na korytarzu stał już Govind, który właśnie zamierzał

zapukać. Pan Bull porozmawiał po cichu ze służącym, pokręcił głową i wyszedł, zamykając drzwi.

Usiadłam na wciąż ciepłym czerwonym fotelu. Czyżby Osric nawet nie chciał poczekać, aż zapadnie noc i będzie przynajmniej ciemno? Postanowił mnie wziąć w biały dzień, w sytuacji, gdy po domu krzatali się Govind i dziewczyna o plamistej skórze? Co, jeśli nas usłyszą i domyślą się, co robimy? Pokręciłam głową. Ale oczywiście służący wiedzieli, po co tu jestem. Świadczyły o tym ukradkowe spojrzenia, które dziewczyna rzuciła w moją stronę, gdy sądziła, że nie widzę, ale przede wszystkim Govind. Wiedzieli, w jakim jestem tu celu. Nie musieli mnie szanować, choć z konieczności usługiwali mi i traktowali grzecznie. Nigdy nie będę memsahib, panią domu. Dla nich byłam tylko zwykłą dziwką. Zgodziłaś się zostać dziwką Osrica Bulla? - usłyszałam w myślach słowa Davida.

Podeszłam do okna. Na dole ktoś zamknął od wewnątrz drzwi powozu stojącego przed domem, woźnica szarpnął lejce i powóz odjechał. W tym momencie do salonu wszedł Osric Bull.

Spoglądałam na kolorowe szkła stojące na gzymsie kominka. Miałam nadzieję, że panu Bullowi przeszła ochota na amory, niestety, podszedł do mnie. Przyciągnął mnie do siebie za rękę i bawił się moimi włosami, odgarniając je z czoła i przesuwając palcami po harquus. Ale moja nadzieja się ziściła, bo był czymś poruszony i zachowywał się sztucznie. Najwyraźniej pod wpływem tego dzwonka i wszystkiego, co się z nim łączyło, odechciało mu się miłosnych igraszek. Po chwili odsunął się ode mnie i z irytacją pokręcił głową.

- Wychodzę na kilka godzin, ale wrócę wczesnym wieczorem. Daryo, czekaj na mnie, a spędzimy cudowne chwile - szepnął znacząco. Z niczego zatem nie zrezygnował, tylko wybrał późniejszą porę.

Poszłam do swojego pokoju i stanęłam przy oknie, spoglądając na siąpiący deszczyk. Wąską drogą między domami szła w pośpiechu jakaś para, pochylając głowy na deszczu. Nie mogłam się uwolnić od myśli o Davidzie i jego narzeczonej. Czułam się tak, jakby ten deszcz przemoczył mnie do nitki.

Gdy podniosłam oczy, w oknie domu po przeciwnej stronie ulicy zobaczyłam dziewczynkę. Pomachała mi, a ja po chwili wahania też jej pomachałam. Miała ciemne włosy, długie i kręcone, a na czubku

głowy jasną kokardę. Ale zaraz pojawiła się za nią jakaś kobieta, zerknęła przez okno i zabrała ją.

Obecnie Nasreen była mniej więcej w wieku tej dziewczynki. Znowu przypomniałam sobie słowa matki, że najlepiej jest nie mówić i nie myśleć o przeszłości i że jej matka nauczyła ją sztuki wymazywania z pamięci wszystkiego, co sprawia ból. Próbowałam tej sztuki, żyjąc w plemieniu Ghilzai, kiedy Shaliq nie pozwalał mi odwiedzić Susmar Chord. Bardzo starałam się wtedy pozbyć wspomnień związanych z moją rodziną i wioską. Niestety, bez skutku.

Zamknęłam oczy i przywołałam w pamięci podwórze naszego domu; widziałam suszące się w ostrym słońcu na dachu morele, cicho rżała Mehry, Nasreen ścisnęła mnie za szyję, a Yusuf był tak blisko, że czułam rozkoszny zapach jego gęstych miękkich włosów. Bardzo doskwierał mi teraz brak tego wszystkiego i moja samotność, choć myślałam, że już nigdy jej nie doświadczę po tym, jak David pocałował mnie na statku, taką dało mi to siłę i radość. Z pewnością mnie pragnął. Ale teraz, gdy się dowiedziałam, że ma narzeczoną, coś we mnie umarło. Nie potrafiłam sobie z tym poradzić.

Chcę do domu, pomyślałam. Nie zapomniałam, przed czym uciekłam, a mimo to wyobrażałam sobie, że przyjmują mnie tam życzliwie członkowie mojej rodziny i wszyscy, których kiedyś obchodziłam. Gdy za oknem zapadł zmrok, poczułam się jak dziecko. Zapragnęłam, żeby ktoś pogłaskał mnie po głowie, ukołysał w ramionach i szepnął mi do ucha, że wszystko będzie dobrze. Czy tracę rozum? Już od tylu lat nie jestem dzieckiem, pieszczonym przez matkę i babcię, lecz kobietą, powinnam więc myśleć jak kobieta.

Spojrzałam w nocne niebo. W moim kraju po deszczu gwiazdy świeciły jaśniej. Ale tu tak nie było. Gdy spoglądałam na widoczny z mojego okna skrawek wieczornego nieba nad Londynem, wydawało mi się, że powietrze nad tym miastem nigdy nie pozwoli gwiazdom zajaśnieć na niebie pełnym blaskiem. W końcu położyłam się do łóżka, odwróciłam do ściany i zaczęłam płakać. Govind przyniósł mi tacę z kolacją, ale nie wstałam. Straciłam apetyt. Czekałam, kiedy Osric Bull wróci do domu i przyjdzie po mnie.

Rozdział XLII

Rano obudziło mnie dochodzące z salonu skrzeczenie papugi. Usiadłam w pomiętej pościeli. Oczy mnie piekły. Wstałam i przejrzałam się w lustrze toaletki. Były zaczerwienione i podpuchnięte, bo gdy w nocy wróciłam tu z pokoju Osrica, długo płakałam. Spoglądając na swe odbicie, powiedziałam sobie, że nie wolno mi, po prostu nie wolno, stać się kobietą, która wyplakuje się do poduszki, bo odczuwa pustkę, bo nie może mieć tego, czego pragnie. Uśmiechnęłam się gorzko, ponieważ w rzeczywistości nie chodziło o pustkę, lecz o nadmiar uczuć. Pomyślałam o wypełnionym piaskiem bezgłowym koźleciu z buzkaszi, ale oczywiście przypomniało mi to, jak tego dnia David trzymał przy moich ustach tykwę z wodą, gdy za nim pobiegłam, błagając, żeby mi pomógł. Wyprostowałam ramiona i uniosłam podbródek. Miałam zaciśnięte usta, a pomiędzy brwiami po raz pierwszy pojawiła się delikatna zmarszczka.

Rozległo się pukanie do drzwi. To był Govind, który wniósł tacę ze śniadaniem, postawił ją i wyszedł w milczeniu. Po kilku minutach zapukała dziewczyna, która sprzątała mój pokój. Dygnęła przede mną jak Blossom przed Davidem, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Wpuściłam ją i spytałam, jak jej na imię.

- Lucy, proszę pani - odpowiedziała z wahaniem i znowu dygnęła.

Odsunęła żaluzje i przekręcając klamki, przesunęła okno do góry. Podmuch powietrza wpadł do pokoju, poruszył zasłonami łóżka, a ja zaczęłam głęboko oddychać. Po raz pierwszy od czasu zamieszkania w domu pana Bulla wciągałam do płuc świeże powietrze, choć nie było tak orzeźwiające jak w Afganistanie.

- Mamy dziś piękny dzień - powiedziała Lucy, gdy słońce rozjaśniło podłogę, ukazując niebieskie kwiaty na dywanie. Uklękła przed paleniskiem kominka i zaczęła wybierać łopatką popiół do wiadra.

Siedząc na łóżku, obserwowałam, jak pracuje. Zwróciłam uwagę na zdarte zelówki jej butów. Czułam się zawstydzona, że sprząta mój pokój. Miała nie więcej niż trzynaście, czternaście lat.

- Pan Bull życzy sobie, żeby pani przyszła do salonu. Proszę się ubrać i zjeść śniadanie - powiedziała, wstając i wskazując dłonią tacę.

Spojrzałam na nią, ale na myśl, co pan Bull robił ze mną dziś w nocy, odwróciłam się.

- Wstał już jakiś czas temu. Nie lubi czekać - przestrzegła mnie.

Mówiła szybko i, jak już zauważyłam wcześniej, wymawiała słowa inaczej niż Osric czy pan Ingram. Było mi trochę trudniej ją zrozumieć. Włożyłam sari i usiadłam przy stole, ale nie miałam ochoty jeść. Lucy posłała moje łóżko, wzięła grzebień i podeszła do mnie z wahaniem.

- Czy mogę pomóc pani się uczesać? - spytała. - Jestem tylko pokojówką, ale pan Bull kazał mi usługiwać pani we wszystkim. Oczywiście jeszcze nie mamy garderobianej, ale z pewnością wkrótce ją zatrudni.

Powiedziała, że mnie uczesze? Spojrzałam na nią, tłumacząc sobie jej słowa na perski. Musiała to uznać za przyzwolenie, bo wzięła się do pracy. Nikt jeszcze nie czesał moich włosów, poza matką i babcią, gdy byłam małą dziewczynką. Działo to uspokajająco. Siedziałam w milczeniu, starając się czerpać przyjemność z łagodnych pociągnięć grzebieniem, od nasady włosów po ich końce. Gdy już wyglądały schludnie, zaplotła je w warkocz i związała go na końcu sznureczkiem.

- Pani włosy są gęste i śliczne - powiedziała i stanęła prze - de mną, spuszczać głowę i zaciskając dłonie.

Wstałam, nie mając pojęcia, dlaczego tak stoi.

- Proszę włożyć buty i zejść do salonu, gdzie pan Bull na panią czeka - rzekła w końcu bardzo cicho, unosząc głowę.

- Dziękuję - powiedziałam, a ona znowu dygnęła.

Nie rozumiałam tego ukłonu, ale z grzeczności zrobiłam to samo i Lucy uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zobaczyłam ją uśmiechniętą. To był serdeczny uśmiech. Odwzajemniłam go.

Gdy weszłam do salonu w zniechęconych angielskich butach, Osric rzucił na stół gazetę, którą czytał, i wstał.

- Dzień dobry, moja księżniczko - przywitał mnie. Stałam ze spuszczoną głową. Nazwał mnie tak tyle razy w nocy, że teraz nie mogłam mu spojrzeć w oczy. Nie chciałam, żeby dostrzegł, jakie budzi we mnie obrzydzenie. Wstrzymałam oddech, bo podszedł bliżej.

- Daryo jan, nie masz mi dziś rano nic do powiedzenia? - Stanął przede mną i wziął mnie za rękę. - Nic, absolutnie nic?

Spojrzałam na niego. Uśmiechnął się beztrosko, wypinając pierś. Był zadowolony ze swoich wyczynów dziś w nocy. Czy oczekiwał, że mu podziękuję, że z wdzięczności padnę przed nim na kolana?

- Dobrze spałam - powiedziałam w końcu, wiedząc, że czeka, aż się odezwę.

Uniósł brwi.

- Czuję się dziś naprawdę zdrowy. Poza tym jest piękna niedziela, doskonała na przejażdżkę. Kazałem zaprząć konia do powozu i poczekać na nas przed domem. Myślę, że ucieszy cię wypad do miasta. Należy ci się mała przyjemność po dzisiejszej nocy - oznajmił, spoglądając na mnie znacząco.

Spuściłam oczy, żeby nie widzieć jego miny.

- Mam wziąć pelerynę? - spytałam.

- Jest na to stanowczo za ciepło. Poza tym nie będzie ci potrzebna w powozie - odpowiedział i przełożył moją rękę przez swoją zgiętą w łokciu. Trzymałam ją tak jak kobieta, którą widziałam wczoraj przez okno, gdy szła w deszczu ulicą z mężczyzną.

Gdy zasłoniłam twarz, sprowadził mnie po schodach do powozu.

Jechaliśmy ulicą, przy której stały typowe miejskie domy, potem skręciliśmy dwa razy i znaleźliśmy się na ulicy zabudowanej innego rodzaju domami, jasnymi i barwnymi. Miały na parterze rzędy dużych okien. Niemal wychylałam się z powozu, żeby obejrzeć wystawione w tych oknach przedmioty: malowane porcelanowe talerze, fajki o różnych kształtach, damskie kapelusze ozdobione wstążkami i piórami oraz wspaniałe drewniane figurki zwierząt, służące do zabawy dla dzieci. Szeroka ulica była zatłoczona końmi i powozami oraz długimi pojazdami, pełnymi ludzi - omnibusami, jak powiedział mi Osric, gdy wskazałam jeden z nich.

Wszędzie dostrzegałam ludzi: mężczyzn, kobiety i dzieci, idących wzdłuż budynków albo przechodzących przez niebezpieczne jezdnie, przemykających między jadącymi powozami i omijających kopczyki końskiego nawozu, nad którymi krążyły muchy. Przed budynkami stały kobiety, z bukietami kwiatów lub owocami. Wyciągały je do przechodniów, coś mówiły. Jedna była podobna do tej, którą widziałam na fotografii zrobionej przez Osrica. Miała te same grube rysy twarzy i ciemną cerę.

- Czy jedziemy na plac... Kensington? - wymieniłam zapamiętaną nazwę, starając się jej nie przekręcić.

- Nie. Tam można tylko chodzić. Przejedziemy się przez Hyde Park, gdzie ty... my zostaniemy w powozie - odpowiedział mi pan Bull.

Na ubitej ziemi stały wysokie budynki. Pomyślałam o swoim kraju, o tamtejszych krzywiznach, miękkich liniach i wiejskich domach, jakby łagodnie wyrastających wprost z ziemi, o jurtach i namiotach sporządzanych z mat roślinnych i skór, zmiennych w kształcie i tymczasowych. Tu grozą napawało mnie nie powietrze, które śmierdziało końskim nawozem i było pełne kurzu, lecz kanciastość i solidność budynków. Nawet siedząc w powozie, czułam napierającą bliskość kamieni, z których zostały zbudowane, poczerniałych od osiadającego na nich latami kurzu. Trudno było oddychać tym ciepłym powietrzem. Zbliżyłam twarz do okna i spjrzałam w górę, na wierzchołki domów, ale dostrzegłam tylko skrawek nieba.

Przez cały czas pobytu w domu pana Bulla pragnęłam wyjść na dwór, a teraz, kiedy w końcu znalazłam się na ulicy, czułam się jeszcze bardziej zamknięta niż w czterech ścianach domu. Nie chodziło tylko o to, że nie dostrzegałam w tym mieście żadnego piękna. Opanował mnie nagły strach i uczucie, że znalazłam się w niewoli, a zarazem że nie mam dokąd uciec i nie widzę linii horyzontu, do którego mogłabym sięgnąć wzrokiem.

Przestałam oglądać budynki i zaczęłam obserwować ludzi, zwłaszcza kobiety. Stwierdziłam, że stroje wielu z nich są jeszcze bardziej wyszukane niż Angielek, które widziałam na statku. Gdy się zatrzymaliśmy, przepuszczając inne powozy, przyjrzałam się mijającej nas kobiecie. Jej misternie ułożone i splecione włosy wieńczył wysoki kapelusz. Miała na sobie jedwabną suknię srebrzystej barwy piołunu rosnącego w moim kraju. Dół tej sukni zdawał się opierać na wielu białych koronkowych halkach, które poruszyły się i zaszeleściły w podmuchu wiatru, ukazując błyszczące trzewiczki.

Spojrzałam na swoje sari. Nie mogłam w takim stroju chodzić po ulicy, bo przechodnie gapiliby się na mnie. Nagle pomyślałam o kobiecie spotkanej na statku, która syknęła na mój widok, oceniając mnie tylko na podstawie stroju i harquus. Czy właśnie z powodu tego niestosownego ubioru Osric nie pozwolił mi wysiąść z powozu? A może nie chciał, żeby ludzie zobaczyli go ze mną?

- Jesteśmy na miejscu, Daryo - powiedział, gdy powóz znowu skręcił.

Zobaczyłam otwarte zielone tereny, połyskującą wodę, wysokie drzewa i rozłożyste krzewy. Łzy napłynęły mi do oczu. Od tak dawna nie miałam kontaktu ze światem przyrody, jeśli nie liczyć roślin hodowanych w domu Osrica.

Powóz posuwał się wolno aleją wysypaną pokruszonym żółtym kamieniem. Na wzgórkach rosły kwiaty w jasnych barwach, najwyraźniej uprawiane z wielką pieczołowitością. Krętymi alejami spacerowali mężczyźni i kobiety, czasem z psami na smyczy, otoczeni biegającymi dziećmi. Uśmiechnęłam się na ich widok. Przy alejach stały drewniane ławki, na których spacerowicze siadali i rozmawiali.

Gdy jechaliśmy, powóz otarł się o wystającą gałąź drzewa. Wyciągnęłam rękę przez okno i zerwałam liść. Był szeroki, ciemnozielony i pokryty siecią żyłek rozchodzących się półkuliście ku delikatnemu brzegowi. Uniosłam go do nosa, zamknęłam oczy i wdychałam jego słaby zapach.

Powóz nagle zatrzymał się na skrzyżowaniu, żeby przepuścić inny, podążający poprzeczną aleją. Przechodzący obok nas dwaj mężczyźni pozdrowili Osrica. Gdy wychylił się przez okno, mówiąc coś do nich szybko i cicho, jeden spojrzał na mnie, uniósł brwi i uśmiechnął się chytrze. Zawstydziałam się, bo wyraz twarzy tego mężczyzny świadczył o tym, że Osric tłumaczy im, skąd się wzięłam w jego powozie.

Odwróciłam od nich głowę i przez drugie okno z roztargnieniem patrzyłam na ludzi stojących lub spacerujących nad stawem. I wtedy go zobaczyłam. Na jednej z wąskich alejek David rozmawiał z grupką mężczyzn i kobiet. Spoglądałam na niego uradowana. Wydawało mi się, że jego opalenizna już nieco zbladła. Choć nadal cerę miał ciemniejszą niż inni mężczyźni, mnie wydawał się zbyt blady. Włosy były teraz schludnie ostrzyżone i starannie uczesane, zapewne czymś posmarowane. Ale nie dały się całkowicie ujarzmić, parę kędziorów opadało miękko na kołnierz.

Gdy wychylając się przez okno powozu, obserwowałam Davida, podeszła do niego młoda kobieta. Stała na palcach i powiedziała mu coś do ucha, swobodnie kładąc rękę na jego ramieniu, a on skinął głową. Miała tak białą skórę, że wydawała się niemal przezroczysta, ale przy tym ciemnoróżowe usta, harmonizujące z

kolorem sukni. Przy tak cienkiej skórze zapewne łatwo było nabawić się siniaka od samego dotknięcia.

Mogłabym przysiąc, że nawet z tej odległości dostrzegam delikatne niebieskie żyłki na skroniach tej kobiety, zupełnie takie same jak u małej Evie w Bombaju. Barwa jej włosów była o ton jaśniejsza od włosów Davida. Gdyby je rozpuściła, opadłyby na ramiona kaskadą złocistych loków. Miała szczupłe i delikatne nadgarstki, a jej wypiełgnowane dłonie z pewnością nie znały pracy. Wyobrażałam sobie, że gdy idzie, lekko stuka obcasami trzewiczków jak niecierpliw kucyk. Była tak smukła, a jej suknia tak mocno dopasowana, że David z łatwością mógłby objąć jej wąską talię dwiema rękami. Piersi miała małe, ale jędrne.

Wszystko to spostrzegłam w jednej chwili, przyglądając się Davidowi i kobiecie, która z pewnością była jego narzeczoną, sądząc z jej poufałego zachowania. W porównaniu z nią wydawałam się za wysoka i kanciasta, a poza tym miałam zbyt ciemną skórę, którą w dodatku szpecił harquus.

Nagle rozlegające się wokół dźwięki wydały mi się głośniejsze: rozmowy, śmiech i nawoływanie się ludzi, stukot końskich kopyt i turkotanie powozów, bzyczenie owadów, od których trzeba było się opędzać, i szum wiatru poruszającego liśćmi drzew. Jeden z rozmawiających z Osrikiem mężczyzn miał donośny, silny głos, który teraz zniknął w nasilającym się hałasie.

I zrobiło mi się gorąco, bo ostre słońce świeciło prosto w okna powozu. Zaczęło mi się kręcić w głowie.

Nagle David spojrział w stronę naszego powozu. Cofnęłam się do wnętrza, ale nadal go widziałam. Ruszył w naszą stronę wraz z młodą dziewczyną, która trzymała go za rękę i szła tak lekkim krokiem, jakby unosiła się na obłoczku swej sukni. Miałam poczucie, że słyszę, jak ten różowy obłoczek coś szepce i śmieje się ze mnie. Chwyciłam pana Bulla za rękę.

- Osric, proszę, jedźmy stąd. Jest mi niedobrze - powiedziałam błagalnie i naprawdę zrobiło mi niedobrze pod wpływem szoku, jaki przeżyłam na widok Davida w towarzystwie narzeczonej i na myśl, że będę musiała z nim rozmawiać, a jego ukochana będzie mi się przyglądała, zwłaszcza mojemu harquus. Krzyknęłam: - Osric!

Mężczyźni rozmawiający z nim przez okno usiłowali zajrzeć do powozu, gdy skinął głową i zapukał w okienko, przez które było

widać woźnicę. Oddychałam ciężko, nie mając odwagi ponownie wyrzeć przez drugie okno, żeby David mnie nie zobaczył. Gdy stamtąd odjechaliśmy, rozprostowałam zaciśnięte dłonie. Zgnieciony liść wolno powrócił do pierwotnego kształtu. Nieoczekiwanie pomyślałam o Yaldzie, którą w dniu narodzin Nasreen spytałam, co widzi na mojej dłoni. Nie odpowiedziała mi na to pytanie, ale oglądała moją dłoń z dziwnym, pełnym niepokoju wyrazem twarzy.

Gdy odjechaliśmy na tyle daleko, że David nie mógł mnie zobaczyć, wyrzesałam przez okno. Przeżyłam taki wstrząs, że musiałam być śmiertelnie blada.

Obudziłam się w swoim pokoju. Było ciemno. Przyszłam tu od razu, gdy wróciliśmy z przejażdżki, mówiąc Osricowi, że muszę się położyć. Błyskawicznie rozsznurowałam i ściągnęłam buty, rzucając nimi z taką wściekłością, że uderzyły w kafle przed kominkiem. Usiadłam na łóżku i ukryłam twarz w dłoniach. W końcu się położyłam i nakryłam bawełnianą indyjską narzutą. W pokoju było ciepło, a mimo to drżałam.

Stałam w oknie, spoglądając na zapaloną latarnię, wokół której krążyły owady. Zegary zabiły dziesięć razy, co znaczyło, że spałam wiele godzin. Podeszłam do szafki i wyjęłam z niej moją wyszywaną torbę. Wymacałam na dnie kawałeczek twardego papieru, który dał mi David, i jego skórzany amulet. Wyjęłam amulet i zastanawiałam się, czy nie wrzucić go do kominka, ale nie potrafiłam. Ścisnęłam go mocno i z powrotem włożyłam do torby.

Drzwi się otworzyły. Odwróciłam się i zobaczyłam, że do pokoju wszedł Osric, nawet nie pukając.

- Daryo, jestem rozczarowany, że nie zjadłaś ze mną obiadu. Byłem tu już u ciebie, ale smacznie spałaś - oświadczył i spytał: - Masz ochotę zjeść coś teraz?

Pokręciłam głową.

- Dlaczego tak siedzisz po ciemku? - zdziwił się. Podeszedł do stołu i zapalił lampę. Wyciągnął rękę, w której trzymał torebkę z czarnego aksamitu. - To dla ciebie. Prezent. Przyjdź i zobacz.

Podeszłam i w milczeniu wzięłam od niego torebkę.

- Zobacz, co ci przyniosłem, Daryo - ponaglił mnie.

Wyjęłam z torebki trzy cienkie złote bransoletki różnej szerokości. Najszersza miała wytłoczony jakiś wzór. Przesunęłam po nim palcem.

- Włóż je - polecił mi Osric.

Chciałam powiedzieć, że tego nie zrobię, ale wiedziałam, że nic by to nie dało. Gdy je włożyłam, przyjemnie zadźwięczały.

- Jest jeszcze coś - powiedział.

Włożyłam rękę do torebki i wyjęłam kolczyki. Były to cienkie złote obręcze ozdobione małymi delikatnymi szlachetnymi kamieniami jasnoniebieskiej barwy.

- To turmaliny - wyjaśnił, podnosząc lampę i przysuwając ją, tak że kamienie rozbłysły w świetle. - Niebieski jest dla ciebie ważny, nieprawdaż?

Spojrzałam na kolczyki, leżące na wyprostowanej dłoni.

- Owszem. Dżinn nie lubi niebieskiego koloru - odparłam. W tym angielskim domu słowo „dżinn” zabrzmiało w moich uszach dziwnie. Od dawna nie myślałam o dżinnach. Czy nadal się ich bałam, tak jak kiedyś w domu rodzinnym? W tym kraju, którego niebo było zaciągnięte ciężkimi ołowianymi chmurami, nie wydawały się tak groźne i silne. Dotknęłam płatka ucha i dodałam: - Nie miałam w uszach kolczyków od... dawna. - Nagle przypomniałam sobie, że tego dnia, kiedy uciekłam od Shaliqą, nie miałam w uszach kolczyków, bo mój mąż znowu mnie pobił i spuchło mi ucho. Od dawna.

Wsunęłam cienki złoty drucik w otworek i z łatwością przeciągnęłam go na drugą stronę. Włożyłam drugi kolczyk i lekko potrząsnęłam głową. Kolczyki lekko się zakołysały.

- Kupiłem również to. - Wyjął z kieszeni słoiczek. - Do twoich oczu.

Zdjęłam nakrętkę i zobaczyłam substancję przypominającą kohl.

- Pozwól - zaczął. Gdy zrobiłam krok do tyłu, spytał: - Daryo jan, nie ufasz mi?

Miałam mu ufać?

Nabrał odrobinę tej substancji na mały palec, drugą ręką uniósł lekko mój podbródek i przechylił mi twarz w stronę lampy, a następnie leciutko przesunął tym palcem pod dolnymi rzęsami.

- Spuść powieki - polecił mi cichym ochrypłym głosem i w podobny sposób pomalował górne powieki. - A teraz spójrz na mnie - powiedział.

Gdy to robiłam, wziął głęboki oddech i cofnął się nieco.

- Jesteś moją piękną odaliską - oświadczył tym samym głosem i odwrócił mnie, żebym mogła przejrzeć się w lustrze. - Twoje oczy są jak klejnoty. Jak klejnoty.

Jego oczy były dziwnie czarne, a oddech pachniał alkoholem i dymem z fajki.

Z lustra spoglądała na mnie tajemnicza kobieta o zielonych oczach w czarnych obwódkach, które znacznie je powiększały i wydłużały, dodając im zuchwałości. Rzeczywiście w świetle lampy moje oczy błyszczały jak klejnoty czy gwiazdy. Nagle poczułam pod bosymi stopami gruby miękki dywan, chłód ślubnej bransoletki na przegubie nogi i dotyk włosów na karku.

- Czy podoba ci się twoje odbicie w lustrze? - spytał Osric. Na moment zapomniałam o panu Bullu i teraz przestraszył

mnie jego cichy ochryply głos. Nie odpowiedziałam na jego pytanie. Nie wyglądałam już i nie czułam się jak kobieta, którą byłam w Afganistanie i Indiach czy na statku płynącym przez dwa oceany z Bombaju do Londynu. Nie poznawałam już siebie i przez chwilę czułam się tak, jakbym patrzyła na lustrzane odbicie kobiety, na które nie powinnam patrzeć. Ale trudno było mi spuścić czy odwrócić wzrok, nie tylko dlatego, że widziałam w lustrze... Czy rzeczywiście byłam piękna, jak twierdził Osric? Lecz także dlatego, że myślałam o Davidzie i o kobiecie, która szeptała mu coś do ucha. Gdy zobaczyłam tę scenę, uwierzyłam, że Osric powiedział mi prawdę o planowanym ślubie pana Ingrama. David nie mógł się zainteresować taką kobietą jak ja. Ta, którą kochał, była jak kociątko o miękkim futerku i maleńkich łapkach, bezradne i rozkoszne, wymagające ochrony, trzymania przy sobie blisko. Była kobietą, przy której mężczyzna czuje się silny, a nie musi brać pod uwagę jej siły.

Gdy Osric dotknął językiem mojego harqus i pocałował powieki, wiedziałam, że David Ingram jest dla mnie stracony na zawsze i nigdy już o mnie nie pomyśli.

Rozdział XLIII

Gdy rano szłam po schodach, zauważyłam po raz pierwszy, od kiedy zamieszkałam w tym domu, że są w nim jeszcze jacyś ludzie oprócz pana Bulla, Govinda i Lucy. Wszyscy poruszali się bezszelestnie jak duchy. Na schodach minęła mnie gruba starsza kobieta w ciemnej sukni z białym kołnierzykiem, o włosach mocno ściągniętych na karku w koczek i z pękiem kluczy u pasa. Na mój widok odwróciła głowę i ściągnęła usta, demonstrując niezadowolenie z mojej obecności w tym domu. Przez hol przemknął wymizerowany chłopiec o ogolonej głowie i kościstych nadgarstkach wystających z przykrótkich rękawów koszuli. Spoglądał w dół, niosąc dwie pary butów Osrica. Podobna do Lucy dziewczyna, tyle że od niej młodsza, klęczała na płytkach przed drzwiami wejściowymi i zaczerwienionymi rękami myła posadzkę gorącą wodą z mydłem.

Kiedy w holu na dole stanęłam przy schodach prowadzących na najniższy poziom, znajdujący się pod domem, usłyszałam dochodzące stamtąd pobrzękiwanie garnków i odgłosy szybkiego siekania czegoś nożem na desce. Z pewnością znajdowała się tam kuchnia, gdzie przygotowywano posiłki, które Go - vind przynosił na tacy do mojego pokoju albo do jadalni.

Wszędzie krzątali się ludzie, którzy zajmowali się domem Osrica, podobni do służących w domu państwa Andrews w Bombaju, gdzie przez kilka dni również ja pracowałam w tym charakterze, niewidoczni i cisi. Robili to, co do nich należało, bez rzucania się w oczy. Ale teraz nie byłam jedną z nich. Byłam tą, której usłużywali.

- Dzień dobry, Daryo jan - przywitał mnie Osric, gdy weszłam do jadalni. - Zjedz śniadanie.

Skinęłam głową i udałam się na swoje miejsce. Gdy mijałam Osrica, zatrzymał mnie na moment, kładąc dłoń na moich plecach i pieścąc je. Czy moje życie nie było trochę podobne do tego, o którym opowiadała mi babcia? Tam, gdzie przebywała, nie musiała pracować i za nic nie odpowiadała. Przygotowywano jej posiłki i podawano. Mogła siedzieć, rozmyślać i marzyć, kiedy tylko miała na to ochotę. A mimo to takie życie wydawało mi się niewłaściwe.

Po śniadaniu Osric czytał w salonie książkę. Ja chodziłam w górę i w dół po schodach, starając się ćwiczyć mięśnie nóg. Poza tym zaglądałam przez otwarte drzwi do różnych pokoi. Na parterze była wielka jadalnia, a za nią pokój z mniejszym stołem, krzesłami i

miejscami do siedzenia wśród licznych roślin. Stamtąd prowadziły schody do kuchni. Na pierwszym piętrze znajdował się salon i ciemnia Osrica, a na drugim były trzy sypialnie. Stąd prowadziły schodki na ostatnią kondygnację domu, gdzie znajdowała się sypialnia Govinda i może jeszcze innych służących. Zapamiętałam, jak kiedyś stary służący wchodził po tych schodkach, powłócząc nogami.

Dom z obu stron przylegał do innych domów. Czasami, gdy leżałam w łóżku, do moich uszu dochodziły z zewnątrz ściany ledwie słyszalne odgłosy toczącego się tam życia. Przebywając w swoim pokoju otoczonym przez inne, czułam się jak w pułapce, mogąc chodzić tylko w górę i w dół. Było to jak zamieszkanie w ulu, gdzie obok jest mnóstwo innych żywych istot. W swoim najbliższym otoczeniu słyszałam ciche odgłosy ich życia, ale nikt się przy mnie nie zjawiał.

Gdy zeszłam na parter, Lucy wycierała lustro wiszące w długim holu przy drzwiach frontowych.

- Pomówisz ze mną? - spytałam.

- Ależ nie, proszę pani. Nie mogłabym - odparła zaskoczona.

- Tak, proszę, mój dom teraz - oświadczyłam z trudem po angielsku.

Zerknęła przez ramię, a następnie na schody, jakby czuła się przez kogoś obserwowana.

- Mogę tylko przez chwilę, gdy pan Bull coś robi, a Govind jest w kuchni z kucharką. Ale pani Wimby... gdyby zobaczyła, że rozmawiam, zamiast pracować...

- Pani Wimby? - spytałam. Nie zrozumiałam wszystkiego, co powiedziała, ale najwyraźniej postawiłam ją w niezręcznej sytuacji.

- Gospodyni. Mówi nam wszystkim, co jest do zrobienia... mnie, kucharce, Elli, Pete'owi i pozostałym... do zrobienia na dole, a nawet czasami Govindowi. Wydaje nam wszystkim polecenia. - Wzruszyła ramionami. - Ale oczywiście nie pani.

Zabrzęczał dzwonek, który tak często słyszałam, i Lucy szybko ode mnie odeszła. Tu dzwonił bardzo głośno. W holu zjawił się Govind i otworzył frontowe drzwi. W końcu zdałam sobie sprawę, co oznacza dźwięk tego dzwonka: że ktoś podszedł do drzwi i chce, aby mu otworzono. Okazało się, że tym razem był to młody człowiek, który przyniósł brązowe pakunki. Do holu zszedł Osric i odebrał je od chłopca, gdy Govind wręczył posłańcowi monetę.

- Daryo, spójrz. To są twoje nowe stroje. Chodź do salonu. Obejrzymy je - powiedział Osric.

Miałam nadzieję, że będą się bardziej nadawały do wyjścia na miasto niż sari. Osric wyjął z szuflady stołu, na którym trzymał butelki z alkoholem, składany nożyk o trzonku z masy perłowej i przeciął nim sznurki, którymi związano pakunki. Stroje zostały uszyte z pięknych tkanin: z bardzo ładnego niebieskiego jedwabiu barwy letniego nieba nad Susmar Chord, ciemnozielonego jak oceany, przez które przepłynełam, złocistobrazowego jak najmocniejsza herbata i czerwonego, swą jaskrawością i blaskiem przypominającego ogon Sulejmana. Były też trzy pary atlasowych pantofli, ozdobionych kunsztownym haftem. Gdy Osric potrząsał poszczególnymi częściami garderoby, zobaczyłam pantalony o szerokich, mieniących się nogawkach, długie tuniki z przejrzystymi rękawami i staniki wyszywane we wzory maleńkimi błyszczącymi paciorkami. Niektóre zdobiła tak delikatna koronka, że przypominała pajęczą sieć. Były też pasy z kawałków jakiegoś metalu lub być może muszli o ciepłym połysku. Najbardziej zaskoczyły mnie różnobarwne półprzezroczyste zasłony na twarz. Przecież Osric nie pozwolił mi w swojej obecności się zakrywać. Ale pomimo piękna tkanin i kolorów spoglądałam na swoje nowe stroje z ciężkim sercem, bo w znacznie większym stopniu ukazywały moje ciało niż sari. Bez peleryny nigdzie nie mogłam się w nich wybrać.

Osric z aprobatą skinął głową, nie dostrzegając zatroskania na mojej twarzy.

- Włóż to - powiedział i podał mi czerwone pantalony, czerwonozłocisty stanik i pantofle.

Poszłam do swojego pokoju. Gdy przebrałam się w ten nowy strój i stanęłam przed lustrem, byłam przerażona. Czułam się niemal naga. Miałam obnażone ręce i szyję, a pod cienką tkaniną stanika widoczne były brodawki piersi, podobnie jak zarys nóg w szerokich spodniach. Wpadłam w złość. Spojrzałam ponownie w lustro, krzywiąc się na swój widok. Jak Osric śmiał zamówić dla mnie takie stroje? Jak śmiał przypuszczać, że kiedykolwiek zgodzę się chodzić tak nieprzyzwoicie ubrana, nawet w jego domu? Pomimo tych kosztownych tkanin nadal wyglądałam jak kobieta z pospólstwa, jak modelki z fotografii Osrica. Usiadłam na łóżku, z trudem oddychając ze zdenerwowania i czekając na pana Bulla, żeby wyładować na nim swój gniew.

Po jakimś czasie otworzył drzwi. To, że nigdy nie pukał, rozsierdziło mnie jeszcze bardziej.

- Daryo, pozwól, niech zobaczę - odezwał się, wchodząc do pokoju.

Uniosłam podbródek.

- Osric, nie mogę się ubierać w takie stroje! - powiedziałam głośno.

Zmarszczył czoło.

- Co to znaczy?! Dlaczego nie możesz?! Wstań natychmiast i pokaż mi się! - polecił surowo.

Pokręciłam głową, spoglądając na swoje piękne złociste pantofle, haftowane w czerwone i purpurowe kwiaty.

- Są takie, jakbym nie miała na sobie prawie nic - powiedziałam szybko i ze złością. - Noszenie takich strojów jest nieestosowne i bezwstydnego. - Spojrzałam na niego, bo nie odpowiadał.

Zmrużył oczy i zmarszczył brwi. Na jego dolnej wardze pojawiła się ślina.

- Nie mogę uwierzyć w twoją bezczelność i niewdzięczność - powiedział w końcu.

Milczałam, ale nie odrywałam od niego wzroku. W wyrazie jego twarzy dostrzegłam coś więcej niż gniew. Zorientowałam się, że jest zadowolony z mojego buntu, bo może mi okazać swoją dominację.

- Daryo, chyba się zapominasz? Nie pamiętasz, jaka jest tu twoja rola? Pomijając wszystko inne, co masz do ukrycia? Znam cię w najbardziej intymny sposób. W twoim przypadku udawanie kobiety wstydlivej jest raczej spóźnione - odezwał się po chwili. Oddychał ciężko, dotykając językiem zębów, i mierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- To różnica dla Govinda, Lucy, pani Wimby i pozostałych. .. widzieć mnie w takim... Wstydzę się - zaprotestowałam.

- Wstydzisz się? - Roześmiał się chytrze. - A wstydziałaś się w ciągu tych ostatnich kilku nocy? Jakoś nie zauważyłem. Chodź, Daryo. - Podeszedł jeszcze bliżej i uśmiechnął się do mnie. Przesunął dłonią po moim podbródku, szyi i brodawkach piersi. - Nie chcę, żebyś się ze mną kłóciła. Sądziłem, że jasno dałem ci to do zrozumienia. Naprawdę mnie nie obchodzi, jak się czujesz w tym stroju. - Mówił niemal szeptem i stał tak blisko, że widziałam żyłki na białkach jego oczu. - Wszystkie te stroje są drogie i piękne. Będziesz

je nosiła, bo nie masz wyboru. I dlatego, że sprawia mi to przyjemność. Po to tu jesteś, moja droga. Żeby mi sprawiać przyjemność. - Dotykał mnie kostkami dłoni i patrzył na mnie.

Odwróciłam głowę.

- Będiesz je nosiła codziennie - oświadczył normalnym już tonem i odsunął się ode mnie. Zerknął na leżące na łóżku sari, zwinął je w kłębek i rzucił na podłogę. - Będziesz się ubierała w to, co dla ciebie przygotowałem, i w nic więcej. Rozumiesz? - zakończył.

Skinęłam głową, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Gdy wyszedł, usiadłam przy toalecie, otworzyłam szufladę i wyjęłam liść, który zerwałam wczoraj w parku. Zbrązowiał i zwinął się.

Do pokoju weszła Lucy, wnosząc pozostałe nowe stroje i wieszając je w szafie w rogu. Z wahaniem zabrała moje sari, zerkając na mnie. Oczywiście wypełniała polecenia Osrica. Żadna z nas nie powiedziała ani słowa.

Gdy już nie mogłam wytrzymać u siebie, zeszłam na dół. Chodząc tam i z powrotem po swoim pokoju i pałając oburzeniem, czułam się jak zwierzę w klatce. Zanim wyszłam, jeszcze raz przejrzałam się w lustrze. Kręcąc z niesmakiem głową, okryłam ramiona jedną z długich zasłon na twarz, żeby nie czuć się tak obnażoną.

W domu panowała cisza, a salon był pusty. Z ulgą stwierdziłam, że Osric wyszedł z domu. Wolałam nie myśleć o tym, co mogłabym mu powiedzieć lub zrobić, gdybym się na niego natknęła zaraz po tym, jak określił moją pozycję w tym domu i oznajmił, że nie mam nic do powiedzenia nawet w sprawie swojego stroju. Nie tylko zmusił mnie do ubierania się tak bezwstydnie, lecz także kazał zabrać moje wygodne, przyzwoite sari. Zadał mi w ten sposób ostateczny cios, Wzdrygnęłam się na myśl o tym, jak zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu, przesunął językiem po zębach i dotykał mnie jak swojej własności. Próbowałam wymazać z pamięci ten ohydny obraz.

W salonie nie mogłam się uspokoić, bo przeszkadzało mi tykanie zegarów i skrzeczenie Sulejmana, więc wyszłam do holu. Chodziłam szybko tam i z powrotem, próbując w ten sposób opanować oburzenie i gniew. Mijając ciemnię, za każdym razem spoglądałam na zamknięte drzwi i myślałam o tym, jak szybko Osric zamknął pudełko z fotografiami. Wszystko w tym domu należało do niego, włącznie ze mną. To jego poczucie wyższości i przekonanie, że muszę robić to, co

on chce, i być taką, jak on chce... Poznałam je najpierw na przykładzie ojca, a następnie męża. Ale w przypadku Osrica Bulla własność i pełna władza oznaczały coś więcej niż to, z czym miałam do czynienia w mojej wiosce i u Ghilzai. Choć nie żyłam tam w spokoju, wciąż miałam swobodę ruchów, wyboru stroju i kontaktowania się z ludźmi, wśród których mogłam szukać pocieszenia i towarzystwa. Tu był tylko Osric Bull i jego życzenia.

Gdyby przyłapał mnie w ciemni, przysporzyłoby mi to tylko kłopotów, więc weszłam tam możliwie jak najciszej i zamknęłam drzwi. Poczekalam, aż oczy przyzwyczają się do matowego żółtego światła, i podeszłam do długiego drewnianego stołu z tacami i roztworami. Zdjęłam ze znajdującej się pod stołem półki pudełko, położyłam je na blacie i otworzyłam. Szybko przebiegłam wzrokiem fotografii, które mi pokazał, a następnie wyjęłam plik tych związanych sznureczkiem. Spojrzawszy na fotografię znajdującą się na wierzchu, od razu zrozumiałam, co i dlaczego przede mną ukrywał. Przycisnęłam rękę do piersi, bo serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Rozwiązałam sznureczek, żeby obejrzeć wszystkie zdjęcia. Właściwie nie chciałam ich oglądać, ale zarazem nie potrafiłam oderwać od nich oczu.

Te fotografie nie prezentowały, jak wcześniejsze pokazane mi przez Osrica, po prostu kobiet w wyzywających strojach. Przedstawiały po dwie, a czasami po trzy nagie kobiety splecione ze sobą w miłosnych objęciach. Niektóre układy ciał przypominały obrzydliwą rzeźbę, którą pokazał mi Osric - poskręcane ciała bogini i boga zespolonych w akcie seksualnym. Część kobiet stosowała wobec swoich partnerek narzędzia służące do zadawania bólu, takie jak bicz lub jakieś ostre przedmioty. Ofiary były związane lub miały zakryte oczy i usta. Nigdy dotychczas nie widziałam i nie wyobrażałam sobie takiego wyuzdania i nie rozumiałam, dlaczego występujące na zdjęciach kobiety uczestniczyły w takich odrażających scenach. Nie pojmowałam też, dlaczego Osric Bull chciał być tego wszystkiego świadkiem i fotografem. Wyobrażałam sobie, jak ogląda pozujące modelki i instruuje je swym cichym, ale silnym głosem, tak jak instruował mnie. Czy również były jego własnością?

Upuściłam fotografie na podłogę, jakby mogły mnie zarazić jakąś chorobą. Usłyszałam z tyłu skrzypnięcie drzwi. Odwróciłam się błyskawicznie, potykając się o stół, aż butelki zadźwięczały.

- Nie może panienka tu być - szepnął Govind. - To będzie dla panienki wielki kłopot. - Spojrzał na leżące na podłodze fotografie. - Pan Osric jest już w domu. Odpoczywa w swoim pokoju. Proszę szybko odłożyć je na miejsce, zanim zaczną panienki szukać. Jeśli znajdzie panienkę tu, razem z tymi fotografiami leżącymi na podłodze, będzie...

Spojrzałam na jego twarz oświetloną dziwnym żółtym światłem, uklękłam i pobierałam fotografie. Jedną, której jeszcze nie widziałam, podniosłam z podłogi drżącą ręką. Przedstawiała rozpartą na krześle nagą kobietę z bezwstydnie rozłożonymi nogami. Było coś dziwnego w przechyleniu jej głowy i ręce, bezwładnie zwisającej z poręczy fotela. Przyjrzałam się dokładniej. Spojrzenie kobiety było nieruchomo w czymś utkwione. To, co wzięłam za włosy, opadające na szyję, okazało się sznurem. Zamknęłam i otworzyłam oczy, zrozumiałam wreszcie, co oglądam. Ta kobieta nie żyła.

- Govind? - spytałam, wyciągając w jego stronę zdjęcie. - Znasz tę kobietę?

Był zbyt daleko, żeby móc je zobaczyć, ale mimo to od razu pokręcił głową.

- Nie znam tych kobiet - oświadczył.

- Ale ta... ta fotografia... - mówiłam ostrożnie i wolno, wstrząśnięta własną reakcją. - Jest zrobiona tu, w salonie... Musiałeś widzieć kobiety, otwierając im drzwi lub...

Govind z rozpaczą załamał rękę.

- Proszę, panienko Daryo. Nie jest dobrze dla panienki rozmawiać o tym - powiedział głośniej niż zwykle. - Proszę wyjść.

- Nie. Powiesz mi. O kobietach - nalegałam.

Nagle jego dłonie znieruchomiały, a twarz straciła całą dobroduszość. Jego rysy wydały mi się teraz ostrzejsze. Nagle zobaczyłam go takim, jakim mógł być w młodszym wieku, kiedy chodził wyprostowany i mówił normalnym głosem.

- Służą panu Osricowi tylko do zabawy. - Wpatrywał się we mnie. - Rozumie panienka, co to znaczy?

Skinęłam głową, spoglądając na zdjęcie, a następnie na niego. Podszedł do mnie i zerknął na kobietę na fotografii.

- Ale tylko przez krótki czas, bo szybko jest nimi znużony - ciągnął.

- Znużony? - powtórzyłam, czując lodowaty chłód.

- Łatwo się nudzi. Kiedy ich już nie chce, pozbywa się ich. Odprawia je albo...

Spojrzelismy na fotografię. Govind wyjął ją z mej drżącej dłoni i dołożył do pozostałych. Obwiązał je sznureczkiem, włożył do pudełka i umieścił na półce pod stołem.

- Chodźmy stąd, panienko - powiedział i dotknął mojego ramienia.

Ruszyłam za nim z wysiłkiem. Miałam ciężkie nogi i oddychałam z trudem. Gdy weszliśmy do holu, Govind cicho zamknął drzwi ciemni.

Siedziałam wstrząśnięta w salonie. To były kobiety z ulicy, bo jakżeby inaczej? Nie mieszkały w tym domu, w przeciwieństwie do mnie jako kochanki Osrica. On by nigdy... nie spojrzał na mnie tak jak na te kobiety. Jakżeby mógł? Nie. Kupił mi klejnoty i piękne stroje. Zabrał mnie na przejażdżkę swoim powozem. Czy zrobił to dla którejś z tamtych kobiet?

Na dole zadzwonił dzwonek. Drgnęłam gwałtownie, jak wyrwana ze snu. Przez otwarte drzwi usłyszałam, jak Govind, powłócząc nogami, wolno zmierza do frontowych drzwi. I nagle usłyszałam czyjś głos, męski głos. Zerwałam się z krzesła.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Podeszłam pospiesznie do szczytu schodów i spojrzałam w dół. W otwartych frontowych drzwiach stał David z kapeluszem w rękę. Drugą ręką przytrzymał drzwi, żeby Govind nie zatrzasnął mu ich przed nosem, bo już sięgał do klamki.

Odchrząknęłam i obaj na mnie spojrzeli.

Blizna Davida zrobiła się jeszcze bledsza. I zmienił się nieco wyraz jego twarzy, jakby coś go trapiło. Miałam tak ściśnięte gardło, że nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Przytrzymałam się poręczy. Nogi jakby wrosły mi w ziemię. Nie potrafiłam zejść po schodach i podbiec do niego, choć chciałam. Przed chwilą obejrzałam te straszne fotografie, a teraz wreszcie zobaczyłam tu Davida. Miał zmartwioną twarz. Wydawało mi się, że szepnęłam jego imię.

- Daryo? - powiedział zdziwiony i wszedł do holu. Govind stanął przy nim z nachmurzoną twarzą, a po chwili zamknął frontowe drzwi i ruszył po schodach.

- Przyprawdżę pana Osrica. Odpoczywa - zachrypiał.

- Nie - zaprotestował David i szybko przemówił do niego w hindi.

Govind pokręcił głową i odpowiedział w tym samym języku. Nieco zbity z tropu, ponownie ruszył na górę. Gdy przeszedł obok mnie, zeszedł na dół.

- Daryo, czy nic ci nie jest? - spytał David, podchodząc do mnie.

Nagle uświadomiłam sobie, jak jestem ubrana. Najwyraźniej zostawiłam zasłonę w salonie. Spuściłam wzrok, spoglądając na brodawki swoich piersi i na nogi widoczne przez przejrzyste pantalony. Czy David zwrócił uwagę na ten strój? Spoglądał w skupieniu na moją twarz.

- Nie jesteś chora? - powtórzył pytanie. Odchrząknęłam.

- Czuję się bardzo dobrze - odparłam, gdy w końcu jakoś zdołałam wydobyć z siebie głos, choć brzmiał dziwnie cicho i brakowało mi tchu.

- Naprawdę? - nie ustępował, nadal obserwując moją twarz.

- Dlaczego jesteś tym tak zaskoczony? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Pragnęłam przesunąć opuszkami palców po jego bliźnie, żeby znowu poczuć lekką chropawość skóry.

- Bo przychodziłem tu codziennie, Daryo, a czasami nawet dwa razy, od następnego dnia po naszym przyjeździe do Londynu - oznajmił.

Przez moment spoglądał na moje piersi, a ja byłam bliska zakrycia ich dłońmi, ale nie zdobyłam się na to.

- Za każdym razem, gdy zadzwoniłem, Govind albo sam Bull mówili mi, że jesteś chora lub śpisz i nikogo nie przyjmujesz - ciągnął niemal gniewnie. - Daryo, zawsze mnie stąd odprawiano z kwitkiem. Zawsze. - Podeszedł do mnie jeszcze bliżej i pokręcił głową. - Ale tym razem nie pozwoliłem się zbyć. Wszedłem tu, zanim Govind zdołał zamknąć drzwi. Musiałem tu przyjść. Musiałem się upewnić... - Przerwał i znowu spojrzał na mój strój.

Poczułam na policzkach rumieńce wstydu. Pomyślałam o tym, ile razy słyszałam, że ktoś dzwoni do drzwi.

- Ale ja nie byłam chora i nie spałam - oznajmiłam. Chciałam zwrócić się do niego po imieniu, lecz sobie na to nie pozwoliłam. - Przebywałam tu codziennie, ale... ale wczoraj, gdy wybraliśmy się na przejażdżkę powozem... - Przerwałam, dodając w myślach: i

zobaczyłam cię z narzeczoną... Na wspomnienie pięknej kobiety w różowej sukni, jego przyszej żony, która trzymała go za ramię, cofnęłam się. - Osric nie przekazał mi, że przychodziłeś - dodałam już normalnym głosem.

David lekko zmarszczył czoło, gdy nazwałam pana Bulla po imieniu.

- Widziałem cię wczoraj, Daryo. Dlatego dziś nie pozwoliłem się stąd odprawić. Bo wiedziałem, że czujesz się na tyle dobrze, żeby móc wybrać się na spacer. Mignęła mi tylko twoja twarz... oczy nad zasłoną w oknie powozu. Próbowałem do ciebie podejść, zanim odjechałaś. Chciałem... - Znowu podszedł do mnie bliżej.

Moje ciało zareagowało natychmiast, miękąc jak wosk. Zbliżyłam się do Davida, jakby przyciągana jakąś niewidzialną siłą. Uniosłam ręce i nagle przypomniałam sobie o sznurze na szyi kobiety z fotografii. Straciłam oddech.

- O co chodzi? Daryo? Spójrz na mnie. Powiedz mi, co...

- Cóż za nieoczekiwana wizyta - przerwał mu pan Bull grzmącym głosem, schodząc po schodach.

Był rozczochrany, zapinał kurtkę i miał przekrzywiony kołnierzyk koszuli. Twarz miał barwy surowego ciasta, a usta bardzo blade. Zatarł ręce, stając obok mnie przy schodach.

- Czyżby, sir? Niczym się nie różni od tych, które składam tu ostatnio codziennie. Ale tym razem jest oczywiste, że Darya może przyjmować gości - odpowiedział David uprzejmie, lecz lekceważąco zimnym tonem. Miał napiętą i posępną twarz.

Osric poprawił kołnierzyk.

- Jaki charakter ma pańska wizyta? - spytał obojętnie. David spuścił głowę.

- Chciałem zobaczyć Daryę, upewnić się, że wszystko jest w porządku - odpowiedział.

- A dlaczego miałoby nie być? - odparł Osric, ledwie powstrzymując gniew, podobnie jak David.

Spoglądałam to na jednego, to na drugiego.

- Daryo? - zwrócił się do mnie David cichszym głosem. - Wygląda na to, że możesz wychodzić z domu. Ja i moja matka chcielibyśmy cię zaprosić do nas na obiad. Może w środę lub w czwartek?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Osric objął mnie w talii. Zesztywniałam, czując przez niemal przezroczystą tkaninę jego gorącą dłoń.

David dobrze widział ten gest.

- To bardzo miło, ale Darya ma w tym tygodniu inne plany, związane ze mną. Czyż nie, Daryo jan? - Osric spojrzał na mnie.

Nie mogłam tego potwierdzić, zawstydzona tym demonstracyjnym zachowaniem. Nagle poczułam, że mocniej ścisną mnie w talii.

- Czyż nie, moja droga? - powtórzył wolno.

Skinęłam głową, przypominając sobie kobietę z fotografii. Spuściłam wzrok, by nie widzieć twarzy Davida.

- Poza tym z pewnością jesteś bardzo zajęty swoimi sprawami, sir - ciągnął Osric. - Wy tłumaczyłem Daryi, że po tak długiej nieobecności w kraju czeka cię tu mnóstwo spotkań i wizyt.

- Daryo? Naprawdę nie masz ochoty przyjechać do nas na obiad? Gdy nie będziesz tak... zajęta, przyślę po ciebie powóz - zwrócił się do mnie David, ignorując Osrica.

Spojrzałam na niego i pomyślałam o dziewczynie w różowym, która trzymała go za ramię. Przypomniałam sobie, jak dał mi odczuć, że jestem dla niego kimś szczególnym, że to, co do mnie czuje... Uniosłam podbródek. Nie byłam dumna z kobiety, którą się stałam, decydując się na związek z Osrikiem, ale wciąż mogłam pokazać Davidowi, że mam jeszcze trochę godności, udąć tę dumną Tadżyjkę, którą kiedyś znał. Nie mogłam do niego podbiec, uchwycić się go kurczowo i powiedzieć: Davidzie, zaczynam się w tym domu bać. Sądzę, że Osric nie jest tym, za kogo chce uchodzić. Nie chciałam błagać Davida o pomoc, jak już tyle razy wcześniej. Nie chciałam usiąść w jego domu przy obiadowym stole, bo na widok Davi - da zajmującego miejsce obok, wraz ze swą piękną narzeczoną, czułabym w ustach smak popiołu. Teraz też byłam nic niewarta, choć znaczyło to coś innego niż w Afganistanie. Nie chciałam pokazać Davidowi, że czuję się zhańbiona. Miał narzeczoną, kobietę, którą kochał. Wkrótce o mnie zapomni, a im szybciej to się stanie, tym mniej będę cierpieć.

- Nie, dziękuję - oświadczyłam stanowczo. - Jak powiedział Osric, jesteśmy bardzo zajęci.

David zamrugał oczami.

- Nie chcesz zobaczyć...

- Już powiedziałam - przerwałam mu, ale głos mi się załamał. Odetchnęłam głęboko. - Jestem ci niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Zawdzięczam ci życie. Ale teraz znajduję się w Anglii i już nie jesteś za mnie odpowiedzialny - dodałam, pamiętając wcześniejsze słowa Osrica. - Nie ma powodu, żebyśmy jeszcze kiedyś się spotkali. Proszę, nie przychodź tu więcej. Jestem... jestem tu szczęśliwa. Osric pogłaskał moją talię.

- Z Osrikiem - dodałam niemal szeptem, a mimo to wydawało mi się, że krzyknęłam, tak dziwną minę miał David. Cofnął się gwałtownie, jakbym go uderzyła.

- Daryo - odezwał się po chwili z czułością, choć stałam ramie przy ramieniu z Osrikiem, obejmującym mnie mocno tak blisko niego, że czułam na uchu jego oddech.

Wymówił moje imię tak samo jak wtedy o zmroku na statku, gdy mieliśmy nad sobą rozgwieżdżone niebo, a pod nogami pełen tajemnic ocean. Bałam się, że się zachwieję, jak po wielu miesiącach spędzonych na morzu. Spojrzałam Davidowi w oczy, chcąc dać mu do zrozumienia, dlaczego to wszystko powiedziałam, dlaczego poprosiłam, żeby więcej tu nie przychodził.

Ale nie odczytał właściwie mojego spojrzenia. Gdy nadal nic nie mówiłam, zeszywniał i poblądł.

- Govind, odprowadź pana Ingrama - powiedział wolno i dobitnie Osric, nie kryjąc zadowolenia.

Gdy służący otworzył drzwi, David odwrócił się, jakby chciał natychmiast wyjść, ale zaraz się obejrzał.

- A więc dobrze! - zaczął nienaturalnie głośno, spoglądając na mnie w sposób, którego nie potrafiłam określić. - To świetnie, Daryo, że spełniły się twoje życzenia, że jesteś tu szczęśliwa! - Włożył kapelusz. - I wolna! Czy nie tego chciałaś?! Być wolną?! - Obejrzał mój strój i kolczyki, które wczoraj dał mi Osric.

Zastanawiałam się, czy dziś rano umyłam twarz czy też od wczoraj mam oczy podmalowane przez Osrica kohlem. Otworzyłam usta, chcąc coś powiedzieć, żeby David zrozumiał powód mojej decyzji, ale już wyszedł, trzaskając drzwiami.

Słyszałam ten hałas w głowie. Nogi się pode mną ugięły i oparłam się ciężko o Osrica. Gdy szliśmy do salonu, trzymał mnie mocno za rękę. Kazał podać herbatę. Czekaliśmy, aż Govind ją przyniesie. Osric chodził tam i z powrotem koło kominka, gładząc

ręką włosy, a ja siedziałam z ciężkim sercem w fotelu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

- To było okropne - przerwał w końcu milczenie Osric ostrym tonem. - Co za arogancja przychodzić tu bez zapowiedzi po to tylko, żeby nas niepokoić. - Przystanął i spojrzał mi w oczy. - Daryo, wyglądasz naprawdę żałośnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co takiego powiedział ci David Ingram, że tak się zdenerwowałaś. - Uśmiechnął się do mnie niemal czule.

Siedziałam w fotelu, podciągnawszy kolana pod brodę i oparłszy na nich policzek. Nie chciałam widzieć i słyszeć Osrica Bulla.

- Jestem z ciebie dumny, że pokazałaś mu, gdzie jego miejsce. Nie będzie cię już dłużej niepokoił. Dobra robota - podsumował.

Gdy Govind przyniósł herbatę, po raz pierwszy poprosiłam o laudanum. Chciałam, żeby mi pomogło przetrwać kolejne godziny, kiedy będę musiała stawić czoło myśli, że na zawsze straciłam Davida Ingrama.

Wypiłam herbatę z laudanum, nie podnosząc oczu, żeby Osric nie zobaczył w nich łez czy nie odczytał tego, co miałam wypisane na twarzy.

Rozdział XLIV

Minęło pięć dni od wizyty Davida, od chwili, w której mu powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć. Mieszkałam w Londynie już prawie dwa tygodnie. Zrobiło się tak ciepło, że nie trzeba było więcej palić w kominkach. Przez otwarte okna wdzierał się do domu przykry odór ulic, a na parapetach okien osiadały sadza i kurz. Od dawna po raz pierwszy byłam zadowolona z nieczystości miesięcznej, zamiast trząść się ze strachu przed gniewem Shaliq'a, bo przynajmniej przez kilka dni mogłam odpocząć od intymnych kontaktów z Osrikiem. Ilekroć przechodziłam pod drzwiami ciemni, myślałam o zdjęciu kobiety ze sznurem na szyi.

Kiedyś późnym popołudniem siedziałam w fotelu przy oknie salonu, a Osric leżał na otomanie. Gdy wszedł Govind, żeby zabrać tacę, bo właśnie wypiliśmy herbatę, zerknęłam na Osrica. Mój kochanek miał zamknięte oczy i otwarte usta. Lekko posapywał. Wcześniej długo palił fajkę wodną.

Zawołałam Govinda.

- Słucham, panienko? Jestem do usług - odezwał się, podchodząc.

- Govind, czy czasami... chcesz dom? - spytałam. Pochylił się do mojego ucha.

- Do domu, panienko? - poprawił mnie i pokręcił głową. - Indie są stąd zbyt daleko. Jestem za stary.

- Ale czy myślisz o Indiach? O domu?

- O tak, panienko, przez cały czas.

- Czy jesteś smutny?

- Smutny? Już nie. To zbyt trudne być stale smutnym. - Wyprostował się. - Ale... - Wyrzwał ponad moją głowę przez okno. - Ale marzę o tym, żeby umrzeć w moim prawdziwym domu. Żeby moje prochy pływały w matce rzece Ganges, a nie spoczywały pod zimną angielską ziemią. - Pokręcił głową. - Jestem tylko starym głupcem. - Nadal wyglądał przez okno. - To nie może się zdarzyć.

- Sądzę, że wkrótce udam się do domu - powiedziałam i spojrzałam na niego.

Zerknął przez ramię na Osrica, a następnie na mnie.

- Być może - powiedział jeszcze ciszej i dotknął mego ramienia.

Gdy wyszedł, wstałam i bardziej odsłoniłam okna.

- Daryo, zasun zasłony - burknął Osric, poruszył się i zakrył oczy dłońmi. - Jest zbyt jasno.

Podeszłam do niego.

- Osric, czy mogę wyjść na dwór? - spytałam. Usiadł i pogładził wąsy.

- Nie. Oczywiście, że nie. Może za kilka dni zabiorę cię na przejażdżkę powozem, ale poza tym będziesz przebywała w domu - oznajmił.

Przypomniałam sobie, co mi odpowiedział, gdy w godown w Bombaju spytałam go, czy w Londynie zaniknie mnie w klatce jak niedźwiedzia, którego oglądałam na fotografii. Odwróciłam się, zła na niego, że mnie wtedy okłamał, i na siebie, że mu uwierzyłam. Spojrzałam na skrawek nieba nad dachami domów.

- W moim kraju o tej porze dnia na niebie jest czysty błękit, świeżo zroszony wodą, który pachnie... nadzieją. Drży lekko nad nami, jakby robił miejsce w wonnym powietrzu dla naszych ulatujących w górę myśli. A tu niebo jest jak miednica z brudną wodą, w której tonie miasto. W której my toniemy. Nasze ciała. Nasze umysły - powiedziałam w zadumie.

Osric wstał i przeciągnął się.

- Skąd to twoje niezadowolenie? - spytał, najwyraźniej niezainteresowany moimi myślami, i podniósł do ust filiżankę z na wpół wystygłą niedopitą herbatą.

Staralam się z całych sił zapanować nad gniewem, próbując mu wytłumaczyć, o co mi chodzi.

- Osric, ja muszę coś zrobić, a nie mam nic do zrobienia. Rękami czy... - Dotknęłam skroni w taki sposób, w jaki robił to on, gdy zaczynała go boleć głowa.

Nic na to nie powiedział, a ja chodziłam pod oknem od ściany do ściany, zawracając gwałtownie.

- Osric, ja muszę się poruszać. Poruszać i myśleć. Czy tego nie zauważasz?

- Daryo, nie bądź taka dramatyczna. To męczące.

- Męczące? Ale... ja muszę coś zrobić. Muszę być czymś zajęta, żebym mogła normalnie myśleć. Jeśli nie jestem w ruchu, to również mój umysł jest bezczynny. - To nie była prawda, bo wręcz nie mogłam zapanować nad myślami - o rodzinie, o moim kraju, o

Davidzie, o wszystkim, co straciłam - i miałam w głowie zamęt. Wszystkie były smutne.

- Doskonale, moja droga - powiedział na to i poklepał miejsce obok siebie. - Jesteś dobrą i cierpliwą dziewczyną. I zadowolonaś mnie na wiele sposobów. - Uniósł brwi i spojrzał na mnie lubieżnie.

Przełknęłam ślinę i niechętnie usiadłam obok niego.

- Więc cię wynagrodzę. Dam ci zajęcie, które będziesz wykonywała z przyjemnością - oświadczył i przełożył mi włosy przez ramię. - Niech się zastanowię. - Spojrzał w stronę okna i skinął głową. - O tak. Powinnaś nakręcać moje zegary.

- Zegary? Nakręcać? - spytałam z niedowierzaniem.

- Owszem. Wymaga to trochę czasu. Trzeba pójść do każdego pokoju i nakręcić każdy zegar. Govind robi się coraz powolniejszy. Obawiam się, że już nie nadaża z wykonywaniem wszystkich swoich obowiązków. Pani Wimby dała mi jasno do zrozumienia, że taka praca nie jest jej godna. Nie sądzę, żeby Lucy czy mała Ella sobie z tym poradziły. Ty natomiast sobie poradzisz, z tymi szybkimi dłońmi i zręcznymi palcami - przemawiał do mnie takim tonem, jakby starał się udobruchać dziecko, które jest w złym humorze, i proponował mu łakocie. Wziął mnie za rękę i ucałował w koniuszki palców.

Tym dotykem wilgotnych ust jeszcze bardziej mnie rozzłościł. Proponował mi nakręcanie zegarów! Mnie, która dźwigała na plecach bagaż jak silny kucyk, gdy Ghilzai przenosili obóz, stała po kolana w lodowatych strumieniach i uderzała ciężkimi ubraniami o kamienie, stawiała namiot z kozłej skóry w krótszym czasie, niż wymagało zagotowanie garnka wody na ogniu! Która wędrowała przez obce kraje, wylizala się z ciężkiej choroby i stawiała czoło samotności i strachowi! Ktoś taki miał teraz kręcić kluczykami, żeby tykanie zegarów przypominało o upływie czasu i odmierzało kolejne minuty i godziny! Przez długą chwilę nie mogłam wymyślić właściwej odpowiedzi na taką propozycję. Czulałam gdzieś w oczodołach pulsujący ból. Wyszarpnęłam dłoń z dłoni Osrica i wyciągnęłam obie ręce. Drżały.

- Ty naprawdę myślisz, że te palce będą szczęśliwe, mogą kręcić kluczykami? - spytałam z wyrzutem.

- Daryo, nie mów do mnie w taki sposób - przestrzegł, spoglądając na mnie z bardzo bliska. - Spędziliśmy ze sobą bardzo miłe chwile. Poprosiłaś mnie o jakieś zajęcie, więc ci je przydzieliłem.

Ale znowu okazałaś niewdzięczność. Okropnie mnie zdenerwowałaś. Znowu. - Wstał i obciągnął mankiety koszuli. - Nie będę tego tolerował. Mówiłem ci to już nieraz. - Zacisnął szczęki. - Jeszcze nie zrozumiałaś? Jak sądzisz, z kim masz do czynienia?

Usłyszałam w myślach słowa Govinda, abym była dobra dla Osrica, i przestrożę, że jeśli pan Bull nie chce już jakiejś kobiety, to po prostu jej się pozbywa... albo... Odwróciłam się.

- Powiem Govindowi, żeby ci pokazał, jak się nakręca zegary. Jestem zadowolony, że pomyślałem o takim zajęciu dla ciebie. Zaczyniesz jutro i będziesz je nakręcała codziennie. Rozumiesz? - spytał ostro.

Spojrzałam na niego.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - spytał.

- Dziękuję, Osric - powiedziała bezbarwnym głosem. Skinął głową i wyszedł.

Mijały kolejne tygodnie i było coraz cieplej. Czasami nad ulicami snuła się brzydka żółta mgła. Gdy rano Lucy sprzątała mój pokój, radziła mi zamykać okno na noc, bo ciepłe powietrze roznosiło choroby.

- To jest lato? - spytałam ją kiedyś.

- Tak, proszę pani - potwierdziła, najpierw spojrzawszy na mnie tak, że zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Również w tonie jej głosu usłyszałam zaskoczenie i litość. Zawstydziałam się swojej ignorancji. Nie wiedziałam, co się dzieje na dworze.

Osric nie zabrał mnie ponownie na przejażdżkę, choć często wychodził z domu. Co rano wyglądałam przez okno i widziałam to samo, od kiedy zamieszkałam w domu pana Bulla w Kensington: okna domu po przeciwnej stronie uliczki. Czarnowłosa dziewczynka więcej się już tam nie pojawiła. Po pewnym czasie zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem jej sobie tylko nie wyobraziłam, myśląc o Nasreen. Gdy przychodziły mi do głowy takie myśli, zastanawiałam się, czy mogę stracić zmysły i stać się jak Utmarkhail, chodzić bez celu, powłócząc nogami, i żyć bezmyślnie. Ale w przeciwieństwie do matki Shaliqa nie miałam apetytu i jadłam tylko tyle, ile musiałam, żeby nie zachorować.

Od kiedy rozstałam się z Davidem, moje życie zawężało się do czterech ścian tego domu, który stał się moim więzieniem. Często

czułam się tak, jakbym nosiła ciężki czador, który nie tylko mnie zakrywał i krępował mi ruchy, ale także w jakiś sposób zaciemniał moje myśli. Teraz codziennie prosiłam o laudanum do popołudniowej herbaty. Nie mogłam się go doczekać, gdyż zapewniało mi kilka godzin ucieczki od rzeczywistości. W oczekiwaniu na obiad leżałam na czerwonej otomanie i drzemałam. Kazałam Govindowi, żeby wieczorem przynosił mi następną filiżankę herbaty z laudanum, zanim pójdę do sypialni Osrica. Lokaj podawał mi ją z obojętną miną.

- Przepraszam, Govind - powiedziałam kiedyś, opróżniwszy filiżankę, choć nie bardzo wiedziałam, dlaczego to mówię.

Wziął ode mnie filiżankę i pokręcił głową.

- Panienko - powiedział i wyszedł.

Ale dzięki laudanum nie byłam w szerokim łóżku Osrica smutna i nie czułam do tego mężczyzny takiego obrzydzenia jak normalnie. Poza tym moje ciało stawalo się bardziej uległe i leniwie przybierało pozycje wymagane przez Osrica. A kiedy mój kochanek czerpał z tych miłosnych igraszek zadowolenie, byłam jak w półśnie i słowa, które chciał usłyszeć, wychodziły z moich ust, jakby je wypowiadał ktoś inny.

Pewnego popołudnia, gdy Osrica nie było w domu, leżałam w gorącym dusznym salonie z filiżanką herbaty w dłoni. Próbowałam oglądać książkę z malarstwem, którą zdjęłam z półki, ale nie mogłam się skupić i upuściłam ją na dywan.

Przyszedł Govind i dotknął mojej ręki.

Otworzyłam oczy.

- Panno Daryo, ma pani gościa - szepnął lekko zaniepokojony.

David? - pomyślałam. Przetarłam oczy i poprawiłam włosy, ale zaraz znieruchomiałam. To nie mógł być David.

- Przyrowadzę ją - powiedział.

Zmarszczyłam czoło, nie wiedząc, czy dobrze rozumiałam, że chodzi o kobietę. „Ją”.

Słyszac człapanie lokaja, a za nim czyjś lekki krok, wstałam z otomany. Otworzyłam usta na widok niewysokiej kobiety, wchodzącej do salonu.

- Och - powiedziałam, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. - Pani Ingram.

- Dzień dobry, Daryo - powitała mnie cichym głosem, w którym jednak czulo się siłę.

Patrzyła na mnie z troską. Lekko przechyliła głowę i uśmiechnęła się tak samo jak jej syn. Ja też próbowałam się do niej uśmiechnąć, czując, jak ze wzruszenia drżą mi usta. Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy w porcie, byłam zdezorientowana i zrozpaczona, że muszę pożegnać się z Davidem i udać się do Osrica. Zwróciłam tylko uwagę na jej jasne włosy, ciemne oczy i ten ciepły uśmiech. Teraz, kiedy znowu go zobaczyłam, uznałam, że pani Ingram ma miłą powierzchowność i w młodości musiała być piękną kobietą o delikatnej angielskiej urodzie. Złotawy odcień jej piwnych oczu wydawał się teraz bardziej widoczny, podobnie jak ciemny blond włosów, tu i ówdzie przyprószonej siwizną, upiętych na karku w prosty kok, który swobodnie opierał się o kołnierz, a twarz okalało kilka kosmyków. Włosy miała takie same jak David, jeśli nie liczyć siwizny. Ubrana była w bladoliliową suknię podkreślającą szczupłość jej figury, bladoliliowy kapelusz i białe rękawiczki. W rękę trzymała jedwabną torebkę w ciemniejszym odcieniu lila.

Govind stał za nią wyczekująco i pani Ingram odwróciła się do niego.

- Kiedy wraca? - spytała.

- Nie powiedział, memsahib. Nie ma go od kilku godzin. Skinęła głową.

Lokaj był najwyraźniej przerażony, że pani Ingram jest tu pod nieobecność pana Bulla. Czułam, że nie chciał jej wpuścić do domu, ale zapewne nalegała, jak wcześniej David. Teraz zaprosił ją gestem, żeby usiadła.

- Czy memsahib na niego zaczeka? - spytał. Skinęła z roztargnieniem głową i podeszła do mnie.

- Daryo, bardzo się cieszę, że znowu cię widzę. Czy przywykłaś już do naszej angielskiej pogody i czujesz się tu dobrze? - spytała po angielsku, mówiąc bardzo wolno i z uśmiechem. Ale przyjrząwszy się mojej twarzy i strojowi, spoważniała.

- Tak. Czuję się dobrze - odpowiedziałam. Nadal przyglądała mi się w skupieniu.

- David powiedział mi, że miał trudności, gdy chciał się z tobą zobaczyć - oznajmiła.

Nie wiedziałam, jak mam to skomentować. Zerknęła na Govinda.

- Możesz odejść - rzuciła rozkazująco.

Skinął głowę, skłonił się, krzyżując ręce na piersiach, i wyszedł z salonu.

- Naprawdę dobrze się czujesz? - spytała, choć powiedziałam jej już, że tak. - Ty... - Nadal przyglądała się mojej twarzy, a zwłaszcza oczom, i wzięła mnie za rękę. - Chodź... Chcę... Muszę z tobą porozmawiać.

Usiadłyśmy obok siebie na otomanie.

- Zaryzykowałam i przyszedłam tu, nie wiedząc, czy pan Bull przyjmie mnie w swoim domu - ciągnęła. - Ani jemu, ani mnie nie zależy na utrzymywaniu wzajemnych kontaktów. Ale nawet gdyby mnie tu wpuścił, być może nie miałabym możliwości rozmawiania z tobą... samą. Czy mnie rozumiesz?

- Jeśli mówi pani... wolno. Tak. Nie znam wszystkich słów, ale wiele rozumiem - odpowiedziałam.

Chcąc ją zrozumieć, musiałam się bardzo skupiać, co sprawiało mi trudność. Żałowałam, że przed jej przyjściem zażyłam laudanum, że mój umysł nie jest tak jasny i bystry jak kiedyś. Dlaczego tu przyszła? Gubiłam się w tym wszystkim.

- Martwię się o ciebie - oświadczyła. To jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu.

- O mnie? Ale... dlaczego? - zdziwiłam się. Zerknęła na fajkę wodną.

- David nie wie, że tu przyszłam. Był bardzo zaniepokojony po ostatniej wizycie tutaj.

Próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądał, rozmawiając z młodą kobietą w różowej sukni. Czy wtedy w wyrazie jego twarzy dostrzegłam niepokój? Nie pamiętałam.

- Wiem, że ta podróż była dla niego trudna - ciągnęła pani Ingram. - Powiedział mi, że wyznał ci powód swojej wyprawy do Afganistanu. - Rozejrzała się, zdjęła rękawiczki, położyła je na kolanach i znowu na mnie spojrzała. - David powiedział mi o tobie niewiele. Podobno byłaś żoną Pasztuna. Z jakiego plemienia?

David mówił mi prawdę o swojej matce. Rzeczywiście różniła się od innych Angielek, ale nie potrafiłam określić czym.

Nie była podobna do tych, które widziałam w Bombaju i na statku, i szczerze się mną interesowała. Nie potraktowała mojego wyglądu, to znaczy harquus, jako czegoś wstrętnego czy osobliwego.

- Ghilzai - odpowiedziałam, zdając sobie sprawę, że pyta o to, ponieważ zapewne ojciec Davida pochodził z tego plemienia.

Spojrzałam na jej splecione dłonie. Były delikatne, a paznokcie wypolerowane i starannie obcięte. Skinęła głową, jakby czytała w mojej twarzy.

- David mi wspomniał, że powierzył ci swój sekret dotyczący jego ojca. Wiesz zatem, że jego ojciec nie był moim mężem ani też Anglikiem. - Wyprostowała się i powiedziała dobitnie: - Nie byłam sobą, kiedy w gorącej porze roku udałam się na północ Indii, żeby spędzić tam czas jakiś w mieście Simla, w pobliżu Północno - Zachodniej Prowincji Granicznej... - Przerwała, gdy pod oknem przetoczył się powóz. - W żadnym wypadku nie planowałam niczego takiego, ale niespodziewanie stało się tak, że... bliski stał mi się tam pewien mężczyzna, taki jak twój mąż.

Skrzywiłam się i energicznie pokręciłam głową.

- Nie, nie taki jak mój mąż - zaprotestowałam.

- Miałam na myśli tylko to, że był Pasztunem - wyjaśniła szybko.

- Miły i troskliwy. - Spojrzała w okno.

Pomyślałam o Kaledzie. Ojciec Davida mógł być taki jak on.

- Ale nikt o niczym nie wiedział - ciągnęła, lekko kręcąc głową. - A później, kiedy się zorientowałam, że noszę pod sercem dziecko, Davida... - Zerknęła na drzwi. - Może mi nie starczyć czasu na opowiedzenie ci całej tej historii, ale nie wiedziałam, czy w ogóle będę miała taką możliwość...

Spojrzałam jej w oczy, znowu dostrzegając ich złocisty odcień.

- Gdy David mi powiedział, że przypląnęłaś tu, aby zamieszkać z Osrikiem Bullem, bardzo się tym zmartwiłam, zanim jeszcze pojęłam, ile znaczysz dla mojego syna.

Patrzyłam na usta pani Ingram, starając się jak najwięcej zrozumieć z jej angielszczyzny. Czyżby powiedziała, że znaczę coś dla jej syna?

- Poznałam Osrica Bulla w Kalkucie. Był przyjacielem mojego męża - ciągnęła. Zdjęła z kolan rękawiczki i ścisnęła je w dłoniach, zapewne ze zdenerwowania, choć twarz miała spokojną. Z pewnością potrafiła ukrywać emocje, musiała się tego nauczyć, utrzymując od tyłu lat w sekrecie, że ojcem Davida jest ktoś inny, niż wszyscy sądzili. - Wydawał się nieskazitelnym dżentelmenem. Podobnie

zresztą jak mój mąż. - Gdy to mówiła, z jej twarzy na moment zniknął spokój.

Czy była to ta sama mina, jaką ja zrobiłam przed chwilą, myśląc o Shaliqu?

- Udałam się do hinduskiej akuszerki, która później odebrała poród - powiedziała. - Wiesz, o co mi chodzi?

Skinęłam głową.

- Przyszłam do niej w tajemnicy. - Położyła z powrotem rękawiczki na kolanach i nieświadomie dotknęła brzucha. Z pewnością była wtedy przerażona tym, czemu musiała stawić czoło, i czuła się bardzo samotna. Biały kobietom nie wolno było zadawać się z Hinduskami, ale poszłam do niej, bo... - Zawahała się. - Zanim David przyszedł na świat, obawiałam się, że jeśli będzie wyglądał jak... Nie miałam się do kogo zwrócić, a ona dodała mi otuchy i pomogła. - Oblizwała wargi i gwałtownie odwróciła głowę.

Wyobraziłam ją sobie jako młodą kobietę, może w moim wieku, i ogarnęło mnie współczucie. Zrozumiałam, jakiej siły wymagało borykanie się z taką udręką.

- Gdy pewnego dnia udałam się do tej akuszerki, zjawił się tam również Osric z hinduską dziewczyną. Akuszerka próbowała jej pomóc, ale było już na to za późno. Dziewczyna zmarła. - Pani Ingram pokręciła głową, posmutniała pod wpływem tych wspomnień.

- Chodziło o dziecko? - spytałam.

- Nie. Owszem, dziewczyna była w ciąży, ale chodziło też o inne sprawy... Daryo, ona nie miała więcej niż trzynaście lat. Była... wykorzystywana... Rozumiesz?

- Nie. Nie znam tego słowa.

- Zadawano jej ból. Jej ciało było...

Skinęłam głową, z trudem przełykając ślinę. A zatem przez te wszystkie lata Osric zadawał dziewczynom... kobietom ból.

- Gdy mnie zobaczył, powiedział, że znalazł ją w takim stanie, że to córka jego służących, ale wiedziałam, o co chodzi. Gdyby to, co powiedział, było prawdą, nie przyprowadziłby tam tej dziewczyny. Zająłaby się nią jej rodzina. Poza tym po jej stroju domyśliłam się, do czego ją wykorzystywał - oznajmiła.

Uporządkowałam sobie to wszystko w głowie, tłumacząc jej słowa na perski. Osric przyprowadził tę dziewczynę do akuszerki. Dziewczyna była w ciąży i zadawał jej ból. Umarła. Gdy pani Ingram

nosiła w łonie Davida, nie udała się do angielskiego lekarza, lecz do hinduskiej położnej. Spojrzałam na swoje pantalony. Przejrzysta niebieska tkanina falowała, bo drżały mi nogi. Czy ubierał tę młodą dziewczynę, którą ranił... którą zabił... w takie same stroje jak mnie teraz?

- Wiedziałam, co zrobił, ale on też zobaczył mnie w miejscu, w którym nie powinnam się znajdować - ciągnęła pani Ingram. - Z jego spojrzenia... wywnioskowałam, że domyśla się, dlaczego tu przyszedłam, tak jak ja zrozumiałam, dlaczego zjawił się z tą dziewczyną u hinduskiej akuszerki. - Pani Ingram mocno pobladła. - Daryo, nikt by mi tego nie wybaczył. Nie tylko mój mąż, lecz cała angielska wspólnota w Kalkucie wyrzuciłaby mnie poza nawias i byłabym okryta hańbą również w Anglii, gdyby się wydało, że jestem w ciąży z innym mężczyzną, w dodatku należącym do innej rasy. Nie troszczyłam się o to, co się ze mną stanie, ale musiałam myśleć o dziecku. O Davidzie. Prawda? Tak postępuje matka. - Gwałtownie odchyliła się na oparcie otomany.

- Madam, czy nikt nie dostrzega tego, co ja widzę, gdy patrzę na Davida? - spytałam. - Jego oczy... Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, dostrzegłam w nim Pasztuna.

Powiedziała coś tak szybko, że nie zrozumiałam. Pokręciłam głową, a wówczas umilkła.

- Niepokoiłam się kształtem i barwą oczu Davida... Oczywiście patrząc na mojego syna, widziałam w wyobraźni jego prawdziwego ojca, ale w kulturalnej angielskiej społeczności w Kalkucie raczej nikt niczego nie podejrzewał, a gdyby nawet podejrzewał, nic by nie powiedział, bo mój mąż święcie wierzył, że David jest jego dzieckiem. A mój mąż był człowiekiem, którego nikt nie odważył się rozgniewać. Pod tym względem przypominał Osrica Bulla. On zaś, gdy zobaczył mnie w ciąży u tej akuszerki, domyślił się prawdy. Nic nie powiedział, tylko spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

Znałam ten uśmiech. Wyrażał poczucie wyższości i pewność zadowolonego z siebie człowieka, że będzie miał to, czego chce.

- Oczywiście nie mogłam nikomu powiedzieć, gdzie spotkałam Osrica i co zrobił tej biednej hinduskiej dziewczynie, bo naraziłabym się wówczas na pytanie, dlaczego tam byłam. Ale ilekroć później Osric widział mnie z Davidem, spoglądał na niego i na mnie i uśmiechał się tym swoim szczególnym uśmiechem, kiwając głową.

Wiedział, że ojciec Davida jest tubylcem. Nigdy nie powiedział na ten temat słowa, ale świadczył o tym wyraz jego twarzy. - Pani Ingram drżała, przeżywając teraz na nowo tamte wydarzenia. - A ja znałam prawdę o nim.

Drzwi się otworzyły i do salonu wszedł Govind.

- Przyjechał powóz pana Osrica - oznajmił.

Pani Ingram zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Potem uśmiechnęła się i uniosła podbródek. Była opanowana, jakbyśmy rozmawiały o czymś tak niewinnym jak pogoda. Przesiadła się z otomany na krzesło. Gdy na schodach rozległy się kroki, odwróciła się do mnie, wkładając rękawiczki.

- Czy masz jeszcze naszą wizytówkę, tę, którą David dał ci w porcie? - spytała cicho i nagłaco.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, do salonu wszedł Osric. Zacierał ręce.

- Madam - zwrócił się do pani Ingram. - Byłem bardzo zaskoczony, gdy Govind poinformował mnie o pani wizycie. To raczej niezwykle. - Uniósł brwi. - Ale, jak rozumiem, po prostu wybrała się pani na przejażdżkę u nagle postanowiła tu wpaść, nieprawdaż? Jakież to nietypowe u osób z pani sfery.

Nie zrozumiałam, co miał na myśli, ale pani Ingram oczywiście tak, bo zacisnęła usta i zmarszczyła brwi.

- Rzecz jasna, pani syn przejawia ten sam brak dobrych obyczajów. Czy wie pani, że wpadł w nałóg zjawiania się tu bez zaproszenia? - Pokręcił głową, jakby zasmucony, ale zaraz jego usta wykrzywił dziwnie groźny uśmieszek. - Jaka szkoda, że musiała pani na mnie czekać. Ale oczywiście mogła mi pani przysłać bilet wizytowy w celu uniknięcia tej kłopotliwej sytuacji. Powinna się pani wstydzić. - Cmoknął niezadowolony.

Teraz zorientowałam się, że z niej kpi. Czułam się zażenowana jego niemiłym zachowaniem. Ale pani Ingram rozchmurzyła się i rzuciła mu niemal dziewczęcy uśmiech.

- Przepraszam, sir - powiedziała swobodnie. - Jak pan się domyślił, po prostu byłam na przejażdżce i to był kaprys, bardzo niestosowny, przyznaję.

Z tonu jej głosu biła taka pewność siebie, że nawet ja nie wątpiłabym w prawdomówność tych słów, gdybym nie wiedziała, że

kłamie, że przyjechała tu specjalnie, aby ze mną porozmawiać. Było jasne, że ona i Osric prowadzą jakąś grę słowną.

- David poznał mnie z miss Daryą w porcie i gdy dziś po południu przejeżdżałam przez Kensington, nagle o niej pomyślałam i postanowiłam sprawdzić, czy przywykła już do życia w Anglii. - Pani Ingram uśmiechnęła się promiennie i zerkając na mnie, musnęła czoło koronkową chusteczką, którą wyjęła z torebki. - Nie zdążyliśmy porozmawiać, ale Darya chyba czuje się dobrze. O, jak gorąco.

- Owszem - potwierdził Osric, wciąż stojąc. - Czy zaproponowano pani jakieś przekąski i napoje? - spytał obojętnie, jakby po prostu udawał grzeczność.

Pani Ingram wstała.

- Och, proszę sobie nie robić kłopotu. Ale dziękuję za troskę. Poza tym muszę już iść.

Grzeczność, z jaką odmówiła przyjęcia poczęstunku, wydawała się naturalna, w przeciwieństwie do tej, którą zademonstrował pan Bull.

Pani Ingram ruszyła do drzwi, ale nagle zatrzymała się i spojrzała na mnie.

- Daryo, czy mam powiedzieć Davidowi, że się z tobą widziałam, czy też nic mu o tym nie mówić? I o tym, że czujesz się dobrze? - spytała.

Skinęłam głową, nie chcąc myśleć o nim i o jego narzeczonej, o tym, że trzyma ją w objęciach i całuje, tak jak trzymał i całował mnie.

- Czy chcesz mu przekazać jakąś wiadomość? Czy jest coś, co chciałabyś, żebym mu powiedziała? - spytała ponownie.

Zerknęłam na Osrica. Nachmurzony, założył ręce na piersiach i niecierpliwie stukał nogą w podłogę.

- Proszę mu powiedzieć... - Jakie słowa mogłam mu przekazać? - Spodziewam się, że jest szczęśliwy w małżeństwie - wydusiłam z siebie.

Osric odchrząknął, gdy pani Ingram zmarszczyła czoło.

- W małżeństwie? - zdziwiła się.

- Z panną Gwendolyn Liston - powiedział z naciskiem Osric. - Czy nie słyszałem o ich zaręczynach, zanim jeszcze David udał się w tę długą podróż?

Pani Ingram pokręciła głową.

- Z pewnością się pan myli - odparła zaskoczona. - David i panna Liston znają się od dzieciństwa, jeszcze z Kalkuty. Spotykają się na imprezach towarzyskich, bo mają wielu wspólnych przyjaciół, ale... Gdzie pan o tym słyszał?

Rozmawiali teraz tak szybko, że nic nie rozumiałam. Osric się mylił co do zaręczyn Davida z panną Gwendolyn... Pani Ingram wymieniła to imię.

Podeszłam do niej.

- David nie żeni się z tą kobietą w różowej sukni? - spytałam.

Pokręciła głową.

- Nie wiem, kogo masz na myśli, ale z pewnością nie żeni się z Gwendolyn Liston ani z nikim innym - oświadczyła i spojrzała na Osric, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Govind odprowadzi panią do drzwi - powiedział. Służący zbliżył się do niej.

- Do widzenia, Daryo - pożegnała się ze mną.

- Do widzenia - powiedziałam i odprowadziłam ją wzrokiem, spoglądając na jej wyprostowane plecy i ramiona.

Gdy Govind zamknął za nią frontowe drzwi, Osric zadzwonił po niego, sadowiając się w swym czerwonym fotelu.

- Nalej mi coś do picia - polecił, gdy stary służący stanął w drzwiach.

Govind podszedł do stołu z mosiężnym blatem, gdzie stały wysokie butelki, i nalał pół kieliszka bursztynowego płynu, a następnie podał Osricowi alkohol na srebrnej tacy.

Osric chwycił kieliszek tak gwałtownie, że na tackę wylało się nieco bursztynowego płynu.

- Nie miałeś prawa wpuszczać tu tej kobiety i w ogóle nikogo pod moją nieobecność. - Spiorunował służącego spojrzeniem. - Wydałem ci dokładne polecenia, a mimo to widzę, że otwierasz drzwi każdemu. Stajesz się coraz bardziej bezużyteczny. Powinienem być pozbyć się ciebie dawno temu i wziąć sobie kogoś, kto by wiedział, jak wypełniać moje polecenia.

Służący milczał.

- Govind, zapamiętaj, co ci powiedziałem. Jeśli nie potrafisz już wykonywać swoich obowiązków, nie mogę cię dłużej zatrudniać. - Pociągnął z kieliszka i zamyślił się. - Wiesz, co będzie to dla ciebie oznaczało. - Spoglądał na niego znad kieliszka. - Zrozumiałeś?

Govind nie poruszył się, trzymając pustą tacę.

Nie ruszyłam się z miejsca, od chwili gdy spytałam panią Ingram o jej syna, a ona mi powiedziała, że David z nikim się nie zaręczył i nie ożenił. Obserwowałam, jak Osric opróżnia kieliszek i prosi o drugi. Pomyślałam o tym, co mówiła pani Ingram o nim i o hinduskiej dziewczynie, a także o fotografii martwej kobiety i o tym, że okłamał mnie w sprawie zaręczyn Davida.

Osric opróżnił drugi kieliszek, chwycił mnie za rękę i pociągnął po schodach do swojego pokoju. Zły i cuchnący alkoholem, zatrzasnął drzwi. Przebywałam tu z nim fizycznie, ale myślami byłam gdzie indziej, daleko od niego. Obojętna i bezwładna, nie dostarczyłam mu przyjemności. Obwinił mnie o nasze nieudane zbliżenie i kazał mi pójść do swojego pokoju.

Po długiej chwili, gdy zaczęło się zmierzchać, podeszłam do okna. Po jakimś czasie, kiedy zapalono latarnie, znowu zobaczyłam w oknie naprzeciw mojego ciemnowłosą dziewczynkę. Tym razem miała we włosach białą kokardę. A więc była rzeczywista, nie istniała tylko w mojej wyobraźni. Pomachałam jej, a ona uniosła śliczną złotowłosą lalkę i przycisnęła ją do szyby. Zapewne chciała mi ją pokazać. Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

Powtarzałam w kółko imię David, zaparowując szybę oddechem. David Ingram nie był zaręczony i nie kochał innej kobiety, nie marzył o niej, nie trzymał jej w ramionach i nie całował. Uśmiechnęłam się znowu, choć dziewczynki nie było już w oknie.

Rozdział XLV

David nie jest zaręczony. Tylko o tym potrafiłam myśleć przez cały wieczór i nazajutrz od rana. Teraz musiałam znaleźć sposób, jak cofnąć to, co mu powiedziałam, i jak go powiadomić, że nie jestem z Osrikiem szczęśliwa i że Osric mnie okłamał w sprawie jego zaręczyn. Że oczywiście bardzo chętnie przyjadę do jego domu na obiad, na który mnie zaprosił, czy też zjawię się bez specjalnego powodu, po prostu by go zobaczyć.

W domu Osrica przez cały dzień panowała ożywiona krzątanina. Pani Wimby ciągle gdzieś się spieszyła, wydawała polecenia Lucy i Elli cichym, ale ostrym głosem i częściej niż zwykle rozmawiała z Osrikiem. Govind ustawił w holu, w jadalni i w salonie wazony z kwiatami. W salonie chudy chłopiec Pete i Lucy przestawiali pod kierunkiem Osrica meble. Zastanawiałam się, co to wszystko znaczy.

Milczałam, czując, że Osric wciąż jest ze mnie niezadowolony po naszym wczorajszym nieudanym zbliżeniu. Nie chciałam go rozgniewać jeszcze bardziej. Jeśli chciałam w jakiś sposób znowu zobaczyć Davida, musiałam robić dokładnie to, czego zażąda ode mnie Osric.

Pod wieczór odszukał mnie Osric.

- Daryo - odezwał się swym normalnym tonem; nie był naburmuszony, co przyjął z ulgą, jakby wczoraj w jego sypialni nie zdarzyło się między nami nic, co go nie zadowoliło. Wydawał się wręcz podekscytowany: - Będę miał dziś towarzystwo - oznajmił. - Wieczorem przyjdą goście.

- Goście? - powtórzyłam, zastanawiając się, czy chce, żebym wyszła z domu albo zaszyła się w swoim pokoju.

- Tak. I będziesz czuła się wśród nich bardzo swobodnie, zapewniam cię. O nic się nie martw - zapewnił ku memu zaskoczeniu.

- Jestem pewny, że będziesz się dobrze bawiła z moimi przyjaciółmi. Rozpuść włosy, umaluj oczy i włóż mój ulubiony czerwonozłoty strój.

- Przechylił głowę, wyraźnie ożywiony. - Jest przesilenie letnie i będziemy dziś świętowali wigilię dnia świętego Jana, noc świętojańską.

Wyrecytował:

I zjawi się robaczek świętojański,
ze swym srebrzystym płomieniem,
i roziskrzy się, i rozbłyśnie w noc Św. Jana.

I wkrótce panna młoda ze swym wybrankiem zwiąże się miłosnym węzłem.

Słuchałam, patrząc na jego usta, i zorientowałam się, że to fragment jakiegoś wiersza.

- A teraz usuń się do swojego pokoju! - zawołał za mną, gdy szłam po schodach. - Dziś będzie najważniejszy moment, żebyś zasłoniła twarz. Czekaj tam, aż po ciebie przyjdę.

Przez chwilę miałam nadzieję, że wśród gości będzie David, ale zaraz odsunęłam od siebie tę myśl. Widziałam przecież, jak Osric patrzył na pana Ingrama i jak go potraktował, gdy ten przyszedł mnie odwiedzić.

Z dołu dochodził coraz większy hałas, bo powozy przywiozły tłum gości, którzy rozmawiali, śmiali się i chodzili po schodach.

Gdy w końcu Osric otworzył drzwi mojego pokoju, głośno wciągnęłam powietrze i cofnęłam się. Miał oczy zasłonięte maseczką połyskującą okruchami niebieskiego szkła, z zakrzywionym dziobem zasłaniającym nos.

- Nie bój się, moja droga! - zawołał, przekrzykując dochodzące z dołu dźwięki muzyki, gwar głosów i śmiech. Wszedł i zamknął drzwi. - To jest element uroczystości. Wszyscy goście mają na sobie fantazyjne stroje. Rozważałem zaprojektowanie dla ciebie kostiumu, ale przy tych twoich błyszczących oczach i harquus o tak wspaniałym wzorze jesteś zjawiskiem. Nie mogę się doczekać, żeby cię pokazać moim gościom. - Podał mi rękę.

Gdy zesliśmy na dół, nie potrafiłam ogarnąć wszystkiego jednym spojrzeniem. Widziałam tylko falujący tłum. Uderzyło mnie w nos duszne zadymione powietrze. Mieszały się w nim różne zapachy: tytoniu, pudru i perfum, a także ledwie wyczuwalna woń potu. Z salonu dochodziła muzyka. Dopiero teraz mogłam lepiej się przyjrzeć poszczególnym osobom. Jeden z mężczyzn, chcąc się napić z kieliszka, zdjął maskę przedstawiającą głowę konia z rogiem na czole. Inny, ubrany w jednoczęściowy kostium, którego elementem był długi rozwidlający się ogon, bezwstydnie zbliżył usta do odsłoniętej białej szyi młodej kobiety w masce z nastroszonych czerwonych piór. Udawał, że próbuje ją ugryźć.

Osric wprowadził mnie do salonu. Tu powietrze było jeszcze gęstsze od dymu, bo mężczyźni i kobiety nie tylko palili cygara, ale także fajkę wodną Osrica. Wszyscy popijali alkohol z kieliszków na

wysokich nóżkach, obsługiwani przez mężczyzn we wspaniałych czarnych strojach i białych rękawiczkach. Kelnerzy roznosili także tace z przekąskami. Nigdzie nie spostrzegłam Govinda i nie zdziwiło mnie to, bo nie dałby rady poruszać się w takim tłumie i chodzić po schodach z ciężką srebrną tacą. Trzej mężczyźni ubrani podobnie jak ci, którzy serwowali alkohol i przekąski, grali na instrumentach strunowych, ale nikt specjalnie ich nie słuchał ani na nich nie patrzył.

Osrice torował sobie drogę w tłumie, mocno trzymając mnie za rękę i ciągle się zatrzymując.

- To mój najnowszy gość, pani Darya. Czy nie jest wspaniała? - mówił: - Znalazłem ją w Bombaju. - Czasami dorzucał: - Nie błyszczała tak jak teraz, dzięki mnie. - Przez cały czas się uśmiechał.

Miałam ochotę zatrzymać się, słuchać, jak ludzie rozmawiają, i starać się ich rozumieć oraz próbować mówić, ale Osrice mi nie pozwolił. Chyba postanowił przedstawić mnie wszystkim gościom i wysłuchać ich komplementów. Przytakiwali mu, że jestem egzotyczną piękną, i mówili, jakie szczęście mnie spotkało, że przyjechałam do Anglii jako gość pana Bulla.

W pewnym momencie Osrice spojrzał gdzieś ponad moją głowę i zmarszczył brwi.

- Przepraszam, zaraz wrócę - powiedział i zostawił mnie obok grupki gości.

Uśmiechnęłam się do nich przyjaźnie pod zasłoną, co mogli zobaczyć w moich oczach, ale zajęci rozmową nie zwrócili na mnie uwagi. Kobiety, które nie nosiły masek, miały za mocno umalowane karminem usta i policzki, a mężczyźni śmiali się zbyt hałaśliwie, puszczając dym z cygar. Niektórzy już chwiali się na nogach pod wpływem nadmiernej ilości wypitego alkoholu. Nie zachowywali się z godnością. Instynktownie czułam, że nie są to ludzie poważani. Nie zaskoczyło mnie to, ponieważ zdążyłam już poznać Osricę.

Udałam się w stronę holu, chcąc uciec od dymu. Już miałam zejść po schodach, gdy przytrzymała mnie za rękę kobieta w masce z białej porcelany, zakrywającej jej tylko oczy. Pochyliła się i dotknęła mojego harquus.

- Czym sobie to namalowałaś?! - krzyknęła mi w twarz. Pokręciłam głową.

- To nie farba, lecz harquus - odpowiedziałam.

- Co to jest?! - spytała jeszcze głośniejszym głosem.

Próbowałam sobie przypomnieć angielskie słowo. - Tatuaż - odparłam.

Zatrzymał się przy nas mężczyzna z tacą. Kobieta wzięła z niej trójkącik chleba posmarowany ciemną pastą, a ja kieliszek z rubinowym płynem. Podnosząc go do ust, poczułam zapach alkoholu, więc nie napiłam się, tylko trzymałam kieliszek w dłoni.

- Dlaczego jesteś wytatuowana? - spytała kobieta.

Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, odwróciła się do stojącego obok mężczyzny. Nie miał maski, tylko opaskę z rogami na głowie.

- Bith, zauważyłaś jej dziwnie jasne oczy? - zapytał kobietę.

- Otwórz szeroko, kochanie - powiedziała, jakby nie słysząc jego uwagi.

Gdy otworzył usta, włożyła mu do nich przekąskę, a on je zamknął i zaczął ssać jej palce. Trzepnęła go w pierś wachlarzem i zaniósła się perlistym śmiechem. Mężczyzna jadł i przyglądał mi się. Obok nas przepychali się ludzie. Spojrzałam w stronę holu wejściowego, gdzie również falował tłum. Gdyby nawet był tam David, jak mogłabym go rozpoznać wśród tylu masek? On jednak by mnie rozpoznał i podszedł do mnie, pomimo że go okłamałam, mówiąc, jaka jestem szczęśliwa z Osrikiem. I miałabym okazję wyznać teraz prawdę: że nie jestem tu szczęśliwa, że chcę opuścić ten dom jak najszybciej i że nie zamierzam dłużej znosić widoku twarzy Osrica Bulla i myślę tylko o nim, Davidzie.

- Jest zupełnie inna, prawda? - powiedział do kobiety w białej porcelanowej maseczce mężczyzna z rogami.

- Chyba tak - odparła.

- Pani pozwoli - zwrócił się do mnie i szybko ściągnął mi z twarzy zasłonę.

Byłam tak zaszokowana jego śmiałością, że tylko ścisnęłam mocniej nóżkę kieliszka.

- Jestem malarzem. Bithia, co o niej sądzisz? Czy nie dostrzegasz w niej tęsknoty i być może samotności młodej, zmysłowej kobiety z seraju? - Odsunął się nieco, przechylił głowę i przyglądał mi się. - Tak. Jest doskonała. Samotna hurysa.

Otoczyli mnie inni ludzie w maskach, tłocząc się jak wokoło świeżo upolowanej zwierzyny. Chciałam odzyskać swoją zasłonę i wyciągnęłam po nią rękę.

- Och, Osric - odezwał się mężczyzna, spoglądając na niego gdzieś ponad moją głowę i nie pozwalając mi odebrać zasłony. - Muszę z tobą porozmawiać o tej czarującej kobiecie.

Odwróciłam się. Osric stał na stopniu schodów tuż nade mną. Wziął z mojej ręki kieliszek.

- Gdzie znalazłeś ten skarb? - spytał go mężczyzna. Osric lekko się nachmurzył.

- Os, z przyjemnością bym ją namalował. Wypożyczysz mi ją? - spytał mężczyzna i uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

Nie odwzajemniłam uśmiechu, zawstydzoną że tyłu obcych mężczyzn ogląda moją odsłoniętą twarz i że ten nieznajomy dotknął mojego harquus, jak wcześniej jego towarzyszka. Odsunęłam się.

- Bith doskonale wie, ile czasu spędziłem, próbując oddać na płótnie niuanse podróży na Wschód. Śliczne obrazy tej nowego rodzaju muzy są w tej chwili w South Kensington Museum. Os, rozumiesz, co mam na myśli. Chodzi o podróż, która staje się obrzędem przejścia, taką, poprzez którą osiąga się podwójną prawdę: wiedzy... i pożądania. - Przesunął w palcach moją zasłonę i rozejrzał się wśród tłumu, który gęstniał na schodach i na dole. Wszyscy na nas patrzyli. Mężczyzna zaczął mówić głośniej, najwyraźniej zadowolony z tego zainteresowania.

Nie rozumiałam, o czym mówił, ale było widać, że Osricowi to się podoba. Dlaczego milczy? Spoglądałam to w górę, to w dół i miałam ochotę uciec.

Malarz pociągnął z kieliszka. Z trudem skupiał na mnie wzrok.

- Tak więc nowa muza, o której mówię, nie jest muzą miłości, lecz pożądania - almee. - Pokręcił głową. - Cóż za wspaniałe odkrycie w tę noc miłości i kochanków, nieprawdaż, Bith? - Objął swą towarzyszkę ramieniem i przesunął palcami po jej nagiej ręce.

Spoglądała na mnie, wciąż mając na twarzy swą porcelanową maskę.

- Od czasu Wielkiej odaliski Ingres'a, która znajduje się w Luwrze, to odaliska stała się symbolem egzotycznej erotyki - powiedział mężczyzna i spojrzał na Osrica. - Więc co na to powiesz, Os? Czy mogę namalować cudowny obraz, mając się na czym oprzeć? Czy ona może mi pozować?

- Obawiam się, że nie - oświadczył Osric, uśmiechając się znowu, ale raczej dziwnie. - Ona nie ma ochoty oddalać się ode mnie,

prawda, Daryo? A z pewnością nie po to, żeby oddawać się tak czasochłonnemu zajęciu jak pozowanie do portretu. - Odebrał mężczyźnie moją zasłonę.

Próbował mi ją nałożyć, ale wyrwałam mu ją z ręki i zawiązałam sama.

- Chodźmy. Jest tu wiele osób, z którymi jeszcze się nie przywitałem - powiedział Osric i poprowadził mnie do salonu.

- O czym on mówił? - spytałam, ciągnąc go za rękę, żeby się zatrzymał przy otwartym oknie. - Nie zrozumiałam.

- To młody głupiec - odparł niecierpliwie. - Strasznie się puszy, choć talent ma niewielki, i gada bzdury, bo nie rozumie właściwego znaczenia pewnych słów. Jest męczący. - Pociągnął z kieliszka i zbeształ mnie: - A ty... nie stałaś tam, gdzie cię zostawiłem. Nie lubię, jak chodzisz gdzieś sama.

- Jak wśród tych wszystkich ludzi mogłabym chodzić gdzieś sama? Osric, oczekujesz, żebym stała w jednym miejscu? - spytałam, dodając w myślach: Jak kobiety na twoich fotografiach? - Ja tylko szłam...

- Muszę się zająć pewnymi drobiazgami - przerwał mi, rozglądając się po salonie i nie słuchając mnie. - Stój tu i czekaj na mnie. - Wciąż na mnie nie patrzył. - Są tu jeszcze tacy, którzy cię nie widzieli.

- Osric! - zawołałam za nim, ale mnie nie usłyszał.

Nie mogłam już dłużej znieść panującego tu hałasu i zamieszania. Chciałam wrócić do swojego pokoju i stanąć w otwartym oknie, choć wiedziałam, że Osric będzie się na mnie gniewał. Było tu zbyt gorąco również z powodu mnóstwa palących się lamp i świec.

Gdy uniosłam róg zasłony i ocierałam pot z czoła, ukłonił mi się niski mężczyzna w podobnej do maski Osrica masce ptaka, ale o dłuższym i ostrzejszym dziobie. Nie mogłam dostrzec jego twarzy. Na szczęście przesunął maskę na łysą głowę, celując dziobem w sufit jak palcem.

- Dobry wieczór, Daryo - odezwał się i znowu pochylił się w ukłonie. - Pani pozwoli, że się przedstawię. Niedawno widziałem panią w powozie z panem Bullem, w Hyde Parku. Jestem Sutcliffe.

- Dobry wieczór - odpowiedziałam, próbując sobie przypomnieć twarz mężczyzny, który z takim zainteresowaniem przyglądał mi się przez otwarte okno powozu.

Podszedł bliżej. Zobaczyłam ciemne włoski w jego nozdrzach.

- Czy mogę podać pani coś do picia? Widzę, że nic pani nie ma - zaproponował, spoglądając na mnie tak, jakby chciał przeniknąć wzrokiem zasłonę.

- Nie, dziękuję. Nie piję - odmówiłam.

- Och, proszę nie odmawiać. Jest tak gorąco. Z pewnością chce się pani pić - nalegał. Wyjął z kieszeni złożoną bordową chusteczkę i musnął nią górną wargę. Miał na rękach śnieżnobiałe rękawiczki zapinane na nadgarstku na guziczek, które wydawały się lśnić w świetle lamp i świec. - Maski tylko pogarszają sytuację - powiedział. - Zrezygnowała pani z maski? - Podszedł do mnie tak blisko, że dotknął mojego kolana, więc natychmiast się cofnęłam, tak że poczułam na pośladkach krawędź parapetu. Przytrzymał mnie za rękę.

- Nie - powiedziałam, patrząc na jego dłoń.

- Znowu pani czegoś nie chce. A pani twarz jest taka tajemnicza i prowokacyjna - orzekł.

Nie znałam tych słów i trudno mi je było zrozumieć z powodu panującego w salonie hałasu. Chciałam się od niego uwolnić, ale tak samo jak na schodach nie miałam możliwości ucieczki, bo za mną było okno, a on blokował mi drogę. Ponad jego głową spostrzegłam zmierzającą do nas kobietę w maseczce na oczach, wykonanej ze złocistych paciorków i jaskrawych niebieskich piór.

- Silas - powiedziała, dotykając jego ramienia, a gdy się odwrócił, dodała: - Szuka cię twoja dama w żółtym. - Zdjęła maseczkę, ukazując nieangielskie rysy twarzy.

- Och! Ma się rozumieć! Dziękuję, Urbi! - zawołał rozpromieniony pan Sutcliffe, odwrócił się do mnie i powiedział: - Daryo, miło znowu panią widzieć. Wiem, że nie będzie to po raz ostatni. - Włożył maskę i ruszył przez tłum.

Uśmiechnęłam się do nieznanym, wdzięczna, że dzięki niej pozbyłam się natręta. Była ode mnie niższa i miała pełne, kobiece kształty. Ale w jej rysach nie dostrzegłam nic z Hinduski. Miała brązową, nieskazitelną skórę, gładką jak atlas twarz, szyję, dekolt i ręce; jej czarne warkocze owinięte wokół głowy pięknie lśniły w blasku lamp, oczy były ciemne, wydawały się równie czarne jak włosy. Brwi miała wyraziste, a usta pełne.

- Jestem Urbi - przedstawiła się, odwzajemniając uśmiech. - A ty jesteś Darya, nieprawdaż?

Skinęłam głową, dziwnie zadowolona.

- Skąd mnie znasz? - spytałam.

Uśmiechnęła się szeroko, ukazując równe białe zęby, z wyjątkiem jednego przedniego, który był pokryty złotem.

- Jestem dobrą przyjaciółką Osrica, jak wszyscy, którzy przybyli na to szczególne przyjęcie - oświadczyła.

Mówiąc, gestykulowała dłońmi z mnóstwem pierścionków. Brakowało jej górnej części małego palca prawej ręki, ale też nosiła na nim pierścionek. Nawet na kciuku miała szeroki złoty pierścień z błyszczącym czarnym kamieniem, który pasował do jej oczu. Widziałam taki pierścień na ręce Osrica w Bombaju.

- Skąd jesteś? Z jakiego kraju? - spytałam.

- Z jakiego kraju? Jestem Angielką! - odpowiedziała ze śmiechem. Poczułam jej przyjemny, pachnący dymem oddech. Oczywiście skojarzyła mi się z Blossom. - Już długo jestem Angielką. Mieszkam w angielskim domu, jem angielskie potrawy i noszę angielskie stroje, gdy wychodzę do miasta. Zarówno ja, jak i inne kobiety.

- Inne kobiety?

- Owszem. Kobiety przybywają do Anglii, a gdy jedne od nas odchodzą, na ich miejsce zjawiają się inne. Stanowimy rodzinę, czasami dużą, a czasami małą. Opiekują się nami Anglicy, tacy jak Osric.

Nieoczekiwanie przyszedł mi na myśl seraj z trzymanymi tam kobietami, w którym przebywała kiedyś moja babcia.

- Wkrótce ty też będziesz Angielką - powiedziała z powagą, muskając policzek piórami maski. - Ale ja urodziłam się w Egipcie. Znasz Egipt? Kair?

Pokręciłam głową.

- To daleko stąd. - Znowu uśmiechnęła się promiennie. - Anglia jest o wiele lepszym miejscem do życia niż Egipt. Nigdy tam nie wrócę. A ty? Ty też nigdy nie wrócisz do swojego kraju?

To proste pytanie uderzyło we mnie z nagłą, niespodziewaną siłą. Czy teraz moje życie nie było bezużyteczne i puste? Przez pięć ostatnich lat upływało w ciągłym ruchu, na przeprawach przez góry i doliny w otoczeniu ludzi, którzy wiedzieli, co to ciężka praca, tego samego dnia bywali świadkami narodzin i śmierci, wierzyli w siebie i w innych ze swojego plemienia. Wtedy miałam nad głową niebo

widoczne aż po horyzont i znałam trud wędrówki w upale, kurzu i chorobie, walkę o przetrwanie. Teraz natomiast moje życie było pozbawione wszelkiej aktywności i oznaczało oczekiwanie na koniec dnia i na nadejście następnego, zgodnie z rytmem tykania zegarów. Oznaczało noszenie fantazyjnych strojów i klejnotów, a także bóle głowy wywołane syczącym gazem, którym oświetlano tu domy. Nieodłączny od niego był nudny widok z okna i obecność ludzi takich jak ci, którzy tłoczyli się teraz wokół mnie, zabawiając się pićm alkoholu, jałowym plotkowaniem i bezwstydną demonstracją łączącej ich zażyłości i wyuzdania.

- Wróć. Wkrótce - powiedziałam zaskoczona, że ujawniam swe myśli, ale nie chciałam i nie mogłam tu żyć.

Wierzyłam, że jakoś znajdę sposób, by tak się stało, że potrafię go znaleźć. Skoro znalazłam w sobie siłę i determinację, aby uciec od Shaliq'a, uniknąć niepewnego życia w Dżalalabadzie i smutnych perspektyw pracy w Bombaju, znajdę również sposób, żeby się uwolnić od życia z Osrikiem Bullem. Ciągłe słyszałam w myślach słowa Govinda, że jeśli mój kochanek nie chce już dłużej mieć u swego boku tej czy innej kobiety, to... Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Musiałam się spieszyć. Nie mogłam czekać, aż Osric się mną zmęczy, tak jak zmęczył się tą kobietą z fotografii.

- Daryo, nie bądź smutna - odezwała się Urbi. - Chodź, zatańczymy i będziemy szczęśliwe.

Wsunęła maskę między swe dorodne piersi, uniosła ręce i zaczęła wyklaskiwać rytm, kołysząc biodrami. Pióra maski poruszały się na jej biuście. Spoglądałam na nią, jakbym miała nogi z drewna. Unosząc ręce, podciągnęła do góry krótki obcisły stanik swego stroju i obnażyła talię z fałdą tłuszczu, obwisającą nad paskiem spódnicy. Mrugnęła do wysokiego chudzielca w prostej czarnej maseczce, z kieliszkiem w dłoni i cygarem w ustach. Uśmiechnął się do niej, wypuszczając kłęby dymu, wziął ją za rękę i gdzieś poprowadził. Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do mnie szeroko, błyskając złotym zębem.

Przepchnęłam się przez tłum na schody i podążyłam do swojego pokoju. Nie mogłam zostać wśród tych ludzi ani chwili dłużej, bez względu na to, co powiedział mi Osric. Kładąc rękę na gałce drzwi na schodkach prowadzących na poddasze usłyszałam jakby jęk. Przeszłam cicho przez hol i zajrzałam za róg. Momentalnie się

cofnęłam, bo zobaczyłam pana Sutcliffe'a. Rozpoznałam śmieszny długi dziób maski zsuniętej na czoło. Pan Sutcliffe trzymał rękę pod suknią małej kobiety w żółtym kostiumie z piór. Przyciskał się do niej z głową między jej piersiami, sterczącymi z kusego stanika sukni jak małe białe pagórki. Kobieta odrzuciła głowę do tyłu. Jej oczy osłaniała żółta maska. Pomyślałam, że przyjaciele Osrica są równie wstrętni jak on. Dlatego nie miał nic przeciwko temu, żeby mnie z nimi zostawić. Wiedział, że zaakceptują mnie w roli, w jakiej tu występuję, pochwalą go za jego „mroczny sekret” i zobaczą we mnie jedną z nich. Dlatego nie zjawił się tu David. Bo, w przeciwieństwie do tych ludzi, nie był przyjacielem Osrica.

Weszłam do pokoju. Pijąc wodę ze szklanki, a następnie skrapiając twarz, popatrzyłam w lustro nad umywalką. Byłam szara ze zmęczenia i bolały mnie podeptane w ścisku stopy. Rękę miałam pobrudzoną
karminem.

Z dołu dochodziły wybuchy śmiechu. Podeszłam do okna, otworzyłam je, wychyliłam się i oddychałam głęboko, chcąc pozbyć się dymu z cygar i odpocząć od hałasu zabawy. Po chwili usiadłam pod otwartym oknem, opierając się o ścianę i poddając pieścizocie chłodnego wietrzyka. W końcu położyłam się na boku i zaczęłam myśleć o Davidzie. Wiedziałam teraz, że się oszukuję, że do końca swoich dni będę żyła tylko wspomnieniem jego pocałunku.

Obudził mnie śmiech. Usiadłam i zamrugałam oczami, bo właśnie wzeszło słońce. Byłam zaskoczona, że zasnęłam na podłodze. Gdy wstałam, chcąc pójść do łóżka, znowu usłyszałam ten śmiech, śmiech kobiety. Czyżby przyjęcie jeszcze trwało? Otworzyłam drzwi i na korytarzu usłyszałam śmiech mężczyzny oraz odgłosy rozmowy. Zorientowałam się, że dochodzą z sypialni Osrica. Cicho zamknęłam drzwi i oparłam się o nie. Osric wziął dziś do łóżka inną kobietę. Czy znaczyło to, że już się mną znudził?

Rozdział XLVI

Wolno spacerowałam po salonie, podnosząc ze stołów i z półek piękne przedmioty i z powrotem je odkładając. Za uchylonym oknem cicho szemrał słaby deszczyk, ale nie chłodził parnego powietrza, tylko nasycił wszystko wilgocią. Podeszłam do okna i obserwowałam, jak krople spadają na długą prostą ulicę. Byłam lepka od potu. Zarówno tu, jak i w całym domu panował już taki sam jak zwykle porządek, jakby wczoraj nie odbyło się żadne przyjęcie. Z pewnością Lucy, Ella i Govind pracowali przez wiele godzin nad usunięciem śladów pobytu tylu gości. Było wczesne popołudnie.

Gdy do salonu weszli pod rękę Osric i Urbi, zrozumiałam, że to z nią mój kochanek dzielił dziś w nocy łożo. Czy znaczyło to, że zaczyna czuć się mną zmęczony, czy też wciąż się na mnie gniewał, bo w przeddzień przyjęcia nie dałam mu rozkoszy? Nie spojrzałam na niego nagle zaniepokojona tym, co mogę dostrzec na jego twarzy.

Urbi wyglądała na zmęczoną. Miała obrzmiałą twarz, a jej uśmiech nie był tak promienny jak poprzedniego wieczora. Podeszła i wzięła mnie za rękę. Poczułam na dłoni jej mały okaleczony palec.

- Dobrze się czujesz, Daryo? - spytała.

- Tak. A ty?

- Ja zawsze dobrze się czuję - odpowiedziała i zwróciła się do Osrica: - Chętnie bym się czegoś napiła. - Usiadła na otomanie i wyciągnęła nogi. Dostrzegłam teraz na jej stopach atłasowe pantofle, podobne do moich. Oczywiście miała na sobie ten sam strój, w którym była na przyjęciu. Usiadłam obok niej.

- Słodkiej sherry? - spytał Osric i podszedł do stołu, na którym stały wysokie butelki.

- Brandy.

Podał jej duży pękaty kieliszek. Wzięła go z jego ręki trochę zbyt skwapliwie i natychmiast podniosła do ust. Dotknęła różowym, choć nieco szorstkim językiem bursztynowego płynu.

- Daryo, jak żyjesz? Często chodzisz z Osrikiem na przyjęcia? - spytała, pociągnąwszy łyk.

Zerknęłam na mojego kochanka, ale wydawał się pochłonięty nalewaniem sobie alkoholu.

- Nie - odpowiedziałam.

- Co więc robisz? - pytała dalej, popijając brandy małymi łyczkami i nie odrywając ode mnie oczu.

- Jestem... tu.

- Osric! - zawołała. - Dlaczego ona tkwi tu przez cały czas?! Nie zabierasz jej na spotkania towarzyskie?!

- Obie jesteście śliczne - powiedział, podchodząc do nas z kieliszkiem i ignorując jej pytanie. - Stanowicie śliczną parę. Czy mogę wam zrobić zdjęcie?

Nagle zabrakło mi tchu. Rozkaszałam się i przycisnęłam dłoń do piersi.

- O co chodzi, Daryo? - spytał Osric, przechylając głowę. - Nie chcesz mieć zdjęcia?

- Nie! - powiedziałam głośno. - Nie, Osric! Nie chcę żadnego zdjęcia!

- Nie bądź głupia - zbył mnie.

Wiedziałałam, że i w tej sprawie, tak jak we wszystkich innych, postawi na swoim.

- Prawda, Urbi, że ty z przyjemnością będziesz mi pozowała? - spytał, ale w jego głosie brzmiała absolutna pewność.

Spojrzałam na nią, a ona naiwnie potaknęła, uśmiechając się najpierw do mnie, a potem do niego.

- Doskonale. Pójdę po sprzęt - oświadczył.

Gdy wyszedł, zamykając za sobą drzwi, złapałam ją za rękę.

- Urbi, proszę, powiedz, że nie chcesz zdjęcia. Fotografia jest... zła, zła - powtarzałam, lekko potrząsając jej ręką.

Spojrzała na moją dłoń i cofnęła rękę, po czym wstała i opróżniła kieliszek. Podeszła do stołu i naląła sobie do pełna brandy. Podnosząc kieliszek do ust, wzruszyła ramionami.

- Osric lubi robić zdjęcia - powiedziała.

- Fotografowałaś się wcześniej? - spytałam.

Podeszła z powrotem do otomany i usiadła, potakując. Wskazała moje kolczyki.

- Od Osrica? - spytała.

- Tak, ale...

- A ja dostałam to - przerwała mi i pogładziła złoty pierścionek na środkowym palcu, z okrągłym zielonym kamieniem otoczonym mniejszymi. - To szmaragdy. I to... - Wyciągnęła kciuk, na którym widniał pierścionek z czarnym oczkiem. - I to... - Poruszyła małym okaleczonym palcem, na którym lśnił kamień mleczej barwy. - To opal. A wkrótce Osric da mi więcej pierścionków. Imię Urbi znaczy w

języku egipskim księżniczka. Osric mówi, że teraz w Anglii jestem księżniczką. To nie jest moje prawdziwe imię, ale Osricowi się podoba.

Przypomniałam sobie, że mojej babci też zmieniono imię, gdy przebywała w seraju, że zapomniała tam, jak brzmi jej własne. Ciekawe czy Urbi jeszcze pamiętała swoje?

- Lubisz Osrica? - spytała mnie nagle, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, dotknęła mojego harquus i spytała: - Dlaczego masz to na czole?

- W kraju zostawiłam męża. - Próbowałam sobie wyobrazić twarz Shaliqa. - A właściwie już nie.

Sapnęła.

- Mąż to dla mnie nic dobrego. Jeden mężczyzna nie jest dobry. Podoba ci się tu z Osrikiem? - spytała.

Wzruszyłam ramionami.

- On... daje mi mieszkanie - odparłam, bo nie nazwałabym tego domem.

- A inni mężczyźni? Przyprawia ci innych mężczyzn? - Spojrzała na mnie przebiegle.

Zrozumiałam, o czym mówi, i przypomniał mi się pan Sutcliffe oraz mężczyzna, który mówił o malarstwie.

- Nie. Nie ma innych mężczyzn - odpowiedziałam.

- Znasz tylko Osrica? Nie znasz w Londynie żadnego innego mężczyzny? - zdziwiła się.

Pomyślałam o Davidzie. W przeciwieństwie do Shaliqa, którego obraz zacierał się w mojej pamięci, Davida widziałam oczyma wyobraźni tak, jakbym oglądała jego fotografię. Wstałam. Jeśli nie pozwolę Osricowi zrobić mi zdjęcia, nie wyrządzi mi krzywdy.

- Tylko Osrica? - powtórzyła, mrugając do mnie jak do wysokiego mężczyzny wczoraj wieczorem. - Ale on lubi coś innego, czyż nie? Coś specjalnego.

Nagle Sulejman zaskrzeczał i Urbi zagwizdała, jak chłopcy z plemienia Ghilzai gwizdali na kozy. Papuga przekrzywiła łebek i też zagwizdała. Chodziła po drażku tam i z powrotem. W odpowiedzi na nasze spojrzenia zaczęła kiwać głową. Przypomniałam sobie przysłowie: nawet w złotej klatce słowik tęskni za swym krajem rodzinnym. Próbowałam sobie wyobrazić Sulejmana w kraju, z którego pochodził. Czy mógł zachować stamtąd jakieś wspomnienia?

Czy nadal pamiętał szelest listowia dzikiej bujnej roślinności, zapach czystego powietrza i jasność światła w świecie niepodobnym do salonu, w którym zawsze było za gorąco i panował półmrok, i gdzie przez cały czas przebywał w klatce?

W tym momencie do salonu wrócił Osric z pudełkiem na trójnogu. Za nim Govind niósł ostrożnie szklaną błyszczącą szybkę w drewnianej ramce. Popatrzyłam na lokaja, ale nie odwzajemnił mojego spojrzenia, lecz w skupieniu wręczył Osricowi tę połyskującą szybkę. Nie spuszczałam z niego wzroku, nawet gdy Osric wsunął szybkę do otworu w pudełku. Wierzyłam, że nie dopuściłby, aby stało mi się coś złego.

Osric przeniósł fajkę wodną ze stołu na podłogę przed otomaną i kazał mnie oraz Urbi usiąść ramie przy ramieniu, a następnie zaczął nas ustawiać do zdjęcia. Dłonie, jak zwykle, miał wilgotne. Uchyliłam się przed jego dotykiem, myśląc o tym, co ze mną robił tymi dłońmi, a przed kilkoma godzinami także z Urbi. Gdy był już zadowolony z naszych póz, stanął za pudełkiem, zbliżył do niego twarz i położył palce na okrągłej przykrywce z przodu.

- Urbi jest do tego przyzwyczajona, nieprawdaż? - odezwał się, spoglądając na nas ponad pudełkiem. Uśmiechnął się pobłaźliwie i wolno wysunął język, by oblizać swe wilgotne wargi.

Spojrzałam na Egipcjankę, która uśmiechnęła się do niego, ukazując złoty ząb.

- Daryo, nie ruszaj się - rzucił Osric. - Już cię ustawiłem. Przechyl głowę. Nie, nie w prawo. Opuść podbródek.

Zrobiłam, jak mi kazał, a on skinął głową, spoglądając na mnie zmęczonymi oczami.

- Daryo, spójrz teraz w to okrągłe szkło z przodu aparatu, tu, gdzie trzymam palce - powiedział do mnie po persku. - Dobrze. O to mi chodziło. A teraz się nie ruszaj i patrz w nie. - Znowu uśmiechnął się zadowolony, a ja przełknęłam ślinę, która nagle zebrała mi się w ustach. Zdjął z przodu aparatu wystającą przykrywkę, a ja patrzyłam w znajdujące się pod nią szklane oko. Po krótkiej chwili znowu ją założył. Wyjął z tyłu szybkę w ramce i wręczył ją Govindowi, który wolno wyszedł z salonu.

Znowu wpadłam w panikę.

- Dobrze. Teraz, Daryo, weź ustnik fajki i włóż go do ust - polecił Osric.

- Wiesz, że ja nie...

- Nie będziesz paliła - przerwał mi zniecierpliwiony, kręcąc głową. - Tylko weź go do ust. - Zniżonym głosem polecił Urbi: - Oprzyj głowę na ramieniu Daryi.

Ustnik był zimny i gładki. Wydobywał się z niego słodki zgubny zapach, którym często był przesiąknięty oddech Osrica.

Govind wrócił z następną moką szybką w ramce, którą Osric wsunął do aparatu i położył palce na przykrywce z przodu.

- Daryo - mruknął i gdy zdjął przykrywkę, spojrzałam w szklane oko, które znowu zaraz zakrył. Potem kazał mi wstać i powiedział: - Zrobię teraz zdjęcie tylko tobie. Stań przy tej roślinie tak, żeby liście opadały ci na twarz.

- Osric, proszę. Jestem zmęczona. Nie chcę robić sobie więcej zdjęć - oświadczyłam.

- Nie sprzeciwiaj się - powiedział i zacisnął usta, - Dlaczego nie możesz zachowywać się jak Urbi? Ona jest doskonałym obiektem. Bardzo podatnym. - Spojrzał na nią i mrugnął. - We wszystkim.

- Niegrzeczny Osric - powiedziała, chichocąc. Odwróciłam się z niesmakiem.

- Daryo, stań tam, gdzie ci kazałem - powtórzył. Zrobiłam, co mi kazał. Wyjął z pudełka szybkę, włożył nową i spojrzał na mnie z tyłu przez aparat. Pokręcił głową. Podeszedł do mnie, przestawił roślinę, obciągnął górę mojego stroju i przełożył mi włosy przez ramię. Układając je, zbyt długo dotykał wilgotnymi palcami moich piersi i znowu oblizwał wargi. Znałam już dobrze tę twarz o zmrużonych powiekach, pełnych wilgotnych ustach i lekkich rumieńcach na bladej skórze, wskutek czego ślady po ospie były na niej lepiej widoczne. Wiedziałam, jaką przyjemność czerpie z tej sytuacji Osric Bull, jak jest podniecony. Doskonale się bawił, mogąc rozkazywać mnie i Urbi.

- Masz za szerokie usta. Nie przypominają modnego teraz pączka róży. I zbyt wystające kości policzkowe. Ale w twoich oczach dostrzegam zielen oceanu! Gdybym tylko mógł sfotografować je w kolorze! - mówił jakby do siebie, wróciwszy do pudełka i oglądając mnie przez nie. Zdjął przykrywkę okrągłego szkła z przodu i zrobił mi kolejne zdjęcie. - Teraz zrobimy ostatnie przed przerwą - oznajmił. Zaczął ustawiać mnie i Urbi do następnego zdjęcia. Korzystając z okazji, przyciskał się do mnie, co, jak wiedziałam, bardzo go podniecało. Kazał mi usiąść na otomanie, a Urbi stanąć za mną i

położyć mi rękę na ramieniu. Na drugim ramieniu posadził mi Sulejmana, ale papuga stuknęła swym twardym zakrzywionym dziobem w mój kolczyk, pociągnęła mnie pazurem za włosy i zeszła na moją rękę, którą uniosłam. Osric mruknął: - Tak jest dobrze. Teraz lepiej widzę jej dziób i oczy. Niech zostanie w tym miejscu.

Sledź sztywno, a wtedy również ona się nie poruszy. - W końcu był zadowolony, choć pod ciężarem papugi drżała mi ręka. Zrobił zdjęcie i skinął głową. Wyjął z aparatu szybkę i wręczył ją Govindowi, wziął z mojej ręki Sulejmana, pogłaskał go po łebku i wsadził z powrotem do klatki. Ptak zachichotał. Osric powiedział: - Na razie wystarczy. Dobrze pozowałyście. Jestem pewien, że rezultaty będą bardzo satysfakcjonujące, bardzo satysfakcjonujące. - Potarł dłońmi o uda i zaczął przygotowywać fajkę wodną. Odetchnęłam z ulgą.

- Osric, pójdę do swojego pokoju - powiedziałam. Pokręcił głową.

- Jeszcze nie skończyliśmy. Zostań - polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zaniknęłam oczy, myśląc o tym, co powiedział.

- Govind idzie z herbatą - rzucił.

Stałam przy kominku i patrzyłam, jak siada na otomanie, a Urbi na podłodze na poduszkach. Zaczęli palić fajkę. Gdy służący postawił tacę na stole, Osric wstał i podszedł tam. Był odwrócony do mnie plecami, więc nie mogłam zobaczyć, co robi. Po chwili skinął na mnie, żebym usiadła na otomanie, i podał mi filiżankę z herbatą.

- Wypij - polecił.

Herbata miała silny metaliczny posmak, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Znaczyło to, że wsypał do niej końską dawkę laudanum, za dużo jak na mój gust. Odstawiłam filiżankę na podłogę. Osric natychmiast ją podniósł i podsunął mi do ust.

- Wypijesz to, Daryo - powiedział z naciskiem, gdy pokręciłam głową, i położył mi rękę na karku.

Bardzo się go w tej chwili bałam, jego dziwnego rozkojarzonego spojrzenia, tonu głosu, siły ręki, którą trzymał mnie za kark. Próbowałam się odwrócić, ale trzymał mnie zbyt mocno. Szamocąc się z nim, spojrzałam na Urbi, ale nic nie mówiła, tylko spoglądała na nas, paląc fajkę. W końcu się poddałam i wypijałam. Natychmiast poczułam mdłości, a metaliczny posmak napawał mnie obrzydzeniem.

Położyłam się na otomanie, podkładając rękę pod głowę. Staralam się obserwować Urbi i Osrica, jak pałą fajkę, wiele razy podając sobie ustnik. Powieki miałam ciężkie jak Urbi. Bulgotanie wody w fajce działało na mnie usypiająco, podobnie jak rytm oddechów Urbi i Osrica. Po jakimś czasie ich oddechy zlały się w moich uszach w jedno długie westchnienie, pokój stał się ciepły, cichy i ciemny, a zapach dymu słodki. Poczułam wielki spokój. W ostatnim przebłysku myśli zdałam sobie sprawę, że laudanum działa jak opium. Próbowałam wstać. Chciałam wyjść z tego pokoju, w którym na trójnogu stało pudełko do robienia zdjęć i miało tam władzę złe oko. Próbowałam wstać z otomany, ale nie zdołałam. Walczyłam ze snem. Niestety, oczy same mi się zamykały.

Urbi szeptała coś do Osrica, opierając głowę na jego ramieniu i pieszcząc dłonią jego ucho, szczękę i wilgotne wargi. Przesuwała po nich palcami, a gdy Osric je rozchylił, włożyła mu dłoń do ust. Następnie wsunęła mu ją we włosy. To była ostatnia scena, jaką widziałam, bo oczy zamknęły mi się na dobre. Ale uważałam, że wszystko jest w porządku, bo zobaczyłam Davida. Równocześnie chciało mi się śmiać i płakać. Czułam się tak, jakbym dawno temu zgubiła skarb i nagle się na niego natknęła, przekonana, że nigdy go nie odnajdę. David. David. Nie nosił już angielskiego stroju, lecz hinduskie bawełniane spodnie i koszulę z miękkiej tkaniny. Wyciągnął do mnie ręce o długich szczupłych palcach, a ja zbliżyłam do nich twarz, jakbym była trawą spragnioną powiewu wiatru. Usłyszałam jego śmiech, który rozpadł się na kawałki, rozproszył w mojej czaszce jak małe kwiatki zdmuchnięte z drzew przez wiosenny wiatr. Lecz zaraz wszystkie bez trudu dopasowały się do siebie, jakby były płynne. Ujęły mnie swym pięknem.

Owionął nas powiew chłodnego powietrza. Byliśmy na dworze? Chciałam poczuć jego świeżość na skórze. Miałam na sobie zbyt obcisłe ubranie, tak niewygodne, że chciałam się go pozbyć. Nagle David, który leżał obok, pogładził mnie po głowie, twarzy i nagiej skórze. Usłyszałam w głowie plusk morza i wiedziałam, że znowu unoszą nas fale. Czułam na ustach i języku sól bezkresnego oceanu, a na ciele ciepło ciała Davida, niewyobrażalnie delikatnego. Oddychał równo i spokojnie. Ja też starałam się tak oddychać. Wokół nas przetaczały się fale. Poruszałam się zgodnie z ich pradawnym, a zarazem nowym dla mnie rytmem. Chciałam tak trwać w objęciach

Davida wiecznie, unosząc się i opadając wraz z falami. Próbowałam otworzyć oczy, żeby go zobaczyć i opowiedzieć mu o doznaniach i emocjach, które mu zawdzięczam, trudnych do wyrażenia słowami, ale nie uformowały się nawet w mojej głowie. Powieki ciążyły mi jak ołów. Gdy morze się uspokoiło, popadłam w stan błogości. W objęciach Davida ogarnęła mnie ciemność. Czułam się bezpiecznie.

Drżałam w wilgotnej, ciężkiej pościeli. Bolała mnie głowa, miałam spieczone wargi, a w ustach nieświeży posmak. Nagle zaczęłam odzyskiwać pamięć. Śniłam o Davidzie i miałam doznania, które odbierałam jak rzeczywiste. Byłam z Urbi... Drżąc, położyłam rękę na zamkniętych oczach. Fotografie... Znajdowałam się w swoim łóżku, a więc byłam bezpieczna. Nic złego mi się nie stało. Nie wiedziałam czy to dzień, czy noc. W sypialni panował półmrok, ale może tylko z powodu zasuniętych żaluzji. W moim umyśle powstała jakaś zagmatwana zbitka obrazów i głosów, których nie potrafiłam uporządkować. Przewróciłam się niespokojnie na drugi bok i znowu zasnęłam.

Gdy się obudziłam, w pokoju był Govind. Usłyszałam cichy brzęk szkła i porcelany.

- Czy panienka życzy sobie coś zjeść? - szepnął, stając z boku łóżka.

- Daj mi wody, proszę - odpowiedziałam.

Przyniósł mi szklanę z wodą. Gdy usiadłam, uświadomiłam sobie, że jestem naga. Podciągnęłam kołdrę pod brodę i piłam łąpczywie, nie patrząc na niego, a woda spływała mi po podbródku i szyi. Govind podciągnął żaluzje, wpuszczając do środka światło dnia; raziło mnie, choć było słabe.

- Dziękuję, Govind.

Oddałam mu pustą szklanę, ale nie patrzył na mnie. Gdy wychodził, dostrzegłam w wyrazie jego twarzy potępienie, choć może był to smutek. Zwlokłam się z łóżka, nadeptując na własne ubranie. Włożyłam nocną koszulę i ochlapałam twarz wodą.

Drzwi się otworzyły i wszedł Osric.

- Przespałaś cały dzień - powiedział, podchodząc do mnie, opanowany i spokojny.

W głowie mi łomotało. Gdy patrzyłam na niego, zegary zabiły cztery razy.

- Wychodzę teraz, ale oczekuję, że się ubierzesz i będziesz na mnie czekała, gdy wrócę - ciągnął, obserwując moją twarz spod zmrużonych powiek. Nagle spytał obojętnym tonem: - Podobało ci się nasze wczorajsze małe przyjęcie z Urbi?

Dotknęłam dłonią skroni.

- Ja... ja... nic nie pamiętam... laudanum, Osric. Dałeś mi go za dużo. Ja... ja spałam. I miałam sny.

- Rozumiem. Co ci się śniło? - spytał.

Jego twarz błyszczała od potu i była nienaturalnie biała, jakby odpłynęła z niej krew, jakby był trupem, który ma zostać pogrzebany.

Spuściłam oczy.

- To były tylko... pogmatwane obrazy. Nie wiem - skłamałam pewna, że nigdy mu nie powiem, co działo się w mojej głowie. Teraz na własność miałam tylko moje myśli i sny.

- Hm... - Zaczął gładzić wąsy. - I dzisiaj też wszystko ci się gmatwa? - spytał.

Byłam zmuszona na niego spojrzeć.

- Co masz na myśli? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- Czy nadal wszystko ci się gmatwa, jeśli chodzi o nasze przyjęcie?

Pokręciłam głową i wzruszyłam ramionami. Spozregłam na jego palcach srebrnobrązowe plamy. Wiedziałam, że powinnam znać ich pochodzenie, ale ból głowy nie pozwalał mi jasno myśleć.

Gdy usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi i stukot kopyt koni ciągnących powóz Osrica, usiadłam na łóżku. Czułam coraz większy niepokój i coś mną wstrząsało, ilekroć pomyślałam o Urbi. Nie pamiętałam, czy się z nią pożegnałam i jak wróciłam do swojego pokoju, jak się rozebrałam i położyłam do łóżka. Pamiętałam tylko sen, delikatny dotyk ust Davida i jego dłoni na moim ciele. Chciałam, żeby ten piękny sen wrócił.

Podeszłam do szafy i wyjęłam z torby amulet. Wyśliznął mi się z ręki i upadł na dno szafy, między pantofle. Nie miało to żadnego znaczenia, naprawdę żadnego.

Stojąc tak, przypomniałam sobie nagle brązową plamkę na palcu, gdy w ciemni dotknęłam jednego z roztworów. Teraz już wiedziałam, skąd na dłoniach Osrica wzięły się te plamy.

W nocnej koszuli poszłam do ciemni. Na długim stole leżały fotografie. Te pierwsze przedstawiały sytuacje, które pamiętałam:

mnie i Urbi na otomanie, mnie przy roślinie, mnie z Sulejmanem na ręce i stojącą za mną Urbi. Następne natomiast... Zasłoniłam dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Urbi siedzi na otomanie. Ma podciągniętą suknię, pokazuje gołe łydki i kolana i opiera skrzyżowane w kostkach stopy na niskim taborecie. Ja leżę na boku, z głową na kolanach Urbi. Jedną ręką dotykam jej szyi, jakbym ją głaskała lub czekała na podanie ustnika fajki. Ona trzyma jedną ręką ustnik między wargami, a drugą dotyka moich piersi, które wylewają się ze stanika. Moje piersi są obnażone. Urbi dotyka ich lekko, a ja się uśmiecham z przymkniętymi oczami. Z jeszcze większym przerażeniem obejrzałam następną fotografię... Leżę na boku na otomanie, opierając głowę na ręce. Jestem bezwstydną w swej nagości, bo choć mam rozpuszczone włosy, to nie w pełni zasłaniają piersi, zaciskam kolana, ale wcale się nie zasłaniam. Mam na wpół otwarte oczy i wyraz błogości na twarzy. Na trzeciej fotografii jestem z Urbi, tak jak ja rozebrana. Leżymy obie na otomanie i obejmujemy się. Ona całuje mnie w policzek.

Pochyliłam się i zamknęłam oczy, ale zaraz je otworzyłam i obejrzałam dwie kolejne fotografie. Przedstawały tylko Urbi. Była... Przyjrzałam się dokładniej. Urbi leży naga na otomanie. Ręce ma związane sznurem nad głową i ten sam sznur na szyi, wpijający się w ciało. Usta rozchylone. W miejscu złotego zęba jest tylko czarny prostokąt. Oczy są szeroko otwarte i spoglądają w górę. Ich wyraz nie ma nic wspólnego z moim sennym, leniwym spojrzeniem z poprzednich zdjęć. Są niewidzące...

Odepchnęłam fotografie, jakby rozpełzło się po nich robactwo. Nagle zabrakło mi tchu, jakbym odbyła morderczy bieg. Postanowiłam zniszczyć te fotografie, podrzeć je na strzępy. Chwyciłam je, niezdolna oderwać wzroku od pierścionków na palcach Urbi, sznura na jej nadgarstkach i szyi, od ust, które zaledwie wczoraj się śmiały...

Już miałam podrzeć zdjęcie, jakbym mogła odwrócić prawdę o losie Urbi, niszcząc jej wizerunek, gdy nagle obok, w salonie, zaskrzeczał Sulejman, co przywróciło mi jasność umysłu, utraconą z przerażenia i natłoku wydarzeń. Zostawiłam fotografię. Gdybym je wszystkie podarła, Osric by się dowiedział, że je widziałam. I moje dni byłyby policzone. Przyspieszyłabym to, co miało nieuchronnie nadejść, gdy mój kochanek już się mną nasyci i znajdzie jeszcze większą przyjemność w wykonaniu na mnie wyroku śmierci. Kto by

się dowiedział, co się ze mną stało? Nikt poza służącymi w tym domu nawet nie wiedział, że istnieję. Czy ktoś z gości będących na przyjęciu u Osrica o mnie pamiętał? A jeśli nawet, to czy obchodził go mój los? David po tym, co mu powiedziałam, już nie przyjdzie do tego domu w Kensington, a pani Ingram upewniła się, że wszystko u mnie w porządku. Gdyby później przyszła mnie odwiedzić, Osric łatwo mógł ją zbyć, a kto poza nią mógłby go o cokolwiek oskarżyć? A co z Govindem? Staruszek ledwie chodził i mówił. Był Hindusem żyjącym w obcym kraju, zdanym na łaskę Osrica Bulla.

Starannie ułożyłam zdjęcia na stole, starając się pozostawić je tak, jak były, i cicho wyszłam z ciemni. Za rogiem korytarza stał Osric Bull. Założył ręce na piersiach i opierał się o ścianę. Czekał na mnie.

Rozdział XLVII

- Co tam robiłaś, Daryo? - spytał beznamiętnie. - Ja... ja... nic... - zaczęłam się płatać. Ruszył do mnie wolno, a ja się cofnęłam. - Masz pójść do swojego pokoju i nie wychodzić stamtąd - powiedział z przerażającym naciskiem. Pokręcił głową. - Ufałem ci, Daryo, a ty zakradasz się do mojej ciemni.

Co zrobił z Urbi? I gdzie byłam w ostatnich chwilach jej życia? - zastanawiałam się. Spojrzałam na jego ręce, wyobrażając sobie, jak związuje nimi sznurem ręce kobiety i zakłada jej pętlę na szyję. Czy byłam w salonie, może w odległości kilku kroków, otumaniona laudanum, gdy on... Musiałam odwrócić wzrok. Ale zanim to zrobiłam, spostrzegłam, że Osric znowu ma na palcu pierścień z czarnym oczkiem.

- Idź do swojego pokoju, Daryo jan - powiedział bardzo cicho, jak ojciec do ukochanego, lecz niegrzecznego dziecka.

Minęłam go bokiem, starając się nie dotknąć, i ciężkim krokiem udałam się do sypialni. Znalazłszy się za drzwiami, stanęłam na środku i nasłuchiwałam, czy Osric nie idzie tu za mną. Podeszłam do szafy i na dnie torby wymacałam wizytówkę Da - vida, którą dał mi w porcie. Ukłękłam i wśród pantofli poszukałam amuletu, który wcześniej mi tam upadł. Postanowiłam postąpić zgodnie z radą Davida i udać się do niego jeszcze tej nocy, gdy Osric pójdzie spać. Nie zostanę tu, aż wydarzy się coś strasznego. Wezmę sprawy w swoje ręce i opuszczę to miejsce.

Ale los dlatego jest losem, że nie potrafimy go przewidzieć. Gdy w domu zrobiło się cicho, a ulice pogrążyły się w mroku, ubrałam się, przewiesiłam torbę przez pierś i włożyłam pelerynę, którą dała mi misjonarka. Podeszłam do drzwi i przekręciłam mosiężną klamkę. Niestety, nie otworzyły się. Ponowiłam próbę możliwie jak najciszej, mocniej ujmując klamkę. Zamek nie ustąpił. Wpadłam w panikę i zaczęłam szarpać klamką, nie przejmując się już hałasem. Na próżno. Drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. Stałam się więźniem Osrica Bulla.

Usiadłam na łóżku. Upłynęło dużo czasu, ale się nie położyłam i nie zamknęłam oczu. Musiałam czuwać, żeby Osric nie zastał mnie śpiącej i nie... Gdy tak rozmyślałam, co może mi się stać, ktoś cichutko przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Zerwałam się z łóżka. To był Govind. Zamiast zwykłego nieskazitelnego uniformu

miał na sobie długą za kolana koszulę w biało - niebieskie pasy i był boso. Jego zazwyczaj starannie zaczesane rzadkie włosy były w nieładzie. Spojrzał na mnie z wyraźną ulgą, jakby bał się tego, co może tu zastać. Położył palec na ustach i cicho zamknął drzwi.

- Govind - szepnęłam, podeszłam do niego i chwyciłam go za rękę. - Pomóż mi. Muszę się udać do Davida Ingrama. Natychmiast.

Pokręcił głową. Jego podpuchnięte oczy błyszczały w świetle latarni, które sączyło się tu z ulicy.

- Panno Daryo, nie może pani wyjść z domu. Pan Osric siedzi w salonie. Chyba nie pójdzie dziś w nocy do swojego pokoju - szepnął i uściśnął mnie za rękę.

- Govind, boję się. Wczoraj w nocy... Znasz Urbi? Co się z nią stało? Czy widziałeś, jak stąd wychodziła? Czy nic jej nie jest? - zasypałam go pytaniami, rozpaczliwie pragnąc, by potwierdził, że otworzył jej frontowe drzwi i widział, jak wsiadała do dorożki i odjeżdżała.

Na moment zamknął oczy.

- Pan Osric kazał mi się położyć. Pani spała na otomanie, a on i panna Urbi palili fajkę wodną. Wychodzę, kiedy pan Osric mi każe. Zawsze tak jest. Wykonuję jego polecenia. Muszę - powiedział.

- Ale... jutro? - nie ustępowałam. - Pomożesz mi jutro? Wsiądę do dorożki. Mam... - Wymacałam w torbie wizytówkę Davida i wzięłam ją do ręki. - Mam dokąd się udać. Wsiądę do dorożki. Pomożesz mi...

Pokręcił głową.

- Panno Daryo, jestem starym człowiekiem. Nie mogę stawić czoła panu Osricowi. Powiedział, że odda mnie do przytułku, jeśli już dłużej nie będę mógł czy nie zechcę wykonywać swoich obowiązków. Słyszała pani o przytułku? - spytał.

Pokręciłam głową.

- To straszne miejsce dla ludzi starych i chorych, dla tych, którzy nie mają nic i nikogo. Źle jest tam żyć, a jeszcze gorzej umrzeć. Nie chcę, żeby tak skończyło się moje życie. Chcę pani pomóc, ale jestem stary. Nie mogę walczyć z panem Osrikiem, ale... nie chcę też, żeby pani... - Uniósł rękę. - Rozumie pani? Co ja mogę zrobić?

Oblizalam wargi.

- Rozumiem cię, Govind, ale to, o co proszę, nie będzie dla ciebie kłopotliwe. - Sięgnęłam do torby, wyjęłam amulet i powiedziałam: -

Weź to wraz z wizytówką i poślij Davidowi Ingramowi. Wyjdź tylko na ulicę lub poproś Elle, żeby dała te dwie rzeczy dorożkarzowi. Osric nigdy się o niczym nie dowie, więc nie będziesz miał z tego powodu kłopotów. Zrobisz to? Zrobisz to dla mnie, Govind? Proszę cię. - Podałam mu na dłoni wizytówkę i amulet.

Oglądał je ostrożnie, pochylając swoją pomarszczoną, zmartwioną twarz, aż zadrżała mi ręka. Przez jego mocno przerzedzone włosy widziałam skórę głowy. Był taki stary. Jak mogłam go prosić, by mi pomógł, i oczekiwać, że będzie miał dość siły czy wytrzymałości, aby to zrobić? Ale spojrzał na mnie ze współczuciem. Byłam tym zaskoczona. Okazało się, że tak jak ja mu współczułam, tak on współczuł mnie. Doskonale wszystko rozumiał.

Wziął wizytówkę i amulet, muskając mnie swoją ciepłą suchą dłonią. Wydawało mi się, że skinął głową, ale może tylko zadrzał. Wyszedł i dyskretnie przekręcił klucz w zamku, a ja usiadłam na łóżku i czekałam, aż minie noc.

Było jeszcze ciemno, gdy ktoś znowu otworzył drzwi mojego pokoju, tym razem głośno przekręcając klucz w zamku.

- Moja droga, dlaczego siedzisz w ciemności ubrana w pelerynę?
- spytał Osric surowo, nie okazując emocji. - Zamierzasz gdzieś iść?

Zerwałam się z łóżka.

- Tak, Osric! Opuszczam to miejsce! Nie życzę sobie zostać tu ani chwili dłużej! - powiedziałam głośno.

Podobały mu się odważne kobiety. Dał mi jasno do zrozumienia, że pogardza tymi, które są słabe i trzymają się kurczowo mężczyzny.

Zarechotał.

- Nie życzysz sobie tu zostać! Jakie to zabawne. Ale ja nie pochwalam twojego zachowania - oświadczył jeszcze surowszym tonem.

Cofnęłam się, bo ruszył do mnie.

- Nie ma róży bez kolców, Osric - powiedziałam, nie spuszczając z tonu, i spytałam: - Dlaczego zamknąłeś mnie na klucz w tym pokoju?

Założył ręce na piersiach.

- Dlaczego cię zamknąłem? Dlatego, że mogę to zrobić, Daryo. Mogę zrobić, co zechcę. Przestałaś być wdzięcznym gościem! - warknął. - Nie zważając na to, co otrzymałaś ode mnie, przeszukujesz

moje rzeczy osobiste, oglądasz moje fotografie, ledwie tylko się odwrócić! - Prysnał śliną na mój policzek.

Otarłam go wierzchem dłoni. Nie mogłam się zawahać, okazać strachu. Czułam, że jedyną rzeczą, która powstrzymuje go przed... przed czym? Że przed zadaniem mi bólu powstrzymuje go tylko moja próba stawienia mu czoła.

- Świetnie. Ty nie życzysz sobie, żebym tu została, a ja życzę sobie opuścić to miejsce, więc wychodzę - oświadczyłam.

Pokręcił głową i uśmiechnął się, jakby nagle rozbawiony.

- Sądysz, że stąd wyjdiesz? Że przekroczysz próg tych drzwi po tych wszystkich trudach i wydatkach, jakie na ciebie poniosłem? Sfinansowałem ci podróż statkiem, karmiłem cię i ubierałem, że nie wspomnę o przyjemnościach, które ci zapewniałem. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie zaprzeczaj, że nie delectowałaś się moimi pieścizkami w łóżku, choć uważam, że nigdy nie wykażesz się taką wyobraźnią, jakiej się po tobie spodziewałem. Naprawdę mnie rozczarowałaś. - Znowu pokręcił głową. - Nie dość, że nigdy nie wyobrażałaś sobie takiego życia, jakie ci zapewniłem, to jeszcze nie potrafisz być wdzięczna i zdolna do współpracy, czyż nie? - Znowu zarechotał. - Daryo, czy nie zdajesz sobie sprawy, że należysz do mnie? Jesteś moim towarem i mogę zrobić z tobą, co zechcę. Beze mnie jesteś nic niewarta.

Odwróciłam się i spojrzałam w okno.

- Osric - zaczęłam cicho, błagalnie, nagle wyczerpana, spoglądając na skrawek nieba ponad dachami domów. Wisiał nad nimi sierp księżyca. - Nie chcę, żebyś mnie skrzywdził jak Urbi i inne kobiety. - Wzięłam głęboki oddech. - Pragnę tylko stąd odejść. O nic nie proszę i nic stąd nie zabiorę, żadnych strojów i klejnotów, które mi kupiłeś. Niczego. Proszę. - Odwróciłam głowę od okna i spojrzałam na niego. Miał rację, mówiąc, że jestem nic niewarta.

Wciąż się uśmiechał i stał z założonymi rękami. Na czoło opadł mu niesforny kosmyk.

- Skrzywdził, moja księżniczko? Sądzę, że puszczasz wodze fantazji - powiedział i nagle spoważniał. - O czym ty mówisz? Czyżby sny pomieszały ci się z rzeczywistością? - Podszedł do mnie jeszcze bliżej.

Cofnęłam się do okna i próbowałam je otworzyć.

- O co chodzi? Co zamierzasz zrobić? - spytał, stając za mną. Zerknęłam na niego przez ramię, a następnie na kamienny bruk daleko w dole.

- Musisz się uspokoić - mruknął cicho, ale takim tonem, że bardziej się przestraszyłam, niż rozgniewałam. Wziął szklanę, która stała obok malowanego w kwiaty dzbana z wodą, i wyjął z kieszeni kurtki znajomą brązową buteleczkę. Napełnił szklanę do połowy laudanum, podał mi i powiedział ostro: - Wypij.

- Nie chcę! Nie chcę! - krzyknęłam, kręcąc głową. Spoglądał na mnie, też kręcąc głową.

- Kiedy do ciebie dotrze, że nie ma znaczenia, czego chcesz lub nie chcesz?

Podszedł do mnie; stałam pod otwartym już oknem i nie mogłam się odwrócić. Wytrącił mi z ręki szklanę, która poleciała w stronę kominka i rozbiła się o kafle, a odłamki niebezpiecznie rozprysły się po pokoju. Osric spojrział na nie, jedną ręką chwycił mnie za oba nadgarstki, tak mocno i brutalnie, że osłabłam. Jego twarz przypominała teraz jedną z odrażających masek z przyjęcia w wigilię świętego Jana.

- Govind! Govind, pomóż mi! - krzyknęłam w panice, ale wiedziałam, że na nic się to nie zda.

Próbowałam się uwolnić z uścisku Osrica, odpychając się kolanami, ale z łatwością przyciągnął mnie do siebie jedną ręką, a drugą usiłował mi wepchnąć do ust buteleczkę z laudanum. Wykręcałam głowę i zaciskałam usta, ale w końcu je otworzył. Usłyszałam zgrzyt szkła uderzającego o moje zęby. Osric Bull wlał mi do gardła pół butelki laudanum.

- Madar, madar, proszę, pomóż mi! - wołał ktoś słabym głosem. Otworzyłam oczy i zrozumiałam, że to mój głos.

Rozpoznałam znajdujący się nade mną sufit i wiedziałam, że jestem w salonie. Próbowałam się poruszyć, ale czułam się tak, jakbym była związana. Nagle zobaczyłam siebie z góry leżącą na otomanie, a następnie powieszoną za związane w nadgarstkach szorstkim sznurem ręce na drzewie, na głównym placu Susmar Chord. Ale nie byłam tą dziewczynką, która wisiała tam dawno temu, lecz pokonaną kobietą o bezwładnym ciele, z głową opadającą na piersi.

Podeszła do mnie kobieta o odsłoniętej twarzy, którą otaczała jakaś złowróźbna, ciemna aura. Patrzyłam na nią przerażona, wiedząc,

że to Sulima. Skrzeczała jak ptak i miotła przekleństwa, wskazując dłonią wiszącą kobietę, czyli mnie. Nie potrafiłam jej powstrzymać ani nic powiedzieć. Kołysałam się tylko na sznurze. Chciałam krzyczeć do tej drugiej Daryi, żeby podniosła głowę, otworzyła oczy i pomogła sobie, ale nie wydobyłam z siebie głosu. Rozlegało się tylko skrzeczenie Sulimy.

Nagle ucichło i zamieniło się w męski głos. Uniosłam głowę i moja dusza powróciła do ciała leżącego na otomanie. To był głos Shaliq'a, który krzyczał nie w języku paszto, lecz po angielsku. Jak nauczył się tego języka? Czy przybył, żeby dokonać na mnie ostatecznego aktu zemsty za to, że go okłamałam? Drzwi trzasnęły i rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Wówczas zdałam sobie sprawę, że jest to głos Osrica, a nie mojego męża. Zakwiliłam żałośnie, bo zła twarz kochanka pojawiła się w mojej głowie, jego uśmiech, wilgotne usta i spocone dłonie. Tak mnie to przeraziło, że znowu wyswobodziłam się z ciała i zaczęłam krążyć pod sufitem. Spojrzałam na siebie i zrozumiałam, że jestem martwa, bo leżę nieruchomo. Dlatego nie mogłam się poruszyć i wydać z siebie głosu. Miałam związane ręce. Nie musiałam się już bać przekleństw Sulimy i gniewu Shaliq'a.

Osric mnie zabił i moje ciało spoczywało na otomanie w jego salonie, w wysokim ciemnym domu, w obcym kraju. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że moja matka nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. Nie dowie się, że jej córka wzięła sprawy w swoje ręce, zdobyła się na odwagę i przewędrowała szmat drogi, przepłynęła dwa oceany do dalekiego obcego kraju i bardzo dużo się nauczyła. Nigdy się nie dowie, jaką jej córka zdobyła siłę i wytrzymałość.

Znowu spojrzałam w górę. Nie zobaczyłam jednak białego, okopconego sadzą z lamp sufitu, lecz moją wioskę, jakby w książce z fotografiami, tyle że w naturalnych barwach. Nade mną wisiało niebo wyglądające jak głęboki niebieski talerz, a pod nim stały niskie zabudowania mojej wioski. Modliłam się do Allaha. Tak łatwo przypominałam sobie dawno temu wypowiedane słowa, jakby to było zaledwie wczoraj. Modliłam się o to, żeby wszyscy, których kochałam w moim rodzinnym domu - rodzice i rodzeństwo - nadal tam byli, bezpieczni i zdrowi, choć mieliśmy się już nigdy nie spotkać.

Nagle na suficie zobaczyłam zdjęcia kobiet o zasłoniętych twarzach. Szły ścieżką do grobu na skraju naszej wioski. Czy udawały

się tam, żeby odwiedzić mój grób? Nie, nie zostałam pogrzebana na tym cichym, ocienionym drzewami skrawku ziemi. Nagle zorientowałam się, że idę za tymi kobietami, niewidzialna postać pozbawiona wszelkiej cielesności, po prostu cień. A one falowały przede mną jak ciemna trawa na brzegu rzeki. Na cmentarzu podeszłam do kamienia na grobie babci. Nie płakałam, bo wiedziałam, że babcia jest szczęśliwa, że przebywa w raju. Siedząc przy kamieniu, czułam, jak znowu przepływa przede mną moja dawna siła.

Madar - e kalan, wiem, że jesteś z ukochanym, że czujesz się szczęśliwa. Ale zawsze byłeś przy mnie w czasie tej długiej dziwnej podróży mojego życia, zawsze cię widziałam, gdy spoglądałam na księżyc - mówiłam do niej w myślach.

Jakby w odpowiedzi omyła mnie księżycowa poświata, tak jasna, że aż oślepiająca. I usłyszałam głos mojego ukochanego.

- Daryo, Daryo, proszę cię - powtarzał w kółko David i gładził mnie po twarzy, szyi i ramionach.

Chciałam mu powiedzieć, że słyszę jego głos, że jestem gotowa pójść z nim do raju, ale nie mogłam, bo byłam martwa. Nie przeszkadzało mi to jednak, gdyż David też był martwy. Czyż nie? Musiał być martwy, skoro wołał do mnie z raju. Po raz pierwszy w życiu poczułam się piękna, naprawdę piękna, jak przepowiadała babcia, że stanie się w raju. David wciąż powtarzał moje imię. Moje ciało uniosło się do góry, tak wysoko, że stałam się jedną z gwiazd świecących na niebie. Ale ta podróż trwała długo, a ja podlegałam jakimś wstrząsom i kołysałam się z boku na bok, słysząc wokół siebie zniekształcone głosy. Czy do raju podróżuje się na koniu, czy może na wielbłądzie? A może statkiem bądź powozem? Jak się trafia do raju? - zastanawiałam się, ale nagle zapadła ciemność i wszystko znieruchomiało.

*

Gdy odzyskałam przytomność, próbowałam sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Oblizyłam wargi i zagryzłam je. Poczułam ucisk zębów, a więc żyłam. Ale to światło i głos Davi - da, który mnie wołał... Nagle przypomniałam sobie Osrica i głośno zaczerpnęłam powietrza. Otworzyłam oczy. Było jasno. Rozległ się szelest i głucho uderzenie. Odwróciłam głowę w tym kierunku. To pani Ingram gwałtownie wstała z krzesła i z kolan spadła jej na podłogę książka.

- Osric? - spytałam szeptem. - Jest...

- Daryo, jesteś bezpieczna i już od niego wolna - powiedziała serdecznie pani Ingram.

- Wolna? - powtórzyłam za nią szeptem.

Skinęła głową. Nalała wody do szklanki i podeszła do mnie. Pomogła mi usiąść i przytknęła szklankę do ust.

- Jesteś w moim domu, moim i Davida. Nie musisz się już obawiać Osrica Bulla - powiedziała.

- Nie będzie mnie szukał? - spytałam ochryłym głosem. Pani Ingram uśmiechnęła się nieco ironicznie.

- Nie. David zapewnił mnie o tym.

Z przyjemnością napiłam się wody, bo zaschło mi w gardle i miałam spieczone usta. Byłam przebrana w koszulę nocną z długimi rękawami wykończonymi koronką, uszytą z cienkiej białej tkaniny.

- Jak się tu znalazłam? - spytałam, rozglądając się po słonecznym pokoju, do którego przez otwarte okna wpadało orzeźwiające powietrze, a łagodny wietrzyk poruszał przejrzystymi zasłonami w oknach. Na stoliku przy moim łóżku stały w szklanym wazonie jasnoróżowe róże.

Pani Ingram odgarnęła mi włosy z czoła swoją małą chłodną dłonią i pomogła mi się oprzeć na białych, szeleszczących poduszkach.

- Stary Govind przyjechał tu w nocy dorożką, w kurtce na nocnej koszuli i boso. Biedny staruszek walił w drzwi, żeby nas obudzić. Cały się trząśł - powiedziała pani Ingram, lekko kręcąc głową. - Gdy tylko David go zobaczył, pobiegł do stajni, osiodłał konia i pojechał do domu Osrica. Dopiero później Govind wręczył mu amulet. Jakiś czas potem David przywiózł cię dorożką. Jesteś u nas od wczoraj i od tego czasu David chodzi w kółko, co chwila pytając, czy już odzyskałaś przytomność.

David... Czyli rzeczywiście to był jego głos, gdy wydawało mi się, że woła do mnie z raju. I naprawdę głaskał mnie po twarzy. Przyjechał po mnie na koniu i zabrał mnie z domu Osrica Bulla.

Usiadłam. Łzy napływały mi do oczu, łzy wzruszenia i ulgi. Pani Ingram podała mi miękką chusteczkę. Gdy cicho płakałam, zasłaniając oczy chusteczką, usiadła na łóżku i w milczeniu zaczęła szcnotkować moje włosy. Miałam ochotę oprzeć się na niej. Długie wolne pociągnięcia szczotki działały na mnie kojąco.

- David złożył doniesienie do władz na Osrica Bulla. Ja też już zapowiedziałam, że złożę zeznania. Również Govind postanowił zeznać, co widział i słyszał w domu Osrica Bulla - powiedziała cicho, gdy skończyła mnie czesać, i wstała.

- Govind? - zdziwiłam się.

- Jest tu. Oczywiście bał się wrócić do swego pana i David nakłonił go, żeby u nas został. - Odłożyła szczotkę na stolik i spytała: - Możesz wstać?

Oblizalam usta. Wciąż były spieczone. I kręciło mi się w głowie. Pani Ingram mnie obserwowała.

- Osric używał jakiegoś środka, żebyś zachowywała się cicho i spokojnie. Czy to było laudanum? - spytała.

Potaknęłam, przypominając sobie brązową buteleczkę.

- Czy często je piłaś?

Znowu potaknęłam, zawstydzona jej spojrzeniem.

- Odzwyczajanie się od laudanum zajmie ci nieco czasu - powiedziała i sposepniała, jakby nasunęły jej się przykre wspomnienia. - Znam jego władzę nad organizmem. Pomogę ci całkowicie się od niego uwolnić. Weź mnie pod rękę i podejźmy do okna.

Gdy wolno zbliżyłyśmy się do wysokich okien, otworzyła je szerzej. Wciągnęłam do płuc orzeźwiające powietrze, przesycone zapachami rosnących tu roślin. Nareszcie nie musiałam wachać końskiego nawozu, psującej się żywności, potu i kurzu. Gdy patrzyłam na zieloną otwartą przestrzeń i wysokie drzewa, rozległ się trzepot skrzydeł i nad koronami drzew zaczęło krążyć stado małych brązowych ptaszków.

- To skowronki - powiedziała pani Ingram, stając obok i obejmując mnie ramieniem. - Są śliczne.

- Co to za miejsce? - spytałam, obserwując ptaszki, dopóki nie znikły.

- Powiedziałam ci, kochanie. To jest nasz dom - odpowiedziała.

- Ale nie wygląda jak Londyn. - Spojrzałam w niebo, którego widoku nic tu nie zasłaniało.

- Nie. Znajdujemy się pod Londynem, w Richmond. Patrzysz na Richmond Park.

Jakże dawno wdychałam takie powietrze, widziałam takie jasne niebo i słyszałam śpiew ptaków. Jakże dawno po raz ostatni sięgałam wzrokiem aż po horyzont.

Nagle usłyszałam odgłos stóp na kamiennym chodniku i spojrzałam w tamtym kierunku. To David spacerował krótką alejką wysadzaną kwitnącymi krzewami, a za nim podążał czarny pies, duży i silny, ale stary, o czym świadczyła posiwiała sierść na pysku i chwiejny zad. Pies merdał długim ogonem, a David co jakiś czas głaskał go po głowie, jakby nieobecny myślami. Pies szalał wówczas z radości, ale jego pan miał zmartwioną twarz, a jego zachowanie świadczyło o tym, że jest czymś głęboko poruszony.

David - powiedziałałam w myślach, ale on jakby mnie usłyszał. Przystanął i podniósł wzrok. Pomachałam mu. Wówczas poruszył ustami. Wiedziałam, że wymówił moje imię. Ruszył do domu energicznym krokiem, a po chwili zaczął biec. Pies rzucił się za nim uradowany, kładąc uszy i wywieszając język. Biegł nadszpiewanie szybko jak na takie stare zwierzę. Nie miałam wątpliwości, że David ma go od szczenięcia. Biegli do mnie i byli coraz bliżej.

Epilog Osiem miesięcy później

Perskie przysłowie mówi: Gdzie jest twoje serce, tam cię nogi zaniosą.

Jest noc na morzu. Dziś rano wypłynęliśmy z Londynu. Jedna podróż się zakończyła i zaczęła się następna. Wychodzę na pokład, niosąc białą misę z owocami. Wspominam, jak płynęłam w przeciwną stronę, świadoma swej niepewnej przyszłości. Ruch fal, który podnosi na duchu, nieoczekiwanie przypomina mi rytmiczny chód wielbłąda.

- Czekałem na ciebie - mówi David, gdy stoję obok niego przy relingu. Wiatr rozwiał mu włosy i dodał koloru jego policzkom.

- Zjesz? - pytam i podsuwam mu misę. Bierze do ust nasionko granatu.

- Słodkie - mówi.

Uśmiecham się i znowu mu dziękuję, że wziął dla mnie na pokład ten szczególny owoc. W kraju, w którym się urodziłam, owoc granatu jest symbolem płodności. David zabrał go dla mnie w związku z tym, co mu niedawno powiedziałam.

Urodzi nam się córeczka, bo w dniu, w którym zorientowałam się, że jestem w ciąży, zobaczyłam obłok w kształcie ptaka w koronie. Damy jej na imię Pari - co w języku perskim znaczy wróżka - bo czy nie będzie ona w pewnym sensie owocem czarów, wystarczająco silna, aby pokonać przekleństwo, a mimo to na tyle pogodna, żeby móc żyć na tej ziemi? Czuję już jej ruchy, gdy przemieszcza się we mnie jak listeczek. W tę pierwszą noc naszej podróży do Indii statek sunie spokojnie po wodzie, niosąc mnie na pokładzie, tak jak ja noszę w łonie dziecko, które tam się urodzi i rozpocznie życie.

Płynie z nami matka Davida. Mówi, że nadszedł czas, aby na krótko powróciła do Indii. Zobaczy buzię swojej wnuczki, gdy tylko ta przyjdzie na świat, i zapomni o nieszczęściu, jakie ją kiedyś dotknęło w tym kraju pięknych kolorów. Mówi, że zapamięta tylko radość.

Płynie z nami również Govind. Jest bardzo słaby, ale z taką determinacją pragnie stanąć na ojczystej ziemi, że z pewnością mu się to uda. Ja, David i jego matka opiekujemy się staruszką. W Indiach zadbamy o jego wygodę i postaramy się, żeby nie był sam w ostatnich latach życia w kraju, którego nie widział od tak dawna.

Ja i David mamy wiele do zobaczenia. Pewne rzeczy chcemy obejrzeć ponownie, a inne dopiero poznać. Ale bez trudu stawimy

czoło temu, co nieznanne, bo nasza terażniejszość jest prawdziwa. Teraz mój los jest jasny jak księżycowa poświata na nocnym niebie, które właśnie oglądamy. Stojąc tyłem do Davida, opieram głowę na jego torsie, a on mnie obejmuje i kładzie dłonie na moim brzuchu, jakby chronił nasze jeszcze nienarodzone dziecko.

Marzę o tym, żebyśmy jeszcze raz pokonali trasę, którą kiedyś przebyliśmy, ale w kierunku odwrotnym, z południa na północ, z Indii do Afganistanu. Stanie się to możliwe dopiero wtedy, gdy nasza córeczka będzie wystarczająco duża. Wyobrażam sobie, jak podaję ją mojemu ojcu i matce. Chcę, aby mnie zobaczyli i przekonali się, że przeżyłam i znalazłam w życiu to, czego szukałam. I pragnę na własne oczy zobaczyć, że ich życie toczy się tak, jak powinno, że o zmierzchu ojciec siada ze swoim synem na dachu domu, że matce dobrze układają się stosunki z mężem, dziećmi i przyjaciółkami, że Nasreen, w przeciwieństwie do mnie pozbawiona złośliwości i krnąbrności, jest zadowolona ze swego losu, znając swoje miejsce i przyjmując je z wdzięcznością. Ale czy kiedykolwiek odbędę podróż do Afganistanu, do mojej rodzinnej wioski? Wymaga to pokonania wielu przeszkód i trudności, o których postanowiłam na razie nie myśleć. Wolę myśleć o tym, że Allah mi wybaczył i że noszę pod sercem dziecko, które jest owocem Jego błogosławieństwa. Od tego zacznę.

Nadszedł czas, aby was zapytać: Czy naprawdę byłam niegodziwa, że dopuściłam do tego, by moja wiara w Boga zgasła, a na jej miejsce pojawiła się wiara w siebie? Czy się oszukiwałam, myśląc, że mam w sobie wielką siłę i wykorzystuję ją, aby usprawiedliwić swoje niemoralne zachowanie, zostając kochanką złego człowieka o niszczycielskich instynktach, w zamian za życie, które, jak sądziłam, przyniesie mi wolność?

Bez względu na to, co o mnie myślicie, naprawdę wierzę, że życie człowieka jest to wypadkowa losu i zbiegów okoliczności. Mimo to wiem, że wprowadzanie zmian jest możliwe, że możemy wykorzystywać naszą siłę do wprowadzania nowych zasad. Proszę, pamiętajcie o tym, oceniając mnie, i bądźcie mi życzliwi.

Fale oceanu srebrzy światło księżyca. Myślę o babci, odwracając się do Davida.

Tchnij we mnie życie – słyszę w myślach słowa. - Tchnij we mnie życie.

Podziękowania

Wyrażam wdzięczność mojej agentce Sarah Heller za jej sugestie i nieustanną zachętę. Ta książka nie byłaby taka, jaka jest, bez redaktor Harriet Evans i Catherine Cobain z Headline Publishing. Dziękuję im za wiarę we mnie, niezawodny instynkt i umiejętność delikatnego utrzymywania mnie na właściwej drodze w długiej akcji tej powieści. Jestem im trzem wielce zobowiązana za wszelką pomoc.

Winna jestem też podziękowania tym wszystkim, którzy pomogli mi w różny sposób. Są to: Peter Newsom, Kim McArthur i inni z McArthur and Company, którym dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobili, a także Anita Jewell, Andrea Downey - Franchuk, Joanna Renaud, Shannon Kernaghan, Donna Freeman, Holly Kennedy, Irene Williams, Kathy Lowinger, Carolyn Langill, Randall Freeman, Carole Bernicchia - Freeman, Tim Freeman, Zalie i Brenna oraz wszyscy pozostali - wiecie, kogo mam na myśli. Moi wierni przyjaciele i ukochani członkowie rodziny czekali cierpliwie, gdy długo się nie odzywałam i nie zjawiałam, a kiedy było mi ciężko, dodawali mi otuchy i przez cały czas towarzyszyli w drodze, aż po linię mety. Specjalne podziękowania kieruję do mojego syna Kitta za pełne zrozumienie, co znaczy żyć z piszącą matką. Z ogromnym uznaniem przyjmuję jego świeżo nabyte umiejętności kulinarne, wspaniałomyślność, z jaką traktował moją wolność, która była nieodzowna, bym mogła zatracić się w pisaniu, a także umiejętność przypominania mi, co jest w życiu ważne.

Książki i materiały źródłowe, z których czerpałam, przygotowując się do napisania tej powieści, są zbyt liczne, abym mogła wszystkie je tu wymienić. Do tych, które wpłynęły na mnie szczególnie i były ważne dla mojego zrozumienia tak fascynującego kraju, jakim jest Afganistan i jego mieszkańcy, należą książki takich autorów, jak: Louis Dupree, *Afghanistan*, 1998; Eric Newby, *A Short Walk in the Hindu Kush*, 1981; Arthur Bonner, *Among the Afghans*, 1988; Peregrine Hodson, *Under a Sickle Moon: A Journey Through Afghanistan*, 1987; Albert Szabo i Thomas J. Barfield, *Afghanistan: An Atlas of Indigenous Domestic Architecture*, 1991; Roland i Sabrina Michaud, *Cara - vans to Tartary*, 1990; Martm Evans, *Afghanistan: A Short History of its People and Politics*, 2002; John Waller, *Beyond the Khyber Pass*, 1993.

